

The book cover features a dramatic scene of a man carrying a child on his shoulders, standing in a dark room with large windows. Outside, a bright, fiery orange and yellow light illuminates a landscape of destruction, with smoke and debris visible. The overall mood is one of horror and suspense.

STEPHEN
KING

MGŁA

SZKIELETOWA ZAŁOGA

Prószyński i S-ka

STEPHEN KING

SZKIELETOWA ZAŁOGA

Ta książka jest dla Arthura i Joyce Greenów

Ja jestem grajkiem twym,
Tym właśnie jestem ja,
Zjawiłem się tu po to,
By zrobić co się da...

K.C. and The Sunshine Band

Kochasz?

WSTĘP

Zaczekaj chwilę... Chcę z tobą porozmawiać... a potem cię pocałuję. Zaczekaj...

1.

Oto jeszcze trochę opowiadań, jeśli chcecie. Obejmują spory szmat mojego życia. Najstarsze, "Wizerunek Kosiarza", napisałem w wieku osiemnastu lat, w ostatnie wakacje przed początkiem nauki w college'u. Nawiasem mówiąc, pomysł przyszedł mi do głowy na podwórzu za naszym domem w West Durham w stanie Maine, podczas gry w koszykówkę z braćmi; kiedy teraz czytam je ponownie, robi mi się trochę żal tych dawnych czasów. Najnowsze, "Ballada o celnym strzale", ukończyłem w listopadzie 1983 roku. Różnica wynosi siedemnaście lat - raczej niewiele w porównaniu z długimi i obfitującymi w wydarzenia karierami tak rozmaitych autorów jak Graham Greene, Somerset Maugham, Mark Twain i Eudora Welty, ale równocześnie jest to więcej, niż było dane Stephenowi Crane'owi, oraz mniej więcej tyle samo, ile trwała pisarska kariera H.P. Lovecrafta.

Pewien przyjaciel zapytał mnie rok albo dwa lata temu, dlaczego wciąż pisuję opowiadania. Jego zdaniem, na powieściach zarabiam mnóstwo pieniędzy, opowiadania natomiast przynoszą mi wyłącznie straty.

- Skąd wiesz? - zapytałem.

Postukał palcem w najnowszy numer "Playboya", od którego zaczęła się dyskusja. Było tam moje opowiadanie ("Edytor tekstu", znajdziecie je gdzieś tutaj); pokazałem mu je z dumą - jak mi się wydawało, uzasadnioną.

- Zaraz ci to wyliczę - odparł - oczywiście jeżeli zechcesz mi powiedzieć, ile dostałeś za ten kawałek.

- Zechcę - powiedziałem. - Zapłacili mi dwa tysiące dolarów. Wydaje mi się, Wyatt, że to całkiem niezła forsa.

(W rzeczywistości wcale nie nazywa się Wyatt, ale nie chcę stawiać go w głupiej sytuacji).

- Wcale nie dostałeś dwóch tysięcy - odrzekł Wyatt.

- Czyżby? Sprawdzałeś wyciąg z mojego konta?

- Jasne, że nie, ale wiem, że dostałeś tylko tysiąc osiemset, bo twój agent bierze dziesięć procent.

- Racja - przyznałem. - Zapracowałem na nie. Wepchnął mnie do "Playboya". Zawsze chciałem wydrukować jakieś opowiadanie w "Playboyu". A więc nie dwa tysiące, tylko tysiąc osiemset. Wielka mi różnica.

- Nieprawda. Tysiąc siedemset dziesięć.

- Słucham?

- Sam mi kiedyś mówiłeś, że twój księgowy bierze pięć procent od dochodu netto...

- Zgoda. Tysiąc osiemset minus dziewięćdziesiąt. Mimo to nadal uważam, że tysiąc siedemset dziesięć dolarów to całkiem niezłe jak na...

- Ale to wcale nie było tysiąc siedemset dziesięć dolarów - wpadł mi w słowo ten sadysta. - W rzeczywistości zarobiłeś nędzne osiemset pięćdziesiąt pięć dolców.

- Że co, proszę?

- Chyba nie będziesz usiłował mi wmówić, że nie łapiesz się do najwyższej grupy podatkowej? Nic nie odpowiedziałem, bo doskonale znałem prawdę.

- To jeszcze nie koniec - dodał nieco łagodniejszym tonem. - Tak naprawdę zostało ci z tego jakieś siedemset sześćdziesiąt dziewięć pięćdziesiąt, prawda?

Z ociąganiem skinąłem głową. W Maine obowiązuje podatek stanowy - dla obywateli o dochodach takich jak moje wynosi on dziesięć procent podatku federalnego. Dziesięć procent od ośmiuset pięćdziesięciu pięciu to osiemdziesiąt pięć pięćdziesiąt.

- Ile czasu zabrało ci napisanie tego opowiadania? - parł dalej Wyatt.

- Około tygodnia - powiedziałem z miną niewiniątka. W rzeczywistości były to prawie dwa tygodnie, plus kilka korekt, ale nie zamierzałem się do tego przyznawać.

- A więc przez ten tydzień zarobiłeś na czysto siedemset sześćdziesiąt dziewięć dolarów i pięćdziesiąt centów. Czy wiesz, nieboraczku, ile tygodniowo zarabia hydraulik w Nowym Jorku?

- Nie - odparłem. Nie znoszę, kiedy ktoś mówi do mnie "nieboraczku". - I ty też nie wiesz.

- Oczywiście, że wiem. Około siedmiuset sześćdziesięciu dziewięciu dolarów i pięćdziesięciu centów netto. Tak więc, przynajmniej moim zdaniem, pisząc to opowiadanie, dołożyłeś do interesu.

Okrutnie go to ubawiło, a kiedy już przestał się śmiać, zapytał, czy mam jeszcze piwo w lodówce. Powiedziałem mu, że nie mam.

Zamierzam posłać Wyattowi egzemplarz tej książki z adnotacją: "Nie powiem Ci, ile dostałem za tę książkę, ale powiem Ci, co następuje: do tej chwili "Edytor tekstu" przyniósł mi trochę ponad dwa tysiące trzysta dolarów netto, i to nie licząc tych siedmiuset sześćdziesięciu dziewięciu dolarów i pięćdziesięciu centów, z których tak nabijałeś się w moim domu nad jeziorem".

Podpiszę się: "Nieboraczek", i dodam postscriptum: "Miałem wtedy mnóstwo piwa. Raczyłem się nim jeszcze długo po Twoim odjeździe".

To powinno go załatwić.

2.

Tyle że tak naprawdę wcale nie chodzi o pieniądze. Jasne, dwa tysiące dolarów za "Edytor tekstu" sprawiło mi nielichą frajdę, ale tak samo ucieszyłem się z czterdziestu dolarów, które dostałem za "Wizerunek Kosiarza", które ukazało się w "Startling Mystery Stories", albo z dwunastu gratisowych egzemplarzy czasopisma otrzymanych zamiast honorarium za "Zjawi się tygrys", kiedy opowiadanie to opublikowano w "Ubris", literackim periodyku Uniwersytetu Maine. (Jako osobnik o łagodnym usposobieniu zawsze przypuszczałem, że "ubris" to slangowa odmiana słowa "hubris").

To znaczy, pieniądze są w porządku. Nie uciekajmy całkowicie w krainę fantazji (przynajmniej na razie). Kiedy moje opowiadania zaczęły w miarę regularnie pojawiać się w męskich czasopismach takich jak "Cavalier", "Dude" i "Adam", miałem dwadzieścia pięć lat, a moja żona dwadzieścia trzy. Mieliśmy również dziecko, drugie było w drodze. Przez pięćdziesiąt, sześćdziesiąt godzin tygodniowo pracowałem w pralni, gdzie zarabiałem dolara i siedemdziesiąt pięć centów na godzinę. Nie da się nawet powiedzieć, że dysponowaliśmy wtedy jakimś budżetem; nasze życie przypominało raczej Marsz Śmierci na Bataan. Czeka z honorariami za te opowiadania (płacono dopiero po publikacji, nigdy po zaakceptowaniu przez redakcję) zjawiały się zawsze w porę, żebyśmy mogli kupić antybiotyki dla dziecka albo zapłacić zaległy rachunek za telefon. Powiedzmy sobie szczerze: pieniądze są potrzebne. Jak powiada Lily Cavanaugh w "Talizmanie" (nie napisałem tego ja, lecz Peter Straub): "Nigdy nie jest się za szczupłym ani za bogatym". Jeśli w to nie wierzycie, to znaczy, że nigdy nie byliście otyli ani naprawdę biedni. A jednak nie robisz tego dla pieniędzy, nie przeprowadzasz wcześniej rachunku zysków i strat, nie liczysz, ile zarobisz przez godzinę, rok ani nawet przez całe życie. Nie robisz tego nawet z miłości, choć przyjemnie byłoby tak myśleć. Robisz to, ponieważ gdybyś tego nie robił,

równałoby się to popełnieniu samobójstwa. Niekiedy jest ciężko, ale w zamian otrzymujesz coś, o czym nawet nie próbowałem mówić Wyattowi, bo i tak by mnie nie zrozumiał.

Weźmy na przykład "Edytor tekstu". Nie jest to moje najlepsze opowiadanie, z pewnością nie zdobędzie żadnych nagród, ale nie jest też znowuż takie marne. Całkiem przyzwoite. Miesiąc wcześniej kupiłem swój pierwszy komputer (to ogromniasty wang; bądźcie tacy mili i powstrzymajcie się od złośliwych komentarzy, dobrze?), wciąż jeszcze poznawałem jego możliwości i ograniczenia. Najbardziej zafascynowały mnie klawisze INSERT oraz DELETE, za których sprawą korektory niemal z dnia na dzień odeszły do lamusa.

Któregoś dnia paskudnie się zatrąłem - cóż, każdemu może się zdarzyć. Wszystko, co nie było we mnie jakoś zakotwiczone, opuszczało mój organizm wlotem bądź wylotem z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Wieczorem czułem się naprawdę paskudnie: dreszcze, gorączka, obolałe stawy. Ponaciągałem sobie powłoki brzuszne i łupało mi w głowie.

Noc spędziłem w pokoju gościnnym (zaledwie cztery susy od łazienki). Zasnąłem o dziewiątej, obudziłem się o drugiej z przekonaniem, że już nie zmruję oka. Zostałem w łóżku tylko dlatego, że czułem się zbyt paskudnie, żeby wstać. Leżałem więc sobie, myślałem o komputerze, o klawiszach INSERT i DELETE... "Czy to nie byłoby zabawnie, gdyby ktoś napisał jakieś zdanie, nacisnął DELETE, i wszystko, co zostało . opisane w tym zdaniu, natychmiast zniknęłoby bez śladu?". Tak właśnie rodzą się prawie wszystkie moje pomysły: Czy to nie byłoby zabawnie, gdyby... Chociaż większość z nich jest przerażająca, to kiedy je opowiadam, niemal wszystkie wywołują wesołość, i to niezależnie od moich intencji.

Tak czy inaczej, zacząłem od pomysłu z DELETE, a potem nie tyle tkąłem materię opowieści, ile raczej oglądałem w myślach oderwane obrazy. Widziałem, jak ten gość (początkowo zawsze ma moją twarz, aż do chwili, kiedy biorę się do pisania i muszę nadać mu jakieś imię) usuwa wiszące na ścianie obrazy, fotele w salonie, Nowy Jork i pojęcie wojny. Potem zaczął wstawiać rozmaite rzeczy, które natychmiast pojawiały się na świecie.

A później pomyślałem: "Dajmy mu więc żonę sekutnicę, może ją usunie... i kogoś, kogo chciałby wstawić w to miejsce...". Jeszcze później mimo wszystko zasnąłem, a kiedy obudziłem się rano, czułem się już całkiem nieźle. Zatrucie należało do przeszłości, opowiadanie - nie. Napisałem je; co prawda, jak sami się przekonacie, różni się trochę od pierwotnego pomysłu, ale to całkiem normalne.

Chyba nie muszę wyrażać się jeszcze jaśniej, prawda? Nie robi się tego dla pieniędzy, tylko po to, żeby się dobrze poczuć. Człowiek, dla którego taki powód to za mało, jest nic niewart. To opowiadanie odplaciło mi się zdrowym snem akurat wtedy, kiedy tego właśnie potrzebowałem. Ja zrewanżowałem mu się, nadając mu konkretną formę, czego bardzo pragnęło. Cała reszta to tylko skutki uboczne.

3.

Mam nadzieję, Niestrudzony Czytelniku, że spodoba ci się ta książka, chociaż może nie tak bardzo jak powieść, ponieważ większość z was zapomniała, na czym polega przyjemność obcowania z opowiadaniem. Lektura powieści pod wieloma względami przypomina długi satysfakcjonujący romans. Kiedy podczas kręcenia "Creepshow" musiałem często kursować między Maine a Pittsburghiem, zazwyczaj pokonywałem tę trasę samochodem - częściowo ze względu na lęk przed lataniem, częściowo zaś w związku ze strajkiem kontrolerów ruchu lotniczego oraz jego konsekwencjami, czyli wyrzuceniem na bruk przez Reagana wszystkich strajkujących. (Wygląda na to, że Reagan gorąco popiera związki zawodowe wyłącznie wtedy, jeśli działają w Polsce). W podróży towarzyszyła mi nagrana na ośmiu kasetach

magnetofonowych powieść Colleen McCullough "Ptaki ciemnych krzewów". Przez jakieś pięć tygodni nie tyle miałem romans z tą książką, ile wydawało mi się, że jesteśmy małżeństwem. Najbardziej spodobał mi się fragment o tym, jak mniej więcej w ciągu szesnastu godzin robaki stoczyły rozkładające się zwłoki tej wrednej starej baby.

Z opowiadaniem sprawy mają się zupełnie inaczej; opowiadanie przypomina ukradkowy pocałunek w ciemności z nieznanym. To oczywiście nie to samo co romans lub małżeństwo, ale pocałunki też są bardzo miłe, ich efemeryczność zaś sama w sobie stanowi nie lada atrakcję. W miarę upływu lat pisanie opowiadań wcale nie przychodzi mi łatwiej; wręcz przeciwnie, staje się coraz trudniejsze. Z jednej strony, mam na to coraz mniej czasu, z drugiej natomiast, opowiadania wykazują skłonność do błyskawicznego powiększania objętości. (Mam z tym ogromny problem: kiedy piszę, zachowuję się jak łakomczuch w sklepie ze słodyczami). Coraz trudniej też nadać im właściwą formę - zbyt często nie potrafię znaleźć imienia dla tego gościa o mojej twarzy.

Uważam jednak, że trzeba próbować. Lepiej zaryzykować pocałunek i parę razy dostać po twarzy, niż w ogóle zrezygnować.

4.

W porządku, to już prawie wszystko. Pozwolicie, że teraz podziękuję paru osobom? (Jeśli chcecie, możecie pominąć ten fragment).

Dziękuję Billowi Thompsonowi za to, że był siłą sprawczą. Wspólnie przygotowaliśmy "Nocną zmianę", mój pierwszy zbiór opowiadań, i to on wpadł na pomysł, żeby zrobić następny. Potem przeniósł się do wydawnictwa Arbor House, lecz mimo to nadal go kocham. Jeśli wśród osób parających się szlachetną profesją wydawcy pozostał jeszcze choć jeden prawdziwie szlachetny człowiek, to jest nim właśnie Bill. Niech Bóg błogosławi Twoje irlandzkie serce!

Dziękuję Phyllis Grann z Putnama za wybranie luzów.

Dziękuję Kirby'emu McCauleyowi, mojemu agentowi (znowu Irlandczyk!), który sprzedał większość spośród tych opowiadań, najdłuższe zaś, czyli "Mgłę", wydobył ze mnie hydrauliczną wyciągarką.

Coś zaczyna mi to przypominać gadkę laureata Oscara, aleja to pieprzę.

Podziękowania należą się też ludziom z czasopism: Kathy Sagan z "Redbook", Alice Turner z "Playboya", Nye Willden z "Cavalier", wszystkim z "Yankee", Edowi Fermanowi - swój gość! - z "Fantasy & Science Fiction".

Jestem wdzięczny jeszcze wielu osobom i nawet mógłbym je wszystkie wymienić, ale nie będę już was zanudzał. Jak zwykle, największe podziękowania należą się wam, Stali Czytelnicy, ponieważ w końcu wszystko sprowadza się właśnie do was. Bez was cała ta zabawa nie miałaby sensu. Jeśli któraś z tych historyjek was wciągnie, poruszy, pozwoli przetrwać nudne popołudnie, zajmie podczas lotu samolotem albo skróci godzinną odsiadkę za strzelanie w nauczyciela kulkami z plasteliny, będę się czuł w pełni usatysfakcjonowany.

5.

Dobra, koniec reklam. Złapcie mnie teraz za rękę. Trzymajcie mocno. Odwiedzimy sporo mrocznych zakątków, ale wydaje mi się, że znam drogę. Pamiętajcie tylko, żeby się mocno trzymać. A jeśli skradnę wam w ciemności całusa, to nic wielkiego. Zrobię to, ponieważ was kocham.

A teraz słuchajcie...

15 kwietnia 1984
Bangor, Maine

MGŁA

1. NADCIĄGA BURZA

Oto co się wydarzyło. Tej nocy, kiedy wreszcie załamała się fala największych upałów w historii Nowej Anglii (czyli 19 lipca), nad całą zachodnią częścią stanu Maine rozpełtały się najgwałtowniejsze burze, jakie kiedykolwiek widziałem.

Mieszkaliśmy nad Long Lake i jeszcze przed nastaniem ciemności zobaczyliśmy, jak woda daleko na jeziorze marszczy się chłostana pierwszymi uderzeniami wiatru. Wcześniej przez godzinę panowała zupełna cisza. Amerykańska flaga, którą mój ojciec zawiesił w roku 1936 na szapie dla łodzi, zwisała smętnie. Nie drgnęła ani jedna nitka w zdobiących ją frędzlach. Upał wydawał się niemal namacalny i głęboki niczym woda, która zalała kamieniołomy. Po południu całą trójką wybraliśmy się popływać, woda jednak nie dawała żadnej ulgi, chyba że wypłynęło się daleko od brzegu. Ani Steffy, ani ja nie chcieliśmy tego robić ze względu na Billy'ego. Billy ma pięć lat.

O wpół do szóstej zasiedliśmy na tarasie do kolacji, lecz szynka i sałatka ziemniaczana nie cieszyły się większym powodzeniem. Wszyscy mieli ochotę wyłącznie na pepsi, którą wyciągaliśmy z metalowego wiaderka wypełnionego lodem.

Po kolacji Billy poszedł na drabinki, Steff i ja natomiast zostaliśmy przy stole. Siedzieliśmy w milczeniu, paliliśmy papierosy i gapiliśmy się na nieruchomą, ponurą taflę jeziora oraz na Harrison na jego przeciwległym brzegu. Po wodzie snuło się smętnie kilka motorówek, sosny i świerki sprawiały wrażenie czymś przygnębiionych. Na zachodzie powoli rozrastały się masywne fioletowoczarne chmury, grupując się w wojskowe formacje. Co jakiś czas w ich wnętrzu eksplodowały błyskawice. Za każdym razem, kiedy to następowało, głośnik włączonego po sąsiedzku u Brenta Nortona radia - było dostrojone do nadającej z Mount Washington stacji z muzyką klasyczną - raczył nasze uszy potężną dawką białego szumu. Norton, prawnik z New Jersey, miał nad Long Lake tylko letni domek, nieocieplony i bez ogrzewania. Dwa lata wcześniej nie mogliśmy ustalić, którędy dokładnie powinna przebiegać granica między naszymi działkami. Sprawa w końcu trafiła do sądu okręgowego; wygrałem ją. Norton twierdził, iż stało się tak dlatego, że jest tu obcy. Od tej pory nie pałaliśmy do siebie przesadnie przyjaznymi uczuciami. Steff westchnęła, po czym zaczęła się wachlować górną częścią cienkiej bluzeczki na ramiączkach. Wątpię, czy zrobiło jej się od tego chłodniej, za to ja miałem bardzo przyjemny widok.

- Nie chcę cię niepokoić - powiedziałem - ale mam wrażenie, że zbliża się solidna burza.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- Takie same chmury były wczoraj i przedwczoraj, a wszystko rozeszło się po kościach.

- Dziś się nie rozejdzie. - Nie?

- Jeśli zrobi się naprawdę nieciekawie, zejdziemy do piwnicy.

- A jak bardzo nieciekawie, twoim zdaniem, może się zrobić?

Mój ojciec pierwszy wybudował całoroczny dom po tej stronie jeziora. Najpierw, kiedy jeszcze był prawie dzieckiem, razem z braćmi postawił w tym miejscu letni domek, który legł w gruzach podczas pewnej letniej burzy w roku 1938. Ocalała wtedy tylko szopa na łodzi. Rok później ojciec rozpoczął budowę dużego domu. Najwięcej szkód podczas huraganu czyni nie wiatr, lecz

łamane przez niego stare, wielkie drzewa. Tak właśnie Matka Natura przeprowadza od czasu do czasu gruntowne porządki.

- Nie mam pojęcia - odparłem zgodnie z prawdą. Wielką burzę z roku trzydziestego ósmego znalazłem wyłącznie z opowiadań. - Ale wiem, że wiatr może w nas uderzyć jak rozpędzony ekspres.

Chwilę później wrócił Billy; nie miał ochoty bawić się na drabinkach, ponieważ, jak oświadczył, "cały się zapocił". Zmierziłem mu włosy i dałem jeszcze jedną pepsi. Więcej pracy dla dentysty. Burzowe chmury zasłaniały coraz więcej jeszcze niedawno błękitnego nieba. Nie ulegało wątpliwości, że tym razem burza nas nie ominie. Norton wyłączył radio. Billy siedział między nami i, zafascynowany, obserwował niebo. Nad jeziorem powoli przetoczył się grzmot, by wkrótce wrócić echem. Chmury kotłowały się i kłębiły - to czarne, to znów fioletowe, chwilę potem pożyłkowane, nieco później znów czarne. Stopniowo rozprzestrzeniały się nad całym jeziorem, a hen, daleko, spływała już z nich delikatna zasłona deszczu. Na razie padało w Bolster's Mills i Norway.

Powietrze drgnęło, a następnie zaczęło się poruszać, najpierw zrywami - flaga załopotała gwałtownie, zwisła bezwładnie, znowu załopotała, znowu zwisła - później zaś zerwał się prawdziwy wiatr, który początkowo ostudził pot na naszych ciałach, by zaraz potem niemal go zamrozić.

Właśnie wtedy nad jezioro począł się nasuwać srebrzysty całun. W ciągu kilku sekund przykrył Harrison i ruszył prosto na nas. Motorówki pospiesznie opuściły scenę.

Billy poderwał się z krzeselka (stanowiło wierną, tyle że mniejszą kopię naszych reżyserskich krzeseł, łącznie z imieniem wypisanym wielkimi literami na oparciu).

- Tatusiu, patrz!

Ja również wstałem i otoczyłem ramieniem jego szczupłe barki.

- Idziemy do domu.

- Tatusiu, ale widzisz? Co to jest?

- Trąba powietrzna. Do środka, do środka!

Steff zerknęła na mnie ze zdziwieniem, a następnie powiedziała:

- Chodźmy, Billy. Trzeba słuchać tatusia. Weszliśmy przez rozsuwane szklane drzwi łączące taras z salonem. Zamknąłem je starannie i jeszcze raz spojrzałem na zewnątrz. Srebrzysty całun pokonał już trzy czwarte szerokości jeziora. Teraz wyglądał jak zdeformowana, wirująca w szaleńczym tempie filizanka zawieszona między niskimi czarnymi chmurami a powierzchnią wody, która przybrała barwę posrebrzanego tu i ówdzie ołowiu. Jezioro zamieniło się w ocean: wysokie fale rozbijały się z hukiem o nabrzeża i falochrony, rozsiewając dokoła bryzgi wodne. Dalej od brzegu grzywacze wściekle potrząsały białymi głowami.

Widok trąby powietrznej sunącej nad wodą niemal mnie zahipnotyzował. W chwili kiedy była tuż, tuż, błysnęło tak przeraźliwie, że jeszcze co najmniej przez trzydzieści sekund widziałem wszystko jak na negatywie. Telefon brzęknął ze zdumieniem, a ja odwróciłem się i ujrzałem żonę i syna stojących przed szerokim oknem, z którego roztacza się panorama na całą północno-zachodnią część jeziora.

Natychmiast ogarnęła mnie przerażająca wizja - jedna z tych zarezerwowanych wyłącznie dla ojców i mężów - grubej szyby rozpryskującej się z hukiem na tysiące ostrych jak sztylety odłamków, które następnie bezlitośnie sieką odsłonięty brzuch żony oraz twarz i szyję syna. Potworności inkwizycji to nic w porównaniu z losem, jaki wyobraźnia każdego z nas potrafi zgotować naszym najbliższym.

Złapałem oboje za ramiona i gwałtownie szarpnąłem do tyłu.

- Co robicie, do cholery? Wynoście się stąd!

Steff wytrzeszczyła oczy, Billy zaś miał taką minę, jakby dopiero co obudził się z głębokiego snu. Zaprowadziłem ich do kuchni i włączyłem światło. Telefon brzęknął ponownie.

Zaraz potem uderzył wiatr. Wrażenie było takie, jakby cały dom wzbił się w powietrze niczym jakiś jumbo jet: przeraźliwy, niekończący się gwizd, to opadający do basowego ryku, to znów wspinający się do opętańczego wrzasku.

- Na dół!

Musiałem krzyczeć, żeby mnie usłyszeli. Bezpośrednio nad naszymi głowami rozległ się trzeszczący huk grzmotu; Billy przywarł do mojej nogi.

- Ty też! - odkrzyknęła Steff.

Skinąłem głową, jednocześnie czyniąc uspokajające gesty. Musiałem siłą oderwać Billy'ego od nogi.

- Idź z mamą. Wezmę parę świec na wypadek, gdyby miało zabraknąć prądu.

Posłuchał, a ja zacząłem grzebać w szafkach. Zabawna rzecz z tymi świecami: każdej wiosny kładziesz je na wierzchu, bo wiesz, że latem burza może przerwać dopływ prądu, a kiedy przychodzi chwila, że naprawdę są potrzebne, znikają bez śladu.

Grzebałem już w czwartej szafce, gdzie wśród mnóstwa rupieci odkryłem między innymi zawiniątko z porcją trawki, którą Steff i ja kupiliśmy przed czterema laty i zaledwie zdążyliśmy napocząć, skaczącą sztuczną szczękę - nabytek Billy'ego ze sklepu z zabawkami w Auburn - oraz stosy fotografii, które Steff ciągle zapominała wkleić do albumów. Zajrzałem nawet do katalogu Searsa i za tajwańską laleczkę, którą zdobyłem podczas festynu we Fryeburgu w zawodach polegających na rzucaniu piłeczkami tenisowymi do butelek po mleku.

Świece leżały za laleczką wpatrującą się we mnie szklistym, nieruchomym wzrokiem. Jeszcze nawet nie zostały rozpakowane. W chwili kiedy zacisnąłem na nich palce, światło zgasło; elektryczność była już tylko tam, w górze. Kuchnię oświetliła seria białych i purpurowych błyskawic. Z dołu dobiegał płacz Billy'ego i uspokajający szmer głosu Steff.

Musiałem jeszcze raz popatrzeć na burzę.

Co prawda trąba powietrzna albo już nas minęła, albo dotarłszy do brzegu, przestała istnieć, lecz widoczność nie przekraczała dwudziestu metrów. Na jeziorze rozszalał się autentyczny sztorm; czyjś pomost (chyba Jasserów) przemknął w zawrotnym tempie, kręcąc kozły we wzburzonej wodzie.

Jak tylko zszedłem na dół, Billy podbiegł i objął mnie mocno za nogi. Wziąłem go na ręce, przytuliłem, po czym zapaliłem świece. Siedzieliśmy w pokoju gościnnym, wpatrywaliśmy się w swoje twarze oświetlone żółtymi, pełgającymi płomykami, i wsłuchiwaliśmy się w ryk nawałnicy. Mniej więcej po dwudziestu minutach do naszych uszu dotarł przeciągły trzask zakończony głuchym łoskotem; to runęła jedna z ogromnych sosen. Zaraz potem niespodziewanie zapadła cisza.

- Już po wszystkim? - zapytała Steff.

- Być może - odparłem. - Albo to tylko przerwa. Ruszyliśmy w górę po schodach, każdy ze swoją świecą, niczym mnisi udający się na nieszpory. Billy był niezwykle przejęty; fakt, że niósł świecę, że niósł ogień, miał dla niego ogromne znaczenie. Dzięki temu mógł zapomnieć o strachu. Było już zbyt ciemno, aby oszacować rozmiary zniszczeń wokół domu. Co prawda minęła pora, o której Billy zawsze kładł się spać, ale nie odesłaliśmy go do łóżka. Usiedliśmy we trójkę w salonie, słuchaliśmy wiatru i patrzyliśmy na błyskawice.

Jakąś godzinę później burza zaczęła ponownie przybierać na sile. Od trzech tygodni temperatura w dzień nie spadała poniżej trzydziestu stopni, a przez sześć dni, według informacji przekazanych przez stację meteorologiczną na lotnisku w Portland, przekraczała trzydzieści pięć. W związku z tym, że zima tego roku była wyjątkowo sroga, a wiosna mocno się spóźniła, znowu dały się

słyszeć opowieści o długofalowych skutkach przeprowadzanych w latach pięćdziesiątych prób z bronią jądrową, oraz, ma się rozumieć, o rychłym końcu świata.

Drugie uderzenie nie było już tak silne, niemniej kilka drzew, osłabionych pierwszym atakiem nawałnicy, runęło z łoskotem. Jedno z nich - już kiedy wiatr zaczął ponownie cichnąć - zawadziło o dach z odgłosem, jaki mógłby towarzyszyć uderzeniu pięścią w trumienne wieko. Billy podskoczył i z niepokojem spojrzał w górę.

- Wytrzyma, spokojna głowa - powiedziałem. Uśmiechnął się nerwowo.

Około dziesiątej nastąpił ostatni wściekły atak. Wiatr wył niemal równie głośno jak za pierwszym razem, błyskawice uderzały ze wszystkich stron. Padały kolejne drzewa, w pewnej chwili zaś od strony jeziora dobiegł trzask tak przeraźliwy, że Steff aż krzyknęła. Billy zdążył tymczasem zasnąć w jej objęciach.

- Co to było?

- Przypuszczam, że szopa na łodzie - odparłem.

- O, Boże...

- Myślę, że powinniśmy wrócić na dół.

Wziąłem Billy'ego na ręce. Steff wpatrywała się we mnie wielkimi, przerażonymi oczami.

- Davidzie, wszystko będzie w porządku, prawda?

- Oczywiście.

- Jesteś tego pewien? - Tak.

Dziesięć minut po tym, jak schroniliśmy się na parterze, na piętrze rozległ się donośny trzask. Okno w salonie. A więc być może moja niedawna wizja wcale nie była tak nieprawdopodobna. Steff, która tymczasem zdążyła zapaść w drzemkę, obudziła się z cichym okrzykiem, Billy zaś poruszył się niespokojnie na łóżku.

- Deszcz zniszczy nam meble - powiedziała.

- Trudno. Dom jest ubezpieczony.

- To niewiele zmienia - odparta gderliwym tonem. - Toaletka twojej matki... Nasza nowa kanapa... Telewizor...

- Ciii... Lepiej śpij.

- Kiedy nie mogę!

Pięć minut później już spała.

Czuwałem jeszcze pół godziny w towarzystwie jednej świecy, przysłuchując się odgłosom burzy. Podejrzywałem, że z samego rana mnóstwo właścicieli domów wokół jeziora sięgnie po telefony, by zadzwonić do swoich agentów ubezpieczeniowych, wkrótce potem rozlegnie się warkot niezliczonych pił, którymi zaczną ciąć konary drzew blokujących podjazdy i przygniatających dachy, a na szosie pojawią się samochody pogotowia energetycznego.

Wyglądało na to, że nawałnica cichnie na dobre. Zostawiłem Steff i Billy'ego pogrążonych we śnie na łóżku, poszedłem na piętro i zajrzałem do salonu. Rozsuwanym drzwiom nic się nie stało, ale tam gdzie jeszcze niedawno było panoramiczne okno, ziała ogromna dziura wypełniona liśćmi. Wiekowa brzoza, która, odkąd pamiętam, rosła przy wejściu do piwnicy, nie wytrzymała naporu wichury. Dopiero teraz, patrząc na jej wierzchołek, który zawitał do naszego salonu, zrozumiałem, co Steff miała na myśli, mówiąc, że fakt, iż dom jest ubezpieczony, niewiele zmienia. Kochałem to drzewo. dzielnie przetrzymało niezliczone surowe zimy i jako jedyne między domem a jeziorem nie zawarło bliskiej znajomości z moją piłą spalinową. Płomień świecy odbijał się w niezliczonych szklanych odłamkach zaścielających dywan. Zapamiętałem, żeby ostrzec Steff i Billy'ego; zazwyczaj rano biegali po domu na bosaka, ale tym razem było to wykluczone.

Wróciłem na dół. Noc spędziliśmy w łóżku w gościnnej sypialni; Billy spał między Steff i mną. Śniło mi się, że w Harrison po drugiej stronie jeziora zobaczyłem przechadzającego się Boga. Był tak wielki, że od pasa w górę nikł w błękitnej odchłani nieba. Drzewa trzaskały pod jego stopami jak zapałki. Zmierzał wokół jeziora w naszym kierunku, a wszystkie domy i letnie domki na jego drodze eksplodowały purpurowym ogniem, jakby trafione piorunami. Dym szybko gęstniał, aż wreszcie okrył wszystko niczym mgłą.

2. PO BURZY. NORTON. WYPRAWA DO MIASTECZKA.

- O rety! - wykrzyknął Billy.

Stał przy płocie odgradzającym naszą działkę od działki Nortona i gapił się na podjazd. Podjazd zaczyna się jakieś czterysta metrów od domu, przy bocznej drodze gruntowej, która z kolei kilometr dalej łączy się z asfaltową szosą zwaną Kansas Road. Stamtąd można już jechać, dokądkolwiek się chce, pod warunkiem że będzie to Bridgton.

Podążyłem wzrokiem za spojrzeniem Billy'ego i włosy zjeżyły mi się na głowie.

- Nie podchodź bliżej. Nie zaprotestował.

Ranek był rzeński i czysty jak kryształ. Niebo, przez cały okres upałów bure i zamglone, teraz przybrało soczyście niebieską, niemal jesienną barwę. Wiał lekki wiaterek, po ziemi biegały wesole plamy słonecznego blasku. Słysząc było dość głośny syk, a zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym stał Billy, w trawie leżało coś, co na pierwszy rzut oka można było wziąć za drgające kłębowisko węży: zerwane przez wiatr przewody elektryczne, wciąż pod napięciem, wijące się leniwie i groźnie syczące. Gdyby nie ulewny deszcz, dom mógłby stanąć w płomieniach, a tak skończyło się na skrawku wypalanej trawy.

- Tatusiu, czy to może kogoś porazić?

- Owszem, może.

- Więc co z tym zrobimy?

- Nic. Zaczekamy na pogotowie energetyczne.

- A kiedy przyjadą?

- Nie wiem. - Pięciolatki nigdy nie zabraknie pytań. - Na pewno mają dzisiaj mnóstwo roboty.

Przejdiesz się ze mną do drogi?

Ruszył w moją stronę, lecz po kilku krokach stanął jak wryty, ponieważ jeden z przewodów poruszył się leniwie, nie przestając syczeć.

- Tatusiu, czy lelektyczność może biec po ziemi? Celne pytanie.

- Tak, ale niczego się nie bój. Ona po prostu chce się tam schować, ty zupełnie jej nie interesujesz.

Nic ci nie będzie, tylko trzymaj się z daleka.

- Chce się schować... - wymamrotał, po czym podbiegł do mnie.

Szliśmy, trzymając się za ręce. Sytuacja przedstawiała się gorzej, niż myślałem. Na podjazd zwały się aż cztery drzewa: jedno nieduże, dwa średniaki i jeden olbrzym o pniu średnicy co najmniej półtora metra, zakuty niczym w gorset w pancerz z wilgotnego mchu.

Połamane gałęzie, częściowo ogołocone z liści, walały się dokoła niczym bezładnie rozrzucone resztki stogu siana. Idąc w kierunku drogi, odciągaliśmy na boki mniejsze z nich. Przypomniało mi to pewien letni dzień mniej więcej sprzed dwudziestu pięciu lat; byłem wtedy chyba niewiele starszy od Billy'ego. Zjechali się wówczas wszyscy moi wujkowie. Przez cały dzień pracowali w lesie piłami, siekierami i sekatorami, wieczorem zaś usiedli przy zbitym z desek stole do monstualnego posiłku składającego się z hot dogów, hamburgerów i sałatki ziemniaczanej. Piwo lało się strumieniami, a nieco później wujek Reuben wskoczył do jeziora w ubraniu i w butach. W tamtych czasach w lesie można było jeszcze spotkać jelenia.

- Tatusiu, mogę pójść nad jezioro?

Znudziło go uprzątanie gałęzi z podjazdu. Kiedy małego chłopca coś znudzi, trzeba pozwolić mu zająć się czymś innym.

- Jasne.

Wróciliśmy razem do domu, po czym Billy skręcił w prawo, obchodząc z daleka pozrywane przewody, ja zaś poszedłem w lewo, do garażu, po piłę spalinową. Zgodnie z moimi oczekiwaniami, po jeziorze niósł się warkot co najmniej kilku takich urządzeń.

Napełniłem zbiorniczek paliwem, zdjąłem koszulę i wróciłem na podjazd, gdzie już czekała na nie Steff, niepewnie spoglądając na zwalone drzewa.

- Jak to wygląda? - zapytała.

- Powinienem dać sobie radę. A co w domu?

- Posprzątałam szkło, ale będziesz musiał coś zrobić z tym drzewem. Nie możemy mieć drzewa w salonie.

- Raczej nie - przyznałem jej rację.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w blasku porannego słońca, po czym wybuchliśmy śmiechem. Położyłem piłę na betonie, przygarąłem Steff, chwyciłem ją mocno za pośladki i pocałowałem.

- Davidzie, nie... - wymamrotała. - Billy... W tej samej chwili nasz syn wybiegł z domu.

- Tato! Tatusiu! - wykrzyknął, zasapany. - Chodź zobaczyć...

Steff dopiero teraz zauważyła pozrywane przewody i wrzasnęła przeraźliwie, żeby uważał. Billy, którego dzieliło od nich dobre parę kroków, zatrzymał się i spojrzał na matkę z takim wyrazem twarzy, jakby podejrzewał, że postradała zmysły.

- Wszystko w porządku, mamusiu - powiedział tonem, którym zazwyczaj przemawia się do osób dotkniętych starczą demencją, po czym ruszył ku nam powolnym, dostojnym krokiem, aby zademonstrować, jak bardzo jest dorosły i rozsądny. Poczulem, że Steff drży w moich ramionach.

- Wszystko w porządku - powtórzyłem za nim. - On wie, że to niebezpieczne.

- Wszyscy o tym wiedzą, a jednak wciąż giną ludzie porażeni prądem. Billy, wracaj do domu!

- Ale mamo! Chciałem pokazać tacie szopę dla łodzi!

Oczy niemal wyszły mu na wierzch z podniecenia. Zakosztował smaku poburzonej apokalipsy i teraz pragnął się tym podzielić.

- Wracaj natychmiast! Te druty są niebezpieczne!

- Tata powiedział, że chodzi im o ziemię, nie o mnie...

- Billy, nie dyskutuj!

- Zaraz obejrzę szopę, mistrzu. Biegnij tam prędko, tylko trzymaj się z daleka od przewodów.

Wyczułem jak Steff napina mięśnie.

- Jasne! Dobrze, tato!

Pognał jak huragan, z koszulą częściowo wystającą ze spodni. Po chwili z domu dobiegł jego radosny okrzyk - widocznie dostrzegł kolejne ślady zniszczenia. Delikatnie objąłem Steff ramieniem.

- On wie, czym grozi dotknięcie przewodów pod napięciem - powiedziałem. - Boi się ich. To dobrze, bo dzięki temu nic mu nie grozi.

Po jej policzku popłynęła łza.

- Boję się, Davidzie!

- Daj spokój. Już po wszystkim.

- Czyżby? To samo było poprzedniej zimy... i późną wiosną... w miasteczku mówili nawet o "czarnej wiośnie"... wszyscy powtarzają, że coś takiego nie zdarzyło się w tych stronach od 1888...

"Wszyscy" oznaczało zapewne panią Carmody, właścicielkę antykwariatu w Bridgton, a właściwie sklepu ze starzyzną, do którego Steff zaglądała od czasu do czasu. Billy chętnie jej towarzyszył. W pograżonych w półmroku, zakurzonych pomieszczeniach na zapleczu rozpościerały skrzydła wypchane sowy o wielkich złocistych oczach, zaciskając szpony na polakierowanych drążkach, dokoła kawałka zakurzonego szkła udającego strumień stały trzy wypchane kuny, a nadjedzony przez mole wilk zamiast piany toczył z pyska tumany kurzu, szczerząc zęby w nieustającym paskudnym grymasie. Pani Carmody twierdziła, jakoby wilka zastrzelił przy potoku Stevensa jej ojciec pewnego wrześnieowego popołudnia w 1901 roku. Oboje wracali z tych wypraw w znakomitych nastrojach, moja żona bowiem uwielbiała obrazy malowane na szkle, syna zaś fascynowało obcowanie ze śmiercią w postaci wypchanych zwierząt. Odnosiłem jednak wrażenie, iż stara kobieta wywiera na Steff - pod wszystkimi innymi względami niezwykle rozsądną i praktyczną - niedobry wpływ. Trafiła w jej czułe miejsce, intelektualną piętę Achillesa. Steff nie była zresztą jedyną osobą w okolicy, którą fascynowały ponure przepowiednie pani Carmody oraz jej medyczne porady, oparte na ludowej mądrości i zawsze udzielane w imię Boże.

Jeśli miałaś męża, który po paru głębszych chętnie wymachiwał pięściami, to na siniaki najlepiej robiła woda ze zbutwiałego pnia. Tego, jaka będzie najbliższa zima, można było dowiedzieć się już w czerwcu, mierząc długość gąsienic, albo najdalej w sierpniu, oceniając grubość plastrów miodu. A teraz, chroń nas dobry Boże, zapowiada się na powtórkę CZARNEJ WIOSNY ROKU 1888 (każdy niech doda tyle wykrzykników, ile uważa za stosowne). Ja także słyszałem tę historię. Miejscowi lubią ją opowiadać. Jeśli wiosna jest chłodniejsza niż zwykle, lód skuwający jeziora robi się w końcu czarny jak zepsuty ząb. Zdarza się to rzadko, ale na pewno częściej niż raz na sto lat. Tak, wszyscy lubią ją opowiadać, bez wątpienia jednak z największym przekonaniem czyni to pani Carmody.

- Mieliśmy ostrą zimę i późną wiosnę - powiedziałem. - Teraz mamy gorące lato. Burza przyszła i poszła. Takie zachowanie jest do ciebie zupełnie niepodobne.

- To nie była zwyczajna burza - wyszeptęła.

- Zgadzam się. Jeśli o to chodzi, masz całkowitą rację. Historię o Czarnej Wiośnie opowiedział mi Bill Giosti, właściciel i zarazem pracownik (a raczej "pracownik"...) stacji benzynowej w Casco Village. W prowadzeniu interesu na co dzień pomagali mu zapijaczeni synowie, a od czasu do czasu równie zapijaczeni wnukowie - pod warunkiem że akurat nie grzebali przy swoich skuterach śnieżnych albo rowerach górskich. Bill miał siedemdziesiąt lat, wyglądał na osiemdziesiąt, ale kiedy był w formie, pił jak dwudziestolatek. Któregoś dnia, po majowej burzy połączonej z niespodziewaną śnieżycą, wziąłem Billy'ego i pojechaliśmy zatankować. Giosti był już po paru głębszych, więc chętnie podzielił się ze mną swoją wersją opowieści o Czarnej Wiośnie, chociaż w tych okolicach śnieg w maju nie jest niczym nadzwyczajnym: niekiedy spada, a dwa dni później nie ma po nim śladu.

Steff wciąż przyglądała się podejrzliwie pozrywanym przewodom.

- Kiedy przyjedzie pogotowie energetyczne?

- Najprędzej jak tylko możliwe. Niedługo. Nie zamartwiaj się niepotrzebnie o Billy'ego. Ma dobrze poukładane w głowie. Czasem zapomina po sobie posprzątać, ale to jeszcze nie znaczy, że bez zastanowienia da się porazić prądem. Na szczęście potrafi zatroszczyć się o siebie. - Uniosłem palcami kąciki jej ust; posłusznie zostały w górze, dając początek uśmiechowi. - Już lepiej?

- Przy tobie zawsze jest lepiej.

Zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Z drugiej strony domu dobiegło wołanie Billy'ego.

- Chodźmy obejrzyć zniszczenia - zaproponowałem.

- Gdybym chciała oglądać zniszczenia, wystarczyłoby, żebym weszła do salonu - odparła z goryczą.

- W takim razie chodźmy sprawić przyjemność małemu chłopcu.

Trzymając się za ręce, zeszliliśmy po kamiennych stopniach. Na pierwszym zakręcie zderzył się z nami biegnący w przeciwnym kierunku Billy. Niewiele brakowało, żeby nas przewrócił.

- Hola, nie tak prędko - upomniała go Steff, marszcząc brwi. Przypuszczalnie wyobraziła sobie, jak zamiast na nas wpada w kłębowisko śmiertelnie niebezpiecznych przewodów.

- Musicie to zobaczyć! - wysapał bez tchu w piersi. - Rozwaliło szopę, pomost wyrzuciło na skały, wszędzie leżą drzewa... W morde, ale wiało!

- Billy! - zagrzmiała Steff.

- Przepraszam, mamó. Szybko, chodźcie! I zniknął.

- Rzekłszy te słowa, herold zniszczenia odbieżał pospiesznie - powiedziałem z namaszczeniem, ponownie wywołując uśmiech na twarzy Steff. - Jak tylko uda mi się uprzątnąć podjazd, pojedę do rejonowego biura energetycznego i powiem im, jaki mamy tu pasztet. Zgoda?

- Zgoda! - odparła z wdzięcznością. - Jak myślisz, kiedy ci się uda?

Gdyby nie to wielkie drzewo o pniu porośniętym mchem, roboty byłoby najwyżej na godzinę, a tak miałem poważne wątpliwości, czy zdążę przed jedenastą.

- W takim razie pojedziesz dopiero po lunchu, ale będziesz musiał też zrobić zakupy. Już prawie skończyło się mleko i masło, a oprócz tego... Zresztą, przygotuję ci listę.

W chwili zagrożenia kobieta zamienia się w wiewiórkę. Uścisnąłem ją mocno i skinałem głową, po czym ruszyliśmy dalej. Jak tylko znaleźliśmy się z drugiej strony domu, zrozumieliśmy, dlaczego Billy był tak bardzo podekscytowany.

- O, rety... - wyszeptwała Steff.

Z miejsca, w którym staliśmy, roztaczał się widok na co najmniej półkilometrowy odcinek brzegu jeziora, od działki Bibberów po lewej stronie poczynając, poprzez naszą, na działce Brenta Nortona kończąc.

Potężna stara sosna, strzegąca szopy na łodzie, złamała się w połowie; to, co z niej zostało, przypominało nieudolnie zaostrzony ołówek. Białe obnażone drewno lśniło bezbronne, kontrastując mocno z ciemną korą. Druga, co najmniej dwudziestometrowa część sosny, spoczywała częściowo zanurzona w wodzie naszej płytkiej zatoczki. Mieliśmy sporo szczęścia, że nie zatopiła motorówki; zaledwie tydzień wcześniej silnik star-cruisera odmówił posłuszeństwa i łódka wciąż stała w przystani w Naples, cierpliwie czekając w kolejce do naprawy.

Na drugim końcu należącego do nas krótkiego odcinka brzegu jeziora inne ogromne drzewo przygniotło zbudowaną przez mojego ojca szopę na łodzie - kiedyś "mieszkał" w niej osiemnastometrowy chris-craft, ale to były dawne czasy. Przed burzą rosło, a raczej stało, na działce Nortona. Ogarnął mnie gniew; drzewo już od pięciu lat było martwe, powinien był dawno je ściąć! Spoczywało całym ciężarem na naszej szopie, której dach wyglądał jak przekrzywiony, poszarpany przez psy słomkowy kapelusz. Roztrzaskane dachówki wały się w promieniu kilkunastu metrów. Użyte przez Billy'ego określenie "rozwaliło szopę" okazało się całkowicie uzasadnione.

- To drzewo Nortona! - wykrzyknęła Steff z takim oburzeniem, że mimo wszystko musiałem się uśmiechnąć. Maszt również leżał w wodzie, amerykańska flaga kołysała się smętnie na falach oplataną sznurkami. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, co usłyszę od Nortona: podaj mnie do sądu, jeśli masz ochotę.

Billy przedostał się na kamienny falochron i oglądał szczątki wyrzuconego przez fale pomostu pomalowanego w wesołe błękitne i żółte pasy.

- To chyba Martinsów, prawda? - zapytał z szerokim uśmiechem, spojrzawszy na nas przez ramię.

- Chyba tak - odparłem. - Mógłbyś wejść do wody i zabrać flagę?

- Jasne!

Na prawo od falochronu znajdowała się nieduża piaszczysta plaża. W roku 1941, jeszcze zanim wielki kryzys ostatecznie odszedł w niepamięć po krwawej łaźni w Pearl Harbor, mój ojciec wynajął człowieka, który przywoził ciężarówką piasek i usypywał go na brzegu oraz w wodzie, tak że powstała nie tylko ta plaża, ale i piaszczyste dno (kończyło się dopiero tam, gdzie woda sięgała mi trochę powyżej piersi). Człowiek wziął za całą robotę osiemdziesiąt dolarów, a plaża przetrwała do dzisiaj. I bardzo dobrze, ponieważ teraz nie wolno już usypywać własnych plaż. Odkąd odprowadzane do jeziora ścieki doprowadziły do wyginięcia większości ryb, niedobitki zaś uczyniły całkowicie niejadalnymi, władze zakazały jakichkolwiek ingerencji w wygląd linii brzegowej, tłumacząc, że piaszczyste plaże mogą niekorzystnie wpłynąć na ekologię akwenu. Bez ograniczeń mogą je natomiast usypywać developerzy.

Billy ruszył w kierunku flagi... po czym znieruchomiał. W tej samej chwili poczułem, że Steff gwałtownie napina mięśnie, i sam też to zobaczyłem: drugi brzeg jeziora znikł. Okrył go nieprzenikniony całun białej mgły, zupełnie jakby z nieba zsunął się na ziemię ogromny, zwiastujący piękną pogodę obłok.

Natychmiast przypomniałem sobie niedawny sen. Kiedy Steff zapytała, co to jest, niewiele brakowało, żebym odpowiedział: Bóg.

- Davidzie...

Nie sposób było dostrzec nawet najdrobniejszego fragmentu brzegu, ale po wielu latach spędzonych nad Long Lakę mogłbym przysiąc, że ukrywa się tuż za zasłoną z mgły, nie dalej niż parę metrów. Granica przebiegała wzdłuż linii prostej.

- Tatusiu, co to takiego? - zawołał Billy. Stał po kolana w wodzie, trzymając w ręce skraj mokrej flagi.

- Wał mgły.

- Na jeziorze? - zapytała z powątpiewaniem Steff, a ja bez trudu dosłyszałem pobrzmiewające w jej głosie echo historii opowiadanych przez panią Carmody. Niech szlag trafi tę kobietę! Już wróciła mi pewność siebie; bądź co bądź, sny są równie niematerialne jak mgła.

- Jasne. Przecież nieraz widywałeś tu mgłę.

- Ale nigdy taką. Ta wygląda raczej jak chmura.

- Ponieważ świeci słońce - wyjaśniłem. - Tak samo wyglądają chmury, kiedy patrzy się na nie z samolotu.

- Ale skąd się wzięła? Przecież mgły powstają tylko przy wilgotnej pogodzie...

- Tę mamy teraz, a raczej mają ją w Harrison. Drobny uboczny skutek burzy, i tyle. Rezultat spotkania dwóch frontów atmosferycznych albo coś w tym rodzaju.

- Jesteś pewien?

Roześmiałem się i objąłem ją za szyję.

- Oczywiście, że nie. Improvizuję. Gdybym był pewien, przygotowywałbym prognozę pogody dla telewizji. A teraz idź i przygotuj tę listę z zakupami.

Rzuciła mi jeszcze jedno powątpiewające spojrzenie, osłoniła ręką oczy, przez chwilę przyglądała się ścianie mgły, po czym pokręciła głową.

- Dziwne... - mruknęła i odeszła w stronę domu. Tymczasem dla Billy'ego mgła straciła urok nowości.

Wyłowiliśmy z wody sznurek i flagę, po czym rozłożyliśmy ją na trawie, aby wyschła.

- Słyszałem, że to niedobrze, kiedy flaga dotyka ziemi - powiedział rzeczowym tonem.

- Tak?

- Tak. Victor McAllister mówi, że za coś takiego można trafić na krzesło elektryczne.

- Przy najbliższej okazji powiedz mu, że zamiast mózgu ma w głowie pełno tego, czego widać aż nadto, kiedy spojrzysz na wschód ze Statuy Wolności.

- To znaczy wodę?

Billy jest bystrym chłopcem, ale prawie całkowicie pozbawionym poczucia humoru. Dla mistrza wszystko odbywa się na poważnie. Mam nadzieję, że sam dojdzie do wniosku, iż takie podejście do życia może być bardzo niebezpieczne - zanim będzie za późno.

- Właśnie. Ale nie powtarzaj tego mamie. Jak tylko flaga wyschnie, złożymy ją ze wszystkimi honorami i schowamy w jakimś bezpiecznym miejscu.

- A naprawimy dach szopy i postawimy nowy maszt? - zapytał z niepokojem. Chyba nawet on zaczął już odczuwać przesyt zniszczeniem.

Poklepałem go uspokajająco po ramieniu.

- Nie przejmuj się. Wszystko będzie w porządku.

- Mogę pójść do Bibberów i zobaczyć, co tam się dzieje?

- Tak, ale tylko na chwilę. Na pewno też wzięli się do sprzątanía, a niektórzy robią się wtedy trochę nerwowi.

Tak jak ja, gdy patrzę na drzewo Nortona tkwiące w mojej szopie na łodzie.

- No to, na razie! Puścił się pędem.

- Tylko postaraj się nie pętać im pod nogami. I jeszcze jedno!

Obejrzał się.

- Pamiętaj o pozrywanych przewodach. Jeśli gdzieś je zobaczysz, trzymaj się z daleka.

- Jasne, tato.

Jeszcze przez jakiś czas przyglądałem się zniszczeniom, potem znowu przeniosłem wzrok na ścianę mgły. Odniosłem wrażenie, że jest bliżej, ale nie byłem tego pewien. Jeśli tak właśnie miały się sprawy, zjawisko to urągało prawom natury, jako że musiałyby się wówczas przemieszczać pod wiatr. Była niesamowicie biała - jedyne, z czym mógłbym ją porównać, to ze świeżym śniegiem kontrastującym wyraźnie z głęboko, soczyście granatowym zimowym niebem. Jednak śnieg lśni w promieniach słońca milionami jaskrawych punkcików, ta mgła natomiast, choć nieskalanie czysta, nie odbijała słonecznego blasku. Wbrew temu, co mówiła Steff, mgły powstają również przy ładnej pogodzie, wówczas jednak niemal zawsze towarzyszą im tęcze. Tutaj tęczy nie było.

Ponownie ogarnął mnie niepokój, zanim jednak rozgościł się na dobre, dobiegł przytłumiony mechaniczny odgłos - M, tul, lut! - potem zaś ledwo słyszalne:

- Cholera!

Chwilę potem odgłos rozległ się ponownie, lecz tym razem nie towarzyszyło mu przekleństwo. Za trzecim razem do moich uszu dobiegło przytłumione "Kurwa mać!"

Łuł, łuł, łuł!

Cisza. A potem:

- Ty cholerna cipo!

Uśmiechnąłem się. Dobiegający z oddali warkot pił spalinowych nie był na tyle głośny, by uniemożliwić mi rozpoznanie niezbyt melodyjnego głosu mego sąsiada, cenionego prawnika i właściciela działki nad jeziorem, Brentona Nortona.

Udając, że interesuję się wyłącznie pomostem wyrzuconym na skały przy brzegu, zbliżyłem się do jeziora. Teraz doskonale widziałem Nortona. Stał na odsłoniętym terenie przy swojej zabudowanej werandzie, na grubym dywanie z sosnowych igieł, ubrany w zachlapane farbą dzinsy i biały podkoszulek. Miał zmierzwiłone włosy (fryzura za czterdzieści dolarów) i mokrą od potu twarz. Przyklękawszy na jedno kolano, zmagął się z piłą, znacznie bardziej imponującą od mojej value house za 79 dolarów i 95 centów. Na pierwszy rzut oka miała wszystko - z wyjątkiem

przycisku, którym można by ją uruchomić. Norton szarpał za linkę, piła wydawała znane mi już odgłosy, po czym milkła. Z zadowoleniem stwierdziłem, że dorodna brzoza runęła na turystyczny stolik, miażdżąc go zupełnie.

Norton po raz kolejny z ogromną siłą szarpnął za sznurek.

Łuł, łuł, łuł! Łułułułu! ŁUŁUŁUUUUUU... Łuł... Łuł...

Prawie mu się udało.

Jeszcze jedno straszliwe szarpnięcie.

Łuł, łuł, łuł.

- Pieprzona dziwka! - wrzasnął Norton i wyszczerzył zęby na swoją kosztowną piłę.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy wstałem z łóżka, zrobiło mi się naprawdę przyjemnie. Wróciłem do domu, wy dobyłem starą piłę, uruchomiłem ją i wziąłem się do roboty.

Około dziesiątej ktoś klepnął mnie w ramię. Okazało się, że to Billy z puszką piwa w jednej ręce i sporządzoną przez Steff listą w drugiej. Wepchnąłem listę do tylnej kieszeni spodni, po czym wziąłem piwo, które może nie było lodowate, ale przynajmniej chłodne. Jednym haustem wlałem w siebie prawie połowę zawartości puszki - rzadko kiedy piwo smakuje aż tak dobrze - a następnie zsalutowałem nią Billy'emu.

- Dzięki, mistrzu.

- Mogę trochę?

Pozwoliłem mu pociągnąć łyk piwa. Skrzywił się, oddał mi puszkę, a ja bezzwłocznie opróżniłem ją do końca. Zamierzałem zgnieść ją wpół, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Co prawda przepisy o recyklingu obowiązywały już od trzech lat, lecz niełatwo jest się uwolnić od starych przyzwyczajzeń.

- Dopisała coś na samym dole, ale nie mogę odczytać - powiedział Billy.

Wyjąłem kartkę z kieszeni. "Nie mogę złapać WOXO. Myślisz, że to z powodu burzy?".

WOXO to lokalna rozgłośnia UKF z muzyką rockową, nadająca z Norwegy, miejscowości położonej trzydzieści kilometrów na północ od nas. Nasze sfatygowane radio nie było w stanie odbierać niczego więcej.

- Powiedz mamie, że przypuszczalnie tak - powiedziałem, przeczytawszy mu na głos pytanie. - I zapytaj, czy odbiera Portland na falach długich.

- Dobrze. Tato, mogę pojechać z tobą do miasta?

- Jasne. Mama też, jeśli ma ochotę.

- Wdechowo!

Pognał z pustą puszką do domu.

Wreszcie przyszła kolej na wielkie drzewo. Wykonałem pierwsze cięcie, po czym wyłączyłem piłę na parę chwil, żeby ostygła. Drzewo było dla niej stanowczo zbyt duże, ale pomyślałem, że jeśli będę działał powoli i ostrożnie, jakoś dam sobie radę. Ciekawe, czy droga prowadząca do szosy jest przejezdna, przemknęło mi przez głowę, i niemal w tej samej chwili zza drzew wyłoniła się pomarańczowa furgonetka pogotowia energetycznego; przypuszczalnie zmierzała do ślepego zakończenia naszej drogi. A więc wszystko w porządku. Najdalej około południa powinni dotrzeć do nas i zająć się pozrywanymi przewodami.

Odciałem spory kawałek pnia, odciągnąłem go na skraj podjazdu i zepchnąłem ze wzniesienia. Pniak stoczył się po pochyłości i znieruchomiał dopiero w krzakach, które znacznie rozrosły się od bardzo już odległej chwili, kiedy mój ojciec ze swymi braćmi - wszyscy artyści, tak zawsze było u Draytonów - zrobili z nimi porządek.

Otarłem rękawem pot z twarzy. Chętnie napiłbym się jeszcze piwa; pierwsze tylko narobi człowiekowi smaku. Ponownie wziąłem piłę w ręce, myśląc o nagłym zniknięciu WOXO z eteru. Zagadkowa mgła zbliżała się właśnie z północy. Również tam, na północ od nas, leżało Shaymore

("Shammore", jeśli wierzyć wymowie miejscowych), gdzie mieściła się siedziba Projektu Grot Strzały.

Nikt nie wiedział na pewno, skąd wzięła się ta nazwa ani czy projekt rzeczywiście ochrzczone takim kryptonimem, ani nawet, czy w ogóle istniał jakiś projekt. Bill Giosti twierdził, że tak, ale nie potrafił wyjaśnić, skąd i w jaki sposób uzyskał te informacje. Rzekomo od siostrzenicy, która pracowała w firmie telefonicznej i słyszała to i owo.

- Tam coś kombinują z atomami - powiedział Bill pewnego dnia, pochylając się konfidencjonalnie do okna naszego scouta i zionąc mi prosto w twarz piwem. - Puszczają je w powietrze, i w ogóle.
- Ale panie Giosti, przecież w powietrzu i tak jest pełno atomów! - odparł Billy. - Tak mówi pani Neary. Wszędzie jest pełno atomów.

Bill Giosti zmierzył mego syna przeciągłym spojrzeniem przekrwionych oczu.

- To są zupełnie inne atomy, synu.

- Chyba że tak... - mruknął Billy, rezygnując z dalszej dyskusji.

Zdaniem Dicka Muehlera, naszego agenta ubezpieczeniowego, Projekt Grot Strzały był po prostu rządowym doświadczalnym ośrodkiem rolniczym.

- Większe pomidory i dłuższy okres wegetacji - powiedział Dick z mądrą miną, a następnie wrócił do udowadniania mi, że najbardziej pomógłbym rodzinie, umierając w młodym wieku. Z kolei Janinę Lawless, nasza listonoszka, twierdziła stanowczo, iż chodzi o badania geologiczne zmierzające do ustalenia zasobów tutejszych złóż ropy naftowej. Wiadomość była pewna, ponieważ brat jej męża pracował u człowieka, który...

A pani Carmody? Z pewnością skłaniała się ku pogładowi Billa Giosti. Nie dość, że atomy, to do tego całkiem inne atomy.

Zanim Billy wrócił z drugim piwem i kolejnym liścikiem od Steff, zdążyłem odciąć jeszcze dwa kawałki ogromnego drzewa i spuścić je po zboczu. Jeśli jest coś, co Billy lubi bardziej od biegania z wiadomościami, to ja nic o tym nie wiem.

- Dzięki.

- Mogę łyka?

- Ale małego. Poprzednim razem też się napiłeś, a przecież nie mogę dopuścić do tego, żeby o dziesiątej rano mój syn spił się jak bela.

- Nie o dziesiątej, tylko kwadrans po - odparł i uśmiechnął się nieśmiało znad puszki.

Ja również się uśmiechnąłem - nie dlatego, żeby żart na to zasługiwał, ale ze względu na to, że Billy tak rzadko żartował - po czym spojrzałem na kartkę. "Złapałam JBQ" - napisała Steff. - Nie upij się, zanim pojedziesz do miasta. Dwa piwa przed lunchem wystarczą. Myślisz, że uda ci się dojechać do szosy?"

Oddałem mu kartkę i wziąłem piwo.

- Powiedz mamie, że droga jest przejezdna, bo niedawno widziałem samochód pogotowia energetycznego. Na pewno niedługo do nas dotrą.

- Dobra.

- I jeszcze jedno, mistrzu.

- Tak?

- Powiedz jej, że wszystko jest w porządku. Uśmiechnął się. On też chciał to usłyszeć.

Popędził z powrotem, wymachując rękami i wysoko podnosząc kolana. Odprowadziłem go wzrokiem. Bardzo kocham Billy'ego. Kiedy na niego patrzę albo kiedy on na mnie spojrzy w taki specjalny sposób, ogarnia mnie przekonanie, że wszystko jest w porządku. To oczywiście nieprawda - nic nie jest w porządku i nigdy nie było - ale dzięki mojemu synowi wierzę w tę nieprawdę.

Napiłem się piwa, ostrożnie postawiłem puszkę na kamieniu i ponownie uruchomiłem piłę. Jakies dwadzieścia minut później ktoś lekko dotknął mego ramienia; odwróciłem się, pewien, że to znowu Billy, ale ku swemu zdziwieniu ujrzałem przed sobą Brenta Nortona. Wyłączyłem piłę. Wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Był spocony, zmęczony, przygnębiony i chyba trochę zdziwiony.

- Cześć, Brent - przywitałem go.

Ostatnio rozstaliśmy się w niezbyt przyjaznej atmosferze, więc nie bardzo wiedziałem, jak się zachować. Podejrzywałem, że co najmniej od pięciu minut stał za moimi plecami i chrząkał, usiłując zwrócić na siebie uwagę, co oczywiście z góry było skazane na niepowodzenie, zważywszy na warkot piły. Po raz pierwszy tego lata mogłem mu się przyjrzeć: schudł, ale nie wyszło mu to na korzyść, co było dość dziwne, jako że zazwyczaj miał około dziesięciu kilogramów nadwagi. Zeszłego listopada umarła mu żona. Rak, doniosła Steff Aggie Bibber. Aggie jest tutejszą specjalistką od nekrologów. W każdej małej miejscowości jest ktoś taki. Sądząc po tym, jak lekceważąco Norton traktował żonę, i że nie przepuścił żadnej okazji, by jej dokuczyć (a czynił to ze swobodą doświadczonego matadora wbijającego od niechcenia kolejne banderillas w kark byka), powinien chyba być zadowolony z jej odejścia. Gdyby ktoś zapytał mnie wtedy o zdanie, byłbym gotów iść o zakład, że już najbliższego lata pojawi się z głupawym, rozanielonym uśmiechem na ustach w towarzystwie jakiejś młodszej co najmniej o dwadzieścia lat pannicy. Tymczasem zamiast uśmiechu na jego twarzy pojawiło się sporo nowych zmarszczek, na domiar złego schudł nie tam, gdzie powinien, co zaowocowało powstaniem mnóstwa fałd, bruzd i kolejnych zmarszczek, z których każda miała do opowiedzenia własną historię.

Przemknęło mi przez głowę, że najchętniej zaprowadziłbym go w jakieś zaciszne, nasłonecznione miejsce, posadziłbym na zwałonym drzewie z puszką piwa w ręce i naszkicował jego portret.

- Cześć, Dave - odparł po długim, niezręcznym milczeniu, tym bardziej dającym się we znaki, że przyszło mu wypełnić ciszę, jaka powstała po wyłączeniu piły. - To drzewo... - wymamrotał. - Cholerne drzewo. Miałeś rację.

Wzruszyłem ramionami.

- A mnie przygniotło samochód - dodał ponurym tonem.

Zdawkowe wyrazy współczucia zamarły mi na ustach.

- To był t-bird? Skinął głową.

Norton miał thunderbirda z roku 1960 w doskonałym stanie, zaledwie po czterdziestu ośmiu tysiącach kilometrów. Samochód i w środku, i na zewnątrz był soczyście granatowy. Jeździł nim wyłącznie latem, a i to niezbyt często. Kochał ten wóz taką samą miłością, jaką niektórzy mężczyźni obdarzają koleжки elektryczne, modele do sklejanania lub pistolety wiatrówki.

- Cholera! - zakląłem z uczuciem. Powoli pokręcił głową.

- Właściwie to nie chciałem nim przyjeżdżać. Miałem zamiar wziąć kombi, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Zwaliała się na niego wielka spróchniała sosna. Cały dach diabli wzięli.

Chciałem pociąć to przeklęte drzewo na kawałki, ale nie mogę uruchomić piły... Cholera, dałem za nią dwieście dolców... Więc... więc...

Z gardła zaczęły mu się wydobywać dziwne chrypiące odgłosy, poruszał ustami w taki sposób, jakby nie miał zębów, a mimo to rozpaczliwie usiłował przeżuć garść daktyli. Przez króciutką, okropną chwilę wydawało mi się, że zaraz rozbeczy się jak dzieciak w piaskownicy, ale jakoś zdołał nad sobą zapanować, wzruszył ramionami i odwrócił się, jakby zamierzał podziwiać stertę pociętego przeze mnie drewna.

- Moglibyśmy rzucić okiem na twoją piłę i zobaczyć, co jej dolega - odezwałem się. - T-bird był ubezpieczony?

- Jasne. Tak samo jak twoja szopa na łodzi. Wiedziałem, co ma na myśli, a oprócz tego doskonale pamiętałem, co Steff powiedziała na temat ubezpieczenia.

- Posłuchaj, Dave... Pomyślałem sobie, że wziębym twojego saaba, pojechał do miasta i kupił chleb, befsztyki i piwo. Mnóstwo piwa.

- Billy i ja jedziemy scoutem - odparłem. - Jeśli chcesz, możesz się z nami zabrać... To znaczy, jeżeli najpierw pomożesz mi uprzętać podjazd.

- Z przyjemnością.

Chwycił za koniec pnia, ale nawet nie zdołał go poruszyć. Dopiero wspólnymi siłami mogliśmy zepchnąć go w krzaki. Norton sapał i dyszał, policzki nabiegły mu krwią. Biorąc pod uwagę, ile się wcześniej naszarpał ze swoją piłą, zacząłem się trochę obawiać o jego pikawkę.

- Dobrze się czujesz? - spytałem. Skinął głową, wciąż sapiąc jak miech.

- W takim razie chodź do nas. Pokrzepimy się piwem.

- Dzięki. Co u Stephanie?

Powoli zaczął przypominać tego Nortona, którego znałem z przeszłości.

- Wszystko w porządku.

- A syn?

- Też OK.

- Miło mi to słyszeć.

Steff właśnie wyszła przed dom. Na nasz widok wyraźnie się zdziwiła, Norton zaś uśmiechnął się i bez skrępowania przesunął wzrokiem po jej obcisłej bluzce. A więc jednak wcale tak bardzo się nie zmienił.

- Witaj, Brent - powiedziała ostrożnie. Billy wystawił głowę zza pleców matki.

- Cześć, Stephanie. Jak się masz, Billy.

- Burza zwała drzewo na t-birda Nortona - poinformowałem ich. - Wgniotło cały dach.

- To okropne!

Przy piwie Norton jeszcze raz opowiedział całą historię. Ja piłem już trzecie tego dnia, ale wcale nie kręciło mi się w głowie. Widocznie poprzednie dwa zdążyłem wypocić.

- Pojedziemy razem do miasta - powiedziałem, kiedy skończył.

- Myślę, że zejdzie wam trochę czasu.

- Dlaczego?

- Jeżeli w Bridgton też nie ma prądu...

- Mama mówi, że wszystkie kasy i te inne są na prąd! - wpadł jej w słowo Billy.

Steff miała rację.

- Masz moją listę?

Poklepałem się uspokajająco po kieszeni. Steff ponownie spojrzała na Nortona.

- Ogromnie mi przykro z powodu Carli, Brent. To był dla nas wielki wstrząs.

- Bardzo wam dziękuję. Niezręczne milczenie przerwał Billy.

- Możemy już jechać, tato? Włożył džinsy i sportowe buty.

- Myślę, że tak. Jesteś gotów, Brent?

- Daj mi jeszcze jedno piwo na drogę, to będę.

Steff zmarszczyła brwi. Irytowały ją zarówno "strzemienne", jak i kierowcy prowadzący samochody z puszką piwa między nogami. Patrząc jej w oczy, skinąłem stanowczo głową, a ona wzruszyła ramionami. Nie chciałem znowu zadzierać z Nortonek. Wstała i przyniosła mu piwo.

- Dziękuję - powiedział, lecz to nie było prawdziwe podziękowanie. W taki sposób dziękuje się kelnerce w restauracji. - Prowadź, Makduffie - zwrócił się do mnie.

- W takim razie, w drogę!

W salonie zaklął głośno na widok brzozy, ale mnie nic nie obchodziło ani jego zdumienie, ani koszty wymiany okna, które natychmiast zaczął szacować. Gapiłem się na jezioro przez rozsuwane szklane drzwi prowadzące na taras. Wietrzyk przybrał nieco na sile, zrobiło się też trochę cieplej, byłem więc pewien, że dziwna mgła rozwiła się bez śladu, ale tak się nie stało. Mało tego: nawet się zbliżyła. Sięgała teraz do połowy jeziora.

- Też ją zauważyłem - oznajmił Norton wyniosłym tonem. - Moim zdaniem to skutek działania jakiegoś frontu atmosferycznego.

Zupełnie mi się to nie podobało. Byłem całkowicie pewien, że jeszcze nigdy nie widziałem nic takiego. Powodem mego niepokoju częściowo była nienaturalnie ostra, biegnąca w prostej linii granica wału mgły (w naturze linie proste praktycznie nie istnieją; wynalazł je dopiero człowiek), częściowo zaś jednolita nieprzenikniona biel. Teraz, kiedy dzielił nas od niej niespełna kilometr, kontrast między nią a błękitem nieba i jeziora był jeszcze bardziej uderzający.

Billy pociągnął mnie za nogawkę.

- Tato, chodźmy!

Wróciliśmy do kuchni. Norton na odchodnym obrzucił jeszcze jednym spojrzeniem wierzchołek brzozy, który wtargnął do naszego salonu.

- Szkoda, że to nie jabłoń, prawda? - powiedział Billy lekkim tonem. - Mama to wymyśliła!

- Twoja mama miewa świetne pomysły - odrzekł Norton, po czym z roztargnieniem zmierzwił mu czuprynę, jednocześnie obmacując wzrokiem bluzkę Steff. Nie, to jednak z pewnością nie był człowiek, z którym kiedykolwiek mógłbym się zaprzyjaźnić.

- A może pojedziesz z nami? - zaproponowałem. Z jakiegoś powodu nagle zapragnąłem, żeby była przy mnie.

- Wolę zostać i zająć się ogródkiem. - Popatrzyła na Nortona, potem na mnie. - Dzisiaj chyba tylko ja jedna mogę działać bez prądu.

Norton roześmiał się nieco za głośno. Doskonale zrozumiałem, co Steff chce mi powiedzieć, niemniej jednak spróbowałem raz jeszcze:

- Jesteś pewna?

- Całkowicie - odparła stanowczo. - Odrobina pielienia dobrze mi robi.

- Tylko nie opal się za bardzo.

- Nałożę słomkowy kapelusz. Kiedy wrócicie, będą na was czekały kanapki.

- Świetnie.

Podniosła twarz do pocałunku.

- Jedź ostrożnie. Na Kansas Road też mogą być zwalone drzewa.

- Będę uważał.

- Ty też uważaj - przykazała Billy'emu i pocałowała go w policzek.

- Jasne, mamó!

Wybiegł, jakby się paliło. Norton i ja wyszliśmy za nim.

- Może najpierw wpadniemy do ciebie i wyciągniemy t-birda spod tego drzewa? - zaproponowałem. Nie wiedzieć czemu byłem gotów wynaleźć tysiąc powodów, które pozwoliłyby mi opóźnić wyjazd do miasta.

- Najpierw muszę się najeść i porządnie napić. Na razie nawet nie chcę na niego patrzeć. Sam wiesz, koleś: co się stało, już się nie odstanie.

Nie byłem szczególnie zachwycony, że tak się do mnie zwraca.

Stłoczyliśmy się na przednim siedzeniu scouta (w najdalszym kącie garażu połyskiwał żółtawo lemiesz doczepianego pługa śnieżnego, niczym duch mających dopiero nadejść świąt), po czym wrzuciłem wsteczny bieg i wyjechałem z garażu, miażdżąc kołami zaściewające podjazd gałązki. Steff stała na betonowej ścieżce prowadzącej do warzywnego ogródka na zachodnim skraju

działki. Zdążyła już nałożyć rękawiczki; w jednej ręce trzymała sekator, w drugiej grackę. Rondo starego słomkowego kapelusza rzucało cień na jej twarz. Zatrąbiłem dwa razy, a ona pomachała mi ręką z sekatorem. Wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Musiałem się zatrzymać, jeszcze zanim dotarliśmy do Kansas Road, ponieważ już po przejeździe samochodu pogotowia energetycznego na drogę runęła całkiem spora sosna. Zdołaliśmy ją trochę przesunąć - pokłuli nas przy tym niemiłosiernie - po czym jakoś precyzyjnie się scoutem przez wąski przesmyk. Billy oczywiście chciał pomagać, ale kazałem mu zostać w samochodzie; bałem się, że wsadzi sobie gałąź w oko. Stare drzewa zawsze przywodziły mi na myśl Tolkienowskie Enty; stare drzewa również zazwyczaj chcą cię skrzywdzić. Nieważne, czy brniesz po kolana w śniegu, jedziesz na biegówkach czy po prostu przechadzasz się po lesie. Stare drzewa chcą zrobić ci krzywdę i chyba nawet chętnie by cię zabiły, gdyby mogły.

Kansas Road była przejezdna, w wielu miejscach jednak zauważyliśmy pozrywane przewody elektryczne, a jakieś pół kilometra za kempingiem Vicki-Linn w rowie leżał zwalony słup z wierzchołkiem otoczonym płataniną syczących kabli.

- To ci dopiero burza - zauważył Norton miodopłynym, wyćwiczonym podczas rozpraw sądowych głosem, ale ton już nie był wyniosły, tylko po prostu poważny.

- Aha.

- Tato, patrz!

Wyciągnięta ręka Billy'ego wskazywała na stodołę Ellitchesów. Budowla ta od dwunastu lat spokojnie chyliła się ku upadkowi, otoczona słonecznikami, nawłocią i malwami. Co roku na jesieni byłem przekonany, że nie przetrwa zimy, lecz na wiosnę nadal stała jakby nigdy nic. Aż do tej pory. Zostało po niej trochę potrzaskanych belek i resztki dachu całkowicie ogołoczone z dachówek. W końcu wybiła jej godzina, przemknęła mi przez głowę ponura myśl. Nadeszła burza i zrównała ją z ziemią.

Norton wysączył resztkę piwa, następnie zgniótł puszkę i rzucił ją na podłogę. Billy otworzył już usta, ale zastanowił się i zamknął je bez słowa. Mądry chłopak. Norton mieszkał w New Jersey, gdzie nie obowiązywała ustawa o recyklingu; byłem skłonny wybaczyć mu to, że pozbawił mnie pięciu centów, ponieważ sam nie zawsze pamiętałem o tym, że mogę je zarobić.

Billy zaczął grzebać przy radiu, poprosiłem go więc, żeby spróbował złapać WOXO. Doszedł do końca skali, ale z głośników wciąż dobiegał tylko szum. Spojrzał na mnie i bezradnie rozłożył ręce; usiłowałem sobie przypomnieć, jakie stacje radiowe nadawały z miejscowości położonych po tej stronie pasa zagadkowej mgły.

- Spróbuj WBLM.

Strzałka powędrowała na przeciwny koniec skali, mijając po drodze WJBQ-FM i WIGY-FM. Obie stacje działały jak co dzień, lecz tam gdzie zazwyczaj była WBLM, najlepsza rozgłośnia w Maine nadająca rock progresywny, panowała głucha cisza.

- Ciekawe... - mruknąłem.

- O co chodzi? - zainteresował się Norton.

- O nic. Po prostu głośno myślę.

Billy dostroił radio do muzycznej sieczki z WJBQ. Niebawem dotarliśmy do miasteczka. Samoobsługowa pralnia przy centrum handlowym była nieczynna (rzadko która pralka potrafi działać bez elektryczności), działały natomiast drogeria i supermarket. Na parkingu stało mnóstwo samochodów, w tym (jak każdego lata) sporo z tablicami rejestracyjnymi spoza stanu. Tu i tam widziałem grupki ludzi rozprawiających leniwie o niedawnej burzy - mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami.

W pewnej chwili ujrzałem panią Carmody, tę od wypchanych zwierząt i wody ze spróchniałego pnia leczącej wszelkie dolegliwości. Właśnie wkraczała do supermarketu, ubrana w kanarkowożółty komplet składający się ze spodni i żakietu, z przewieszoną przez ramię torebką wielkości niedużej walizki. Niemal jednocześnie jakiś debil na yamasze przemknął z rykiem silnika kilka centymetrów przed przednim zderzakiem scouta. Miał dzinsową kurtkę i lustrzane okulary, ale był bez hełmu.

- Co za dureń! - warknął Norton.

Okrażyłem parking w poszukiwaniu wygodnego miejsca; niestety, wszystkie były zajęte. Już zamierzałem pogodzić się z koniecznością odbycia długiej wędrówki gdzieś z samego końca placu, kiedy dopisało mi szczęście: zgniłozielony cadillac wielkości niedużego jachtu właśnie wysuwał się ostrożnie z miejsca tuż obok wejścia do supermarketu. Jak tylko odpłynął, wjechałem w pozostawioną przez niego lukę między pojazdami.

Wręczyłem Billy'emu sporządzoną przez Steff listę. Co prawda miał dopiero pięć lat, ale znał już drukowane litery.

- Weź wózek i zacznij beze mnie. Zadzwoń do mamy i zaraz wracam. Jeśli nie będziesz czegoś wiedział, pan Norton ci pomoże.

Jak tylko wysiedliśmy z samochodu, Billy złapał Nortona za rękę. Kiedy był młodszy, nauczyliśmy go, że nie wolno mu samemu chodzić po parkingu, i zostało mu to aż do tej pory. W pierwszej chwili Norton był wyraźnie zaskoczony, ale zaraz potem nawet się uśmiechnął. Prawie mógłbym mu wybaczyć nieustanne obmacywanie Steff wzrokiem. Zniknęli we wnętrzu supermarketu.

Niespiesznym krokiem skierowałem się do automatu telefonicznego, wiszącego na ścianie między drogerią a pralnią. Złana potem kobieta w fioletowej sukience uparcie stuknęła w widełki. Stałem za nią z rękami w kieszeniach i zastanawiałem się, dlaczego tak się niepokoję o Steff oraz czemu ów niepokój wiąże się bezpośrednio z równiutką linią białej, nieprzeniknionej mgły, milczeniem kilku stacji radiowych... a także Projektem Grot Strzały.

Kobieta w fioletowej sukience miała piegowate ramiona pokryte opalenizną, którą bez trudu można by uznać za poparzenia słoneczne. Wyglądała jak spocona pomarańcza. W końcu odwiesiła z hukiem słuchawkę, odwróciła się na pięcie i burknęła:

- Szkoda czasu i dziesiątaka. Nigdzie nie można się dodzwonić.

Odmaszerowała, złorzecząc pod nosem.

Niewiele brakowało, żebym palnął się ręką w czoło. Przecież wichura na pewno pozrywała linie telefoniczne! Część z nich biegła pod ziemią, ale przecież nie wszystkie. Mimo to spróbowałem.

Automaty telefoniczne, jakie spotyka się w tej okolicy, Steff ochrzcila mianem paranoifonów: zamiast włożyć monetę i wybrać numer, najpierw wybiera się numer; kiedy osoba, do której dzwoniemy, podniesie słuchawkę, połączenie zostaje automatycznie przerwane. Należy wówczas błyskawicznie wepchnąć monetę do automatu, zanim zniecierpliwiony rozmówca zacznie stukać w widełki. Jest to dość irytujące, ale tym razem pozwoliło mi zaoszczędzić dziesięć centów: w słuchawce panowała głucha cisza. Spocona pomarańcza miała rację.

Odwiesiłem słuchawkę i wolnym krokiem ruszyłem z powrotem w kierunku supermarketu.

Dotarłem tam w samą porę, żeby być świadkiem zabawnego zdarzenia: starsza, pogrążona w rozmowie para, zbliżała się do drzwi wejściowych... i zderzyła się z nimi. Zamilkli w pół słowa, kobieta wydała zdumiony okrzyk, po czym z niedowierzaniem wytrzeszczyli oczy na przeszkodę. Dopiero po dłuższej chwili oprzytomnieli i parsknęli śmiechem, następnie mężczyzna z wysiłkiem odepchnął przezroczystą taflę i oboje weszli do środka. Brak elektryczności może okazać się dokuczliwy na mnóstwo sposobów.

Ja również samodzielnie odsunąłem drzwi i przekroczyłem próg sklepu. Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłem uwagę, był brak klimatyzacji. Zazwyczaj latem ustawiają tak intensywne chłodzenie, że można nabawić się odmrożeń.

Jak wszystkie nowoczesne obiekty tego rodzaju, Federal przypominał labirynt dla szczurów: rzeczy naprawdę niezbędne, takie jak chleb, masło, mleko, piwo i błyskawiczne obiady, ulokowano na samym końcu. Żeby tam dotrzeć, trzeba było minąć niewyobrażalne mnóstwo artykułów, które tylko udają, że są do czegoś potrzebne - od wymyślnych zapalniczek poczynając, na gumowych kościach dla psów kończąc.

Zaraz za wejściem znajdował się dział z warzywami i owocami. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Nortona i mego syna, ale ich nie dostrzegłem. Starsza pani, która niedawno zderzyła się z drzwiami, buszowała wśród grejpfrutów. Jej mąż czekał nieopodal z wielką torbą na zakupy. Znalazłem ich w trzeciej alejce. Billy przerzucał tosy torebek z galaretkami i budyniami, Norton zaś stał obok wpatrzony w listę autorstwa Steff. Na widok jego zdeorientowanej miny nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

Z trudem utorowałem sobie do nich drogę, przepychając się między częściowo załadowanymi wózkami (najwyraźniej nie tylko Steff uległa wiewiórczemu odruchowi) i myszkującymi wśród regałów klientami. Norton zdjął z najwyższej półki dwie puszki z gruszkami w syropie i włożył je do koszyka.

- Jak wam idzie? - zapytałem. Spojrzał na mnie z nieukrywaną ulgą.

- Znakomicie. Prawda, Billy?

- Jasne - odparł mój syn, po czym zaraz dodał jakby nigdy nic: - Ale pan Norton też nie może wszystkiego odczytać.

- Pokażcie mi to - powiedziałem, wyjmując listę z rąk Nortona.

Przy artykułach, które już włożyli do koszyka (było ich zaledwie kilka, w tym mleko i sześciopak coli), widniały schludne prawnicze "ptaszki". Zostało jeszcze około dziesięciu pozycji.

- Musimy wrócić do warzyw. Zapomnieliście o pomidorach i ogórkach.

Billy natychmiast zaczął zawracać wózkami, natomiast Norton rzucił od niechcenia:

- Spójrz, co się dzieje przy kasach, Dave. Wychyliłem się z alejki. Moim oczom ukazał się widok z gatunku tych, jakie niekiedy można podziwiać na zdjęciach w gazetach, kiedy brakuje poważnych informacji. Działy tylko dwa stanowiska, kolejka zaś ciągnęła się aż do niemal pustych regałów z pieczywem, zakręcała pod kątem prostym i nikła gdzieś hen, za szafami chłodniczymi. Wszystkie ultranowoczesne kasy fiskalne były przykryte pokrowcami, a siedzące przy nich, udęczone dziewczęta pracownicy stukwały w klawiaturki kieszonkowych kalkulatorów. Obok nich stali dwaj szefowie supermarketu, Bud Brown i Ollie Weeks. Lubiłem Olliego, Bud natomiast trochę mnie irytował, ponieważ pozował na kogoś w rodzaju de Gaulle'a światka sprzedaży detalicznej.

Jak tylko któraś z dziewcząt uporała się z obliczaniem należności, Bud albo Ollie doczepiali rachunek do czeku klienta albo do jego gotówki i wrzucali do pudełka pełniącego chwilowo funkcję kasy. Zarówno oni, jak i dziewczyny byli spoceni i zmęczeni.

- Mam nadzieję, że zabrałeś jakąś dobrą książkę - powiedział Norton, stając przy mnie. - To chyba trochę potrwa.

Pomyślałem o Steff, zupełnie samej w domu, i ponownie ogarnął mnie niepokój.

- Wiesz co? Żeby nie tracić czasu, zajmij się swoimi zakupami, a ja z Billym dokończę nasze.

- Wziąć ci parę piw?

Też się nad tym zastanawiałem, ale w końcu doszedłem do wniosku, że mimo wszystko nie chcę spędzić reszty dnia, pijąc z Brentem Nortonom - szczególnie że czekało mnie jeszcze mnóstwo pracy przy uprzątnięciu skutków wichury.

- Dzięki, ale może innym razem. Od razu ochłódł.
- Jak chcesz - odparł krótko, po czym skreślił w najbliższą alejkę. Odprowadziłem go wzrokiem, a zaraz potem Billy pociągnął mnie za rękaw.
- I co, tato? Rozmawiałeś z mamą?
- Nie. Automat nie działa. Zdaje się, że wiatr pozrywał też linie telefoniczne.
- Martwisz się o nią?
- Skądże znowu - skłamałem. Owszem, martwiłem się, choć nie miałem pojęcia dlaczego. - Ani trochę. A ty?
- Też nie...

Sądząc po wyrazie jego twarzy, nie mówił prawdy. Powinniśmy wtedy natychmiast wsiąść do samochodu i wrócić, ale całkiem możliwe, że już było za późno.

3. NADCIĄGA MGŁA

Przedarliśmy się z powrotem do warzyw i owoców niczym łososiom walczącym z prądem rzeki. Dostrzegłem kilka znajomych twarzy - Mike'a Haltena, naszego radnego, panią Reppler ze szkoły podstawowej (siała postrach wśród wielu pokoleń trzecioklasistów, teraz zaś szczerzyła zęby do kantalupy), panią Turman, która niekiedy opiekowała się Billym podczas naszej nieobecności - na ogół byli to jednak letnicy ładujący do wózków sterty produktów i ofukujący się nawzajem za mniej lub bardziej wyimaginowane przepychanki. Porcjowane mięso znikło jak sen złoty; zostało tylko kilka opakowań wędzonej kiełbasy i trochę innych wędlin.

Zdobyłem pomidory, cukinię i słoiczek majonezu. Steff zamówiła bekon, ale bekon się skończył, więc wziąłem trochę wędzonej kiełbasy, chociaż od chwili, kiedy jakaś stacja telewizyjna poinformowała o tym, że w niektórych opakowaniach można znaleźć odchody owadów (taki niewielki dodatek na koszt firmy, bez żadnych dopłat), jakoś straciłem przekonanie do takich potraw.

- Patrz, tato - powiedział Billy, kiedy skręciliśmy w następną alejkę. - Żołnierze!

Było ich dwóch, w brązowych mundurach mocno kontrastujących ze znacznie bardziej kolorowymi strojami turystów i miejscowych. Ponieważ siedziba Projektu Grot Strzały mieściła się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów stąd, obecność wojskowych nikogo już specjalnie nie dziwiła. Ci dwaj wyglądali tak młodo, jakby jeszcze nawet nie zaczęli się golić.

Ponownie spojrzałem na listę Steff i stwierdziłem, że mamy już wszystko... Nie, prawie wszystko. U dołu, jakby wpadła na ten pomysł w ostatniej chwili, dopisała: butelka lancera? Uznałem, że to znakomita myśl: położymy Billy'ego spać, wypijemy po kieliszku (albo po dwa kieliszki) wina, a potem, być może, będziemy się kochać.

Zostawiłem wózek i z trudem precyzyjnie skierowałem się do działu z winem. W drodze powrotnej, mijając szerokie dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na zaplecze, usłyszałem warkot generatora.

Widocznie dawał akurat tyle energii, ile potrzebowały szafy chłodnicze i zamrażarki, za mało jednak, by dało się uruchomić kasy i automatycznie otwierane drzwi. Odgłos jego pracy przypominał trochę warkot motocyklowego silnika.

Jak tylko zajęliśmy miejsce w kolejce, pojawił się Norton z dwoma sześciopakami piwa, bochenkiem chleba i pętem kiełbasy i stanął obok nas. W sklepie robiło się coraz cieplej; zastanawiałem się, dlaczego nikt nie wpadł na pomysł, żeby otworzyć drzwi i zablokować je jakimiś skrzynkami. Dwie alejki dalej stał beczynnie Buddy Eagleton. Generator warkotał monotonnie i powoli zaczynała mnie boleć głowa.

- Włóż to do wózka, zanim coś upuścisz - powiedziałem do Nortona.

- Dzięki.

Kolejka sięgała już sporo poza dział z mrożonkami; ci, którzy jeszcze nie napełnili wózków, musieli przepychać się między czekającymi do kasy, w związku z czym co chwila ktoś kogoś przeproszał.

- Kurwicy przyjdzie nam tu dostać! - wymamrotał ponuro Norton.

Zmarszczyłem brwi. Wolałbym, żeby nie używał takich słów przy Billym.

W miarę jak przesuwaliśmy się naprzód, warkot generatora stopniowo cichł. Dla zabicia czasu gadałem z Nortonem o niczym; obaj starannie unikaliśmy tematu naszego bezsensownego konfliktu terytorialnego, który zaprowadził nas aż przed sąd okręgowy, i ograniczaliśmy się do pogody oraz rozważania szans Red Soksów na zdobycie mistrzostwa. Kiedy wreszcie zabrakło nam tematów, po prostu umilkliśmy. Billy kręcił się niecierpliwie obok mnie, kolejka powoli posuwała się naprzód. Po prawej stronie mieliśmy teraz mrożone porcje obiadowe, po lewej droższe wina i szampany. W miarę jak zbliżaliśmy się do tańszych, ogarniała mnie coraz większa pokusa, żeby sięgnąć po butelkę ripple, wina mojej młodości, ostatecznie jednak zdołałem nad sobą zapanować. Moja młodość nie była aż tak bujna, żeby było warto do niej wracać.

- Rety! Tato, dlaczego to idzie tak powoli? - zapytał Billy, wciąż z bardzo poważną miną. Nagle, na mgnienie oka, rozdarł się spowijający mnie całun niepokoju i przez powstałą szczelinę wionęło na mnie lodowate przerażenie... Ale to uczucie szybko minęło.

- Nie przejmuj się, mistrzu - odparłem. Dotarliśmy do regałów z pieczywem; podwójna kolejka zakręcała tam ostro w lewo. Widzieliśmy już kasy: dwie czynne i cztery nieczynne, z wystawionymi tabliczkami z napisem PROSZĘ PRZEJŚĆ DO INNEJ KASY oraz WINSTON. Bezpośrednio za kasami znajdowała się szklana ściana, przez którą widać było parking oraz skrzyżowanie dróg numer 117 i 302. Widok częściowo zasłaniały białe "plecy" plakatów zachwalających rozmaite produkty oraz informujących o aktualnych wyprzedażach: najnowsza obejmowała zestaw książek pod wspólnym tytułem "Encyklopedia Matki Natury". Staliśmy w kolejce prowadzącej do kasy, przy której dyżurował Bud Brown. Przed nami było jeszcze około trzydziestu osób. Najbardziej rzucała się w oczy pani Carmody w swoim kanarkowożółtym komplecie; wyglądała jak reklama żółtej febry.

Gdzieś daleko rozległ się zawodzący odgłos, który szybko przybierał na sile, by wreszcie zamienić się w przeszywający jęk syreny policyjnego radiowozu. Od strony skrzyżowania dobiegło wściekłe trąbienie, a zaraz potem pisk opon. Nic nie widziałem, ale wycie syreny stało się jeszcze głośniejsze, po czym zaczęło przycichać; radiowóz przemknął więc obok supermarketu i pognął gdzieś dalej. Kilka osób podeszło do okna, żeby coś zobaczyć, większość jednak została w kolejce; zbyt długo już czekali, żeby teraz ryzykować utratę miejsca.

Wśród tych, którzy wyszli z kolejki, był również Norton. Nic dziwnego, przecież zakupy miał w moim koszyku. Wrócił zaledwie po paru minutach.

- Nic ciekawego - oznajmił. - Jakieś drobne zamieszanie. Zaraz potem odezwał się alarmowy sygnał na budynku miejscowej straży pożarnej. Billy złapał mnie za rękę i z całej siły zacisnął palce.

- Co się stało, tato? - A zaraz potem: - Czy z mamą wszystko w porządku?

- Pewnie pożar gdzieś przy Kansas Road - powiedział Norton. - Wszystko przez te cholerne pozrywane przewody elektryczne. Zaraz będzie jechała straż pożarna.

Moje obawy wreszcie nabrały realnych kształtów: na naszym podwórku też leżały pozrywane przewody.

Dziewczyna przy kasie odwróciła na chwilę głowę, zaintrygowana dobiegającymi z zewnątrz hałasami, lecz wystarczyło jedno słowo rzucone przez Buda, żeby zaczerwieniła się po uszy i natychmiast wróciła do swoich obowiązków.

Nagle poczułem, że wcale nie chcę stać w tej kolejce. Ani trochę. Tymczasem jednak znowu przesunęliśmy się parę kroków do przodu, więc głupio byłoby rezygnować. Dotarliśmy już do papierosów.

Przez drzwi wejściowe wkroczył do środka jakiś nastolatek - całkiem możliwe, że ten sam, z którego motocyklem mało nie zderzyliśmy się na parkingu.

- Ale mgła! - wykrzyknął. - W życiu takiej nie widzieliście! Zbliża się od Kansas Road.

Wszyscy na niego patrzyli, nikt jednak nie odezwał się ani słowem. Chłopak dyszał ciężko, jak po długim biegu.

- Mówię wam, takiej mgły jeszcze nie widzieliście - powtórzył znacznie mniej pewnym tonem.

Ludzie wciąż wpatrywali się w niego w milczeniu. Ten i ów przestąpił z nogi na nogę, nikt jednak nie zamierzał tracić miejsca w kolejce. Tylko parę osób, które jeszcze nie zdążyły się w niej ustawić, zostawiło wózki i podeszło do okien, aby sprawdzić, czy coś przez nie zobaczą. Jakiś wysoki mężczyzna w słomkowym kapeluszu ze wstążką (takich kapeluszy prawie nigdy nie widuje się na ulicy, tylko w telewizyjnych reklamówkach, których akcja dzieje się podczas przyjęć na otwartym powietrzu) otworzył drzwi wyjściowe i w towarzystwie kilkorga ludzi wymaszerował na zewnątrz. Chłopak podążył za nimi.

- Zamykajcie drzwi, bo tu jest klimatyzacja! - zawołał jeden z żołnierzy.

Kilka osób zachichotało. Ja nie. Widziałem mgłę na jeziorze.

- Może pójdziesz popatrzeć? - zapytał Norton mojego syna.

- Nie - powiedziałem stanowczo, nie bardzo wiedząc dlaczego.

Kolejka znowu przesunęła się do przodu. Ludzie wspinali się na palce i wykręcali szyje, żeby zobaczyć mgłę, o której mówił chłopak, ale za szybami świeciło słońce i pyszniło się błękitne niebo. Ktoś mruknął, że szczeniak pewnie żartował, ktoś inny odparł, że przed niecałą godziną widział dziwną mgłę nad Long Lake. Coś ostrzegawczo zadzwoniło mi w głowie. Ogarniały mnie coraz gorsze przeczucia.

Na zewnątrz wyszło jeszcze kilka osób; parę z nich opuściło nawet kolejkę, dzięki czemu nieco prędzej zaczęliśmy przesuwać się do przodu. Jakiś czas potem stary, siwowłosy John Lee Frovin, mechanik z warsztatu przy stacji Texaco, wetknął głowę do środka, zapytał głośno: "Hej, czy ktoś ma aparat?", rozejrzał się dokoła, po czym cofnął się na zewnątrz.

Dopiero teraz zaczęło się prawdziwe zamieszanie. Działo się coś wartego sfotografowania, coś naprawdę interesującego.

- Niech nikt nie wychodzi! - zawołała nagle pani Carmody skrzypiącym, ale donośnym głosem, ściągając na siebie niemal wszystkie spojrzenia.

Klienci, do tej pory karnie stojący w dwóch kolejkach, zaczęli się rozchodzić: niektórzy wyszli na zewnątrz, żeby popatrzeć na mgłę, inni starali się znaleźć miejsce jak najdalej od pani Carmody, jeszcze inni kręcili się niezdecydowanie po sklepie w poszukiwaniu znajomych. Młoda ładna kobieta w bluzie koloru żurawiny i ciemnozielonych spodniach mierzyła panią Carmody taksującym spojrzeniem. Tylko nieliczni oportuniści wykorzystali zamieszanie i przesunęli się o parę miejsc naprzód. Dziewczyna siedząca w kasie, obok której stał Bud Brown, ponownie spoglądała w kierunku drzwi; Brown stuknął ją w ramię długim palcem.

- Skup się na robocie, Sally.

- Nie idźcie tam! - krzyczała dalej pani Carmody. - Tam jest śmierć! Czuję ją!

Bud i Ollie Weeks, którzy doskonale ją znali, ograniczali się do rzucania zniecierpliwionych spojrzeń, ale wczasowicze ukradkiem odsuwali się od niej, godząc się nawet z utratą miejsca w kolejce. W wielkich miastach takie samo działanie wywierają otyłe kobiety objuczone gigantycznymi zakupami, zupełnie jakby były nosicielkami jakichś egzotycznych chorób. Zresztą może i są? Kto to wie?

A potem wydarzenia zaczęły się toczyć w coraz szybszym, zwariowanym tempie. Jakiś mężczyzna odepchnął szklane drzwi i zataczając się, wpadł do sklepu. Z nosa płynęła mu krew. - W tej mgle coś jest! - wykrzyknął. Billy przywarł do mnie mocno; nie wiem, czy z powodu krwi, czy słów mężczyzny. - Coś tam jest! Porwało Johna Lee! - Zachwiał się, po czym z rozmachem usiadł na ułożonych przy oknie workach z nawozami. - Coś porwało Johna Lee, słyszałem, jak krzyczał!

Sytuacja uległa gwałtownej zmianie. Zaniepokojeni burzą, poirytowani dźwiękiem syren, wytrąceni z równowagi wstrząsającym dla każdego Amerykanina brakiem prądu, a także wyczuwający przez skórę, że... że wszystko zrobiło się jakies INNE (nie potrafię lepiej określić tego wrażenia), ludzie ruszyli jak jeden mąż.

Nie, to nie była panika. Gdybym użył tego słowa, stanowczo rozminąłbym się z prawdą. Nie biegli, a przynajmniej nie wszyscy. Ale ruszyli. Część zatrzymała się przy sięgających od podłogi do sufitu szybach, część wyszła na zewnątrz, niektórzy z zakupami w rękach, przygotowując o jeszcze większą frustrację spoconego, zmęczonego Buda Browna.

- Ejże, jeszcze nie zapłaciłeś! - zaczął wykrzykiwać. - I ty też! Hej, wracaj tu z tymi bułkami do hot dogów!

Ktoś wybuchnął głośnym histerycznym chichotem, sporo osób się uśmiechnęło, ale nawet one były zdezorientowane i wyraźnie zaniepokojone. Po chwili rozległ się jeszcze donośniejszy wybuch śmiechu i twarz Browna oblała się szkarłatnym rumieńcem. Niewiele myśląc, wyrwał pudełko z grzybami z rąk starszej kobiety, która właśnie przeciskała się obok niego, by dopchać się do szyby; ludzie stali tam już ramię przy ramieniu, niczym gapie zaglądający na teren budowy przez dziury w płocie.

- To moje grzybki! - wrzasnęła rozpaczliwie.

Dwaj stojący nieopodal mężczyźni parsknęli śmiechem, zapewne rozbawieni taką afektacją, mnie zaś zaczęły się nasuwać nieprzyjemne skojarzenia z domem wariatów. Pani Carmody ponownie wytrąbiła swoje ostrzeżenie, syrena na dachu remizy wciąż wyła przeraźliwie, a Billy wybuchnął płaczem.

- Tatusiu, dlaczego temu panu leci krew? Co mu się stało?

- Nic wielkiego. Po prostu rozbił sobie nos, i tyle. Nic się nie stało.

- Co on wygadywał o tej mgle? - zapytał Norton ze zmarszczonymi dostojnie brwiami.

Przypuszczalnie tak właśnie wyglądało zmieszanie w jego wykonaniu.

- Tatusiu, ja się boję! - wyszlochał Billy. - Możemy już wracać do domu?

Ktoś potrafił mnie tak mocno, że mało nie straciłem równowagi. Wziąłem chłopca na rękę. Ja też zaczynałem się bać. Zamieszanie przybierało na sile. Sally, kasjerka siedząca obok Buda Browna, spróbowała się podnieść, ale on chwycił ją za kołnierz czerwonego żakietu i siłą posadził z powrotem na krześle. Materiał pękł z głośnym trzaskiem i dziewczyna rzuciła się z pięściami na pracodawcę.

- Nie dotykaj mnie tymi brudnymi łapami!

- Zaniknij się, głupia dziwko! - warknął Bud, lecz było widać, że jest mocno zaskoczony. Znowu wyciągnął do niej rękę, jednak nic nie zdążył zrobić, ponieważ wtrącił się Ollie Weeks.

- Uspokój się! - prychnął.

Usłyszałem jeszcze jeden krzyk i jeszcze jeden. Wszystko wskazywało na to, że zamieszanie jednak przeradza się w panikę. Ludzie tłumnie cisnęli się do drzwi, rozległ się brzęk tłuczonego szkła i po posadzce popłynęła spieniona cola.

- Boże, co to takiego?! - wykrzyknął Norton.

W tej samej chwili zaczęło się ściemniać... Nie, to nie całkiem prawda. Pomyślałem wtedy, że w supermarkecie zgasło światło i odruchowo zerknąłem w górę, na lampy fluorescencyjne. Nie ja

jeden zresztą. Przez sekundę albo dwie wydawało mi się, że mam rację, że odkryłem przyczynę nagłej zmiany oświetlenia... lecz zaraz potem przypomniałem sobie, że przecież nie ma prądu i lampy przez cały czas były wyłączone, a mimo to we wnętrzu sklepu wcale nie wydawało się ciemno. W następnym ułamku sekundy zrozumiałem, co się dzieje, jeszcze zanim ludzie zaczęli krzyczeć i wskazywać przed siebie palcami.
Nadciągała mgła.

Zbliżała się do parkingu od strony Kansas Road i nawet z bliska wyglądała niemal tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zauważyłem ją po drugiej stronie jeziora: była jaskrawobiała, ale równocześnie wchłaniała światło jak gąbka. Posuwała się szybko naprzód i coraz bardziej zasłaniała słońce - przypominało teraz zimowy księżyc w pełni, prześwitujący przez cienką warstwę chmur.

Sunęła szybko, lecz zarazem z jakimś leniwym dostojeństwem. Jej widok przywiódł mi na myśl oberwanie chmury sprzed kilkunastu godzin. Są zjawiska przyrodnicze, które rzadko się ogląda - na przykład trzęsienia ziemi, huragany i tornada - i choć ja także widziałem niewiele z nich, to jestem przekonany, iż wszystkie rozszerzają się lub przemieszczają z tą samą hipnotyzującą prędkością. Potrafią każdego oczarować, tak jak Billy'ego i Steffy, których minionej nocy musiałem siłą odciągnąć od okna.

Nie zwalniając tempa, przetoczyła się przez jezdnię i usunęła ją z krajobrazu. Niedawno odnowione delikatesy McKeonsów znikły, jakby ich nigdy nie było. Przez kilka sekund pierwsze piętro sąsiadującego z nimi obskurnego budynku mieszkalnego majaczyło niewyraźnie w białym mleku, po czym również znikło. Potem ten sam los spotkał ustawioną przy wjeździe na parking tablicę z napisem JEŹDZIMY PRAWĄ STRONĄ; najpierw rozplynęło się brudnoszare tło, czarne litery przez chwilę zdawały się wisieć w powietrzu, a następnie one także przestały istnieć. Kilka sekund później zaczęły kolejno znikać samochody pozostawione na parkingu.

- Jezus, Maria! Co to takiego? - zapytał ponownie Norton drżącym głosem.

Parta niepowstrzymanie naprzód, równie łatwo pożerając błękitne niebo i czarny asfalt. Nawet z odległości kilku metrów granica mgły była ostra jak nożem uciał. Ogarnęło mnie idiotyczne podejrzenie, że jestem świadkiem prób z filmowymi efektami specjalnymi najnowszej generacji. Wszystko działo się tak szybko. Błękitny obszar wysoko w górze topniał coraz bardziej, został z niego tylko wąski pas, potem cieniutka kreska, aż wreszcie całkowicie ustąpił miejsca jednolitej bieli. Można było odnieść wrażenie, że ktoś oblepił szyby grubą warstwą waty; wzrok sięgał do stojącego jakiś metr od wejścia kosza na śmieci i do przedniego zderzaka mojego scouta, i ani kroku dalej.

Rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk, Billy przytulił się do mnie jeszcze mocniej. Drżał jak kłębek przewodów, przez które przepuszczono prąd o wysokim napięciu.

Jakiś mężczyzna z dzikim wrzaskiem pognał w kierunku drzwi. Dopiero teraz wybuchła prawdziwa panika: tłocząc się i przepychając, tłum zaczął wylewać się na zewnątrz, w mgłę.

- Hej! - ryknął Brown. Nie mam pojęcia, czy był wściekły, czy przerażony... A może wszystko naraz? Twarz mu posiniała, na szyi i karku wystąpiły żyły grubości kabli od akumulatora. - Ludzie, przecież tak nie wolno! Musicie zapłacić! Wracajcie natychmiast!

Wciąż parli naprzód, ale niektórzy odłożyli zakupy albo cisnęli je na podłogę. Byli też tacy, którzy śmiali się i dowcipkowali, lecz ci znajdowali się w zdecydowanej mniejszości. Znikali kolejno we mgle; ci, którzy zostali w środku, nigdy już ich nie zobaczyli. Przez otwarte drzwi sączył się do środka trudno uchwytny kwaśny zapach. Powstał zator, wybuchły słowne utarczki i przepychanki. Od trzymania Billy'ego rozboleł mnie kręgosłup. Był już dużym chłopcem; Steff niekiedy nazywała go swoim małym byczkiem.

Norton, z zaferowaną i chyba trochę zdziwioną miną, powoli ruszył w kierunku drzwi. Zanim zdążył się oddalić, przerzuciłem Billy'ego na drugie biodro i złapałem go za ramię.

- Lepiej tego nie rób - powiedziałem. Odwrócił się do mnie.

- He?

- Zostań i patrz.

- Na co?

- Tego nie wiem - przyznałem.

- Chyba nie myślisz, że...

Nie dokończył, ponieważ we mgle rozległ się przeraźliwy wrzask. Tłum znieruchomiał, zawałał się, a następnie ludzie zaczęli się cofać. Wrzawa ucichła, twarze pobladły i nagle zrobiły się dwuwymiarowe. Wrzask wciąż trwał, niemal tak głośny jak nieustające wycie syreny na dachu remizy. Trudno było uwierzyć, żeby w ludzkich płucach mogło się pomieścić tyle powietrza.

- Boże... - wyszeptał Norton i przesunął ręką po włosach.

Wrzask urwał się raptownie jak ucięty nożem. Jeszcze jeden człowiek wyszedł na zewnątrz: barczysty osiłek w kombinezonie roboczym. Przypuszczam, że zamierzał pospieszyć na pomoc krzyczącemu. Przez chwilę widać go było jak przez osad z mlecznego koktajlu pozostały na ściankach miksera, a potem (chyba tylko ja to zauważyłem) tuż za nim w nieprzeniknionej bieli zamajaczył ogromny szary cień. Odniosłem wrażenie, iż mężczyzna nie wszedł w mgłę, tylko został w nią gwałtownie wciągnięty. Zdążył jeszcze tylko wyrzucić w górę ręce, jakby z zaskoczenia.

W supermarkecie zapanowała martwa cisza.

Niespodziewanie na zewnątrz zapłonęła konstelacja księżyców: latarnie sodowe na parkingu, zasilane energią z poprowadzonych pod ziemią przewodów.

- Nie ruszajcie się stąd! - powtórzyła pani Carmody mrozącym krew w żyłach głosem. - Tam czeka śmierć!

Tym razem nikt się nie roześmiał ani nie wzruszył ramionami.

Kolejny krzyk dobiegł ze znacznie większej odległości. Billy ponownie przytulił się do mnie.

- Davidzie, co tu się dzieje? - zapytał Ollie Weeks. Opuścił swoje stanowisko przy kasie. Jego okrągła, gładka twarz była pokryta kroplami potu. - O co tu chodzi, do cholery?

- Nie mam pojęcia - odparłem.

Ollie był mocno wystraszony. Mieszkał samotnie w ładnym niewielkim domku przy Highland Lake i lubił popijać w barze u podnóża Pleasant Mountain. Na pulchnym małym palcu lewej ręki nosił sygnet z szafirem; kupił go za pieniądze, które w lutym ubiegłego roku wygrał na loterii. Zawsze wydawało mi się, że Ollie trochę boi się kobiet.

- Nic nie rozumiem... - wymamrotał.

- Ani ja. Billy, muszę cię postawić na ziemi. Zaraz pęknie mi kręgosłup. Jeśli chcesz, będę trzymał cię za rękę.

- Mamusia... - szepnął.

- Nic jej nie jest - powiedziałem na przekór przeczuciom.

Minał nas wiekowy właściciel sklepu ze starzyzną mieszczącego się obok restauracji U Jona, jak zwykle zawinięty w stanowczo zbyt obszerny, wiekowy sweter, którym nie rozstaje się bez względu na porę roku.

- To na pewno jakieś skażenie - mówił nie bardzo wiadomo do kogo. - Wszystko przez te fabryki w Rumford i South Paris. Chemikalia, i ta reszta...

Znikł za regałami z paralekami i papierem toaletowym.

- Wiesz co? Zbierajmy się stąd - zaproponował Norton bez przekonania. - Może byśmy...

Przerwał mu łoskot - dziwny, nie tyle słyszalny, ile raczej wyczuwalny, jakby cały budynek spadł nagle z wysokości metra. Kilka osób krzyknęło z zaskoczenia i strachu, zaraz potem rozległ się brzęk tłuczonych butelek, które pozsuwały się z regałów. Jedna z ogromnych szyb pękła, wielki fragment szklanej tafli w kształcie klina roztrzaskał się na podłodze. Aluminiowe ramy, w których tkwiły szyby, odkształciły się wyraźnie.

Syrena umilkła.

Cisza, która zapadła, była wypełniona oczekiwaniem na coś jeszcze, na coś więcej. W moim zszokowanym umyśle nie wiadomo skąd pojawiło się skojarzenie z przeszłością. Dawno temu, kiedy Bridgton było zaledwie skrzyżowaniem dróg, ojciec zabierał mnie niekiedy do sklepu; podczas gdy on stał przy ladzie i rozmawiał ze sprzedawcą, ja gapilem się przez szybę na cukierki i gumy do żucia. Tego dnia, który nie wiedzieć czemu przyszedł mi na myśl, nadeszła przedwczesna styczniowa odwilż. Słyszałem tylko odgłos wody spływającej z rynien do beczek po obu stronach budynku, gapilem się w stosy kolorowych łakoci i gum do żucia. Wiszące wysoko w górze tajemnicze żółte kule rozsiewały światło poznaczone monstrualnymi cieniami much poległych minionego lata. Mały chłopiec nazwiskiem David Drayton z ojcem, słynnym malarzem Andrew Draytonem, którego obraz "Samotna Christine" wisiał w Białym Domu. Mały David Drayton wpatrzony w cukierki i obrazki z opakowań gumy do żucia. Trochę chciało mi się siusiu, a na zewnątrz kłębiła się ciężka mgła styczniowej odwilży.

Wspomnienie zgąsło, ale nie od razu.

- Hej, ludzie! - ryknął Norton. - Ludzie, słuchajcie! - Wszyscy na niego spojrzeli. Podniósł obie ręce z rozczapierzonymi palcami, niczym bohater politycznego mitingu dziękujący przybyłym za owację. - Wyjście na zewnątrz może być niebezpieczne!

- Dlaczego? - wykrzyknęła jakaś kobieta. - Zostawiłam w domu dzieci! Muszę do nich wrócić!

- Tam jest śmierć! - włączyła się pani Carmody. Stała przy ułożonych pod oknem dwunastoipółkilogramowych workach ze sztucznymi nawozami. Twarz, miała dziwnie obrzmiałą, jakby opuchniętą. Jakiś nastolatek pchnął ją niespodziewanie; ze zdumionym chrząknięciem klapnęła na worki.

- Zamknij się, stara wiedźmo! Przestać wygadywać te bzdury!

- Proszę o spokój! - zawołał Norton. - Zaczekajmy chwilę. Mgła niedługo się rozwieje i wtedy zobaczymy, co...

Przerwał mu sprzeczne okrzyki.

- On ma rację! - podniosłem głos, żeby mnie usłyszeli. - Powinniśmy spokojnie poczekać.

- Moim zdaniem to było trzęsienie ziemi - powiedział cicho jakiś mężczyzna w okularach. W jednej ręce trzymał opakowanie z bułkami do hot dogów, w drugiej ścisnął rączkę dziewczynki młodszej może o rok od Billy'ego. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Cztery lata temu mieli trzęsienie ziemi w Naples - odezwał się jakiś miejscowy grubas.

- Nie w Naples, tylko w Casco - poprawiła go natychmiast żona tonem doświadczonego poprawiacza.

- W Naples - powtórzył grubas bez większego przekonania.

- Casco - stwierdziła żona tonem nieznoszącym sprzeciwu, ostatecznie kończąc dyskusję.

W głębi sklepu jakiś metalowy pojemnik, który zapewne od pewnego czasu balansował na krawędzi półki, gdzie zsunął się w wyniku tapnięcia, trzęsienia ziemi czy czegośkolwiek innego, z hukiem spadł na posadzkę. Billy wybuchnął płaczem.

- Ja chcę do domu! Ja chcę do mamy!!!

- Możesz czymś zatkać tego dzieciaka? - zapytał Bud Brown, rozglądając się niepewnie dokoła.

- A może ty chcesz dostać w zęby?

- Uspokój się, Dave - mruknął z roztargnieniem Norton. - To nic nie da.

- Przykro mi, ale nie mogę tu zostać - powiedziała ta sama kobieta, która niedawno krzyczała. - Muszę wrócić do domu, do dzieci. - Miała jasne włosy i zmęczoną ładną twarz. - Co prawda Vanda zajmuje się Victorem, ale ona ma dopiero osiem lat i... czasem zapomina o różnych sprawach, a Victor... Victor uwielbia kręcić kurkami przy kuchence, bo wtedy zapalają się czerwone światełka, a on to bardzo lubi... i często bawi się wtyczkami, a Vanda czasem zapomina, że powinna cały czas go pilnować... Ma dopiero osiem lat... - Umilkła i potoczyła po nas spojrzeniem. Przypuszczam, że w jej oczach wyglądaliśmy jak gromada niehumanoidalnych potworów. Zaczęły jej drżeć usta. - Czy nikt mi nie pomoże?! - wrzasnęła piskliwym głosem. - Czy... Czy nikt nie odprowadzi mnie do domu?

Odpowiedziała jej cisza. Niektórzy przestąpili niepewnie z nogi na nogę. Zrozpaczona, przenosiła wzrok z twarzy na twarz. Grubas niepewnie zrobił pół kroku naprzód, ale żona natychmiast chwyciła go za nadgarstek i gwałtownym szarpnięciem przywołała do porządku.

- Pan? - Ollie pokręcił głową. - A może pan? - zapytała Buda, lecz on nie odpowiedział, tylko położył rękę na kalkulatorze. - Więc może pan? - zwróciła się do Nortona, który natychmiast rozpoczął wykład o tym, że nie można podejmować nieprzemyślanych decyzji, ale kobieta machnęła ręką, a on umilkł w pół słowa. - A pan? - Spojrzała na mnie. Schyliłem się, wziąłem Billy'ego na ręce i posłużyłem się nim jak tarczą, by odgrodzić się od jej zrozpaczonej twarzy. - Mam nadzieję, że wszyscy zgnijecie w piekle.

Powiedziała to cicho, śmiertelnie zmęczonym głosem, a następnie podeszła do drzwi wyjściowych i rozsunęła je oburącz. Chciałem jakoś zareagować, skłonić ją do powrotu... ale miałem tak sucho w gardle, że nie zdołałem wykrztusić ani słowa.

- Proszę pani...

Chłopak, który niedawno nakrzyczał na panią Carmody, przytrzymał ją za rękę. Wystarczyło jednak, by kobieta spojrzała na niego z ukosa, a zarumienił się, puścił ją i cofnął się o krok. Wyszła w mgłę. Obserwowaliśmy ją w milczeniu. Mgła natychmiast otuliła kobietę ze wszystkich stron, czyniąc ją niematerialną: to już nie był żywy człowiek, tylko sylwetka naszkicowana delikatnymi pociągnięciami twardego ołówka na najbielszym papierze, jaki można sobie wyobrazić. Nikt nie odezwał się ani słowem. Przez chwilę powtórzyła się sytuacja z tabliczką u wjazdu na parking: ramiona, nogi i jasne włosy rozpląły się w mgłę, pozostała jedynie wyblakła czerwień letniej sukienki, zawieszona w białym tumanie. Zaraz potem ona również znikła, a w sklepie wciąż panowała śmiertelna cisza.

4. MAGAZYN. KŁOPOTY Z GENERATORAMI. CO SIĘ STAŁO Z PAKOWACZEM.

Billy'ego ogarnęła histeria. W okamgnieniu cofnął się do poziomu dwulotka, wrzeszczał przeraźliwie, płakał i rozpaczliwie wzywał mamę. Rzecz jasna, natychmiast się zasmarował. Odprowadziłem go w jedną z alejek, objąłem ramieniem i usiłowałem przemówić do rozumu. Dotarliśmy aż na sam koniec sklepu, do długiej białej lady chłodniczej z mięsem, za którą stał McVey, rzeźnik. Skinęliśmy sobie głowami - maksimum tego, na co można było się zdobyć, zważywszy na okoliczności.

Usiadłem na podłodze, wziąłem chłopca w objęcia, przytuliłem mocno, kołysałem i uspokajałem. Wykorzystałem wszystkie kłamstwa, które rodzice trzymają w rezerwie na wypadek, gdyby zdarzyło się coś naprawdę niedobrego. Starłem się wygłaszać je z pełnym przekonaniem.

- To nie jest zwyczajna mgła - powiedział Billy, wpatrując się we mnie podkrążonymi, mokrymi od łez oczami. - Prawda, tatusiu?

Akurat w tej sprawie nie chciałem kłamać.

- Chyba tak, synku.

Dzieci, w przeciwieństwie do dorosłych, nie walczą z szokiem, lecz poddają mu się - być może dlatego, że mniej więcej do trzynastego roku życia niemal bez przerwy są czymś zaszokowane. Wreszcie Billy zapadł w drzemkę. Trzymałem go mocno, przekonany, że obudzi go łada hałas, wkrótce jednak drzemka zamieniła się w głęboki sen. Możliwe, iż nie wyspał się minionej nocy, którą spędziliśmy we trójkę po raz pierwszy od czasów jego niemowlęctwa, a może (nagle zrobiło mi się bardzo, ale to bardzo zimno) przeczuwał coś niedobrego.

Jak tylko nabrałem pewności, że zasnął, ułożyłem go na podłodze, sam zaś wyruszyłem na poszukiwania czegoś, czym mógłbym go przykryć. Większość klientów wciąż tłoczyła się z przodu, wpatrzona w gęsty kożuch mgły. Norton zgromadził wokół siebie gromadkę słuchaczy i usiłował zauroczyć ich głosem. Bud Brown wciąż trwał na posterunku, Ollie Weeks natomiast znikł bez śladu.

Kilka osób z pobladłymi twarzami błąkało się bez celu po alejkach niczym duchy. Pchnąłem ciężkie dwuskrzydłowe drzwi między ładą z mięsem i szafą chłodniczą z piwem i wszedłem na zaplecze.

Generator wciąż warkotał jednostajnie za przepierzeniem z dykty, natychmiast jednak odniosłem wrażenie, że coś jest nie w porządku. Woń spalin była stanowczo zbyt silna. Starając się oddychać jak najpłycej, ruszyłem w kierunku przepierzenia; po kilku krokach smród stał się tak silny, że rozpiąłem koszulę i jej skrajem zasłoniłem usta i nos.

Magazyn był długi i wąski, słabo oświetlony blaskiem dwóch lamp awaryjnych. Wszędzie piętrzyły się stosy pudeł, skrzyń i innych pojemników, wokół jednego z opakowań z keczupem, które spadło na podłogę, rozlała się krwista plama.

Otworzyłem drzwi do pomieszczenia z generatorem i wszedłem do środka. Wnętrze wypełniały kłęby sinoniebieskiego dymu. Rurę wydechową wyprowadzono na zewnątrz przez otwór w ścianie; wszystko wskazywało na to, że coś ją zatkało. Pstryknąłem umieszczonym w widocznym miejscu dużym wyłącznikiem. Generator Zakrzusił się, zakasłał, po czym umilkł, ale przedtem zdążył jeszcze wydać kilka pyrkoczących odgłosów, które przywiodły mi na myśl niepokorną piłę Nortona.

Awaryjne oświetlenie zgasło, pozostawiając mnie w ciemności. Bardzo szybko straciłem orientację i zacząłem się bać. Powietrze przeciskało mi się przez nos i usta z odgłosem podobnym do tego, jaki wydaje wiatr szeleszczący suchą słomą. Usiłowałem wrócić do magazynu, uderzyłem nosem w ścianę i serce podskoczyło mi do gardła. Druga próba okazała się udana, ale niewiele poprawiło to moją sytuację, ponieważ z niewiadomych przyczyn ktoś pomalował na czarno szyby w podwójnych drzwiach oddzielających magazyn od sklepu, w związku z czym ciemność była niemal całkowita. Zboczyłem z właściwego kursu, wpadłem na stos kartonowych pudeł, stos zachwiał się, po czym runął. Jedno z opakowań przemknęło tak blisko mojej głowy, że odruchowo cofnąłem się o krok, potknąłem się o inne pudło i runąłem na podłogę, przy okazji uderzając się w głowę tak mocno, że w ciemności zobaczyłem jaskrawe roztańczone gwiazdy. Niezłe przedstawienie.

Leżałem, kłąłem na czym świat stoi i powtarzałem sobie, że muszę zachować spokój, że muszę po prostu wstać i stąd wyjść, wrócić do Billy'ego, że żadna oślizgła, galaretowata macka nie chwyci mnie za kostkę ani nie owinie się wokół ręki badającej bezradnie w ciemności okolice.

Powtarzałem sobie, że nie mogę stracić panowania nad sobą, bo jeśli zacznę miotać się na oślep i zrzucać kolejne przedmioty, osiągnę tylko tyle, że powstanie niemożliwy do sforsowania tor przeszkód.

Podniosłem się ostrożnie i rozejrzałem w poszukiwaniu wąskiej kreski światła pod drzwiami. Znalazłem ją prawie od razu: niewielką, ale wyraźną jasną rysę w mroku. Ruszyłem w jej kierunku... i niemal natychmiast zamarłem w bezruchu.

Powodem był delikatny szmer. Trwał jakiś czas, umilkł, po chwili rozległ się ponownie. Zaczęłam trząść się jak galareta, poczułam się tak, jakbym znowu miał cztery lata. Ten odgłos nie dobiegał ze sklepu ani z magazynu; jego źródło znajdowało się za moimi plecami, na zewnątrz. Tam gdzie mgła. Coś przesuwano się wzdłuż ścian, obmacywało je... być może usiłowało dostać się do środka.

A może już się dostało, i teraz zmierzało w moim kierunku? Może za chwilę poczuję to "coś" na nodze... ramieniu... albo na karku?

Znowu. Byłem już pewien, że dźwięk dobiega z zewnątrz, lecz wcale nie poczułem się przez to lepiej. Poleciałem nogom, żeby mnie stąd zabrały... bezskutecznie. Po chwili odgłos nieco się zmienił: to już nie był szmer, to było SKROBANIE. Poczułem serce w gardle, dałem rozpaczliwego susa ku ledwo widocznej kresce światła, z rozmachem pchnąłem dwuskrzydłowe drzwi i wpadłem do sklepu.

Tuż za drzwiami stało parę osób, wśród nich Ollie Weeks. Na mój widok wszyscy cofnęli się gwałtownie, a Ollie chwycił się za pierś.

- David! - zapiszczał. - Jezus, Maria! Mało mi serce nie... - Dopiero teraz zauważył moją minę. - Co ci się stało?

- Słyszeliście to? - Zdawałem sobie sprawę, że mój głos brzmi wysoko i nienaturalnie. - Czy któryś z was to słyszał?

Rzecz jasna, niczego nie słyszeli. Szli właśnie na zaplecze, żeby sprawdzić, co się dzieje z generatorem. Kiedy Ollie mi to wyjaśniał, zjawił się jeden z pakowaczy z naręczem latarek.

- To ja wyłączyłem generator - powiedziałem, a następnie wytłumaczyłem dlaczego.

- A co właściwie usłyszałeś? - zapytał jeden z mężczyzn. Nazywał się Jim cośtam i pracował w przedsiębiorstwie drogowym.

- Nie wiem. Coś jakby skrobanie albo szuranie... W każdym razie wołałbym więcej tego nie słyszeć.

- To tylko nerwy - zawyrokował trzeci mężczyzna. Nie. To nie były nerwy.

- Słyszałeś to, zanim zgasło światło?

- Nie, dopiero potem. Ale...

Ale nic. Bez trudu mogłem odczytać ich spojrzenia. Nie chcieli żadnych dodatkowych niedobrych wiadomości, żadnych niepokojących ani tajemniczych wieści. To, co wydarzyło się do tej pory, całkowicie im wystarczyło. Tylko Ollie patrzył na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby mi wierzył.

- Trzeba tam pójść i go uruchomić - powiedział pakowacz, wręczając nam latarki.

Ollie wziął swoją z niezbyt pewną miną. Chłopak z pogardliwym błyskiem w oku podał mi latarkę. Miał nie więcej niż osiemnaście lat. Wziąłem ją po krótkim wahaniu; wciąż potrzebowałem czegoś, czym mógłbym przykryć Billy'ego.

Ollie otworzył drzwi i zablokował je w tej pozycji, dzięki czemu na zaplecze przedostało się nieco światła. Na podłodze przed uchylonymi drzwiami do pomieszczenia generatora wałały się porozrzucone pudła. Osobnik imieniem Jim pociągnął nosem:

- Rzeczywiście, cuchnie niewąsko. Chyba dobrześ zrobił, że go wyłączyłeś.

Plamy światła z latarek tańczyły i skakały po pudłach z konserwami, paczkach z papierem toaletowym, kartonach z karmą dla psów. Dzięki spalinom, które przedostały się do magazynu z pomieszczenia generatora, również snopy światła były doskonale widoczne. Chłopak na chwilę skierował latarkę na szerokie wrota po prawej stronie.

Dwaj mężczyźni i Ollie weszli za przepierzenie. Widok ich poruszających się niepewnie we wszystkie strony latarek skojarzył mi się ze sceną z jakiejś opowieści przygodowej dla chłopców - jednej z tych, które ilustrowałem podczas studiów. Piraci zakopujący o północy skrzynie ze

zrabowanym złotem albo szalony lekarz wykradający w towarzystwie wiernego asystenta zwłoki z grobu. Na ścianach tańczyły ogromne, zdeformowane cienie, stygnący generator cykał cichutko. Pakowacz zmierzał prosto ku wrotom, świecąc przed siebie latarką.

- Na twoim miejscu nie zbliżałbym się tam - ostrzegłem go.

- Wiem.

- Spróbuj, Ollie - usłyszałem głos jednego z mężczyzn. Generator zawył, zakasłał i ożył.

- Jezu! Wyłącz go, do cholery! Ależ śmierdzi!

Warkot umilkł.

W chwili kiedy tamci wychodzili zza przepierzenia, chłopak wrócił z wyprawy ku wrotom.

- Rzeczywiście, coś musiało zatkać rurę wydechową - powiedział któryś z nich.

- Wiecie co? - Oczy pakowacza lśniły w blasku latarek, a na jego twarzy malował się wyraz zuhowatej pewności siebie, który tak często gościł na obliczach rysowanych przeze mnie bohaterów przygodowych historyjek. - Niech podziała tak długo, żebym zdążył choć trochę podnieść bramę. Wyjdę na zewnątrz, odetkam rurę i będzie po krzyku.

- Norm, nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł - mruknął z powątpiewaniem Ollie.

- Ta brama działa na prąd? - zapytał Jim.

- Tak, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek powinien...

- W porządku - odezwał się ten trzeci i przekrzywił baseballową czapkę. - Ja to załatwię.

- Nie rozumiecie mnie - zaczął od nowa Ollie. - Naprawdę nie wydaje mi się, żeby...

- Nic się nie przejmuj - przerwał mu pobłażliwym tonem ten w czapce.

- Ale to przecież mój pomysł! - zaprotestował z oburzeniem Norm.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęli się spierać nie o to, czy w ogóle należy coś takiego robić, lecz o to, kto się tego podejmie. No tak, żaden z nich nie słyszał tego złowieszczonego szmeru...

- Przestańcie! - powiedziałem głośno. Umilkli i spojrzeli na mnie.

- Niczego nie rozumiecie, albo robicie, co tylko można, żeby nie zrozumieć. To nie jest zwyczajna mgła! Od chwili gdy się pojawiła, nikt nie dotarł do sklepu. Jeśli otworzycie te wrota i coś dostanie się do środka...

- Na przykład co? - przerwał mi Norton pogardliwym tonem osiemnastoletniego macho.

- Na przykład to, co wydawało odgłosy, które słyszałem.

- Panie Drayton... - włączył się Jim - proszę mi wybaczyć, ale nie wydaje mi się, żeby pan coś słyszał. Wiem, że jest pan wielkim artystą ze znajomościami w Nowym Jorku, Hollywood i wszędzie, ale to jeszcze nie znaczy, że jest pan inny od nas wszystkich. Mnie tam się wydaje, że wszedł pan tu po ciemku i... no... trochę się pogubił.

- Możliwe - odparłem. - Mimo to sądzę, że jeśli chcecie się popisywać odwagą, powinniście przede wszystkim odprowadzić do domu tamtą kobietę.

Zachowanie Jima, jego koleżki oraz Norma coraz bardziej mnie irytowało i równocześnie przerażało. W ich oczach płonęły te same ogniki co w oczach mężczyzn, którzy zabawiają się strzelaniem do szcurków na wysypiskach.

- Jak będziemy chcieli pańskiej rady, sami się po nią zgłosimy - poinformował mnie koleżka Jima.

- Ten generator wcale nie jest taki ważny - powiedział z wahaniem Ollie. - Zamrażarki powinny wytrzymać nawet do dwunastu godzin bez...

Jim nie pozwolił mu dokończyć.

- Dobra, idzie dzieciak - warknął. - Ja uruchomię maszynę, ty podniesiesz bramę, żeby tak nie cuchnęło, a potem ja z Myronem stanę przy ścianie, tam gdzie wchodzi w nią rura. Zawołaj, jak ją odetkasz.

- Jasne - odparł Norm i odszedł, pogwizdując dziarsko.
- To szaleństwo! - zaprotestowałem. - Pozwoliliście, żeby tamta kobieta wyszła całkiem sama, a teraz...

- Nie zauważyłem, żebyś ty zgłosił się na ochotnika - wycedził Myron. Spod kołnierzyka zaczął mu wypęczać na kark krwistoczerwony rumień.

- ...ten dzieciak ma ryzykować życie, żeby uruchomić jakiś zakichany generator?

- Może tak byś się wreszcie zaniknął, do cholery?! - ryknął Norton.

- Słuchaj no pan - powiedział Jim z lodowatym uśmiechem. - Jeśli chcesz pan jeszcze marudzić, to policz pan najpierw zęby, bo jak słowo daję, mam już dosyć tego pieprzenia!

Ollie bez słowa wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi ze strachu oczami. Wzruszyłem ramionami; oszaleli, i tyle. Chwilowo stracili umiejętność racjonalnego myślenia. Tam, w sklepie, byli zdezorientowani i przerażeni - tutaj napotkali prosty, zrozumiały problem: zepsuty generator. Ten problem był rozwiązywalny, dzięki czemu mogli odzyskać nieco pewności siebie i wiary w swoje siły. W związku z tym postanowili go rozwiązać, i tyle.

Jim i Myron uznali chyba, że wystarczająco wyraźnie wskazali mi, gdzie moje miejsce, ponieważ wrócili do pomieszczenia generatora.

- Jesteś gotów, Norm? - zawołał Jim.

Chłopak skinął głową, ale zaraz uświadomił sobie, że tamci go nie widzą.

- Tak! - odpowiedział.

- Nie bądź głupi - ostrzegłem go.

- Popelniasz błąd - zawtórował mi Ollie.

Nagle odniosłem wrażenie, że ma znacznie mniej niż osiemnaście lat. Wyglądał jak mały chłopiec. Jabłko Adama wędrowało mu gwałtownie w górę i w dół; był śmiertelnie przerażony.

Otwierał już usta, żeby coś powiedzieć (przypuszczam, iż zamierzał się wycofać), lecz w tej samej chwili generator ożył, chłopak zaś odwrócił się na pięcie i wdusił przycisk na ścianie.

Metalowe segmenty bramy z donośnym klekotaniem ruszyły w górę. Awaryjne oświetlenie, które zaczęło działać zaraz po uruchomieniu generatora, teraz nieco przygasło, gdyż znaczną część energii zabrał silnik podnośnika.

Cienie uciekły wstecz i zaczęły się rozplýwać, ustępując przed rozproszonym blaskiem jakby pochmurnego zimowego popołudnia. Znowu poczułem dziwny, kwaśny zapach.

Brania uniosła się na pół metra... metr... Tuż za nią zaczynała się betonowa rampa wyładowcza o krawężniach oklejonych żółtą odblaskową taśmą. Jaskrawa żółć rozmywała się bez śladu zaledwie w odległości metra od progu. Mgła była nieprawdopodobnie gęsta.

- Wystarczy! - zawołał Norm.

Do wnętrza wcisnęły się smugi mgły, białe i delikatne jak ruchome koronki. Powietrze było zimne - nie chłodne, jak rankiem, szczególnie w porównaniu z niedawnymi upałami, ale po prostu zimne. Jak w marcu. Zadrzałem... i pomyślałem o Steff.

Generator umilkł. W tej samej chwili, kiedy Norm wyslizgnął się na zewnątrz, do magazynu wrócił Jim. Dzięki temu zobaczył to samo co ja i Ollie.

Z mgły spowijającej skraj rampy wyładowczej wyłoniła się macka i owinęła się wokół tydki chłopca. Ze zdumienia otworzyłem usta, Ollie zaś beknął coś niezrozumiale. W końcowej części macka przypominała grubością okazałego węża, ale już tam gdzie nikła w białym tumanie, miała co najmniej metr obwodu. Była stalowoszara z wierzchu i różowa od spodu w miejscu, gdzie znajdowały się przysawki, poruszające się niczym setki maleńkich, spragnionych ust.

Norm spojrział w dół, a kiedy zobaczył, co go złapało, oczy mało nie wyszły mu z orbit.

- Zabierzcie to!!! - wrzasnął przeraźliwie. - Jezu przenajświętszy, zabierzcie to ze mnie!

- O Boże... - zaskamlał Jim.

Norm chwycił dolną krawędź bramy i usiłował wciągnąć się do środka, lecz macka gwałtownie pogrubiła jak naprężony biceps i pociągnęła chłopaka w kierunku rampy. Uderzył głową w metalowy panel, po czym zaczął wysuwać się na zewnątrz. Zahaczył spodniami o wystający fragment drzwi, tkanina opierała się przez chwilę, wreszcie pękła z trzaskiem. Norm szarpnął się rozpaczliwie i z najwyższym trudem począł odzyskiwać stracony teren, niczym człowiek podciągający się na drążku.

- Pomóżcie mi! - łkał rozpaczliwie. - Ludzie, na litość boską, pomóżcie!

- Święta Mario i Józefie! - wykrztusił Myron, który właśnie wyszedł z pomieszczenia generatora i zobaczył, co się dzieje.

Byłem najbliżej, chwyciłem więc Norma w pasie i pociągnąłem ze wszystkich sił. Przez chwilę wydawało mi się, że go mam... ale tylko przez chwilę. To było jak rozciąganie grubej gumowej liny; macka nieco ustąpiła, lecz nie zwolniła uchwytu. Zaraz potem z mgły błyskawicznie wyłoniły się trzy kolejne: jedna z nich zdarła z chłopaka czerwony służbowy fartuch i powiewając nim jak sztandarem, natychmiast znikła w mlecznych tumanach. Ten widok przywiódł mi na myśl ulubione powiedzenie matki, po które sięgała wtedy, kiedy ja albo mój brat uparcie domagaliśmy się czegoś, czego nie chciała albo nie mogła nam dać: "Potrzebne to wam jak flaga kurze". Skojarzenie było tak niespodziewane i niezwykle, że parsknąłem śmiechem... ale podejrzewam, że mój śmiech i przeraźliwe wrzaski Norma brzmiały niemal tak samo. Chyba nikt oprócz mnie nie wiedział, że się śmieję.

Dwie pozostałe macki przez jakiś czas wiły się na oślep po rampie, czemu towarzyszyły te same szeleszcząco-skrobiące odgłosy, które słyszałem wcześniej, aż wreszcie jedna z nich przypadkowo dotknęła biodra Norma i natychmiast owinęła się wokół jego uda. Przy okazji musnęła także moją rękę: była ciepła, gładka i pulsowała. Teraz jestem już prawie pewien, że gdyby zahaczyła mnie przyssawkami i pociągnęła, spotkałby mnie ten sam los co Norma. Nie uczyniła tego jednak. Chwyciła chłopaka, trzecia macka natomiast uczepliła się jego kostki. Znowu zaczął mi się wyslizgiwać z rąk.

- Pomocy! - krzyknąłem. - Ollie! Wy, tam! Pomóżcie!

Nie pomogli. Nie wiem, co robili, ale nie pomogli.

Przyssawki macki, która obejmowała Norma w pasie, zaczęły się wgryzać w jego ciało. Krew miała identyczną barwę jak porwany przez tajemniczego stwora fartuch.

Uderzyłem głową w dolną krawędź częściowo podniesionej bramy.

Nogi chłopaka znowu znalazły się na zewnątrz, spadł mu jeden but. Z mgły wyłoniła się kolejna macka, chwyciła but i natychmiast z nim znikła. Norm kurczowo zaciskał zbielełe palce na krawędzi bramy. Już nie krzyczał, tylko w geście rozpaczliwego protestu miotał głową w lewo i prawo. Długie ciemne włosy powiewały dziko.

Z mgły wypęłzały kolejne macki, mnóstwo macek. Większość była nieduża, kilka jednak miało gigantyczne rozmiary; średnicą z pewnością dorównywały porośniętemu mchem pniowi drzewa, które burza zwała na podjazd przed naszym domem, i miały różowe przyssawki wielkości żeliwnych przykryw na włazy do kanałów. Jedna z największych opadła z łoskotem na rampę, po czym zaczęła pełznąć ku nam niczym ogromna dżdżownica. Szarpnąłem z nadludzka siłą, lecz osiągnąłem tylko tyle, że macka owinięta wokół prawej łydki chłopaka na chwilę zwolniła uchwyt. Zanim sekundę później zacisnęła się ponownie, zdążyłem dostrzec otwarte, krwawiące rany na jego ciele.

Jedna z macek delikatnie otarła się o mój policzek, a następnie zakołysała się lekko, jakby się zastanawiała. W tej samej chwili przypomniałem sobie o Billym, którego zostawiłem pogrążonego we śnie na podłodze przy ladzie chłodniczej z mięsem. Przyszedłem tu w

poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym go przykryć. Gdyby któraś z tych macek mnie porwała, nie zostałby nikt, kto by się nim zaopiekował - no, może nie licząc Nortona.

Puściłem więc chłopaka i podparłem się rękami.

Znajdowałem się dokładnie pod uniesioną bramą. Tuż obok mnie przemknęła jeszcze jedna macka (można było odnieść wrażenie, że wędruje na różowych przysawkach), opadła na nabrzmiałe ramię Norma, znieruchomiła na chwilę, po czym owinęła się wokół niego kilka razy. Chłopak wyglądał jak postać z koszmarnego snu zaklinacza węży. Niezliczone macki wiły się wokół niego... i wokół mnie. Niezdarnie odskoczyłem w bok, wylądowałem na boku, przeturlałem się dwa razy: Jim, Myron i Ollie tkwili bez ruchu niczym woskowe posągi z salonu madame Tussaud, z pobladłymi twarzami i wybałuszonymi oczami.

- Włączcie generator! - ryknąłem.

Nawet nie drgnęli. Jak zahipnotyzowani śledzili rozwój wydarzeń przy bramie.

Zacząłem po omacku szukać wokół siebie, chwyciłem pierwszą rzecz, jaka wpadła mi w ręce - pudełko z wybielaczem - i cisnąłem nim w Jima. Trafiło go w brzuch tuż nad klamrą paska. Stęknął, zgiął się wpół, a jego oczy odzyskały w miarę normalny wyraz.

- Włącz ten pieprzony generator! - wrzasnąłem tak głośno, że aż zabołało mnie gardło.

Nadal tkwił bez ruchu przy drzwiach, za to zaczął gadać jak najęty. Przypuszczalnie doszedł do wniosku, że właśnie teraz, kiedy jakiś trudny do wyobrażenia potwór pożera Norma żywcem, nadeszła pora na mowy obrończe.

- Przepraszam... Nie wiedziałem... Naprawdę nie wiedziałem, skąd miałem wiedzieć?... Mówiłeś, że coś słyszałaś, ale ja myślałem, że to nic takiego, trzeba było powiedzieć, co to było... Przecież to mógł być ptak albo...

Ollie ruszył jak błyskawica, odepchnął go potężnym ramieniem, wpadł do pomieszczenia generatora. Jim zatoczył się do tyłu, potknął o jedno z pudeł i rozciągnął się jak długi na podłodze, tak samo jak ja w ciemności.

- Przepraszam... Naprawdę nie wiedziałem... - mamrotał wciąż pod nosem.

Rude włosy miał zmierzwiłone i nastroszone, twarz śmiertelnie bladą, oczy przerażonego chłopca. Dwie, może trzy sekundy później generator zakasłał i ożył.

Odwróciłem się w kierunku bramy. Norm rozpaczliwie trzymał się jedną ręką, choć już prawie nie było go widać spod wijących się macek, a na betonową rampę obficie spływała krew. Wciąż rozpaczliwie kręcił głową i wpatrywał się w mgłę przerażonymi, wybałuszonymi oczami.

Kilkanaście macek wpełzło do wnętrza magazynu. W pobliżu przycisku służącego do opuszczania bramy kłębiło się ich tak wiele, że nawet nie było co marzyć o tym, żeby tam podejść. Jedna z nich owinęła się wokół półlitrowej butelki pepsi i umknęła z nią na zewnątrz, inna ścisnęła kartonowe pudło, z którego wysypało się mnóstwo rolek papieru toaletowego. Jeszcze inne natychmiast rzuciły się na umykającą zdobycz.

Najgrubsza macka oderwała się od podłogi, uniosła, zamarła na chwilę bez ruchu, jakby węszyła, po czym powoli ruszyła w kierunku Myrona, któremu na ten widok mało oczy nie wyszły z orbit. Skwapliwie usunął się jej z drogi, a z jego ust wydobył się piskliwy jęk.

Rozejrzałem się dokoła w poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym dosięgnąć do przycisku, poniżej którego wiły się macki. Dostrzegłem opartą o ścianę szczotkę na długim kijku, chwyciłem ją i wróciłem do bramy.

Norm był już na zewnątrz, na rampie, gdzie rozpaczliwie usiłował chwycić się czegokolwiek wygiętymi jak szpony palcami. Przez ułamek sekundy patrzyliśmy sobie prosto w oczy: miał zupełnie przytomne spojrzenie. Doskonale wiedział, co się z nim dzieje. Chwilę później, wciąż dziko wymachując rękami, zniknął we mgle. Usłyszeliśmy jeszcze jeden przeraźliwy, urwany raptownie krzyk, po czym zapadła cisza.

Weisnąłem guzik kijem od szczotki, elektryczny silnik zawył, brama zaczęła się powoli opuszczać. Jej krawędź najpierw zetknęła się z najgrubszą macką - tą, która wędrowała w kierunku Myrona. Metal bez większego trudu przeciął szarą skórę, z rany popłynęła czarna gęsta ciecz. Macka zaczęła uderzać w lewo i w prawo jak ogromny bicz, po czym nagle jakby sflaczała i chwilę później znikła na zewnątrz. Pozostałe poszły w jej ślady.

Jedna z nich ścisnęła dwukilogramową torbę z karmą dla psów i nie porzuciła jej aż do końca, w związku z czym opadająca brama przecięła ją jak nożem. Oddzielony fragment skurczył się raptownie, rozerwał torbę, z której wysypały się brązowe kulki, następnie przez jakiś czas miotał się po posadzce niczym wyjęta z wody ryba, aż wreszcie znieruchomiał. Kiedy ostrożnie trąciłem mackę kijem od szczotki, chwyciła go na kilka sekund, po chwili jednak znieruchomiała na dobre wśród rolek papieru toaletowego, pudeł i rozsypanej karmy dla psów.

Słysząc tylko warkot generatora i dobiegający zza przepierzenia płacz Olliego. Widziałem go przez otwarte drzwi; siedział pochylony na stołku, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Wtem uświadomiłem sobie, że słyszę coś jeszcze: ten sam delikatny, szeleszczący odgłos, który tak bardzo przeraził mnie w ciemności. Tyle że teraz był co najmniej dziesięciokrotnie donośniejszy. Wydawały go macki, wijące się wściekle na zewnątrz w poszukiwaniu drogi do środka.

Myron zrobił kilka kroków w moją stronę.

- Posłuchaj... Zrozum, ja...

Zdzieliłem go pięścią w twarz. Był tak zaskoczony, że nawet nie próbował się zasłonić. Trafiłem w górną wargę, rozgniatając ją na zębach. Z ust popłynęła krew.

- Zabiłeś go! - wrzasnąłem. - Chociaż dobrze się przyjrzałeś? Widziałeś wszystko dokładnie?

Waliłem go na oślep, byle mocniej, jakby w college'u nigdy nie uczono mnie podstaw boksu.

Cofał się powoli, zasłaniał bez przekonania, z rezygnacją albo pokorą, tak że większość uderzeń docierała do celu. To jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło. Rozkwaśłem mu nos, podbiłem oko, z całej siły grzmotnąłem w szczękę. Po tym ciosie na chwilę go zamroczyło.

- Posłuchaj... - mamrotał uparcie. - Posłuchaj... Zaraz potem trafiłem w żołądek, zgiął się wpół, głośno wypuścił powietrze i umilkł. Nie mam pojęcia, jak długo bym jeszcze go bił, gdyby ktoś nie chwycił mnie za ramiona. Szarpnąłem się gwałtownie i odwróciłem w nadziei, że to Jim, ponieważ jemu też bym z rozkoszą przyłożył. Okazało się jednak, że to nie Jim, lecz Ollie ze śmiertelnie bladą twarzą, na której tym bardziej widoczne były ciemne kręgi pod mokrymi od łez oczami.

- Przestań, Davidzie - powiedział. - Zostaw go. To nic nie da.

Oszołomiony Jim stał nieco z boku. Kopnąłem w tamtą stronę któreś z pudeł; odbiło się od jego turystycznych butów i znieruchomiało.

- Ty i twój koleś jesteście cholernymi durniami! - poinformowałem go.

- Daj spokój - powtórzył Ollie znękanym głosem. - To nic nie da.

- We dwóch zabiliście tego chłopaka!

Jim spuścił wzrok, Myron usiadł na podłodze i objął wydatny brzuch. Oddychałem szybko, krew tętniła mi w uszach, trząsałem się jak galareta. Usiadłem na stercie pudeł, opuściłem głowę między kolana i z całej siły chwyciłem się za kostki. Trwałem tak kilka minut, czekając, aż zemdleję, zwymiotuję albo zrobię jeszcze coś innego.

Wreszcie paskudne uczucie zaczęło mnie powoli opuszczać. Podniosłem głowę i spojrzałem na Olliego; w przyćmionym blasku świateł awaryjnych jego sygnet zdawał się żarzyć jak rozpalony węgiel.

- W porządku - bąknąłem. - Już mi minęło.

- To dobrze - powiedział Ollie. - Teraz musimy się zastanowić, co dalej.

Powietrze znowu zrobiło się sine od spalin.

- Przede wszystkim trzeba wyłączyć generator.

- Jasne, a potem spadajmy stąd - odezwał się Myron, po czym zerknął na mnie błagalnie. -

Okropnie mi przykro z powodu tego dzieciaka, lecz musisz zrozumieć...

- Niczego nie muszę zrozumieć. Wracajcie do sklepu, ale zaczekajcie przy szafie z piwem. I nikomu ani słowa. Jeszcze nie.

Posłuchali bez szemrania, zgarbieni wyszli przez dwuskrzydłowe drzwi. Po kilku sekundach Ollie wyłączył generator. Zanim światła zgasły, dostrzegłem grubego koca - taki, jakich używa się podczas przeprowadzek do owijania cennych mebli - rzucony był jak na piramidę skrzynek z pustymi butelkami po wodzie mineralnej. Wziąłem go dla Billy'ego.

Posapując i powłócząc nogami, Ollie wyszedł z pomieszczenia generatora. Jak wiele osób cierpiących na nadwagę, on także oddychał z lekkim poświstywaniami.

- Jesteś tu, Davidzie? - zapytał nieco drżącym głosem.

- Tak. Uważaj na pudła.

- Dobra.

Pół minuty później dotarł do mnie, położył mi rękę na ramieniu i westchnął głęboko.

- Boże, chodźmy stąd jak najprędzej. - Jego oddech pachniał gumą do żucia. - Ta ciemność jest... paskudna.

- Zgadza się - odparłem. - Wytrzymaj jeszcze chwilę, Ollie. Chcę z tobą porozmawiać z dala od tamtych dwóch idiotów.

- Dave, oni do niczego go nie zmuszali. Pamiętaj o tym. - Pewnie masz rację, ale ty z kolei pamiętaj o tym, że to był jeszcze dzieciak. Trudno, co się stało, już się nie odstanie. Musimy im powiedzieć, Ollie. Ludziom w sklepie.

- A jeżeli wpadną w panikę?

- Może wpadną, może nie, ale przynajmniej pomyślą dwa razy, zanim zdecydują się wyjść na zewnątrz, do czego większość aż się pali. Wcale im się zresztą nie dziwię: w domach zostawili najbliższych. Ja zresztą też. Muszą zrozumieć, co ryzykują, wychodząc w tę mgłę.

Tłuste palce jeszcze mocniej zacisnęły się na moim ramieniu.

- No tak... - wysapał. - Wciąż nie mogę pojąć... Te wszystkie macki, jakby ośmiornicy albo czegoś w tym rodzaju... Słuchaj, z czego one wyrastały?

- Nie mam pojęcia, wołałbym jednak, żeby tamci dwaj nie zdążyli przedstawić swojej wersji wydarzeń. Panikę mielibyśmy jak w banku. Ruszamy.

Rozejrzałem się uważnie dokoła i wkrótce dostrzegłem wąską pionową smugę dziennego światła między skrzydłami drzwi. Ostrożnie skierowaliśmy się w tym kierunku, uważając, by nie potknąć się o któreś z rozrzuconych na podłodze pudeł. Palce Olliego ani na chwilę nie zwolniły uścisku. Nagle uświadomiłem sobie, że wszyscy pogubiliśmy latarki.

- To, co widzieliśmy... - zaczął szeptać, kiedy od drzwi dzieliło nas zaledwie kilka kroków. - To niemożliwe, prawda, Davidzie? Nawet gdyby podjechała wielka ciężarówka z oceanarium w Bostonie i wyrzuciła na rampę jakąś ogromną ośmiornicę, jak z "20 000 mil podmorskiej żeglugi", to ona zaraz by umarła, prawda? Po prostu umarłaby, i już!

- Zgadza się.

- Więc co to było? Co to było, do wszystkich diabłów? I co to za cholerna mgła?

- Nie mam pojęcia, Ollie. Otworzyliśmy drzwi.

5. SPRZECZKA Z NORTONEM. DYSKUSJA PRZY SZAFIE Z PIWEM. WERYFIKACJA.

Jim i jego koleś Myron stali tuż za drzwiami, każdy z budweiserem w łapie. Billy wciąż spał, więc delikatnie przykryłem go kocem. Poruszył się nieco, wymamrotał coś przez sen i znieruchomiał. Zerknąłem na zegarek: kwadrans po dwunastej. W pierwszej chwili pomyślałem, że to niemożliwe, że poszukiwania koca zajęły mi co najmniej pięć godzin... W rzeczywistości upłynęły zaledwie trzy kwadransy.

Wróciłem do Olliego, Jima i Myrona. Ollie otworzył dwa piwa, dla siebie i dla mnie. Jednym haustem opróżniłem połowę puszki, zupełnie jak rano, podczas cięcia drewna. Trochę podniosło mnie to na duchu.

Jim miał na nazwisko Grodin, Myron zaś - LaFleur; zabawne, zważywszy na okoliczności. Twarz Myrona-kwiatuszka zdobiła zaschnięta krew, podbite oko było już pięknie podpuchnięte.

Przechodząca właśnie obok nas dziewczyna w żurawinowej bluzie obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. Mógłbym jej wyjaśnić, że Myron stanowi zagrożenie wyłącznie dla nastolatków pragnących za wszelką cenę dowieść swojej męskości, ale się powstrzymałem. Ollie miał jednak rację: oni naprawdę robili to, co uważali za słuszne, tyle że z przerażenia i na oślep, bez odrobiny zastanowienia. Teraz musiałem nakłonić ich to tego, żeby robili to, co ja uważałem za właściwe. Nie powinienem mieć z tym najmniejszych kłopotów: obaj wyglądali tak, jakby uszło z nich powietrze. Po żadnym, a już na pewno nie po Myronie-kwiatuszku, przez jakiś czas nie należało się spodziewać choćby odrobiny inicjatywy. To coś, co błyszczało w ich oczach, kiedy wysyłali Norma na zewnątrz, żeby odetkał zapchaną rurę wydechową, znikło bez śladu. Uszło z nich powietrze.

- Trzeba będzie coś powiedzieć tym ludziom - zauważyłem. Jim otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nie dopuściłem go do głosu. - Ollie i ja przemilczymy wasz udział w wysłaniu Norma na zewnątrz, pod warunkiem jednak, że poprzecie wszystko, co opowiemy o tym... o tym, co go porwało.

- Jasne - przyklasnął mi skwapliwie Jim. - Trzeba ich ostrzec, bo będą chcieli wyjść stąd, jak... jak ta kobieta, która... która... - Otarł sobie usta dłonią i pociągnął łyk piwa. - Jezu, co za burdel!

- Davidzie... - Ollie zawahał się, po czym postanowił jednak dokończyć: - A co będzie, jeśli... jeśli te macki dostaną się do środka?

- Niby jak? - zapytał Jim. - Przecież zamknęliście bramę.

- Jasne, ale od frontu są same szyby - odparł Ollie. Poczuję się tak, jakby jakaś superszybkobieżna winda w ciągu sekundy zwiozła mnie dziesięć pięter w dół. Naturalnie przez cały czas wiedziałem o szybach, ale jakoś udawało mi się o tym nie myśleć. Spojrzałem na pogrążonego we śnie Billy'ego, przypomniałem sobie macki wijące się wokół Norma i wyobraziłem sobie, że to samo co jemu przydarzyło się mojemu synowi.

- Szyby - powtórzył szeptem Myron LaFleur. - Święty Jezu na deskorolce!

Zostawiłem ich przy chłodziarce z piwem, zajętych opróżnianiem kolejnych puszek, sam zaś wyruszyłem na poszukiwanie Brenta Nortona. Odnalazłem go przy kasie numer dwa, pogrążonego w rzeczowej rozmowie z Budem Brownem. Wyglądali jak postacie z dowcipu rysunkowego z "New Yorkera" - Norton ze starannie przystrzyżonymi szpakowatymi włosami i prezencją postarzałego ogiera i Brown ze swoją ascetyczną fizjonomią mieszkańca Nowej Anglii. Między kasami a ogromnymi szklanymi taflami kłębiło się kilkanaście osób. Większość spoglądała niespokojnie przez szyby na białą jak mleko mgłę. Ponownie nasunęło mi się skojarzenie z gapiami zgromadzonymi wokół placu budowy.

Pani Carmody siedziała na nieruchomym taśmociągu przy jednej z kas, paląc parlamenta z filtrem. Jej wędrujące spojrzenie spoczęło na mnie, ale ponieważ nie wykazałem chęci nawiązania rozmowy, przesunęło się dalej. Wyglądała tak, jakby śniła na jawie.

- Brent!

- David! Gdzie zniknąłeś, u licha?

- Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać.

- Przy szafie z piwem stoją ludzie i piją - powiedział Brown takim tonem, jakby informował nas o tym, że na zebraniu kółka parafialnego wyświetlano filmy pornograficzne. - Widzę ich w lustrze. Trzeba coś z tym zrobić.

- Brent...

- Wybacz pan, panie Brown?

- Oczywiście. - Skrzyżował ramiona na piersi i z ponurą miną zapatrzył się w zawieszone u sufitu lustro, pozwalające obsłudze dyskretnie obserwować zachowanie klientów w głębi sklepu. - Już ja coś z tym zrobię, daję słowo.

Poprowadziłem Nortona wzdłuż regałów w kierunku chłodziarki z piwem. Po drodze obejrzałem się tylko raz, ale w zupełności mi to wystarczyło: ramy ogromnych okien były coraz bardziej powyginane i popękane, a jedna z szyb (przypomniałem to sobie dopiero teraz) została poważnie uszkodzona podczas tajemniczego tąpnięcia. Być może otwór dałoby się czymś załatać, na przykład damskimi bluzkami po 3,95, które widziałem na jednej z półek, albo...

Raptownie zasłoniłem ręką usta, jakbym poczuł, że za chwilę beknę, ale w rzeczywistości zrobiłem tak po to, by powstrzymać histeryczny chichot, który nie wiedzieć czemu wezbrał we mnie na myśl o tym, że można by bronić się przed koszmarnymi mackami, zatykając dziurę w oknie kłębami damskich bluzek. Przecież na własne oczy widziałem, jak jedna z tych macek bez najmniejszego trudu rozszarpała torbę z karmą dla psów.

- Davidzie, co z tobą?

- Słucham?

- Miałeś taką minę, jakbyś właśnie wpadł na doskonały pomysł... Albo na taki, który do niczego się nie nadaje.

W tej samej chwili naprawdę coś mi przyszło do głowy.

- Słuchaj, co się stało z tym człowiekiem, który krzyczał, że coś porwało Johna Lee Frovina?

- Z tym z rozkwaszonym nosem? - Aha.

- Zemdłał, ale Brown dał mu do wachania jakieś sole trzeźwiące.

- Powiedział coś jeszcze, kiedy doszedł do siebie?

- Znowu zaczął bredzić o tej swojej halucynacji, więc Brown zaprowadził go do biura, żeby nie straszył ludzi. Poszedł całkiem chętnie, szczególnie kiedy się dowiedział, że jest tam tylko jedno małe okienko, w dodatku zakratowane. Myślę, że wciąż tam siedzi.

- To wcale nie była halucynacja.

- Tak, tak, oczywiście...

- A tąpnięcie? Wszyscy je odczuliśmy.

- Owszem, ale...

On się boi, przypomniałem sobie. Nie wściekaj się na niego, dziś już raz to zrobiłeś i wystarczy. Nie wściekaj się, ponieważ wtedy będziesz taki sam jak on podczas tej idiotycznej kłótni o granicę działki: najpierw wyniosły, potem sarkastyczny, a na koniec, kiedy już stało się jasne, że przegra, po prostu wstętny. Nie wściekaj się na niego, bo jeszcze będziesz go potrzebował. Być może nie potrafi uruchomić piły spalinowej, ale wygląda jak archetyp ojca rodziny i jeśli powie ludziom, żeby zachowali spokój, to będą spokojni. Dlatego właśnie nie wściekaj się na niego.

- Widzisz te dwuskrzydłowe drzwi za chłodziarką z piwem?

Spojrzał w tamtą stronę ze zmarszczonymi brwiami.

- Czy jeden z tych, którzy piją, to nie Weeks, zastępca kierownika? Jeśli Brown to zobaczy, wyleje go na zbity pysk.

- Brent, czy ty mnie słuchasz? Zerknął na mnie z roztargnieniem.

- Mówiłeś coś, Dave? Przepraszam.

Na razie jeszcze nie miał za co przepraszać.

- Pytałem, czy widzisz te drzwi?

- Jasne. Co z nimi?

- Prowadzą do magazynu, który zajmuje całą zachodnią część budynku. Billy zasnął, więc poszedłem tam, żeby poszukać czegoś, czym mógłbym go przykryć...

Opowiedziałem mu wszystko, pomijając jedynie kłótnię o to, czy Norm w ogóle powinien wychodzić na zewnątrz. Opowiedziałem, co dostało się do środka i jakiś czas później opuściło magazyn. Brent nie uwierzył w ani jedno moje słowo. Nawet nie próbował uwierzyć.

Zaprowadziłem go do Jima, Olliego i Myrona, którzy potwierdzili moją relację, chociaż zarówno Jim, jak i Myron-kwiatuszek mieli już mocno w czubie.

Norton nadal trwał w swoim uporze. Zaparł się jak osioł.

- Nie - powtarzał. - Nie, nie nie! Wybaczcie, panowie, ale to kompletna bzdura. Albo usiłujecie mnie nabrać... - obdarzył nas wyrozumiałym uśmiechem, który miał oznaczać, że nie ma nam tego za złe i chętnie pośmieje się razem z nami - ...albo padliście ofiarami jakiejś zbiorowej hipnozy czy czegoś w tym rodzaju.

Znowu ogarnęła mnie wściekłość, lecz zdołałem na nią zapanować, choć z wielkim trudem. Nie wydaje mi się, żebym na co dzień dawał łatwo wyprowadzić się z równowagi, lecz tym razem sytuacja była wyjątkowa. Głowę miałem zaprzątniętą nie tylko myślami o Billym, ale i o tym, co się teraz działo - albo co już się stało - ze Stephanie. Nie przestawało mnie to gryźć nawet na chwilę.

- Dobra - westchnąłem. - Chodź tam z nami. Na podłodze leży odcięty fragment macki, a pozostałe doskonale słychać. Skrobą po ścianach i suficie, zupełnie jakby wiatr szeleścił w krzakach.

- Nie - odparł po prostu.

Byłem prawie pewien, że się przesłyszałem.

- Co takiego? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Powiedziałem "nie" - powtórzył spokojnie. - Nie pójdę tam. Przesadziliście z tymi żartami.

- Brent, daję ci słowo honoru, że to nie żarty!

- Oczywiście, że żarty! - parsknął, popatrzył na Jima, Myrona, Olliego Weeksa (który wytrzymał jego spojrzenie bez mrugnienia), by wreszcie ponownie skierować wzrok na mnie. -

Przypuszczalnie wy, miejscowi, nazywacie to "wdechową zabawą", prawda, Dave?

- Posłuchaj, Brent...

- Nie, to ty posłuchaj! - Mówił głośno i dobitnie, jak na sali sądowej. Jego doskonale słyszalny głos sprawił, że sporo podenerwowanych, zdezorientowanych osób zaczęło się nam przyglądać albo nawet skierowało się w naszą stronę. Norton akcentował każde zdanie ruchem wycelowanego we mnie palca wskazującego. - To głupi żart. Podłożyliście mi skórkę od banana i czekacie, aż się poślizgnę. Nie przepadacie za obcymi, prawda? Trzymacie się razem, nie lubicie przyjezdnych. Przekonałem się o tym już wtedy, kiedy zaciągnąłem cię do sądu, żeby dostać to, co mi się prawnie należało. Przegrałem, bo jakżeby inaczej? Twój ojciec był znanym artystą, to twoje miasto, a ja tu tylko płacę podatki i wydaję swoją forszę!

Już nie grał, już nie popisywał się adwokackimi sztuczkami, tylko prawie krzyczał, balansując na krawędzi hysterii. Ollie Weeks odwrócił się i odszedł bez słowa z piwem w garści, Myron i Jim gapili się na Nortona ze szczerym zdumieniem.

- I co, mam niby pójść na zaplecze i podziwiać jakąś gumową imitację ośmiornicy, a te dwa parobki będą tu zaśmiewać się do rozpuku?

- Ejże, kto tu niby jest parobkiem? - zapytał podejrzliwie Myron.

- Jeśli chcesz znać prawdę, to cieszę się, że drzewo zgmiotło tę twoją cholerną szopę na łodzie. Naprawdę się cieszę! - Uśmiechał się drapieźnie. - Jestem zachwycony! A teraz zejź mi z drogi! Usiłował precyzyjnie się obok mnie, ale chwyciłem go za ramiona i pchnąłem na szafę z piwem. Jakaś kobieta kwaknęła z zaskoczenia, dwa sześciopaki runęły na podłogę.

- Przetkaj sobie uszy, Brent, i słuchaj, co do ciebie mówię! Tutaj chodzi o życie mnóstwa ludzi, w tym mojego syna. Albo mnie wysłuchasz, albo zrobię z ciebie befsztyk!

- Dalej, proszę bardzo! - parsknął Norton z desperacką, idiotyczną odwagą. Nabiegłe krwią oczy mało nie wyskoczyły mu z orbit. - Pokaż wszystkim, jaki jesteś dzielny i silny! Daj wycisk człowiekowi, który ma wadę serca i mógłby być twoim ojcem!

- W dziób go! - wykrzyknął Jim. - Pieprzyć jego wadę serca! Założę się, że taki tani papuga z Nowego Jorku w ogóle nie ma serca!

- Nie wtrącaj się! - warknąłem, po czym znowu skoncentrowałem uwagę na Nortonie. Staliśmy tak blisko siebie, że mógłbym go pocałować, naturalnie gdyby taki pomysł przyszedł mi do głowy. Chociaż chłodziarka nie działała, wionęło od niej zimnem. - Przestań się wygłupiać. Dobrze wiesz, że mówię prawdę.

- Niczego... nie wiem... - wysapał.

- Kiedy indziej i gdzie indziej może dałbym ci spokój. Nie obchodzi mnie, jak bardzo się boisz, i nie staram się załatwić dawnych porachunków. Ja też się boję, ale potrzebuję twojej pomocy. Czy to do ciebie dociera, do jasnej cholery? Potrzebuję twojej pomocy!

- Puść mnie!

Chwyciłem go za koszulę na piersi i potrząsałem.

- Naprawdę niczego nie rozumiesz? Jeśli ich nie powstrzymamy, ludzie zaczną wychodzić w tę mgłę. Na litość boską, rusz trochę głową!

- Puść mnie!!!

- Dobrze, ale dopiero wtedy, kiedy tam ze mną pójdziesz i przekonasz się na własne oczy.

- Już ci powiedziałem: nie mam zamiaru! To wszystko kretyński żart, idiotyczny dowcip! Nie jestem tak głupi, jak wam się...

- W takim razie zawlokę cię siłą.

Złapałem go za kołnierz i pociągnąłem w kierunku dwuskrzydłowych drzwi, nie zważając na to, że jeden ze szwów pękł z donośnym trzaskiem. Norton wrzeszczał jak zarzynane prosię, ale choć w pobliżu zgromadziło się kilkanaście osób, żadna z nich nie przejawiała najmniejszej ochoty do interwencji.

- Pomocy! - darł się Norton z wytrzeszczonymi oczami. Starannie wymodelowaną fryzurę diabli wzięli, nad uszami pojawiły się zmierzwiowane kłaczki. Ludzie obserwowali nas w milczeniu, Przystępując z nogi na nogę.

- Czemu się drzesz? - wyszeptalem mu do ucha. - Przecież to wszystko tylko żart, prawda? Tylko dlatego zabrałem cię do miasta i dlatego pozwoliłem ci przeprowadzić Billy'ego przez parking, że to ja wymyśliłem całą tę mgłę. Wypożyczyłem z Hollywood maszynę do robienia mgły, kosztowało mnie to piętnaście tysięcy dolarów plus jeszcze osiem tysięcy za transport, a wszystko po to, żeby wpuścić cię w maliny. Przestań się oszukiwać i przejrzyj wreszcie na oczy!

- Puść mnie! - zaskamlał. Byliśmy już prawie przy drzwiach.

- Ejże, co tu się dzieje? O co chodzi? Co mu robisz?

To był Bud, który nie szcędząc łokci, przepchał się przez tłum.

- Powiedz mu, żeby mnie puścił - wychrypiał Norton. - On zwariował!

- Nie zwariował. Wolałbym, żeby tak było, ale on niestety nie zwariował - odezwał się Ollie. Wyłonił się zza regału i stanął przed Budem. Chętnie bym go uściskał.

Wzrok Browna powędrował w dół i zatrzymał się na puszcze, którą Ollie ściskał w ręce.

- Pijesz! - stwierdził ze zdziwieniem, ale i satysfakcją. - Możesz już pożegnać się z robotą.
- Daj spokój, Bud - wtrąciłem się, uwalniając Nortona. - To nie jest normalna sytuacja.
- Ale przepisy się nie zmieniły - odparł Brown. - Dopilnuję, żeby dowiedzieli się o tym gdzie trzeba. To mój obowiązek.

Tymczasem Norton pospiesznie wycofał się na bezpieczną odległość i usiłował doprowadzić się do porządku, nerwowo zerkając to na mnie, to na Browna.

- Hej! - rozdarł się niespodziewanie Ollie potężnym i grzmiącym głosem, jakiego chyba nikt się po nim nie spodziewał, mimo jego tuszy i rozmiarów. - Hej, wszyscy, którzy są w sklepie! Chodźcie tu i posłuchajcie! To dotyczy nas wszystkich! - Spojrzał na mnie, całkowicie ignorując Browna. - Tak dobrze?

- Znakomicie.

Thum zaczął powoli gęstnieć. Gapiów było już chyba ze trzy razy więcej niż na początku mojego starcia z Nortonelem.

- Jest coś, o czym powinniście wiedzieć... - zaczął Ollie, lecz Brown nie pozwolił mu dokończyć.

- Lepiej odstaw to piwo!

- A ty się lepiej zamknij! - warknąłem i postąpiłem krok w jego kierunku.

Brown natychmiast zrobił krok wstecz.

- Nie mam pojęcia, co niektórzy z was sobie wyobrażają, ale chcę, żebyście wiedzieli, że Federal Foods Company dowie się o wszystkim. O wszystkim! I ostrzegam was: będą surowe kary!

Wyszczrzył żółte zęby w nerwowym grymasie, który w jego zamiśle miał być zapewne złowieszczym uśmiechem. Ogarnęło mnie współczucie; on po prostu usiłował sprostować sytuację.

Robił to samo, co Norton starał się osiągnąć za pomocą umysłowego knebla, Myron i Jim zaś poprzez bicie w bębenek samczej odwagi i zaradności: jeśli uda się naprawić generator, mgła natychmiast zniknie. To był jego sposób: Obrona Sklepu.

- Proszę bardzo: weź kartkę, ołówek, i spisuj nazwiska, ale bądź tak miły i nie przeszkadzaj - rzekłem.

- Spokojna głowa, spiszę wszystkie. Twoje będzie na samym początku, ty... ty pacykarzu!

- Pan David Drayton chce wam coś powiedzieć - oznajmił Ollie. - Radzę wam, żebyście go uważnie wysłuchali, a szczególnie ci, którzy zamierzali wybrać się do domów.

Opowiedziałem im o wszystkim tak jak Nortonowi. Ten i ów roześmiał się na początku, potem jednak słuchali w głuchym milczeniu.

- To oczywiście kłamstwo - oświadczył Norton tonem, który zapewne miał być stanowczy, ale stał się piskliwy i kłótny. I to był człowiek, któremu pierwszemu zaufałem, na którego wiarygodności zamierzałem oprzeć cały plan działania!

- Jasne, że to kłamstwo - poparł go Brown. - A do tego szaleństwo. Jak pan myśli, panie Drayton, skąd wzięły się te macki?

- Nie wiem, ale w tej chwili to najmniej istotny problem. Ważne jest to, że są i że...

- A mnie się wydaje, że powyłaziły z tych puszek z piwem!

Nagrodziło go parę chichotów, które jednak natychmiast ucichły, kiedy pani Carmody rzuciła swoim skrzypiącym głosem jedno jedyne słowo:

- Śmierć!

Pewnym krokiem weszła w środek niezbyt foremnego okręgu. Jej kanarkowe spodnie zdawały się emanować własnym blaskiem, ogromna torebka objęła się o słoniowe biodro. Czarne oczy, bezlitośnie błyszczące i bystre jak u sroki, rozglądały się nieustannie dookoła. Dwie ładne, mniej więcej szesnastoletnie dziewczyny z napisami OBÓZ WOODLANDS na białych bluzeczkach cofnęły się pospiesznie.

- Słuchacie, ale nie słyszycie! Słyszycie, ale nie wierzycie! Kto z was chce wyjść i przekonać się na własne oczy! - Przesunęła wzrokiem po twarzach otaczających ją ludzi i w końcu wbiła spojrzenie w moją twarz. - A co pan proponuje zrobić w tej sprawie, Davidzie Drayton? Jak się panu wydaje, co może pan zrobić?

Wyszczrzyła zęby w trupim uśmiechu.

- Powiadam wam, to koniec. Koniec wszystkiego. Nadeszły Dni Ostatnie. Pojawił się napis ułożony nie z języków ognistych, lecz z mgły. Ziemia otwarła swe trzewia i wypluła szkaradne stwory...

- Proszę, niech ona przestanie! - wykrzyknęła jedna z dziewcząt i wybuchnęła płaczem. - Ja się boję!

Pani Carmody natychmiast odwróciła się do niej.

- Boisz się, kochanie? O nie, jeszcze się nie boisz! Dopiero kiedy ohydne stwory, które Zły wypuścił na ziemię, zjawią się po ciebie...

Ollie ujął ją za ramię.

- Starczy tego, pani Carmody. Już wystarczy.

- Puść mnie! Powiadam wam, to koniec! Śmierć! Śmierć!

- Co za kupa gówna! - podsumował z odrazą człowiek w wędkarskim kapelusiku i okularach.

- Wcale nie - zaprotestował Myron. - Wiem, że brzmi nieprawdopodobnie, ale to święta prawda.

Widziałem wszystko na własne oczy.

- I ja - zawtórował mu Jim.

- Ja też - przyłączył się Ollie.

Udało mu się - przynajmniej chwilowo - uciszyć panią Carmody, która jednak wciąż stała w pobliżu z upiornym uśmiechem na ustach, ściskając kurczowo torebkę. Wszyscy się od niej odsuwali, szepcząc coś nieprzychylnie między sobą, niektórzy zaś - zauważyłem to z niekłamaną ulgą - z niepokojem zerkali na wielkie szyby.

- Kłamstwa - wycedził Norton. - Brniecie w kłamstwa, i tyle.

- Trudno uwierzyć w to, co mówicie - powiedział Brown.

- Wcale nie musimy tu stać i gadać po próżnicy - zwróciłem mu uwagę. - Proszę bardzo, chodźcie ze mną do magazynu, rozejrzyjcie się i posłuchajcie.

- Klientom nie wolno...

- Pójdź z nim, Bud - poprosił Ollie. - Załatwmy to wreszcie.

Brown podjął decyzję.

- W porządku. Chodźmy, panie Drayton, i skończmy z tymi głupotami.

Pchnęliśmy dwuskrzydłowe drzwi i zagłębiliśmy się w ciemność. Natychmiast usłyszałem nieprzyjemne, wręcz złowróżbne dźwięki.

Brown też je usłyszał; pomimo swojej jankeskiej twardości odruchowo wyciągnął rękę i zacisnął palce na moim ramieniu. Na chwilę wstrzymał oddech, lecz kiedy znowu zaczął oddychać, powietrze przeciskało mu się przez nos ze świstem.

Odgłos, który wywarł na nim tak wielkie wrażenie, był dość cichy, niemal łagodny, i dobiegał od strony zamkniętej bramy. Ostrożnie macałem przed sobą wysuniętą stopę; wkrótce natrafiłem na jedną z latarek. Schyliłem się, podniosłem ją i włączyłem. Twarz Browna przypominała papierową maskę, a przecież nawet ich nie widział, tylko słyszał. Ja natomiast je widziałem i bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak wspinają się po ścianach, wiją na dachu i usiłują pokonać zaporę w postaci wrót z falistej blachy.

- I co pan teraz myśli? Nadal nam pan nie wierzy? Brown zwilżył usta językiem i rozejrzał się po podłodze zasłanej kartonowymi pudłami i resztkami papierowych toreb.

- To ich robota?

- Częściowo. W większości. Proszę tutaj.

Podszedł, choć niezbyt chętnie. Skierowałem snop światła latarki na nieruchomą, zwiniętą spiralnie mackę leżącą obok szczotki. Brown schylił się, by jej dotknąć.

- Ostrożnie! - ostrzegłem go. - Może jeszcze żyć. Natychmiast cofnął rękę. Podniosłem szczotkę i trąciłem mackę. Po trzecim szturchnięciu wyprostowała się częściowo, prezentując kilka różowych przysawek, po czym błyskawicznie wróciła do poprzedniej pozycji. Brown zrobił krok w tył.

- Wystarczy?

- Tak. Wyjdźmy stąd.

Podążyliśmy za drżącą plamą światła do drzwi, pchnęliśmy je i znaleźliśmy się we wnętrzu sklepu. Szmer rozmów ucichł, wszystkie twarze zwróciły się w naszą stronę. Twarz Nortona wyglądała jak pecyna starego sera, oczy pani Carmody błyszczały jak dwa paciorki, Ollie popijał piwo. Chociaż zrobiło się dość chłodno, po czole i policzkach spływały mu strużki potu.

Dziewczyny w bluzkach z napisem OBÓZ WOODLANDS przytuliły się do siebie niczym dwa żrebaki w oczekiwaniu na nadejście burzy. Oczy. Tyle oczu. Mógłbym je namalować, pomyślałem i natychmiast zadrzałem. Niewidoczne twarze, tylko oczy w półmroku. Mógłbym je namalować, ale nikt by nie uwierzył, że są prawdziwe.

Bud Brown splótł przed sobą dłonie o długich palcach.

- Proszę państwa, wydaje mi się, że mamy do czynienia z dość poważnym problemem...

6. DALSZĄ DYSKUSJA. PANI CARMODY. UMOCNIENIA. CO SIĘ STAŁO ZE STOWARZYSZENIEM PŁASKIEJ ZIEMI.

Następne cztery godziny minęły jak we śnie. Zaraz po oświadczeniu Browna rozpełtała się długa, balansująca na granicy hysterii dyskusja. Może zresztą wcale nie trwała tak długo, jak mi się wydawało; może po prostu ludzie zadośćuczynili potrzebie przetrwania informacji, obwąchiwali ją ze wszystkich stron niczym pies, który stara się ustalić, w jaki sposób najłatwiej będzie mu dostać się do smakowitego szpiku. Było to powolne dochodzenie do wiary. To samo dzieje się podczas posiedzeń rad miejskich chyba we wszystkich miasteczkach Nowej Anglii.

Norton stanął na czele mniej więcej dziesięcioosobowego Stowarzyszenia Płaskiej Ziemi. W nic nie wierzyli. Norton co chwilę przypominał, że tylko czterech ludzi było świadkami - jak się wyraził - porwania pakowacza przez Macki z Planety X. Za pierwszym razem zabrzmiało to nawet zabawnie, urok nowości szybko jednak minął, lecz on w swoim zacierzwieniu chyba tego nie zauważył. Powtarzał również, że osobiście nie ufa żadnemu z tych świadków, tym bardziej iż połowa z nich znajduje się obecnie w stanie upojenia alkoholowego. W tym względzie miał całkowitą rację: Jim i Myron LaFleur, mając do dyspozycji całą zawartość chłodziarki z piwem oraz regały z winem, zalali się w trupa. Biorąc pod uwagę, co stało się z Normem, oraz uwzględniając ich udział w tej historii, wcale im się nie dziwiłem. I tak mieli wytrzeźwieć znacznie prędzej, niżby sobie życzyli.

Ollie również pił, nie zważając na protesty Browna, który wreszcie dał mu spokój, ograniczając się do rzucania od czasu do czasu ponurych gróźb. Nie zdawał sobie sprawy, że Federal Foods, sp. z o.o., włącznie z jej supermarketami w Bridgton, North Windham i Portland, mogła już nie istnieć, podobnie zresztą jak całe Wschodnie Wybrzeże. Ollie pił bez przerwy, ale był w miarę trzeźwy. Wypacał alkohol równie szybko, jak go w siebie wlewał.

Wreszcie, kiedy dyskusja z członkami Stowarzyszenia Płaskiej Ziemi zaczęła się zaostrzać, Ollie przemówił:

- Panie Norton, jeśli pan nam nie wierzy, to ja się nawet z tego cieszę. Powiem panu, co pan w takim razie zrobi: wyjdzie pan frontowymi drzwiami i pójdzie dokoła do magazynu. Przy rampie stoją skrzynki z pustymi butelkami po piwie i wodzie mineralnej. Przyniesie pan parę, żebyśmy wiedzieli, że na pewno pan tam był. Jeśli pan to zrobi, zdejmę koszulę i zjem ją bez popijania. W odpowiedzi Norton obrzucił go obelgami, lecz na Olliem nie wywarło to większego wrażenia. - Pańska gadanina robi mnóstwo szkody - powiedział spokojnie. - Mnóstwo ludzi chciałoby wrócić do domów, bo tam są ich rodziny. Ja zostawiłem w domu siostrę i jej roczną córeczkę. Też chciałbym wiedzieć, co się z nimi dzieje. Ale jeśli panu uwierzą i stąd wyjdą, stanie się z nimi to samo co z Normem.

Nortona nie przekonał, jednak jego słowa wywarły wrażenie na wielu niezdecydowanych - a raczej nie tyle słowa, ile wyraz jego oczu. Podejrzewam, iż Norton po prostu nie mógł przyznać nam racji, ponieważ gdyby to uczynił, postradałby zmysły - albo przynajmniej tak mu się wydawało. Nie podjął jednak wyzwania i nie wyruszył po puste butelki; ani on, ani żaden z jego popleczników. Jeszcze nie byli do tego gotowi. Otoczony swymi zwolennikami (zostało ich zaledwie kilku) oddalił się od nas najbardziej, jak mógł, za ladę chłodniczą z gotowymi obiadami. Kiedy przechodzili obok Billy'ego, jeden z nich potknął się o nogę chłopca, budząc go ze snu. Natychmiast przykucnąłem przy nim, a on zarzucił mi ręce na szyję. Spróbowałem go ponownie położyć, jednakże przywarł do mnie jeszcze mocniej i wyszeptał:

- Nie zostawiaj mnie, tatusiu! Proszę. Przyciągnąłem najbliższy wolny wózek i posadziłem Billy'ego w foteliku dla dzieci. Był już za duży i z pewnością wyglądałby zabawnie, gdyby nie blada twarz, pozlepiane kosmyki czarnych włosów nad czołem i przerażone oczy. Ostatni raz siedział w wózku na zakupy ze dwa lata temu. Takie rzeczy mijają nie wiadomo kiedy, gdy zaś uświadomisz sobie, jak wielkie zaszły zmiany, doznajesz potwornego szoku.

Mimo że Stowarzyszenie Płaskiej Ziemi wycofało się na z góry upatrzone pozycje, dyskusja wcale nie wygasła. Tym razem jej ośrodkiem stała się osamotniona (trudno było się temu dziwić) pani Carmody.

W smętym, przyćmionym świetle wyglądała jak wiedźma w jaskrawożółtych spodniach, bluzce ze sztucznego jedwabiu, obwieszona tanią sztuczną biżuterią, z monstrualną torebką na ramieniu. Pergaminową twarz miała pooraną głębokimi pionowymi bruzdami, a w zaczesanych do tyłu kędzierzawych siwych włosach tkwiły trzy szylkretowe grzebienie. Usta wyglądały tak, jakby zrobiono je ze skręconej konopnej liny.

- Nie ma ucieczki przed wolą Pana. Jego gniew od dawna wisiał nad nami. Widziałam znaki. Są tu tacy, których ostrzegałam, nikt jednak nie jest bardziej ślepy od tych, co nie chcą przejrzeć na oczy!

- W takim razie co konkretnie pani proponuje? - zapytał wyraźnie zirytowany Mike Hatlen. Był miejskim radnym, choć teraz, w marynarskiej czapce i powypychanych bermudach, zupełnie go nie przypominał. Popijał piwo, podobnie jak większość mężczyzn. Bud Brown już nie protestował, ale zgodnie z zapowiedzią notował co, kto i ile bierze.

- Co proponuję? - Pani Carmody błyskawicznie odwróciła się do Hatlena. - Co proponuję? Ano to, żebyś ty, Michaelu Hatlen, przygotował się na spotkanie ze swoim Bogiem. - Potoczyła po nas spojrzeniem. - Wszyscy się przygotujcie!

- Przygotujcie się na wielką kupę gówna! - odezwał się z pijacką pewnością siebie Myron LaFleur. - Kobieto, kiedy wreszcie przestaniesz mleć tym głupim ozorem? Zawtórowały mu groźne pomruki. Billy rozejrzał się niepewnie dokoła, więc uspokajająco otoczyłem go ramieniem.

- Będę mówiła, co myślę! - wykrzyknęła. Spod uniesionej górnej wargi wyłoniły się sterczące, pożółkłe od nikotyny zęby. Natychmiast przypomniały mi się wypchane zwierzątka w jej sklepie,

pijące wiecznie z lusterka, które było ich strumykiem. - Wątpiący będą wątpić do samego końca, a jednak straszliwy potwór porwał tego nieszczęsnego chłopca! Potwory we mgle! Stwory z koszmarne snu! Bezokie straszidła! Wyblakłe monstra! Wątpicie jeszcze? Więc wyjdźcie do nich! Wyjdźcie i powiedzcie: "Jak się macie?"!

- Pani Carmody, proszę natychmiast przestać! - powiedziałem stanowczo. - Straszy mi pani dziecko.

Poparł mnie mężczyzna z córeczką. Pulchna dziewczynka wtuliła twarz w brzuch ojca i zasłoniła uszy rękami. Billy nie płakał, ale niewiele mu brakowało.

- Tylko jedno może nas uratować - oświadczyła pani Carmody.

- Co takiego, proszę pani? - zapytał uprzejmie Mike Hatlen.

- Ofiara - odparła pani Carmody i chyba się uśmiechnęła. - Ofiara z krwi.

Ofiara z krwi... Wydawało się, że te słowa wiszą nieruchomo w powietrzu. Nawet teraz, kiedy wiem o tyle więcej, wmawiam sobie, że miała wtedy na myśli czyjś psa; mimo zakazu parę osób wprowadziło je do sklepu. Nawet teraz wciąż sobie to wmawiam. W gęstniejącym mroku wyglądała jak zbzikowane uosobienie stuprocentowej purytanki z Nowej Anglii, podejrzewam jednak, iż u źródeł jej postępowania znajdowało się coś znacznie głębszego i bardziej mrocznego od zwykłego purytanizmu. Purytanizm miał przecież okrutnego przodka, starego Adama ze zbuczonymi krwią rękami.

Otworzyła usta, by powiedzieć coś jeszcze, lecz w tej samej chwili doskoczył do niej niewysoki, krępy mężczyzna w czerwonych spodniach i koszulce polo i na odlew uderzył ją w twarz. Był w okularach, miał równiutki przedziałek po lewej stronie i bez trudu można w nim było rozpoznać letnika.

- Niech się pani natychmiast zamknie - powiedział cichym, pozbawionym emocji głosem.

Pani Carmody przycisnęła rękę do ust, po czym pokazała nam ją w oskarżycielskim geście; na dłoni czerwieniała krew. Odniosłem jednak wrażenie, iż w ciemnych oczach płoną triumfalne ogniki.

- Prosiłaś się o to! - wykrzyknęła jakaś kobieta. - Sama bym to chętnie zrobiła!

- Dostaną was - wycodziła pani Carmody, wciąż pokazując nam zakrwawioną dłoń. Krew płynęła również wąską strużką z kącika ust na brodę niczym czerwone krople deszczu. - Może jeszcze nie dzisiaj. Może dopiero w nocy, kiedy nadejdzie ciemność. Zjawią się razem z nocą i znowu kogoś zabiorą. Będziecie słyszeli, jak nadchodzą, jak pełzną i skrobą, a kiedy już tu będę, zaczniecie błagać matkę Carmody, żeby powiedziała wam, co czynić.

Mężczyzna w czerwonych spodniach ponownie uniósł rękę.

- No, spróbuj! - wysyczała z drapieżnym uśmiechem. Zawahał się. - Uderz mnie jeszcze raz!

Opuścił rękę, a pani Carmody odwróciła się i odeszła. Billy wreszcie się rozplakał, z twarzą wtuloną w mój brzuch podobnie jak tamta dziewczynka.

- Chcę do domu - wyszlochał. - Chcę do domu, do mamy!

Pocieszałem go najlepiej, jak potrafiłem, czyli chyba tak sobie.

Rozmowa wreszcie zeszała na mniej przerażające tematy. Ktoś wspomniał o ogromnych szybach, najbardziej oczywistym słabym punkcie supermarketu. Mike Halten zapytał o liczbę wejść oraz miejsc, które co prawda wejściami nie były, jak choćby te okna, ale które można było łatwo sforsować. Ollie i Brown szybko mu je wyliczyli: trzy podnoszone bramy na zapleczu (łącznie z tą, którą otworzył Norm), główne drzwi wejściowe i wyjściowe oraz okno w biurze, ale tam była podwójna szyba i krata.

Dyskusja odniosła paradoksalny skutek: niebezpieczeństwo stało się co prawda bardziej realne, lecz mimo to poczuliśmy się znacznie lepiej. Nawet Billy. Zapytał mnie, czy może pójść i wziąć sobie batonik. Zgodziłem się pod warunkiem, że nie zbliży się do okien.

Jak tylko znikł za regałami, mężczyzna stojący obok Mike'a Hatlena powiedział:

- No to co zrobimy z tymi oknami? Tej wiedzy na pewno brakuje piątej klepki, ale tędy rzeczywiście może się coś do nas dostać.

- Może do zmroku mgła ustąpi - odezwała się jakaś kobieta.

- Może tak, może nie.

- Macie jakieś propozycje? - zapytałem Buda i Olliego.

- Zaczekajcie chwilę - wtrącił ten sam mężczyzna. - Jestem Dan Miller z Lynn w Massachusetts.

Nie znacie mnie, bo i skąd, ale mam chałupkę nad Highland Lake. Kupiłem ją w tym roku.

Okropnie ze mnie za nią zdarli, nawiasem mówiąc - ten i ów roześmiał się cicho - ale tak cholernie mi się spodobała, że musiałem ją mieć. W każdym razie chodzi o to, że przy wyjściu zauważyłem mnóstwo worków z nawozem sztucznym. Tak na oko ważą po jakieś dwanaście kilogramów. Moglibyśmy ułożyć je wzdłuż okien, porobić otwory obserwacyjne...

Ludzie zaczęli kiwać głowami, przedstawiać własne propozycje. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale się powstrzymałem. Miller miał rację; zaporą z worków na pewno nam nie zaszkodzi, a nawet może trochę pomóc... choć przed oczami wciąż miałem niewielką przecież mackę rozszarpującą bez trudu torbę z karmą dla psów. Którakolwiek z potężniejszych macek z pewnością uczyniłaby to samo z dwunastokilogramowym workiem nawozu do trawników.

Uznałem jednak, iż będzie lepiej, jeśli zachowam te niewesołe przemyślenia dla siebie.

Zebrani zaczęli się powoli rozchodzić, rozprawiając z podnieceniem o tym, co i jak należy zrobić.

- Ejże! - zawołał Miller. - Zaczekajcie! Ustalmy wszystko, skoro już jesteśmy tu razem!

Około pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu osób zgromadziło się ponownie w trójkącie między szafą z piwem, drzwiami do magazynu i tym końcem lady chłodniczej z mięsem, gdzie McVey gromadzi produkty, na które ma najmniejszy popyt, takie jak owcze mózgi, świńskie uszy i rozmaite podroby. Billy przedarł się przez tłum z nieświadomym wdziękiem pięciolatka w świecie olbrzymów i wyciągnął do mnie rączkę z batonikiem.

- Chcesz, tato?

- Chętnie. Dziękuję.

Batonik był słodki i bardzo smaczny.

- Może to głupie pytanie, ale chyba powinniśmy wiedzieć, na czym stoimy - podjął Miller. - Czy ktoś ma przy sobie broń?

Ludzie popatrzyli po sobie, niektórzy wzruszyli ramionami. Wiekowy mężczyzna, który przedstawił się jako Ambrose Cornell, powiedział, że w bagażniku samochodu zostawił strzelbę.

- Jeśli trzeba, mogę po nią pójść.

- Odnoszę wrażenie, panie Cornell, że to nie najlepszy pomysł - odparł Ollie. - Przynajmniej na razie.

Cornell podrapał się za uchem.

- Ja też tak myślę, synku, ale wydawało mi się, że powinienem to zaproponować.

- Myślę, że... - zaczął Dan, lecz nie dokończył, ponieważ przerwała mu kobieta w żurawinowej bluzie i zielonych spodniach.

- Chwileczkę! - powiedziała głośno i wyraźnie.

Miała jasne włosy, świetną figurę i była bardzo ładna. Wyjęła z torebki średniej wielkości rewolwer. Zebrani wydali stłumione, pełne podziwu westchnienie, jakby byli świadkami wyjątkowo sprawnie wykonanej sztuczki prestidigitatorskiej. Kobieta, i tak już mocno

zarumieniona, zaczerwieniła się jeszcze bardziej, ponownie sięgnęła do torebki, po czym wydobyla z niej pudełko z amunicją.

- Jestem Amanda Dumfries - zwróciła się do Millera. - Ten rewolwer to pomysł mojego męża. Uważa, że powinnam nosić go dla bezpieczeństwa. Mam go od dwóch lat, ale jest nienaładowany.

- Czy pani mąż jest tutaj?

- Nie, w Nowym Jorku, w interesach. Często wyjeżdża. Właśnie dlatego kupił mi broń.

- Jeśli potrafi pani posługiwać się tym rewolwerem, powinna go pani zatrzymać. Czy to trzydziestkaósemka?

- Tak, ale strzelałam z niego tylko raz, na strzelnicy.

Miller wziął od niej broń, majstrował przez chwilę, wreszcie zdołał otworzyć bębenek i upewnił się, że nie ma w nim pocisków.

- No, dobrze - powiedział - mamy broń. Kto dobrze strzela? Ja na pewno nie.

Ludzie znowu popatrzyli po sobie. Przeciągające się milczenie przerwał dopiero Ollie.

- Często trenuję - przyznał z ociąganiem. - Mam w domu colta kalibru .45 i llamę .25.

- Ty? - parsknął Brown. - Wieczorem będziesz już tak pijany, że nie zobaczysz końca własnego nosa!

- Może byś się wreszcie zamknął i zajął tylko zapisywaniem nazwisk? - zaproponował mu uprzejmie Ollie.

Brown wytrzeszczył oczy, otworzył usta, a następnie - bardzo słusznie, moim zdaniem - zamknął je, nie powiedziawszy ani słowa.

- W takim razie ty go weźmiesz - postanowił Miller, wyraźnie zaskoczony reakcją Olliego, i wręczył mu rewolwer.

Ollie również sprawdził, czy broń jest nienaładowana (zrobił to znacznie zgrabniej niż Miller), po czym wepchnął ją do prawej przedniej kieszeni spodni, natomiast pudełko z amunicją umieścił w kieszeni na piersi. Wyglądało to tak, jakby trzymał tam papierosy. Następnie, z twarzą wciąż mokrą od potu, oparł się o chłodziarkę i otworzył kolejne piwo. Wrażenie, że oto ujrzałem zupełnie innego, nieznanego mi do tej pory Olliego Weeksa, jeszcze bardziej się nasiliło.

- Dziękuję, pani Dumfries - powiedział Miller.

- Nie ma za co.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że gdybym to ja był jej mężem, a zarazem właścicielem tych zielonych oczu i wspaniałej figury, chyba więcej czasu spędzałbym w domu. Robienie żonie prezentu w postaci rewolweru może być aktem nie tylko symbolicznym, ale i żalonym.

Miller odwrócił się do Browna z notesem w ręce i Olliego z piwem.

- To pewnie też zabrzmiało głupio, ale dla porządku muszę zapytać, czy macie tu coś w rodzaju miotaczy ognia?

- A niech to szlag trafi! - zaklął Buddy Eagleton, po czym natychmiast oblał się niemal równie intensywnym rumieńcem jak przed chwilą Amanda Dumfries.

- O co chodzi? - zainteresował się Mike Hatlen.

- Jeszcze w zeszłym tygodniu mieliśmy całą skrzynkę małych przenośnych palników. Wiecie, takich do łatania dziur w rurach albo tłumikach samochodowych... Pamięta pan, panie Brown? Brown z kwaśną miną skinął głową.

- I co, wyprzedane? - zapytał Miller.

- Nie, nikt ich nie brał. Sprzedaliśmy trzy albo cztery sztuki, a resztę odesłaliśmy dostawcy. Co za kurew... To znaczy, co za cholerny pech!

Zaczerwieniony po czubki uszu Buddy Eagleton pospiesznie wycofał się do tylnych rzędów.

Rzecz jasna, mieliśmy zapalki i sól (ktoś napomknął mimochodem, że sól jest dobra na pijawki i tym podobne), a także pod dostatkiem mopów i szczotek na długich kijach. Większość ludzi nadal

sprawiała wrażenie całkiem pewnych siebie, z kolei Jim i Myron zanadto się już znieczulili, żeby nadażać za rozwojem sytuacji; kiedy jednak spojrziałem Olliemu w oczy, ujrzałem w nich spokojną rezygnację stokroć gorszą od strachu. Obaj widzieliśmy macki. Pomyśl, żeby posypywać je solą albo walczyć z nimi za pomocą kijów od szczotek był nawet dość zabawny, tyle że w upiorny sposób.

- Mike, może pokierujesz układaniem worków? - zaproponował Miller. - Chciałbym jeszcze zamienić parę słów z Olliem i Dave'em.

- Z przyjemnością. - Hatlen poklepał go po ramieniu. - Dobrze się spisałeś. Witamy w mieście.

- Czy to znaczy, że mogę liczyć na obniżenie podatków?

Miller był niewysoki, chuderlawy, z rudymi, mocno przerzedzonymi włosami. Takich jak on trudno od razu polubić, ale jednocześnie trudno ich nie polubić, kiedy już lepiej się ich pozna.

Tacy jak on zawsze wiedzą wszystko lepiej od ciebie.

- Nawet o tym nie myśl! - Hatlen roześmiał się, po czym ruszył w kierunku frontowej części supermarketu. Miller zerknął w dół, na mojego syna.

- Proszę się o niego nie niepokoić - powiedziałem.

- Człowieku, w życiu nie niepokoiłem się tak bardzo jak teraz!

- Ja też - zawtórował mu Ollie, wrzucił pustą puszkę do chłodziarki, wyjął świeżą i otworzył. Rozległo się charakterystyczne syknięcie uciekającego gazu.

- Zauważyłem, jak na siebie patrzycie. Dokończyłem batonik i również wziąłem piwo.

- Powiem wam, co wymyśliłem - ciągnął Miller. - Trzeba zatrudnić parę osób przy owijaniu szmatami końców kijów od szczotek, a potem mieć w pogotowiu ze dwa baniaki z podpałką do grilla. W razie potrzeby będą z tego niezłe pochodnie.

Skinąłem głową. Pomyśl był dobry. Prawie na pewno nie wystarczająco dobry, ale o niebo lepszy od posypywania macek solą.

- To może przynajmniej da im coś do myślenia - mruknął Ollie.

- Aż tak niedobrze? - zapytał cicho Miller.

- Aż tak - odparł Ollie, podnosząc puszkę do ust.

O wpół do piątej prace przy budowaniu fortyfikacji z worków z nawozem dobiegły końca; w obwałowaniach pozostawiono tylko wąskie otwory. Przy każdym z nich dyżurował strażnik, a obok niego czekał w pogotowiu spory zapas obwiązanych szmatami kijów od szczotek oraz otwarty pojemnik z podpałką do węgla drzewnego. Otworów było pięć, strażnicy zmieniali się według rozkładu opracowanego przez Dana Millera.

Kiedy nadeszła szesnasta trzydzieści, siedziałem na stercie worków przy jednym z otworów, z Billym u boku. Obaj wpatrywaliśmy się w mgłę.

Tuż za oknem znajdowała się pomalowana na czerwono ławka, na której niekiedy odpoczywali klienci objuczeni zakupami, czekając, aż mąż lub żona przyjadą po nich pozostawionym gdzieś daleko samochodem. Dalej zaczynał się parking. Mgła kłębiła się dostojnie, gęsta i ciężka. Z pewnością była w niej wilgoć, ale bez odrobiny lśnienia albo połysku. Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby poczuć się bezradnym i zagubionym.

- Tatusiu, czy wiesz, co się stało? - zapytał Billy.

- Niestety nie - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Przez chwilę w milczeniu obserwowałem swoje nieruchome ręce spoczywające na kolanach.

- Dlaczego nikt nie przyjeżdża, żeby nas uratować? - spytał wreszcie. - Policja stanowa, FBI albo ktoś taki?

- Nie mam pojęcia.

- Myślisz, że mamie nic się nie stało?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Objąłem go mocno.
- Bardzo za nią tęsknię... - wyszeptał, walcząc ze łzami. - Przykro mi za te wszystkie razy, kiedy byłem dla niej niegrzeczny.
- Billy...

Nie zdołałem wykrztusić nic więcej. Poczułem słony smak w gardle, a głos zaczął mi niebezpiecznie drżeć.

- Czy to się skończy? Tatusiu, czy to się wreszcie skończy?
- Nie wiem - odparłem po raz kolejny.

Przytulił się do mojej piersi, ja zaś delikatnie podtrzymywałem mu głowę. Pod gęstymi włosami wyczuwałem delikatną wypukłość tylnej części czaszki. Przypomniałem sobie wieczór po naszym ślubie. Patrzyłem, jak Steff zdejmuje prostą brązową sukienkę, w którą przebrała się zaraz po ceremonii. Dzień wcześniej uderzyła się o drzwi i teraz na biodrze miała ogromny fioletowy siniak. Przypomniałem sobie, że patrząc na niego, pomyślałem z lekkim niedowierzaniem: Kiedy to się stało, nazywała się jeszcze Stephanie Stepanek. Potem się kochaliśmy, a na dworze z burego grudniowego nieba padał wilgotny śnieg.

Billy płakał.

- Ciii... Ciii... - szeptałem, kołyszając go w ramionach, ale on nie chciał się uspokoić. Z takim płaczem potrafią sobie radzić wyłącznie matki.

We wnętrzu sklepu zapadła przedwczesna noc. Miller, Hatlen i Bud Brown rozdali cały zapas latarek, czyli około dwudziestu sztuk. Norton podniósł wielki lament w imieniu swojej grupy i dostał dwie. Świećka kolebały się tu i ówdzie w alejkach niczym niespokojne duchy.

Tuląc wciąż Billy'ego do piersi, po raz kolejny spojrzałem przez otwór. Na zewnątrz niewiele się zmieniło, to barykada z worków sprawiła, że we wnętrzu sklepu zrobiło się tak ciemno. Parę razy wydawało mi się, że coś widzę, ale to wina zdenerwowania. W pewnej chwili któryś ze strażników bez przekonania wszczął fałszywy alarm.

Billy zauważył panią Turman i chętnie do niej poszedł, chociaż przez całe lato nie była u nas ani razu. Miała latarkę; wręczyła mu ją, on zaś natychmiast zabrał się do wypisywania swojego imienia plamą światła na białych ścianach zamrażarek. Ucieszyła się na jego widok co najmniej tak samo jak on na jej. Wkrótce oboje podeszli do mnie. Hattie Turman była wysoką szczupłą kobietą o rudych włosach, w których dopiero co zaczęły się pojawiać pasemka siwizny. Na jej piersi kołysały się okulary zawieszane na ozdobnym łańcuszku; wielokrotnie odnosiłem wrażenie, że istnieje prawo zezwalające na stosowanie takich udogodnień wyłącznie przez kobiety w średnim wieku.

- Stephanie też tu jest, Davidzie?
- Nie. Została w domu. Skinęła głową.
- Alan też. Do której masz dyżur?
- Do szóstej.
- Widziałeś coś?
- Nic. Tylko mgłę.
- Jeśli chcesz, zajmę się chłopcem do szóstej.
- Co ty na to, Billy?
- Bardzo chętnie - odparł, zataczając kręgi skierowaną ku górze latarką i obserwując plamę światła na suficie.
- Bóg zaopiekuje się twoją Steffy i moim Alanem - powiedziała pani Turman, po czym wzięła Billy'ego za rękę i odprowadziła w głąb sklepu. Jej głos był opanowany i pewny siebie, ale w oczach na próżno usiłowałem doszukać się przekonania.

Około wpół do szóstej z tylnej części marketu dobiegły odgłosy kłótni, potem ktoś zaśmiał się szyderczo, Buddy Eagleton (przynajmniej wydaje mi się, że to był on), wykrzyknął:

- Tylko wariat poszedłby tam teraz!

Snopy światła z kilku latarek skupiły się w centrum zamieszania, a następnie przesunęły w kierunku frontowej części sklepu. Mrok rozdarł ochryply, szyderczy śmiech pani Carmody, równie przykry dla uszu jak odgłos drapania paznokciami po szkolnej tablicy. Przez kakofonię podekscytowanych głosów przebił się tubalny głos Nortona:

- Przejdźcie! Proszę zrobić przejście!

Mężczyzna pełniący dyżur przy sąsiednim otworze opuścił posterunek, żeby sprawdzić, co się dzieje, ja jednak postanowiłem się nie ruszać. Cokolwiek to było, i tak zmierzało w moim kierunku.

- Proszę! - wykrzykiwał Mike Hatlen. - Proszę, porozmawiajmy jeszcze o tym!

- Nie ma o czym rozmawiać! - oświadczył stanowczo Norton.

Z mroku wyłoniła się jego wykrzywiona twarz, był zdeterminowany. W ręce trzymał jedną z dwóch latarek przydzielonych Stowarzyszeniu Płaskiej Ziemi. Zmierzwił włosy wciąż sterczały mu nad uszami jak różki. Kroczył na czele niezbyt licznego pochodu: z dziewięciu albo dziesięciu popleczników zostało zaledwie pięciu.

- Wychodzimy - oznajmił.

- Nie upierajcie się - próbował ich przekonać Miller. - Mike ma rację. Przecież możemy to przedyskutować, praw da? McVey upiecze na grillu parę kurczaków, usiądziemy sobie wszyscy i...

Zastąpił drogę Nortonowi, ale ten, nie zatrzymując się, odepchnął go na bok. Millerowi zupełnie się to nie spodobało. Zaczzerwienił się, po czym wycedził przez zaciśnięte zęby:

- W takim razie rób, co chcesz. Ale pamiętaj, że skazujesz tych ludzi na pewną śmierć.

- Przysłemy wam pomoc - odparł Norton z niewzruszonym spokojem, który mógł wynikać tylko albo z silnego przekonania, albo z niewzruszonej obsesji.

Jeden z podążającej za nim gromadki mruknął coś z aprobatą, inny natomiast bez słowa odszedł na bok. Nortonowi zostało czterech zwolenników, co i tak można było uznać za całkiem przyzwoity wynik. Przecież nawet Chrystusowi udało się zgromadzić zaledwie dwunastu.

- Panie Norton... - odezwał się Mike Hatlen. - Brent... Przynajmniej zaczekajcie na te kurczaki. Zjedzcie coś ciepłego.

- A wy w tym czasie będziecie nas przekonywać? To stara sądowa sztuczka, nie dam się na nią nabrać. Wystraszyliście już połowę moich ludzi.

- TWOICH ludzi? - Hatlen niemal to wyjęczał. - Twoich? O czym ty gadasz, na litość boską? To są po prostu ludzie, i tyle. To nie zabawa ani nie sala sądowa. Na zewnątrz są jakieś... jakieś istoty i nie ma sensu dać się głupio zabić!

- Istoty, powiadasz? - zapytał Norton z nienaturalnym rozbawieniem. - A gdzie konkretnie, jeśli można wiedzieć? Od paru godzin stoicie na straży i co? Widzieliście chociaż jedną?

- Owszem, trochę wcześniej, w magazynie...

- Nie, nie! - Norton energicznie pokręcił głową. - To już załatwiliśmy. Teraz wyjdziemy i...

- Nie!... - szepnął ktoś, inni zaś zaczęli powtarzać za nim, tak że wokół nas rozległ się jakby szelest uschniętych liści poruszanych przez wiatr w październikowy wieczór. - Nie... nie... nie...

- Co, może zatrzymacie nas siłą? - odezwał się piskliwym głosem jeden z "ludzi" Nortona - starsza damulka w okularach z dwuogniskowymi soczewkami. - Zatrzymacie nas?

Szepty ucichły.

- Nie - powiedział po chwili Mike. - Nie sądzę, żeby ktoś próbował zatrzymać was siłą. Szepnąłem coś Billy'emu do ucha. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Biegnij już! - ponagliłem go. - Tylko prędko! Pobiegł.

Norton przyglądał włosy wystudiowanym aktorskim gestem. Znacznie bardziej podobał mi się w poprzedniej roli, kiedy bezskutecznie usiłował uruchomić piłę, klnąc i złorzecząc na czym świat stoi. Nie wiedziałem i nadal nie wiem, czy wierzył w to, co robił, czy nie. W głębi serca podejrzewam jednak, iż domyślał się, co się stanie. Nieubłagana logika, której był wierny przez całe życie, zwróciła się w końcu przeciw niemu, niczym obłąskawiony tygrys, w którym wreszcie wzięły górę dzikie instynkty.

Przez chwilę rozglądał się dokoła jakby w nadziei, że ktoś coś jeszcze powie, a następnie poprowadził swoją czwórkę przez przejście przy jednej z kas. Oprócz kobiety w okularach tworzyli ją pękaty, mniej więcej dwudziestoletni chłopak, jakaś dziewczyna oraz mężczyzna w granatowych dżinsach i odwróconej daszkiem do tyłu czapeczce golfisty.

Rozbiegane oczy Nortona zetknęły się na sekundę z moimi, po czym powędrowały dalej.

- Zaczekaj chwilę, Brent...

- Nie zamierzam tracić czasu na dyskusje. Szczególnie z tobą.

- Wiem, wiem... Chciałem cię tylko prosić o przysługę. Zauważyłem kątem oka, że Billy zbliża się biegiem do kas.

- O co chodzi? - zapytał podejrzliwie Norton. Zasapany Billy zatrzymał się przy mnie i wręczył mi spory pakunek zawinięty w folię.

- O sznur do bielizny. - Zdawałem sobie sprawę, że wszyscy nas obserwują. - To największy zwój. Sto metrów.

- I co z tego?

- Pomyślałem sobie, że mógłbyś obwiązać się w pasie jednym końcem. Kiedy poczujesz, że sznur się napina, przywiążesz go do czegoś, wszystko jedno do czego. Może być na przykład klamka samochodu.

- Po co, na litość boską?

- Dzięki temu będę wiedział, że przebyliście bezpiecznie przynajmniej sto metrów.

Coś zamigotało mu w oczach... ale zaraz zgasło.

- Nie - powiedział krótko. Wzruszyłem ramionami.

- Jak chcesz. W każdym razie, powodzenia.

- Ja to zrobię, proszę pana - odezwał się niespodziewanie mężczyzna w czapeczce golfisty. - To przecież nikomu nie zaszkodzi.

Norton odwrócił się raptownie ku niemu, jakby zamierzał udzielić mu ostrej reprimendy, lecz napotkał spokojne, niewzruszone spojrzenie człowieka, który podjął decyzję i nie zamierza jej zmieniać. Norton chyba od razu to zrozumiał, ponieważ nie odezwał się ani słowem.

- Dziękuję - powiedziałem.

Rozciąłem scyzorykiem folię i na podłogę wysypały się ciasne zwoje sznurka. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem koniec, a następnie luźno obwiązałem w pasie Czapczkę Golfisty; natychmiast rozsypał mój węzeł i błyskawicznie wykonał własny, znacznie solidniejszy. W sklepie panowała cisza jak makiem zasiał. Norton niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Chce pan mój nóż? - zapytałem.

- Mam swój. - Patrzył na mnie z tą samą chłodną pogardą co przed chwilą na Nortona. - Proszę pilnować, żeby linka się nie zapętlila. Jeżeli poczuję, że coś jest nie tak, przetnę ją.

- Wszyscy gotowi? - zapytał Norton stanowczo zbyt głośno.

Thusty chłopak podskoczył, jakby go ktoś ukłuł. Norton nasłuchiwał przez chwilę odpowiedzi, nie doczekał się jej, odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi.

Wyciągnąłem do niego rękę.

- Powodzenia.

Przyjrzał się jej z taką miną, jakby nie bardzo wiedział, co to jest.

- Przyślemy wam pomoc - powiedział wreszcie, odepchnął na bok szklaną tafłę drzwi i wyszedł na zewnątrz. Natychmiast poczułem znajomy kwaśny zapach. Pozostała czwórka podążyła za nim.

Podszedł do mnie Mike Hatlen. Ekipa Nortona zatrzymała się tuż za drzwiami w mleczej, kłębiącej się powoli mgłę. Norton powiedział coś, co powinienem usłyszeć, lecz mgła przedziwnie tłumiała dźwięki. Do moich uszu dotarł tylko szmer jego głosu oraz dwie albo trzy oderwane sylaby, jak z odległego radia. Po chwili ruszyli dalej.

Hatlen uchylił drzwi nieco szerzej. Ostrożnie przesuwalem linkę między palcami, pilnując, żeby cały czas luźno zwisała, zapamiętałem bowiem ostrzeżenie Czapeczki Golfisty. Wciąż panowała niezmacona cisza. Billy stał tuż przy mnie, zupełnie nieruchomy, ale wydawało mi się, że aż drży od kipiącej w nim energii.

Ponownie odniosłem przedziwne wrażenie, iż cała piątka nie tyle znikła we mgłę, ile nagle stała się niewidzialna. Przez chwilę ich ubrania zdawały się poruszać samodzielnie... a potem i po nich nie pozostał żaden ślad. Z tego, jak bardzo gęsta jest mgła, człowiek zdawał sobie dopiero wtedy, kiedy na jego oczach inni rozplýwali się w niej w ciągu paru sekund.

Wciąż popuszczałem linkę. Jedna czwarta... Połowa... Na chwilę przestała się rozwijać; w mgnieniu oka przeistoczyła się z żywej istoty w martwy przedmiot. Wstrzymałem oddech.

Niebawem ożyła. Przesuwając ją między palcami nagle przypomniałem sobie jak ojciec zabrał mnie do kina na "Moby Dicka" z Gregorym Peckiem. Chyba uśmiechnąłem się lekko.

Rozwinęło się ponad trzy czwarte linki. Widziałem już drugi koniec, na podłodze obok stóp Billy'ego. Nagle linka ponownie znieruchomiała; mniej więcej po pięciu sekundach błyskawicznie przesunęło mi się między palcami jakieś półtora metra, po czym gwałtownie skrzyła w lewo, za narożnik budynku.

W kolejnym gwałtownym zrywie rozwinęło się co najmniej sześć metrów, tak że aż dłonie rozgrzały mi się od tarcia. Zaraz potem gdzieś we mgłę rozległ się przeraźliwy, piskliwy wrzask. Nie sposób było odgadnąć, kto krzyczy: kobieta czy mężczyzna.

Linka ponownie zatańczyła mi w rękach. I jeszcze raz. Przemknęła w prawo, oparła się o futrynę, zaraz potem wróciła na lewą stronę. Między palcami przesunęło mi się jeszcze około dwóch metrów... po czym we mgłę eksplodował straszliwy, krwiożerczy ryk. Billy jęknął nieświadomie, Hatlen stał jak słup, z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. Kącik ust drżał mu leciutko.

Zaraz potem zapadła śmiertelna cisza... wydawało się, że trwa w nieskończoność... przerwał ją wrzask starszej kobiety (tym razem nie miałem wątpliwości, kto krzyczy):

- Zabierzcie to! Boże! Boże, weźcie to ze...

I znowu cisza.

Linka raptownie rozwinęła się niemal do końca, boleśnie parząc mi dłonie. Następnie zwisała luźno, we mgłę rozległo się donośne, basowe chrząknięcie. Natychmiast zrobiło mi się sucho w ustach.

Nigdy nie słyszałem takiego odgłosu, ale gdybym miał go do czegoś porównać, to chyba do dźwięków towarzyszących filmowi dokumentalnemu o afrykańskich lub południowoamerykańskich moczarach; to był głos jakiegoś ogromnego zwierzęcia. Powtórzył się... Jeszcze raz... A następnie zamienił się w serię niskich pomruków, które niebawem ucichły.

- Proszę, zamknijcie drzwi... - powiedziała drżącym głosem Amanda Dumfries.

- Za chwilę.

Zacząłem wybierać linkę. Wyłaniała się z mglistego niebytu i opadała mi pod stopy nierównymi zwojami. Jakiś metr przed końcem jej barwa zmieniła się z białej na szkarłatną.

- Śmierć! - zachrypiała pani Carmody. - Widzicie? Tam czyha śmierć!

Koniec linki był poszarpany, porozrywane włókna mokre od krwi.
Tym razem nikt nie zareagował na słowa pani Carmody. Mike Hatlen zamknął drzwi.

7. PIERWSZA NOC

McVey pracował w dziale mięsnym, odkąd sięgałem pamięcią; nie miałem pojęcia ani jak ma na imię, ani w jakim może być wieku. Ustawił gazowy grill pod otworem wentylacyjnym (co prawda elektryczne wentylatory nie działały, lecz przewody były chyba drożne) i około wpół do siódmej wewnątrz sklepu wypełniła apetyczna woń pieczonych kurczaków. Bud Brown nie protestował - może dlatego, że nie zdążył jeszcze otrząsnąć się z szoku po niedawnych wydarzeniach, ale przyczyną mogło być również to, iż wreszcie uświadomił sobie, że świeże mięso i kurczaki z każdą mijającą godziną stają się coraz mniej świeże. Drób pachniał wspaniale, lecz nie znalazł wielu amatorów. Mimo to McVey, nieduży, szczupły, w schludnym białym fartuchu, pracowicie dzielił kurczaki, układał na papierowych tackach i ustawiał rzędem na ladzie chłodniczej z mięsem.

Pani Turman przyniosła dla mnie i Billy'ego dwie tacki z kurczakiem i sałatką ziemniaczaną. Zjadłem, ile mogłem, natomiast Billy nawet nie tknął posiłku.

- Musisz jeść, mistrzu - powiedziałem.

- Nie jestem głodny.

- Bez jedzenia nie urośniesz i nigdy nie będziesz wysoki, i...

Pani Turman, która usiadła nieco z tyłu, dyskretnie pokręciła głową.

- Jak chcesz - poddałem się. - W takim razie przynajmniej pójdz do działu owocowego i weź sobie brzoskwinie.

- A co z panem Brownem?

- Jeśli coś będzie mówił, powiesz mi o tym.

- Zgoda.

Odszedł, powłócząc nogami. Odniosłem wrażenie, jakby zmałał. Bolało mnie serce, kiedy widziałem go w takim stanie. McVey dalej grillował kurczaki; najwyraźniej zupełnie mu nie przeszkadzało, że prawie nikt ich nie je. Już chyba wspomniałem, że ilu ludzi, tyle sposobów reagowania na sytuację taką jak ta, w której się znaleźliśmy. Trudno w to uwierzyć, ale tak jest. Ludzki umysł jest zupełnie nieobliczalny.

Pani Turman i ja zajęliśmy miejsce mniej więcej w połowie alejki z paralekami. Utworzyło się mnóstwo par oraz większych lub mniejszych grupek; tylko pani Carmody była sama. Nawet Myron i jego koleżka Jim trzymali się razem; spici do nieprzytomności leżeli przy chłodziarce z piwem.

Miejsca przy otworach obserwacyjnych zajęło sześciu nowych wartowników. Jednym z nich był Ollie, z nogą kurczaka w jednej ręce i piwem w drugiej. Obok każdego stanowiska wciąż stały obwiązane szmatami kije do szczotek i bańki z podpałką, ale podejrzewam, iż wiara w ich skuteczność zdecydowanie zmałała. Po tym okropnym, basowym chrząknięciu, po widoku zakrwawionej, przeżutej linki... Jeśli to coś, co czało się we mgle, postanowiłoby dobrać się do nas, nie moglibyśmy mu w żaden sposób przeszkodzić. Jemu, albo im.

- Co będzie w nocy? - zapytała pani Truman spokojnym głosem, ale wystarczyło spojrzeć jej w oczy, żeby ujrzyć tam paniczny lęk.

- Nie mam pojęcia, Hattie.

- Dave, jeśli ci to nie przeszkadza, chciałabym mieć Billy'ego blisko siebie. Chyba nigdy w życiu tak się nie bałam... - Roześmiała się ochryple. - Nawet na pewno nigdy się tak nie bałam, ale myślę, że jeśli Billy będzie blisko, to dam sobie radę. Zapanuję nad sobą ze względu na niego.

W jej oczach zalśniły łzy. Pochyliłem się i delikatnie poklepałem ją po ramieniu.

- Tak bardzo martwię się o Alana... - dodała łamiącym się głosem. - On nie żyje, Dave. W głębi serca wiem, że on nie żyje.

- Nieprawda, Hattie. Nie wiesz nic takiego, bo i skąd?

- Ale to przeczuwam. A ty nie masz żadnych przeczuć co do Stephanie? Zupełnie żadnych?

- Nie - skłamałem.

Z gardła kobiety wydobył się zdławiony ni to jęk, ni skowyt; stłumiła go, przyciskając rękę do ust. W jej okularach odbijało się przyćmione, szare światło.

- Billy wraca - mruknąłem.

Jadł brzoskwinie. Hattie Turman poklepała podłogę obok siebie i powiedziała, że kiedy skończy jeść, pokaże mu, jak z pestki i kawałka drutu zrobić małego ludzika. Billy uśmiechnął się do niej blade, a ona zrobiła to samo.

O ósmej wieczorem nastąpiła kolejna zmiana warty.

- Gdzie Billy? - zapytał Ollie, podchodząc do mnie.

- Z tyłu sklepu, z panią Turman. Mają zajęcia praktyczno-techniczne. Przerobili już wytwarzanie ludzików z pestek brzoskwiń i robienie masek z toreb na zakupy, a teraz McVey pokazuje mu, jak zrobić człowieczka ze szczotki do mycia muszli klozetowej.

Ollie pociągnął tęgi łyk piwa.

- Coś się tam rusza.

Podniosłem na niego wzrok i napotkałem spokojne, nieruchome spojrzenie.

- Nie jestem pijany - powiedział. - Staram się upić, i nie mogę. Bardzo bym chciał, możesz mi wierzyć.

- Co to znaczy: "Coś się tam rusza"?

- Trudno mi powiedzieć, ale zapytałem Waltera i on odniósł podobne wrażenie: jakby miejscami mgła robiła się na chwilę ciemniejsza, czasem tylko trochę, a niekiedy na całkiem sporym obszarze, a zaraz potem wszystko wraca do normy. Poza tym nieustannie się kłębi i wciąż pojawiają się jakby wiry czy coś w tym rodzaju. Nawet Armie Simms jest niemal pewien, że coś się tam rusza, a przecież Armie jest prawie ślepy jak kret.

- A inni?

- Nie znam ich - odparł. - Nie pytałem.

- Jesteś pewien, że to nie złudzenie?

- Na sto procent. - Ruchem głowy wskazał panią Carmody siedzącą samotnie przy końcu alejki.

Ona z pewnością nie mogła narzekać na brak apetytu: wokół niej piętrzyły się stopy kości kurczaków. Sądząc po kolorze płynu w jej szklance, piła albo krew, albo sok pomidorowy. -

Myślę, że miała rację przynajmniej pod jednym względem. Wkrótce się zresztą przekonamy.

Kiedy zapadnie noc, wszystkiego się dowiemy.

Jak się okazało, wcale nie musieliśmy czekać do nocy. Dzięki pani Turman, która nie dopuściła go do frontowej części supermarketu, Billy widział bardzo niewiele z tego, co się wydarzyło.

Ollie wciąż jeszcze stał przy mnie, kiedy jeden ze strażników wydał zduszony okrzyk, po czym zaczął się cofać, wymachując ramionami. Zbliżało się wpół do dziewiątej; perłowobiała mgła ściemniała, przybierając ciemnoszarą barwę listopadowego zmierzchu.

Coś uderzyło od zewnątrz w szybę przy otworze obserwacyjnym.

- Święty Jezu! - wrzasnęła pełniący tam dyżur człowiek. - Wypuście mnie stąd! Ja mam już dosyć!

Odwrócił się, potoczył dokoła dzikim spojrzeniem z kącika ust płynęła mu strużka śliny - a następnie co sił w nogach pognął przed siebie alejką w kierunku lad z mrożonkami. Zawtórowały mu inne krzyki. Parę osób pobiegło w przeciwną stronę niż on, żeby przekonać się na własne oczy, co się dzieje, znacznie więcej jednak podażyło za uciekającym mężczyzną; nie obchodziło ich, a przynajmniej nie chcieli wiedzieć, co się znalazło po drugiej stronie szyby. Zacząłem się powoli zbliżać do otworu obserwacyjnego. Ollie szedł przy mnie z ręką w kieszeni, w której schował rewolwer pani Dumfries. Z sąsiedniego stanowiska również dobiegł okrzyk, może nie tyle strachu, ile obrzydzenia.

Jak tylko wyszliśmy spomiędzy regałów, zobaczyłem to, co tak bardzo przstraszyło wartownika. Wciąż nie miałem pojęcia, co to jest, ale przynajmniej to widziałem. Przypominało któreś z pomniejszych stworzeń uwiecznionych na przerażających malowidłach Boscha, lecz równocześnie było w nim coś nieodparcie zabawnego, ponieważ wyglądało po trosze jak plastikowe albo gumowe straszidło, które za parę dolarów można kupić w sklepie ze śmiesznymi rzeczami, żeby napędzić stracha przyjaciółom - czyli jak coś takiego, co, zdaniem Nortona, podrzuciłem w magazynie.

Stwór miał nieco ponad pół metra długości i składał się z kilkunastu segmentów w paskudnym różowym kolorze, takim, jaki mają świeże blizny po oparzeniach. Wyłupiaste oczy umieszczone na krótkich, wiotkich szypułach gapiły się w przeciwnych kierunkach. Paskudztwo przywarło do szyby dzięki rzędom grubych przysawek. Na drugim końcu miało coś, co mogło być organem rozrodczym albo żądłem, z grzbietu zaś wyrastały nieproporcjonalnie duże skrzydła zbudowane podobnie jak skrzydła muchy. Kiedy podeszliśmy jeszcze bliżej, zobaczyliśmy, że poruszają się bardzo powoli.

Przy otworze obserwacyjnym po lewej stronie - tam skąd dobiegł okrzyk obrzydzenia - po szybie pełzały niezdarnie trzy takie okazy. Zostawiały za sobą wilgotne ślady, oczy (jeżeli to rzeczywiście były oczy) kołysały się na czulkach grubości palca. Największy miał jakieś metr dwadzieścia długości. Pełzały również po sobie, co zdawało się nie sprawiać im najmniejszej różnicy.

- Tylko popatrzcie na te paskudztwa... - wymamrotał z odrazą Tom Smalley.

Stał przy otworze po prawej stronie. Nie odpowiedziałem. Robali pojawiało się coraz więcej, co mogło świadczyć o tym, że oblaży cały budynek - niczym larwy kawał gnijącego mięsa. Nie była to zbyt przyjemna myśl; od razu poczułem, że kurczak, którego zdołałem w siebie wmusić, gwałtownie zapragnął wyjść na zewnątrz.

Ktoś rozpaczliwie szlochał, pani Carmody wykrzykiwała o potworach z wnętrza Ziemi. Ktoś wrzasnął na nią, żeby się zamknęła, bo jak nie, to popamięta. Wszystko po staremu.

Ollie wyjął z kieszeni rewolwer pani Dumfries. Złapałem go za rękę.

- Zaczekaj!

Uwolnił ją zdecydowanym szarpnięciem.

- Spokojnie, wiem, co robię.

Z przypominającym maskę grymasem obrzydzenia na twarzy zastukał ręką rewolweru w szybę. Przezroczyste skrzydła natychmiast zaczęły uderzać z ogromną częstotliwością (gdybym nie wiedział, że tam są, teraz na pewno bym ich nie zauważył), po czym stworzenia po prostu odleciały.

Ci, którzy widzieli, co zrobił Ollie, natychmiast podchwycili jego pomysł. Stukanie kijami od szczołek początkowo dało pożądaną efekt; stwory odleciały, lecz wkrótce wróciły. Wyglądało na to, że również pod względem inteligencji przypominają muchy. Groźba wybuchu paniki minęła, wewnątrz supermarketu wypełnił gwar rozmów. Ktoś zapytał, co mogłoby się stać, gdyby takie latające ohydztwo wylądowało na człowieku. Szczerze mówiąc, wolałbym tego nie sprawdzać.

Odgłosy stukania zaczęły powoli cichnąć. Ollie odwrócił się do mnie, żeby coś powiedzieć, ale ledwie zdążył otworzyć usta, po drugiej stronie szyby coś błyskawicznie wyłoniło się z mgły, porwało jedno z pełzających stworzeń, po czym znikło. Chyba krzyknąłem... lecz nie jestem pewien.

To coś z pewnością latało, jednak poza tym niewiele mógłbym powiedzieć. Mgła nagle pociemniała, dokładnie tak, jak opisywał to Ollie, a po chwili jej najciemniejsza część zmaterializowała się w postaci istoty o ogromnych skórzastych skrzydłach, ciele albinosa i czerwonych oczach. Uderzenie w szybę było tak silne, że ta zadrżała. Stwór otworzył dziób, chwycił różowego robala i znikł. Całe zdarzenie trwało najwyżej pięć sekund. Na siatkówce pozostał mi utrwalony niczym fotografia obraz różowego odwłoka niknącego w przepastnej gardzieli.

Po chwili rozległ się jeszcze jeden donośny łomot, zaraz potem kolejny. Ludzie znowu zaczęli krzyżeć, wielu z nich popędziło w głąb sklepu. Nagle usłyszeliśmy przeraźliwy wrzask, znacznie donośniejszy od pozostałych.

- Boże! - wyszeptał Ollie. - Stratowali tę starszą kobietę!

Pognał alejką co sił w nogach. Zamierzałem pobiec za nim, lecz w ostatniej chwili zobaczyłem coś, co sprawiło, że zamarłem w bezruchu.

Po mojej prawej stronie przesuwiał się powoli wieńczący mur worek z nawozem sztucznym. Bezpośrednio pod nim stał Tom Smalley i wyglądał przez otwór obserwacyjny.

Na szybie przy moim stanowisku wylądował kolejny różowy robal, lecz niemal natychmiast został porwany przez latającego dziobatego stwora. Stara kobieta wciąż krzyczała rozpaczliwym, skrzeczącym głosem.

Worek. Ten zsuwający się worek.

- Smalley! - ryknąłem co sił w płucach. - Uwważaj! Odsuń się!

Nie miał szans, żeby usłyszeć mnie w tym zamieszaniu. Worek jakby się zawahał, po czym runął prosto na jego głowę. Tom osunął się na posadzkę; po drodze uderzył jeszcze brodą w niską półkę biegnącą wzdłuż okien.

Przez otwór w szybie gramolił się jeden z albinosów. Wrzawa przycichła, dzięki czemu wyraźnie słyszałem szelest jego błoniastych skrzydeł. Czerwone oczy zdawały się płonąć w trójkątnej, przechylonej na bok głowie, potężny dziób kłapał drapieźnie. Stworzenie wyglądało trochę jak pterodaktyl z ilustracji w książce o dinozaurach, a trochę jak majak z sennego koszmaru wariata. Złapałem pochodnię i z rozmachem wepchnąłem ją w bańkę z płynem zapalającym; bańka przechyliła się, sporo płynu wylało się na podłogę.

Skrzydlaty stwór zatrzymał się na szczycie obwałowania i rozejrzał się dokoła, złowroźnie przestępując z nogi na nogę. Wątpię, żeby dysponował jakąkolwiek inteligencją. Dwa razy usiłował rozłożyć skrzydła, lecz natychmiast uderzał nimi o ściany; za trzecim razem stracił równowagę, po czym, wciąż próbując rozpostrzeć skrzydła, spadł wprost na plecy Toma Smalleya. Wystarczył jeden ruch szponów, by z koszuli Toma zostały strzępy. Jeszcze jeden ruch i popłynęła krew.

Stałem najwyżej metr od nich, z gotową do użytku pochodnią, ogarnięty żądzą mordy... i nagle uświadomiłem sobie, że nie mam czym zapalić pochodni. Ostatnią zapałkę zużyłem mniej więcej przed godziną, kiedy McVey poprosił mnie o ogień.

Rozpętało się prawdziwe piekło. Na widok przerażającego stwora siedzącego na grzbiecie Smalleya ludzie ogarnęła panika. Stwór wysunął naprzód głowę, po czym opuścił ją gwałtownie i wyszarpnął kawał ciała z karku Smalleya.

Byłem już gotów posłużyć się pochodnią jak maczugą, kiedy nagle buchnął płomień. Dan Miller trzymał w ręce pamiątkową zapalniczkę z emblematem komandosów. Twarz wykrzywił mu grymas przerażenia i wściekłości.

- Zabij to! - wychrypiał. - Zabij to, jeśli możesz!

Tuż obok stał Ollie z rewolwerem w dłoni, ale bał się go użyć.

Potwór rozpostarł skrzydła, poruszył nimi (raczej nie po to, żeby odlecieć, lecz by lepiej chwycić zdobycz), następnie białe, skórzaste błony szczelnie otuliły górną część ciała nieprzytomnego Smalleya, potem zaś rozległy się przerażające, ohydne odgłosy rozrywania i szarpania. Na samo ich wspomnienie ciarki przechodzą mi po plecach.

Wszystko to trwało zaledwie parę sekund. Chwilę później z całej siły pchnąłem stwora pochodnią - odniosłem wrażenie, jakbym uderzył w latawiec z papieru i balsy - i przerażająca istota w okamgnieniu zajęła się ogniem. Raptownie poderwała głowę, z szeroko otwartego dzioba wydobył się przeraźliwy skrzek (mam nadzieję) bólu i strachu. Wciąż skrzecząc, poderwała się do lotu z odgłosem, jaki wydają targane przez porywisty wiatr mokre prześcieradła rozwieszane na sznurze.

Wszyscy z zapartym tchem śledzili płomienisty śmiertelny lot. Mam wrażenie, że chyba właśnie ten widok najbardziej zapadł mi w pamięć: podobna do ptaka biała, płonąca istota lecąca zygzakami nad regałami i alejkami supermarketu. Kiedy wreszcie runęła na stojak z sosami do spaghetti, rozbryzgując je dokoła niczym krew, zostało z niej niewiele więcej niż kości i popiół. Smród spalenizny przyprawiał o mdłości, ale chociaż był tak intensywny, i tak czułem kwaśną woń mgły wciskającą się przez poszarpany otwór w szybie.

Przez pewien czas panowała niczym niezmacona cisza. Zjednoczył nas mrozący krew w żyłach zachwyty dla tego ognistego lotu. Potem ktoś zawył, ktoś inny krzyknął, a ja usłyszałem dobiegający z daleka płacz syna.

Chwyciła mnie czyjaś ręka. To był Bud Brown, z wybałuszonymi oczami i wyszczerzonymi zębami.

- Patrz! - wykrztusił, wskazując przed siebie palcem. - To... To też!

Przez dziurę w szybie przedostał się jeden z różowych robali, przysiadł na stercie worków z nawozem i powoli poruszał zakończonymi oczami czułkami. Uderzające w szybkim tempie przezroczyście skrzydła brzęczały cicho jak elektryczny wentylator. Różowy, odrażający korpus wznosił się i opadał jakby w rytm oddechu.

Ruszyłem w kierunku intruza. Moja pochodnia dogasała, ale z pewnością zdążyłbym jej użyć, gdyby nie ubiegła mnie pani Reppler, nauczycielka. Miała jakieś pięćdziesiąt pięć, może nawet sześćdziesiąt lat i była przeraźliwie chuda, lecz równocześnie sprawiała wrażenie bardzo silnej. Widok takiej osoby zawsze nasuwa mi na myśl porównanie z cienkim ale mocnym skórzanym paskiem.

W obu rękach trzymała pojemniki z raidem, niczym jakiś szalony rewolwerowiec z egzystencjalnej komedii. Wydała bojowy okrzyk, którego nie powstydziliby się jaskiniowiec roztrzaskujący maczugą czaszkę wroga, wyciągnęła przed siebie ręce i wdusiła przyciski. Gęsta chmura środka owadobójczego otoczyła stworzenie, które niemal natychmiast poczęło wić się i miotać, aż wreszcie, wstrząsane drgawkami, spadło na ponad wszelką wątpliwość martwe ciało Toma Smalleya, stoczyło się na posadzkę i tam już zostało. Jeszcze przez kilkanaście sekund rozpaczliwie uderzało skrzydłami, potem częstotliwość uderzeń spadła, aż wreszcie stwór całkiem znieruchomiał. Nie żył.

Tu i ówdzie rozległ się płacz, gdzieniegdzie jęki. Jęczała starsza kobieta stratowana przez tłum. Niektórzy śmiali się jak potępiency. Pani Reppler, z falującą wątlą piersią, stała nad swoją zdobyczą.

Hatlen i Miller przyprowadzili wózek wykorzystywany przez obsługę sklepu do transportu ciężkich ładunków, wspólnymi siłami wciągnęli go na szczyt wału z worków i zasłonili dziurę w szybie. Na pewien czas mogło to nawet wystarczyć.

Amanda Dumfries wystąpiła naprzód jak lunaticzka, z wiaderkiem z tworzywa sztucznego w jednej ręce i nierozpakowaną z folii zmiotką w drugiej. Wpatrując się w jakiś niezmiernie odległy punkt szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami, przykucnęła i zgarnęła różowe paskudztwo - robaka, ślimaka, czy cokolwiek to było - do wiaderka. Folia zaszeleściła w zetknięciu z podłogą. Następnie podeszła do drzwi wyjściowych. Nic na nich nie siedziało. Uchyliła je nieco i wyrzuciła wiaderko na zewnątrz. Przewróciło się, po czym przez chwilę zataczało coraz ciaśniejsze kręgi. Jak tylko znieruchomiło, z mgły wyleciał kolejny różowy stwór, wylądował na wiaderku i rozpoczął powolną wędrówkę.

Amanda wybuchnęła płaczem. Podeszedłem do niej i otoczyłem ją ramieniem.

O pierwszej trzydzięci w nocy, pogrążony w półśnie, siedziałem na podłodze oparty plecami o białą emaliowaną ściankę ludy chłodniczej z mięsem. Na moich kolanach spoczywała głowa śpiącego głęboko Billy'ego. Niedaleko nas, z podłożoną pod głowę czyjąś kurtką, zasnęła Amanda Dumfries.

Niedługo po śmierci w płomieniach ptakopodobnej istoty poszedłem z Olliem na zaplecze i przynieśliśmy kilka takich koców jak ten, który zabrałem z magazynu, żeby przykryć Billy'ego. Rozdaliśmy je ludziom. Przytasczyliśmy także parę ciężkich skrzyń z pomarańczami i gruszkami; przy pomocy jeszcze dwóch mężczyzn zdołaliśmy ustawić je na barykadzie z worków. Gdyby niby-ptaki zechciały dostać się do nas przez dziurę w szybie, miałyby sporo problemów z ich przesunięciem. Każda ważyła co najmniej czterdzieści kilogramów.

Ale przecież tam, na zewnątrz, były nie tylko niby-ptaki i robakopodobne stworzenia, którymi się odżywiały. Nie należało zapominać o wyposażonej w macki istocie, która porwała Norma, o przeżutej i zakrwawionej lince oraz o basowym pochrząkiwaniu dobiegającym zza zasłony mgły. Odgłosy te powtarzały się jeszcze parę razy, ale wydawało nam się, że dobiegają z większej odległości - tyle że nikt nie wiedział, co to w praktyce oznacza, bo przecież w tak gęstej mgle dźwięk rozchodził się w zupełnie inny sposób niż w czystym powietrzu. Raz czy dwa zresztą rozległy się tak blisko, że zadrżały szyby, a nasze serca zamiast gorącej krwi wypełniła lodowata woda.

Billy poruszył się i jęknął. Poglądziłem go po włosach, jęknął jeszcze raz, po czym chyba wypłynął na spokojniejsze wody snu. Ja jednak zupełnie się rozbudziłem. Od zapadnięcia całkowitego mroku zdołałem przespać łącznie najwyżej półtorej godziny, a i tak przez większą część tego czasu dręczyły mnie koszmary. Między innymi przyśniła mi się poprzednia noc. Billy i Steff stali przy dużym oknie w salonie, zapatrzeni w szaroczną tafłę jeziora i srebrzystą wodną kurzawę zwiastującą niezbyt odległe nadejście burzy. Usiłowałem do nich podbiec i zabrać ich stamtąd, ponieważ wiedziałem, że silny podmuch wiatru może roztrzaskać szybę i zasypać ich śmiertelnie niebezpiecznymi szklanymi odłamkami, lecz choć biegłem co sił w nogach, nie byłem w stanie się do nich zbliżyć. A potem z kurzawy wyłonił się ptak, ogromny szkarłatny oiseau de mort; cień jego rozłożystych prehistorycznych skrzydeł okrył całe jezioro od wschodniego krańca po zachodni. Kiedy otworzył dziób, ukazała się otchłań wielkości tunelu Holland. Ptak nadlatywał z ogromną prędkością, by porwać moją żonę i syna, a jakiś cichy, złowieszczy głos szeptał mi do ucha: "Projekt Grot Strzały... Projekt Grot Strzały... Projekt Grot Strzały...".

Nie tylko my dwaj mieliśmy problemy ze snem. Wiele osób krzyczało, niektóre nawet po obudzeniu. Piwo zniknęło z chłodziarki w błyskawicznym tempie. Buddy Eagleton już raz bez

słowa komentarza uzupełnił zapas. Mike Hatlen powiedział mi, że z regałów z paralekami znikły wszystkie środki uspokajające.

- Zostało tylko trochę pastylek nasennych. Chcesz parę, Dave?

Pokręciłem głową.

W alejce przy kasie numer 5 usadowili się miłośnicy trunków. Było ich sześciu albo siedmiu, wszyscy spoza stanu, z wyjątkiem Lou Tatterera, właściciela myjni samochodowej. Plotka głosiła, że Lou i bez żadnej okazji chętnie sięgał po butelkę. Cała grupa zdołała się już mocno znieczulić.

Również sześć albo siedem osób po prostu oszalało.

"Oszalało" nie jest chyba najszcześliwszym określeniem, ale inne nie przychodzi mi do głowy. Mam na myśli ludzi, którzy bez pomocy piwa, wina czy leków wprowadzili się w stan całkowitego odretwienia. Siedzieli bez ruchu, wpatrując się przed siebie szeroko otwartymi szklistymi oczami. W wyniku niewyobrażalnego trzęsienia ziemi, w twardej skorupie rzeczywistości pojawiły się ogromne szczeliny, a ci biedacy wpadli w nie z kretesem. Za jakiś czas niektórzy mieliby szansę wrócić... jeśli taki czas byłby im dany.

Reszta jakoś pogodziła się z sytuacją, idąc niekiedy na bardzo daleko posunięte intelektualne kompromisy. Na przykład pani Repler była święcie przekonana, że wszystko, co ją do tej pory spotkało, wydarzyło się we śnie.

Spojrzałem na Amandę. Zdawałem sobie sprawę, iż od pewnego czasu żywię do niej coraz bardziej niepokojące uczucia - co wcale nie znaczy, że niemiłe. Miała tak nieprawdopodobnie zielone oczy... Obserwowałem ją ukradkiem, podejrzewając, że przed pójściem na spoczynek wyjmie szkła kontaktowe, ale nic takiego nie uczyniła, więc chyba kolor oczu był prawdziwy. Chciałem się z nią kochać. Moja żona była w domu, być może żywa, ale raczej prawie na pewno martwa - tak czy inaczej zupełnie sama - ja zaś ogromnie ją kochałem i ponad wszystko na świecie pragnąłem jak najszybciej wrócić do niej z Billym, lecz równocześnie marzyłem o tym, żeby przelecieć Amandę Dumfries. Powtarzałem sobie, że to przez niezwykłą sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, i być może nawet tak właśnie było, lecz ta świadomość ani trochę nie zmniejszała pożądania.

Trochę się zdrzemnąłem, by około trzeciej obudzić się znacznie bardziej przytomny niż do tej pory. Amanda leżała na boku w pozycji embrionalnej, z kolanami pod brodą i dłońmi wsuniętymi między uda. Wydawała się pogrążona w głębokim śnie. Bluza podwinęła się nieco, odsłaniając gładką, jasną skórę. Przyglądałem się jej... i nagle poczułem całkowicie bezużyteczny, a do tego niewygodny wzwód.

Usiłowałem się od niego uwolnić, kierując myśli na inny temat. Przypomniałem sobie, jak poprzedniego dnia chciałem namalować Brenta Nortona... No, może niekoniecznie od razu namalować, tylko posadzić na pniu z moim piwem w ręce i naszkicować jego spoconą, zmęczoną twarz wraz ze sterczącymi zza uszu kosmykami zmierzwionych włosów. Mógłby z tego być całkiem dobry obrazek. Dopiero po dwudziestu latach mieszkania pod jednym dachem z ojcem pogodziłem się z poglądem, że niekiedy wystarczy, żeby coś było po prostu "dobre".

Wiecie, czym jest talent? Męką oczekiwania. Trzeba sobie z tym radzić, jeszcze będąc dzieckiem. Jeśli umiesz pisać, wydaje ci się, że Bóg zesłał cię na ziemię po to, byś stał w proch Szekspira. A jeśli umiesz malować, wydaje ci się - w każdym razie mnie się tak wydawało - że Bóg zesłał cię na ziemię, żebyś stał w proch swojego ojca.

Okazało się jednak, że on jest lepszy. Próbowałem chyba dłużej, niż powinienem. Miałem wystawę w Nowym Jorku, która zakończyła się katastrofą; krytycy wdeptali mnie w ziemię, w co drugim zdaniu porównując mnie z ojcem. Rok później utrzymywałem rodzinę, wykonując komercyjne zlecenia. Steff była w ciąży, więc usiadłem i przeprowadziłem ze sobą poważną

rozmowę. W jej następstwie ustaliłem raz na zawsze, że prawdziwa sztuka będzie dla mnie wyłącznie hobby, niczym więcej.

Przygotowałem plakaty do kampanii reklamowej szamponu "Złotowłosa dziewczyna". Ten, na którym dziewczyna stoi okrakiem nad rowerem, ten, na którym rzuca na plaży latającym talerzem, i ten, na którym ze szklaneczką w ręce stoi na balkonie. Ilustrowałem opowiadania chyba dla wszystkich liczących się kolorowych miesięczników, ale dostałem tę robotę po tym, jak zilustrowałem kilkadziesiąt tekstów w pismach znacznie lżejszego kalibru. Robię też plakaty filmowe. Forsa płynie, radzimy sobie doskonale.

Ubiegłego lata urządziłem ostatnią wystawę w Bridgton. Pokazałem dziewięć płócien namalowanych w ciągu minionych pięciu lat, z czego sprzedałem sześć. To, którego sprzedaży kategorycznie odmówiłem, dziwnym zbiegiem okoliczności przedstawiało supermarket Federal widziany z najodleglejszego końca parkingu. Na moim obrazie nie ma samochodów, tylko rząd puszek z fasolką Campbella, tym większych, im bliżej są krawędzi obrazu. Pierwsza wydaje się mieć półtora metra wysokości. Zatytułowałem go "Fasolki i złudzenie perspektywiczne". Jakiś osobnik z Kalifornii - wysoki rangą urzędnik w firmie produkującej rakietę, piłki tenisowe i licho wie co jeszcze - bardzo chciał go kupić. Nie docierały do niego ani moje odmowy, ani nawet wywieszka NIE NA SPRZEDAŻ pod obrazem. Zaczął od sześciuset dolarów, doszedł do czterech tysięcy. Podobno zamierzał powiesić go w swoim gabinecie. Wyszedł z pustymi rękami, szczerze zdumiony, ale do ostatniej chwili nie tracił nadziei; zostawił mi wizytówkę na wypadek, gdybym jednak zmienił zdanie.

Pieniądze z pewnością by się przydały, ponieważ właśnie wtedy rozbudowywaliśmy dom i kupiliśmy wóz terenowy, ale po prostu nie mogłem się rozstać z tym obrazem. Zdawałem sobie sprawę, że to najlepsze płótno, jakie wyszło spod mojego pędzla, i chciałem je zatrzymać, aby móc na nie spojrzeć za każdym razem, kiedy ktoś z całkowicie nieświadomym okrucieństwem zapyta mnie, kiedy wreszcie zacznę robić coś poważnego.

A potem, jesienią ubiegłego roku, pokazałem obraz Olliemu Weeksowi. Zapytał, czy pozwoliłbym mu go sfotografować i wykorzystać przez tydzień do promocji sklepu, i na tym skończyły się moje rojenia. Ollie zobaczył obraz taki, jaki był w istocie: dobry kawałek sztuki komercyjnej. Nic więcej... ale, Bogu dzięki, i nic mniej.

Zgodziłem się, a potem zadzwoniłem do San Luis i powiedziałem gościowi od raket tenisowych, że jeśli jeszcze jest zainteresowany, mogę mu sprzedać płótno za dwa i pół tysiąca. Był, więc zapakowałem obraz i wysłałem UPS-em na wybrzeże. Od tamtej pory głos zawiedzionych oczekiwania (brzmi jak głos dziecka, którego nie da się usatysfakcjonować czymś tak zwyczajnym i pospolitym jak "dobre") wreszcie umilkł. Niekiedy tylko powraca odległym dudniącym echem, trochę podobnym do stłumionych, dobiegających zza zasłony mgły odgłosów niewidocznych stworzeń. Może wy mi powiecie, dlaczego kiedy umilkł, poczułem się trochę tak, jakby umarł ktoś bardzo bliski?

Około czwartej Billy się obudził - przynajmniej częściowo - i potoczył dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Jeszcze tu jesteśmy?...

- Tak, kochanie - odparłem. - Jeszcze tak.

Zaniósł się rozpaczliwym, bolesnym łkaniem. Amanda również się obudziła i przysunęła się do nas.

- Chodź do mnie, kolego. - Objęła go delikatnie. - Rano wszystko będzie wyglądało lepiej.

- Nie - wychlipał Billy. - Nie będzie. Nie będzie...

- Ciii... - Spojrzała na mnie nad jego głową. - Ciii... Wszyscy śpią.

- Chcę do mamy!

- Tak, tak...

Billy wiercił się tak długo, aż wreszcie ułożył się w taki sposób, żeby mnie widzieć. Jakiś czas później zasnął.

- Dziękuję - szepnąłem. - Potrzebował cię.

- Nawet mnie nie zna.

- Nie szkodzi.

- A co ty myślisz? - Zielone oczy wpatrywały się we mnie bez drgnięcia powieki. - Co naprawdę myślisz?

- Zapytaj mnie rano.

- Pytam teraz.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili z mroku wyłonił się Ollie Weeks, niczym jakaś postać z budzącej grozę opowieści. W ręce trzymał zwróconą ku górze latarkę przykrytą damską bluzką. Na jego zmęczonej twarzy tańczyły plamy cienia.

- Davidzie... - szepnął.

Amanda odwróciła głowę ku niemu, najpierw zaskoczona, potem znowu przerażona.

- O co chodzi?

- Davidzie... - A potem: - Chodź. Proszę.

- Billy dopiero co zasnął.

- Ja z nim zostanę - powiedziała Amanda. - Lepiej idź. - Chwilę później, znacznie ciszej dodała: - Boże, czy to się nigdy nie skończy?

8. CO SIĘ STAŁO Z ŻOŁNIERZAMI? AMANDA. ROZMOWA Z DANEM MILLEREM.

Ollie poprowadził mnie w kierunku magazynu. Mijając chłodziarkę z piwem, wziął puszkę.

- O co chodzi, Ollie?

- Sam zobaczysz.

Pchnął dwuskrzydłowe drzwi. Kiedy się za nami zamykały, owionął nas delikatny podmuch powietrza. Na zapleczu było zimno. Po tym, co przydarzyło się Normowi, nie lubiłem tego miejsca. Jakaś częśćka mego mózgu uparcie przypominała, że gdzieś na podłodze leży fragment martwej macki.

Ollie wyjął latarkę spod przykrycia i przesunął płamę światła po suficie. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że na jednej z biegnących tam rur ktoś powiesił dwa manekiny, tak jak dzieciaki czynią niekiedy podczas Halloween. Zaraz potem jednak opuściłem wzrok i zobaczyłem wyprężone stopy jakiegoś dwadzieścia pięć centymetrów nad podłogą, obok zaś zwalone pudła, przedtem zapewne ustawione w chwiejną piramidę. Ponownie spojrzałem w górę, na twarze, i do gardła zaczął mi podchodzić przeraźliwy krzyk, ponieważ nie były to wcale plastikowe twarze manekinów. Obie głowy zwisały przechylone na bok pod przedziwnym kątem, jakby ich posiadacze zaśmiewali się z czegoś do rozpuku... przynajmniej do chwili, kiedy zrobili się purpurowosini ze śmiechu.

Cienie. Wydłużone cienie na ścianie magazynu. I języki wystające z rozchylnych ust.

Obaj byli w mundurach. Chłopcy, na których zwróciłem uwagę na samym początku, a potem straciłem z oczu. Żołnierzyki z...

Krzyk. Usłyszałem go, kiedy wydobył się z moich ust w postaci jęku, a następnie zaczął przybierać na sile niczym syrena policyjna. Ollie chwycił mnie za łokieć i ścisnął mocno.

- Nie rób tego, Davidzie. Nikt o tym nie wie, tylko my dwaj. I tak powinno zostać.

Jakoś zdołałem nad sobą zapanować.

- Oni byli z...

- ...Projektu Grot Strzały - dokończył Ollie. - Zgadza się. - Wepchnął mi do ręki coś zimnego. Puskę piwa. - Łyknij sobie. Przyda ci się.

Kiedy odsunąłem puszkę od ust, była prawie pusta.

- Przyszedłem poszukać zapasowej butli gazowej do grilla i od razu ich zobaczyłem.

Zadzierzgnęli pętle na dwóch końcach sznura, przerzucili go przez rurę, potem ustawili pudła, związali sobie nawzajem ręce, weszli na pudła, któryś z nich pewnie policzył do trzech, i skoczyli.

- To niemożliwe - powiedziałem. Słowa z trudem przeciskały mi się przez zupełnie suche gardło, ale fakty mówiły co innego. Obaj rzeczywiście mieli ręce związane za plecami.

- Możliwe, Davidzie. Trudne, ale możliwe. Wystarczy tylko bardzo chcieć.

- Ale... dlaczego?

- Myślę, że wiesz dlaczego. Turyści i przyjezdni może niczego się nie domyślają, ale my, miejscowi, chyba wiemy.

- Projekt Grot Strzały?

- Stoję przy kasach od rana do wieczora, więc słyszę to i owo. Przez całą wiosnę ludzie gadali tylko o tym, i to raczej nic dobrego. Czarny lód na jeziorach...

Przypomniałem sobie śmierzący alkoholem oddech Billa Gosti na mojej twarzy. Atomy, ale takie zupełnie inne atomy. A teraz dwa nieruchome ciała wiszące u sufitu. Przechylone głowy. Wyprężone stopy. Języki opuchnięte jak kiełbasy.

Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że zaczynam patrzeć na świat zupełnie innymi, nowymi oczami. Czy jednak na pewno nowymi? Wcale nie. To stare oczy, jednocześnie będące oczami dziecka, które jeszcze nie nauczyło się w obronnym odruchu zawęzać sobie pola widzenia, odcinając się w ten sposób od dziewięćdziesięciu procent wszechświata. Dzieci dostrzegają wszystko, na co padnie ich spojrzenie, słuchają wszystkiego, co dociera do ich uszu. Jeżeli jednak życie istotnie polega na wzroście świadomości (makatkę z takim właśnie hasłem wykonała moja żona na zajęciach praktyczno-technicznych w szkole średniej), to owemu wzrostowi towarzyszy drastyczne obniżenie poziomu sygnałów na wszystkich wejściach.

Groza pojawia się wtedy, kiedy perspektywa i percepcja ulegają rozszerzeniu. Mnie najbardziej przerażała świadomość, że oto szybko zbliżam się do miejsca, które większość z nas zostawia za sobą w chwili, kiedy przestajemy używać pieluch. Po twarzy Olliego widziałem, iż z nim dzieje się podobnie. Gdy racjonalne myślenie zawodzi, może nastąpić przeciążenie niektórych obwodów w mózgu. Aksony nadmiernie się rozgrzewają, zanika różnica między halucynacjami i rzeczywistością: kropelka rtęci drżąca w miejscu, gdzie za sprawą perspektywy spotykają się dwie równoległe linie, pojawia się naprawdę, martwi wstają z grobów, a kwiaty zaczynają śpiewać.

- Mnóstwo ludzi mówiło różne rzeczy na ten temat - ciągnął Ollie. - Justine Robards, Nick Tochai, Ben Michaelson... W małych miasteczkach nie ma czegoś takiego jak tajemnica. Czasem to przypomina sprężynę, która nagle wyskakuje z ziemi i nikt nie wie, skąd ani dlaczego się wzięła. Usłyszysz coś w bibliotece albo na przystani, albo Bóg wie gdzie, i przekażesz to dalej... Przez całą wiosnę i lato słyszałem wciąż: "Projekt Grot Strzały, Projekt Grot Strzały..."

- Ale tych dwóch... - Potrząsnąłem głową. - Przecież to jeszcze dzieciaki!

- W Wietnamie takie same dzieciaki obcinały żółtkom uszy. Byłem, widziałem.

- Ale... Dlaczego to zrobili?

- Nie mam pojęcia. Może o czymś wiedzieli, a może tylko podejrzewali? Na pewno zdawali sobie sprawę, że ludzie w końcu zaczną ich wypytywać. Jeśli zdążą, ma się rozumieć...

- Jeżeli masz rację, to znaczy, że to było coś wyjątkowo paskudnego.

- Ta burza... - mówił dalej Ollie, jakby mnie nie usłyszał. - Może coś uszkodziła albo spowodowała jakiś wypadek. Licho wie, w czym tam grzebali. Niektórzy twierdzą, że chodziło o wyjątkowo silne lasery i masery, inni, że o kontrolowaną reakcję termojądrową. Przypuśćmy... Tylko przypuśćmy, że przypadkiem wyrabiali dziurę prosto do innego wymiaru...

- To czcze gadanie.

- A oni? - Wskazał na ciała.

- Oni są prawdziwi - przyznałem. - Teraz musimy się zastanowić, co robić.

- Moim zdaniem powinniśmy ich odciąć i gdzieś ukryć. Najlepiej przykryć czymś, czego nikt nie ruszy - żarciem dla psów, płynami do zmywania naczyń albo czymś w tym rodzaju. Gdyby to wyszło na jaw, zrobiliby się jeszcze gorzej. Właśnie dlatego cię tu przyprowadziłem, Davidzie. Coś mi mówi, że tylko tobie mogę zaufać.

- Zupełnie jak hitlerowscy zbrodniarze wojenni, którzy popełniali samobójstwa w swoich celach...

- mruknałem.

- Mnie też przyszło to na myśl.

Umilkliśmy. Niemal natychmiast zza metalowej bramy ponownie dobiegły znajome odgłosy skrobania i szurania. Odruchowo stanęliśmy bliżej siebie. Na całym ciele miałem gęsią skórę.

- W porządku - powiedziałem.

- W takim razie bierzmy się do roboty. - Sygnet Olliego załśnił w blasku latarki. - Chciałbym zniknąć stąd jak najprędzej.

Przyjrzałem się stryczkom. Żołnierze posłużyli się taką samą linką do bielizny jak ta, którą obwiązał sobie wokół piersi człowiek w czapeczce golfisty. Sznur werznął się głęboko w opuchnięte ciało, a mnie ponownie zaczęło dręczyć pytanie, jaka tajemnica skłoniła tych dwóch młodych ludzi do takiego czynu. Doskonale zdawałem sobie sprawę, co Ollie miał na myśli, mówiąc, że gdyby wiadomość o podwójnym samobójstwie wydostała się z tego pomieszczenia, zrobiliby się jeszcze gorzej. Mnie już zrobiło się gorzej, choć jeszcze niedawno dałbym sobie głowę uciąć, że to niemożliwe.

Ollie otworzył duży, solidny scyzoryk o długim ostrzu, którym zapewne rozcinał kartonowe pudła. I sznurki, ma się rozumieć.

- Ty czy ja? - zapytał.

- Każdy po jednym.

I tak właśnie zrobiliśmy.

Kiedy wróciłem, przy Billym była pani Turman, Amanda zaś znikła bez śladu. Oboje spali. Ruszyłem przed siebie alejką; po kilkunastu krokach ktoś zawołał mnie półgłosem:

- Panie Drayton... Davidzie!

Amanda, z oczami jak szmaragdy, stała przy schodkach prowadzących do biura.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic takiego.

Podeszła do mnie. Poczulem delikatny zapach perfum. Boże, jak pragnąłem tej kobiety!

- Kłamiesz.

- Naprawdę nic. Fałszywy alarm.

- Skoro tak chcesz... - Wzięła mnie za rękę. - Właśnie byłam w biurze. Jest puste, drzwi są zamykane na zamek.

Twarz miała zupełnie spokojną, w jej oczach natomiast płonął dziki, niemal zwierzęcy ogień, a z boku szyi widziałem szybkie uderzenia pulsu.

- Nie rozumiem, co...

- Widziałam, jak na mnie patrzyłeś. Jeśli koniecznie chcesz o tym rozmawiać, to nic z tego nie będzie. Twój syn jest z panią Turman.

- Wiem.

Przyszło mi do głowy, że może to dobry sposób (nie najlepszy, ale jednak), żeby choć na chwilę zapomnieć o tym, co przed chwilą robiłem z Olliem. Na pewno nie najlepszy: po prostu jedyny. Wspięliśmy się po wąskich schodkach i weszliśmy do biura. Tak jak powiedziała, było puste, w drzwiach był zamek. Przekręciłem go. W ciemności Amanda stała się tylko kształtem.

Wyciągnąłem rękę, dotknąłem jej, przyciągnąłem do siebie. Drżała. Osunęliśmy się na podłogę, przez chwilę całowaliśmy się, klęcząc, położyłem rękę na jędrnej piersi. Przez gruby materiał bluzy wyraźnie czułem łomotanie serca. Przypomniałem sobie, jak Steff ostrzegła Billy'ego, żeby nie dotykał przewodów pod napięciem. Przypomniałem sobie siniak na jej biodrze, kiedy w noc poślubną zrzuciła z siebie sukienkę. Przypomniałem sobie, jak zobaczyłem ją po raz pierwszy, jadącą na rowerze przez dziedziniec Uniwersytetu Maine; maszerowałem wtedy z pracami pod pachą na zajęcia z Vincentem Hartgenem. Nie mogłem sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek w życiu miał tak gigantyczny wzród.

Potem się położyliśmy i Amanda wyszeptwała:

- Kochaj się ze mną, Davidzie. Rozgrzej mnie. Szczytując, wbiła mi paznokcie w grzbiet i wykrzyknęła czyjeś imię. Nie miałem jej tego za złe. Wyszliśmy na remis. Kiedy zeszliśmy do głównej hali, zaczęło się już coś w rodzaju upiornego przedświt. Nieprzenikniona czerń za otworami obserwacyjnymi zaczęła się niechętnie przeistaczać w równie nieprzeniknioną szarość, by potem jaśnieć coraz bardziej, aż do matowej, nieskalanej bieli kinowego ekranu. Mike Hatlen spał w zdobytym gdzieś składanym turystycznym foteliku, Dan Miller siedział nieopodal na podłodze, zajadając pączka posypanego cukrem pudrem.

- Zapraszam, panie Drayton.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Amandy, ale ona była już w połowie alejki. Nasze sam na sam w ciemności już wydawało mi się niewiele bardziej realne od snu; nawet w tym nędznym dziennym świetle prawie nie byłem w stanie w nie uwierzyć. Usiadłem.

Podsunał mi pudełko.

- Może pączka? Pokręciłem głową.

- Cukier to śmierć. Gorzej niż papierosy. Rozbawiłem go.

- W takim razie proszę od razu wziąć dwa.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że stać mnie jeszcze na śmiech. Odkryłem to dzięki Millerowi i byłem mu za to wdzięczny. Zgodnie z jego radą wziąłem dwa pączki; były bardzo smaczne. Zaraz potem sięgnąłem po papierosa, choć zazwyczaj rano nie palę.

- Powinienem wracać do chłopca - powiedziałem. - Lada chwila się obudzi.

Miller skinął głową.

- Te różowe robale znikły - poinformował mnie. - Ptaki też. Hank Vannerman mówił, że ostatni rąbnął w okno około czwartej. Wygląda na to, że te... zwierzęta są znacznie bardziej aktywne w ciemności.

- Brent Norton chyba panu nie uwierzył. Ani Norm. Ponownie skinął głową. Milczenie przedłużało się, wreszcie Miller zapalił papierosa i spojrzał na mnie.

- Nie możemy tu zostać, Drayton.

- Dlaczego? Przecież mamy pod dostatkiem żywności i napojów...

- Nie chodzi o prowiant i pan dobrze o tym wie. Co pocniemy, jeśli jakiś kolos wreszcie dojdzie do wniosku, że zamiast postękiwać we mgle, warto sprawdzić, co jest tutaj, w środku?

Przegonimy go kijami od szczotek i podpałką do grilla?

Oczywiście miał rację. Być może dziwna mgła w jakiś sposób nas chroniła, ale jak długo mogło to potrwać. Poza tym była jeszcze jedna sprawa: przebywaliśmy w supermarkecie dopiero mniej więcej od osiemnastu godzin, a ja już czułem, jak zaczyna mnie ogarniać zubożenie bardzo podobne do tego, którego doświadczyłem raz czy dwa razy, kiedy zdarzyło mi się odpłynąć za daleko od brzegu. Jakiś głos coraz bardziej natarczywie szeptał mi do ucha, żeby przeczekać, żeby zobaczyć, co będzie dalej, żeby tylko opiekować się Billym (i ewentualnie od czasu do czasu przelecieć Amandę Dumfries pod osłoną nocy), poczekać, aż mgła się podniesie i wszystko będzie takie jak przedtem.

Identyczne zubożenie dostrzegałem na wielu otaczających mnie twarzach; nagle zdałem sobie sprawę, że część tych ludzi bez względu na okoliczności nie zdecyduje się na opuszczenie sklepu. Sama myśl o tym, że mogliby wyjść na zewnątrz po tym wszystkim, co się stało, podziała na nich paralizująco.

Moja twarz była chyba jak otwarta księga, Miller bowiem powiedział:

- Kiedy nadeszła ta cholerna mgła, było tu około osiemdziesięciu osób. Trzeba odjąć pakowacza, Nortona, tę czwórkę, która z nim wyszła, i Smalleya. Zostaje siedemdziesięciu trzech ludzi. Minus dwóch żołnierzy spoczywających pod stertą toreb z karmą dla psów, uzupełniłem w myślach. Siedemdziesięciu jeden.

- Minus ci, których przestało cokolwiek interesować - ciągnął Miller. - Przyjmijmy, że jest ich dziesięcioro. Zostaje więc sześćdziesięciu trzech ludzi, ale... - Podniósł palec powalany cukrem pudrem. - Z tej liczby około dwudziestu nigdzie się nie ruszy. Trzeba by wyciągać ich siłą.

- Czego to dowodzi?

- Tylko tego, że musimy stąd wyjść. Ja idę. Myślę, że trzeba wyruszyć około południa. Wezmę wszystkich, którzy zechcą się do mnie przyłączyć. Chciałbym, żeby pan i pański syn byli wśród nich.

- Po tym, co spotkało Nortona?

- Norton poszedł jak baranek na rzeź. My zrobimy to inaczej.

- To znaczy jak? Przecież mamy tylko jeden rewolwer!

- I powinniśmy się z tego cieszyć. Jeżeli uda nam się dojść do skrzyżowania, być może zdołamy dotrzeć do sklepu sportowego przy Main Street. Trzymają tam tyle broni, że wystarczyłoby dla małej armii.

- To co najmniej o jedno "jeżeli" i "być może" za wiele.

- W tej sytuacji wszystko jest "jeżeli" i "być może" - zripostował bez namysłu, ale przecież nie miał syna, o którym musiałby myśleć. - Niech pan się zastanowi, dobrze? Niewiele spałem tej nocy, ale za to przemyślałem parę spraw. Interesuje pana, do jakich doszedłem wniosków?

- Jasne.

Podniósł się i przeciągnął.

- Proszę podejść ze mną do okna.

Minęliśmy kasę przy półkach z pieczywem i zatrzymaliśmy się przy najbliższym otworze obserwacyjnym.

- Robale znikły - oznajmił wartownik. Miller poklepał go po ramieniu.

- Napij się kawy i wrzuć coś na ruszt, kolego. My tu postoiemy.

- Dzięki. Zajęliśmy jego miejsce.

- Proszę mi powiedzieć, co pan widzi - zwrócił się do mnie Miller.

Spojrzałem przez szybę. W nocy coś - przypuszczalnie latające nisko niby-ptaki - przewróciło kosz na śmieci, w związku z czym asfalt był zasłany pustymi puszkami, celofanowymi opakowaniami i plastikowymi kubkami po koktajlach mlecznych. Nieco dalej majaczył niewyraźnie pierwszy rząd samochodów, i nic więcej.

- Ten granatowy chevrolet pikap jest mój. - Wycelował palec w ledwo widoczny we mgle zarys. - Kiedy przyjechał pan wczoraj, parking był zapchany, zgadza się?

Przeniosłem wzrok na mego scouta i przypomniałem sobie, iż zaparkowałem tak blisko wejścia do sklepu wyłącznie dzięki temu, że zająłem zwolnione przed chwilą miejsce. Skinąłem głową.

- A teraz, Drayton, niech pan zwróci uwagę na pewien szczegół. Otóż Norton i jego... Jak pan ich nazwał?

- Stowarzyszenie Płaskiej Ziemi.

- Dobrze. I trafne. No więc, wychodzą na zewnątrz, prawda? Prawie na całą długość linki. A potem słyszymy jakieś ryki, jakby szalało tam stado rozjuszonych słoń, zgadza się?

- Słoni? Chyba nie. To brzmiało raczej jak... Chciałem powiedzieć: "...jak gromada prehistorycznych potworów", ale w ostatniej chwili się rozmyśliłem. Gdybym rozmawiał z Oliem Weeksem, nie wahałbym się ani chwili, ale to był Miller, który niedawno poklepał człowieka po ramieniu i tonem trenera dokonującego zmiany zawodników na boisku kazał mu iść na kawę.

- Nie potrafię tego opisać - dokończyłem niezręcznie.

- Ale na pewno jak coś dużego.

- Owszem.

Nawet bardzo dużego.

- Czemu więc nie słyszymy odgłosów miażdżonej blachy i tłuczonego szkła?

- Dlatego że... - Umilkłem. Nie miałem pojęcia dlaczego. - Nie wiem.

- Tamci na pewno nie zdążyli wyjść poza parking, kiedy dopadło ich to paskudztwo. Powiem panu, co myślę. Otóż myślę, że niczego nie słyszymy... bo tam niczego nie ma. Samochody znikły. Zapadły się pod ziemię, wyparowały - cokolwiek. Po prostu znikły, i tyle. Wtedy, kiedy nastąpiło to tapnięcie. Rzeczy pospadały z regałów, pękła szyba, i właśnie wtedy umilkła syrena. Spróbowałem sobie wyobrazić brak połowy parkingu. Spróbowałem sobie wyobrazić, że wychodzę na zewnątrz i po kilkunastu krokach docieram do pionowego urwiska, na którym kończy się gładki asfalt z pomalowanymi żółtą farbą liniami. Urwiska, pionowej ściany... a może bezdennej przepaści wypełnionej bezkształtną białą mgłą.

- Jeśli jest właśnie tak, jak pan mówi - odezwałem się po kilku sekundach - to jak daleko, pańskim zdaniem, zajedzie pan swoim pikapem?

- Szczerze mówiąc, myślałem nie o moim pikapie, tylko o pańskiej terenówce.

Było to coś, nad czym powinienem się poważnie zastanowić, ale chyba nie teraz.

- O czym jeszcze pan myślał?

Wprost palił się do tego, by jak najprędzej podzielić się ze mną swymi pomysłami.

- O drogerii po sąsiedzku. I co pan na to?

Już otworzyłem usta, żeby mu powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia, o co mu chodzi, lecz zamknąłem je z głośnym kłapnięciem. Kiedy przyjechaliśmy wczoraj, drogeria była otwarta; zwróciłem uwagę na szeroko otwarte, zablokowane gumowymi klinami drzwi, przez które miało napływać do środka nieco chłodniejsze powietrze. W związku z brakiem prądu, rzecz jasna, nie działała klimatyzacja. Od wejścia do supermarketu dzieliło je nie więcej niż sześć metrów, dlatego więc...

- Dlaczego nie pojawił się nikt z tych, którzy tam byli? - wyręczył mnie Miller. - Minęło osiemnaście godzin. Nie są głodni? No, chyba że zjadają pieluchy i mydelka.

- Mają co jeść - odparłem. - W drogerii zawsze można dostać krakersy albo ciasteczka dla psów, a przy kasach są przecież stelaże ze słodyczami.

- Nie wierzę, żeby jedli takie rzeczy, wiedząc, że tutaj jest wszystkiego pod dostatkiem.

- Do czego pan zmierza?

- Do tego, że chcę stąd wyjść, ale nie zamierzam skończyć jako śniadanie dla jakiegoś stwora z horroru klasy B. Na początek kilka osób mogłoby sprawdzić, co dzieje się w drogerii.

- I to wszystko?

- Nie. Jest jeszcze coś.

- Co mianowicie?

- Ona. - Miller wskazał kciukiem za plecy, w kierunku centralnych alejek. - Ta zwariowana cipa. Ta wiedźma.

Oczywiście chodziło o panią Carmody. Nie była już sama; przyłączyły się do niej dwie kobiety. Sądząc po jaskrawych strojach obie były przyjezdne; zapewne zostawiły w letnich domkach rodziny "tylko na chwilę, żeby kupić parę rzeczy", a teraz zżerał je niepokój o mężów i dzieci. Rozpaczliwie szukały jakiegokolwiek oparcia, nawet gdyby miała nim być ponura wizja ogólnej zagłady roztaczana przez panią Carmody.

Jej przeraźliwie jaskrawy strój lśnił oślepiająco. Rozprawiała o czymś z zawziętą miną. Dwie panusie, również w krzykliwie kolorowych ubraniach (ale daleko było im do kreacji pani Carmody, a poza tym nie ścisnęły pod pachami gigantycznych torebek) słuchały z przejęciem.

- To drugi powód, dla którego chcę stąd jak najprędzej zniknąć. Dziś wieczorem będzie miała sześcioro albo siedmioro słuchaczy, a jeśli w nocy znowu zjawią się różowe robale i ptaki, rano zobaczymy ją na czele tłumu wyznawców. Zaraz potem będziemy mogli zacząć się zastanawiać, kogo postanowi złożyć w ofierze: pana, mnie, Hatlena czy na przykład pańskiego chłopca.

- Bzdury!

Czy aby na pewno? Lodowaty dreszcz, który przebiegł mi po ciele, świadczył o czymś wręcz przeciwnym. Usta pani Carmody poruszały się bez przerwy, krzykliwie poubierane wczasowiczki dosłownie nie spuszczały wzroku z jej pomarszczonych warg. Bzdury? Pomyślałem o zakurzonych wypchanych zwierzakach pijących z lustrzanego strumyka. Pani Carmody miała moc. Nawet Steff, zazwyczaj twardo stąpająca po ziemi, wspominała ją z niepokojem.

Ta zwariowana cipa, powiedział o niej Miller. Ta wiedźma.

- Ci wszyscy ludzie są poddani ogromnej presji - ciągnął, wskazując na poskręcane okienne futryny, - Ich umysły są teraz właśnie w takim stanie. W każdym razie mój na pewno. Przez pół nocy myślałem tylko o tym, że mi odbiło, że te wszystkie różowe robale, białe ptaki i macki to tylko majaki, a ja siedzę w kaftanie bezpieczeństwa w wysciewanej celi i że wszystko zniknie, jak tylko przyjdzie miły pielęgniarz i zrobi mi uspokajający zastrzyk. - Z pobladłą, ściągniętą twarzą przeniósł wzrok na panią Carmody, a potem znowu spojrzał na mnie. - Mówię panu, że w końcu może dojść do czegoś takiego. W miarę upływu czasu coraz więcej ludzi będzie przechodzić na jej stronę, a ja wolę tego nie oglądać.

Poruszające się usta pani Carmody. Jej język, chłuszczący bez przerwy poźółkłe zęby.

Rzeczywiście wyglądała jak wiedźma. Gdyby włożyć jej na głowę spiczasty kapelusz, nikt nie miałby najmniejszych wątpliwości. Ciekawe, co z takim zapałem kładła do głowy tym dwóm schwytanym ptaszkom w kolorowym letnim upierzeniu? Projekt Grot Strzały? Czarna Wiosna? Potwory z głębi Ziemi? Krwawa ofiara?

Bzdury!

A jednak...

- I co pan na to? Podjąłem decyzję.

- W porządku. Spróbujemy dostać się do drogerii: pan, ja, Ollie, jeśli zechce, i jeszcze jeden albo dwóch. Potem wrócimy do rozmowy.

Miałem wrażenie, że wstąpiłem na linę rozpiętą nad niewyobrazalnie głęboką przepaścią. Jeżeli zginę, z pewnością nie pomogę w ten sposób Billy'emu, ale z drugiej strony, nie pomogę mu

również wtedy, gdy będę siedział beczynn timer na tyłku. Sześć metrów do drzwi drogerii... To jeszcze nie brzmiało najgorzej.

- Kiedy? - zapytał.

- Za godzinę.

- Dobrze.

9. WYPRAWA DO DROGERII

Powiedziałem pani Turman, potem Amandzie, na końcu Billy'emu. Był teraz w znacznie lepszej formie: na śniadanie zjadł dwa pączki i talerz mleka z płatkami kukurydzianymi. Później urządziliśmy sobie wyścigi między regałami i nawet się parę razy roześmiali. To niesamowite, jak szybko i łatwo dzieci dostosowują się do nowych sytuacji! Billy był potwornie blady, miał podkrążone oczy i zmęczoną twarz, twarz starego człowieka, jakby ostatnio musiała sprostać wyrażaniu zbyt niszczących uczuć. Mimo to biegał, skakał i wciąż potrafił się śmiać...

Przynajmniej do chwili, kiedy przypomni sobie, gdzie jest i co się dzieje.

Po zawodach usiedliśmy z Amandą i Hattie Turman, napiliśmy się red bulla z papierowych kubków, a ja powiedziałem mu, że razem z kilkoma osobami zamierzam pójść do drogerii.

Natychmiast zmarkotniał.

- Nie chcę! - oznajmił stanowczo.

- Nic mi się nie stanie. Przyniosę ci komiks ze Spidermanem.

- Nie chcę, żebyś tam szedł!

Już nie był naburmuszony; był wściekły. Wziąłem go za rękę, ale ją wyszarpnął. Ponownie wziąłem go za rękę.

- Billy, prędzej czy później musimy stąd wyjść. Chyba wiesz o tym, prawda?

- Może kiedy mgła się podniesie... - odparł bez przekonania i apatycznie podniósł kubek do ust.

- Mineła już prawie cała doba.

- Ja chcę do mamy!

- Być może to nas do niej przybliży.

- Nie rób chłopcu próżnych nadziei, Davidzie - odezwała się pani Turman.

- A dlaczego? - parsknąłem. - Dziecko musi w coś wierzyć!

Opuściła głowę.

- Chyba masz rację... - wyszeptła. Billy niczego nie zauważył.

- Tato... Tatusiu, ale tam są różne... rzeczy!

- Wiem o tym. Na szczęście większość - może nie wszystkie, ale na pewno większość - poluje tylko nocą.

- Zaczekają. - Wpatrywał się we mnie ogromnymi nieruchomymi oczami. - Zaczają się we mgle, a potem podkradną się, żeby cię zjeść. Tak jak w bajkach. - Objął mnie kurczowo. - Tatusiu, nie idź tam!

Najdelikatniej, jak mogłem, uwolniłem się z jego objęć i wyjaśniłem, że jednak muszę pójść.

- Ale na pewno wrócę do ciebie, Billy.

- Niech będzie - odparł zachrypniętym głosem, unikając mego spojrzenia.

Nie wierzył mi. Było to widać po jego twarzy, na której malowały się rozpacz i zwątpienie. Po raz kolejny ogarnęły mnie wątpliwości, czy słusznie postępuję, narażając się na ryzyko, lecz niemal w tej samej chwili przypadkowo zerknąłem w alejkę, w której urzędowała pani Carmody. Zdobyła trzeciego słuchacza: mężczyznę o szpakowatym dwudniowym zarostie i nabiegłych krwią oczach. Zmierzwiłone pozlepiane włosy i roztrzęsione ręce świadczyły o niezgorszym kacu. Po bliższym przyjrzeniu się rozpoznałem starego znajomego, Myrona LaFleur. Osobnika, który

nie miał najmniejszych oporów przed tym, żeby wysłać chłopca tam, gdzie trzeba było mężczyzny.

Ta zwariowana cipa. Ta wiedźma.

Pocałowałem Billy'ego, przytuliłem go, potem zaś ruszyłem w kierunku frontowej części sklepu - nieco okrężną trasą, żeby nie wpaść jej w oko. Mniej więcej w trzech czwartych drogi dogoniła mnie Amanda.

- Naprawdę musisz to robić?

- Tak myślę.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz, jeżeli ci powiem, że moim zdaniem chodzi tu wyłącznie o zaspokojenie samczej próżności!

Na jej policzki wystąpiły rumieńce, oczy były bardziej szmaragdowe niż kiedykolwiek. Była cholernie... nie, to niewłaściwe określenie. Była majestatycznie wkurzona.

Wziąłem ją za ramię i streściłem rozmowę z Danem Millerem. Problem samochodów oraz fakt, że jak do tej pory nie dotarł do nas żaden z klientów drogerii, niewiele ją wzruszyły. Zaniepokoiła ją natomiast sprawa pani Carmody.

- On może mieć rację - powiedziała.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Nie wiem. W tej kobiecie jest coś groźnego. Jeśli ludzie będą się bać przez dłuższy czas, w końcu zwrócą się do kogoś, kto daje nadzieję na jakiegokolwiek rozwiązanie.

- Ale my mówimy o składaniu ofiar z ludzi!

- Aztekowie robili to już bardzo dawno temu - odparła spokojnie. - Posłuchaj, Davidzie: musisz wrócić. Gdyby się cokolwiek działo, cokolwiek, natychmiast wracaj. Nie do mnie, chociaż to, co się wydarzyło w nocy, było bardzo miłe. Wracaj do swojego chłopca.

- Wrócę.

- Mam nadzieję.

W tej chwili wyglądała tak samo jak niedawno Billy: staro i żałośnie. Pomyślałem, że wszyscy teraz tak wyglądamy... Wszyscy z wyjątkiem pani Carmody, która odmłodziła i nabrała energii. Jakby była w swoim żywiole. Jakby pasła się naszym nieszczęściem.

Wyruszyliśmy dopiero o wpół do dziesiątej. Było nas siedmioro: Ollie, Dan Miller, Mike Hatlen, kumpel Myrona LaFleura Jim (też na kacu, ale najwyraźniej zdecydowany za wszelką cenę odpokutować winy), Buddy Eagleton, ja oraz Hilda Reppler. Miller i Hatlen bez większego przekonania usiłowali przekonać ją, żeby została, ale ona nie chciała ich słuchać. Ja nawet nie próbowałem. Podejrzewałem, że może się okazać bardziej kompetentna niż ktokolwiek z nas, może z wyjątkiem Olliego. Miała ze sobą niewielką płócienną torbę wypełnioną po brzegi opakowaniami z raidem oraz innymi środkami owadobójczymi, z pozdejmowanymi przykrywkami i gotowymi do natychmiastowego użycia. W prawej ręce ścisnęła reklamowaną przez Jimmy'ego Connorsa rakietę tenisową firmy Spaulding.

- Po co to pani? - zapytał Jim.

- Nie mam pojęcia. - Mówiła cicho, z chrypką, bardzo spokojnie. - Lepiej się czuję, kiedy mam ją przy sobie. - Przyjrzała mu się uważnie. - Ty jesteś Jim Grondin, prawda? Czy ja cię aby nie uczyłam?

Jim uśmiechnął się niepewnie.

- Owszem, proszę pani. Mnie i moją siostrę Pauline.

- Co, trochę za dużo się wczoraj wypiło?

Chociaż był wyższy od niej o dwie głowy i cięższy co najmniej o pięćdziesiąt kilogramów, zaczerwienił się aż po cebulki ostrzyżonych na jeża włosów.

- Eee... To znaczy...

Nie czekała, aż skończy.

- Wydaje mi się, że jesteśmy gotowi - powiedziała. Każdy zabrał coś, co mogło posłużyć jako broń, choć trudno byłoby nazwać tę zbieraninę groźnym arsenałem. Ollie miał rewolwer Amandy, Buddy Eagleton łom, ja - kij od szczotki.

- W porządku - przemówił Dan Miller podniesionym głosem. - Mogę prosić o chwilę uwagi? Przy drzwiach zgromadziło się kilkanaście osób. Nieco z boku stała pani Carmody i jej nowi przyjaciele.

- Idziemy do drogerii, żeby sprawdzić, jak tam wygląda sytuacja. Miejmy nadzieję, że znajdziemy coś, co pomoże pani Clapham. - Tak nazywała się starsza kobieta stratowana minionego dnia przez tłum. Miała złamaną nogę i bardzo cierpiała.

Miller przesunął po nas spojrzeniem.

- Nie ryzykujemy. Jak tylko zauważymy coś podejrzanego, natychmiast wracamy do sklepu...

- I ściągacie nam na głowy hordę wysłanników piekła! - wykrzyknęła piskliwym głosem pani Carmody.

- Właśnie! - zawtórowała jej jedna z urlopowiczek. - Zwróćcie na nas ich uwagę! Przyjdą po nas! Dlaczego nie możecie siedzieć tutaj, gdzie wam dobrze?

Wśród grupki gapiów rozległo się kilka potakujących pomruków.

- Czyżby naprawdę było pani tu dobrze? - zapytałem. Zmieszana, opuściła wzrok.

Pani Carmody wystąpiła krok naprzód i potoczyła dokoła płomiennym spojrzeniem.

- Zginiesz tam, Davidzie Drayton! Czy chcesz, żeby twój syn został sierotą?

Patrzyła nam kolejno w oczy. Buddy Eagleton odwrócił głowę i jednocześnie uniósł łom, jakby chciał ją odstraszyć.

- Wszyscy tam zginiecie! Nie zdajecie sobie sprawy, że nadszedł koniec świata? Wróg znalazł się na wolności! Na niebie świeci Gwiazda Goryczy i każdy, kto postawi stopę na zewnątrz, zostanie rozszarpany na strzępy! A potem, tak jak mówi ta mądra kobieta, potwory zjawiają się po nas! Czy zamierzacie do tego dopuścić? - Teraz przemawiała do gapiów. Zauważyłem kilka potakujących głów. - Po tym, co wczoraj spotkało niedowiarków? Tam jest śmierć! Śmierć! To...

Nad głowami zebranych przeleciała puszcza z gruszkami w syropie i uderzyła panią Carmody w prawą pierś tak mocno, że kobieta boleśnie stęknęła i zatoczyła się do tyłu. Chwilę potem ktoś rozepchnął gapiów i wystąpił naprzód: Amanda.

- Zamknij się! Masz się natychmiast zamknąć, ty okropna wrono!

- Ona służy Złemu! - wykrzyknęła. Na jej twarzy rozkwitł szyderczy uśmiech. - Z kim spałaś tej nocy, panienko? Powiedz, z kim spędziłaś tę noc? Mama Carmody widzi takie rzeczy! O tak, mama Carmody widzi rzeczy, na które inni nie zwracają uwagi!

Jednak czar, który udało jej się wytworzyć, prysł, a i Amanda nie ugięła się pod jej przeszywającym spojrzeniem.

- Idziemy czy będziemy tak tutaj stać do południa? - zapytała pani Reppler rzeczowym tonem. Poszliśmy. Na Boga, poszliśmy.

Pochód otwierał Dan Miller, Ollie szedł drugi, ja ostatni. Przed sobą miałem panią Reppler. Nigdy w życiu nie bałem się tak jak wtedy; ręka, w której ścisnąłem kij od szczotki, była śliska od potu.

Znowu czułem ledwo uchwytny, kwaśny, nienaturalny zapach. Zanim przeszedłem przez drzwi, Miller i Ollie już rozplynęli się we mgle, a idący trzeci Hatlen był ledwo widoczny.

Tylko sześć metrów, powtarzałem w duchu. Tylko sześć metrów.

Pani Reppler szła spokojnym, pewnym krokiem, od niechcenia kołyszając rakieta. Po lewej stronie mieliśmy ścianę z czerwonej cegły, po prawej pierwszy rząd samochodów, majaczących we mgle niczym statki widma. Ze skłębionej bieli wyłonił się kolejny kosz na śmieci, zaraz potem zaś

ławeczka, na której siadywali ludzie czekający w kolejce do automatu telefonicznego. Tylko sześć metrów, Miller jest już pewnie na miejscu, sześć metrów to najwyżej dziesięć albo dwanaście kroków, więc...

- Boże! - wrzasnął Miller. - Dobry Boże, spójrzcie na to! Tak, na pewno był już na miejscu. Buddy Eagleton, który szedł przed panią Reppler, odwrócił się na pięcie. Miał szeroko otwarte, nieprzytomne oczy i z pewnością rzuciłby się do ucieczki, gdyby nauczycielka nie zapytała swoim rzeczowym, nieco zachrypniętym głosem:

- Można wiedzieć, dokąd się wybierasz, chłopcze?

To wystarczyło, żeby się opanował.

Kolejno dołączaliśmy do Millera. Zerknąłem w tył; wejście do supermarketu znikło we mgle. Ceglana ściana była czerwona tylko tuż przy mnie; pół metra dalej miała bladoróżowy kolor, a zaraz potem rozplywała się bez śladu. Czułem się tak samotny i bezradny jak nigdy w życiu - zupełnie jakbym dopiero co opuścił bezpieczne schronienie w łonie matki.

Wnętrze drogerii wyglądało jak jatka.

Miller i ja znaleźliśmy się najbliżej, tuż przy tym, co pozostało na miejscu masakry. Stworzenia żyjące we mgle bez wątplenia posługiwały się głównie węchem - było to całkiem naturalne, bo przecież ze wzroku miałyby niewielki pożytek. Ze słuchu może trochę większy, ale, jak już wspomniałem, mgła w przedziwny sposób zmieniała akustykę: bliskie odgłosy wydawały się niezmiernie odległe, te zaś, które dobiegały z daleka, zdawały się niekiedy rozbrzmiewać w pobliżu. Stwory z mgły ufały więc temu zmysłowi, który ich nie zwodził: węchowi.

My, którzy w chwili nadejścia mgły znajdowaliśmy się w supermarkecie, ocaliliśmy dzięki awarii elektryczności, ponieważ otwierające drzwi fotokomórki przestały działać i w pewnym sensie zostaliśmy odcięci od świata. Drzwi drogerii były otwarte na oścież. Przestała działać klimatyzacja, więc pracownicy sklepu otworzyli je i zablokowali gumowymi klinami, żeby wpuścić świeże powietrze. Niestety, razem z powietrzem do środka dostało się coś jeszcze...

W samym wejściu leżał na brzuchu mężczyzna w brązowoczerwonej bawełnianej koszulce. To znaczy, w pierwszej chwili uznałem, że to kolor koszulki, ale zaraz potem dostrzegłem kilka jasnych plam i uświadomiłem sobie, że koszulka była biała, natomiast brązowoczerwona barwa wzięła się z zaschniętej krwi. Coś jeszcze było z nim nie w porządku, ale co?... Buddy Eagleton odwrócił się i głośno zwymiotował, a ja nadal się zastanawiałem. Myślę, że kiedy widzisz coś tak... ostatecznego, twój umysł po prostu nie chce tego zaakceptować, i tyle - chyba że dzieje się to na wojnie.

Mężczyźnie brakowało głowy. Rozrzucone nogi leżały wewnątrz sklepu, głowa powinna więc spoczywać na niskim stopniu. Nie spoczywała, ponieważ jej nie było.

Jim Grondin miał dosyć. Obrócił się na pięcie, przycisnął ręce do ust, przez sekundę wpatrywał się we mnie wybałuszonymi, przekrwionymi oczami, a następnie chwiejnym krokiem ruszył z powrotem w kierunku, z którego przyszliśmy.

Pozostali zachowali spokój. Mike wszedł do środka, za nim Mike Hatlen, pani Reppler zajęła stanowisko po jednej stronie drzwi, po drugiej stanął Ollie z rewolwerem Amandy w ręce. Lufa była skierowana w chodnik.

- Chyba powoli zaczynam tracić nadzieję, Davidzie - powiedział cicho.

Buddy Eagleton opierał się o daszek nad automatem telefonicznym jak ktoś, kto właśnie otrzymał złą wiadomość z domu. Szerokimi barkami wstrząsał spazmatyczny szloch.

- Jeszcze nie spisuj nas na straty - odparłem, wchodząc do sklepu. Nie miałem najmniejszej ochoty tego robić, ale przecież obiecałem Billy'emu komiks.

Wnętrze drogerii przedstawiało opłakany widok. Wszędzie wałały się porozrzucone towary; na podłodze tuż przy swoich stopach dostrzegłem "Spidermana" i "Hulka-Olbrzymia". Bez

zastanowienia schyliłem się, podniosłem oba zeszyty i wepchnąłem je do tylnej kieszeni spodni. Na jednym z regałów wisiała oderwana ręka.

Poczułem się jak w absurdalnym śnie. Zniszczenia, masakra - to wszystko było wystarczająco przerażające, ale równocześnie nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w tym miejscu odbywało się jakieś szalone przyjęcie. Z sufitu, ścian oraz mebli zwieszały się długie wstęgi czegoś, co w pierwszej chwili wziąłem za serpentyny, jednak po bliższych oględzinach wyszło na jaw, że nimi nie są; przypominały raczej grube struny albo cienkie przewody elektryczne i były koloru mgły. Zaczęła mi po grzbiecie wędrować w górę kolumna mrówek. Nie krepa, więc co? Gdzieś tam wisiały na nich czasopisma i inne drobne przedmioty.

Mike Hatlen szturchał stopą jakiś podłużny czarny przedmiot.

- Co to może być, do wszystkich diabłów? - mruknął pod nosem.

Nagle zrozumiałem. Wiedziałem już, co zabiło tych nieszczęśników, którzy w chwili nadejścia mgły mieli pecha znaleźć się w drogerii i zostali zżęseni przez potwory.

- Uciekajmy. - Miałem tak sucho w gardle, że mój głos zabrzmiał jak skrzeczenie ropuchy. - Uciekajmy stąd.

Ollie spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- O co cho...

- To pajęczyna.

Niemal równocześnie rozległy się dwa okrzyki: pierwszy zaskoczenia, drugi - bólu. Krzyczał Jim. Jeśli rzeczywiście miał do spłacenia jakiś dług, to spłacał go właśnie teraz.

- Uciekajcie! - ryknąłem do Mike'a i Dana Millera.

Coś wystrzeliło z mgły. Na białym tle było prawie niewidoczne, ale za to doskonale słyszalne: odgłos przypominał oddany od niechcienia strzał z bicia. Zobaczyłem to dopiero wtedy, kiedy owinęło się wokół uda Buddy'ego Eagletona. Wrzasnął przeraźliwie i złapał za to, co akurat miał pod ręką, czyli za telefon. Słuchawka spadła z widełek, po czym zaczęła kołysać się na sznurze.

- Jezu, to boli! - krzyczał Buddy.

Ollie wyciągnął do niego obie ręce, a ja w tej samej chwili zrozumiałem, dlaczego zwłoki leżące w drzwiach nie mają głowy: cienki biały kabel, który owinał się wokół nogi Buddy'ego niczym jedwabny sznurek, zagłębiał się w jego ciało! Równiutko obcięta nogawka dżinsów zsuwała się powoli na ziemię, z wąskiej, biegnącej dokoła uda i coraz głębszej rany obficie płynęła krew. Ollie pociągnął z całej siły, rozległ się suchy, niezbyt donośny trzask i Buddy znalazł się na wolności. Był tak zszokowany, że aż posiniały mu usta.

Mike i Dan rozpoczęli odwrót, ale zbyt powoli. Dan potknął się, wpadł na wiszące włókna i przykleił się nich jak mucha do lepu. Na szczęście zdołał się uwolnić gwałtownym szarpnięciem, ale stracił przy tym znaczną część koszuli.

Nagle rozległa się cała seria wystrzałów i w powietrzu zrobiło się gęsto od białych grubych włókien, pokrytych lepką żrącą substancją. Dwa zdołałem ominąć (zawdzięczałem to raczej szczęśliwemu trafowi niż szybkości reakcji), trzecie wylądowało tuż przede mną; asfalt natychmiast zasyczał i pojawiły się na nim bąble. Jeszcze jedno przemknęło tuż obok pani Reppler, która z zimną krwią uderzyła rakieta. "Ping! Ping! Ping!" - rozkrzyczały się przecinane żyłki w szaleńczym pizzicato. Zaraz potem biały kabel owinał się wokół rękocyści rakiety i wyszarpnął ją kobiecie z dłoni.

- Wracamy! - wykrzyknął Ollie.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Podtrzymywał ślaniającego się Buddy'ego, Dan Miller i Mike Hatlen biegli po obu stronach pani Reppler. Białe włókna wciąż nadlatywały z mgły, widoczne tylko na tle czerwonej ceglanej ściany.

Jedno z nich owinęła się wokół lewego przedramienia Mike'a Hatlena, drugie błyskawicznie oplótło mu szyję. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, odciągnęły go w mgłę. Z nogi zsunął mu się biały sportowy but i został na ziemi.

Buddy nagle runął na asfalt, niemal pociągając Olliego za sobą.

- Zemdlął - wystękał Ollie. - Pomóż mi, Davidzie!

Złapałem Buddy'ego w pól i wspólnie z Olliem pociągnęliśmy go po asfalcie. Chociaż nieprzytomny, wciąż kurczowo ścisnął łom. Noga, w którą wgrzyzło się białe włókno, odgięła się pod przerażającym kątem.

Pani Reppler odwróciła ku nam głowę.

- Uważajcie! Z tyłu!

Zanim zdążyłem się odwrócić, nadleciała biała gruba nić i opadła na potylicę Millera.

Natychmiast zaczął jak szalowiec wywijać rękami, usiłując zedrzyć ją z siebie.

Za naszymi plecami z mgły wyłonił się pająk. Był wielkości dużego psa, czarny w żółte pasy. Jak samochód wyścigowy, przemknęła mi przez głowę absurdalna myśl. Oczy miał czerwono-fioletowe. Dziarsko zmierzał ku nam na dwunastu albo nawet czternastu nogach o wielu stawach. To nie był zwyczajny pająk rozdęty do niesamowitych rozmiarów, lecz coś zupełnie innego, być może w żaden sposób niespokrewnione z pajakami. Gdyby Mike Hatlen zdążył go zobaczyć, z pewnością zrozumiałby, co to był za ciemny podłużny przedmiot, który znalazł w drogerii.

Zbliżał się w szybkim tempie, wyrzucając z siebie nić, która wylaniała się z otworu w górnej części podbrzusza. Leciała ku nam szerokimi splotami w kształcie wachlarza. Kiedy patrzyłem na tę koszmarną istotę, mimo wszystko bardzo podobną do czarnych jak noc pajaków skulonych nad martwymi muchami w najciemniejszych zakamarkach naszej szopy na łodzi, poczułem, jak mój umysł wierzga rozpaczliwie, usiłując zerwać krępujące go więzy rozsądku. Teraz jestem pewien, że tylko pamięć o Billym pozwoliła mi zachować resztki normalności. Z moich ust wydobywały się jakieś dźwięki, ale nie mam pojęcia, co to było - śmiech, krzyk czy szloch.

Ollie Weeks zachował natomiast olimpijski spokój. Bez śladu emocji, jak na strzelnicy, uniósł rewolwer Amandy i z bliska wpakował cały magazynek w pasiaste stworzenie. Bez względu na to, z jakiego piekła przybyło, nie było niezniszczalne. Z podziurawionego cielska trysnęła gęsta czarna ciecz, stwór zajęczał przeciągle tak niskim głosem, że raczej dało się go wyczuć niż usłyszeć, a następnie zawrócił i znikł we mgle. Gdyby nie kałuże czarnej substancji na asfalcie, można by uznać go za okropne przywidzenie.

Łom wysunął się z palców Buddy'ego i z donośnym brzęknięciem upadł na nawierzchnię parkingu.

- Nie żyje - powiedział Ollie. - Zostaw go, Davidzie. To pieprzone draństwo przecięło mi tętnicę. Zmiatajmy stąd, póki nie jest za późno.

Po okrągłej twarzy znowu spływały mu krople potu, wytrzeszczone oczy przypominały wyglądem jajka na twardo. Cieńsze od innych włókno przykleiło mu się do ręki; zerwał je natychmiast, ale na skórze została krwawa pręga.

- Uwaga! - wykrzyknęła pani Reppler.

Jak jeden mąż odwróciliśmy się w jej stronę. Ten pająk, dla odmiany, dopadł nogi Dana Millera i oplótł ją odnóżami w jakimś szaleńczym paroksyzmie miłości. Dan bezskutecznie walił go pięścią. Schyliłem się po łom Buddy'ego, ale kiedy się wyprostowałem, Miller był już częściowo opleciony białą nicią i miotał się w groteskowym, śmiertelnym tańcu.

Pani Reppler podeszła szybkim krokiem z pojemnikiem raida w wyprostowanej ręce. Nacisnęła zawór i chmura środka owadobójczego uderzyła w jedno z dużych, lśniących jak drogocenny kamień oczu. Ponownie usłyszeliśmy, a raczej wyczuliliśmy niski jęk, pająk zadrzał gwałtownie,

po czym rozpoczął powolny odwrót, powłócząc odnóżami po asfalcie. Choć z pewnością kosztowało go to mnóstwo wysiłku, ciągnął za sobą spowite w kokon ciało Millera. Pani Reppler cisnęła za nim pustym opakowaniem; odbiło się od pękatego ciała i potoczyło pod najbliższy samochód. Pająk uderzył w bok małego sportowego auta na tyle silnie, że aż się zakoleysało, a potem znikł we mgle.

Pani Reppler, blada jak kartka papieru, zachwiała się na nogach. Doskoczyłem do niej i podtrzymałem ją.

- Dziękuję, młody człowieku. Zrobiło mi się trochę słabo.
- Wszystko w porządku - odparłem zachrypniętym głosem.
- Uratowałam go, gdybym mogła.
- Wiem.

Dołączył do nas Ollie. Przebiegliśmy kilka metrów dzielące nas od wejścia do supermarketu, omijając spadające gęsto wokół nas włókna. Jedno z nich przywarło do płóciennej torby pani Reppler; nauczycielka rozpaczliwie walczyła o swoją własność, ale w końcu przegrała.

Kiedy byliśmy już niemal przy drzwiach, przy samej ścianie budynku pojawił się szybko biegnący znacznie mniejszy pająk, wielkości młodego cocker spaniela. Nie wytwarzał nici; przypuszczalnie był jeszcze za młody.

Ollie naparł potężnym ramieniem na drzwi, rozsunął je i przytrzymał, żeby pani Reppler mogła wślizgnąć się do środka, ja zaś z całej siły pchnąłem łomem jak mieczem i przebiłem stworzenie na wylot. Rozpaczliwie wymachiwało odnóżami, a jego czerwono-fioletowe oczy zdawały się szukać mojego wzroku, przyzywać mnie...

- Davidzie!

Ollie wciąż trzymał drzwi.

Wbiegłem do środka, a on za mną.

Otoczyły nas blade, przerażone twarze. Wyszło nas siedmioro, wróciło troje. Ollie, ciężko dysząc, oparł się o ciężkie szklane drzwi i zaczął ładować rewolwer Amandy. Biała koszula oblepiała jego ciało, spod pach wypełzły szare plamy potu.

- I co? - zapytał ktoś cichym, skrzypiącym głosem.
- Pająki - odparła ponuro pani Reppler. - Te dranie zabrały mi torbę.

Zza pleców ludzi wypadł zapłakany Billy i rzucił mi się w ramiona. Przytuliłem go mocno. Bardzo mocno.

10. ZAKŁĘCIE PANI CARMODY. DRUGA NOC. OSTATECZNA KONFRONTACJA.

Teraz musiałem się zdrzemnąć. Spałem cztery godziny, więc nie mam pojęcia, co się wtedy działo. Amanda twierdziła, że coś mówiłem, a nawet raz czy dwa krzyczałem, ale ja nie pamiętam żadnych snów. Kiedy się obudziłem, było już po południu i doskwierało mi ogromne pragnienie. Część mleka już się zepsuła, część jednak nadawała się do spożycia. Wypiłem chyba litr.

Dołączyli do nas Amanda oraz wiekowy mężczyzna, który był gotów przedsięwziąć wyprawę do swojego samochodu po strzelbę. Przypomniałem sobie, że nazywa się Cornell. Ambrose Cornell.

- Jak się miewa pański syn? - zapytał.
- Dobrze. - Mnie natomiast wciąż chciało się pić i dokuczał mi ból głowy. No i bałem się, rzecz jasna. Otoczyłem Billy'ego ramieniem, po czym przeniosłem wzrok z Cornella na Amandę. - Co się dzieje?
- Pana Cornella niepokoi pani Carmody - wyjaśniła Amanda. - Mnie zresztą też.
- Billie, może poszedłbyś ze mną na spacer? - zaproponowała Hattie.
- Nie chcę.

- Idź, mistrzu - poprosiłem. Posłuchał, choć bez entuzjazmu.
- Więc co z panią Carmody? - zapytałem, kiedy oddalił się na bezpieczną odległość.
- Robi zamieszanie. - Cornell patrzył na mnie smutnym wzrokiem starego człowieka. - Myślę, że musimy z tym skończyć. Wszystko jedno, w jaki sposób.
- Jest z nią już ponad dziesięć osób - dodała Amanda. - Urządzili sobie jakąś zwariowaną mszę albo coś w tym rodzaju.

Rozmawiałem kiedyś z przyjacielem, pisarzem, który mieszkał w Otisfield i utrzymywał siebie, żonę i dwoje dzieci z hodowli kurcząt. Wydawał jedną książkę w miękkiej oprawie rocznie; zawsze były to historie szpiegowskie. Rozmowa zesłała na temat popularności, jaką ostatnio zaczęły się cieszyć książki traktujące o zjawiskach nadprzyrodzonych. Gault przypomniał, że w latach czterdziestych "Weird Tales" płaciły swym autorom psie pieniądze, w pięćdziesiątych zaś zbankrutowały. Kiedy zawodzą maszyny, mówił (w tym samym czasie jego żona oglądała pod światło jaja, a na zewnątrz głośno gdakały kury), kiedy zawodzi technika, kiedy zawodzą tradycyjne religie, ludzie szukają jakiegoś oparcia. Nawet żywy trup maszerujący przez ciemną noc stanowi wyjątkowo pożądane towarzystwo w porównaniu z egzystencjalną tragifarsą z dziurą ozonową w roli głównej, powiększającą się nieustannie pod ostrzałem milionów aerozoli. Tkwiłiśmy tu od dwudziestu sześciu godzin i w tym czasie zdołaliśmy zaledwie wysłać jedną ekspedycję badawczą, która poniosła pięćdziesięciosiedmioprocentowe straty w ludziach. Nic dziwnego, że pani Carmody zaczęła zyskiwać na popularności.

- Naprawdę jest ich już tylu? - zapytałem.
- Na razie tylko ośmioro - odparł Cornell - ale ona gada bez przerwy! Zupełnie jak Castro podczas tych swoich dziesięciogodzinnych przemówień. Cholerna paplanina!
- Osiem osób. Niby niewiele, za mało nawet, żeby skompletować ławę przysięgłych, lecz mimo to doskonale rozumiałem, skąd bierze się troska na twarzach Amandy i Cornella. Teraz, kiedy zabrakło Dana i Mike'a, tamci stanowili najsilniejszą frakcję w supermarkecie. Na myśl o tym, że największa jednolita grupa w naszym zamkniętym mikrosystemie wsłuchuje się w brednie o końcu świata i wysłannikach mocy piekielnych, poczułem, jak ogarnia mnie klaustrofobia.
- Znowu zaczęła mówić o krwawej ofierze - dodała Amanda. - Bud Brown zakazał jej wygadywania takich rzeczy w jego sklepie, a wtedy dwaj mężczyźni z jej grupy - jeden z nich to Myron LaFleur - powiedzieli mu, że to on ma się zamknąć, bo żyjemy w wolnym kraju. Nie chciał ich posłuchać, więc doszło do przepychanek.
- Brown ma rozbity nos - poinformował mnie Cornell. - Oni nie żartują.
- Ale chyba nie zamierzają składać ofiar z ludzi?
- Nie wiem, do czego się posuną, jeśli ta mgła się nie podniesie - odparł przyciszonym głosem. - I nie zamierzam tego sprawdzać. Chcę stąd wyjść.
- Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Coś jednak zaczęło mi się kołatać po głowie. Zapach. Tak, kluczem był zapach. W sklepie mieliśmy względny spokój. Różowe robale zwabiło światło, niby-ptaki po prostu podążyły za pożywieniem, natomiast większe stwory zostawiły nas samym sobie - chyba że z jakiegoś powodu rezygnowaliśmy ze szczelnego zamknięcia. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż do masakry w drogerii doszło z powodu otwartych na oścież drzwi. Sądząc po odgłosach, istota lub istoty, które rozprawiły się z Nortonom i jego ekipą, były monstrualnych rozmiarów, lecz przynajmniej, jak do tej pory, nie zbliżyły się do supermarketu, to zaś mogło oznaczać, że być może...

Nagle zapragnąłem porozmawiać z Olliem Weeksem. Musiałem z nim porozmawiać.

- Zamierzam stąd wyjść albo zginąć - ciągnął Cornell. - Nie chcę siedzieć tu do końca lata.
- Były cztery samobójstwa - powiedziała niespodziewanie Amanda.

- Co takiego?

Przemknęło mi przez głowę, że odkryto zwłoki żołnierzy, i jakby zakłuło mnie sumienie.

- Tabletki nasenne - wyjaśnił rzeczowo Cornell. - Razem z dwoma gośćmi wyniosłem zwłoki na zaplecze.

Niewiele brakowało, żebym parsknął histerycznym śmiechem. Mieliśmy więc już prawdziwą kostnicę.

- Mgła rzędzie - dodał. - Chcę się stąd zbierać.

- Nie dojdzie pan nawet do samochodu. Może mi pan wierzyć.

- Stoi w pierwszym rzędzie. To bliżej niż drogeria. Nie odpowiedziałem. Przynajmniej wtedy.

Mniej więcej godzinę później odnalazłem Olliego zajętego opróżnianiem puszki buscha. Twarz miał spokojną, lecz zauważyłem, że stara się nie spuszczać oka z pani Carmody, która działała jakby na dodatkowych bateriach. Co gorsza, znowu wróciła do tematu składania ofiar z ludzi, tyle że teraz nie znalazł się nikt, kto by kazał jej się zamknąć. Część spośród tych, którzy robili to wczoraj, dołączyła do grona jej zwolenników albo przynajmniej była gotowa jej wysłuchać, natomiast pozostali znaleźli się w mniejszości.

- Założę się, że do jutra rana na pewno kogoś przekona - powiedział Ollie. - Ciekawe, komu wyznaczy zaszczytną rolę ofiary?

Bud Brown wystąpił otwarcie przeciwko niej, podobnie jak Amanda. Był jeszcze mężczyzna, który uderzył ją w twarz... i oczywiście byłem ja.

- Wiesz co, Ollie? Wydaje mi się, że pięć, może sześć osób zdołałoby się stąd wydostać. Nie mam pojęcia, jak daleko udałoby nam się uciec, ale jestem prawie pewien, że przynajmniej opuścilibyśmy ten lokal.

- Jak?

Wyłuszczyłem mu mój plan. Był bardzo prosty. Należało błyskawicznie przeskoczyć do mojego samochodu, gdzie nic by nas nie zwietrzyło. Przynajmniej dopóty, dopóki mielibyśmy zamknięte wszystkie okna.

- A jeśli zwabi je jakiś inny zapach? Na przykład spalin?

- Wtedy będzie po nas - przyznałem.

- No i ruch. Ruch może zwrócić ich uwagę, Davidzie.

- Nie wydaje mi się. Najważniejszy jest zapach. Myślę, że to on odgrywa główną rolę.

- Ale nie wiesz na pewno? - Nie.

- Dokąd chciałbyś pojechać?

- Najpierw do domu. Po żonę.

- Davidzie...

- Wiem, wiem... Więc po to, żeby sprawdzić. Żeby wiedzieć na pewno.

- Te stworzenia mogą być już wszędzie. Dopadną cię, jak tylko wysiądziesz z wozu.

- Gdyby tak się stało, samochód będzie twój. Prosiłbym cię tylko o to, żebyś zaopiekował się Billym tak dobrze i długo, jak będziesz mógł.

Ollie dokończył piwo, po czym wrzucił pustą puszkę do chłodziarki; sądząc po odgłosie, takich puszek było tam już sporo. Z kieszeni spodni wystawała mu rękojeść rewolweru Amandy.

- Na południe? - zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

- Tak mi się wydaje. Na południe, żeby jak najprędzej wyjechać z mgły.

- Ile masz paliwa?

- Prawie cały bak.

- Przyszło ci do głowy, że być może nic to nie da? Przyszło. Nie sposób było wykluczyć ewentualności, że ci głupcy z Projektu Grot Strzały na przykład przeciągnęli całą okolicę w inny wymiar.

- Owszem - przyznałem - ale możemy jedynie stąd pryskać lub potulnie czekać na decyzję pani Carmody, komu przypadnie zaszczytne pierwszeństwo wstąpienia na ołtarz ofiarny.

- Chcesz wyruszyć jeszcze dzisiaj?

- Nie. Już jest popołudnie, a po ciemku uaktywniają się potwory. Jutro z samego rana.

- Kto się zabierze?

- Ja, ty, Billy, Hattie Turman, Amanda Dumfries, Cornell i pani Reppler. Może jeszcze Bud Brown. To w sumie osiem osób, ale Billy może usiąść komuś na kolanach, a reszta jakoś się ścieśni.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Zgoda - oświadczył wreszcie. - Spróbujemy. Mówiłeś o tym komuś?

- Jeszcze nie.

- Więc radzę ci, żebyś co najmniej do czwartej rano trzymał gębę na kłódkę. Zgromadzę trochę zapasów przy kasie najbliższej drzwi. Przy odrobinie szczęścia wymkniemy się, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się dzieje. - Ponownie przeniósł spojrzenie na panią Carmody. - Gdyby dowiedziała się za wcześnie, mogłaby spróbować nas zatrzymać.

- Tak myślisz? Otworzył kolejne piwo.

- Tak myślę.

To popołudnie - wczorajsze popołudnie - upływało w zwolnionym tempie. Mgła stopniowo nasączała się mrokiem; o wpół do dziewiątej za oknami supermarketu rozpościerała się już niemal nieprzenikniona ciemność.

Wkrótce potem powróciły różowe robale, a razem z nimi niby-ptaki; nadlatywały z mroku i porywały je z szyb. Od czasu do czasu do naszych uszu docierał odległy ryk, tuż po północy dość blisko rozległ się mrożący krew w żyłach odgłos - taki, jaki mógłby wydać ogromny samiec aligatora w samym środku nieprzebytych moczarów. Ku oknom natychmiast zwróciły się przerażone, zdeorientowane twarze.

Sytuacja rozwijała się zgodnie z przewidywaniami Millera. Jeszcze przed świtem grupa zwolenników pani Carmody powiększyła się o kolejne trzy osoby. Był wśród nich McVey, rzeźnik; stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i obserwował ją nieruchomym spojrzeniem.

Pani Carmody była jak w transie. W ogóle nie potrzebowała snu. Jej kazanie, wypełnione okropieństwami, jakich nie powstydziliby się Dore, Bosch lub Jonathan Edwards, ciągnęło się bez końca, lecz odniosłem wrażenie, iż powoli zaczyna się zbliżać do punktu kulminacyjnego.

Słuchacze mamrotali pod nosami niektóre fragmenty i kołysali się jak w hipnotycznym śnie. Mieli błyszczące, martwe oczy. Rzuciła na nich urok.

Około trzeciej nad ranem (kazanie wciąż trwało; ci, którzy nie byli nim zainteresowani, wycofali się w głąb sklepu, żeby choć trochę się zdrzemnąć) zauważyłem, że Ollie upycha na półce pod jedną z kas pokazną torbę. Pół godziny później dołączyła do niej druga. Chyba tylko ja to widziałem. Billy, Amanda i pani Turman spali przytuleni do siebie w ogołoconym dziale mięsny. Dołączyłem do nich i zapadłem w niespokojną drzemkę.

Ollie obudził mnie kwadrans po czwartej. Towarzyszył mu Cornell; ukryte za grubymi szklami oczy starego mężczyzny błyszczały z podniecenia.

- Już pora, Davidzie - wyszeptał Ollie.

Poczułem silny skurcz żołądka, ale niemiłe doznanie szybko minęło. Obudziłem Amandę. Przez chwilę zastanawiałem się, jak pogodzić obecność Amandy i Stephanie w tym samym samochodzie, ale szybko doszedłem do wniosku, że zamiast zaprzętać sobie głowę takimi problemami, powinienem brać sprawy takie, jakie są.

Wspaniałe zielone oczy otworzyły się i spojrzały prosto na mnie.

- David?

- Spróbujemy się stąd wydostać. Idziesz z nami?

- O czym ty mówisz?

Zacząłem jej wyjaśniać, ale zaraz przerwałem, obudziłem panią Turman i powiedziałem wszystko od początku, żeby uniknąć konieczności późniejszego powtarzania całej przemowy.

- Twoja teoria dotycząca wężu nie opiera się na żadnych konkretnych dowodach, prawda? - zapytała Amanda, kiedy skończyłem.

- Niestety nie.

- Dla mnie to bez znaczenia. - oświadczyła Hattie. Była potwornie blada i miała ogromne sińce pod oczami. - Jestem gotowa podjąć każde ryzyko, żeby tylko znowu zobaczyć słońce.

Żeby znowu zobaczyć słońce... Przez moje ciało przebiegł lekki dreszcz. Pani Turman nieświadomie trafiła w centralny punkt moich lęków, wydobyła na wierzch przyczynę dręczącego mnie, nie do końca uświadamianego przeświadczenia o nieuchronnej zagładzie, które narodziło się chyba już w chwili, kiedy potężne macki wyciągnęły Norma z magazynu. Oglądane przez mgłę słońce przypominało małą srebrną monetę. Zupełnie jakbyśmy byli na Wenus.

To nie była sprawka monstrualnych stworów kryjących się we mgle; jedno uderzenie łomem dowiodło ponad wszelką wątpliwość, iż nie są Lovecraftowskimi upiorami obdarzonymi nieśmiertelnością, lecz organicznymi tworam i o wielu czułych punktach. To mgła pozbawiała nas sił i woli walki. Żeby znowu zobaczyć słońce... Miała rację. Dla tego jednego powodu warto było przejść przez każde piekło.

Uśmiechnąłem się do niej; zrewanżowała mi się tym samym.

- Ja też idę - powiedziała Amanda. Zacząłem delikatnie budzić Billy'ego.

- Jestem z wami - oznajmiła lakonicznie pani Reppler.

Zebrałiśmy się przy ladzie chłodniczej z mięsem. Nie było z nami Buda Browna; uprzejmie podziękował za zaproszenie, ale je odrzucił. Oświadczył, że nie może opuścić sklepu, lecz zaraz potem dodał zaskakująco łagodnym tonem, że nie ma o to najmniejszych pretensji do Olliego. Z wnętrza długiej emaliowanej rynny zaczął się już wydobywać nieprzyjemny słodkawy zapaszek - taki sam, jaki poczuliśmy w domu po tygodniowym pobycie na Cape Cod, kiedy okazało się, że nie działa zamrażarka. Być może właśnie odór psującego się mięsa skłonił McVeya do przyłączenia się do grupy pani Carmody.

- ...pokuta! Powinniśmy teraz myśleć o pokucie! Ukarano nas batogami i plagą skorpionów!

Ukarano nas za grzebanie w tajemnicach, które Bóg już dawno zabronił zgłębiać! Ujrzełiśmy na własne oczy, jak otwierają się usta Ziemi, zobaczyłiśmy najokropniejsze koszmary. Skała ich nie ukryje, martwe drzewo nie da im schronienia. Jak to się skończy? Co zdoła powstrzymać zagładę?

- Pokuta! - wykrzyknął stary, dobry Myron LaFleur.

- Pokuta... pokuta... - zawtórowały mu niepewne szepty.

- Chcę was słyszeć! Chcę wiedzieć, że naprawdę w to wierzycie! - wrzasnęła pani Carmody.

Żyły wystąpiły jej na szyi, schrypnięty głos trochę się załamywał, lecz nadal był zdumiewająco silny. Nagle przyszło mi do głowy, że tę siłę dała jej mgła - siłę, dzięki której mogła mącić ludziom w głowach i prezentować zaskakującą bystrość umysłu - dokładnie w tym samym czasie, kiedy nam wszystkim odebrała moc płynącą ze słońca. Wcześniej pani Carmody była tylko nieco zdziwaczalą starą kobietą prowadzącą sklep ze starociami w miasteczku, w którym aż roiło się od takich przybytków. Tylko starą kobietą z kilkoma wypchanymi zwierzakami na zapleczu i reputacją

(ta wiedźma... ta cipa)

znachorki. Powiadano, że potrafi znaleźć wodę za pomocą różdżki, że umie spędzać kurzajki i że sprzedaje krem, który pozwala w krótkim czasie pozbyć się wszystkich piegów. Słyszałem nawet (chyba mówił mi o tym Bill Giosti), iż od pani Carmody można (w całkowitym zaufaniu) zasięgać porad dotyczących życia seksualnego i że sporządzona przez nią mikstura potrafi tchnąć nowe życie w twój wyeksploatowany narząd.

- POKUTA! - wrzasnęli razem.

- Tak jest: pokuta! - wołała z uniesieniem. - Tylko dzięki pokucie pozbędziemy się tej mgły! Dzięki naszej pokucie odejdą precz potwory i ohydztwa! Dzięki pokucie łuski opadną z naszych oczu i wreszcie ujrzymy światło! - Ściszyła nieco głos. - A co napisano o pokucie w Piśmie Świętym? Czym, w oczach Pana, można odkupić winy?

- Krwią!

Tym razem dreszcz, który wstrząsnął moim ciałem, był znacznie silniejszy, a na dodatek włosy zjeżyły mi się na głowie. Słowo "krew" padło z ust McVeya, rzeźnika, który uprawiał swoją profesję już wtedy, kiedy jako mały chłopiec przyjeżdżałem do miasta i wchodziłem do sklepu, trzymając ojca za rękę. McVey wydający polecenia pracownikom i osobiście porcjujący mięso w poplamionym krwią fartuchu. McVey, który doskonale posługuje się nożem, a także toporem i piłą. McVey, który lepiej niż ktokolwiek na świecie zdaje sobie sprawę, iż oczyszczenie duszy następuje poprzez rany zadawane ciału.

- Krew... - rozszedł się szept.

- Tatusiu, ja się boję - powiedział Billy, niemal miażdżąc mi palce w swojej małej dłoni. Twarz miał bladą i ściągniętą.

- Ollie, zwiewajmy z tego domu wariatów - rzuciłem.

- Z przyjemnością - odparł.

Ruszyliśmy w kierunku kas luźną grupą: Ollie, Amanda, Cornell, pani Turman, pani Reppler, Billy i ja. Była za kwadrans piąta, mgła powoli zaczynała się rozjaśniać.

- Ty i Cornell weźmiecie torby z zapasami - powiedział Ollie.

- Dobrze.

- Ja pójdę pierwszy. Twój wóz ma czworo drzwi, prawda?

- Aha.

- W takim razie otworzę drzwi kierowcy i tylne, po tej samej stronie. Pani Dumfries, czy da pani radę przenieść Billy'ego?

Bez słowa wzięła go na ręce.

- Nie jestem za ciężki? - zapytał.

- Skądże znowu, skarbie.

- To dobrze.

- Pani wskakuje z przodu i przesiada się na miejsce pasażera, pani Turman też na przód, pośrodku, David za kierownicę. Reszta...

- A wy dokąd się wybieracie? To była pani Carmody.

Blokowała dostęp do kasy, pod którą Ollie ukrył nasz prowiant. W szarawym półmroku jej krzykliwy strój był jaskrawożółtą plamą. Potargane włosy sterczały we wszystkie strony, zupełnie jak Elsie Lanchester w "Narzeczonej Frankensteina", oczy błyszczały. Za jej plecami tłoczyło się dziesięć albo piętnaście osób, zasłaniając zarówno drzwi wejściowe, jak i wyjściowe. Wszyscy wyglądali jak ofiary wypadków samochodowych, świadkowie lądowania UFO albo jak ludzie, którzy na własne oczy widzieli maszerujące o własnych siłach drzewa.

Billy ukrył twarz na ramieniu Amandy.

- Wychodzimy - odparł Ollie zaskakująco spokojnym, niemal uprzejmym tonem. - Proszę nas przepuścić.

- Nie możecie stąd wyjść. Na zewnątrz czai się śmierć. Czyżbyście o tym zapomnieli?

- Nie przeszkadzaliśmy pani, więc proszę nam też nie przeszkadzać - powiedziałem.

Chyba od początku wiedziała, co planujemy, schyliła się bowiem i wyciągnęła z półki pod kasą ukryte przez Olliego torby z zapasami. Jedna z nich pękła, po posadzce potoczyły się puszki. Drugą torbę celowo rzuciła na podłogę; rozległ się brzęk tłuczonego szkła, pociekły soki i woda mineralna.

- Właśnie tacy ludzie ściągnęli na nas to nieszczęście! - wykrzyknęła ochryplym głosem. - Ludzie, którzy nie chcą podporządkować się woli Najwyższego! Grzeszą pychą, są hardzi i mają twarde karki. To ktoś z nich musi zostać złożony w ofierze! To z ich ran musi popłynąć krew odkupienia! Poparł ją gwar podekscytowanych głosów. Naprawdę była w transie, ślina pryskała z jej ust, kiedy krzyczała w uniesieniu:

- Chcemy chłopca! On będzie naszą błagalną ofiarą! Bierzcie go!

Ruszyli ku nam, na przedzie Myron LaFleur z szalonymi, rozradowanymi oczami, tuż za nim McVey z nieruchomą, skupioną twarzą.

Amanda objęła Billy'ego jeszcze mocniej i zaczęła się cofać. Odwróciła się ku mnie, wbiła przerażone spojrzenie w moją twarz.

- Davidzie, co...

- Oboje! - wrzasnęła pani Carmody. - Bierzcie oboje! Tę dziwkę też! - Wyglądała jak przeraźliwie żółty, ruchomy pomnik grobowej radości. Przez ramię wciąż miała przewieszoną ogromną torebkę. - Bierzcie... oboje... tę dziwkę... też... bierzcie... oboje... tę dziwkę... też... - wykrzykiwała, podskakując z podniecenia.

Rozległ się pojedynczy, ostry huk wystrzału.

Zapanował całkowity bezruch, jakbyśmy byli klasą rozbrykanych bachorów, które nagle usłyszały trzaśnięcie drzwi zamykanych przez nauczyciela. Myron LaFleur i McVey stanęli jak wryci jakieś dziesięć kroków od nas. Myron zerknął niepewnie na rzeźnika, lecz ten chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Miał zupełnie pusty, obojętny wyraz twarzy - ostatnio zbyt często zdarzało mi się go oglądać. Umysł McVeya nie wytrzymał obciążenia i pękł jak spróchniała gałąź.

Myron cofał się powoli, wpatrując się w Olliego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Po chwili odwrócił się i rzucił do ucieczki; skręcając w alejkę, potknął się o jakąś puszkę, przewrócił, ale natychmiast poderwał się na nogi i pobiegł dalej.

Ollie stał w klasycznej pozycji strzeleckiej, ściskając oburącz rękojeść rewolweru Amandy. Pani Carmody wciąż tkwiła przy kasie; ręce pokryte plamami wątrobianymi przyciskała do brzucha, pomiędzy palców płynęła krew i rozlewała się po żółtych spodniach.

Otworzyła usta... Zamknęła... Otworzyła... Znowu zamknęła. Usiłowała coś powiedzieć. Wreszcie jej się udało:

- Wszyscy tam zginiecie...

Bardzo powoli pochyliła się do przodu, po czym osunęła się na posadzkę. Torba spadła jej z ramienia, ze środka wypadła zawinięta w papier fiolka i potoczyła mi się pod nogi. Podniosłem ją odruchowo: tabletki przeciwko zgadze. Z obrzydzeniem rzuciłem fiolkę na podłogę. Nie chciałem mieć kontaktu z niczym, co należało do tej kobiety.

Zbici z tropu, zdezorientowani "wierni" rozchodzili się powoli, ale prawie nikt z nich nie odwrócił jeszcze wzroku od martwego ciała otoczonego kałużą ciemnej krwi.

- Zamordowaliście ją! - wykrzyknął ktoś oskarżycielskim tonem.

Nikt jakoś nie uznał za stosowne zauważyć, że los, jaki ją spotkał, miał się stać udziałem mego syna.

Ollie wciąż nawet nie drgnął, ale zaczęły mu drżeć usta. Delikatnie położyłem rękę na jego ramieniu.

- Chodźmy już. I dziękuję.

- Zabiłem ją - wykrztusił. - Niech mnie szlag trafi! Ja ją zabiłem...

- Owszem. Właśnie za to ci podziękowałem. A teraz chodźmy.

Ponownie ruszyliśmy w kierunku drzwi. Ponieważ pani Carmody uwolniła nas od konieczności niesienia toreb z zapasami, mogłem wziąć Billy'ego na ręce.

- Nie zastrzeliłbym jej, Davidzie - powiedział cicho Ollie, kiedy na chwilę zatrzymaliśmy się przy drzwiach. - Na pewno bym jej nie zastrzelił, gdyby było jakieś inne wyjście.

- Wiem.

- Wierzysz mi?

- Jasne.

- W takim razie idziemy. Wyszliśmy.

11. KONIEC

Ollie, wciąż z rewolwerem w ręce, poruszał się w błyskawicznym tempie; zanim zdążyłem zrobić z Billym choćby dwa kroki, on już był przy moim samochodzie, niczym duch z filmu telewizyjnego. Otworzył przednie drzwi, tylne, a potem coś wyskoczyło z mgły i niemal przecięło go na pół.

Nie zdołałem się temu czemuś dobrze przyjrzeć, i bardzo się z tego cieszę. Wiem tylko, że było czerwone jak rozwścieczony homar, miało szpony i basowo pochrząkiwało; bardzo podobne odgłosy usłyszeliśmy wkrótce po tym, jak Norton wyruszył ze swoją grupą na fatalną wyprawę. Ollie zdążył tylko raz nacisnąć spust. Szponiaste łapy wykonały gwałtowny ruch, a on zniknął w straszliwej erupcji krwi. Rewolwer wysunął mu się z ręki, spadł na asfalt i wystrzelił raz jeszcze. Mignęły mi czarne, matowe ślepiea rozmiarów kiści winogron, po czym koszarne stworzenie schroniło się we mgle ze szczątkami Olliego Weeksa w objęciach, ciągnąc za sobą długi, wielosegmentowy odwłok podobny do odwłoku skorpiona.

W następnym ułamku sekundy musiałem dokonać wyboru: połową duszy pragnąłem natychmiast popędzić z powrotem do supermarketu, druga połowa kazała mi podbiec do scouta, wrzucić Billy'ego do środka i wskoczyć za nim. Niemal w tej samej chwili rozległ się przeraźliwy, histeryczny krzyk Amandy, coraz głośniejszy i wyższy, sięgający niemal, ultradźwięków. Billy przycisnął się do mnie tak mocno, że niemal zmiażdżył mi żebra.

Pająk - bardzo duży pająk - dopadł Hattie Turman, przewrócił ją na ziemię i przykucnął nad nią. Wyglądało to tak, jakby delikatnie masował jej ramiona włochatymi odnóżami, lecz w rzeczywistości błyskawicznie oplatał ją przędzą. Pani Carmody miała rację, przemknęło mi przez głowę. Wszyscy tu zginiemy. Wszyscy, co do jednego.

- Amanda! - ryknąłem.

Krzyczała nadal jak w transie. Pająk w dalszym ciągu pracowicie plół kokon wokół ciała opiekunki Billy'ego, która uwielbiała krzyżówki i rozmaite łamigłówki - takie, co to każdego normalnego człowieka najdalej w ciągu kilku minut przyprawiają o pomieszenie zmysłów. Białe włókna krzyżujące się na chudych nogach, tułowiu i ramionach w wielu miejscach były już poplamione krwią.

Cornell powoli wycofywał się w kierunku sklepu. Oczy za okularami były wielkości spodków. Nagle odwrócił się, dopadł drzwi, pchnął je rozpaczliwie i wpadł do środka.

Zaraz potem minęło mi rozdwojenie jaźni: pani Reppler żywo wystąpiła naprzód i z całej siły uderzyła Amandę w twarz - najpierw z forehandu, zaraz potem z backhandu. Amanda umilkła, ja zaś doskoczyłem do niej, obróciłem ją twarzą w kierunku scouta i krzyknąłem co sił w płucach:
- Biegnij!

Pobiegła. Pani Reppler przemknęła obok mnie, wepchnęła Amandę na tylną kanapę, wsiadła za nią i zatrzasnęła drzwi.

Rozerwałem stalowy uścisk Billy'ego i wrzuciłem go do środka. Kiedy wskakiwałem na fotel kierowcy, jedna z białych pajęczych nici spłynęła mi na kostkę. Poczułem pieczenie, jakby w tym miejscu przesunęła się błyskawicznie cienka żyłka - tyle że znacznie silniejsze. Z całej siły szarpnąłem nogą, nic pękła, a ja wślizgnąłem się za kierownicę.

- Zamknij drzwi na litość boską zamknij drzwi prędko zamknij drzwi! - krzyczała Amanda. Sekundę po tym, jak udało mi się je zatrzasnąć, w szybę z cichym pacnięciem uderzył spory pająk. Zaledwie kilkanaście centymetrów od twarzy miałem czerwone, drapieźnie głupie oczy, włochate odnóża grubości mego przedramienia bezradnie skrobały karoserię. Amanda krzyczała już bez przerwy.

- Kobieto, przymknij się wreszcie! - poradziła jej pani Reppler.

Pająk zrezygnował. Nie czuł naszego zapachu, więc przestaliśmy dla niego istnieć. Potruchtał w mgłę, zbladł, wreszcie zniknął.

Rozejrzałem się ostrożnie, czy nie nadchodzi następny, po czym otworzyłem drzwi.

- Co robisz?! - wrzasnęła Amanda.

Dobrze wiedziałem, co robię. Myślę, że Ollie postąpiłby tak samo. Wychyliłem się na zewnątrz i zgarnąłem z asfaltu rewolwer. Coś się na mnie rzuciło, lecz zanim zdążyłem to zobaczyć, cofnąłem się i zatrzasnąłem drzwi.

Amanda już nie krzyczała, tylko rozpaczliwie szlochała. Pani Reppler otoczyła ją ramieniem i próbowała pocieszyć.

- Tatusiu, czy jedziemy do domu? - zapytał Billy.

- Spróbujemy, mistrzu.

- To dobrze - powiedział cicho. Zabezpieczyłem rewolwer, a następnie włożyłem go do schowka. Ollie naładował go przed wyprawą do drogerii. Zapasowa amunicja przepadła razem z nim - trudno. Strzelił do pani Carmody, strzelił do stwora ze szponami, potem rewolwer wypalił jeszcze raz, kiedy uderzył o asfalt. W samochodzie było nas czworo, wiedziałem jednak, że gdyby doszło do najgorszego i zabrakło dla mnie kuli, wymyślę jakieś inne rozwiązanie.

Przez kilka mrozących krew w żyłach sekund nie mogłem znaleźć kluczyków. Sprawdziłem we wszystkich kieszeniach - bez rezultatu. Przeszukałem kieszenie jeszcze raz, powoli, zmuszając się do zachowania spokoju. Kluczyki znalazły się w džinsach; po prostu schowały pod drobnymi, jak to kluczyki. Silnik zaskoczył za pierwszym razem. Słyszając jego flegmatyczny pomruk, Amanda wybuchnęła płaczem.

Czekałem, żeby sprawdzić, czy warkot silnika lub woń spalin zwróci na nas czyjąś uwagę. Minęło pięć najdłuższych minut mojego życia. Nic się nie wydarzyło.

- Długo jeszcze będziemy tu sterczeć? - zapytała wreszcie pani Reppler.

- Nie - odparłem. - Już jedziemy.

Cofnąłem samochód i włączyłem światła mijania.

Ulegając wewnętrznemu nakazowi (być może jednemu z tych najbardziej podstawowych), w żółtym tempie przejechałem przy samej przeszklonej ścianie supermarketu. Wzniesione przez nas obwałowania uniemożliwiały ogarnięcie wzrokiem wnętrza - takie nagromadzenie worków z nawozami sztucznymi sprawiało, że sklep wyglądał jak podczas szczytu jakiejś ogrodniczej

promocji - lecz w każdym otworze obserwacyjnym dostrzegłem dwie albo trzy twarze. Potem skręciłem w lewo i mgła zamknęła się za nami. Nie mam pojęcia, jaki los spotkał tych ludzi. Jechałem Kansas Road z prędkością siedmiu, może ośmiu kilometrów na godzinę. Reflektory oświetlały drogę najwyżej na trzy metry przed maską.

Miller miał rację: ziemia wyglądała jak po silnych wstrząsach. Miejscami szosa tylko popękała, tu i ówdzie jednak natrafialiśmy na rozległe zapadliska lub potężne wybrzuszenia. Bogu dzięki, napęd na dwie osie pozwolił nam jakoś pokonać te przeszkody, przez cały czas jednak potwornie się bałem, iż prędzej czy później natrafimy na taką, wobec której nawet mój scout okaże się bezradny.

Na pokonanie trasy, którą zazwyczaj przejeżdżałem w siedem albo osiem minut, tym razem potrzebowałem czterdziestu. Wreszcie z mgły wyłonił się znak stojący przy naszej drodze. Billy, który był przecież na nogach od piątej rano, zdążył tymczasem zapaść w głęboki sen. W znajomym wnętrzu samochodu czułem się prawie jak w domu.

Amanda wyteżęła wzrok, usiłując cokolwiek dojrzeć na bocznej drodze.

- Naprawdę chcesz tam jechać?

- Spróbuję.

Nie dałem rady. Nocna burza osłabiła wiele drzew, a tajemnicze tąpnięcie dokończyło dzieła zniszczenia. Przez dwa jakoś przejechaliśmy, ale to były młodziaki. Zaraz za nimi w poprzek drogi leżała potężna wiekowa sosna; od domu dzieliło nas jeszcze około czterystu metrów. Billy wciąż spał obok mnie, a ja zatrzymałem wóz, zakryłem twarz rękami i usiłowałem coś wymyślić.

Teraz, kiedy siedzę w restauracji motelu Howarda Johnsona w pobliżu zjazdu numer 3 z autostrady stanowej i spisuję to wszystko na papierze z motelowej papeterii, jestem prawie pewien, że pani Reppler, ta rzeczowa i twarda stara dama, w paru krótkich zdaniach mogła wyłożyć całą beznadziejność mojej sytuacji. Okazała się jednak na tyle delikatna, że pozwoliła mi samodzielnie dojść do oczywistych wniosków.

Nie mogłem wysiąść z samochodu. Nie mogłem ich zostawić. Nie mogłem nawet się łudzić, że wszystkie straszdyła z filmów grozy zostały tam, przy supermarkecie; wystarczyło uchylić okno, żeby usłyszeć, jak buszują po lesie. Z liści kapala woda, w górze przez mgłę od czasu do czasu przemykał cień, kiedy śmigało nad nami jakieś upiorne latające stworzenie.

Usiłowałem sobie wmówić - usiłuję nawet teraz - że jeśli działała bardzo szybko, jeśli zdążyła zamknąć się w domu, to miała tam wody i żywności na dziesięć dni, może nawet na dwa tygodnie... ale to niewiele daje. Najbardziej przeszkadza mi wspomnienie chwili, kiedy widziałem ją po raz ostatni, w słomianym kapeluszu z szerokim rondem i ogrodniczych rękawiczkach, maszerującą do naszego miniaturowego ogródka warzywnego, podczas gdy za jej plecami od strony jeziora nieuchronnie nadciągała mgła.

Teraz muszę myśleć o Billym, powtarzam sobie. O Billym. O mistrzu. Powinienem chyba napisać to ze sto razy jak dzieciak, któremu za karę kazano kaligrafować zdanie "Nie będę strzelał w kolegów kulkami z papieru", kiedy przez otwarte okna sączy się słoneczna popołudniowa cisza, a nauczycielka sprawdza przy biurku prace domowe i słychać tylko skrzypienie jej pióra, podczas gdy gdzieś hen, daleko, chłopcy wybierają składy do gry w piłkę.

W końcu zrobiłem jedyną rzecz, jaka mi została: wrzuciłem wsteczny bieg, ostrożnie wycofałem scouta na Kansas Road, po czym wybuchnąłem płaczem.

Amanda nieśmiało położyła mi rękę na ramieniu.

- Tak mi przykro, Davidzie...

- Mnie też - odparłem, bez powodzenia usiłując zapanować nad łzami. - Mnie też.

Dojechałem do szosy numer 302 i skręciłem w lewo, w kierunku Portland. Ta droga również była zniszczona, jechało się nią jednak łatwiej niż po Kansas Road. Najbardziej niepokoił mnie stan mostów; przez Maine płynie niezliczenie wiele rzek, więc wszędzie jest mnóstwo mostów, dużych i małych. Na szczęście most w Naples był nietknięty, stamtąd zaś wiodła już prosta droga do Portland.

Mgła ani trochę nie zrzędała. W pewnej chwili zatrzymałem samochód, przekonany, że szosę zatarasowały pnie zwalonych drzew; zaraz potem rzekome drzewa zaczęły się wić i przesuwają. To były gigantyczne macki. Innym razem na masce przysiadło duże latające stworzenie o opalizującej zielonej skórce i długich przezroczystych skrzydłach. Trochę przypominało mocno zdegenerowaną ważkę. Przez jakiś czas jechało z nami, a potem odleciało.

Billy obudził się dwie godziny po tym, jak zjechaliśmy z Kansas Road, i od razu zapytał, czy zabraliśmy mamę. Wyjaśniłem mu, że droga była zablokowana i że nie zdołałem dojechać do naszego domu.

- Ale nic jej się nie stało, prawda, tatusiu?

- Nie wiem, synku. Kiedyś na pewno wrócimy, żeby sprawdzić.

Nie płakał, tylko znowu zasnął. Chyba wolałbym łzy. Niepokoiło mnie, że ostatnio śpi coraz więcej.

Od nieustannego napięcia rozbolała mnie głowa. Wykańczała mnie jazda przez mgłę z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę, wykańczała towarzysząca mi przez cały czas świadomość, że w każdej chwili coś może się z niej wyłonić... Cokolwiek. Rozpadlina. Urwisko. Albo Ghidra, Trójgłowe Monstrum. Chyba się modliłem. Modliłem się do Boga o to, żeby Stephanie przeżyła i żeby nigdy się nie dowiedziała o mojej zdradzie. Modliłem się, żeby pozwolił mi dowieźć w bezpieczne miejsce syna, który ostatnio tak wiele przecierpiał.

Na szczęście, kiedy nadciągnęła mgła, większość kierowców zdażyła zjechać na pobocze, dzięki czemu około południa udało nam się dotrzeć do North Windham. Skręciłem w River Road, lecz mniej więcej po sześciu kilometrach natrafiliśmy na zerwany niewielki mostek. Musiałem ponad kilometr jechać na wstecznym biegu, zanim znalazłem miejsce wystarczająco szerokie, żeby zawrócić. Do Portland pojechaliśmy szosą numer 302.

Przed samym miastem skręciłem na autostradę. Szereg schludnych budek przy wjeździe zamienił się w straszące powybijanymi oknami szkielety. Wszystkie były puste; tylko w jednej dostrzegłem poszarpaną, pokrytą plamami zaschniętej krwi marynarkę. Uświadomiłem sobie, że od opuszczenia supermarketu nie widzieliśmy nikogo żywego.

- Może sprawdź, czy coś nadają przez radio? - zaproponowała pani Reppler.

Rąbnąłem się pięścią w głowę. Jak mogłem zapomnieć o zamontowanym w samochodzie radioodtworzaczu?

- Nie rób tego, Davidzie - skarciła mnie nauczycielka. - Nie możesz myśleć o wszystkim. Jeśli będziesz usiłował to zrobić, wkrótce oszalejesz i nie będziemy mieli z ciebie żadnego pożytku. Na falach długich i średnich królował biały szum, na UKF-ie panowała złowieszczą cisza.

- Czy to znaczy, że nikt nie nadaje? - zapytała Amanda. Wiedziałem, do czego zmierza.

Dotarliśmy już tak daleko na południe, że powinniśmy odbierać silniejsze stacje z Bostonu, ale jeśli Boston również milczy, to...

- To nic nie znaczy - odparłem. - Biały szum może pochodzić z zakłóceń. Mgła utrudnia również rozchodzenie się fal radiowych.

- Jesteś tego pewien?

- Oczywiście.

Niczego nie byłem pewien.

Pojechaliśmy na południe. Na pierwszym słupku kilometrowym, jaki zobaczyliśmy, widniała liczba 60, potem liczby się zmniejszały. Jedyneką miała oznaczać granicę New Hampshire. Autostradą podróżowało się gorzej niż zwykłą szosą, ponieważ niektórzy kierowcy nie chcieli lub nie zdążyli w porę zatrzymać pojazdów, w związku z czym doszło do licznych kolizji. Parę razy musiałem nawet zjeżdżać daleko na pobocze.

Mniej więcej dwadzieścia po pierwszej - pomału zaczynał mi doskwierać głód - Billy chwycił mnie za ramię.

- Tatusiu, co to? Co to?

We mgle zamajaczył cię. Był wielki jak góra i zmierzał prosto na nas. Wdepnąłem hamulec; Amanda, która drzemała na tylnym siedzeniu, niemal spadła między fotele.

Mogę tylko powiedzieć, że coś widziałem. Jedną z przyczyn takiej ogólnikowości jest z pewnością fakt, że we mgle nie sposób było czemukolwiek dokładnie się przyjrzeć, ale moim zdaniem wiąże się to także z konstrukcją ludzkiego umysłu, który po prostu nie chce godzić się z pewnymi rzeczami. Istnieją przerażające, mroczne zjawiska - a także niewiarygodnie piękne - które po prostu nie mieszczą się w wąskich drzwiach ludzkiej percepcji.

Wiem na pewno, że miało sześć nóg i szarą skórę, tu i ówdzie pokrytą brązowymi plamami. Natychmiast skojarzyły mi się z wątrobianymi plamami na rękach pani Carmody. Skóra była poorana głębokimi bruzdami, przywarły do niej dziesiątki, jeśli nie setki różowych robali. Nie mam pojęcia jak duże było, ale wiem, że przeszło nad nami. Jedna z monstualnych nóg opadła z hukiem tuż obok moich drzwi; pani Reppler powiedziała później, że choć zadarła głowę, nie zdołała wypatrzeć we mgle podbrzusza potwora. Widziała tylko olbrzymie nogi przemierzające się niczym ruchome wieże.

Chociaż, jak już wspominałem, nie zdołałem obejrzeć stwora w całości, odniosłem wrażenie, że pletwał błękitny wyglądałby przy nim jak płotka - krótko mówiąc, rozmiary stworzenia wymykały się wszelkim wyobrażeniom. Wkrótce potem znikł, znacząc trasę przemarszu wyraźnie odczuwalnymi mikrotrzęsieniami ziemi oraz pozostawionymi w nawierzchni autostrady śladami tak głębokimi, że wzrok nie sięgał dna.

Przez jakiś czas w samochodzie słychać było nasze oddechy i odgłosy oddalających się stąpaniec kolosa. Milczenie przerwał Billy:

- Tato, czy to był dinozaur? Jak ten ptak, który wleciał do supermarketu?

- Nie wydaje mi się. Wątpię, żeby tak wielkie zwierzęta kiedykolwiek żyły na Ziemi.

Przynajmniej na naszej Ziemi...

Wróciłem myślami do Projektu Grot Strzały. Jakimi szaleństwami oni się tam zajmowali?

- Jedźmy dalej - zaproponowała nieśmiało Amanda. - To przecież może wrócić...

Owszem. A przed nami może ich być jeszcze więcej... Nie powiedziałem jednak tego głośno, ponieważ nie miało to najmniejszego sensu. Dokądś przecież musieliśmy dotrzeć. Ruszyłem, lawirując między monstualnymi śladami, aż wreszcie skręciły w bok.

Tyle właśnie się wydarzyło. Aha, jest jeszcze jedna sprawa, do której za chwilę dojdę, ale proszę, nie oczekujcie jakiegoś optymistycznego zakończenia w rodzaju: "I wyjechali z mgły w pogodny blask nowego dnia", albo: "Kiedy się obudziliśmy, okazało się, że w nocy przybyły z odsieczą oddziały Gwardii Narodowej", albo nieśmiertelnego: "Na szczęście wszystko to był tylko sen".

To zakończenie będzie raczej, jak mawiał z upodobaniem mój ojciec, "w stylu Alfreda Hitchcocka". Rozumiał przez to sytuację, w której widzowi lub czytelnikowi nie podsuwa się jednoznacznego rozwiązania, lecz zmusza do tego, żeby sam dokonał interpretacji wydarzeń. Dla historii, które kończyły się inaczej, ojciec miał tylko jedno, pogardliwe określenie: "tandeta".

Do motelu sieci Howarda Johnsona przy zjeździe numer 3 dotarliśmy wtedy, kiedy gęstniejący zmierzch prawie uniemożliwił dalszą jazdę. Wcześniej zaryzykowaliśmy przejazd mostem nad rzeką Saco; nie wyglądał najlepiej, a we mgle nie sposób było stwierdzić, czy jest cały, czy nie. Jakoś jednak nam się udało.

Ale przecież musimy myśleć o tym, co będzie dalej, nieprawdaż?

Piszę te słowa dwudziestego trzeciego lipca, za kwadrans pierwsza w nocy. Burza, która okazała się początkiem końca wszystkiego, zaatakowała zaledwie przed czterema dniami. Billy śpi w holu na materacu, Amanda i pani Reppler są w pobliżu. Piszę przy blasku wielkiej latarki, na zewnątrz różowe robale łażą po szybach. Co pewien czas któryś z nich ginie w dziobie ptakopodobnej istoty.

Paliwa wystarczy jeszcze na jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. Oczywiście możemy zatankować; stacja benzynowa jest zaledwie parę metrów stąd. Co prawda nie ma prądu, ale z pewnością udałoby mi się napompować ręcznie kilkanaście litrów.

Żeby jednak to zrobić, musiałbym wyjść na zewnątrz.

Jeśli uda nam się zdobyć paliwo - wszystko jedno, tutaj czy gdzieś indziej - będziemy jechać dalej. Nawet wiem dokąd. Właśnie o tym chciałem wam jeszcze powiedzieć.

Oczywiście nie mogę być niczego pewien, i to jest najgorsze. Być może dałem się ponieść wyobraźni, a nawet jeśli nie, to szansę, żeby tam dotrzeć, są minimalne. Ile to jeszcze kilometrów? Ile mostów? Ile monstrualnych istot, które z rozkoszą rozszarpałyby na strzępy i pożarły mojego syna?

Prawdopodobieństwo, że uległem złudzeniu, jest tak wysokie, że o niczym im nie powiedziałem. Przynajmniej na razie.

W biurze kierownika znalazłem spore wielozakresowe radio na baterie podłączone do zewnętrznej anteny. Włączyłem je i zacząłem kręcić gałką; nic, tylko biały szum.

A potem, niemal na samym końcu pasma, kiedy już wyciągnąłem rękę, żeby je wyłączyć, usłyszałem - albo wydawało mi się, że usłyszałem - jedno jedyne słowo.

I nic więcej. Nasłuchiwałem przez godzinę - bez rezultatu. Jeśli naprawdę je usłyszałem, to musiało dotrzeć przez mikroskopijną dziurę we mgle, która zaraz potem się zamknęła, ponownie odcinając nas od świata.

Jedno słowo.

Muszę się przespać, oczywiście pod warunkiem że zdołam zasnąć i że nie będą mnie prześladować twarze Olliego Weeksa, pani Carmody, Norma... a także twarz Steff, częściowo zasłonięta rondem słomianego kapelusza.

Jest tu restauracja, taka sama jak we wszystkich motelach Howarda Johnsona, z długą, wygiętą w kształcie podkowy ladą. Zostawię na niej te zapiski. Może pewnego dnia ktoś je znajdzie i przeczyta.

Jedno słowo.

Obym tylko się nie przestyszał. Obym.

Idę teraz spać, ale najpierw pocałuję syna i wyszepeczę mu do ucha dwa słowa - wiecie, żeby odegnać koszmary.

Dwa zupełnie do siebie niepodobne słowa, które jednak oznaczają prawie to samo.

Jedno z nich to "Hartford".

Drugie to "nadzieja".

Przełożył

Arkadiusz Nakoniecznik

ZJAWI SIĘ TYGRYS

Charles musiał pójść do łazienki.

Nie było co dłużej udawać, że zdoła poczekać do przerwy. Pęcherz tak dawał mu się we znaki, że panna Bird zauważyła, co się dzieje.

W trzeciej klasie szkoły podstawowej przy ulicy Acorn były trzy nauczycielki. Panna Kinney - młoda, pełna werwy blondynka, którą po szkole zabierał narzeczony zajeżdżający błękitnym camaro. Pani Trask przypominała poduchę, zaplatała włosy w warkocze i śmiała się tubalnie. No i była jeszcze panna Bird.

Charles wiedział, że jemu trafi się panna Bird. Po prostu wiedział. To było nieuniknione. Ponieważ panna Bird najwyraźniej chciała go zniszczyć. Nie pozwalała dzieciom chodzić do piwnicy. Piwnica, mówiła panna Bird, to miejsce na bojłery. Dobrze wychowani młodzi ludzie nigdy tam nie chodzą, gdyż piwnica jest stara, brzydka i brudna. Młodzi ludzie chodzą do łazienki.

Charles skręcał się w potrzebie.

Panna Bird spojrzała na niego.

- Charles - powiedziała głośno, wciąż wskazując linijką na Boliwię - czy potrzebujesz wyjść do łazienki?

Siedząca przed nim Cathy Scott zachichotała, rozsądnie zasłaniając usta.

Kenny Griffen też parsknął śmiechem i kopnął Charlesa pod ławką.

Charles poczerwieniał jak piwonia.

- Powiedz, chłopcze - panna Bird ciągnęła pogodnie - czy potrzebujesz wyjść, aby (oddać mocz, zaraz powie oddać mocz, zawsze tak mówi)

- Tak, panno Bird.

- Co tak?

- Muszę pójść do piwni... do ubikacji. Panna Bird uśmiechnęła się.

- Świetnie, Charles. Możesz wyjść do ubikacji i oddać mocz. Czy właśnie to musisz zrobić? Oddać mocz?

Charles, pogiębiony, zwiesił głowę.

- Dobrze, Charles. Możesz iść. A następnym razem nie musisz czekać, bym cię prosiła.

Teraz już śmiała się cała klasa. Panna Bird postukała w tablicę linijką.

Kiedy Charles przeciskał się wzdłuż rzędu w stronę drzwi, trzydzieści par oczu wbijało mu się w plecy i każde z tych dzieci wiedziało, że on teraz idzie do łazienki oddać mocz. W tym Cathy Scott. Od drzwi dzieliła go co najmniej długość boiska futbolowego. Panna Bird nie kontynuowała lekcji, milczała do chwili, kiedy otworzył drzwi, wyszedł na błogosławiony, cichy korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Ruszył w kierunku chłopięcej ubikacji,

(piwnicy piwnicy piwnicy JEŚLI TYLKO ZECHCĘ)

przeciągając palcami wzdłuż chłodnych płytek ściany, pozwalając im podskoczyć, kiedy wjechały na tablicę ogłoszeń, a następnie nieco zjechać na czerwoną krawędź

(W RAZIE POTRZEBY ZBIJ SZYBĘ)

skrzynki alarmu przeciwpożarowego.

Pannie Bird sprawiało to przyjemność. Lubiła patrzeć, jak robił się czerwony na twarzy. I to przy Cathy Scott - która nigdy nie musiała schodzić do piwnicy, co już było niesprawiedliwe - i przy wszystkich innych.

Stara zdi-ra, pomyślał. Używał sylab, ponieważ w zeszłym roku doszedł do wniosku, że wtedy Bóg nie uzna tego za grzech.

Wszedł do męskiej ubikacji.

Panował tu chłód, w powietrzu wisiał lekki, nawet dość przyjemny zapach chloru. Rano było tutaj czysto i pusto, spokojnie i całkiem miło, zupełnie inaczej niż w zadymionej, śmierdzącej ubikacji w śródmiejskim Star Theatre.

Ubikacja
(piwnica!)

miała kształt litery L. Na krótszym ramieniu wisiał rząd kwadratowych luster, białych porcelanowych umywalek i pojemników z ręcznikami papierowymi. W dłuższej części mieściły się dwa pisuary i trzy kabiny.

Charles przeszedł tam, po drodze rzucając wzrokiem na odbicie swej chudej, raczej bladej twarzy w jednym z luster.

Tygrys leżał w najdalszym kącie, pod samym oknem. To był duży tygrys, z brązową mordą i cętkowana sierścią. Zaniepokojony podniósł wzrok na Charlesa, patrzył na niego zmrużonymi zielonymi ślepiami. Wydał z siebie coś w rodzaju pomruku. Gładkie mięśnie napięły się i tygrys wstał. Koniec jego ogona poruszał się nerwowo, uderzając w porcelanę ostatniego pisuaru, wywoływał cichy brzęk.

Tygrys wyglądał na bardzo głodnego i niezwykle niebezpiecznego.

Charles pospieszenie wycofał się na korytarz. Wydawało mu się, że drzwi na sprężynę nigdy się za nim nie zamkną, ale kiedy wreszcie to się stało, poczuł się bezpieczny. Te drzwi otwierały się tylko do środka, a nie przypominał sobie, by kiedykolwiek słyszał czy czytał, że tygrysy są na tyle inteligentne, żeby otworzyć drzwi.

Charles otarł wierzch dłoni o nos. Serce biło mu tak mocno, że sam je słyszał. I ciągle chciało mu się siusiu, bardziej niż kiedykolwiek.

Jęknął i przyłożył dłoń do brzucha. Naprawdę musiał zejść do piwnicy. Gdyby był pewien, że nikt nie przyjdzie, skorzystałby z łazienki dziewczynek. Po drugiej stronie korytarza. Charles popatrzył w tamtą stronę z nadzieją, ale wiedział, że za nic by się nie odważył. Bo gdyby na przykład przyszła Cathy Scott! Albo - jeszcze gorzej - panna Bird.

Może tylko wymyślił sobie tego tygrysa.

Pchnął drzwi, ale tylko tyle, by zerknąć do środka jednym okiem. Tygrys odwzajemnił mu się spojrzeniem jaskrawozielonych oczu. Charlesowi wydawało się, że gdzieś głęboko w tej zieloności błyska błękit, tak jakby oko tygrysa połknęło jego oko. Tak jakby...

Poczuł na karku czyjąś dłoń.

Wydał z siebie zduszony krzyk, czując, jak serce i żołądek podchodzą mu do gardła. Przez jeden straszliwy moment odniósł wrażenie, że się zmoczy.

To był Kenny Griffen, uśmiechnięty i zadowolony z siebie.

- Panna Bird wysłała mnie po ciebie. Wyszedłeś całe wieki temu. Jesteś w kłopotach.

- Tak, ale nie mogę pójść do łazienki - powiedział Charles. Kenny tak go przeraził, że było mu po prostu słabo.

- Zatkano cię! - zarechotał zachwycony Kenny. - Poczekaj, powiem Cathy.

- Lepiej tego nie rób - pospieszenie zareagował Charles. - Poza tym nie o to chodzi. Tam w środku siedzi tygrys.

- I co tam niby robi? - spytał Kenny. - Może sika?

- Nie wiem. - Charles odwrócił się do ściany. - Tylko chciałbym, żeby sobie poszedł. - Zaczął płakać.

- No, coś ty - powiedział Kenny, zaskoczony i trochę przestraszony. - No, co ty.

- I co się stanie, jeśli będę musiał tam wejść? Jeśli nie będę mógł się powstrzymać? Panna Bird powie...

- Chodź - rzekł Kenny, łapiąc go za ramię, drugą ręką pchnął drzwi. - Zaraz będziesz miał to za sobą.

Znaleźli się w środku zanim Charles, przerażony, zdołał się wyrwać i ukryć za drzwiami.

- Tygrys - Kenny wymówił to z niesmakiem. - Człowieku, panna Bird po prostu cię zabije.

- Siedzi tam w drugiej części. Kenny ruszył mijając umywalki.

- Kici-kici-kici. Koteczku?

- Przestań - wyszeptał Charles. Kenny zniknął za węglem.

- Kici-kici-kici. Kotku?

Charles wycofał się z ubikacji, przywarł plecami do ściany i czekał, zakrywając dłońmi usta, zaciskając mocno oczy. Czekał i czekał na krzyk.

Nie rozległ się jednak żaden krzyk.

Nie miał pojęcia, jak długo tak stał. Wydawało mu się, że pęcherz mu zaraz pęknie. Wpatrywał się w drzwi, lecz nic nie mógł z nich wyczytać. Po prostu drzwi.

Nie wejdzie tam.

Nie może.

Ale wreszcie wszedł.

Umywalki i lustra były tak samo czyste jak poprzednio. W powietrzu unosił się ten sam zapach chloru. Jednak wydawało się, że towarzyszy mu jeszcze jakiś inny zapach. Leciutki nieprzyjemny zapach świeżo ciętej miedzi.

Powstrzymując jęk, cały dygocząc, podszedł do załamania muru i zerknął.

Tygrys leżał rozwalony na posadzce i lizał wielkim różowym językiem łapę. Spojrzał bez zainteresowania na Charlesa. Na pazurze pozostał mu strzęp koszulki.

Potrzeba Charlesa była już tak wielka, że nie mógł wytrzymać. Musiał to zrobić. Wrócił na palcach do białej porcelanowej umywalki, tej najbliższej drzwi.

Panna Bird wpadła do łazienki w chwili, gdy właśnie zapinał spodnie.

- Co ty wyprawiasz, wstrętny chłopaku - powiedziała prawie spokojnie.

Charles wlepił zapłakane oczy w róg łazienki.

- Przepraszam, panno Bird... to tygrys... ja posprzątam... umyję mydłem... przysięgam, że...

- Gdzie jest Kenneth? - zapytała spokojnie panna Bird.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiedział.

- Czy jest tam w środku?

- Nie! - krzyknął Charles. Panna Bird ruszyła w głąb łazienki.

- Wychodź, Kenneth. W tej chwili.

- Panno Bird...

Ale ona już znikła za rogiem. Chciała dopaść Kennetha. Charles pomyślał, że panna Bird zaraz się dowie, co to znaczy, gdy coś cię dopadnie.

Znowu wyszedł z łazienki. Popatrzył na amerykańską flagę wiszącą nad wejściem do sali gimnastycznej, na tablicę informacyjną. Jeden napis głosił NIE BRUDŹ, drugi, z rysunkiem uśmiechniętego policjanta NIE WSIADAJ DO SAMOCHODU OBCEJ OSOBY. Charles przeczytał oba napisy dwa razy.

Potem wrócił do klasy, siedł na swoje miejsce z oczami wbitymi w podłogę, wsunął się na siedzenie. Była za kwadrans jedenasta. Wyciągnął "Drogi, które prowadzą wszędzie" i zaczął czytać przygodę Billa na rodeo.

Przełożyła

Dorota Malinowska

MAŁPA

Kiedy Hal Shelburn ujrzał, jak jego syn Dennis wyciąga ją z nadgniętego kartonowego pudełka po purinie Ralstona, wepchniętego głęboko w kąt pod ukośnym dachem strychu, ogarnęła go taka groza i rozpacz, że przez chwilę wydało mu się, że zacznie krzyczeć. Uniósł do ust pięść, jakby chciał wepchnąć wrzask z powrotem do gardła... po czym zaledwie zakasłał. Terry ani Dennis niczego zauważyli, lecz Petey obejrzał się ciekawie.

- Hej, fajna! - rzekł z szacunkiem Dennis. Hal nieczęsto . już słyszał w głosie chłopca podobny ton. Dennis miał dwanaście lat.

- Co to? - spytał Petey. Znów zerknął na ojca. Potem jednak znalezisko starszego brata pochłonęło go bez reszty. - Co to jest, tatusiu?

- To małpa, pierdoło - odparł Dennis. - Nigdy nie widziałeś małpy?

- Nie nazywaj brata pierdołą - upomniała automatycznie Terry i zaczęła oglądać pudło zasłon. Dotknąwszy oślizgłego od pleśni materiału, upuściła je szybko. - Fuj.

- Mogę ją sobie wziąć, tatusiu? - spytał Petey. Miał dziewięć lat.

- Co to znaczy mogę? - krzyknął Dennis. - Ja ją znalazłem!

- Chłopcy, proszę - wtrąciła Terry. - Boli mnie głowa.

Hal prawie ich nie słyszał. Błyszczące oczy małpy patrzyły na niego z rąk starszego syna. Jej pysk wykrzywił stary, znajomy uśmiech. Ten sam uśmiech, który nawiedzał jego koszmary w dzieciństwie i nękał go, póki...

Na zewnątrz zerwał się zimny wiatr; z bezcielesnych ust uleciało długie tchnienie, wpadające ze świstem w starą, przerdzewiałą rynnę. Petey przysunął się do ojca, z niepokojem patrząc na szorstkie belki dachu, z których wystawały główki gwoździ.

- Co to było, tato? - spytał, gdy świst zamilkł w gardłowym jęku.

- To tylko wiatr - odparł Hal, wciąż przyglądając się małpie. Jej talerze, w świetle nagiej żarówki bardziej przypominające półksiężycy niż pełne mosiężne kręgi, trwały w bezruchu, oddalone od siebie o kilkanaście centymetrów. Zapatrzony, dodał odruchowo: - Wiatr może i gwizdże, ale nigdy nie śpiewa. - W tym momencie uświadomił sobie, że to powiedzonko wujka Willa, i po plecach przebiegł mu dreszcz.

Dźwięk rozległ się ponownie. Wiatr znad jeziora Crystal uderzył w dach i zamarł w rynnie. Pół tuzina szczelin przepuszczało do środka zimne październikowe powietrze, które owiało twarz Hala. Boże, to miejsce tak bardzo przypominało tylny składzik w domu w Hartford, że poczuł się, jakby cofnął się w czasie o 30 lat.

Nie będę o tym myślał.

Lecz oczywiście teraz mógł myśleć wyłącznie o tym.

W tylnym składziku, tam właśnie znalazłem tę przeklętą małpę. W tym samym pudle.

Terry odeszła, aby zbadać zawartość drewnianej skrzyni, wypełnionej przeróżnymi rupieciami. Musiała się schylić, bo w tym miejscu dach opadał nisko.

- Nie podoba mi się - oznajmił Petey i zaczął macać w poszukiwaniu ręki ojca. - Dennis może ją sobie wziąć, jeśli chce. Tatusiu, chodźmy już.

- Boisz się duchów, tchórze? - spytał Dennis.

- Dennis, przestań! - rzuciła z roztargnieniem Terry i wyjęła ze skrzyni cieniutką filizankę, ozdobioną chińskim wzorem. - Ładna, naprawdę...

Hal ujrzał, że Dennis znalazł kluczyk na plecach małpy. Groza w jego sercu rozwinęła czarne skrzydła.

- Nie rób tego!

Zabrzmiało to ostrzej, niż planował: zanim zorientował się, co robi, wyrwał małpę z rąk Dennisa. Syn spojrział na niego ze zdumieniem. Terry także obejrzała się przez ramię, a Petey uniósł wzrok. Przez chwilę wszyscy milczeli. Wiatr znów zagwizdał, tym razem bardzo cicho. Zabrzmiało to jak nieprzyjemne zaproszenie.

- To znaczy, pewnie jest zepsuta - wyjaśnił Hal.

I była zepsuta. Chyba że akurat chciała działać.

- Ale nie musiałeś tak szarpać - zaprotestował syn.

- Dennis, zamknij się!

Chłopak wzdrygnął się i przez moment sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Hal od bardzo dawna tak do niego nie mówił - od czasu gdy dwa lata temu stracił pracę w National Aerodyne w Kalifornii i cała rodzina przeniosła się do Teksasu. Chwilowo Dennis postanowił nie drażnić tematu. Odwrócił się z powrotem do pudła po purinie i zaczął w nim grzebać. Lecz odkrył jedynie śmiecie. Zniszczone zabawki, z wylążającą gąbką i sprężynami.

Wiatr stawał się coraz głośniejszy. Już nie gwizdał, lecz zawodził. Belki strychu zatrzeszczały cicho; zabrzmiało to jak kroki.

- Proszę, tatusiu - powtórzył Peter tak cicho, że usłyszał go jedynie ojciec.

- Zgoda - odparł. - Terry, idziemy.

- Jeszcze nie skończyłam... - Powiedziałem: idziemy.

Tym razem to ona spojrzała nań ze zdumieniem.

W motelu zajęli dwa sąsiadujące pokoje. O dziesiątej tego wieczoru chłopcy spali już w swojej sypialni, a Terry w pokoju dorosłych. W czasie jazdy z domu w Casco zażyła dwie tabletki valium, aby ze zdenerwowania nie dostać migreny. Ostatnio łykała mnóstwo valium. Zaczęło się to mniej więcej wtedy, gdy National Aerodyne nie przedłużyła kontraktu z Halem. Przez ostatnie dwa lata pracował w Texas Instruments - oznaczało to cztery tysiące dolarów rocznie mniej, ale przynajmniej miał pracę. Powiedział Terry, że mieli szczęście. Przytaknęła. Mnóstwo projektantów oprogramowania siedzi na zasiłku - zauważył. Przytaknęła. Firmowy dom w Arnette jest równie porządny jak stary we Fresno - dodał. Przytaknęła. Lecz odniósł wrażenie, że za każdym razem kłamała.

Tracił też kontakt z Dennisem. Czuł, że dzieciak oddala się od niego, osiągając przedwcześnie prędkość ucieczki. To tyle, Dennisie. Bywaj, nieznajomy. Miło było przejechać się z tobą. Terry twierdziła, że chłopak pali trawkę. Czasami czuła jej zapach. Będziesz musiał z nim pomówić, Hal. A on przytaknął. Lecz jak dotąd nie znalazł jeszcze stosownej okazji.

Chłopcy spali. Terry spała. Hal poszedł do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Usiadł na zamkniętej pokrywie sedesu i spojrział na małpę.

Nienawidził jej dotyku: miękkiego, kędzierzawego, brązowego futra, miejscami zupełnie przetartego. Nienawidził jej uśmiechu. Ta małpa szczerzy się jak czarnuch - powiedział kiedyś wujek Will. Ale to nieprawda. Nie uśmiechała się jak czarnuch ani w ogóle jak człowiek.

Ukazywała jedynie wyszczerzone zęby. A jeśli nakręciło się mechanizm, jej wargi poruszały się, a kły zdawały się rosnąć, zmieniać się w zęby wampira, wargi wykrzywiały się, talerze uderzały o siebie, głupia małpa, głupia nakręcana małpa, głupia, głupia...

Upuścił ją. Trzęsły mu się ręce.

Kluczyk na plecach z brzękiem uderzył o terakotę. W nocnej ciszy ów dźwięk wydał się przeraźliwie głośny. Małpa szczerzyła do niego zęby, jej zamglone bursztynowe oczy, oczy lalki patrzyły z idiotyczną radością. Mosiężne talerze unosiły się, jakby zaraz miały odegrać marsza w piekielnej orkiestrze. Na spodzie wytłoczono napis: made in Hong Kong.

- Nie może cię tu być - szepnął. - Kiedy miałem dziewięć lat, wrzuciłem cię do studni.

Małpa uśmiechała się do niego.

Na zewnątrz, w mroku, czarny podmuch wiatru wstrząsnął motelem.

Następnego dnia spotkali się z bratem Hala Billem i jego żoną Collette w domu wujka Willa i ciotki Idy.

- Czy kiedykolwiek przeszło ci przez myśl, że śmierć w rodzinie to kiepski pretekst do odnawiania więzi? - spytał Bill z lekkim uśmiechem. Nazwano go na cześć wuja Willa. Will i Bill, mistrzowie rodejo, mawiał wujek Will, czochrając dłonią włosy chłopca. To było jedno z jego powiedzonek. Tak jak to, że wiatr może i gwizdże, ale nigdy nie zaśpiewa. Wujek Will umarł przed sześcioma laty i ciotka Ida mieszkała tu sama, aż w końcu w zeszłym tygodniu powalił ją wylew. Umarła szybko, powiedział Bill, kiedy zadzwonił, by przekazać Halowi wiadomość. Tak jakby wiedział. Jakby ktokolwiek mógł wiedzieć. Mieszkała sama.

- Tak - odparł Hal. - Przeszło mi to przez myśl. Razem przyglądali się domowi, prawdziwemu domowi, w którym dorastali. Ich ojciec, marynarz ze statku handlowego, zniknął z powierzchni ziemi, gdy byli bardzo mali: Bill twierdził, że pamięta go jak przez mgłę, lecz Hal nie miał żadnych wspomnień. Matka zmarła, kiedy Bill miał dziesięć lat, a Hal osiem. Ciotka Ida przywiozła ich tutaj z Hartford autobusem Greyhonda. Tu się wychowali. Tu poszli do college'u. Właśnie za tym miejscem tęsknili. Bill został w Maine i obecnie prowadził popularną kancelarię prawniczą w Portland.

Hal dostrzegł, że Petey zawędrował w pobliże gąszczy jeżyn po wschodniej stronie domu.

- Nie wchodź tam, Petey! - zawołał.

Chłopiec spojrzał na niego pytająco. Hal poczuł, jak ogarnia go gwałtowna miłość do dziecka. I nagle znów pomyślał o małpie.

- Czemu, tato?

- Gdzieś tam jest stara studnia - wyjaśnił Bill. - Ale niech mnie diabli, jeśli pamiętam gdzie. Twój tato ma rację, Petey; lepiej trzymać się z dala od tego miejsca. Spotkanie z cierniami nie byłoby przyjemne. Racja, Hal?

- Racja - odparł odruchowo Hal. Petey odszedł, nie oglądając się za siebie; pobiegł w dół zbocza wiodącego na mały skrawek plaży, gdzie Dennis puszczał kaczki. Dławiący uścisk w piersi Hala zelżał lekko.

Bill może i zapomniał, gdzie była stara studnia, lecz później tego samego popołudnia Hal pomaszzerował bezbłędnie w jej stronę, przedzierając się przez kolczaste zarośla. Ciernie szarpały flanelową kurtkę i sięgały ku jego oczom. Dotarłszy na miejsce, stanął bez ruchu, dysząc ciężko i przyglądając się spróchniałym, spaczonym deskom, zakrywającym otwór. Po chwili wahania ukląkł (trzask zginanych kolan zabrzmiał niczym podwójny wystrzał z pistoletu) i odsunął dwie z nich.

Z dna mokrego, tajemnego gardła spojrzała na niego tonąca twarz o szeroko rozwartych oczach i ustach wykrzywionych grymasem. Hal jęknął cicho. Głośniejszy, wręcz ogłuszający był jęk jego serca.

W ciemnej wodzie ujrzał własną twarz.

Nie twarz małpy. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi małpę.

Dygotał cały. Wstrząsały nim dreszcze.

Wrzuciłem ją do studni. Wrzuciłem ją do studni. Boże, błagam, nie pozwól, bym zwariował.

Wrzuciłem ją do studni.

Studnia wyschła tego samego lata, kiedy zginął Johnny McCabe, w rok po tym, jak Bill i Hal zamieszkali z wujkiem Willem i ciotką Ida. Wujek Will pożyczył z banku pieniądze i kazał

wywiercić studnię artezyjską, pozwalając, by zarośla jeżyn otoczyły starą kopaną studnię. Wyschniętą studnię.

Tyle że woda wróciła, tak jak małpa.

Tym razem nie mógł już uciszyć wspomnień. Hal siedział bezradnie, dopuszczając je do siebie, próbując dać się unieść, niczym surfer ujeżdżający ogromną falę, która zmiażdżyłaby go, gdyby spadł z deski. Marzył tylko o tym, by przez to przejść, i znów zapomnieć.

Zakradł się tu z małpą późnym latem tego samego roku. Jeżyny już dawno dojrzały i w powietrzu unosił się mocny, lepki zapach. Nikt tu nie zbierał owoców, choć ciotka Ida czasami stawiała na skraju zarośli i zrywała garstkę jeżyn. Tu, w krzakach, jeżyny zdążyły już przejrzeć. Część z nich gniła, wypuszczając z siebie gęsty, biały, przypominający ropę płyn, a świerszcze śpiewały szaleńczym chórem w wysokiej trawie pod stopami, bez końca powtarzając: r-i-i-i-i...

Ciernie kłuły i szarpały jego skórę. Na odsłoniętych rękach i policzkach wystąpiły krople krwi. Nie próbował nawet ich unikać. Zaślepił go strach - do tego stopnia, że o mały włos nie wpadł na przegniłe deski, pokrywające studnię. Jeszcze chwila, a runąłby dziesięć metrów w dół na błotniste dno. Gwałtownie zamachał rękami, próbując utrzymać równowagę, i kolejne kolce odcisnęły swe piętno na jego przedramionach. Właśnie to wspomnienie sprawiło, że tak ostro krzyknął na Peteya.

To był dzień, w którym zginął Johnny McCabe - jego najlepszy przyjaciel. Johnny wspinał się po drabince do domku na drzewie. Tego lata obaj chłopcy spędzili tam mnóstwo czasu, bawiąc się w piratów, wyglądając wyimaginowanych galeonów na jeziorze, przesuwając działa, refując grotą (cokolwiek to znaczyło) i szykując się do abordażu. Johnny wdrapywał się do domku, jak to czynił tysiące razy wcześniej, gdy szczebel tuż pod klapą w podłodze pękł mu w rękach i Johnny spadł na ziemię z wysokości dziesięciu metrów, i skręcił sobie kark, i wszystko to było winą małpy, małpy, tej przeklętej małpy. Kiedy zadzwonił telefon, usta cioci Idy otworzyły się szeroko w niemym wyrazie grozy, jej przyjaciółka Milly z sąsiedztwa powtórzyła, co się stało, a ciocia Ida powiedziała: "Chodź na werandę, Hal. Mam złe wieści", wtedy natychmiast pomyślał z obezwładniającą zgrozą: Małpa! Co znów zrobiła?

Tego dnia, gdy wyrzucił małpę, na dnie studni nie dostrzegł uwiecznionego odbicia własnej twarzy, jedynie kamyki i cuchnące, mokre błocko. Spojrzał na małpę leżącą pośród sztywnej trawy, rosnącej między splątanymi krzakami jeżyn. Zabawka unosiła swe talerze, wyszczerzone zęby połyskiwały pomiędzy rozchylonymi wargami. Patrzył na jej łysiejące tu i ówdzie futro. Na szkliste oczy.

- Nienawidzę cię! - syknął. Zaciśnął dłoń wokół wstrętnego tułowia małpy, czując, jak kędzierzawe futro ugina się pod palcami. Uniósł ją do twarzy; małpa uśmiechała się do niego.

- No dalej! - rzucił wyzywająco. Po raz pierwszy tego dnia zaczął krzyczeć. Potrząsnął nią. Uniesione talerze zdrzały leciutko. Małpa psuła wszystko. Wszystko. - No już, uderz w nie, uderz!

Uśmiechała się.

- Dalej, uderz! - Jego głos wzniosł się histerycznie. - No co, tchórzysz? Dalej! Uderz w nie.

Wyzywam cię. WYZYWAM!

Żółtobrazowe oczy. Szyderczo wyszczerzone zęby.

I wtedy, oszalały z żalu i strachu, cisnął ją do studni. Ujrzał, jak obraca się w powietrzu - małpi akrobata, wykonujący kolejną ewolucję. Słońce po raz ostatni załśniło na gładkiej powierzchni talerzy. Z głuchym łoskotem uderzyła o dno. Wstrząs musiał poruszyć mechanizmem, bo nagle talerze istotnie zaczęły uderzać o siebie. Ich miarowe, rytmiczne, metaliczne dźwięki wzlatywały

ku jego uszom, odbijając się obłąkańczym echem w kamiennej gardzieli martwej studni: dżang-dżang-dżang-dżang...

Hal przycisnął dłonie do ust. Może jedynie oczyma wyobraźni, ale ujrzał ją tam, leżącą w błocie. Szklane oczy wpatrywały się w małe krąg chłopięcej twarzy, wyglądającej zza cembrowiny (jakby zapamiętywały ją na zawsze). Wargi rozszerzały się i zwały wokół wyszczerzonych zębów, talerze uderzały o siebie. Śmieszna nakręcana małpka.

Dżang-dżang-dżang-dżang. Kto umarł? Dżang-dżang-dżang-dżang. Czy to Johnny McCabe? Spadający z wytrzeszczonymi oczami, kręcący salta w jasnym, letnim, wakacyjnym powietrzu? Z pękniętym szczeblem wciąż ściszanym w dłoniach. Coraz bliższy ziemi; za chwilę uderzy w nią z gromkim trzaskiem, i krew wytryśnie z jego nosa, ust i oczu. Czy to Johnny, Hal? A może ty? Jęcząc, Hal złapał deski i zasłonił nimi wylot studni, nie zważając na wbijające się w dłonie drzazgi, nawet ich nie dostrzegając. Mimo to wciąż ją słyszał. Drewniana zaporą nieco tłumiała dźwięk, który przez to stał się jeszcze gorszy. Małpa leżała tam w kamiennej ciemności, wałąc w talerze i kręcąc swym ohydny ciałem z odgłosem przypominającym koszmarny hałas ze snu. Dżang-dżang-dżang-dżang. Kto umarł tym razem?

Hal rzucił się pędem z powrotem, rozpychając gałęzie jeżyn. Ciernie kreśliły świeże krwawe linie na jego twarzy. Liście łopianu chwytaly mankiety džinsów i raz nawet wyłożył się jak długi; w uszach wciąż mu dzwoniło, jakby dźwięk go ścigał. Wujek Will znalazł go później, jak zapłakany siedział na starej oponie w garażu. Uznał, iż Hal rozpacza po stracie przyjaciela. Istotnie tak było. Jednakże płacząc, także odreagowywał strach.

Wyrzucił małpę późnym popołudniem. Jeszcze tego wieczoru, gdy zmierzch zakradał się skrycie, pochłaniając migotliwy płaszcz wieczornej mgiełki, samochód, jadący stanowczo zbyt szybko jak na tak słabą widoczność, przejechał kota Manksa ciotki Idy i nie zatrzymując się, zniknął w dali. Na całej drodze wały się wnętrzności. Bill zwymiotował, lecz Hal jedynie odwrócił twarz, bladą, nieruchomą twarz. Szlochanie ciotki Idy (w połączeniu z wieścią o chłopaku McCabe'ów śmierć kota doprowadziła ją do gwałtownego ataku płaczu, graniczącego z histerią i wujek Will zdołał uspokoić ją dopiero po dwóch godzinach) dobiegało go jakby z wielkiej oddali. W głębi serca czuł zimną, triumfalną radość. To nie była jego kolej, tylko kolej kota ciotki. Nie jego, nie jego brata. Billa ani wujka "Willa (dwóch mistrzów rodejo). Małpa odeszła. Leżała na dnie studni. Jeden stary kot Manx z kleszczami w uszach był doprawdy niewielką zapłatą. Jeśli nadal chciała uderzać w te piekielne talerze, proszę bardzo. Mogła na nich grać robakom i chrząszczom, mrocznym istotom lęgnącym się w kamiennym brzuchu studni. Zgnije tam. Jej paskudne kółka, sprężynki i przekładnie zardzewieją. I umrze w błocie i ciemności. A pająki wysnują jej całun.

Ale wróciła.

Hal powoli znów zakrył studnię, tak jak tamtego dnia, i nagle usłyszał widmowe echo talerzy małpy. Dżang-dżang-dżang-dżang. Kto umarł, Hal? Czy to Terry? Dennis? Czy to Petey, Hal? Jest twoim ulubieńcem, prawda? Czy to on? Dżang-dżang-dżang...

- Odłóż to!

Petey wzdrygnął się i upuścił małpę. Przez jeden koszmarny moment Hal sądził, że to wystarczy, że wstrząs uruchomi mechanizm i talerze znów zaczną uderzać o siebie.

- Tatusiu, przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Po prostu... nie chcę, żebyś się nią bawił. Cała trójka pojechała do kina i sądził, że pierwszy zdąży wrócić do motelu. Zabawił jednak w starym domu dłużej, niż przypuszczał. Stare, znieawidzone wspomnienia poruszały się w swej własnej strefie czasowej.

Terry siedziała obok Dennisa, oglądając serial "The Beverly Hillbillies". Śledziła stare, ziarniste obrazy z rozbawionym skupieniem, które świadczyło o tym, że niedawno łyknęła valium. Dennis czytał pismo rockowe z Culture Club na okładce. Petey siedział na dywanie, majstrując przy małpie.

- I tak nie działa - rzekł.

Co wyjaśnia, czemu Dennis mu ją oddał, pomyślał Hal, i nagle ogarnął go wstyd i gniew na samego siebie. Coraz częściej odczuwał nieopanowaną wrogość wobec starszego syna. Potem jednak czuł się paskudnie winny, poniżony... bezradny.

- Nie - rzekł. - Jest stara, zamierzam ją wyrzucić. Daj mi ją.

Wyciągnął rękę i Peter z niespokojną miną wręczył mu zabawkę.

- Ze starego robi się niezły schizol - mruknął Dennis, zwracając się do matki.

Zanim zdążył pomyśleć, Hal przebiegł już przez pokój. Wciąż trzymał w dłoni małpę, która uśmiechała się z aprobatą. Złapał koszulę syna i szarpnięciem postawił go na nogi. Któryś ze szwów puścił z cichym trzaskiem. Dennis wpatrywał się w ojca z niemal komicznym zdumieniem. Otwarty numer "Rockowej Fali" upadł na podłogę.

- Hej!

- Chodź ze mną - polecił ponuro Hal, ciągnąc chłopaka ku drzwiom prowadzącym do drugiego pokoju.

- Hal! - niemal krzyknęła Terry. Petey jedynie wybałuszył oczy.

Hal wciągnął Dennisa do środka, zatrzasnął drzwi i gwałtownie pchnął na niego syna. Dennis zaczął wyglądać na wystraszonego.

- Masz zbyt niewyparzony język - oznajmił Hal.

- Puszczaj! Rozdarłeś mi koszulę, ty... Hal ponownie popchnął chłopaka.

- O tak - powiedział. - Naprawdę niewyparzony język. Nauczyłeś się tego w szkole? A może w palarni?

Dennis zarumienił się. Przez sekundę na jego twarzy odbiło się poczucie winy.

- Nie musiałbym chodzić do tej zaszranego szkoły, gdyby cię nie wylali! - wybuchnął.

Hal raz jeszcze pchnął Dennisa na drzwi.

- Nikt mnie nie wylał. Nie przedłużyli kontraktu. Dobrze o tym wiesz i nie mam ochoty słuchać twojego głędzenia. Masz jakiś problem? Witaj na świecie, Dennis. Ale nie zwalaj wszystkiego na mnie. Jeszcze jesz, wkładasz coś na tyłek. Masz dwanaście lat i... nie... życzę... sobie...

wysłuchiwać... twoich... narzekań. - Podkreślał każde słowo, przyciągając chłopca do siebie tak, że ich nosy niemal się stykały, i odpychając z powrotem. Nie czynił tego dość mocno, by bolało, lecz Dennis wyraźnie się bał - od czasu przeprowadzki do Teksasu ojciec nawet go nie tknął - toteż w końcu rozplakał się głośnym, zdrowym, zawodzącym płaczem.

- No dalej, zbij mnie! - wrzasnął. Na jego wykrzywioną twarz wystąpiły rumieńce. - Zbij mnie, jeśli chcesz! Wiem, jak cholernie mnie nienawidzisz!

- Nie nienawidzę cię. Bardzo cię kocham, Dennis. Ale jestem twoim ojcem i masz okazywać mi szacunek. W przeciwnym razie oberwiesz.

Dennis próbował się wyrwać. Hal przyciągnął do siebie syna i objął go. Przez chwilę chłopak jeszcze walczył, potem przytulił twarz do piersi Hala i zaczął płakać na dobre. Hal od lat nie słyszał, by któreś z jego dzieci tak płakało. Zamknął oczy, uświadamiając sobie, iż czuje ogromne znużenie.

Terry zaczęła dobijać się z drugiej strony.

- Przestań, Hal! Cokolwiek mu robisz, przestań!

- Nie zabijam go - rzekł. - Odejdź, Terry!

- Nie waż się...

- Wszystko w porządku, mamó - wtrącił Dennis stłumionym głosem, wciąż przywierając do piersi ojca.

Przez chwilę stała tam w milczeniu; wyczuwał jej zagubienie. Potem odeszła. Hal spojrzął na swego syna.

- Przepraszam, że cię tak nazwałem, tato - powiedział niechętnie Dennis.

- W porządku. Przyjmuję przeprosiny i dziękuję. Kiedy w następnym tygodniu wrócimy do domu, odczekam dwa-trzy dni, a potem przejrzę wszystkie twoje szuflady. Jeśli jest w nich coś, czego nie chciałbyś mi pokazać, lepiej się tego pozbać.

Znów ta mina winowajcy. Dennis spuścił wzrok i otarł wierzchem dłoni zasmarkany nos.

- Mogę już iść? - W jego głosie ponownie zabrzmiała uraza.

- Jasne - odparł Hal i puścił go. Wiosną muszę zabrać go na kemping. Tylko my dwaj. Będziemy łowić ryby jak wujek Will ze mną i z Billem. Muszę się do niego zbliżyć. Muszę spróbować.

Usiadł na łóżku w pustym pokoju i spojrzął na małpę. Już nigdy się do niego nie zbliżysz, Hal - zdawał się mówić jej uśmiech. - Możesz mi wierzyć. Wróciłam, aby wszystkim się zająć. Zawsze wiedziałeś, że tak będzie.

Hal odłożył ją na bok i zasłonił dłonią oczy.

Stał w łazience i rozmyślał, szczotkując zęby. Była w tym samym pudle. Jak to możliwe, by była w tym samym pudle?

Szczoteczka dźgnęła w górę, boleśnie uderzając w dziąsło. Skrzywił się.

Kiedy pierwszy raz ujrzał małpę, miał cztery lata, a Bill sześć. Zanim jeszcze zginął albo zapadł się w głąb dziury na końcu świata, czy cokolwiek go spotkało, ich zaginiony ojciec kupił dom w Hartford, który należał do nich - uczciwie, bez żadnych ale. Matka pracowała jako sekretarka w Holmes Aircraft, fabryce helikopterów w Westville, i zatrudniała co jakiś czas kolejną opiekunkę do chłopców. Tyle że w owym czasie tylko Hal wymagał całodziennego opieki - Bill był już duży i chodził do pierwszej klasy. Żadna opiekunka nie zabawiła długo. Zachodziły w ciążę i poślubiwały swoich chłopaków albo zatrudniały się u Holmesa, albo też pani Shelburn odkrywała, że pociągają ukradkiem z butelki kuchennej sherry czy koniaku, przechowywanego na szczególne okazje w kredensie. Najczęściej były to głupie dziewczyny, które interesowało jedynie jedzenie i spanie. Żadna z nich nie chciała czytać Halowi, jak robiła to matka.

Tej długiej zimy ich opiekunką była roślina, szczupła czarna dziewczyna imieniem Beulah. Kiedy matka Hala przebywała w jej pobliżu, Beulah cackała się chłopcem; gdy jej nie było, czasem go szczypała. Mimo wszystko Hal nawet lubił Beulah, która od czasu do czasu czytała mu barwne opowieści z jednego z pism z Prawdziwymi Historiami Życiowymi bądź Detektywistycznymi ("Zmysłowa Rudowłosa w Objęciach Śmierci" - intonowała złowieszczo Beulah w sennej południowej ciszy salonu i wsuwała do ust kolejny cukierek orzechowy Reese'a, podczas gdy Hal z uwagą studiował ziarniste zdjęcia w brukowcu i popijał mleko ze swego kubeczka dobrych życzeń). Fakt, że ją lubił, sprawił, iż jeszcze gorzej zniósł to, co się stało.

Znalazł małpę zimnego, pochmurnego marcowego dnia. Od czasu do czasu fala deszczu ze śniegiem zaciniała o szybę. Beulah spała na kanapie, trzymając otwarty egzemplarz "Mojej Historii" na bujnym biuście.

Hal zakradł się do składziku, by obejrzeć rzeczy ojca.

Składzik był w istocie dodatkową komórką na całej długości pierwszego piętra po lewej stronie, dodatkowym pomieszczeniem, którego nigdy nie wykończono. Można się było doń dostać małymi drzwiami - jak te prowadzące w głąb króliczej nory - w sypialni chłopców, po stronie Billa. Obaj lubili tam chodzić, choć w zimie panował straszny ziąb, a w lecie upał tak wielki, że wyciskał z młodszej skóry całe wiadra potu. Długi, wąski, czasem duszny składzik pękał w

szwach od fascynujących rupieci. Nieważne, jak wiele się ich przejrzało, nigdy nie obejrzało się wszystkich. Raz z Billem spędzali w nim całe sobotnie popołudnia, ledwie odzywając się do siebie, wyciągali rzeczy z pudeł, oglądali je, obracając nieustannie tak, by ręce wchłonęły każdą nową rzeczywistość, i odkładali na miejsce. Teraz Hal zastanawiał się, czy wówczas nie próbowali z Billem w jedyny dostępny im sposób nawiązać kontaktu z zaginionym ojcem. Ojciec był marynarzem na statku handlowym. Miał patent nawigatora, toteż w składziku leżały całe stosy map, częściowo poznaczonych równymi kółkami (pośrodku każdego widniał dołek po ostrzu cyrkla). Obok nich spoczywało dwadzieścia tomów zatytułowanych "Przewodnik nawigacyjny Barrona" i pokrzywiona lornetka, która, jeśli patrzyłeś w nią zbyt długo, sprawiała, że oczy zaczynały piec i dziwnie widzieć. Były tam też turystyczne pamiątki z tuzina różnych portów - gumowe tancerki hula, czarny kartonowy melonik z rozdartą wstążką, na której napisano: "Jednym dziewczyna życie umili, mnie Piccadilly", szklana kula, w której wnętrzu umieszczono maleńką wieżę Eiffla. Były tam koperty z zagranicznymi znaczkami, starannie ułożonymi w środku, i zagraniczne monety; próbki minerałów z hawajskiej wyspy Maui, szklisto czarne, ciężkie i dziwnie złowrogie, oraz dziwaczne płyty w obcych językach.

Tego dnia, gdy deszcz hipnotycznie bębnił o dach tuż na jego głowę, Hal przekopał się aż na najdalszy koniec składziku. Odsunął jakiś karton i ujrzał za nim kolejny - pudełko po purinie Ralstona. Znad tekturowej ścianki wyglądała para szklanych orzechowych oczu. Ich widok przestraszył go, toteż na moment odskoczył z walącym sercem, jakby odkrył śmiertelnie groźnego pigmeja. Później jednak dostrzegł ich milczenie, martwy połysk, i pojął, że to jakaś zabawka. Ponownie ruszył naprzód i ostrożnie wyjął ją z pudła.

Uśmiechała się do niego w żółtym świetle, szczerząc zęby i unosząc wysoko talerze.

Zachwycony Hal zaczął obracać ją w dłoniach. Jego palce muskały kędzierzawe futro. Podobał mu się zabawny uśmiech małpy. Ale czy nie było w niej jeszcze czegoś? Czy nie poczuł niemal instynktownej niechęci, która pojawiła się i zniknęła, zanim uświadomił sobie, co czuje?

Możliwe, lecz przy tak starych wspomnieniach trzeba bardzo uważać, by nie uwierzyć w zbyt wiele. Stare wspomnienia mogą kłamać... ale czyż nie dostrzegł tego samego grymasu na twarzy Peteya na strychu w rodzinnym domu?

Zauważył kluczyk, wetknięty w zwężenie pleców, i przekręcił go. Klucz obracał się stanowczo zbyt łatwo. Nie towarzyszyły mu trzaski zapadek. A zatem zepsuta. Zepsuta, ale wciąż fajna. Zabrał ją, żeby się pobawić.

- Co tam masz, Hal? - spytała Beulah, budząc się z drzemki.

- Nic - odparł Hal. - Znalazłem to.

Postawił małpę na półce po swej stronie w sypialni. Spoczęła na stercie książeczek do kolorowania z Lassie, uśmiechając się szeroko, patrząc w dal, unosząc talerze. Była zepsuta, ale i tak się uśmiechała. Tej nocy Hal przebudził się z niespokojnego snu z pełnym pęcherzem i wstał, by skorzystać z łazienki w korytarzu. Po drugiej stronie pokoju Bill spał jak kamień pod kołdrą. Hal wrócił. Już prawie zasypiał, gdy nagle w ciemności małpa zaczęła uderzać talerzami.

Dżang-dżang-dżang-dżang.

Natychmiast obudził się, jakby ktoś uderzył go w twarz zimnym, mokrym ręcznikiem. Jego serce szarpnęło się gwałtownie, z gardła uleciał cichy mysi pisk. Szeroko otwierając oczy, patrzył na małpę. Jego wargi drżały.

Dżang-dżang-dżang-dżang.

Jej ciało kołysało się i podskakiwało na półce. Wargi otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały w grymasie potwornej radości, ukazując wielkie, drapieżne zębiska.

- Przestań - szepnął Hal.

Brat obrócił się na drugi bok i chrapnął. Poza tym wszystko było ciche... prócz małpy. Talerze uderzały o siebie z brzękiem; ich dźwięk z pewnością obudzi brata, matkę, cały świat. Zbudziłby nawet umarłych.

Dżang-dżang-dżang-dżang.

Hal ruszył ku niej. Zamierzał ją jakoś uciszyć, może wsunąć dłoń pomiędzy talerze, póki mechanizm się nie rozkręci, gdy małpa sama się zatrzymała. Talerze złączyły się po raz ostatni - dżang! - a potem powoli powróciły do swej pierwotnej pozycji. Mosiądz połyskiwał wśród cieni. Brudne, żółtawe zęby małpy szczyrzyły się w uśmiechu.

W domu znów panowała cisza. Matka odwróciła się w łóżku i - podobnie jak wcześniej Bill - zachrapała. Hal także się położył i naciągnął kołdrę na głowę. Serce waliło mu jak młotem. Jutro odłóż ją do składowiska, pomyślał. Nie chcę jej.

Lecz następnego ranka zupełnie zapomniał o odłożeniu małpy, bo matka nie poszła do pracy.

Beulah nie żyła. Matka nie chciała im powiedzieć, co się właściwie stało.

- To był wypadek. Straszliwy wypadek - rzekła jedynie.

Lecz tego popołudnia Bill w drodze do domu ze szkoły kupił gazetę i przemycił pod koszulą do sypialni czwartą stronę. Gdy matka gotowała kolację w kuchni, zacinając się przeczytał Halowi artykuł. Lecz Hal sam potrafił odczytać nagłówek - DWIE OFIARY DOMOWEJ

STRZELANINY. Beulah McCaffery, lat dziewiętnaście, i Sally Tremont, lat dwadzieścia, zostały zastrzelone przez chłopaka panny McCaffery, Leonarda White'a, lat dwadzieścia pięć, po sprzeczce, kto ma wyjść i przynieść zamówiony chiński posiłek. Panna Tremont umarła na izbie przyjęć w Hartford. Beulah McCaffery zginęła na miejscu.

Zupełnie jakby Beulah zniknęła, przeniosła się do jednego ze swoich pism detektywistycznych, pomyślał Hal Shelburn i poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po kręgosłupie i okraża serce. A potem uświadomił sobie, iż do strzelaniny doszło mniej więcej w czasie, gdy małpa...

- Hal? - Senny głos Terry. - Idziesz do łóżka?

Wypluł pastę do umywalki i przepłukał usta.

- Tak - rzekł.

Wcześniej schował małpę do walizki i zamknął na klucz. Za dwa, trzy dni wracali do Teksasu. Zanim to jednak nastąpi, pozbędzie się tego paskudztwa. Raz na zawsze. Zrobi to. Jakoś.

- Po południu ostro naskoczyłeś na Dennisa - powiedziała w mroku Terry.

- Myślę, że Dennis od dawna potrzebował, by ktoś na niego naskoczył. Zagubił się. Nie chcę, by zaczął się staczać.

- Z punktu widzenia psychologii, zbiecie chłopca nie jest zbyt efektywną...

- Na miłość boską, Terry, ja go nie zbiłem!

- ...metodą narzucania władzy rodzicielskiej...

- Skończ z tym terapeutycznym żargonem! - rzucił gniewnie Hal.

- Widzę, że nie chcesz o tym rozmawiać. - Jej głos był zimny.

- Kazałem mu też pozbyć się z domu prochów.

- Naprawdę? - Niedowierzenie i obawa. - Jak to przyjął? Co powiedział?

- Daj spokój, Terry! Co miał powiedzieć? Jesteś zwolniony?

- Hal, co się z tobą dzieje? Zwykle taki nie jesteś - co się stało?

- Nic - odparł, myśląc o zamkniętej w walizce małpie. Czy usłyszałyby, gdyby zaczęła uderzać talerzami? Tak, z pewnością. Stłumiony, lecz wyraźny dźwięk. Odgłosy zguby dla kogoś, jak wcześniej dla Beulah, Johnny'ego McCabe'a, Stokrotki, suczki wujka Willa. Dżang-dżang-dżang-dżang. Czy to ty, Hal? - Ostatnio mam wiele na głowie.

- Mam nadzieję, że to minie, bo nie podobasz mi się taki.
- Nie? - Następne słowa wymknęły mu się, zanim zdążył je powstrzymać: tak naprawdę jednak, wcale nie chciał ich powstrzymać. - Więc łyknij sobie valium i wszystko znów będzie dobrze. Usłyszał, jak głośno wciągnęła powietrze i wypuściła je z drzeniem. Zaczęła płakać. Mógł ją pocieszyć (może), lecz nie znajdował w sobie słów pociechy. Wyparła je groza. Kiedy mała zniknie, wszystko będzie lepiej. Jeśli zniknie na dobre. Proszę cię, Boże, na dobre. Leżał w ciemnościach, nie śpiąc, póki szarość poranka nie rozjaśniła mroku. Wiedział, co musi zrobić.

Za drugim razem to Bill znalazł małą.

Było to niespełna półtora roku po tym, jak Beulah McCaffery Zginęła na Miejscu. Nadeszło lato. Hal właśnie skończył przedszkole.

Wrócił do domu z podwórka i matka zawołała.

- Senior, umyj ręce. Jesteś brudny jak świnka. - Siedziała na werandzie, sącząc mrożoną herbatę i czytając książkę. Była na urlopie: dostała dwa tygodnie.

Hal przesunął pobieżnie ręce pod strumieniem zimnej wody i odcisnął na ręczniku brudną pieczęć.

- Gdzie jest Bill?

- Na górze.

- Powiedz mu, że ma posprzątać swoją część sypialni. Straszny tam bałagan.

Hal, który uwielbiał przynosić podobne nieprzyjemne wieści, pobiegł na górę. Billy siedział na podłodze. Małe magiczne drzwiczki wiodące do składziku były uchylone. W rękach trzymał małą.

- Jest zepsuta - powiedział natychmiast Hal.

Czuł lęk, choć ledwie pamiętał, jak owej nocy wrócił z łazienki, by ujrzeć małą grającą na talerzach. Jakiś tydzień później nawiedził go zły sen, o małej i Beulah - nie pamiętał dokładnie jaki - i Hal obudził się z krzykiem. Przez moment sądził, iż miękki ciężar na jego piersi to mała, że otworzy oczy i ujrzy jej szydery uśmiech. Lecz, oczywiście, miękkim ciężarem okazała się tylko poduszka, którą przycisnął do siebie w panice. Po chwili zjawiała się matka, niosła szklankę wody i dwie biało-pomarańczowe dziecięce aspiryny, owe valium na smutki najmłodszych. Sądziła, iż to śmierć Beulah wywołała koszmary. Owszem. Ale nie takie, jak myślała.

Teraz ledwie już to pamiętał, ale mała wciąż go przerażała. Zwłaszcza jej talerze i zęby.

- Wiem. - Bill rzucił małą na bok. - Jest głupia. - Zabawka wylądowała na jego łóżku, patrząc w sufit i unosząc talerze. Halowi nie spodobał się ten widok. - Chcesz pójść do Teddy'ego na mrożony sok?

- Już wydałem kieszonkowe - odparł Hal. - Poza tym mama kazała ci posprzątać twoją część pokoju.

- Mogę to zrobić później. Jeśli chcesz, pożyczę ci piąta. - Bill nie miał nic przeciw temu, by od czasu do czasu wyciąć Halowi kawał. Czasem też podstawił mu nogę albo szczypał bez powodu, najczęściej jednak był w porządku.

- Jasne - odparł Hal z wdzięcznością. - Schowam tylko najpierw tę zepsutą małą do składziku. Zgoda?

- Nie - rzucił Bill i wstał. - Cho-cho-cho-chodźmy. Hal poszedł. Nastroje Billa często się zmieniały i gdyby zwlekał, marnując czas na chowanie mały, mógłby stracić ulubiony przysmak. Poszli do Teddy'ego i kupili mrożony sok na patykach, i to nie taki zwykły, lecz istną gratkę - jagodowy. Następnie pomaszerowali na boisko: grupka dzieciaków organizowała właśnie mecz w bejsbola. Hal był za mały, by grać; usiadł daleko na spalonym, liżąc mrożony sok na patyku, i

zajął się łapaniem tego, co więksi chłopcy nazywali "chińskimi odbiciami". Do domu wrócili tuż przed zmrokiem. Matka trzepnęła Hala za to, że zabrudził ręcznik, i Billa za to, że nie posprzątał swej części pokoju. A po kolacji oglądali telewizję i przez ten czas Hal zupełnie zapomniał o małpie. W jakiś sposób powędrowała na półkę Billa, gdzie stała tuż obok zdjęcia Billa Boyda z autografem. I została tam prawie dwa lata.

Gdy Hal skończył siedem lat, opiekunki stały się kosztownym kaprysem i codzienne pożegnalne słowa pani Shelburn brzmiały: "Bill, zaopiekuj się bratem".

Tego dnia jednak Bill musiał zostać po szkole i Hal wrócił do domu sam, przystając na każdym rogu tak długo, aż upewnił się, że z żadnej strony nie nadjeżdża samochód, a potem pędząc na drugą stronę, przygarbiony niczym żołnierz piechoty, przekraczający ziemię niczyją. Otworzył drzwi kluczem spod wycieraczki i natychmiast skierował się do lodówki po mleko. Wyjął butelkę, która nagle wymknęła mu się z palców i roztrzaskała na kawałeczki; wszędzie wokół posypały się odłamki szkła.

Dżang-dżang-dżang-dżang. Z sypialni na górze. Dżang-dżang-dżang-dżang. Cześć, Hal! Witaj w domu! A przy okazji, Hal, czy to ty? Czy to twoja kolei? Czy dziś Zginiesz na Miejscu?

Stał tam bez ruchu, patrząc na stłuczoną butelkę i kałużę mleka. Przepelniała go groza, której nie potrafił pojąć ani nazwać. Po prostu ją czuł. Zdawała się wylewać wszystkimi porami skóry.

Odwrócił się i śmignął po schodach. Małpa stała na półce Billa; zdawało się, że na niego patrzy.

Zrzuciła zdjęcie Billa Boyda z autografem, twarzą w dół, na łóżko. Małpa kołysała się i uśmiechała, i uderzała w talerze. Hal podszedł do niej powoli. Nie chciał się zbliżyć, lecz nie mógł stać z boku. Talerze odskoczyły i zderzyły się gwałtownie, po czym znów odskoczyły. Zbliżając się, usłyszał tykanie mechanizmu we wnętrzościach zabawki.

Nagle z okrzykiem grozy i wstrętu machnął ręką i zrzucił ją z półki jak natrętnego owada. Małpa odbiła się od poduszki Billa i runęła na podłogę, wciąż uderzając w talerze: dżang-dżang-dżang.

Jej wargi rozciągały się, gdy tak leżała na plecach w plamie późnokwietniowego słońca.

Kopnął ją z całych sił i tym razem w jego krzyku zabrzmiała wściekłość. Nakręcana małpa szurnęła po podłodze, odbiła się od ściany i legła bez ruchu. Hal stał, patrząc na nią. Zaciskał pięści, serce mu waliło. Małpa uśmiechała się wyzywająco. Słońce płonęło oślepiająco w jednym szklanym oku. Możesz mnie kopać, ile chcesz, zdawała się mówić. Jestem tylko zbieraniną sprężyn, zębatek i paru zużytych przekładni. Kop mnie, jeśli masz ochotę. Nie jestem prawdziwa. Jestem tylko zabawną, nakręcaną małpą. A kto nie żyje? W fabryce helikopterów doszło do wybuchu. I co wzląduje w niebo niczym wielka, krwawa kula do gry w kręgle, z oczami w miejscu, gdzie powinny być otwory na palce? Czy to głowa twojej mamy, Hal? Łaaa! Cóż za szalona przejażdżka! A może na rogu Brook Street? Uważaj, koleś! Samochód jechał za szybko! Kierowca był pijany! I mamy jednego Billa mniej na świecie! Słyszałeś chrzęst, gdy koła miażdżyły mu czaszkę, a mózg wypływał uszami? Tak? Nie? Może? Mnie nie pytaj. Ja nie wiem. Nie mam skąd wiedzieć. Umiem tylko uderzać talerzami. Dżang-dżang-dżang. Kto Zginął na Miejscu, Hal? Twój brat? A może to ty, Hal? Może to ty?

Skoczył ku niej, zamierzając ją rozdeptać, zmiażdżyć, skakać po niej, póki sprężyny i kółka nie rozsypią się po pokoju, a straszliwe szklane oczy nie potoczą się po podłodze. Lecz w chwili gdy do niej dotarł, talerze zderzyły się po raz ostatni, bardzo cicho... (dżang). Gdzieś wewnątrz sprężyna poruszyła się leciutko i lodowata drzazga przeniknęła ścianę jego serca, unieruchamiając je, wyciszając wściekłość i pozostawiając jedynie dławiącą grozę. Zdawało się, że małpa wie - jakże szyderczo się uśmiechała!

Podniósł ją, chwytając jedną z jej rąk między kciuk i palec wskazujący prawej ręki. Jego usta wygięły się z odrazą, jakby trzymał w dłoni trupa. Dotknięcie parszywego, sztucznego futra zdawało się parzyć skórę. Niezgrabnie otworzył małe drzwiczki, prowadzące do składziku, i

włączył światło. Małpa szczyrzyła zęby, podczas gdy Hal czołgał się wzdłuż długiego pomieszczenia pomiędzy stosami pudeł i kartonów, mijając komplet ksiąg nawigacyjnych i albumy ze zdjęciami, roztaczające wokół siebie woń starych środków chemicznych, pamiątek i znoszonych ubrań. Jeśli znów uderzy w talerze, pomyślał, i ruszy się w mojej dłoni, zacznę krzyczeć. A jeśli krzyknę, nie będzie się tylko uśmiechała. Zacznie się śmiać, wyśmiewać ze mnie. A wtedy oszaleję i znajdą mnie tutaj zaślinionego i chichoczącego obłąkańczo. Będę wariatem. Proszę, dobry Boże. Proszę, Jezu. Nie pozwól mi oszaleć...

Wreszcie dotarł do końca. Gwałtownie odsunął dwa kartony, rozsypując zawartość jednego z nich, i wepchnął małpę w najdalszy kąt, z powrotem do pudła po purinie. Leżała tam wygodnie, jakby w końcu wróciła do domu, unosząc talerze i uśmiechając się szyderczo; wyraźnie z niego drwiła. Hal odczołgał się tyłem, zalewany na przemian gorącym i zimnym potem. Ogień i lód. Czekał, aż talerze zaczną dzwonić, a kiedy zaczną, małpa wyskoczy z pudełka i śmignie ku niemu niczym żuk, z chrzęstem sprężyn i szaleńczym brzękiem talerzy, i...

...i nic się nie stało. Wyłączył światło. Zatrzasnął małe, królicze drzwi i oparł się o nie, dysząc. Po chwili poczuł się nieco lepiej. Na miękkich nogach wrócił na dół, wyjął świeży worek i zaczął starannie zbierać szklane drzazgi i odłamki, pozostałości stłuczonej butelki. Zastanawiał się, czy skaleczy się i wykrwawi na śmierć. Czy to właśnie oznaczało dzwonienie talerzy? Lecz to także się nie wydarzyło. Przyniósł ścierkę, starł mleko i usiadł, czekając, aż matka i brat wrócą do domu.

Matka zjawiła się pierwsza, pytając: gdzie Bill?

Niskim, bezbarwnym głosem, pewien, że Bill z pewnością Zginął już na jakimś Miejscu, Hal zaczął opowiadać o spotkaniu kółka teatralnego, doskonale wiedząc, że nawet jeśli trwało ono bardzo długo, Bill powinien był zjawić się w domu pół godziny temu.

Matka spojrzała na niego dziwnie. Zaczęła pytać, co się stało, gdy nagle drzwi otwarły się i stanął w nich Bill - tyle że nie był to Bill, lecz jedynie jego zjawa, blada i milcząca.

- Co się stało?! - wykrzyknęła pani Shelburn. - Bill, co się stało?

Bill rozplakał się i przez łzy wykrztusił całą historię. Razem z przyjacielem Charliem Silvermanem wracali do domu po spotkaniu, kiedy z zza rogu Brook Street wynurzył się jadący zbyt szybko samochód i Charlie zamarł. Bill pociągnął go za rękę, ale rozluźnił uchwyt i samochód...

Bill zaczął zawodzić w głos, szlochając histerycznie. Matka przytuliła go i ukołysała, a Hal wyjrzał na werandę. Ujrzał dwóch policjantów. Wóz patrolowy, którym dostarczyli Billa do domu, wciąż stał przy krawężniku. Wówczas sam zaczął płakać... lecz były to łzy ulgi.

Teraz to Billa dręczyły koszmary - sny, w których wciąż od nowa oglądał śmierć Charliego Silvermana, wyrzuconego z kowbojskich butów i ciśniętego na rdzawą maskę hudsona horneta, którym kierował pijak. Głowa Charliego Silvermana i przednia szyba hudsona zderzyły się z ogromną siłą. Obie się roztrzaskały. Pijany kierowca, właściciel sklepu ze słodyczami w Milford, tuż po aresztowaniu dostał ataku serca (może sprawił to widok mózgu Charliego Silvermana, zasychającego na jego spodniach). Podczas procesu jego adwokat z powodzeniem użył argumentu: "Ten człowiek został już dostatecznie ukarany". Pijak dostał sześćdziesiąt dni w zawieszeniu i na pięć lat odebrano mu prawo prowadzenia pojazdów silnikowych w stanie Connecticut. Pięć lat. Mniej więcej tyle trwały koszmary Billa Shelburna. Małpa znów trafiła do składziku. Bill nawet nie zauważył, że zniknęła z jego półki. A jeśli zauważył, nigdy o tym nie wspomniał.

Jakiś czas Hal czuł się bezpieczny. Zaczynał powoli zapominać o małpie, czy też wierzyć, że była ona jedynie złym snem. Kiedy jednak wrócił do domu, po południu w dniu, gdy umarła jego matka, małpa znów siedziała na półce, unosząc talerze i uśmiechając się szyderczo.

Podszedł do niej powoli, niemal wbrew sobie - jakby jego własne ciało na widok małpy zmieniło się w nakręcaną zabawkę. Ujrzał, jak jego ręka sięga ku niej. Poczuł własną dłoń zaciskającą się na kędzierzawym futrze. Lecz uczucie to było odległe, stłumione, jedynie nacisk, jakby ktoś dał mu zastrzyk nowokainy. Słyszał własny oddech, szybki, suchy niczym szelest wiatru wśród słomy.

Odwrócił ją. Chwycił klucz - i wiele lat później myślał często, że jego tępa fascynacja przypominała zachowanie człowieka, który przykładła do zamkniętego, drżącego oka lufę sześciostrzałowca z jednym nabojem i pociąga spust.

Nie. Nie. Zostaw ją. Wyrzuć. Nie dotykaj jej...

Przekręcił klucz i usłyszał w ciszy serię cichych kliknięć nakręcanego mechanizmu. Gdy go puścił, małpa zaczęła uderzać w talerze. Czuł, jak jej ciało szarpie się, zgina i szarpie, zgina i szarpie, jakby żyła; ona żyła, wiła się w jego dłoni niczym ohydny karzeł, a wibracji, które czuł przez łysiejące brązowe futro, nie wywoływały obracające się kółka i sprężyny, lecz bicie małego serca.

Hal z głośnym jękiem upuścił małpę i cofnął się. Przycisnął dłonie do ust. Paznokcie wbiły mu się w skórę pod oczami. Potknął się o coś i niemal stracił równowagę (wówczas wylądowałby na podłodze tuż obok niej, jego wybałuszone błękitne oczy spjrzałyby prosto w szklane orzechowe źrenice). Wycofał się do wyjścia, przekroczył próg, zatrzasnął drzwi i oparł się o nie. Nagle śmignął do łazienki i zwymiotował.

To pani Stukey z fabryki helikopterów przyniosła im wiadomość i została z nimi przez dwie pierwsze, niekończące się noce, póki ciotka Ida nie przybyła z Maine. Ich matka zmarła na zator mózgu wczesnym popołudniem. Stała właśnie przy dystrybutorze z kubkiem wody w ręku, gdy zgięła się, jakby ktoś ją postrzelił, i upadła, wciąż ściskając w dłoni papierowy kubeczek. Drugą ręką usiłowała chwycić dystrybutor i pociągnęła za sobą wielką szklaną butlę wody Poland. Butla rozbiła się... lecz lekarz zakładowy, który zjawił się biegiem, powiedział później, iż według niego pani Shelburn zmarła, nim woda zdążyła wsiąknąć w jej sukienkę i zmoczyć skórę. Chłopcom nigdy o tym nie mówiono, ale Hal i tak wiedział. Podczas długich nocy po śmierci matki wciąż o tym śnił. "Ciągłe masz kłopoty ze snem, braciszku?" - spytał Bill; Hal przypuszczał, iż według Billa wszystkie koszmary i przewracanie się na łóżku wiązały się z nagłą śmiercią matki, i miał rację... lecz tylko częściowo. Bo było jeszcze poczucie winy. Absolutna, złowroga pewność, że zabił swą matkę, nakręcając małpę owego słonecznego popołudnia po szkole.

Kiedy Hal w końcu zasnął, spał głęboko. Obudził się tuż przed południem. Petey siedział na krześle po drugiej stronie pokoju, metodycznie zjadając cząstki pomarańczy i oglądając jakiś teleturniej.

Hal usiadł na łóżku. Czuł się, jakby ktoś uśpił go, zadając ogłuszający cios, a potem drugim ciosem ocucił. Ból pulsował mu w skroniach.

- Gdzie twoja mama, Petey? Chłopiec rozejrzał się.

- Poszła z Dennisem na zakupy. Ja powiedziałem, że zostanę z tobą. Tato, czy zawsze mówisz przez sen?

Hal zmierzył syna czujnym spojrzeniem.

- Nie. Co mówiłem?

- Nic nie mogłem zrozumieć. Trochę mnie wystraszyłeś.

- Ale teraz jestem już przy zdrowych zmysłach. - Zmusił się do słabego uśmiechu. W odpowiedzi Petey uśmiechnął się szeroko, i Hal znów poczuł, jak ogarnia go miłość do syna, jasna, prosta, silna i nieskomplikowana. Zastanawiał się, czemu Petey budzi w nim zawsze podobne uczucie, czemu ma wrażenie, że rozumie Peteya i wie, jak mu pomóc, gdy tymczasem Dennis pozostaje

oknem zbyt ciemnym, by przeniknąć je wzrokiem, tajemnicą o osobliwych zwyczajach i pomysłach, chłopakiem z typu, którego Hal nie umie zrozumieć, bo sam nigdy nie był tym typem chłopaka. To zbyt proste twierdzić, że przewodniczka do Kalifornii odmieniła Dennisa, czy że... Jego myśli zamarły w biegu. Małpa. Stała na parapecie, unosząc talerze. Poczul, jak serce zastyga mu w piersi, po czym podrywa się do galopu. Świat przed oczami zawirował, lekki ból głowy przerodził się w nieznośne świdrowanie.

Uciekła z walizki i stała na parapecie, uśmiechając się do niego. Myślałeś, że się mnie pozbyłeś, co? Ale kiedyś już tak sądziłeś, prawda?

Tak, odparł słabo w myślach. Tak sądziłem.

- Petey, czy wyjąłeś małpę z mojej walizki? - spytał, choć z góry znał odpowiedź. Zamknął przecież walizkę i schował klucz do kieszeni płaszcza.

Petey zerknął na małpę i coś dziwnego - Halowi wydało się, że niepokój - przemknęło po jego twarzy.

- Nie - odparł. - To mama ją tam położyła.

- Mama?

- Tak. Zabrała ci ją. Śmiała się.

- Zabrała mi ją? O czym ty mówisz?

- Miała ją w łóżku. Właśnie myłem zęby, ale Dennis widział. Mówił, że wyglądasz jak dziecko z pluszowym misiem.

Spojrzał na małpę. W ustach zaschło mu tak, że nie mógł przełknąć śliny. Leżała z nim w łóżku?

W łóżku? To ohydne futro dotykało mu policzka, może nawet ust, złośliwe oczy obserwowały uśpioną twarz, zęby szczyrzyły się blisko szyi? Na szyi? Dobry Boże!

Odwrócił się gwałtownie i zajrzał do szafy. Walizka wciąż tam stała, nadal zamknięta. Kluczyk ciągle tkwił w kieszeni płaszcza.

Za jego plecami telewizor nagle umilkł. Hal powoli zamknął szafę. Petey patrzył na niego z powagą.

- Tato, nie lubię tej małpy - oświadczył tak cicho, że niemal niesłyszalnie.

- Ja też nie - odparł Hal.

Petey przyjrzał mu się uważnie, jakby sprawdzał, czy ojciec nie żartuje. Przekonawszy się, iż mówi serio, podszedł i objął go z całych sił. Hal odkrył, że syn drży.

I wtedy Petey zaczął szeptać mu do ucha, bardzo szybko, jakby się bał, że nie starczy mu odwagi, by to powtórzyć... albo że małpa mogłaby podsłuchać.

- Zupełnie jakby na mnie patrzyła. Patrzy na mnie, nieważne, gdzie jestem. A kiedy przechodzę do drugiego pokoju, ona patrzy przez ścianę. Mam wrażenie, jakby... jakby czegoś ode mnie chciała.

Chłopiec zadrżał. Hal ścisnął go mocno.

- Jakby chciała, żebyś ją nakręcił - dokończył. Petey przytaknął gwałtownie.

- Tak naprawdę nie jest zepsuta, tato?

- Czasami jest. - Hal ponad ramieniem syna zerknął na małpę. - Ale czasem działa.

- Wciąż miałem ochotę podejść tam i ją nakręcić. Było tak cicho, że pomyślałem: Nie mogę, obudzę tatę, ale ciągle tego chciałem, i podszedłem, i... dotknąłem jej; nienawidzę jej dotyku... ale jednocześnie podobał mi się... zupełnie jakby mówiła: Nakręć mnie, Petey, pobawimy się, ojciec się nie obudzi, już nigdy się nie obudzi, nakręć mnie, nakręć... Chłopiec wybuchnął płaczem.

- Ona jest zła, ja to wiem. Coś jest z nią nie tak. Nie mogliśmy jej wyrzucić, tato? Proszę?

Małpa szczyrzyła do Hala zęby w niekończącym się uśmiechu. Czuł na skórze łzy syna. Mosiężne talerze lśniły w przedpołudniowym słońcu - światło odbijało się od nich i rzucało złociste smugi na biały stiukowy sufit.

- Czy mama mówiła, o której wrócą z Dennisem?

- Koło pierwszej. - Petey otarł zaczerwienione oczy rękawem koszuli, wyraźnie zawstydzony swoim płaczem. Nadal jednak nie patrzył na małpę. - Włączyłem telewizor - szepnął. - Nastawiłem bardzo głośno.

- Bardzo dobrze, Petey.

Jak by się to stało? - zastanawiał się Hal. - Atak serca? Zator, jak u matki? Jak? A zresztą to przecież nieważne.

A potem druga, przejmująca chłodem myśl: Pozbądź się jej. Tak powiedział. Wyrzuć ją. Ale czy można się jej pozbyć? Czy to się kiedyś uda?

Małpa uśmiechała się szyderczo, unosząc oddalone o kilkanaście centymetrów talerze. Czy ożyła nagle tamtej nocy, gdy umarła ciotka Ida? Czy ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszała, było stłumione dżang-dżang-dżang małpich talerzy, bijących o siebie w ciemnościach strychu, podczas gdy wiatr gwizdał w rynnie?

- Może to jednak nie wariactwo - powiedział wolno. - Petey, idź, przynieś torbę lotniczą.

Syn spojrział na niego niepewnie.

- Co zrobimy?

Może jednak zdołamy się jej pozbyć. Jeśli nie na zawsze, to na jakiś czas - dłuższy bądź krótszy. Możliwe, że wciąż będzie wracała, bez końca... ale może zdołam - zdołamy - pożegnać się z nią na długo. Tym razem powrót zabrał jej dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat wyłaziła ze studni...

- Wybierzemy się na wycieczkę - oznajmił. Był całkiem spokojny, lecz wewnątrz czuł się dziwnie ociężały. Miał wrażenie, że nawet jego oczy przybrały na wadze. - Ale najpierw weź torbę, idź na koniec parkingu i poszukaj trzech-czterech sporych kamieni. Włóż je do torby i przynieś tutaj.

Zrozumiałeś?

Oczy Peteya zalsniły.

- Dobrze, tato.

Hal zerknął na zegarek. Dochodziła 12.15.

- Pospiesz się. Chcę wyjechać, zanim wróci twoja matka.

- Dokąd jedziemy?

- Do wuja Willa i ciotki Idy - odparł Hal. - Do domu.

Hal poszedł do łazienki, zajrzał za muszlę i wyciągnął leżącą tam szczotkę do czyszczenia toalet. Zaniósł ją do okna i przystanął, trzymając szczotkę w dłoni niczym wysadzaną klejnotami magiczną różdżkę. Obserwował Peteya w grubej wełnianej koszulokurtce, maszerującego przez parking z torbą lotniczą na ramieniu; nawet z daleka mógł wyraźnie odczytać napis DELTA, drukowany białymi literami na niebieskim tle. W górnym rogu okna bzycała mucha, powolna i otepiała od chłódów zwiastujących koniec lata. Hal wiedział, jak się czuje.

Patrzył, jak Petey wyszukuje trzy spore kamienie i rusza z powrotem przez parking. Zza rogu motelu wyłonił się samochód, samochód jadący zbyt szybko, stanowczo zbyt szybko i Hal bez namysłu, z reflekssem godnym pierwszorzędnego futbolisty wyciągnął prawą rękę, wciąż trzymającą szczotkę. Dłoń opadła niczym w ciosie karate... i zamarła.

Talerze zamknęły się na niej bezszelestnie i poczuł w powietrzu coś nowego. Coś jakby wściekłość.

Hamulce samochodu zapiszczały ogłuszająco. Petey odskoczył do tyłu. Kierowca niecierpliwie machnął na niego, jakby to, co omal się nie wydarzyło, było winą Peteya, i chłopiec puścił się pędem przez parking. Łopocząc kołnierzem, dotarł do tylnego wyjścia hotelu.

Po piersi Hala spływał pot. Czuł go na czole niczym krople tłustego deszczu. Zimne talerze zaciskały się na jego dłoni, zaczynał tracić w niej czucie.

No dalej, pomyślał z ponurą zawziętością. Dalej, mogę poczekać. Jeśli trzeba, nawet do końca świata.

Talerze rozsunęły się i znieruchomiały. Hal usłyszał dobiegające z wnętrza małpy słabe kliknięcia. Cofnął rękę ze szczotką i obejrzał ją. Część białych szczecinek poczerniała jak przypalona.

Mucha wciąż bzyczała, dążąc niestrudzenie do zimnego październikowego słońca, które zdawało się takie bliskie.

Petey wpadł do środka zdyszany, z zaróżowionymi policzkami.

- Przyniosłem trzy pierwszorzędne kamienie, tato. Ja...

- urwał. - Wszystko w porządku?

- Jasne - odparł Hal. - Daj mi torbę.

Zahaczył stopą stół i przeciągnął go na miejsce obok kanapy przy oknie, tak by stanął pod parapetem. Położył na nim torbę lotniczą, która otworzyła się niczym złaknione usta. Widział połyskujące wewnątrz kamienie Peteya. Szczotką toaletową zaczepił małpę i pociągnął. Przez moment zabawka zakołysała się, a potem wpadła do torby. Ze środka rozległo się cichutkie dżang!; to jeden z talerzy trafił w kamień.

- Tato? Tatusiu! - W głosie Peteya zabrzmiał lęk. Hal obejrzał się na niego. Coś się zmieniło; coś było inaczej. Ale co?

I wówczas dostrzegł kierunek spojrzeń Peteya i już wiedział: Bzyczenie muchy ucichło. Owad leżał martwy na parapecie.

- Czy małpa to zrobiła? - wyszeptał Petey.

- Chodź. - Hal zaciągnął suwak torby. - Opowiem ci w drodze do domu.

- Jak pojedziemy? Mama i Dennis zabrali samochód.

- Nie martw się. - Hal zwichrzył włosy Peteya.

Pokazał recepcjoniście prawo jazdy i banknot dwudziestodolarowy. Pobrawszy w zastaw cyfrowy zegarek Hala z Texas Instruments, recepcjonista wręczył mu klucze do swego samochodu - sponiewieranego AMC gremlina. Gdy ruszyli trasą 302 w stronę Casco, Hal zaczął mówić, z początku z wahaniem, potem nieco szybciej. Najpierw opowiedział Peteyowi, że najprawdopodobniej to jego ojciec przywiózł małpę z zagranicy w prezencie dla swoich synów. Nie była to zbyt wyjątkowa zabawka - nie miała w sobie nic osobliwego ani cennego. Na tym świecie muszą istnieć setki tysięcy nakręcanych małp, część z nich pochodzi z Hongkongu, inne z Tajwanu, jeszcze inne z Korei. Lecz gdzieś po drodze - może nawet w mrocznym składziku domu w Connecticut, gdzie obaj chłopcy rozpoczynali swoje dorastanie - coś się z nią stało. Coś złego. Możliwe, powiedział Hal, próbując przekonać wóz recepcjonisty, by przyspieszył do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę - że jakieś złe rzeczy - nawet najgorsze - tak naprawdę nie są świadome tego, czym się stały. Na tym zakończył temat, bo Petey i tak więcej by nie zrozumiał, lecz jego umysł wędrował utartym szlakiem. Pomyślał, iż zło mogło w istocie często przypominać małpę, pełną sprężyn i zębatek; przekręcasz kluczyk, mechanizm się obraca, talerze uderzają o siebie, szyderczy uśmiech, głupie szklane roześmiane oczy... a może tylko wydają się roześmiane...

Opowiedział Peteyowi o tym, jak znalazł małpę i niewiele więcej - nie chciał dodatkowo przerażać i tak wystraszonego chłopca. Ucierpiała na tym opowieść - stała się chaotyczna i niejasna, ale Petey nie zadawał pytań; może sam uzupełniał braki, pomyślał Hal, tak samo jak on wciąż na nowo śnił o śmierci matki, choć przecież nie było go przy tym.

Wuj Will i ciocia Ida przyjechali na pogrzeb. Potem wuj Will wrócił do Maine - właśnie zaczęły się żniwa - a ciocia Ida została z chłopcami dwa tygodnie, by uporządkować sprawę siostry przed

przeprowadzką do Maine. Przede wszystkim jednak wykorzystała ten czas, przyzwyczajając ich do własnej osoby - byli tak oszołomieni nagłą śmiercią matki, że sprawiali wrażenie otepiałych, sennych. Gdy nie mogli zasnąć, zjawiała się z ciepłym mlekiem; kiedy Hal ocknął się o trzeciej nad ranem dręczony koszmarami (koszmarami, w których matka zbliżała się do dystrybutora, nie dostrzegając małpy unoszącej się i podskakującej w zimnej szafirowej głębinie, uśmiechniętej, walącej w talerze; każde machnięcie rąk pozostawiało za sobą pasmo bąbelków); była przy nim; gdy trzy dni po pogrzebie Bill najpierw dostał gorączki, a potem serii bolesnych zajądów i wreszcie pokrzywki - była przy nim. Oswajała chłopców i nim opuścili Hartford, zmierzając autobusem do Portland, zarówno Bill, jak i Hal przyszli do niej, każdy z osobna, i płakali jej na kolanach, a ona tuliła ich i kołysała. W ten sposób zacieśniały się więzy.

Na dzień przed ostatecznym wyjazdem z Connecticut "w dół, do Maine" (jak to wówczas nazywali) przed domem zjawił się śmieciarz w rozklekotanej ciężarówce i zabrał wielki stos niepotrzebnych rzeczy, które Bill z Halem wynieśli na chodnik ze składziku. Kiedy wystawili już wszystkie śmieci, ciotka Ida poprosiła, by raz jeszcze przejrzeni składzik i wybrali sobie te pamiątki, które bardzo chcieliby zatrzymać. Nie mamy miejsca na wszystko, chłopcy, oznajmiła, i Hal przypuszczał, że Bill poważnie potraktował słowa ciotki Idy i przejrzał wszystkie fascynujące pudła, które ojciec zostawił tam przed swoim zniknięciem. Hal nie dołączył do starszego brata; stracił ochotę do grzebania w składziku. Podczas pierwszych dwóch tygodni żałoby przyszła mu do głowy straszna myśl: może ojciec nie zniknął tak po prostu ani nie uciekł, bo dręczył go niepokój lub odkrył, iż małżeństwo to rzecz nie dla niego.

Może dostała go małpa.

Gdy usłyszał ciężarówkę śmieciarza, z rykiem, hukiem i strzałami z gaźnika zmierzającą w ich stronę, Hal sprężył się, chwycił z półki małpę, która tkwiła tam od dnia śmierci matki (nie ważył się jej dotknąć nawet po to, by znów wsadzić zabawkę do składziku) i zbiegł z nią na dół. Will i ciocia Ida zauważyli go. Na beczce pełnej połamanych pamiątek i zapleśniałych książek tkwił karton po purinie, pełen podobnych śmieci. Hal wepchnął małpę z powrotem do pudła, z którego pochodziła, histerycznie rzucając jej wyzwanie, by zaczęła bić w talerze (no dalej, no dalej, wyzywam cię, wyzywam cię na śmierć i życie!), ale małpa jedynie czekała, nonszalancko opierając się o kartonową ściankę, zupełnie jakby wyglądała autobusu, a jej wargi wciąż wykrzywiały ów okropny, wszechwiedzący uśmiech.

Hal stał obok, drobny chłopiec w starych sztruksach i rozdeptanych trampkach. Patrzył, jak śmieciarz, włoski dzentelmen, który nosił na szyi krzyż i pogwizdywał przez szparę między zębami, zaczyna ładować pudła i beczki na pakę średniowiecznej ciężarówki, otoczoną deskami. Patrzył, jak mężczyzna dźwiga beczkę wraz z balansującym na niej kartonem po purinie; patrzył, jak małpa znika na pace; patrzył, jak śmieciarz wdrapuje się do kabiny, donośnie wydmuchuje nos w rękę, wyciera ją wielką czerwoną chustką i przy akompaniamencie ogłuszającego ryku, w oparach tłustego błękitnego dymu, uruchamia silnik; patrzył, jak ciężarówka odjeżdża coraz dalej i wówczas ogromny ciężar spadł mu z serca - Hal poczuł, jak znika. Dwukrotnie podskoczył, jak najwyżej potrafił, rozrzucając ręce, unosząc je dłońmi do góry, i gdyby któryś z sąsiadów zauważył go, z pewnością uznałby, że to niemal bluźnierstwo - czemu ten chłopak podskakuje z radości (bo o to właśnie chodziło, trudno ukryć podskok z radości), pytaliby niewątpliwie, przecież nie ma jeszcze miesiąca, odkąd pochowaliśmy jego matkę?

Robił to, bo małpa zniknęła, zniknęła na zawsze.

Albo przynajmniej tak sądził.

Niecałe trzy miesiące później ciotka Ida posłała go na strych, aby przyniósł pudła ozdóbek choinkowych i kiedy czołgał się, poszukując odpowiednich kartonów - kurz wgryzał się w kolana spodni - nagle znów stanął z nią twarzą w twarz. Ogarnęło go zdumienie i zgroza tak wielka, że

musiał ugryźć się mocno w dłoń, by nie krzyknąć... albo nie zemdleć. Stała tam, szczerząc zęby, z uniesionymi i gotowymi do gry talerzami, opierając się nonszalancko o ściankę pudła po purinie, jakby czekała na autobus. Zdawało się, że mówi do niego: Myślałeś, że się mnie pozbyłeś, prawda? Ale mnie niełatwo się pozbyć, Hal, Lubię cię, Hal. Zostaliśmy dla siebie stworzeni, chłopiec i jego małpka, para starych kumpli. A gdzieś na południe stąd, głupi stary włoski śmieciarz leży w wannie stojącej na szponiastych nogach, oczy wyłażą mu z głowy, sztuczna szczęka wypada z ust, stary śmieciarz, cuchnący jak wyczerpana bateria. Zatrzymał mnie dla swojego wnuka, Hal, ustawił mnie na półce w łazience razem z mydłem, maszynką i wodą po goleniu, a także radiem Philco, w którym słuchał meczów brooklińskich Dodgersów, a ja zaczęłam grać, jeden z moich talerzy trafił stare radio, które wpadło do wanny, a wówczas ja wróciłam do ciebie, Hal, wędrowałam nocą wiejskimi drogami, o trzeciej nad ranem promienie księżycy odbijały się w moich zębach. Pozostawiłam za sobą wielu ludzi, którzy Zginęli w licznych Miejscach. Przyszłam do ciebie, Hal, jestem twoim prezentem gwiazdkowym, więc nakręć mnie; kto nie żyje? Czy to Bill? Czy to wuj Will? A może ty?

Hal cofnął się z szaleńczo wykrzywioną twarzą. Nie mógł skupić wzroku i schodząc na dół, omal nie upadł. Powiedział ciotki Idzie, że nie udało mu się znaleźć ozdóbek choinkowych - było to jego pierwsze kłamstwo i ciotka zorientowała się po twarzy chłopca, ale dzięki Bogu nie naciskała - a potem gdy Bill wrócił, poprosiła, by on także poszukał. Bill przyniósł ozdóbki. Później, gdy zostali sami, syknął, że Hal to tępak, który mając dwie ręce i latarkę, nie znalazłby nawet własnego tyłka. Hal nie odpowiedział. Siedział błydy i milczący, ledwie rozgrzebał kolację. Tej nocy znów przyśniła mu się małpa; jeden z jej talerzy uderzył o radio Philco, z którego wydobywał się właśnie głos Deana Martina, śpiewającego: "Kiedy księżyc ci w twarz wtem poświeci, wtedy dobrze już wiesz, że to amooooore"; a potem radio wpadło do wanny, a małpa uśmiechała się szyderczo uderzając w talerze, z kolejnym dżang i dżang i dżang; tyle że kiedy przez wodę w wannie przepływał prąd, nie siedział w niej włoski śmieciarz.

Tylko on sam.

Hal i jego syn zbiegli niezgrabnie po zboczach za domem i skierowali się do szopy na łodzi, sterczącej nad wodą na swych starych palach. Hal w prawej ręce trzymał torbę. W gardle mu zaschło, uszy nastawił na odbiór nienaturalnie wysokich tonów. Torba była bardzo ciężka. Odłożył ją na ziemię.

- Nie dotykaj - uprzedził. Zaczął macać w kieszeni w poszukiwaniu kółka kluczy, które dostał od Billa. Jeden z nich opisano starannie SZOPA na kawałku taśmy klejącej.

Dzień był jasny, zimny i wietrzny, niebo miało barwę jaskrawego błękitu. Liście drzew, stłoczonych na brzegu, tuż nad wodą, przybrały wszelkie możliwe jesienne odcienie - od krwistej czerwieni po kanarkową żółć. Rozmawiały ze sobą na wietrze. Wokół adidasów Peteya także tańczyły liście. Hal czuł w powietrzu woń listopada, któremu po piętach depcze zima.

Klucz obrócił się w kłódce i Hal pchnął wahadłowe drzwi. Wspomnienia powróciły; nie musiał nawet patrzeć, by kopnięciem podsunąć podtrzymujący drzwi kłoc drewna. Tu panowała woń lata: płótno, kolorowe drewno, resztki bujnego, zmysłowego ciepła.

Łódź wujka Willa wciąż tam była; leżała ze starannie złożonymi wiosłami, jakby zaledwie wczoraj załadował na nią puszkę z przynętą i dwa sześciopaki piwa Black Label. Bill i Hal wiele razy chodzili na ryby z wujkiem Willem, ale nigdy obaj naraz. Wujek Will utrzymywał, że łódź jest za mała dla trojga. Czerwona farba, którą wujek uzupełniał każdej wiosny, wyblakła i odłaziła całymi płatami; pająki utkały na dziobie misterne sieci.

Hal złapał łódź i pociągnął ją po pochylni na małeńki prostokąt plaży. Wyprawy wędkarskie stanowiły jedno z najprzyjemniejszych przeżyć dzieciństwa, spędzonego w domu wujka Willa i ciotki Idy. Podejrzewał, że Bill myśli tak samo. Wujek Will był zazwyczaj niezwykle

małomówny, kiedy jednak ustawił już łódkę tak, jak lubił, jakieś sześćdziesiąt-siedemdziesiąt metrów od brzegu, gdy zarzucili wędki, a spławiki tańczyły na wodzie, wówczas otwierał dwa piwa - jedno dla siebie, drugie dla Hala (który rzadko wypijał więcej niż pół dozwolonej przez wujka puszkę i zawsze czynił to przy akompaniamencie rytualnych ostrzeżeń, by nigdy nie wspomniał o tym ciotce Idzie, bo "gdyby wiedziała, że daję wam piwo, zastrzełaby mnie jak psa") i rozgadywał się niepomernie. Opowiadał wtedy najróżniejsze historie, odpowiadał na pytania; kiedy trzeba, nakładał nową przynętę na haczyk Hala, a łódź dryfowała swobodnie, unoszona przez wiatr i łagodny prąd.

- Czemu nigdy nie wypływasz na środek, wujku? - spytał pewnego dnia Hal.

- Spójrz tutaj - odparł wujek Will.

Hal posłuchał. Ujrzał błękitną wodę i żyłkę własnej wędki, znikającą w czerni w dole.

- Patrzysz na największą głębokość jeziora Crystal - oznajmił wujek Will, zgniatając w jednej dłoni pustą puszkę po piwie. Drugą ręką sięgnął po następną. - Trzydzieści metrów, bez dwóch zdań. Gdzieś tam leży stary studebaker Amosa Culligana. Kompletny dureń, zabrał go na jezioro w grudniu, kiedy lód nie zdążył jeszcze stwardnieć. Miał szczęście, że wyszedł z tego żywy. Nigdy nie zdołali wyciągnąć jego wozu i nie zobaczą go aż do dnia, gdy zagrają trąby na Sąd Ostateczny. W tym miejscu ten kurwi syn jest najgłębszy, Hal. Tu są największe ryby. Nie ma sensu płynąć dalej. Pokaż, jak wygląda twój robak. Dawaj tu tego kurwiego syna.

Hal posłuchał, i podczas gdy wujek Will wyciągał ze starej puszkę po smarze, która służyła mu za pojemnik z przynętą, świeżego robaka, on zafascynowany wpatrywał się w wodę, próbując wypatrzeć studebakera Amosa Culligana, porzewiałą skorupę, zasnutą wodorostami, które wpływały do środka przez otwarte okno od strony kierowcy (tędy właśnie, absolutnie w ostatniej chwili, Amosowi udało się uciec). Wodorosty oplatały kierownicę niczym gnijący naszyjnik, zwisały z lusterka i kołysały się jak niezwykle żywy różaniec. Widział jednak tylko błękit, przechodzący w czerń, i dżdżownicę owiniętą wokół haczyka wujka Willa, wisząca pośrodku świata w swej własnej rozświetlonej rzeczywistości. W umyśle Hala pojawiła się na moment oszalała wizja - wisiał bezwładnie nad bezdenną otchłanią - i musiał zamknąć oczy, aby pozbyć się nagłego lęku wysokości. Jeśli dobrze pamiętał, tego dnia wypił całą puszkę piwa. ...największa głębokość jeziora Crystal... trzydzieści metrów bez dwóch zdań.

Na moment przystanął, zdyszany, i spojrzał na Peteya, który obserwował go z lękiem.

- Pomóc ci, tato?

- Za minutkę.

Złapał oddech i znów zaczął ciągnąć łódkę przez wąski pas piasku do wody, zostawiając za sobą głęboki ślad. Farba się łuszczyła, ale łódź przechowywano w zamknięciu. Wyglądała solidnie. Kiedy wypływali z wujkiem Willem, wuj przeciągał łódkę po pochylni i plaży, a gdy dziób zanurzył się w wodzie, gramolił się do środka, chwycił wiosło, gotów się odepchnąć, i mówił: "Popchnij mnie, Hal... tak zarobisz na utrzymanie".

- Podaj mi torbę, Petey, a potem popchnij - polecił Hal, i z lekkim uśmiechem dodał: - tak zarobisz na utrzymanie.

Petey nie odpowiedział uśmiechem.

- Ja nie płynę?

- Nie tym razem. Kiedyś zabiorę cię na ryby, ale nie dziś.

Chłopiec zawahał się. Wiatr zmierzwił jego brązowe włosy. Kilka żółtych liści, sztywnych, wyschniętych, wirując w powietrzu, przeleciało mu nad ramieniem i wylądowało w wodzie, gdzie zakolysały się jak miniaturowe łódeczki.

- Trzeba było je zapchać - powiedział cicho.

- Słucham? - Hal był niemal pewien, że rozumie, o co chodzi synowi.

- Obwiązać wata talerze. Obkleić taśmą. Żeby nie mogła... robić hałasu.

Hal przypomniał sobie nagle Stokrotkę, zbliżającą się ku niemu - nie szła, lecz potykała się chwiejnie. Nagle z jej oczu trysnęła krew, strumienie krwi, które zmoczyły sierść na szyi i rozlały się po podłodze stodoły, a ona osunęła się na przednie łapy... i Hal usłyszał niosący się w nieruchomym, deszczowym, porannym powietrzu, dziwnie wyraźny odgłos, dobiegający z odległego o pięćdziesiąt metrów strychu: Dżang-dżang-dżang-dżang!

Zaczął histerycznie krzyczeć, upuszczając naręcze drew, które miał zanieść do domu. Pobiegł do kuchni po wujka Willa, który jadł właśnie grzanki i jajecznicę, i nie zdążył jeszcze nawet naciągnąć szelek na ramiona.

- Była starą suką, Hal - powiedział wujek ze zbolałą, nieszczęśliwą miną; sam również wyglądał staro. - Miała dwanaście lat; to dużo jak na psa. Tylko się nie maż. Starej Stokrotce by się to nie spodobało.

- Stara - powtórzył weterynarz, ale i tak wyglądał na zdumionego, bo psy nie zdychają z powodu gwałtownych wylewów do mózgu, nawet jeśli mają dwanaście lat. ("Jakby ktoś wsadził jej w głowę fajerwerk" - powiedział do wuja weterynarz; Hal podsłuchał te słowa. Wujek Will wykopał dół za stodołą tuż obok miejsca, gdzie w 1950 pochował matkę Stokrotki. "Nigdy czegoś takiego nie widziałem, Will").

Później, przerażony do szaleństwa, nie mógł się powstrzymać. Zakradł się na strych.

Witaj, Hal, co słyhać? Małpa uśmiechała się z mrocznego kąta. Jej talerze unosiły się, oddalone od siebie o kilkanaście centymetrów. Poduszka z kanapy, którą Hal wsunął między nie, leżała po przeciwnej stronie strychu. Coś, jakaś siła, odrzuciło ją tam tak mocno, że z rozerwanego obicia wysypała się gąbka. Nie martw się o Stokrotkę, szeptała małpa w jego głowie; szklane orzechowe oczy patrzyły wprost w niebieskie oczy Hala Shelburna. Nie przejmuj się, Stokrotka była stara, Hal, nawet weterynarz tak mówił, a przy okazji, widziałeś, jak krew popłynęła jej z oczu? Nakręć mnie, Hal. Nakręć, pobawimy się, i kto nie żyje? Czy to ty?

Kiedy znów zaczął jasno myśleć, odkrył, iż jak zahipnotyzowany czołga się ku małpie, wyciągając rękę, gotową pochwycić klucz. Szarpnął się w tył; w pośpiechu omal nie spadł ze schodów; prawdopodobnie tak by się to skończyło, gdyby klatka schodowa nie była za wąska. Z jego gardła dobywały się ciche jęki.

Teraz siedział w łodzi, patrząc na Peteya.

- Wytlumienie talerzy nic nie daje - rzekł. - Już kiedyś próbowałem.

- I co się stało? - Petey zerknął nerwowo na torbę.

- Nic, o czym chciałbym mówić, i nic, co chciałbyś usłyszeć. No dalej, popchnij mnie.

Petey nachylił się; rufa łodzi ze zgrzytem ruszyła po piasku. Hal wsparł się na wiosła - i nagle uczucie związania z ziemią Zniknęło. Łódź poruszała się lekko, po tylu latach spędzonych w ciemnej szopie znów była sobą. Hal podniósł drugie wiosło i wsunął w dulki.

- Bądź ostrożny, tato! - rzucił Petey.

- To nie potrwa długo - obiecał Hal, potem jednak spojrzął na torbę i nie miał już tej pewności. Zaczął wiosłować, prostując się i pochylając. Powrócił stary, znajomy ból w krzyżu i między łopatkami. Brzeg oddalał się, a Petey, jak w magicznej sztuczce, znów stał się ośmio-, sześcio-, czterolatkiem, stojącym tuż nad wodą. Drobną dłonią osłaniał oczy.

Hal zerknął przelotnie na brzeg, ale wiedział, że nie może sobie pozwolić na to, by uważnie zbadać go wzrokiem. Minęło prawie piętnaście lat i jeśli przyjrzy się brzegowi, miast podobieństw dostrzeże różnice, a wtedy nigdy nie trafi. Słońce prażyło mu kark; wkrótce zaczął się pocić. Zawadził wzrokiem o torbę i na moment zgubił rytm wiosłowania. Torba jakby... jakby się wybrzuszała. Przyspieszył.

Silniejszy powiew wiatru osuszył pot i ochłodził skórę Hala. Łódź uniosła się; opadający dziób uderzył z pluskiem w wodę. Czy wiatr nie wzmógł się przypadkiem przez ostatnią minutę? I czy Petey czegoś nie krzyczał? Tak. Hal nie zdołał rozróżnić słów pośród szumu wiatru. Nieważne. Pozbyć się małpy na następnych dwadzieścia lat - albo może (błagam, Boże, na zawsze)

na zawsze - oto co się liczyło.

Łódź wierzgnęła i opadła. Zerknąwszy w lewo, Hal spostrzegł pierwsze nieśmiało białe grzywy. Obejrzał się na brzeg: oto Hunter's Point i zwalona ruina, która kiedyś była szopą na łodzie Burdonsów. A zatem niemal dotarł do celu, w miejsce, w którym słynny studebaker Amosa Culligana zapadł się pod lód pewnego dnia dawno minionego grudnia. Był prawie nad największą głębią jeziora.

Petey coś krzyczał: krzyczał i wskazywał; Hal wciąż go nie słyszał. Łódź kołysała się i podskakiwała, spod jej oblażącego z farby dziobu tryskała piana. W chmurze wodnego pyłu na moment zalśniła tęcza, natychmiast jednak się rozwiała. Plamy światła i cienia śmigały po wodzie, szybkie jak błysk migawki, fale nie były już łagodne; ich grzywy wyraźnie urosły. Pot zasechł na pokrytej gęsią skórą skórze Hala; kurtka na plecach nasiąkała wodą. Wiosłował z ponurą determinacją, jego wzrok wędrował bez przerwy między brzegiem a torbą. Łódź znów się uniosła - tym razem tak wysoko, że jedno wiosło zamiast wody zgarnęło powietrze.

Petey wskazywał ręką niebo; jego krzyki były już tylko cichutkim, dźwięcznym szmerem. Hal obejrzał się przez ramię.

Jezioro się burzyło. Przybrało teraz złowieszczy ciemnoniebieski odcień - szaleńczo falująca niebieska kapa, ozdobiona płataniną białych szwów. Po wodzie sunął ku łodzi cień; w jego kształcie było coś znajomego, coś straszliwie znajomego. Hal uniósł wzrok i nagle we jego ściśniętym gardle wezbrał krzyk.

Skryte za chmurą słońce zmieniło ją w zgarbioną postać, unoszącą dwa półksiężyce o złocistych brzegach. Przez dwie wybite w chmurze dziury przenikały smugi światła.

Gdy chmura przepłynęła nad łodzią, talerze małpy, niemal niewyciszone przez ścianki torby, zaczęły uderzać o siebie. Dżang-dżang-dżang-dżang, to ty, Hal, to w końcu ty, jesteś teraz nad największą głębią jeziora i nadeszła twoja kolej, twoja kolej, twoja kolej...

Wszystkie konieczne elementy zaskoczyły na miejsce. Gdzieś w dole spoczywały gnijące kości studebakera Amosa Culligana. Tutaj żyją największe ryby. To właśnie było to miejsce.

Hal jednym szarpnięciem uniósł wiosła w dulkach, schylił się, lekceważąc gwałtowne chybotanie łodzi, i chwycił torbę. Talerze odgrywały swą dziką, pogańską melodię; ścianki torby wydymały się i kureczyły, jakby poruszane mrocznym oddechem.

- Właśnie tutaj, ty kurwi synu! - ryknął Hal. - WŁAŚNIE TUTAJ!

Wyrzucił torbę za burtę.

Tonęła szybko. Przez chwilę wydało mu się, że wciąż żyje, jej ścianki poruszały się, i przez tę beczasową chwilę nadal słyszał uderzenia talerzy. Czarne wody na sekundę pojaśniały i ujrzął potworną głębie, miejsce, w którym żyły największe ryby. Oto studebaker Amosa Culligana, tyle że za oślizgłą kierownicą siedziała matka Hala - uśmiechnięty szkielec; niewielki okoń wyglądał obojętnie z pustego oczodołu. Obok niej unosili się ciotka Ida i wujek Will. Siwoszare włosy ciotki zafalowały, gdy obok, wirując, przemknęła torba w obłoku srebrzystych bąbelków. Dżang-dżang-dżang...

Hal błyskawicznie opuścił wiosła, przy okazji zadrapiując do krwi kostki (o Boże, na tylnym siedzeniu studebakera Amosa Culligana było pełno martwych dzieci! Charlie Silverman... Johnny McCabe...) i zaczął zawracać łódź.

Pomiędzy jego stopami coś trzasnęło, sucho, głośno jak wystrzał z pistoletu, i nagle między dwiema deskami wezbrała woda. Łódź była stara; drewno bez wątpienia się rozeschło. To tylko drobny przeciek. Ale Hal mógłby przysiąc, że kiedy wypłynął, nie było go tam.

Brzeg i jezioro zamieniły się miejscami. Teraz siedział tyłem do Peteya. Nad jego głową rozplywała się upiorna małpia chmura. Hal zaczął wiosłować. Dwadzieścia sekund wystarczyło, by uwierzył, że toczy wyścig o życie. Był dość przeciętnym pływakiem, a wzburzone wody wystawiłyby na ciężką próbę nawet mistrza.

Nagle jeszcze dwie deski skurczyły się z tym samym ogłuszającym trzaskiem. Do środka nacieкло więcej wody, zalewając mu buty. Usłyszał ciche metaliczne chrzęsty - to pękały gwoździe.

Fragment dulki odprysnął i wpadł do jeziora - czy cała dulka będzie następna?

Wiatr dmuchał mu w plecy, jakby chciał go spowolnić albo nawet zepchnąć na środek jeziora.

Hal był przerażony, lecz oprócz grozy czuł szaleńczą radość. Tym razem małpa na dobre odeszła. Skądś to wiedział. Cokolwiek się z nim stanie, małpa nie wróci, nie rzuci swego cienia na życie Dennisa i Peteya. Zniknęła; może leży teraz na dachu albo masce studebakera Amosa Culligana na dnie jeziora. Pozbył się jej. Raz na zawsze.

Wiosłował, pochylając się naprzód i prostując plecy. Znów usłyszał suchy trzask; zardzewiała puszcza po smarze, leżąca na dziobie, unosiła się w głębokiej na przeszło pięć centymetrów wodzie. Hal poczuł na twarzy dotyk wodnego pyłu. Nagle ławeczka dziobowa pękła na pół. Oba kawałki podplynęły do pojemnika na robaki. Z lewej burty odpadła deska, potem druga, po prawej, na samej linii wodnej. Hal wiosłował. Z jego ust z jękiem ulatywał suchy, rozgrzany oddech, w gardle wzbierał miedziany posmak zmęczenia. Wiatr unosił mokre od potu włosy.

W dnie łodzi utworzyła się zygzakowata szczelina, biegnąca od jego stóp aż po dziób. Do środka chlusnęła woda; najpierw sięgała mu po kostki, potem do połowy łydek. Wiosłował, lecz łódka poruszała się bardzo opornie. Nie śmiał zerknąć przez ramię, by przekonać się, jak bardzo się zbliżył.

Opadła kolejna deska. Szczelina biegnąca środkiem łodzi wypuszczała gałęzie, jak drzewo. Do wnętrza wlewała się woda.

Hal wiosłował coraz szybciej, gwałtownie chwytając powietrze. Pociągnął raz... drugi... przy trzecim obie dulki odpadły. Zgubił jedno wiosło i cudem uratował drugie. Zerwał się z miejsca i zaczął młócić nim wodę. Łódź zakołysała się i o mało nie wywróciła; ostre chybnięcie cisnęło go z głuchym łomotem z powrotem na ławeczkę.

W chwilę później stracił kolejne deski. Ławka zapadła się i Hal leżał w wodzie, wypełniającej dno łódki, zaskoczony tym, jak bardzo jest zimna. Próbował dźwignąć się na kolana, desperacko powtarzając w duchu: Petey nie może tego zobaczyć, nie może widzieć, jak ojciec tonie na jego oczach, będziesz pływał, pieskiem, jeśli trzeba, byle naprzód, zrób coś...

Rozległ się kolejny głośny trzask - niemal huk - i znalazł się w wodzie, płynął do brzegu tak, jak jeszcze nigdy w życiu - a brzeg był zdumiewająco blisko. Po minucie Hal stał już na dnie, zanurzony do pasa, pięć metrów od płazy.

Petey z pluskiem rzucił się ku niemu, wyciągając ręce; krzyczał, płakał i śmiał się równocześnie. Hal, brodząc w wodzie, ruszył w stronę syna. Petey, zanurzony po pierś, także parł naprzód.

W końcu się złapali.

Hal, oddychając ciężko ze zmęczenia, mimo wszystko dźwignął chłopca i zaniósł go na plażę. Tam obaj padli na piasek, dysząc.

- Tato? Już jej nie ma? Tej brzydkiej-złej małpy?

- Tak. Myślę, że chyba się jej pozbyliśmy. Tym razem na dobre.

- Łódź się rozpadła. Tak po prostu - rozleciała się wokół ciebie.

Hal zerknął na deski, unoszące się na wodzie jakieś sześć metrów dalej. Zupełnie nie przypominały solidnej łódki, którą niedawno wyciągnął z szopy na przystani.

- Już wszystko dobrze. - Oparł się na łokciu. Zamknął oczy, pozwalając, by słońce ogrzało mu twarz.

- Widziałeś chmurę? - szepnął Petey.

- Tak. Ale teraz jej nie dostrzegam. A ty?

Spojrzeli na niebo. Tu i ówdzie pływały na nim białe obłoczki, lecz ani śladu wielkiej czarnej chmury. Zniknęła, tak po prostu.

Hal pociągnął Peteya.

- W domu będą ręczniki. Chodź. - Przystanął, patrząc na syna. - To wariactwo tak biec do wody. Petey spojrzał na niego z powagą.

- Byłeś bardzo odważny, tato.

- Naprawdę? - Ani przez moment nie myślał o odwadze. Czuł wyłącznie strach, strach tak wielki, że przesłaniał cały świat. Jeśli ów świat w ogóle istniał. - Chodź, Pete.

- Co powiemy mamie?

- Nie wiem, olbrzymie. - Hal uśmiechnął się do syna. - Coś wymyślimy.

Przystanął na moment, patrząc na pływające w wodzie deski. Jezioro znów się uspokoiło; małe zmarszczki migotały w słońcu. Nagle Hal pomyślał o wczasowiczach, których nawet nie znał - może ojcu i synu, zasadzających się na wielką rybę. Mam coś, tato! - krzyczy chłopak. Wyciągnij, to zobaczymy - odpowiada ojciec i z głębin, ciągnąc za sobą zaplątane w talerze wodorosty, szczerząc zęby w upiornym powitalnym uśmiechu wynurza się... małpa.

Zadrzał. Ale to w końcu tylko jedna z możliwości.

- Chodź - powtórzył i razem ruszyli ścieżką przez płomienisty październikowy las, do domu.

Notatka z "Nowin Bridgońskich",
24 października, 1980.

TAJEMNICA MARTWYCH RYB

Betsy Moriarty

SETKI martwych ryb zauważono w zeszłym tygodniu na jeziorze Crystal w sąsiednim miasteczku Casco. Najwięcej z nich zginęło w pobliżu Hunter's Point, choć prądy w jeziorze nieco utrudniają dokładną lokalizację. Wśród martwych ryb znaleziono wszystkie gatunki, występujące w tutejszych wodach: szczupaki, miętusy, karpie, pstrągi tęczowe, a nawet zabłąkanego łososia. Władze łowieckie i wędkarskie są równie zdumione...

Przełożyła
Paulina Arbiter

BUNT KAINA

Garrish schronił się przed ostrym blaskiem majowego słońca w chłód hallu akademika. Minęło kilka dobrych chwil, zanim jego oczy przywykły do panującego wewnątrz budynku półmroku, dlatego też na samym początku Harry, którego przezywano Bobrem, objawił mu się jako bezcielesny głos dobiegający z cienia.

- Ale nam zadali bobu, sam powiedz - gorączkował się Bóbr. - To prawdziwe cholerstwo, co nie?

- Aha - potwierdził Garrish. - Było ciężko.

Teraz dopiero zdołał dostrzec Bobra. Chłopak tarł dłonią usiane pryszczami czoło, a pot perlił mu się nawet pod oczami. Na nogach miał sandały, a ubrany był w sportową koszulkę z krótkim rękawem i numerem 69. Do koszulki miał przypięty okrągły znaczek z napisem, który głosił, że niejaki Pipściński to szuja i gnojek. Olbrzymie wystające siekacze Bobra jaśniały w ponurym mroku westybulu.

- A miałem zamiar dać sobie z tym spokój jeszcze w styczniu, zamienić na cokolwiek innego - zwierzał się Bóbr. - Wciąż mówiłem sobie: zdecyduj się, póki jest jeszcze czas. I wtedy termin na zamianę minął, no i musiałem albo zdawać to dziadostwo, albo mieć tyły. Myślę, że oblałem, Curt. Jak Boga kocham.

Kierowniczką akademika stała w rogu, przy przegródkach na pocztę. Była to niezwykle wysoka kobieta, z urody przypominająca nieco Rudolfa Valentino. Jedną dłoń trzymała właśnie w krótkim rękawie sukienki, usiłując wsunąć na miejsce ramiączko halki, które jej się zsunęło, drugą zaś w tym samym czasie przytwierdzała do tablicy ogłoszeń kartkę z ostateczną datą opuszczenia akademika.

- Tak, ciężko było - powtórzył Garrish.

- Chciałem ściągnąć trochę od ciebie, ale zabrakło mi odwagi, jak Boga kocham. Ten facet ma sokoli wzrok. Myślisz, że zdałeś na piątkę?

- Być może nawet oblałem - powiedział Garrish. Bobrowi opadła szczęka.

- Naprawdę myślisz, że mogłeś oblać? Ty? Naprawdę myślisz, że...

- Teraz idę wziąć prysznic, dobra?

- Jasne, Curt. No pewnie, idź. Czy to był twój ostatni egzamin?

- Aha - potwierdził Garrish. - To był mój ostatni egzamin.

Garrish przeciął hall i pchnął drzwi prowadzące na klatkę schodową. Klatka pachniała jak bokserki ochraniacz na jądra po wyjątkowo zajadłej walce. Który to już raz szedł tymi starymi schodami? Jego pokój znajdował się na piątym piętrze.

Quinn i jeszcze jeden idiota z trzeciego o obficie owłosionych goleniach stali po przeciwległych stronach klatki jak kolumny, przerzucając się piłką do softballu. Jakiś niski facecik patrzący błędnym wzrokiem przez szkła okularów w rogowej oprawie, połyskujące nad wojowniczą kozią bródką, z tablicami logarytmicznymi przyciśniętymi do piersi jak Biblia, minął go pomiędzy czwartym a piątym, nieprzerwanie poruszając wargami i mamrocząc pod nosem litanie wzorów. Oczy miał puste jak wytarte tablice.

Garrish zatrzymał się, by spojrzeć za nim, myśląc sobie, czy dla chłopaka nie byłoby lepiej, gdyby nie żył, ale po małym gościu pozostał już tylko chyboczący się i malejący cień na ścianie. Cień zachybotał się raz jeszcze i zniknął zupełnie. Garrish wspiał się na piąte piętro i ruszył korytarzem w stronę swojego pokoju. Prosiak wyjechał już dwa dni temu. Cztery końcowe egzaminy w trzy dni systemem zakuć-zdać-zapomnieć, trzask-prask i do chaty. Prosiak umiał się urządzać. Pozostało po nim jedynie kilka rozebranych babek przypiętych do ściany, dwie brudne skarpety frote, każda z innej pary, i fajansowa karykatura Rodinowskiego "Myśliciela" siedzącego w zadumie na klozecie.

Garrish włożył klucz do dziurki i przekręcił.

- Curt! Hej, Curt!

Rollins, ten skretyniały gospodarz piętra, przez którego Jimmy Brody znalazł się na dywaniku u dziekana za pijaństwo, zbliżał się właśnie korytarzem, machając do Garrisha ręką. Wysoki, dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony, symetryczny. Sprawiał wrażenie wypolerowanego na wysoki połysk.

- Zdałeś już wszystko? - zapytał Rollins. - Aha.

- Nie zapomnij zamieść podłogi w pokoju i wypełnij protokół jego zdania, dobrze?

- Aha.

- Wsunąłem ci formularz pod drzwi w zeszły czwartek, prawda?

- Aha.

- Jeśli nie będzie mnie w pokoju, to wsuń wypełniony protokół pod moje drzwi razem z kluczem.

- Dobra.

Rollins uściśnął mu dłoń i energicznie nią potrząsnął. Dłoń Rollinsa była sucha, pokryta szorstką skórą. Ściskając ją, można było odnieść wrażenie, że nabrało się pełną garść soli.

- Życzę ci miłych wakacji.

- Dzięki.

- Tylko się nie przepracowuj.

- Nie ma obawy.

- Poużywaj sobie, ale nie nadużywaj.

- Z chęcią i broń Boże.

Przez chwilę Rollins stał zmieszany, nic nie rozumiejąc, ale zaraz potem wybuchnął śmiechem.

- No, to trzymaj się. - Poklepał Garrisha po ramieniu, a następnie odszedł korytarzem, zatrzymując się tylko raz, aby upomnieć Rona Frane'a, by ściszył magnetofon. Garrish był w stanie wyobrazić sobie Rollinsa martwego w przydrożnym rowie z larwami much wyżerającymi mu oczy. Albo my pożeramy świat, albo świat pożera nas. Niezależnie od tego, kto kogo, wszystko jest w najlepszym porządku.

Garrish stał zamyślony, patrząc w ślad za Rollinsem, dopóki ten nie zniknął z pola widzenia, a następnie wszedł do swojego pokoju.

Teraz, kiedy wszystkie kłamoty Prosiaka - na ogół rozwłózione w strasznym nieładzie jak po przejściu tornado - zniknęły wraz ze swym właścicielem, pokój wydawał się ogołocony i sterylny. Na łóżku współlokatora po skołtunionym barłogu ze zmiętej i poskręcanej pościeli pozostał jedynie goły i czysty materac, jeśli nie liczyć kilku plam po nocnych polucjach. Nad łóżkiem dwa kociaki na rozkładówkach z "Playboya" spoglądały zalotnie, unieruchomione w kuszących dwuwymiarowych pozach.

W części pokoju należącej do Garrisha, zazwyczaj bijącej w oczy koszarowym porządkiem, nie widać było większych zmian. Gdyby spuścić ćwierćdolarową monetę na równiutko naciągnięty koc przykrywający porządnie zasłane łóżko, z pewnością odbiłaby się jak od gimnastycznego batutu. Cała ta schludność nieźle działała Prosiakowi na nerwy. Nazywał Garrisha pedancikiem. Jedyną rzeczą zajmującą ścianę nad łóżkiem Garrisha było olbrzymie zdjęcie Humphreya Bogarta, które kupił w uniwersyteckiej księgarni. Bogie miał spodnie na szelkach i w każdej dłoni trzymał pistolet automatyczny. Prosiak twierdził, że zarówno pistolety, jak i szelki to symbole impotencji. Garrish wątpił, żeby Bogart był impotentem, aczkolwiek nigdy nic o nim nie czytał. Podeszedł do szafy, włożył kluczyk w drzwi i otworzył je, po czym wyjął ze środka wielki sztucer magnum, kalibru .325 z orzechową kolbą, który jego ojciec, kapłan kościoła metodystów, sprezentował mu na gwiazdkę. W marcu sam dokupił do niego celownik teleskopowy. Trzymanie broni w pokojach było surowo zabronione, dotyczyło to także strzelb myśliwskich, ale nie było z tym większych problemów. Odebrał sztucer z uniwersyteckiej przechowalni na podstawie sfalszowanej obiegówki. Schował go do nieprzemakalnego skórzanego pokrowca i ukrył w lasku za boiskiem do futbolu. Tej nocy, o trzeciej na ranem wyszedł z akademika i wniósł go na piętro przez uśpione korytarze.

Usiadł na łóżku z bronią na kolanach i przez chwilę popłakał. "Myśliciel" przypatrywał mu się ze swojego sedesu. Garrish ułożył sztucer na łóżku, przeszedł przez pokój i zwałił figurkę ze stolika Prosiaka na podłogę, gdzie roztrzaskała się na drobne kawałeczki. Wtedy usłyszał pukanie do drzwi.

Szybkim ruchem wsunął strzelbę pod łóżko.

- Proszę.

W drzwiach stanął Bailey ubrany w śmieszłą jednoczęściową pidżamę zapinaną z przodu na guziki. Oczywiście był porozpinany, a z pępka wystawał mu kłębek waty. Bailey nie miał przed sobą żadnej przyszłości. Na pewno ożeni się z głupią gęsią i będzie miał głupie dzieci. Później umrze na raka lub niewydolność nerek.

- I jak tam końcowy z chemy, Curt?

- W porządku.

- Mógłbyś mi pożyczyć swoich notatek. Podchodzę jutro.

- Spaliłem je dziś rano ze wszystkimi śmieciami.

- Aha. O Jezu! Czy Prosiak sam to zrobił? - Wskazał palcem na resztki po "Myślicielu".

- Chyba tak.

- Ciekawe, co mu odbiło? Podobała mi się ta figurka. Chciałem ją od niego odkupić. - Bailey miał ostre, szurze rysy. Jego pidżama była cała w strzępach i miała mocno wypchane siedzenie.

Garrish mógł go sobie wyobrazić umierającego na rozedniętą płuc lub inne choróbko w namiocie tlenowym. Niemal widział jego pożółkłą twarz. Mógłbym ci pomóc, pomyślał Garrish.

- Myślisz, że miałby coś przeciwko temu, żebym przejął te laski?

- Chyba nie.

- To fajnie. - Bailey przeszedł przez pokój, ostrożnie stawiając na podłodze gołe stopy, aby nie wdepnąć w ceramiczne okruchy, odczepił rozkładówki.

- Ten plakat Bogarta też jest ekstra. Niby nie ma tu żadnych cycków, ale mimo to klasa, co nie? -

Bailey spojrzał na Garrisha, czekając, czy się roześmieje. Nie doczekawszy się, ciągnął dalej: -

Mam nadzieję, że nie planujesz wyrzucić go do śmieci?

- Nie. Planuję właśnie wziąć prysznic.

- Jasne, jasne. No to miłych wakacji, jeśli się już nie zobaczymy.

- Dzięki.

Bailey ruszył z powrotem do drzwi, obracając ku Garrishowi obwisłe siedzenie swojej jednoczęściowej pidżamy. W drzwiach zatrzymał się.

- Znów średnia powyżej czterech w tym semestrze?

- Co najmniej.

- Nieźle. No to do następnego roku.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Garrish siedział przez chwilę na skraju łóżka, potem wyciągnął spod niego broń, wyjął ją z pokrowca, rozłożył i wyczyścił. Po chwili uniósł wylot lufy na wysokość oka i spojrzał na malutki krążek światła po jej drugiej stronie. Lufa była czyściutka. Z powrotem złożył sztucer.

W trzeciej szufladzie jego biurka znajdowały się trzy ciężkie pudełka amunicji do winchestera.

Ułożył je na parapecie. Zamknął drzwi pokoju na klucz i wrócił do okna. Podniósł żaluzje.

Po zalanym słońcem i obrośniętym soczystą zielenią deptaku przechadzały się tłumy studentów.

Quinn wraz ze swym matołkowatym przyjacielem markowali na trawie coś w rodzaju dwuosobowego softballu. Biegali beładnie tam i z powrotem jak pokiereszowane mrówki umykające z zawałonego korytarzyka mrowiska.

- Powiem ci coś - Garrish zwrócił się do Bogiego. - Bóg wściekł się na Kaina, ponieważ Kainowi wydawało się, że Bóg jest wegetarianinem. Jego brat był lepiej zorientowany. Bóg stworzył świat na swój obraz i podobieństwo, więc jeśli ty nie jesz świata, świat je ciebie. Więc Kain zapytał brata: "Czemuś mi nic nie powiedział?" A na to braciszek: "Czemuś nie słuchał?". Wtedy Kain rzekł: "Dobra, teraz posłuchani". Po czym załatwił swojego braciszka i mówi: "Hej, Boże! Chcesz

mięska! To masz, częstuj się! Wolisz gulasz czy żeberka, a może abelburgery?". A wtedy Bóg powiedział mu, żeby spadał. Więc... co o tym myślisz?

Ze strony Bogiego nie padła żadna odpowiedź.

Garrish otworzył podnoszone do góry okno i ułożył łokcie na parapecie, nie pozwalając, aby lufa jego trzystapięcdziesiątkidwójki wysunęła się na światło dzienne. Spojrzał w celownik.

Mierzył w żeński akademik znajdujący się po drugiej stronie deptaka. Akademik ten znano powszechnie pod nazwą "psiarni". Na przecięciu linii celownika znalazł się duży ford kombi.

Jakaś blondyneczka wbita w dżinsy i niebieską bluzeczkę na ramiączkach rozmawiała ze swoją mamą, podczas gdy ojczulek, łysiejący mężczyzna cały czerwony na twarzy, ładował walizki do tylnej części samochodu.

Ktoś zapukał do drzwi.

Garrish odczekał w ciszy.

Pukanie powtórzyło się.

- Curt? Dam ci pół brudasa za ten poster z Bogartem. Bailey.

Garrish nie odpowiedział. Dziewczyna i jej matka z czegoś się radośnie śmiały, nie zdając sobie sprawy, że w ich jelitach krążą mikroby, odżywiając się, dzieląc, rozmnażając. Ojciec studentki podszedł do nich i tak stali razem w słońcu, tworząc sielankowy rodzinny portret w okrągłych ramach celownika.

- Do diabła! - zaklął Bailey. Odgłos jego kroków zaczął oddalać się korytarzem.

Garrish nacisnął spust.

Poczuł silne uderzenie w ramię - przyjemne, gwałtowne szarpnięcie, jakie zawsze czuje strzelec, gdy precyzyjnie ułoży kolbę broni we właściwym miejscu. Roześmiana twarz blondynki zniknęła, jakby nagle coś obcięło jej głowę.

Jej mama śmiała się jeszcze przez moment, lecz po chwili jej dłoń powędrowała do ust. Przez palce przesączył się okropny krzyk przerażenia. Garrish strzelił w miejsce, skąd się wydobywał. Dłoń i głowa zniknęły w czerwonym rozbryzgu. Mężczyzna, który ładował bagaże, rzucił się do niezdarnej, panicznej ucieczki.

Garrish przez chwilę wodził za nim lufą, po czym strzelił mu w plecy. Następnie uniósł głowę i rozejrzał się ponad celownikiem. Quinn ścisnął w ręce piłkę do softballu, wpatrując się w mózg blondynki rozchlapany na znaku zakazu parkowania, wymalowanym na betonie za jej rozciągniętym horyzontalnie ciałem, leżącym twarzą do ziemi. Quinn nie był w stanie się poruszyć. Wszyscy ludzie na deptaku zamarli, niczym dzieci bawiące się w "pomniki".

Ktoś załomotał do drzwi, a następnie zaczął opętańczo szarpać za klamkę.

- Curt? Nic ci się nie stało, Curt? Chyba ktoś...

- Jest napitek, jest mięsiwo! Dobry Boże, jedz, a żywo! - zawołał Garrish na cały głos i wymierzył w Quinna. Szarpnął za spust, zamiast go powoli przycisnąć i pocisk chybił celu. Quinn rzucił się do ucieczki. Co za problem. Drugim strzałem trafił Quinna w kark z taką siłą, że chłopak przeleciał z sześć metrów, zanim upadł na ziemię.

- Curt Garrish strzela do siebie! - wrzeszczał Bailey. - Rollins! Rollins! Chodź tu prędko!

Ponownie tupot jego stóp ucichł w głębi korytarza.

Teraz już wszyscy rozbiegli się w panice. Garrish słyszał ich przerażone krzyki. Słyszał gorączkowe tupanie w alejkach.

Spojrzał na Bogiego. Bogie trzymał w dłoniach swoje pistolety i patrzył gdzieś ponad nim.

Garrish spojrzał na pokruszone resztki "Myśliciela", który należał do Prosiaka, i zastanowił się, co też jego współlokator może robić w tej chwili, czy jeszcze odsypia sesję, czy ogląda coś w telewizji, czy też zafundował sobie jakieś wspaniałe żarcie. Jedz świat, Prosiaku, pomyślał w duchu Garrish. Łykaj go wielkimi kęsami.

- Garrish! - Tym razem był to Rollins, walący pięściami w drzwi. - Otwieraj, Garrish!
- Zamknięte na klucz - dyszał Bailey. - Wyglądał dziś okropnie, zabił się jak nic, jestem tego pewny.

Garrish znów wysunął wylot lufy przez okno. Jakiś chłopak w madrasowej koszuli przykucnął za krzakiem, rozbieganymi oczami z desperacją omiatając okna akademika. Garrish widział, że tamten ma ochotę uciekać stamtąd jak najdalej, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

- Dobry Boże, jedz, a żywo - wymruczał Garrish i ponownie nacisnął spust.

Przełożył

Rafał Wilkoński

SKRÓT PANI TODD

- Jedzie ta pani Todd - powiedziałem.

Homer Buckland popatrzył na przejeżdżającego małego jagura i przytaknął. Kobieta pomachała do Homera. W odpowiedzi Homer kiwnął wielką, kudłatą głową, ale sam nie podniósł ręki.

Państwo Todd mieli wielki letni dom nad Castle Lake i Homer był ich dozorcą od niepamiętnych czasów. Podejrzywałem, że nie lubił drugiej żony Wortha Todda równie mocno, jak lubił Phelię, pierwszą panią Todd.

To było jakieś dwa lata temu. Siedzieliśmy na ławce przed frontem sklepu Bella, ja z sokiem pomarańczowym, Homer ze szklanką wody mineralnej. Był październik, spokojny miesiąc w Castle Rock. Wiele domów nad jeziorem wciąż zapełnia się w weekendy, lecz agresywne, zakrapiane życie towarzyskie już się skończyło, a myśliwi ze swoimi wielkimi karabinami i kosztownymi tymczasowymi zezwoleniami przypiętymi do pomarańczowych czapek na razie nie zaczęli napływać do miasteczka. Zboże już prawie zebrano. Noce są chłodne, dobre do spania, a stare kości, takie jak moje, jeszcze nie doskwierają. W październiku niebo nad jeziorem jest ulotnie piękne, z tymi wielkimi białymi chmurami, które płyną tak wolno; podoba mi się, że od spodu wydają się całkiem płaskie i trochę szarawe, jakby omroczone cieniem bliskiego zachodu; mogę oglądać błyski słońca na wodzie bez znużenia przez dobrych kilka minut. To w październiku, kiedy siedzę na ławce przed frontem sklepu Bella i patrzę z daleka na jezioro, żałuję, że już nie palę.

- Ona nie jeździ tak szybko jak Phelia - powiedział Homer. - Takżem sobie myślał, że miała trochę staroświeckie imię jak na kobietę, która wyciska taką prędkość z samochodu.

Letnicy, jak państwo Todd, nie są nawet w połowie równie interesujący dla całorocznych mieszkańców małych miasteczek w Maine, jak sobie wyobrażają. Stali mieszkańcy wolą swoje własne historie miłości i nienawiści, skandale i skandaliczne plotki. Kiedy zastrzelił się ten facet od tekstyliów z Amesbury, Estonia Corbridge przekonała się, że już po tygodniu nie mogła zdobyć nawet zaproszenia na lunch w zamian za swoją historyjkę, jak to go znalazła z pistoletem w sztywniejącej dłoni. Ale ludziska ciągle gadają o Joe Camberze, którego zabił jego własny pies. No, nieważne. Po prostu startujemy w innych wyścigach. Letnicy biegają truchcikiem; my nie wkładamy codziennie krawatów do pracy i chodzimy spacerkiem. A jednak miejscowi okazali całkiem spore zainteresowanie, kiedy Ophelia Todd zniknęła wtedy w 1973. Ophelia była naprawdę miłą kobietą i zrobiła wiele dla miasteczka. Zbierała pieniądze na Bibliotekę Sloana, pomagała odnowić pomnik bohaterów wojennych i tak dalej. Ale wszyscy letnicy lubili zbierać pieniądze. Tylko wspomniałeś o zbiorce pieniędzy, a już oczy im się zapalały i zaczynały świecić. Tylko wspomniałeś o zbiorce pieniędzy, a już organizowali komitet, wyznaczali sekretarza i ustalali porządek dnia. Tacy już są. Ale jeśli wspomniałeś o czasie (poza jednym wielkim

przyjęciem koktajlowym połączonym z zebraniem komitetu), to nie miałaś szczęścia. Letnicy chyba głównie odkładali czas. Zostawiali go na zapas, jakby mogli go przechowywać w wekach jak przetwory. Ale Phelia Todd wołała raczej spędzać czas - dyżurować za biurkiem w bibliotece, nie tylko zbierać na nią pieniądze. Jak trzeba było zakasać rękawy i szorować pomnik bohaterów wojennych, Phelia pracowała razem z miejscowymi kobietami, które straciły synów w trzech różnych wojnach, ubrana w kombinezon, z włosami obwiązany chustką. A kiedy trzeba było dowozić dzieci na letnie kursy pływania, mogłeś zobaczyć ją na Landing Road w wielkim błyszczącym pikapie Wortha Todda, wyładowanym z tyłu dziećmi. Dobra kobieta. Nie miejscowa, ale dobra. Wszyscy się zmartwili, kiedy zniknęła. Nie żeby byli w żałobie, bo właściwie zniknięcie to nie śmierć, nie całkiem. To nie jak odrąbanie czegoś tasakiem; raczej jakby coś wyciekało ze zlewu tak powoli, że nawet nie zauważysz, kiedy zniknęło, dopiero dużo później.

- Jechała mercedesem - oznajmił Homer, odpowiadając na pytanie, którego nie zadałem. - Dwuosobowy sportowy wózek. Todd dał go jej w sześćdziesiątym czwartym czy może w sześćdziesiątym piątym. Pamiętasz, jak woziła dzieciaki nad jezioro przez te wszystkie lata, kiedy mieli Frogs i Tadpoles? - Aha.

- Woziła je nie więcej niż sześćdziesiątką, pamiętała, że siedzą z tyłu. Ale to ją złościło. Ta kobieta miała ołów w stopie.

Dawniej Homer nigdy nie rozmawiał o swoich letnikach. Ale potem umarła mu żona. To było pięć lat temu. Orała pod górę i traktor się na nią przewrócił. Homer źle to zniósł. Chodził w żałobie przez dwa lata czy coś około tego, a potem chyba poczuł się lepiej. Ale już był nie ten sam. Jakby czekał, żeby coś się stało, czekał na następną rzecz. Czasami o zmierzchu mijales jego schludny mały domek i on siedział na ganku, palił fajkę, na poręczy stała szklanka wody mineralnej, miał zachód słońca w oczach i dym z fajki wokół głowy, i myślałeś - w każdym razie ja myślałem - Homer czeka na następną rzecz. Martwiłem się bardziej, niż chciałem przyznać, i w końcu doszedłem do wniosku, że martwię się, bo gdyby to na mnie trafiło, nie czekałbym na następną rzecz jak pan młody, który włożył ślubny garnitur i w końcu zawiązał krawat jak należy, a teraz tylko siedzi na łóżku w swojej sypialni i patrzy najpierw na swoje odbicie w lustrze, a potem na zegar na kominku i czeka, aż wybije jedenasta, żeby się ożenić. Gdyby na mnie trafiło, nie czekałbym na następną rzecz. Czekałbym na ostatnią rzecz.

Ale w trakcie tego oczekiwania - które skończyło się, kiedy Homer wyjechał do Vermont rok później - czasami rozmawiał o tych ludziach. Ze mną, z kilkoma innymi.

- Nigdy nie jeździła szybko ze swoim mężem, o ile wiem. Ale kiedy mnie wiozła, to poganiała tego mercedesa.

Jakiś facet podjechał do pomp i zaczął napełniać bak. Samochód miał rejestrację z Massachusetts.

- To nie był taki nowy sportowy samochód, co jeździ na bezołowiowej i szarpie za każdym razem, jak się naciśnie gaz. To był stary model, z szybkościomierzem wyskalowanym aż do dwustu pięćdziesięciu. Miał dziwny brązowy kolor i raz ją spytałem, jak się nazywa ten kolor, a ona mówi: szampański. Klasa nazwa, mówię, a ona pęka ze śmiechu. Wiesz, podoba mi się kobieta, której nie trzeba tłumaczyć dowcipu.

Mężczyzna przy pompie skończył nalewać benzynę.

- Brywieczór, panowie - powiedział, wchodząc po stopniach.

- Dzień dobry - odparłem, a on wszedł do środka.

- Phelia zawsze szukała skrótów - ciągnął Homer, jakby wcale nam nie przerwano. - Ta kobieta miała fioła na punkcie skrótów. Nigdy nie widziałem lepszej hecy. Mówiła, że kto skraca drogę, ten oszczędza również czas. Mówiła, że jej ojciec święcie w to wierzył. Był komiwojażerem,

zawsze w drodze, czasem z nim jeździła i on zawsze szukał najkrótszej drogi. Stąd nabrała tego zwyczaju.

- Zapytałem ją raz, czy to nie trochę dziwne... z jednej strony traci czas na szorowanie tego starego pomnika na placu i wozi maluchy na lekcje pływania, zamiast samej pływać, grać w tenisa i popijać jak normalni letnicy, a z drugiej strony tak cholernie jej zależy, żeby oszczędzić piętnaście minut stąd do Fryeburga, że pewnie przez to nie śpi po nocach. Po prostu myślałem, że jedno klóci się z drugim, sam rozumiesz. Ona tylko patrzy na mnie i mówi: "Lubię pomagać, Homerze. Lubię też prowadzić... przynajmniej czasami, w trudnych warunkach... ale nie lubię tracić na to czasu. To jak przerabianie ubrań: czasami robisz zaszewkę, a czasami rozpuszczasz. Rozumiesz, o co mi chodzi?"

"Chyba tak, pszepani", odpowiadani trochę niepewnie.

"Gdybym uważała, że siedzenie za kierownicą to najlepszy sposób spędzania czasu, nie szukałabym skrótów, tylko przedłużeń", powiedziała i tak mnie rozśmieszyła, że wybuchnąłem śmiechem.

Facet z Massachusetts wyszedł ze sklepu z sześciopakiem w jednej ręce i kilkoma losami na loterię w drugiej.

- Miłego weekendu - mówi Homer.

- Zawsze są miłe - odpowiada facet z Massachusetts. - Żałuję tylko, że nie stać mnie, żeby tu mieszkać przez okrągły rok.

- No, popilnujemy tutaj porządku do pana następnego przyjazdu - mówi Homer, a facet się śmieje. Patrzyliśmy, jak odjeżdża nie wiadomo dokąd, z tą tablicą rejestracyjną stanu Massachusetts. Zieloną. Moja Marcy mówi, że Urząd Rejestracyjny w Massachusetts wydaje takie tablice kierowcom, którzy nie mieli wypadku przez dwa lata w tym dziwnym, gniewnym, zadymionym stanie. Kto miał wypadek, mówi Marcy, dostaje czerwoną tablicę, żeby ludzie wiedzieli, na kogo uważać na drodze.

- Wiesz, oni tutaj mieszkali na stałe, oboje - powiedział Homer, jakby facet z Massachusetts przypomniał mu o tym fakcie.

- Chyba wiedziałem - mówię.

- Toddowie to nasze jedyne ptaszki, które zimą odlatują na północ. Ta nowa, ona chyba nie bardzo lubi odlatywać na północ.

Łyknął wody mineralnej i przez chwilę milczał w zamyśleniu.

- Ale jej to nie przeszkadzało - dodał. - Przynajmniej myślę, że nie przeszkadzało, chociaż czasami mocno narzekała. Narzekanie to był tylko sposób wyjaśnienia, dlaczego ciągle szukała skrótów.

- Znaczący, jej mężowi nie przeszkadzało, że ona tłucze się po wszystkich zapyziałych leśnych ścieżkach stąd do Bangor, żeby znaleźć taką, co jest krótsza o pół kilometra?

- Miał to w nosie - odparł zwięźle Homer i wstał, i wszedł do sklepu.

No i masz, Owens, powiedziałem sobie, sam wiesz, że lepiej mu nie zadawać pytań, kiedy się rozkręca, ale ty musiałaś zadać pytanie i spaliłaś historię, która nieźle się zapowiadała.

Siedziałem i wystawiałem twarz do słońca, i po jakichś dziesięciu minutach Homer wyszedł z jajkiem na twardo i usiadł. Zjadł jajko, a ja pilnowałem się, żeby nic nie mówić, a woda na jeziorze Castle migotała takim błękitem, jaki opisują w historiach o zatopionych skarbach. Homer dokończył jajko, popił wodą mineralną i mówił dalej. Zdziwiłem się, ale wciąż milczałem. Z przezorności.

- Mieli dwie czy trzy różne bryki - opowiadał Homer. - Cadillaca i jego ciężarówkę, i jej małego sportowego mercedesa. Kilka razy zostawiał ciężarówkę na zimę, w razie gdyby chcieli pojechać na narty. Zwykle jak lato się kończyło, wracał cadillakiem, a ona brała swoją maszynkę.

Kiwnąłem głową, ale milczałem. Po prawdzie bałem się zaryzykować następny komentarz. Później pomyślałem, że potrzebne by było dużo komentarzy, żeby zamknąć gębę Homerowi tamtego dnia. Od dawna chciał opowiedzieć historię skrótu pani Todd.

- Ta jej maszynka miała specjalny licznik, który pokazywał, ile kilometrów przejechałeś, i za każdym razem, gdy wyjeżdżała z Castle Lake do Bangor, zerowała go i potem sprawdzała wynik. Zrobiła z tego zabawę i specjalnie mnie tym drażniła.

Przerwał i przemyślał własne słowa.

- Nie, to nie tak.

Milczał jeszcze przez chwilę, na jego czole pojawiły się lekkie zmarszczki, jak stopnie bibliotecznej drabinki.

- Udawała, że robi z tego zabawę, ale dla niej to była poważna sprawa. Równie poważna jak cała reszta. - Strzepnął palcami i pomyślałem, że chodzi mu o jej męża. - Schówek na rękawiczki w tej sportowej maszynie był pełen map, jeszcze więcej leżało z tyłu, gdzie w normalnym samochodzie jest siedzenie. Mapy ze stacji benzynowych i kartki wyrwane z atlasu dróg Randa-McNally'ego; miała kilka map z przewodnika po Appalachach i całą kupę topograficznych odbitek geodezyjnych. Ale nie przez te mapy podejrzewałem, że to nie zabawa, tylko dlatego że rysowała na nich linie, zaznaczała trasy, które przejechała albo próbowała przejechać. Kilka razy ugrzęzła i jakiś farmer musiał ją wyciągać traktorem i łańcuchem.

- Jednego dnia kładłem kafelki w łazience i fuga wypływała z każdej cholerniej szpary - później w nocy śniły mi się tylko kafelki i szpary krwawiące fugą - a ona stanęła w drzwiach i długo o tym ze mną rozmawiała. Podśmiewałem się z niej, ale trochę mnie to zaciekało, nie tylko dlatego, że mój brat Franklin mieszkał pod Bangor i znałem większość dróg, o których mi opowiadała. Zainteresowałem się, bo człowiek taki jak ja zawsze lubi znać najkrótszą drogę, nawet jeśli nie zawsze z niej korzysta. Też tak lubisz?

- Aha - potwierdziłem. Jest jakaś siła w tym, że znasz najkrótszą drogę, nawet jeśli jedziesz dłuższą drogą, bo w domu czeka teściowa. Szybko dotrzeć do celu - to dobre dla ptaków, chociaż chyba nikt z prawem jazdy w Massachusetts o tym nie wie. Ale wiedzieć, jak szybko dotrzeć do celu - czy nawet dotrzeć do celu drogą, której nie zna osoba siedząca obok ciebie... to jest siła.

- No, ona знаła te drogi na pamięć, tak jak harcerz zna węzły - podjął Homer i uśmiechnął się swoim szerokim, słonecznym uśmiechem. - Mówiła: "Zaraz, chwileczkę" jak mała dziewczynka i słyszałem, jak za ścianą grzebie w biurku, a potem wracała z małym notesikiem, który wyglądał, jakby miał już swoje lata. Okładka cała pognieciona, rozumiesz, i kilka kartek wysunęło się z tych drucianych kółek na grzbiecie.

"Worth... większość ludzi... jeżdżą szosą 97 do Mechanic Falls, potem szosą 11 do Lewiston, i dalej międzystanową do Bangor. 250,2 kilometra".

Przytaknąłem.

"Jeśli chcesz ominąć roгатkę... i oszczędzić drogi... pojedziesz do Mechanic Falls, szosą 11 do Lewiston, szosą 202 do Augusty, potem szosą 9 przez China Lake i Unity i Haven do Bangor. Razem 231,8 kilometra".

"Nie oszczędzi pani czasu - mówię - omijając Lewiston i Augustę. Chociaż muszę przyznać, że Old Derry Road do Bangor jest naprawdę ładna".

"Kto skraca drogę, ten oszczędza czas - na to ona. - I nie mówiłam, że sama wybrałabym tę trasę, chociaż przejechałam ją ładnych parę razy; po prostu sprawdzam trasy, którymi jeździ większość ludzi. Mam mówić dalej?".

"Nie - odpowiadam - wolę zostać sam jak palec w tej zakichanej łazience i gapić się na te zakichane kafelki, aż zgłupieję do reszty".

"W sumie są cztery główne trasy - mówi ona. - Ta droga 2 ma 261,4 kilometra. Za długa".

"Tę bym wybrał, gdyby żona zadzwoniła i powiedziała, że odgrzeje mi resztki" - mruczę pod nosem.

"Co takiego?" - pyta ona.

"Nic - mówię. - Rozmawiam z fugą".

"Och. No więc czwartą... o której niewielu wie, chociaż to są wszystko dobre drogi... w każdym razie brukowane... prowadzi przez Speckled Bird Mountain szosą 219 i 202 za Lewiston. Potem szosą 19 można objechać Augustę. Potem skręca się w Old Derry Road. Tylko 206,7 kilometra".

- Przez chwilę nic nie mówiłem i może pomyślała, że mam wątpliwości, bo mówi trochę zuchwale: "Wiem, że trudno uwierzyć, ale to prawda". Powiedziałem, że pewnie ma rację, i jak teraz o tym myślę, to pewnie miała. Bo tamtą drogą jeździłem zwykle do Bangor z wizytą do Franklina, jak jeszcze żył. Chociaż nie jechałem tamtędy od lat. Myślisz, że człowiek może tak po prostu... no, zapomnieć drogę, Dave?

Uznałem, że może. O autostradzie łatwo myśleć. Po jakimś czasie dosłownie wypełnia umysł i już nie myślisz, jak dojechać stąd tam, tylko jak dojechać do kasy drogowej, która jest najbliżej tego miejsca. I przyszło mi do głowy, że może dookoła jest wiele dróg, które po prostu schodzą na psy; drogi wzdłuż kamiennych murków, prawdziwe drogi obrośnięte jeżynami, których nikt nie zjada oprócz ptaków, i zwirownie ze starymi zardzewiałymi łańcuchami zwisającymi w niskich łukach przed wjazdem, same zwirowiska równie zapomniane jak stare dziecięce zabawki, chwasty rosnące na opustoszałych, porzuconych zboczach. Drogi zapomniane przez wszystkich prócz ludzi, którzy tam mieszkają i szukają tylko najszybszego sposobu, żeby wyrwać się na autostradę, gdzie można wjechać na wzgórze i wcale się nie martwić. Lubimy sobie żartować w Maine, że nie można dojechać stąd tam, ale chyba żartujemy z samych siebie. Tak naprawdę jest z tysiąc cholernych sposobów i człowiek nie musi się fatygować.

Homer opowiadał dalej:

- Całe popołudnie kładłem kafelki w tej ciasnej, dusznej łazience, a ona przez cały czas stała w drzwiach, ze skrzyżowanymi gołymi nogami, w tenisówkach, spódnicy khaki i trochę ciemniejszym swetrze. Włosy nosiła związane w koński ogon. Miała wtedy jakieś trzydzieści cztery, pięć lat, ale przysięgam, że z tą rozjaśnioną twarzą wyglądała zupełnie jak studentka, która przyjechała do domu na wakacje. Po jakimś czasie widocznie połapała się, że już dosyć długo stoi tutaj i gada jak najęta, bo mówi: "Pewnie zanudzam cię na śmierć, Homerze".

"Tak, psze pani - mówię. - Wolę, żeby pani sobie poszła i nie przeszkadzała mi rozmawiać z tymi cholernymi kafelkami".

"Nie wymądrzaj się, Homerze" - mówi ona.

"Nie, pszepani, pani mnie nie zanudza" - ja na to.

Więc ona uśmiecha się i wraca do tematu, kartkuje ten swój notesik jak komiwojazer sprawdzający zamówienia. Znała te cztery główne trasy - no, właściwie trzy, bo od razu skreśliła szosę 2 - ale musiała znać jeszcze ze czterdzieści innych dróg, które były wariantami tamtych. Drogi z numerami stanowymi, drogi bez numerów, drogi z nazwami i bez nazw. Aż zakręciło mi się w głowie. I w końcu ona mówi do mnie: "Gotowy na pierwsze miejsce w konkursie, Homer?".

"Chyba tak" - odpowiadam.

"Przynajmniej na razie zajmuje pierwsze miejsce - mówi ona. - Czy wiesz, Homerze, że w 1923 roku pewien człowiek napisał artykuł w «Science Today» dowodzący, że żaden człowiek nie przebiegnie mili w czasie poniżej czterech minut? Udowodnił to poprzez szczegółowe wyliczenia, w których uwzględnił maksymalną długość męskich mięśni uda, maksymalną długości kroku, maksymalną pojemność płuc, maksymalne tempo bicia serca i dużo więcej. Byłam oczarowana tym artykułem! Zrobił na mnie takie wrażenie, że dałam go Worthowi i poprosiłam, żeby pokazał go profesorowi Murrayowi z wydziału matematyki Uniwersytetu Maine. Chciałam, żeby

sprawdził te liczby, bo myślałam, że musiały opierać się na błędnych założeniach czy coś w tym rodzaju. Worth pewnie myślał, że zgłupiałam... «Ophelia dostała bzika», tak mówił... ale wziął artykuł. No i profesor Murray dokładnie sprawdził obliczenia tamtego pana... i wiesz co, Homerze?"

"Nie, pszepani".

"Te wyniki były prawidłowe. Kryteria autora były słuszne. Udowodnił wtedy w 1923 roku, że człowiek nie może przebiec mili w czasie krótszym niż cztery minuty. Udowodnił to. Ale ludzie ciągle to robią i wiesz, co to znaczy?"

"Nie, pszepani" - odpowiadam, chociaż coś mi świta.

"To znaczy, że żadne pierwsze miejsce nie jest stałe - mówi ona. - Pewnego dnia... jeżeli przedtem świat nie wyleci w powietrze... pewnego dnia ktoś na olimpiadzie przebiegnie milę poniżej czterech minut. Może za sto lat, może za tysiąc, ale tak się stanie. Ponieważ nie ma ostatecznej wygranej. Jest zero i wieczność, i śmiertelność, ale nie ma ostateczności".

- I stała tam z czystą, jaśniejącą twarzą, z tymi ciemnymi włosami ściągniętymi do tyłu, jakby chciała powiedzieć: "Tylko spróbuj zaprzeczyć, jeśli masz odwagę". Ale nie miałem odwagi. Bo sam w to wierzę. Pewnie coś takiego ma na myśli pastor, kiedy mówi o łasce.

"Gotowy na tymczasowe pierwsze miejsce?" - pyta ona.

"Aha" - mówię i nawet na chwilę przestałem kłaść fugę. Zresztą i tak doszedłem już do wanny i zostały mi tylko te małe wymyślne narożniki. Ona wzięła głęboki oddech, a potem wyklepała to tak szybko, jak ten licytator w Gaten Falls, kiedy wlewał w siebie whisky, i nie pamiętam wszystkiego, ale to szło jakoś tak.

Homer Buckland na chwilę zamknął oczy, wielkie dłonie trzymał całkiem nieruchomo na długich udach, twarz uniósł do słońca. Potem znowu otworzył oczy i przysięgam, że przez chwilę wyglądał jak ona, właśnie, siedemdziesięcioletni mężczyzna wyglądał zupełnie jak trzydziestoczteroletnia kobieta, która w tamtej chwili wyglądała jak dwudziestoletnia studentka, i nie pamiętam dokładnie, co powiedział, tak jak on nie pamiętał dokładnie, co ona powiedziała, nie tylko dlatego, że to było skomplikowane, ale ponieważ zaskoczyła mnie zmiana w jego wyglądzie, a to szło mniej więcej tak:

- "Wjeżdżasz na szosę 97 i potem skręcasz przez Denton Street do Old Townhouse Road, i w ten sposób omijasz śródmieście Castle Rock i wracasz na 97. Czternaście kilometrów dalej możesz przejechać starą leśną przecinką dwa kilometry do Town Road 6, która prowadzi do Big Anderson Road przy Sites Cider Mill. Tam jest skrót, który starsi nazywają Bear Road, dochodzi do 219. Po drugiej stronie Speckled Bird Mountain wjeżdżasz na Stanhouse Road, skręcasz w lewo na Bull Pine Road... tam jest bagnisty kawałek, ale można go przeskoczyć, jeśli rozpędzisz się dostatecznie na żwirze... i wyjeżdżasz na szosę 106. 106 przecina Plantację Altona do Old Derry Road... a tam są dwie albo trzy leśne drogi, którymi wyjedziesz na szosę 3 tuż za szpitalem Derry. Stamtąd jest tylko sześć kilometrów do szosy w Etna, czyli do Bangor".

Zrobiła przerwę, żeby znowu nabrać powietrza, popatrzyła na mnie i pyta: "Wiesz, ile to jest razem?"

"Nie, pszepani" - mówię i myślę, że to wygląda na 304 kilometry i cztery złamane resory.

"Tylko 185 kilometrów" - mówi ona.

Parsknąłem śmiechem. Śmiech wyrwał mi się, zanim pomyślałem, że robię sobie fatalną przysługę, jeśli chcę usłyszeć zakończenie tej historii. Ale Homer sam uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Wiem. A ty wiesz, że nie lubię się klócić, Dave. Jednakże jest różnica pomiędzy zwykłym nabieraniem kogoś i wciskaniem całej kupy kitu.

"Nie wierzysz mi" - mówi ona.

"No, trudno w to uwierzyć, pszepani" - ja na to.

"Zostaw te fugę, żeby wyszła, to ci pokażę - mówi. - Jutro możesz dokończyć za wanną. Chodź, Homerze. Zostawię wiadomość dla Wortha... zresztą i tak może dzisiaj nie wróci... a ty zadzwonisz do żony! Będziemy siadali do obiadu w Grillu Pilota za - patrzy na zegarek - dwie godziny i czterdzieści pięć minut od tej chwili. A jeśli spóźnimy się chociaż o minutę, kupię ci butelkę Irish Mist, żebyś ją zabrał do domu. Widzisz, mój tata miał rację. Kto oszczędza kilometry, ten oszczędza czas, nawet jeśli musi taplać się w każdym cholernym bagnie i kałuży w całym okręgu Kennebec. I co ty na to?"

- Patrzyła na mnie swoimi brązowymi oczami jak lampki, z tym przekornym spojrzeniem, które mówiło, przekręć czapkę daszkiem do tyłu, Homer, i włącz na pokład, ja będę pierwsza, ty drugi, a ostatnich gryzą psy, a jej uśmiech mówił dokładnie to samo, i powiadam ci, Dave, chciałem jechać. Nie chciałem nawet zakręcić tej cholernej puszki z fugą. I na pewno nie chciałem prowadzić tej jej maszynki. Chciałem tylko usiąść na miejscu pasażera i patrzeć, jak ona wsiada, jak spódnica podjeżdża jej trochę do góry, jak ona obciąża spódnicę na kolana albo nie, jak błyszczą jej włosy.

Urwał i nagle parsknął zdławionym, ironicznym śmiechem. Ten śmiech przypominał strzał z dubeltówki nabitej solą.

- Po prostu zadzwonię do Megan i powiem: "Znasz Phelię Todd, tę kobietę, o którą zaczynasz być taka zazdrosna, że masz ciemno przed oczami i nie potrafisz powiedzieć o niej jednego dobrego słowa? No więc ona i ja zrobimy sobie wyścig do Bangor w tym jej małym szybkim mercedesie koloru szampana, więc nie czekaj z obiadem". Po prostu zadzwonię i tak powiem. Aha. Właśnie tak.

I znowu zaśmiał się, trzymając ręce na kolanach naturalnie jak zawsze, i zobaczyłem prawie nienawistny wyraz na jego twarzy, a po chwili wziął z poręczy swoją szklankę wody mineralnej i wypił trochę.

- Nie pojechałeś - stwierdziłem.

- Nie wtedy.

Zaśmiał się już łagodniej.

- Musiała coś zobaczyć w mojej twarzy, bo jakby się opamiętała. Przestała wyglądać jak studentka i znowu wyglądała zwyczajnie jak Phelia Todd. Spojrzała na notesik, jakby nie wiedziała, skąd się wziął, i odłożyła go na bok, prawie schowała go za spódnicę.

Mówię: "Chciałbym to zrobić, pszepani, ale muszę tutaj skończyć, a moja żona ma pieczeń na obiad".

Ona mówi: "Rozumiem, Homer... trochę mnie poniosło. Często mi się to zdarza. Worth mówi, że ciągle". Potem jakby się wyprostowała i mówi: "Ale podtrzymuję ofertę, w każdej chwili, kiedy zechcesz. Możesz nawet popchnąć z tyłu, jeśli gdzieś ugrzęźniemy. Oszczędzisz mi pięć dolarów". I wybuchnęła śmiechem.

"A zanim na dobre uwierzysz, że 185 kilometrów do Bangor to wykluczone, weź własną mapę i sprawdź, ile to będzie lotem ptaka".

Skończyłem kłaść glazurę, wróciłem do domu i zjadłem resztki... nie było żadnej pieczeni i Phelia Todd chyba o tym wiedziała... i kiedy Megan poszła do łóżka, wyjąłem miarkę, długopis i swoją mapę stanu ze stacji Mobil, i zrobiłem, co chciała... bo to mi utkwilo w głowie, rozumiesz.

Narysowałem linię prostą i zrobiłem obliczenia według skali. Byłem trochę zdziwiony. Bo jeśli w pogodny dzień polecisz z Castle Rock prosto do Bangor takim małym samolotem Piper Cub...

jeśli nie musisz omijać jezior ani leśnych szkólek ogrodzonych łańcuchami, ani bagien, ani przekraczać rzek tam, gdzie nie ma mostów, no, to będzie tylko 126 kilometrów, mniej więcej.

Podskoczyłem.

- Zmierz sam, jak mi nie wierzysz - zaproponował Homer. - Nigdy nie myślałem, że stan Maine jest taki mały, dopóki sam nie zobaczyłem.

Popił wody i obejrzał się na mnie.

- Następnej wiosny przyszedł taki czas, kiedy Megan pojechała w odwiedziny do brata w New Hampshire. Musiałem pojechać do domu Toddów, żeby zdjąć zimowe drzwi i założyć siatkowe, i jej mały sportowy mercedes tam stał. Była w domu sama.

Podeszła do drzwi i mówi: "Homerze! Przyjechałeś założyć siatkowe drzwi?".

A ja jej na to: "Nie, pszepani, przyjechałem zobaczyć, czy pani zawiezie mnie do Bangor krótszą drogą".

Ona spojrzała na mnie z twarzą całkiem bez wyrazu i już myślałem, że zapomniała. Czułem, że się czerwienię, zupełnie jakbym palnął straszne głupstwo. Potem, kiedy już chciałem przeprosić, ona znowu uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem i mówi: "Zaczekaj tutaj, aż wezmę kluczyki. I nie rozmyślaj się, Homerze!".

Wróciła po minucie z kluczykami w rękę. "Jeśli ugrzęźniemy, zobaczysz komary wielkie jak ważki".

"Widziałem komary wielkie jak jaskółki tam w Rangely, pszepani - mówię - i oboje chyba ciut za dużo ważymy, żeby nas prąd zniósł".

- Ona się śmieje. "No, w każdym razie ostrzegałam cię. Jedziemy, Homerze".

- "A jeśli nie dojedziemy za dwie godziny i czterdzieści pięć minut - dodaję chytrze - pani miała mi kupić flaszkę Irish Mist".

Patrzy na mnie trochę zdziwiona z otwartych drzwi samochodu, z jedną nogą w środku. "Homer, do diabła - mówi - mówiłam ci, że tamto pierwsze miejsce było tymczasowe. Znalazłam jeszcze krótszą drogę. Będziemy tam za dwie i pół godziny. Wsiadaj, Homer. Jedziemy na wycieczkę". Znowu przerwał, ręce leżące spokojnie na udach, oczy zamglone, jakby widział tę dwuosobową wyścigówkę barwy szampana ruszającą ze stromego podjazdu Toddów.

- Zahamowała na końcu podjazdu i pyta: "Na pewno?". "Gaz do dechy" - mówię. Łożysko kulkowe w jej kostce obróciło się i ciężka stopa opadła. Nie bardzo wiem, co było dalej. Tylko że po chwili nie mogłem oderwać od niej oczu. Coś dzikiego wypełzło na jej twarz, Dave... coś dzikiego i coś wolnego, i napędziło mi niezłego stracha. Była piękna i pokochałem ją; każdy by ją pokochał, w każdym razie każdy mężczyzna i może nawet każda kobieta, ale jednocześnie bałem się jej, bo wyglądała tak, jakby mogła mnie zabić, gdyby oderwała oczy od drogi i spojrzała na mnie, i postanowiła odwzajemnić tę miłość. Nosila błękitne dżinsy i starą białą koszulę z podwiniętymi rękawami... myślałem, że może zamierzała coś malować na tylnym tarasie, kiedy przyjechałem... ale po jakimś czasie zdawało mi się, że nie ma na sobie nic oprócz takiej białej falującej rzeczy, jak w tych starych książkach o bogach i boginiach.

Zamyślił się, spoglądając na jezioro z bardzo poważną twarzą.

- Jak ta łowczyni, która podobno jeździ na księżycu po niebie.

- Diana?

- Aha. Księżyc to jej maszynka. Phelia wyglądała tak dla mnie i mówię ci uczciwie, że miłość mnie poraziła i nigdy nie zrobiłbym żadnego ruchu, choć wtedy byłem młodszy niż teraz. Nie ruszyłem się nawet, gdybym miał dwadzieścia lat, chociaż pewnie tak, gdybym miał szesnaście, i zginąłbym przez własną głupotę... zginąłbym, gdyby spojrzała na mnie w ten sposób.

- Była jak ta kobieta jadąca na księżycu po niebie, do połowy wychylona nad błotnikiem, przejrzyste szaty powiewały za nią jak srebrne nitki babiego lata, rozwiane włosy odsłaniały ciemne małe wgłębienia na skroniach, zaciniała konie i wołała do mnie, żebym jechał szybciej, chociaż ledwie dyszały, szybciej, szybciej, szybciej.

- Przejechaliśmy kilka leśnych dróg... pierwsze dwie czy trzy znałem, a potem już nie znałem żadnej. Niezły widok dla tych drzew, które nigdy nie widziały samochodów, tylko wielkie stare ciągniki i pługi śnieżne; ta mała maszynka, która bardziej pasowała do Bulwaru Zachodzącego Słońca niż tutaj, śmigała przez las, pluła spalinami, wdrapywała się na pagórki i zjeżdżała z rykiem przez zielone zakurzone smugi popołudniowego słońca... Phelia opuściła dach i czułem wszystkie zapachy tego lasu, wiesz, taki piękny stary zapach, jak coś zwykle zostawiane w spokoju i rzadko naruszane. Przejechaliśmy po balach ułożonych w najbardziej bagnistych miejscach, czarne błoto chlupało pomiędzy kłodami, a ona śmiała się jak dziecko. Niektóre kłody były stare i spróchniałe, bo nikt nie odwiedzał tych dróg - to znaczy oprócz niej - przez jakieś pięć czy dziesięć lat. Byliśmy sami, tylko ptaki i zwierzęta nas widziały. Hałas silnika tej maszynki, najpierw jednostajny warkot, a potem coraz wyższe wycie, kiedy wciskała sprzęgło i redukowała bieg... był jedynym mechanicznym dźwiękiem. I chociaż wiedziałem, że przez cały czas byliśmy blisko jakiegoś zamieszkanego miejsca... teraz zawsze tak jest... to miałem uczucie, że cofnęliśmy się w czasie i tam nie było nic. Że gdybym wszedł na wysokie drzewo i rozejrzał się na wszystkie strony, nic bym nie zobaczył, tylko las, las i znowu las. I przez cały czas ona ciągle dociskała gaz, z rozwianymi włosami, uśmiechnięta, z błyszczącymi oczami. Więc wyjechaliśmy na Speckled Bird Mountain Road i przez chwilę znowu wiedziałem, gdzie jesteśmy, a potem skręciła i przez chwilę zdawało mi się, że wiem, a potem już nawet przestałem się oszukiwać. Skręciliśmy w następną leśną dróżkę, a potem wyjechaliśmy - przysięgam - na porządną brukowaną szosę z znakiem MAGISTRALA B. Słyszałeś kiedyś, żeby w stanie Maine była droga oznaczona Magistrala B?

- Nie - mówię. - Brzmi z angielska.

- Aha. I wygląda jak angielska. Te drzewa jak wierzby zwieszające gałęzie nad drogą. "Teraz uważaj, Homerze - mówi ona - jedna prawie mnie złapała miesiąc temu i parzyła jak pokrzywa". Nie wiedziałem, o czym ona mówi, ale potem zobaczyłem, że chociaż nie było wiatru, gałęzie tych drzew sięgały w dół... wyciągały się w dół. Pod zielonymi baziami wyglądały czarno i mokro. Nie wierzyłem własnym oczom. Potem jedna z nich zerwała mi czapkę i już wiedziałem, że nie śnię. "Hej! - krzyknąłem. - Oddaj to!".

"Za późno, Homerze - mówi ona ze śmiechem. - Przed nami światło... nic nam nie grozi".

Potem następna nachyla się tym razem od strony Phelii i próbuje ją złapać... przysięgam. Uchyliła się, a gałąź chwyciła ją za włosy i wyrwała lok. "Au, cholera, jak to boli!" - krzyczy Phelia, ale ze śmiechem. Samochód trochę się zatoczył, kiedy zrobiła unik, i zajrzałem w głąb lasu, Boże święty, Dave! Tam wszystko się ruszało. Trawa falowała i rośliny były całe powykręcane, jakby się wykrzywiały, i zobaczyłem coś siedzącego na pniaku, co wyglądało jak rzekotka, ale wielkości dorosłego kota.

Potem wyjechaliśmy z cienia na szczyt wzgórza i ona mówi: "Już! Zabawnie było, prawda?", jakby wspominała spacer po Nawiedzonym Domu na jarmarku we Fryeburgu.

Pięć minut później skręciliśmy w następną leśną drogę. Nie chciałem już więcej oglądać lasu, możesz mi wierzyć, ale to był zwyczajny stary las. Pół godziny później zajechaliśmy na parking Grillu Pilota w Bangor. Ona pokazuje swój mały licznik i mówi: "Rzuć okiem, Homer". Więc spojrzałem i przeczytałem 178,6. "I co teraz myślisz? Wierzysz w mój skrót?".

Ten dziki wyraz twarzy prawie zniknął i wyglądała znowu jak Phelia Todd. Ale ta druga twarz nie zniknęła całkiem. Zupełnie jakby była dwiema kobietami, Phelia i Dianą, i ta część, która była Dianą, przejmowała kontrolę podczas jazdy bocznymi drogami i dlatego Phelia nie miała pojęcia, że jej skrót prowadzi przez miejsca... miejsca, których nie ma na żadnej mapie stanu Maine, nawet na tych odblaskach geodezyjnych.

- I znowu pyta: "Co myślisz p moim skręcie, Homer?".

A ja mówię pierwszą rzecz, jaka mi przychodzi do głowy, chociaż takich rzeczy nie mówi się damie w rodzaju Phelii Todd: "To zajebisty skrót, pszepani".

Ona śmieje się cała zadowolona, i wtedy widzę, jasno jak słońce: Ona nie pamiętała żadnej z tych dziwnych rzeczy. Ani wierzbowych gałęzi - tylko że to nie były wierzby, wcale niepodobne do wierzb ani do niczego innego - które zabrały mi czapkę, ani tego napisu MAGISTRALA B, ani tego okropnego żabiego stwora. Nie pamiętała żadnej z tych dziwnych rzeczy! Albo wszystko mi się przyśniło, albo jej się przyśniło coś innego. Jedno wiedziałem na pewno, Dave, że przejechaliśmy tylko 177 kilometrów i dojechaliśmy do Bangor, i to nie był sen; wszystko pokazywał ten mały licznik, czarno na białym.

"No, masz rację - mówi ona. - Naprawdę jest zajebisty. Szkoda tylko, że nie mogę namówić Wortha, aby kiedyś spróbował... ale on nigdy nie wyjdzie ze swojej koleiny, chyba żeby go stamtąd wyrzucić, jednak do tego potrzeba co najmniej pocisku Tytan II, bo Worth zbudował sobie schron atomowy na samym dnie tej koleiny. Chodź, Homer, wejdziemy do środka i postawię ci obiad".

I postawiła mi obiad jak się patrzy, Dave, ale nie mogłem jeść. Ciągle myślałem o drodze powrotnej, jak będzie teraz, kiedy się ściemnia. Potem w połowie obiadu ona przeprosiła i poszła zadzwonić. Kiedy wróciła, zapytała mnie, czy mogę odprowadzić jej maszynkę z powrotem do Castle Rock. Powiedziała, że rozmawiała z jakąś kobietą, która jest w tym samym szkolnym komitecie, i ta kobieta powiedziała, że mają jakieś kłopoty. Powiedziała, że wynajmie samochód u Hertza, jeśli Worth jej nie odwiezie. "Bardzo nie chcesz wracać po ciemku?" - pyta mnie.

- Popatrzyła na mnie z takim uśmiechem i wiedziałem, że pamiętała niektóre rzeczy... Bóg jeden wie ile, ale dostatecznie dużo, żeby wiedzieć, że na pewno nie pojadę jej skrótem po zmroku, jeśli w ogóle... chociaż widziałem po błysku w jej oczach, iż jej to nie robiło różnicy.

Toteż powiedziałem, że nie robi mi różnicy, i dokończyłem obiad z lepszym apetytem niż na początku. Zanim skończyliśmy, zrobiło się ciemno. Podrzuciła nas pod dom tej kobiety, do której dzwoniła. A kiedy wysiadła, spojrzała na mnie z tym samym błyskiem w oczach i mówi: "Na pewno nie chcesz zaczekać, Homerze? Widziałam dzisiaj kilka bocznych dróg i chociaż nie mogę ich znaleźć na mapach, powinny urwać jeszcze kilka kilometrów".

Mówię na to: "Chciałbym, pszepani, ale w moim wieku najlepiej spać we własnym łóżku, już sprawdziłem. Odstawię pani samochód na miejsce bez jednego zadrapania, chociaż pewnie nabiję więcej kilometrów na liczniku niż pani".

Ona roześmiała się tak miękko i pocałowała mnie. To był najlepszy pocałunek w całym moim życiu, Dave. Tylko w policzek, czysty pocałunek zameżnej kobiety, ale dojrzały jak brzoskwinia albo jak te kwiaty, które otwierają się w nocy, i kiedy dotknęła wargami mojej skóry, poczułem się jak... nie wiem dokładnie, co poczułem, bo mężczyzna nie bardzo może zachować te rzeczy, które zdarzyły mu się z dziewczyną, kiedy była dojrzała i kiedy świat był młody, zapamiętać to uczucie... trochę mętnie gadam, ale chyba rozumiesz. Te rzeczy we wspomnieniach są za czerwoną mgiełką i nie widzisz ich wyraźnie.

"Słodki jesteś, Homerze, i kocham cię za to, że mnie wysłuchałeś i ze mną pojechałeś - mówi ona. - Jedź ostrożnie".

Potem weszła do domu tej kobiety. Ja pojechałem do domu.

- Jaką drogą? - zapytałem. Zaśmiał się cicho.

- Autostradą, ty głupku - odparł i nigdy jeszcze nie widziałem tyłu zmarszczek na jego twarzy. Siedział i patrzył w niebo.

- Nadeszło lato, kiedy zniknęła. Nieczęsto ją widywałem... tamtego lata był pożar, pamiętasz, a potem wielka burza, która zwała wszystkie drzewa. Dużo roboty dla dozorczy. Och, myślałem o niej czasami i o tamtym dniu, i o tamtym pocałunku, ale to wydawało się jak sen. Jak wtedy,

kiedy miałem szesnaście lat i nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o dziewczynach. Orałem zachodnie pole George'a Bascombe'a, to z widokiem na jezioro w górach, i marzyłem tak, jak marzą nastoletni chłopcy. Podważyłem zębami brony tę skałę i ona pękła, Dave, i zaczęła krwawić. Przynajmniej wyglądała, jakby krwawiła. Czerwony płyn wyciekał ze szczeliny w skale i wsiąkał w ziemię. Nigdy nikomu nie mówiłem, tylko matce, i nawet jej nie powiedziałem, co to dla mnie znaczyło ani co się ze mną stało, chociaż wyprała mi kalesony i chyba wiedziała. W każdym razie poradziła, żebym modlił się na niej. Tak zrobiłem, ale nie dostałem żadnego oświecenia i po jakimś czasie coś zaczęło mi szeptać, że to był sen. Czasami tak bywa. Są dziury w samym środku, Dave. Wiesz o tym?

- Tak - przyznałem, myśląc o pewnej nocy, kiedy coś zobaczyłem. To było w pięćdziesiątym dziewiątym, zły rok dla nas, ale moje dzieciaki nie wiedziały, że to był zły rok; wiedziały tylko, że chcą jeść jak zawsze. W sierpniu wypatrzyłem stadko jeleni na dalekim polu Henry'ego Bruggera i wróciłem tam po zmierzchu, żeby je zwabić latarką. Można ubić dwa, jak są tłuste w lecie; drugi przychodzi i obwąchuje pierwszego, jakby chciał powiedzieć: "Co u diabła? Czy to już jesień?" i trafiasz go jak na kręgielni. Odcinasz tyle mięsa, żeby wykarmić bachory przez sześć tygodni, i zakopujesz resztę. Tych dwóch jeleni nie zastrzelą myśliwi, co przyjeżdżają w listopadzie, ale dzieciaki muszą jeść. Ten gość z Massachusetts żałował, że nie może sobie pozwolić, żeby tu mieszkać przez okrągły rok, a ja mogę tylko powiedzieć, że czasami płacisz za ten przywilej po zmroku. Więc stałem tam i zobaczyłem to wielkie pomarańczowe światło na niebie; schodziło coraz niżej, a ja stałem i patrzyłem, i szczęka mi opadała aż na koszulę, a kiedy dotknęło jeziora, cała woda przez minutę świeciła purpurowopomarańczowym blaskiem, który jakby promieniował prosto w niebo. Nikt nigdy ze mną nie gadał o tym świetle i ja sam nie nikomu nie mówiłem, trochę dlatego że bałem się, że mnie wyśmieją, no i przede wszystkim, żeby nie zaczęli się zastanawiać, co, u diabła, tam robiłem po zmroku. I po jakimś czasie było tak, jak mówił Homer - jakby to mi się przyśniło, i nie miało dla mnie żadnego znaczenia, bo do niczego się nie przydało. Zupełnie jak promień księżycy. Nie ma za co złapać i nie ma do czego przyłożyć. Nie mogłem tego wykorzystać, więc zostawiłem w spokoju, jak człowiek robi, kiedy wie, że i tak dzisiaj wyjdzie na swoje.

- Są dziury w środku różnych rzeczy - powiedział Homer i usiadł prosto, jakby się rozżościł. - Dokładnie w cholernym środku rzeczy, nawet nie z lewej czy z prawej strony, gdzie masz peryferyjne widzenie i możesz powiedzieć: "A niech mnie...". Tam są dziury i omijasz je tak samo, jak omijasz wyrwę w jezdni, żeby nie złamać osi. Wiesz? A potem zapominasz. Albo kiedy orzesz, możesz odsłonić uskok. Ale jeżeli tam jest jakaś wyrwa w ziemi i widzisz ciemność, jakbyś zaglądał do jaskini, mówisz: "Skrećaj, stary koniu. Zostaw to! Tam po lewej masz dużo miejsca". Bo niepotrzebna ci jaskinia ani żadna sensacja, tylko dobra orka.

- Dziury w samym środku rzeczy.

Potem milczał przez długi czas, a ja pozwoliłem mu milczeć. Nie musiałem go poganiać. I w końcu mówi:

- Zniknęła w sierpniu. Pierwszy raz zobaczyłem ją na początku lipca i wyglądała... - Homer odwrócił się do mnie i wypowiadał każde słowo ze starannie odmierzoną naciskiem. - Dave Owensie, ona wyglądała zachwycająco! Zachwycająca, dzika i nieposkromiona. Małe zmarszczki koło oczu, które u niej przedtem zauważyłem, jakby znikły. Worth Todd był na jakiejś konferencji czy czymś takim w Bostonie. A ona stała na skraju tarasu - byłem na środku, bez koszuli - i mówi: "Homerze, nigdy nie uwierzysz".

"Nie, pszepani, ale spróbuję".

"Znalazłam dwie nowe drogi - mówi - i ostatnim razem dojechałam do Bangor po stu siedmiu kilometrach".

Pamiętałem, co mówiła wcześniej, więc odpowiadam: "To niemożliwe, pszepani. Przepraszam, ale sam wyliczyłem odległość na mapie i 126 to najmniej... lotem ptaka".

Roześmiała się i wyglądała jeszcze ładniej. Jak bogini w słońcu, na takim wzgórzu z opowieści, gdzie jest tylko zielona trawa i fontanny, i żadne ciernie nie drapią człowieka po rękach. "Słusznie - mówi - a człowiek nie przebiegnie mili szybciej niż w cztery minuty. To matematycznie udowodnione".

"To nie to samo" - mówię.

"To to samo - mówi ona. - Złóż mapę i zobaczysz, ile kilometrów jest wtedy, Homerze. Może trochę mniej niż w linii prostej, jeśli trochę złożysz mapę, albo dużo mniej, jeśli złożysz bardziej".

Wtedy przypomniałem sobie naszą przejażdżkę, jak się przypomina sen, i mówię: "Pszepani, można złożyć papierową mapę, ale nie można złożyć ziemi. A przynajmniej nie powinna pani próbować. Trzeba ją zostawić w spokoju".

"Nie, szanowny panie - odpowiada ona. - To jedyna rzecz w moim życiu, której nie zostawię, bo znalazłam ją i teraz jest moja".

Trzy tygodnie później... jakieś dwa tygodnie przed zniknięciem... zadzwoniła do mnie z Bangor. I mówi: "Worth pojechał do Nowego Jorku, a ja wracam do domu. Zgubiłam gdzieś ten cholerny klucz, Homerze. Otwórz mi drzwi, żebym mogła wejść do środka".

No, telefon odebrałem o ósmej, akurat kiedy zaczęło się ściemniać. Zjadłem kanapkę i wypilem piwo przed wyjściem... jakieś dwadzieścia minut. Potem dojechałem na miejsce. W sumie trwało to ze czterdzieści pięć minut. Kiedy podjechałem pod dom Toddów, zobaczyłem światło w spiżarni, którego sam wcześniej nie zostawiłem. Patrzyłem na to światło i mało nie wpadłem na jej maszynkę. Stała zaparkowana trochę krzywo, jakby parkował ją pijany, i była zachlapana błotem aż po same szyby, a w błocie tkwiły jakieś badyle, które wyglądały jak wodorosty... tylko że kiedy padło na nie światło, jakby się ruszały. Zaparkowałem za mercedesem i wysiadłem z ciężarówki. To nie były wodorosty, ale jakieś inne zielska i naprawdę się ruszały... powoli i niemrawo, jak gdyby umierały. Dotknąłem jednego i próbowało owinąć mi się wokół ręki. W dotyku było oślizłe i paskudne. Wyrwałem rękę i wytarłem o spodnie. Obszedłem samochód dookoła. Wyglądał tak, jakby przejechał sto czterdzieści kilometrów przez bagna i moczary. Wyglądał jak zmęczony. Całą przednią szybę pokrywały rozgniecione owady - tylko że nie przypominały żadnych owadów, jakie dotąd widywałem. Była tam ćma wielkości wróbla, która jeszcze trzepotała skrzydełkami, słabo i zamierająco. Były jakby komary, tylko że miały prawdziwe oczy, widziałem je... i one też mnie widziały. Słyszałem, jak te zielska drapią o karoserię mercedesa, umierają, próbują czegoś dosięgnąć. I myślałem tylko o jednym: Gdzie ona była, do cholery? I jakim cudem dojechała tutaj ledwie w trzy kwadranse? Potem zobaczyłem coś jeszcze. Na kracie chłodnicy tkwił jakiś zmiażdżony zwierzak, tuż pod tym znakiem mercedesa... tym, co wygląda jak gwiazda wpisana w koło. No więc przejechane zwierzaki zwykle przyczepiają się pod samochodem, bo kulą się przed uderzeniem w nadziei, że samochód ich nie zauważy i ocala skórę. Ale czasami taki zwierzak skacze, nie w bok, lecz prosto na cholerny samochód, jakby chciał przynajmniej raz porządnie ugryźć to draństwo, które chce go zabić... sam to widziałem. Ten stwór pewnie tak zrobił. A wyglądał wystarczająco wrednie, żeby rzucić się na czołg. Wyglądał jak skrzyżowanie świstaka z łasicą, ale miał jeszcze inne kawałki, na które nawet nie chciałeś patrzeć. Oczy bolały od patrzenia, Dave; gorzej, mózg bolał. Sierść miał zlepioną krwią, między poduszkami na łapach sterczały pazury jak u kota, tylko dłuższe. Wielkie żółtawe oczy były szkliste. Jako dzieciak, miałem szklaną kulkę z marmurowym wzorkiem, która tak wyglądała. I zęby. Długie, cienkie zęby, ostre jak cholerne igły, sterczały mu z pyska. Kilka wbiło się w tę stalową kratownicę. Dlatego ciągle się trzymał; wisiał na własnych zębach. Tylko na niego spojrzałem i od razu wiedziałem, że jest jadowity jak grzechotnik i skoczył na tę maszynkę,

kiedy miała go przejechać, żeby ją ukąsić na śmierć. I nie chciałem go stamtąd ściągać, bo miałem pokaleczone ręce, skaleczenia od trawy, i bałem się, że padnę trupem, jak ta trucizna dostanie się do ran.

Otworzyłem drzwi od strony kierowcy. Zapaliło się wewnętrzne oświetlenie i spojrzałem na ten specjalny licznik, który nastawiała przed wyjazdem... i zobaczyłem, że pokazywał 50,6.

Popatrzyłem na niego chwilę, a potem poszedłem do tylnych drzwi. Zerwała siatkę i rozbiła szybę przy zamku, żeby wsunąć rękę do środka i otworzyć drzwi. Wisiała tam kartka: "Drogi Homerze - przyjechałam trochę szybciej, niż myślałam. Znalazłam skrót naprawdę bombowy! Jeszcze nie dojechałeś, więc włamałam się do środka. Worth przyjeżdża pojutrze. Zdasz przedtem naprawić siatkę i wstawić nową szybę? Mam nadzieję. Takie rzeczy zawsze go denerwują. Jeśli nie wyjdę się przywitać, to znaczy, że poszłam spać. Jazda była bardzo męcząca, ale pobiłam rekord! Ophelia".

Męcząca! Popatrzyłem jeszcze raz na to straszidło zwisające z kratownicy i pomyślałem sobie, taak, pewnie była męcząca. Jak cholera.

Ponownie zrobił przerwę i rozprostował palce, aż strzeliło mu w stawach.

- Widziałem ją jeszcze tylko raz. Jakiś tydzień później. Worth był, ale pływał w jeziorze, tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby piłował drzewo albo podpisywał papiery. Raczej jakby podpisywał papiery.

"Pszepani - mówię - to nie mój interes, ale powinna pani dać sobie spokój. Tamtego wieczoru, jak pani wróciła i wybiła szybę w drzwiach, żeby wejść, widziałem coś przyczepione do pani samochodu...".

"Och, świstak! Sprzątnęłam go" - mówi ona.

"Chryste! - mówię. - Mam nadzieję, że pani była ostrożna".

"Włożyłam ogrodowe rękawice Wortha - powiedziała. - Zresztą to nie było nic takiego, tylko przejechany świstak, trochę jadowity".

"Ale pszepani - mówię - gdzie są świstaki, tam są i niedźwiedzie. A jeśli tak wyglądają świstaki na paninym skrócie, co będzie, jak pani napotka niedźwiedzia?".

Spojrzała na mnie i zobaczyłem w niej tę drugą kobietę... tę Dianę. I mówi: "Jeśli tam są inne rzeczy na tych drogach, Homerze, może ja też jestem inna. Popatrz".

Włosy miała zebrane w kok na karku, tak jakoś zwinięte i spięte szpilką. Rozpuściła je. Na widok takich włosów mężczyzna zastanawia się, jak by wyglądały rozsypane na poduszce. Ona mówi: "Zaczynałam siwieć, Homerze. Widzisz jakąś siwiznę?". I rozgarnia je palcami, żeby wpuścić więcej słońca.

"Nie, pszepani" - mówię.

Patrzy na mnie, oczy jej się błyszczą i mówi: "Twoja żona to dobra kobieta, Homerze Bucklandzie, ale spotkałam ją w sklepie i na poczcie i zamieniłyśmy parę słów, i widziałam, że patrzyła na moje włosy z taką satysfakcją, którą znają tylko kobiety. Wiem, co mówi i co opowiada przyjaciółkom... że Ophelia Todd zaczęła farbować włosy. Ale nie zaczęłam. Zgubiłam drogę niejedną raz, szukając skrótu... zgubiłam drogę... i zgubiłam siwiznę". I roześmiała się nie jak studentka, tylko jak uczennica. Podziwiałem ją i pragnąłem jej piękności, lecz wtedy zobaczyłem w jej twarzy tę inną piękność... i znowu strach mnie obleciał. Strach przed nią i strach o nią.

"Pszepani - mówię - w końcu pani straci więcej niż kilka siwych włosów".

"Nie - odpowiada ona. - Mówię ci, że tam jestem inna... tam jestem cała sobą. Kiedy jadę tamtą drogą w swoim małym samochodzie, nie jestem Ophelia Todd, żoną Wortha Todda, która nigdy nie mogła donosić dziecka, albo tą kobietą, która próbowała pisać kiepskie wiersze, albo tą

kobietą, która siedzi i robi notatki na zebraniu komitetu, albo jeszcze kimś innym. Kiedy jestem na tej drodze, jestem w sercu siebie i czuję się jak..."

"Diana" - dokończyłem.

Spojrzała na mnie trochę dziwnie i trochę ze zdziwieniem, a potem roześmiała się. "Albo jakaś inna bogini - powiedziała. - Diana najbardziej pasuje, bo jestem nocnym markiem... uwielbiam siedzieć do późna, aż skończę książkę albo zagrają hymn w telewizji, no i jestem bardzo błada, jak księżyc... Worth zawsze mówił, że potrzebuję witamin albo badania krwi, albo innych takich bzdur. Ale w głębi serca chyba każda kobieta pragnie być boginią... mężczyźni słyszą zniekształcone echo tych pragnień i stawiają kobietę na piedestale (kobietę, która obsika sobie nogi, jeśli nie przykucnie! zabawne, jak o tym pomyśleć)... ale mężczyzna nie wyczuwa tego, czego pragnie kobieta. Kobieta pragnie swobody, to wszystko. Przystanąć, kiedy zechce, albo iść dalej...". Spojrzała w stronę tej swojej maszynki na podjeździe, oczy jej się zwięziły. Potem uśmiechnęła się. "Albo prowadzić samochód, Homerze. Mężczyzna tego nie widzi. Myśli, że bogini chce wylegiwać się na trawie gdzieś u stóp Olimpu i zjadać owoce, ale w tym nie ma żadnej boskości. Kobieta chce tego samego, czego chce mężczyzna... kobieta chce prowadzić samochód".

"Tylko niech pani uważa, gdzie pani jeździ" - mówię, a ona śmieje się i cmoka mnie w środek czoła.

I mówi: "Będę uważać, Homerze", ale widzę, że to nic nie znaczy, bo powiedziała to jak mężczyzna, który obiecuje żonie czy dziewczynie, że będzie uważał, chociaż wie, że nie będzie... nie może.

Wróciłem do ciężarówki i pomachałem jej na pożegnanie, a tydzień później Worth zgłosił, że zaginęła. Ona i ta maszynka. Todd czekał siedem lat, aż uznali ją oficjalnie za zmarłą, a potem odczekał jeszcze rok na dokładkę... trzeba to głupkowi przyznać... a potem ożenił się z drugą panią Todd, tą, która właśnie przejeżdżała. I nie musisz wierzyć ani w jedno cholerne słowo z tej całej gadki.

Na niebie jedna z tych wielkich płaskobrzuchych chmur przesunęła się tak, że zasłoniła upiorny półksiężyc, błądy jak mleko. I serce podskoczyło mi w piersi na ten widok, pół ze strachu, pół z miłości.

- Ale wierzę - powiedziałem. - W każde cholerne sakramenckie słowo. A nawet jeśli zełgałeś, Homerze, to powinna być prawda.

Objął mnie ramieniem za szyję i uściśnął, bo mężczyźni nie mogą zrobić nic więcej, skoro świat pozwala im całować tylko kobiety, zaśmiał się i wstał.

- Nawet jeśli nie powinna, to jest prawda - oświadczył. Wyjął zegarek z kieszeni spodni i spojrzał na niego. - Muszę pojechać i sprawdzić dom Scottów. Przejedziesz się?

- Chyba posiedzę tutaj jeszcze trochę - odparłem - i pomyślę.

Podszedł do schodów, potem odwrócił się i popatrzył na mnie z półuśmiechem.

- Wierzę, że mówiła prawdę - powiedział. - Była inna na tych drogach, które znalazła... nic tam nie śmiało jej tknąć. Mnie czy ciebie może tak, ale nie ją.

- I wierzę, że jest młoda.

Potem wsiadł do ciężarówki i pojechał sprawdzić dom Scottów.

To było dwa lata temu, a potem Homer wyjechał do Vermont, jak chyba wam mówiłem. Któregoś wieczoru przyjechał mnie odwiedzić. Włosy miał uczesane, ogolił się i pachniał jakimś ładnym płynem po goleniu. Twarz miał gładką, spojrzenie ożywione. Tamtego wieczoru wyglądał na sześćdziesiąt lat, nie na siedemdziesiąt, i cieszyłem się z tego, zazdrościłem mu i trochę go nienawidziłem. Artretyzm to drańsko uparty stary rybak, a tamtego wieczoru Homer wyglądał tak, jakby artretyzm nie wbijał haczyków w jego dłonie równie mocno jak w moje.

- Wyjeżdżam - oznajmił.
 - Aha?
 - Aha.
 - W porządku; załatwiłeś przesyłanie poczty?
 - Nie chcę żadnej poczty - odparł. - Popłaciłem rachunki. Zrywam się na dobre.
 - No to zostaw mi adres. Czasem skrobnę do ciebie, stary koniu. - Już czułem samotność owijającą mnie jak koc... a patrząc na niego wiedziałem, że nic nie jest takie, jakie się wydaje.
 - Jeszcze nie mam adresu - odparł.
 - No dobrze - powiedziałem. - Ale to w Vermont?
 - No - mówi - to wystarczy ludziom, którzy chcą wiedzieć.
- O mało nie zrezygnowałem, lecz w końcu zapytałem:

- Jak ona teraz wygląda?

- Jak Diana - odparł. - Ale jest łagodniejsza.

- Zazdroszczę ci, Homerze - wyznałem i mówiłem szczerze.

Stanąłem w drzwiach. Był zmierzch w pełni lata, kiedy pola pachną kwieciami dzikiej marchwi. Księżyc w pełni kładł srebrną ścieżkę na jeziorze. Homer przeszedł przez ganek i zszedł po schodach. Na miękkim poboczu drogi stał samochód, silnik ciężko pracował na jałowym biegu jak w tych starych wozach, które jeszcze pędzą "całą naprzód i kichać na torpedy". Jak teraz pomyśle, auto samo wyglądało jak torpeda. Trochę poobijane, ale jeszcze mogło wyciągnąć setkę i nawet się nie zasapać. On zatrzymał się u stóp schodów i podniósł coś... kanister na benzynę, taki wielki, na dziesięć galonów. Przeszedł po moim chodniku do samochodu od strony pasażera. Ona przechyliła się i otworzyła mu drzwi. W środku zapaliło się światło i przez chwilę ją widziałem, długie rude włosy wokół twarzy, czoło jaśniejące jak lampa. Jaśniejące jak księżyc. On wsiadł i odjechali. Stałem na ganku i patrzyłem, jak tylne światła jej maszyny błyszczą czerwono w mroku... coraz mniejsze i mniejsze. Jak węgle w palenisku, potem jak świetliki, a potem całkiem znikły.

Vermont, mówię miastowym i oni wierzą w Vermont, bo tylko tak daleko potrafią sięgnąć myślami. Czasami sam prawie w to wierzę, zwłaszcza kiedy jestem zmęczony i wykończony. Ale kiedy indziej myślę o nich - chyba przez cały październik, bo w październiku mężczyźni najczęściej rozmyślają o dalekich miejscach i drogach, które tam ich zawiozą. Siedzę na ławce przed frontem sklepu Bella i myślę o Homerze Bucklandzie i o pięknej dziewczynie, która przechyliła się, żeby otworzyć mu drzwi, kiedy nadszedł ścieżką z pełnym czerwonym kanistrem benzyny w prawej ręce - wyglądała jak dziewczyna najwyżej szesnastoletnia, która zwolniła się z lekcji, i jej piękność była porażająca, ale już nie zabijała mężczyzn, których obrzuciła spojrzeniem; przez chwilę jej oczy oświetliły mnie, lecz nie zabiły, chociaż częśćka mojej istoty umarła u jej stóp.

Olimp musi olśniewać oczy i serce i są tacy, którzy do niego tęsknią, i tacy, którzy znajdują do niego prostą drogę, ale ja znam Castle Rock jak własną kieszeń i nie wyjechałbym stąd dla żadnych skrótów, gdziekolwiek prowadzą; w październiku niebo nad jeziorem nie jest olśniewające, lecz ulotnie piękne z tymi wielkimi białymi chmurami, które płyną tak wolno; siedzę tutaj na ławce i myślę o Phelii Todd i Homerze Bucklandzie, i nawet nie żałuję, że nie jestem na ich miejscu... ale wciąż żałuję, że nie palę.

Przełożyła
Danuta Górską

JAUNTING

- Ostatnie wezwanie do Jauntu 701. - Miły kobiecy głos odbił się echem w całej błękitnej hali Nowojorskiego Terminalu Pasażerskiego. NTP nie zmienił się specjalnie w ciągu ostatnich trzystu lat - wciąż był lekko obskurny i nieco przerażający. Automatyczny kobiecy głos stanowił zapewne jego najmiłszy element. - Jaunting do Whitehead City na Marsie - ciągnął. - Wszyscy pasażerowie powinni już przebywać w komorze snów. Prosimy upewnić się, że mają państwo przy sobie niezbędne zezwolenia. Dziękujemy.

Komory snu na górze z całą pewnością nie można było nazwać obskurną. Całą podłogę pokrywał elegancki szary dywan. Ściany w kolorze złamanej bieli ozdobiono tu i ówdzie miłymi abstrakcyjnymi grafikami. Na suficie tańczyły i wirowały gamy kojących barw. W dużej sali ustawiono sto kozetek, po dziesięć w każdym rzędzie. Pięcioro stewardów krążyło po pomieszczeniu, przemawiając ściszymi pogodnymi głosami i częstując pasażerów mlekiem. Po jednej stronie sali widniało wejście, pilnowane przez uzbrojonych strażników i kolejną stewardesę, sprawdzającą właśnie dokumenty spóźnialskiego, znękanego biznesmena z nowojorskim "World-Timesem" pod pachą. Dokładnie naprzeciwko podłoga opadała, tworząc rynną szeroką na półtora metra i długą może na trzy, zakończoną pozbawionym drzwi otworem. Wszystko to przypominało nieco dziecięcą ślizgawkę.

Rodzina Oatesów leżała na czterech sąsiednich kozetkach do jauntingu, niemal na końcu sali.

Mark Oates i jego żona, Marilys, po bokach, w środku dwójka dzieci.

- Tato, opowiesz nam teraz o jauntingu? - spytał Ricky. - Obiecałeś.

- Tak, tato, obiecałeś - powtórzyła Patricia i zachichotała przenikliwie.

Biznesmen o byczej posturze zerknął na nich, po czym wrócił do pliku papierów, które przeglądał, leżąc na plecach ze złożonymi stopami, odzianymi w wyczyszczone do połysku buty. Zewsząd dobiegał cichy szmer rozmów oraz szelesty - to pasażerowie sadowali się na kozetkach jauntingowych.

Mark spojrzał na Marilys Oates i mrugnął. Odmrugnęła, lecz dostrzegł, że denerwuje się niemal tak mocno jak Patty. Czemu nie? - pomyślał Mark. Dla całej trójki był to pierwszy jaunting. Przez ostatnie sześć miesięcy on i Marilys dyskutowali, omawiając zalety i wady przeprowadzki całej rodziny - bo właśnie sześć miesięcy temu Texaco Water poinformowała go o przenosinach do Whitehead City. W końcu postanowili, że cała czwórka przeprowadzi się na dwa lata kontraktu Marka. Teraz, patrząc na pobladałą twarz Marilys, zastanawiał się, czy żona żałuje tej decyzji. Zerknął na zegarek. Niemal pół godziny do rozpoczęcia jauntingu. Dość czasu, by opowiedzieć całą historię, a przy okazji nieco uspokoić dzieci. Kto wie, może nawet ukoi nieco niepokój Marilys.

- W porządku - rzekł.

Ricky i Pat obserwowali go z powagą. Syn miał dwanaście lat, córka dziewięć. Mark znów uświadomił sobie, że kiedy wróca na Ziemię, Ricky będzie akurat w samym środku piekła dojrzewania, a córce zapewne zaczną rosnąć piersi. Wciąż trudno mu było w to uwierzyć. Dzieci będą uczęszczały do niewielkiej połączonej szkoły w Whitehead, wraz z setką potomków tamtejszych inżynierów i pracowników firmy naftowej. Może za kilka miesięcy jego syn wybierze się na geologiczną wycieczkę na Fobosa? Niewiarygodne... ale prawdziwe.

Kto wie? - pomyślał cierpko. Może mnie także uspokoi ta opowieść.

- Z tego, co wiemy - zaczął - jaunting został wynaleziony jakieś trzysta dwadzieścia lat temu, około roku 1987, przez Victora Carune'a. Carune dokonał tego w ramach prywatnych badań, częściowo opłacanych przez rząd - i, oczywiście, w pewnym momencie rząd przejął wszystko. Wybór był prosty: albo rząd, albo kampanie naftowe. Dokładnej daty nie znamy dlatego, że Carune był nieco ekscentryczny...

- To znaczy szalony, tato? - wtrącił Ricky.

- Ekscentryczny oznacza odrobinę szalony, kochanie - wyjaśniła Marilys i uśmiechnęła się do Marka ponad głowami dzieci.

Wygląda na nieco mniej zdenerwowaną, pomyślał Mark.

- Ach tak.

- W każdym razie Carune już dość długo prowadził doświadczenia, gdy w końcu powiadomił rząd o tym, co odkrył - ciągnął Mark. - I zrobił to tylko dlatego, że zabrakło mu pieniędzy, a oni mieli mu je zwrócić.

- Chętnie zwrócimy ci pieniądze - rzuciła Pat i znów zachichotała ostro.

- Zgadza się, kochanie. - Mark rozczochrał jej włosy. Po drugiej stronie pomieszczenia drzwi rozsunęły się bezszelestnie i do środka weszła dwójka stewardów, odzianych w jaskrawoczerwone bluzy obsługi jauntingu. Popychali przed sobą stół na kółkach, na którym umieszczono gumową rurę zakończoną dyszą ze stali nierdzewnej. Mark wiedział, że pod gustownym obrusem ukryto dwie butle gazu. Siatkowa torba przyczepiona do stołu mieściła w sobie sto jednorazowych masek. Mówił dalej, nie chcąc, by jego rodzina zbyt szybko zauważyła przedstawicieli Lety. Jeśli starczy mu czasu na opowiedzenie całej historii, z radością przyjmą swą porcję gazu.

Biorąc pod uwagę tę drugą możliwość.

- Oczywiście wiecie, że jaunting to ni mniej, ni więcej, jak tylko teleportacja. Czasami, na zajęciach z chemii i fizyki w college'u nazywają go procesem Carune'a, w istocie jednak to teleportacja i sam Carune, jeśli wierzyć legendzie, nazwał ją jauntingiem. Lubił bowiem fantastykę i znał powieść niejakiego Alfreda Bestera, zatytułowaną "Gwiazdy moje przeznaczenie". To właśnie Bester wymyślił słowo "jaunting" oznaczające teleportację, tyle że w jego książce jauntingu dokonywało się samą myślą, a my tego nie potrafimy.

Stewardzi przymocowali maskę do stalowej dyszy i podawali ją właśnie starszej kobiecie po drugiej stronie sali. Kobieta wzięła ją, odetchnęła i opadła bezwładnie na kozetkę. Jej spódnica uniosła się lekko, ukazując zwiędłe udo, pokryte gęstą siecią żyłaków. Stewarda troskliwie poprawiła jej strój. Druga zdjęła zużytą maskę i nałożyła inną. Wszystko to skojarzyło się Markowi z plastikowymi szklankami w pokojach motelowych. Gorączkowo pragnął, by Patty nieco się uspokoiła. Widywał dzieci, które trzeba było przytrzymywać siłą, czasami krzyczały, gdy gumowa maska przykrywała im twarz. Przypuszczał, że to naturalna reakcja, ale przykro było patrzeć na coś takiego i nie chciał, by spotkało też Patty. Co do Ricka, czuł się znacznie pewniej.

- Można chyba powiedzieć, że odkrycie jauntingu nastąpiło w ostatniej możliwej chwili - podjął opowieść. Zwracał się do Ricky'ego, jednocześnie jednak wyciągnął rękę i ujął dłoń córki. Jej palce natychmiast zacisnęły się wokół ręki ojca z paniczną siłą. Dłoń miała zimną i lekko spoconą. - Światowe zasoby ropy wyczerpywały się, a większość z tego, co jeszcze zostało, należała do pustynnych plemion z Bliskiego Wschodu, zdecydowanych użyć jej jako broni politycznej. Ludzie ci stworzyli kartel, który nazwali OPEC...

- Co to jest kartel, tatusiu? - wtrąciła Patty.

- No cóż, monopol - wyjaśnił Mark.

- To tak jak klub, kochanie - dodała Marilys. - I mogłaś do niego należeć, tylko jeśli miałaś mnóstwo ropy.

- Ach tak.

- Nie mam czasu, by wyjaśniać wam całą ówczesną paskudną sytuację - ciągnął Mark. - Częściowo poznacie ją w szkole, ale, uwierzcie, było naprawdę paskudnie. Jeśli ktoś miał samochód, mógł nim jeździć tylko dwa dni w tygodniu, a benzyna kosztowała piętnaście starych dolarów za galon.

- O rany! - przerwał mu Ricky. - Teraz kosztuje tylko cztery centy, prawda tato?

Mark uśmiechnął się.

- Dlatego właśnie udajemy się tam, gdzie się udajemy. Na Marsie jest dość ropy, by starczyło nam niemal na osiem tysięcy lat, a na Wenus na kolejnych dwadzieścia tysięcy. Lecz dziś ropa nie już taka istotna. Obecnie najbardziej potrzebujemy...

- Wody! - krzyknęła Patty i biznesmen znów uniósł wzrok znad papierów, uśmiechając się do niej przez moment.

- Zgadza się - przytaknął Mark. - Bo w okresie pomiędzy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym a dwa tysiące trzydziestym rokiem zatruiliśmy większość naszej. Pierwsze wydobycie wody z marsjańskich czap polarnych nazwano...

- Operacją Słomka. - To Ricky.

- Owszem. Dwa tysiące czterdzieści pięć czy coś koło tego. Lecz na długo wcześniej wykorzystywano jaunting do odnajdywania źródeł czystej wody tu, na Ziemi. A teraz woda jest podstawowym produktem eksportowym Marsa... ropa stanowi tylko dodatek. Wtedy jednak była najważniejsza. Dzieci skinęły głowami.

- Chodzi o to, że te złoża zawsze tam były, ale my mogliśmy do nich dotrzeć tylko dzięki jauntingowi. Gdy Carune wynalazł swój proces, świat stał na krawędzi nowego średniowiecza. Zaledwie zimę wcześniej, w samych Stanach Zjednoczonych zamarzło ponad dziesięć tysięcy ludzi, bo zabrakło energii, by ich ogrzać.

- Ojej - rzuciła beznamiętnie Patty.

Mark zerknął w prawo; stewardzi rozmawiali właśnie z na oko nieśmiałym mężczyzną, przekonywali go. W końcu wziął maskę i w sekundę później opadł na kozetkę, pogrążony w pozornej śmierci. To jego pierwszy raz, pomyślał Mark. Zawsze można poznać.

- Dla Carune'a wszystko zaczęło się od ołówka... kluczy... zegarka... a potem myszy. Przy myszach pojawił się pewien problem...

Ogarnięty gorączką podniecenia Victor Carune wracał do pracowni, myśląc, że teraz wie, jak czuli się Morse, Aleksander Graham Bell i Edison - tyle że on osiągnął coś znacznie większego.

Dwukrotnie omal nie rozbił ciężarówkę w drodze powrotnej ze sklepu zoologicznego w New Paltz, w którym za ostatnie dwadzieścia dolarów kupił dziewięć białych myszek. Cały jego ziemski majątek wynosił obecnie dziewięćdziesiąt trzy centy w prawej przedniej kieszeni i osiemnaście dolarów na rachunku oszczędnościowym... lecz Carune zupełnie o tym nie myślał. A nawet gdyby pomyślał, z pewnością nie przejąłby się tym.

Pracownia mieściła się w odnowionej stodole na końcu półtorakilometrowej drogi gruntowej, odchodzącej od trasy dwadzieścia sześć. I właśnie skręcając w tę drogę, omal po raz drugi nie rozbił swojej furgonetki. Jej bak był prawie pusty i miał taki pozostać przez najbliższe dziesięć dni do dwóch tygodni, to jednak także go nie obchodziło. Myśli wirowały mu w rozkoszonym podnieceniu.

To, co się zdarzyło, nie było całkiem nieoczekiwane. Rząd właśnie dlatego przyznał mu mizerną dotację w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów rocznie, że wiedział, iż w dziedzinie transmisji cząsteczkowej kryją się ogromne, niezrealizowane dotąd możliwości.

Ale że udało się ot tak... nagle... bez ostrzeżenia... i wymagało mniej prądu, niż potrzeba do zasilenia telewizora kolorowego... Boże! Chryste!

Carune zahamował gwałtownie na zwirowej drodze, złapał uchwyt leżącego obok na brudnym siedzeniu pudełka (na którym wymalowano psy, koty, chomiki i złote rybki oraz napis:

POCHODZĘ Z KRÓLESTWA ZWIERZĄT STACKPOLE'A) i rzucił się biegiem do wielkich podwójnych drzwi. Z wnętrza pudełka dobiegały piski i tupot jego obiektów doświadczalnych.

Próbował pchnąć jedno ze skrzydeł drzwi; kiedy nie ustąpiło, przypomniał sobie, że je zamknął. - Cholera! - rzucił głośno, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Rząd wymagał, aby zawsze zamykać pracownię - był to jeden z warunków dołączonych do ich pieniędzy, lecz Carune ciągle o tym zapominał.

W końcu wyciągnął klucze i przez chwilę jedynie wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany, przesuwając opuszką kciuka po wycięciach kluczyka od stacyjki. Raz jeszcze pomyślał: Boże! Chryste! Potem zaczął szukać na kółku klucza yale, otwierającego drzwi stodoły.

Tak jak to miało miejsce z pierwszą rozmową telefoniczną - Bell krzyknął do telefonu "Watsonie, chodź tu", gdy pochłapał papiery i samego siebie kwasem - również pierwszy akt teleportacji nastąpił przypadkiem. Victor Carune teleportował dwa palce swojej lewej dłoni na drugą stronę pięćdziesięciometrowej stodoły.

Carune ustawił po obu stronach stodoły dwa portale. Przy jednym stała zwykła wyrzutnia jonowa, dostępna w każdym sklepie z elektroniką za niecałe pięćset dolarów. Po drugiej, tuż za portalem - prostokątną bramką wielkości zwykłej książki - zamontował komorę pęcherzykową. Między nimi ustawił coś, co na pierwszy rzut oka przypominało nieprzejrzystą zasłonkę spod prysznic, tyle że zazwyczaj zasłonka pod prysznic nie robi się z ołowiu. Chodziło o to, by wystrzelić jony przez portal numer jeden, a potem przejść na drugą stronę i patrzeć, jak przelatują przez komorę pęcherzykową za portalem numer dwa. Ołowiana przesłona miała udowodnić, że naprawdę doszło do transmisji. Tyle że przez ostatnie dwa lata udało się to jedynie dwukrotnie i Carune nie miał zielonego pojęcia dlaczego.

Gdy ustawiał na miejscu wyrzutnię, jego palce wśliznęły się w głąb portalu - zazwyczaj nie stanowiło to problemu, tyle że tego ranka jego biodro przesunęło także przełącznik na panelu po lewej stronie bramki. Nie zauważył nawet, co się stało - maszyna wydała z siebie zaledwie cichutki pomruk - póki nie poczuł mrowienia w palcach.

"Nie przypominało to wstrząsu elektrycznego", napisał Carune w swym pierwszym i jedynym artykule na ten temat, wydrukowanym, nim rząd zamknął mu usta. Artykuł, choć trudno to sobie wyobrazić, ukazał się w piśmie "Popular Mechanics". Autor sprzedał mu go za siedemset pięćdziesiąt dolarów w ostatniej rozpaczliwej próbie zapewnienia prywatnym przedsiębiorcom dostępu do technologii jauntingu. "Nie czułem też nieprzyjemnego ukłucia, towarzyszącego złapaniu uszkodzonego przewodu. Bardziej przypominało wrażenie, jakie odnosi się, przykładając dłoń do obudowy małej, działającej na pełnych obrotach maszyny. Wibracje są tak szybkie i lekkie, że wywołują jedynie leciutkie mrowienie.

Potem spojrziałem na portal i ujrzałem, że mój palec wskazujący został odcięty ukośnie przez kostkę, a środkowy nieco powyżej. Zniknął także paznokieć trzeciego palca".

Carune instynktownie cofnął rękę, krzycząc głośno. Napisał później, że był tak przekonany, iż zobaczy krew, że przez chwilę wyobraził ją sobie. Jego łokieć uderzył w wyrzutnię jonową i stracił ją ze stołu.

Stał tak, wsuwając palce do ust i upewniając się, że wciąż są całe i na miejscu. Najpierw przyszło mu do głowy, że może ostatnio za ciężko pracował, potem pomyślał, że ostatnie modyfikacje mogły... mogły coś zmienić.

Nie wsunął jednak palców z powrotem w głąb portalu. W istocie, Carune przez resztę życia dokonał jeszcze tylko jednego jauntingu.

Z początku nic nie zrobił; długą chwilę spacerował po stodołę, wymachując rękami w powietrzu i zastanawiając się, czy powinien zadzwonić do Carsona w New Jersey, czy do Buffingtona w Charlotte. Carson, ten skąpiec, nie przyjąłby rozmowy na swój koszt, ale Buffington zapewne tak.

Wówczas coś przyszło mu do głowy i rzucił się biegiem do portalu numer dwa. Jeśli jego palce naprawdę przeniosły się na drugą stronę, może zostawiły jakiś ślad.

Oczywiście niczego nie znalazł. Portal numer dwa stał na trzech skrzynkach po pomarańczach z Pomony i nieodparcie kojarzył się z gilotyną-zabawką, pozbawioną jedynie ostrza. Po jednej stronie stalowej framugi Carune umieścił gniazdko, z którego wybiegał kabel łączący bramkę z terminalem, będącym w istocie urządzeniem do transformacji cząsteczkowej, podłączonym do komputera.

Co przypomniało mu...

Spojrzał na zegarek i przekonał się, że jest kwadrans po jedenastej. Umowa z rządem zapewniała mu skromne pieniądze i nieskończenie od nich cenniejszy czas komputerowy. Tego dnia mógł korzystać z komputera do trzeciej, a potem do widzenia, aż do poniedziałku. Musiał zacząć działać, musiał coś zrobić...

"Ponownie spojrzałem na stos skrzynek - napisał Carune w swym artykule do «Popular Mechanics». Potem przeniosłem wzrok na opuszki moich palców. I rzeczywiście, zobaczyłem dowód. Pomyślałem, że nie przekonałby on nikogo poza mną samym, lecz na początku to właśnie siebie musiałem przekonać".

- Co to było, tato? - spytał Ricky.

- Tak - dodała Patty - co?

Mark uśmiechnął się lekko. Wszyscy połknęli haczyk, nawet Marilys. Niemal zapomnieli, gdzie są. Kątem oka widział czwórkę stewardów, toczących powoli wózek między jauntowcami i usypiających ich kolejno. Już wcześniej odkrył, że wśród cywilów trwało to zawsze dłużej niż wśród wojskowych. Cywile denerwowali się i chcieli porozmawiać. Dysza i gumowa maska zanadto przypominały szpitalną salę operacyjną, na której wyposażony w noże chirurg kryje się za plecami anestezjologa, szafującego gazami ze stalowych pojemników. Czasami dochodziło do wybuchów paniki, hysterii i zawsze znajdowało się kilka osób, które po prostu się załamywały. Mark, mówiąc do dzieci, zauważył dwie: mężczyzn, którzy po prostu wstali z kozetek, bez żadnych fanfar przeszli do wyjścia, odpięli przyczepione do klap dokumenty, oddali je i nie oglądając się za siebie, wyszli. Stewardi mieli poleczone nie dyskutować z tymi, którzy chcą odejść. Na listach rezerwowych zawsze było dość ludzi, czasem nawet czterdziestu czy pięćdziesięciu, oczekujących na miejsce. Gdy ci, którzy nie mogli znieść myśli o jauntingu, wyszli, do środka wpuszczono pasażerów rezerwowych z dokumentami przypiętymi do koszul.

- Carune znalazł w swym palcu wskazującym dwie drzazgi - oznajmił Mark. - Wyciągnął je i odłożył na bok. Jedna zaginęła, lecz drugą możecie oglądać w Instytucie Smithsona w Waszyngtonie, zamkniętą w hermetycznej szklanej gablocie, obok kamieni przywiezionych przez pierwszych astronautów z Księżyca.

- Naszego Księżyca, tato, czy jednego z Marsa? - wtrącił Ricky.

- Naszego - odparł Mark z uśmiechem. - Na Marsie wylądowała tylko jedna rakieta z załogą, francuska ekspedycja, około roku 2030. W każdym razie zwykła stara drzazga ze skrzynki po pomarańczach znalazła się w Instytucie Smithsona dlatego, że była pierwszym obiektem, który został naprawdę teleportowany. Dokonał jauntingu poprzez przestrzeń.

- Co było potem? - spytała Patty.

- Cóż, podobno Carune podbiegł...

Carune podbiegł do portalu numer jeden i stał tam przez chwilę, zdyszany, z walącym sercem. Musisz się uspokoić, pomyślał. Zastanów się. Jeśli będziesz działał bez planu, nie wykorzystasz czasu.

Z rozmysłem lekceważąc instynkt wrzeszczący, że musi coś zrobić, wydłubał z kieszeni cążki i czubkiem wyciągnął drzazgi z palca. Wrzucił je niedbale do białego opakowania po batoniku, który jadł, majstrując przy transformatorze i próbując rozszerzyć jego zdolności skupiające (najwyraźniej powiodło mu się to lepiej, niż mógł kiedykolwiek marzyć). Jedna wypadła z papierka i zaginęła, druga natomiast wylądowała w Instytucie Smithsona, zamknięta w szklanej gablocie otoczonej grubymi aksamitnymi sznurami i pozostającej pod wieczną czujną strażą sterowanej komputerowo kamery przemysłowej.

Po wyjęciu drzazg Carune nieco się uspokoił. Ołówek. Nada się równie dobrze. Złapał leżący obok notatnika ołówek i wsunął łagodnie w portal numer jeden. Drewno zaczęło gładko znikać, centymetr za centymetrem, jak w optycznej sztuczce pierwszorzędnej iluzjonisty. Na jednym z jego boków czarnymi literami na żółtym drewnie wypisano EBERHARD FABER NR 2. Gdy wsunął ołówek tak, że pozostał już tylko napis EBERH, Carune obszedł portal numer jeden i zajrzał do środka.

Ujrzał przekrój ołówka; wyglądało to tak, jakby ktoś przeciął go gładko ostrym nożem. Carune zaczął obmacywać miejsce, gdzie powinna znajdować się reszta drewnianej obsadki. Oczywiście nie poczuł niczego. Pobiegł na drugą stronę stodoły, do portalu numer dwa, i ujrzał brakującą część leżącą na skrzynce. Z sercem walącym tak mocno, że zdawało się wstrząsać całą klatką piersiową, Carune chwycił czubek ołówka i pociągnął go ku sobie.

Uniósł go i obejrzał dokładnie. Nagle chwycił ołówek i napisał na desce: DZIAŁA!, tak mocno, iż podczas kreślenia ostatniej litery grafit pękł. Carune wybuchnął śmiechem; jego głos odbijał się dźwięcznym echem w pustej stodole. Śmiał się tak mocno, że spłoszył śpiące jaskółki, które zaczęły objąć się między belkami dachu.

- Działa! - krzyknął, biegnąc z powrotem do portalu numer jeden. Cały czas wymachiwał rękami, ściskając w palcach złamany ołówek. - Działa! Działa! Słyszysz mnie, Carson, ty fiucie? Działa i DOKONAŁEM TEGO!

- Mark, uważaj, jak się wyrażasz - upomniała go Marilys.

Mark wzruszył ramionami.

- Podobno to właśnie powiedział.

- Nie mógłbyś zastosować lekkiej cenzury?

- Tato? - spytała Patty. - Czy ołówek też jest w muzeum?

- A czy niedźwiedzie srają w lesie? - odparł Mark, po czym gwałtownie uniósł dłoń do ust. Dzieci zachichotały radośnie, lecz z głosu Patty zniknęła ostra nuta, a po chwili udawanej powagi Marilys także zaczęła się śmiać.

Następne były klucze. Carune po prostu cisnął je przez portal. Znow zaczął myśleć logicznie i zdecydował, że najpierw musi przekonać się, czy sam proces odmienia przesyłane rzeczy, czy też są one takie jak przedtem.

Ujrzał, jak klucze przelatują przez portal i znikają; w tym samym momencie usłyszał ich brzęk na skrzynce po drugiej stronie. Pobiegł tam - teraz już tylko truchtem - po drodze odsuwając ołowianą przesłonę. Już jej nie potrzebował, podobnie jak wyrzutni jonowej. I całe szczęście, bo wyrzutnia była kompletnie zniszczona.

Złapał klucze, podszedł do zamka, którego zamontowanie wymusił na nim rząd, i spróbował klucza yale. Klucz zadziałał. Sprawdził ten od domu. Także pasował. Podobnie jak kluczyki otwierające szafki i uruchamiające furgonetkę.

Schował do kieszeni pęk żelastwa i zdjął zegarek. Był to kwarcowy seiko LC z wbudowanym pod cyfrowym wyświetlaczem kalkulatorem - dwudziestoma czterema małymi przyciskami, które pozwalały obliczyć niemal wszystko - od dodawania i odejmowania po pierwiastek kwadratowy.

Bardzo delikatne urządzenie i, co istotne, połączone z czasomierzem. Carune położył go przed portalem numer jeden i delikatnie pchnął ołówkiem.

Przebiegł na drugą stronę i chwycił zegarek. Kiedy wsuwał go w portal, na wyświetlaczu widniało 11:31:07, obecnie wskazywał 11:31:49. Doskonale, wszystko się zgadza, tyle że powinien mieć asystenta, który stałby po drugiej stronie i raz na zawsze zanotował fakt, że przesyłaniu nie towarzyszy upływ czasu. Nieważne. Wkrótce rząd przyśle mu aż nadto asystentów; będzie mógł w nich przebierać.

Sprawdził kalkulator. Dwa i dwa wciąż równało się cztery; osiem dzielone przez cztery wciąż dawało dwa; pierwiastek kwadratowy z jedenastu nadał wynosił 3,3166247... i tak dalej.

I wtedy postanowił, że nadszedł czas na myszy.

- Co się stało z myszami, tato? - spytał Ricky.

Mark zawahał się przez moment. Będzie musiał zachować ostrożność. Nie chce przecież śmiertelnie przerazić dzieci (nie mówiąc już o żonie) zaledwie kilka minut przed ich pierwszym jauntingiem. Przede wszystkim należy przekonać całą trójkę, że obecnie wszystko jest już w porządku, problemy zostały rozwiązane.

- Jak mówiłem, pojawił się pewien problem...

Tak. Koszmar, obłąd i śmierć. Niezły problem, co dzieci?

Carune postawił na półce pudełko z napisem POCHODZĘ Z KRÓLESTWA ZWIERZĄT STACKPOLE'A i zerknął na zegarek. Do diabła, założył go do góry nogami. Przekręcił czasomierz i odkrył, że dochodzi za kwadrans druga. Została mu zaledwie godzina i piętnaście minut połączenia komputerowego. Przy dobrej zabawie czas prędko mija, pomyślał i zachichotał. Otworzył pudełko, sięgnął do środka i wyciągnął za ogon pischzącą białą myszkę. Posadził ją przed portalem numer jeden i rzekł:

- Biegnij, myszo.

Mysz posłusznie zbiegła po ścianie skrzynki, na której stał portal, i śmignęła w ką.

Przeklinając, Carune rzucił się za nią i zdołał nawet sięgnąć ku niej ręką, nim przecisnęła się przez szparę pomiędzy dwoma deskami i zniknęła.

- Cholera! - wrzasnął, pędząc z powrotem do pudełka. Zdażył akurat w porę, by wepchnąć do środka dwie potencjalne uciekiniarki. Wyciągnął drugą mysz, tym razem trzymając ją w połowie tułowia (z zawodu był fizykiem i zupełnie nie znał się na myszach), po czym błyskawicznie zamknął pudło.

Tym razem rzucił zwierzątko. Mysz usiłowała chwycić dłoń Carune'a. Na próżno; poleciała na łeb, na szyję i przeleciała przez portal. Carune natychmiast usłyszał, jak ląduje na skrzynkach po drugiej stronie stodoły.

Od razu puścił się biegiem, pamiętając, jak łatwo umknęła mu pierwsza mysz. Nie miał się o co martwić. Biała myszka siedziała bez ruchu na skrzynce, oczy miała zamglone, jej boki unosiły się lekko. Carune zwolnił i podszedł ostrożnie. Co prawda nie znał się na zwierzętach, ale nie trzeba mieć czterdziestu lat doświadczenia, by dostrzec, że coś było potwornie nie tak.

(- Po przejściu mysz nie czuła się dobrze - poinformował Mark Oates dzieci, uśmiechając się przy tym promiennie. Tylko żona dostrzegła cień fałszu w owym uśmiechu).

Carune dotknął myszki. Zupełnie jakby jego palce musnęły coś sztucznego, sprasowaną słomę albo trociny - tyle że boki wciąż unosiły się i opadały. Mysz nie spojrzała nawet na niego; nadal patrzyła przed siebie. Carune wrzucił do portalu ruchliwe żywe zwierzątko; teraz miał przed sobą coś, co przypominało żyjącą woskową podobiznę.

Uczony pstryknął palcami tuż przed różowymi oczkami myszy, która mrugnęła... i upadła na bok, martwa.

- Wówczas Carune postanowił spróbować z następną myszą - oznajmił Mark.
- Co się stało z tą pierwszą? - spytał Ricky. Mark ponownie przywołał na usta szeroki uśmiech.
- Przeszła na emeryturę z pełnymi honorami - rzekł.

Carune znalazł papierową torebkę i schował do niej mysz. Wieczorem zabierze ją do Mosconiego, weterynarza. Mosconi przeprowadzi sekcję i powie mu, czy narządy wewnętrzne zostały uszkodzone. Rząd nie będzie zachwycony tym, że wciągnął zwykłego obywatela do projektu, który, gdy tylko się o nim dowiedzą, zostanie uznany za superściśle tajny. Trudno, sutek nie cuddek, jak powiedziała kotka, gdy jej dzieci narzekały na temperaturę mleka. Carune był zdecydowany jak najdłużej odwlekać chwilę, gdy powiadomi w końcu o wszystkim Wielkiego Białego Ojca w Waszyngtonie. Owszem, pomógł mu trochę, ale teraz może zaczekać. Sutek nie cuddek.

Nagle przypomniał sobie, że Mosconi mieszka na zadupiu po drugiej stronie New Paltz, a w baku wozu nie pozostało dość benzyny, by dowieźć go nawet do miasta, nie mówiąc już o powrocie. Była druga trzy; miał jeszcze niecałą godzinę dostępu do komputera. Później będzie się martwił cholerną sekcją.

Carune skonstruował prowizoryczną pochylnię, wiodącą do wylotu portalu numer jeden (w istocie była to pierwsza rampa jauntingowa, powiedział dzieciom Mark; Patty niezwykle rozśmieszyła idea rampy jauntingowej przeznaczonej dla myszy), i rzucił na nią następną białą myszkę. Jeden koniec zastawił grubą książką; po chwili bezcelowego wiercenia się i węszenia, mysz przeszła przez portal i zniknęła.

Carune pobiegł na drugą stronę.

Ta mysz dotarła na miejsce nieżywa.

Nie dostrzegł żadnej krwi ani opuchlizny wskazującej, by gwałtowna zmiana ciśnienia uszkodziła narządy wewnętrzne. Carune zaczął podejrzewać, że może brak tlenu...

Niecierpliwie potrząsnął głową. Przebycie tej odległości zabrało myszce zaledwie kilka nanosekund; jego własny zegarek potwierdzał, że czas trwania procesu wynosił zero albo niewiele więcej.

Druga biała myszka dołączyła do pierwszej w papierowej torbie. Carune wyjął trzecią (czwartą, jeśli liczyć szczęściarę, która uciekła przez szczelinę). Po raz pierwszy zastanowił się przelotnie, co skończy się pierwsze - czas komputerowy czy zapas zwierząt doświadczalnych.

Trzymając mocno jej tułów, wsunął tylne łapki w portal i zobaczył, jak pojawiają się po drugiej stronie pomieszczenia... tylko łapki i zad. Małe samotne nóżki wpiły się rozpaczliwie w szorstkie drewno skrzynki.

Carune wyciągnął mysz z powrotem. Tym razem nie wpadła w katatonię; przeciwnie, ugryzła go aż do krwi w skórę między kciukiem a palcem wskazującym. Wrzucił ją pospiesznie z powrotem do pudełka POCHODZĘ Z KRÓLESTWA ZWIERZĄT STACKPOLE'A i sięgnął do apteczki po butelkę wody utlenionej, by zdezynfekować ranę.

Zakleił ją plastrem i po krótkich poszukiwaniach znalazł parę grubych roboczych rękawic. Czuł, że czas płynie coraz szybciej i szybciej. Była druga jedenaście.

Wydobył kolejną mysz i wepchnął ją w portal tyłem naprzód, aż do końca. Ruszył pospiesznie do portalu numer dwa. Ta mysz żyła jeszcze niemal dwie minuty; zdołała nawet przejść kawałek.

No, może "przejsć" to zbyt mocno powiedziane. Przeczłoła się chwiejnie na drugą stronę skrzynki po pomarańczach, upadła na bok, powoli dźwignęła się i przycupnęła w miejscu. Carune

pstryknął palcami tuż obok jej głowy i zwierzątko znów ruszyło naprzód. Zrobiło może cztery kroki, po czym znów upadło. Jego boki unosiły się coraz słabiej, wolniej, aż wreszcie znieruchomiały. Nie żyła.

Carune poczuł nagły dreszcz.

Wrócił, wyjął następną mysz i przepchnął ją do połowy głową naprzód. Zobaczył, jak pojawia się po drugiej stronie, sama głowa... potem szyja i klatka piersiowa. Ostrożnie zwolnił uchwyt wokół tułowia myszki, gotów schwycić ją, gdyby się szarpnęła. Ale tego nie zrobiła. Stała jedynie bez ruchu, pół ciała po jednej stronie stodoły, drugie pół po drugiej.

Carune podbiegł do portalu numer dwa.

Mysz żyła, lecz jej różowe oczy były szkliste i zamglone, a wąsiki się nie poruszały. Obchodząc portal, Carune dostrzegł zdumiewający widok. Tak jak wcześniej ołówek, widział teraz przekrój myszy; kręgi maleńkiego kręgosłupa; urywający się gwałtownie szereg małych okrągłych kół, krew krążąca w żyłach, tkanki poruszające się łagodnie w rytm przyływów i odpływów życia. Z całą pewnością, pomyślał (i napisał później w swoim artykule do "Popular Mechanics") jego urządzenie mogłoby stać się cudownym narzędziem diagnostycznym.

Nagle zauważył, że regularny ruch tkanek ustał. Mysz zdechła.

Carune wyciągnął ją za pyszczek (dotyk zwierzęcia był dziwnie niemiły) i wrzucił do papierowej torby obok towarzyszek. Dość już białych myszy, uznał. Mysz zdychają. Zdychają jeśli prześle się je całe, a także jeżeli wepchnie się do połowy głową naprzód. Wsunięte tyłem naprzód pozostają żywe.

Co tam, do diabła, jest?

Wrażenia zmysłowe, rzucił na chybił trafił. Podczas przesyłania coś widzą - słyszą, czegoś dotykają - Boże, może nawet czują zapach - coś, co je zabija. Ale co?

Nie miał pojęcia, ale zamierzał się przekonać.

Carune wciąż dysponował niemal czterdziestoma minutami, nim COMLINK. odbierze mu dostęp do baz danych. Pospieszenie odkręcił przytwierdzony do ściany obok drzwi kuchennych termometr, pobiegł truchtem do stodoły i wsunął go w portal. Na wejściu termometr wskazywał 83 stopnie Fahrenheita, na wyjściu także 83 stopnie. Carune pogrzebał w składziku, w którym przechowywał też kilka zabawek wnuczka. Wśród nich znalazł paczkę balonów. Nadmuchał jeden z nich, związał i wrzucił w portal. Balonik wynurzył się po drugiej stronie nietknięty - pierwsza wskazówka zadająca kłam teorii o nagłej zmianie ciśnienia wywoływanej przez proces, który w myślach zwał już jauntingiem.

Na pięć minut przed upływem magicznej godziny wbiegł do domu, chwycił akwarium ze złotymi rybkami (wewnątrz, Percy i Patrick wymachiwali ogonami i krążyli, wyraźnie zaniepokojeni) i popędził do stodoły. Błyskawicznie wepchnął akwarium w portal numer jeden.

Podbiegł do portalu numer dwa; akwarium stało na skrzynce. Patrick unosił się w nim brzuchem do góry. Percy krążył wolno tuż nad dnem, jakby oszołomiony. Chwilę później on także wypłynął do góry brzuchem. Carune sięgał właśnie po akwarium, gdy ogon Percy'ego drgnął lekko. Po chwili rybka znów zaczęła niemrawo pływać, powoli otrząsając się z efektu przesłania. Gdy Carune wrócił z kliniki weterynaryjnej Mosconiego o dziewiątej tegoż wieczoru, Percy wyglądał równie zdrowo jak zawsze.

Patrick nie żył.

Carune poczęstował Percy'ego podwójną porcją jedzenia dla rybek, a Patrickowi wyprawił godny bohatera pogrzeb w ogrodzie.

Gdy komputer odciął połączenie, Carune postanowił zabrać się stopem do Mosconiego. I tak, za kwadrans czwarta stanął na poboczu drogi numer dwadzieścia sześć, odziany w dzinsy i sportowy płaszcz w jaskrawą kratę, wystawiając kciuk. W drugiej ręce trzymał papierową torbę.

Po dłuższym czasie jakiś dzieciak jadący chevroletem nie większym od puszki sardynek zatrzymał się i Carune wsiadł do środka.

- Co masz w tej torbie, człowieku?

- Kilka zdechłych myszy - odparł fizyk. W końcu udało mu się zatrzymać kolejny wóz. Gdy siedzący za kółkiem farmer spytał o torbę, Carune odparł, że trzyma w niej kanapki.

Mosconi na miejscu przeprowadził sekcję jednej myszy. Obiecał, że resztę załatwi później i przekaże wyniki przez telefon. Pierwsza sekcja nie wyglądała obiecująco. Z tego, co dostrzegł weterynarz, mysz, którą rozciął, była idealnie zdrowa - poza faktem, że nie żyła.

Przygnębiające...

- Victor Carune był ekscentrykiem, ale z pewnością nie głupcem - ciągnął Mark. Stewardzi zbliżali się do nich i wiedział, że powinni się pospieszyć... albo będzie musiał dokończyć swą opowieść w wybudzalni, w Whitehead City. - Tego wieczoru, wracając do domu autostopem - a legenda głosi, że większą część drogi pokonał pieszo - uświadomił sobie, iż za jednym zamachem rozwiązał jedną trzecią kryzysu energetycznego. Wszystkie towary transportowane dotąd pociągami, ciężarówkami, łodziami i samolotami mogły być jauntowane. Każdy mógł napisać list do przyjaciela w Londynie, Rzymie czy Senegal, a adresat otrzymałby go następnego dnia, bez zużycia nawet grama paliwa. Dziś uważamy to za coś oczywistego, ale wiercie mi, dla Carune'a był to przełom. A także dla wszystkich innych.

- Ale co się stało z myszami, tato? - powtórzył Rick.

- To samo pytanie zadawał sobie Carune - wyjaśnił Mark - bo uświadomił sobie także, że gdyby ludzie mogli się jauntować, rozwiązałoby to niemal cały problem energetyczny, moglibyśmy też podbić kosmos. W swoim artykule z "Popular Mechanics" pisał, że jaunting pozwoliłby nam zdobyć nawet gwiazdy. Użył przy tym porównania do człowieka przekraczającego płytki strumień bez moczenia sobie stóp. Należy po prostu znaleźć duży kamień, wrzucić go do strumienia, znaleźć następny, stanąć na pierwszym, wrzucić tamten do strumienia, wrócić, znaleźć trzeci, wrócić na drugi kamień, wrzucić trzeci i tak dalej, póki nie zbuduje się ścieżki wiodącej na drugi brzeg... czy też, w tym przypadku, na drugą stronę Układu Słonecznego, może nawet Galaktyki.

- Nic z tego nie rozumiem - burknęła Patty.

- To dlatego że zamiast mózgu masz kozie bobki - powiedział Ricky wyraźnie zadowolony z siebie.

- Nieprawda. Tato, Ricky mówi...

- Dzieci, przestańcie - upomniała łagodnie Marilys.

- Carune praktycznie przewidział to, co się stało - ciągnął Mark. - Bezzałogowe rakiety, zaprogramowane tak, by lądować najpierw na Księżycu, potem na Marsie, Wenus, zewnętrznych księżycach Jowisza, i roboty mające do wykonania tylko jedno zadanie...

- Zbudować stację jauntingową dla astronautów - dokończył Ricky.

Mark przytaknął.

- I dziś mamy placówki naukowe w całym Układzie Słonecznym. Może kiedyś, wiele lat po naszej śmierci, zdobędziemy następną planetę. Statki jauntingowe zmierzają do czterech różnych gwiazd, mających własne układy planet... Ale minie naprawdę dużo czasu, nim tam dotrą.

- Chcę wiedzieć, co się stało z myszami - wtrąciła niecierpliwie Patty.

- W końcu rząd dowiedział się o wszystkim - podjął opowieść Mark. - Carune opóźnił ten moment, jak tylko mógł, lecz wreszcie zwęszyli sprawę i zwalili się na niego całą kupą. Aż do śmierci, w dziesięć lat później, Carune pozostał nominalnym szefem projektu jauntingowego, w istocie jednak nigdy już nim nie kierował.

- Biedak - wtrącił Ricky.

- Ale został bohaterem - zaprotestowała Patricia. - Jest we wszystkich podręcznikach do historii, tak jak prezydent Lincoln i prezydent Hart.

Z pewnością to dla niego wielka pociecha... gdziekolwiek jest, pomyślał Mark i kontynuował swą opowieść, starannie pomijając co drażliwsze kwestie.

Rząd, przyciśnięty do muru przez narastający kryzys energetyczny, istotnie zwałił się na niego całą kupą. Chcieli, by jaunting jak najszybciej zaczął zarabiać - najlepiej już wczoraj. W obliczu chaosu gospodarczego i narastającego prawdopodobieństwa anarchii i klęski głodu w latach dziewięćdziesiątych, jedynie z najwyższym trudem dali się przekonać, by odłożyć ogłoszenie nowego odkrycia do czasu wykonania pełnej analizy spektrograficznej jauntowanych przedmiotów. Gdy analizy zakończono i nie wykryto żadnych zmian w przesłanych obiektach, władze z wielkim międzynarodowym hukiem ogłosiły istnienie jauntingu. Choć raz wykazując się inteligencją (ostatecznie potrzeba to matka wynalazków), rząd zaangażował agencję Young and Rubicam, aby zajęła się PR-em.

Wówczas właśnie rozpoczęło się tworzenie mitu wokół postaci Victora Carune'a, starszego dziwaka, który brał prysznic najwyżej dwa razy w tygodniu i zmieniał ubranie tylko wtedy, gdy przysłała mu na to ochota. Young and Rubicam oraz kolejne agencje zrobiły z niego połączenie Thomasa Edisona, Eliego Whitneyego, Pecos Billa i Flasha Gordona. Najzabawniejsze - choć nieco makabryczne - było to (Mark Oates nie powtórzył tej części opowieści swojej rodzinie), że Victor Carune mógł już nawet nie żyć albo popaść w obłąd; podobno sztuka naśladuje życie, a Carune z pewnością znał powieść Roberta Heinleina, traktującą o sobowtórach zastępujących znane osoby podczas publicznych wystąpień.

Victor Carune stanowił problem; irytujący problem, którego nie dało się rozwiązać. Był wyszczekaną zawadą na drodze postępu, reliktem Ekologicznych Lat Sześćdziesiątych - czasów, gdy świat wciąż miał dość energii, by można było stawać na drodze postępu. Jednakże w Paskudnych Latach Osiemdziesiątych chmury pyłu węglowego zasnuły niebo, a spory fragment kalifornijskiego wybrzeża lada moment miało uznać za nienadający się do zamieszkania z powodu odpadów promieniotwórczych.

Victor Carune pozostał problemem mniej więcej do roku 1991. Potem stał się tylko symbolem, uśmiechniętą, spokojną, pełną godności postacią, która na kronikach machała ręką z trybun do tłumów. W 1993 roku, trzy lata przed swą oficjalną śmiercią, jechał nawet pierwszym wozem podczas Parady Róż.

Dziwne. I nieco złowieszcze.

Ogłoszenie istnienia jauntingu - działającej teleportacji - dwiętnastego października 1988 roku wywołało ogólnoświatowe podniecenie i zamęt gospodarczy. Kurs starego sponiewieranego amerykańskiego dolara osiągnął zawrotne wyżyny. Ludzie, którzy jeszcze niedawno kupowali złoto po osiemset sześć dolarów za uncję, odkryli nagle, iż obecnie za funt tego metalu otrzymują niecałe tysiąc dwieście dolarów. W ciągu roku pomiędzy ogłoszeniem istnienia jauntingu i zbudowaniem pierwszych stacji jauntingowych w Nowym Jorku i Los Angeles, indeks giełdowy wzrósł do ponad tysiąca punktów. Cena ropy spadła zaledwie o siedemdziesiąt centów za baryłkę, lecz w roku 1994, gdy stacje jauntingowe wyrosły w siedemdziesięciu głównych miastach USA, OPEC przestała istnieć, a cena ropy zaczęła spadać. W 1998 roku, kiedy stacje stworzono już w większości miast wolnego świata, a transport towarów pomiędzy Tokio i Paryżem, Paryżem i Londynem, Londynem i Nowym Jorkiem, Nowym Jorkiem i Berlinem odbywał się wyłącznie tą drogą, ropa kosztowała już tylko czternaście dolarów za baryłkę. W roku 2006, gdy ludzie zaczęli wreszcie korzystać z jauntingu na wielką skalę, giełda zatrzymała się na poziomie o pięć tysięcy

punktów wyższym niż w roku 1987, ropa kosztowała sześć dolarów za baryłkę, a koncerny naftowe zaczęły zmieniać nazwy. Texaco przekształciło się w Texaco Oil/Water, a Mobil w Mobil Hydro-2-Ox.

Do roku 2045 woda stała się najbardziej poszukiwanym bogactwem, a ropa z powrotem tym, czym była w 1906 roku - ciekawostką.

- Co się stało z myszami, tato? - dopytywała się niecierpliwie Patty. - Co się stało z myszami? Mark uznał, że teraz już może to zrobić i pokazał dzieciom stewardów, aplikujących pasażerom gaz zaledwie trzy rzędy od nich. Rick jedynie przytaknął, lecz na twarzy Patty odbił się niepokój, gdy kobieta o modnie wygolonej i pomalowanej głowie pociągnęła haust gazu z gumowej maski i straciła przytomność.

- Nie można się jauntować, kiedy jest się przytomnym, prawda, tato? - spytał Rick.

Mark przytaknął i uśmiechnął się pocieszająco do Patricii.

- Carune zrozumiał to na długo przed rządem - rzekł.

- Skąd rząd w ogóle się dowiedział, Mark? - chciała wiedzieć Marilys.

Jej mąż wciąż się uśmiechał.

- Czas komputerowy - rzekł. - Baza danych. To była jedyna rzecz, której Carune nie mógł pożyczyć, wyżebrać ani ukrąść. Komputer zajmował się transmisją cząsteczkową - kontrolował miliardy informacji. Do dziś dnia komputer pilnuje, abyś nie wylądowała u celu z głową pośrodku brzucha. Marilys zadrżała.

- Nie bój się - rzekł. - Nigdy nie doszło do czegoś takiego, Mare. Nigdy.

- Zawsze musi być pierwszy raz - wymamrotała. Mark spojrzał na Ricky'ego.

- Skąd wiedział? - spytał syna. - Skąd Carune wiedział, że trzeba zasnąć?

- Kiedy wsuwał myszy tyłem - zaczął powoli Rick - nic im się nie stało. Przynajmniej póki nie przepchnął ich całych. Tylko kiedy wsuwał je głową naprzód, były... no, zmienione. Zgadza się?

- Zgadza - odparł Mark. Stewardzi zbliżali się, popychając przed sobą milczący wózek snu. Nie starczy mu czasu na dokończenie opowieści. Może i dobrze. - Nie trzeba było wielu eksperymentów, by wyjaśnić, co się stało. Jaunting zniszczył cały przemysł transportowy, ale przynajmniej pozwoliło to naukowcom w spokoju prowadzić doświadczenia...

Owszem, znów można było stawać na drodze postępu i badania trwały ponad dwadzieścia lat, choć już pierwsze próby Carune'a z uspijonymi myszami przekonały go, że nieprzytomne zwierzęta nie odczuwają skutków tego, co on nazwał efektem organicznym, a co później ochrzczono mianem efektu jauntingowego.

Wraz z Mosconim uspili kilka myszy, spuścili je przez portal numer jeden, odebrali z drugiej strony i czekali niecierpliwie, aby zwierzęta obudziły się... bądź umarły. Myszy obudziły się i po krótkim czasie podjęły na nowo swe przerwane mysie życie - jadły, kopulowały, bawiły się, wydalają - bez najmniejszych złych skutków. Myszy te stały się pierwszym pokoleniem starannie badanych zwierząt. Nie wykryto u nich żadnych skutków długofalowych; nie umierały wcześniej, w ich miotach nie zaobserwowano potomstwa o dwóch głowach albo zielonym futrze, a u małych także nie ujawniły się żadne skutki uboczne.

- Kiedy zaczęli z ludźmi, tato? - spytał Rick, choć z pewnością czytał o tym w szkole. - Opowiedz nam o tym.

- Chcę wiedzieć, co się stało z myszami - upierała się Patty.

Choć stewardzi dotarli już do początku ich rzędu (oni sami leżeli prawie przy końcu), Mark Oates przez moment milczał, zatopiony w myślach. Jego córka, która wiedziała znacznie mniej, wiedziona głosem serca, zadała jednak najważniejsze pytanie. Postanowił zatem odpowiedzieć na pytanie syna.

Pierwszymi jauntującymi ludźmi nie zostali astronauta ani piloci oblatywacze, lecz więźniowie, ochotnicy, których nie sprawdzono nawet pod kątem stabilności psychologicznej. W istocie kierujący doświadczeniami naukowcy (Carune nie był jednym z nich; w owych czasach stał się już tylko szefem tytularnym) uważali, że im większych świrów dostaną, tym lepiej. Jeśli psychol zdoła przetrwać bez żadnych szkód - a przynajmniej nie w gorszym stanie niż wcześniej - proces zapewne będzie bezpieczny dla dyrektorów, polityków i modelek tego świata. Pół tuzina ochotników przywieziono do Province w stanie Vermont (ośrodka, który później zyskał sławę porównywalną z Kitty Hawk w Karolinie Północnej). Tam podano im gaz i przepuszczono po kolei przez portale, oddalone od siebie o trzy kilometry.

Mark opowiedział o tym dzieciom, bo rzecz jasna cała szóstka ochotników dokonała jauntingu cało i zdrowo, piękne dzięki. Nie opowiedział im natomiast o domniemanym siódmym ochotniku. Ta postać, może prawdziwa, może zmyślona, albo (co najbardziej prawdopodobne) stanowiąca połączenie prawdy i mitu, miała nawet nazwisko: Foggia. Rudy Foggia był ponoć mordercą skazanym na śmierć przez sąd stanu Floryda za zabicie czworga starszków podczas partyjki brydża w Sarasota. Według legendy, połączone siły Centralnej Agencji Wywiadowczej i Ef Bi Aj zwróciły się do Foggii z wyjątkową, jednorazową, niepowtarzalną, absolutnie precedensową ofertą. Dokona jauntingu bez usypiania. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostanie do ręki ulaskawienie, podpisane przez gubernatora Thurgooda i może odejść wolno, aby podążać drogą Świętego Krzyża, albo załatwić jeszcze kilku grających w brydża starszków. Jeśli skończy martwy bądź obłąkany, trudno. Sutek nie cudek, jak ponoć powiedziała kotka. Co on na to? Foggia, który zdawał sobie sprawę, że Floryda to jedyny stan traktujący karę śmierci bardzo serio, i którego prawnik poinformował, że jest pierwszy w kolejce do podłączenia do baterii, zgodził się. Owego Wielkiego Dnia latem 2007 roku eksperyment obserwoowało dosyć naukowców, by zapelnąć ławę przysięgłych (z czterema czy pięcioma kandydatami zapasowymi). Lecz jeśli historia Foggii była prawdziwa, a Mark Oates wierzył, że tak, poważnie wątpił, by to któryś z nich zaczął mówić. Raczej jeden ze strażników, którzy przylecieli z Foggią z Raiford do Montpelier, a potem odeskortowali go do Province w pancерnej furgonetce.

- Jeśli wyjdę z tego żywy - powiedział ponoć Foggią - zanim was pożegnają, chcę dostać na obiad kurczaka.

Następnie wkroczył w portal numer jeden i natychmiast pojawił się w portalu numer dwa. Lecz choć wyszedł żywy, Rudy Foggią nie był już w stanie zjeść żadnego kurczaka. W czasie potrzebnym do jauntingu na odległość trzech kilometrów (komputer oszacował go na 0,000 000 000 67 sekundy) włosy Foggii kompletnie posiwiały. Jego twarz nie zmieniła się - nie pojawiły się obwisłe policzki, chudość czy zmarszczki - sprawiała jednak wrażenie bardzo, niewiarygodnie starej. Foggią chwiejnie wy dostał się z portalu, tępo wybałuszając oczy. Jego ustami poruszał tik, ręce wysuwał wprost przed siebie. Nagle zaczął się ślinić. Zgromadzeni wokół w naukowcy cofnęli się i nie, Mark naprawdę wątpił, by któryś z nich powiedział o tym komukolwiek. Ostatecznie wiedzieli o szczurach, świnkach morskich i chomikach, o wszystkich zwierzętach mających mózg bardziej skomplikowany niż przeciętny płazinic. Musieli czuć się trochę jak niemieccy eksperymentatorzy, próbujący zapłodnić Żydówki spermą owczarków alzackich.

- Co się stało? - krzyknął (podobno) jeden z naukowców. Było to jedyne pytanie, na jakie Foggią zdążył odpowiedzieć.

- Tam jest wieczność - rzekł i runął martwy, powalony, jak to później stwierdzono, rozległym zawałem serca.

Zgromadzonym w bazie naukowcom pozostał tylko trup (którym natychmiast zajęły się CIA i Ef Bi Aj) oraz dziwne, straszliwe ostatnie słowa: "Tam jest wieczność".

- Tatusiu, chcę wiedzieć, co się stało z myszami - powtórzyła Patty. Mogła o to spytać tylko dlatego, że mężczyzna w drogim garniturze i superbłyszczących butach okazał się pewnym problemem dla stewardów. Tak naprawdę wcale nie miał ochoty odetchnąć gazem i ukrywał to, udając twardziela i zadając mnóstwo pytań. Stewardzi starali się robić swoje - uśmiechali się, przekonywali, zachęcali - ale zabrało to trochę czasu.

Mark westchnął. Sam poruszył ten temat - owszem, wyłącznie po to, by odwrócić uwagę dzieci od przedjauntingowych obrzędów, ale jednak sam zaczął - toteż uznał, że powinien zamknąć go możliwie blisko prawdy, tak aby nie przestraszyć ich ani nie zaniepokoić.

Toteż na przykład nie powiedział im o książce C.K. Summersa "Polityka jauntingu", zawierającej rozdział zatytułowany "Druga twarz jauntingu" - istne kompendium bardziej wiarygodnych pogłosek. Rzecz jasna znalazła się w nim historia Rudy'ego Foggii, tego od zabójstw brydżystów i niezjedzonego kurczaka na obiad, a także historie trzydziestu (może było ich więcej, może mniej, kto to wie) innych ochotników, kozłów ofiarnych bądź szaleńców, którzy przez ostatnich trzysta lat dokonali jauntingu bez usypiania. Większość z nich przybyła na miejsce martwa, reszta - beznadziejnie obłąkana. W niektórych przypadkach sam akt wyjścia wystarczył, by wywołać wstrząs prowadzący do śmierci.

Wśród pogłosek i apokryficznych historii o jauntingu Summers zamieścił także inne niepokojące wzmianki. Najwyraźniej jauntingu użyto kilka razy jako narzędzia mordu. W najsłynniejszym (i jedynym udokumentowanym) przypadku zaledwie sprzed trzydziestu lat, badacz jauntingu Lester Michaelson związał żonę pleksioplastową skakanką, należącą do córeczki, i wepchnął wrzeszczącą w portal jauntingowy w Silver City w Nevadzie. Zanim jednak to zrobił, nacisnął przycisk "zero" na konsoli, wykasowując co do jednego setki tysięcy możliwych portali, przez które mogłaby wynurzyć się pani Michaelson - od pobliskiego Reno, po doświadczalną stację jauntingową na Io, jednym z księżyców Jowisza. Gdzieś tam w ozonie, pani Michaelson wciąż jauntowała bez końca. Adwokat Michaelsona, po tym, jak jego klienta uznano za zdrowego na umyśle i zdolnego odpowiadać przed sądem (wedle wąskich definicji prawnych może i pozostawał zdrowy, lecz w każdym sensie praktycznym Lester Michaelson był równie szalony jak Kapelusznik), przedstawił nowatorską linię obrony: jego klienta nie można sądzić za morderstwo, ponieważ nikt nie potrafi dowieść z całą pewnością, że pani Michaelson nie żyje.

Straszliwa wizja kobiety, bezcielesnej, lecz wciąż świadomej, krzyczącej w otchłani - na wieki - wystarczyła. Michaelson został skazany i stracony.

Summers sugerował także, że jaunting wykorzystywany był przez przeróżnych drobnych dyktatorów do eliminowania dysydentów i przeciwników politycznych; niektórzy sądzili, iż mafia dysponuje własnymi nielegalnymi stacjami jauntingowymi, podłączonymi do centralnego komputera kontrolnego poprzez ich kontakty w CIA. Krążyły pogłoski, że mafia korzystała z zerowego jauntingu, aby pozbywać się ciał, które, w odróżnieniu od nieszczęsnej pani Michaelson, były już martwe. Z tej perspektywy jaunting jawił się jako najdoskonalsza machina do niszczenia dowodów, znacznie lepsza niż miejscowa kopalnia żwiru bądź kamieniołom.

Wszystko to prowadziło do wniosków autora i teorii dotyczących jauntingu oraz, rzecz jasna, uporczywych pytań Patty o los myszy.

- No cóż - powiedział powoli Mark; żona ostrzegła go wzrokiem, by był ostrożny. - Nawet teraz nikt do końca nie wie, Patty, lecz wszystkie doświadczenia na zwierzętach - także myszach - wskazują, że choć fizycznie jaunting jest niemal natychmiastowy, to mentalnie trwa bardzo, bardzo długo.

- Nie rozumiem - oznajmiła ponuro Patty. - Wiedziałam, że nie rozumiem.

Ricky jednak patrzył na ojca z namysłem.

- One wciąż myślały - rzekł. - Zwierzęta doświadczalne. I my także byśmy myśleli, gdyby nas nie usypiali.

- Owszem - przytaknął Mark. - Tak obecnie uważamy. W oczach Ricky'ego rozbłysło nowe światelko. Strach?

Podniecenie?

- To nie jest zwykła teleportacja, prawda tato? To rodzaj skoku w czasie.

Tam jest wieczność, pomyślał Mark.

- W pewnym sensie - powiedział głośno. - Ale to pojęcie z komiksów: brzmi dobrze, lecz w sumie nic nie znaczy. W istocie chodzi o samą ideę świadomości i fakt, że świadomości nie da się rozbić na części - pozostaje ona stała i niezmienna i zachowuje swe osobliwe poczucie czasu. Nie wiemy jednak, jak czysta świadomość mierzyłaby czas ani czy pojęcie to w ogóle cokolwiek znaczy dla czystego umysłu. Nie potrafimy nawet sobie wyobrazić, czym jest czysty umysł.

Mark umilkł. Wyraz oczu syna zaniepokoił go. Były zanadto ciekawe. Pojmuje, ale nie rozumie, pomyślał Mark. Umysł może być naszym najlepszym przyjacielem: zabawia nas, gdy nie mamy nic do czytania ani do zrobienia, ale pozbawiony zbyt długo bodźców zewnętrznych może zwrócić się przeciw nam, czyli przeciw sobie, atakując samego siebie, a może nawet pożerając w ohydny sposób siebie samego. Ile czasu mierzonego w latach trwa jaunting? Ciało przenosi się w 0,000 000 000 067 sekundy, a co z nierozdrobnioną świadomością? Sto lat? Tysiąc? Milion? Miliard? Ile czasu spędzamy sam na sam z naszymi myślami w świecie nieskończonej bieli? A potem, gdy upłynęły już miliardy wieczności, nagle powraca światło, kształt, ciało. Kto by nie oszalał?

- Ricky... - zaczął, lecz w tym momencie zjawili się stewardzi ze swoim wózkiem.

- Gotowi? - spytał jeden z nich. Mark przytaknął.

- Tatusiu, boję się - szepnęła Patty. - Czy to będzie bolało?

- Nie, kochanie, oczywiście, że nie. - Jego głos był spokojny, lecz serce biło nieco szybciej, jak zawsze, choć to miał być jego dwudziesty piąty jaunting. - Pójdę pierwszy; zobaczysz, jakie to łatwe.

Steward spojrzał na niego pytająco. Mark skinął głową i uśmiechnął się. Maskę opadła. Ujął ją w dłonie i wciągnął w płuća ciemność.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, było czarne, nieubłagane marsjańskie niebo, widoczne poprzez kopułę otaczającą Whitehead City. Na Marsie panowała noc i gwiazdy świeciły ognistym blaskiem, nieznanym na Ziemi.

Potem uświadomił sobie, że w sali wybudzeń wybuchło zamieszanie - pomruki, głosy, wreszcie przenikliwy krzyk. Dobry Boże, to przecież Marilys! - pomyślał i zerwał się z kozetki, walcząc z nagłym zawrotem głowy.

Rozległ się kolejny krzyk i Mark ujrzał biegnących ku nim stewardów. Ich długie jaskrawoczerwone tuniki łopotały wokół kolan. Marilys chwiejnie ruszyła ku niemu, wskazując coś dłonią. Raz jeszcze krzyknęła i osunęła się na podłogę. Próbowała chwycić się pustej kozetki, ta jednak odtoczyła się powoli na bok.

Lecz Mark zdążył już powędrować wzrokiem w stronę, w którą wskazywał palec żony. Zobaczył. Ów błysk w oczach Ricky'ego nie oznaczał strachu, lecz podniecenie. Powinien był wiedzieć, bo znał Ricky'ego - Ricky'ego, który gdy miał zaledwie siedem lat spadł z najwyższej gałęzi drzewa na podworku w Schenectady i złamał sobie rękę (szczęście, że tylko rękę); Ricky'ego, który odważył się pojechać na desce szybciej i dalej niż jakikolwiek inny dzieciak z sąsiedztwa; Ricky'ego, który przyjmował każde wyzwanie. Ricky i strach nie byli zbyt dobrymi przyjaciółmi. Aż do teraz.

Obok Ricky'ego leżała jego siostra, szczęśliwie wciąż pogrążona we śnie. Istota, która była jego synem, podskakiwała i wiła się na kozetce jauntingowej; dwunastoletni chłopak o śnieżnobiałych włosach i niewiarygodnie starych oczach z pożółkłymi ze starości rogówkami. Oto stwór starszy niż sam czas, udający dziecko, podskakujący i skręcający się z potworną obsceniczną radością; na dźwięk jego zduszonych obłąkańczych chichotów stewardzi cofnęli się przerażeni. Kilku uciekło, choć wszyscy przeszli szkolenie i wiedzieli, co robić, gdyby doszło do równie nieprawdopodobnego przypadku.

Stare-młode nogi podskakiwały i drżały, zakrzywione szponiasto dłonie uderzały i tańczyły w powietrzu. Nagle opadły i stwór, który był jego synem, zaczął rozdzierać nimi własną twarz.

- Dłużej, niż myślisz, tato! - chichotał. - Dłużej, niż myślisz! Wstrzymałem oddech, kiedy podali mi gaz! Chciałem zobaczyć! I zobaczyłem! Widziałem! Widziałem! Dłużej, niż myślisz!

Chichocząca i wrzeszcząca istota na kozetce nagle wydrapała sobie oczy. Trysnęła krew. W całej sali rozbrzmiewały krzyki.

- Dłużej, niż myślisz, tato! Widziałem! Widziałem! Długi jaunting! Dłużej, niż myślisz...

Stwór powiedział jeszcze więcej, nim stewardzi zdołali w końcu go usunąć, odtaczając szybko kozetkę, podczas gdy on wciąż wrzeszczał i dźgał palcami w oczy, które oglądały niewiarygodną wieczność. Powiedział jeszcze inne rzeczy, a potem zaczął krzyczeć, lecz Mark Oates już tego nie słyszał, gdyż w tym czasie sam także już krzyczał.

Przełożyła
Paulina Arbiter

WESELNA CHAŁTURA

W 1927 roku graliśmy jazz w speluncie na południu Morgan w stanie Illinois - mieście leżącym sto czterdzieści kilometrów od Chicago. Było to prawdziwe zadupie - w promieniu czterdziestu kilometrów ani jednego dużego miasta, za to mnóstwo parobków, którzy po upalnym dniu w polu mieli ochotę na coś mocniejszego, i masa przyszłych wielbicielek zespołu prowadzających się ze swoimi chłopakami, domorosłymi kowbojami. Trafiało się też paru żonatych mężczyzn (zawsze się wyróżniają, przyjacielu, zupełnie jakby mieli znaki rozpoznawcze), przybyłych z daleka, by nie spotkać kogoś znajomego, gdy się zabawiają niekoniecznie ze swoją ślubną.

Były to czasy, gdy jazz był jazzem, a nie hałasem. Mieliśmy pięcioosobową kapelę: perkusja, trąbka, puzon, fortepian, kornet - i byliśmy cholernie dobrzy. Ale do nagrania naszej pierwszej płyty i do filmów miało upłynąć jeszcze wiele lat.

Zasuwaliśmy właśnie "Bamboo Bay", kiedy pojawił się ten wielki gość w białym garniturze i z fajką, co miała więcej zakrętasów niż waltornia. Do tego czasu wszyscy byliśmy już trochę zmarnowani, za to publika tak się rozgrzała, że zaczęła roznosić knajpę. Ale myśmy się nie przejmowali, bo przez cały wieczór nikt ani razu nie wyjął kosy. Pot łał się z nas strumieniami, a Tommy Englander, właściciel, bez przerwy dolewał nam gorzały. Englander to był w porządku gość, dobrze się dla niego pracowało i w dodatku lubił naszą muzykę, dzięki czemu miał u mnie plusa wielkiego jak stodoła.

Gość w białym garniturku siadł przy barze i całkiem o nim zapomniałem. Na koniec zagraliśmy "Aunt Hagar's Blues". Ten kawałek to był wtedy hit sezonu, więc dostaliśmy duże brawa. Manny uśmiechał się szeroko, gdyśmy schodzili ze sceny. W knajpie była jedna samotna dziewczyna w zielonej sukni wieczorowej i ta dziewczyna, uważacie, przez cały wieczór robiła do mnie oko. Była ruda, a rude zawsze mnie cholernie kręciły. Dała mi znak głową, więc ruszyłem do niej przez tłum, żeby spytać, czy czasem nie ma ochoty na drinka.

Byłem już w połowie drogi, kiedy facet w białym garniturze zastąpił mi drogę. Z bliska wyglądał na kawał twardziela. Włosy na karku jeżyły mu się jak szczotka, choć śmierdział, jakby wylał sobie na łeb wiadro pomady... i miał dziwne, płaskie i lśniące oczy, takie jak u niektórych ryb morskich.

- Chcę z tobą pogadać na zewnątrz - powiedział. Ruda nadała się i odwróciła głowę.

- To może poczekać - ja mu na to. - Puszczaj.

- Nazywam się Scollay. Mike Scollay.

Znałem to nazwisko. Mike Scollay to był taki drobny kanciarz, co zarabiał na łatwe życie, szmuglując gorzałę z Kanady. Taki sport, który się zaczął w kraju, gdzie faceci chodzą w spodniczkach i grają na dudach... jak się na chwilę oderwą od pędzenia samogonu, ma się rozumieć. Parę razy widziałem jego fotkę w gazetach. Ostatnim razem, jak go chciał skasować inny gangster, niejaki Dan.

- Tu nie Chicago - zaznaczyłem.

- Przyprowadziłem paru kolegów, nic się nie martw. Wychodzimy.

Ruda spojrzała na mnie. Wskazałem Scollaya, wzruszając ramionami, Prychnęła i odwróciła się do mnie tyłem.

- No ładnie - powiedziałem. - Patrz, coś narobił.

- W Chicago za centa możesz mieć furmankę takich zdzir.

- Nie chciałem furmanki.

- Wychodzimy.

No to wyszedłem. Po dusznej atmosferze klubu powietrze wydawało się chłodne i słodko pachniało świeżo skoszoną lucerną. Widziałem gwiazdy, migoczące i piękne. Widziałem też oprychów Scollaya, nie aż tak pięknych, choć ich papierosy migotały całkiem jak gwiazdy.

- Mam dla ciebie robotę - odezwał się Scollay.

- A to ci dopiero.

- Daję dwie setki. Podziel się z kapelą albo schowaj dla siebie.

- Co to ma być?

- Występ, a co myślałeś? Moja siostra idzie do ołtarza. Chcę, żebyście zagrali na weselu. Lubi dixieland. Dwaj moi ludzie powiedzieli, że fajnie gracie dixieland.

Mówiłem już, że Englander to był w porządku gość, a płacił nam osiemdziesiąt baksów na tydzień. Ten facet dawał ponad dwa razy więcej za jeden występ.

- W przyszły piątek, od piątej do ósmej - dodał Scollay. - W Domu Synów Irlandii na Grover Street.

- No nie, tego już za wiele. Dlaczego?

- Z dwóch powodów. - Scollay pyknął z fajki; wyglądała zupełnie idiotycznie w tej jego bandyckiej mordzie. Powinien palić jakiegoś peta, może lucky strike green, a może sweet caporal

- papierosy dla bandziorów. Z fajką nie wyglądał jak bandzior. Przez tę fajkę wydawał się smutny i śmieszny.

- Z dwóch powodów - powtórzył. - Może słyszałeś, że Grek chciał mnie rozwalić?

- Widziałem zdjęcie w gazetach - odparłem. - Ty byłeś tą oferumą, co się wczołgiwała na chodnik.

- Mądrała - warknął, choć bez prawdziwej urazy. - Robię się dla niego za silny. Grek się starzeje.

Nie stać go na rzeczy wielkie. Powinien wrócić do ojczyzny, żeby tam popijać oliwę z oliwek i patrzeć na Pacyfik.

- Chyba raczej Morze Egejskie.

- Może być nawet wodospad Niagara, gównno mnie to obchodzi. Problem w tym, że Grek nie chce być stary. Ciągłe usiłuje mnie dopaść. Nie wie, że czasy się zmieniły i kto inny będzie tu rządzić.

- Ty.

- Żebyś wiedział.

- Innymi słowy, dajesz nam dwie setki, bo możemy grać przy akompaniamencie karabinów maszynowych?

Jego twarz wykrzywiła się w grymasie gniewu, lecz było tam jeszcze coś innego. Wtedy nie wiedziałem, co to takiego, ale teraz chyba już wiem. Wydaje mi się, że to był smutek.

- Bracie, mam najlepszych goryli, jakich można kupić. Jeśli jakaś łajza spróbuje się pojawić, nie będzie mieć nawet czasu, żeby się odezwać.

- Więc o co biega?

- Moja siostra wychodzi za Włocha - powiedział cicho.

- Za dobrego katolika, tak jak ty.

Znowu się wściekł i już mi się zdawało, że tym razem przegiąłem.

- Ja jestem Irlandczykiem! Dobrym Irlandczykiem, synu, i lepiej o tym nie zapominaj! - Potem dodał tak cicho, że prawie niedosłyszalnie: - Choć prawie zupełnie wyłysiałem, to i tak jestem rudy.

Chciałem coś powiedzieć, ale mi przerwał. Przyciągnął mnie do siebie i przysunął się tak blisko, że prawie stuknęliśmy się nosami. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał na twarzy wyraz takiej wściekłości, upokorzenia, gniewu i determinacji. W tamtych czasach biali nieczęsto mieli takie miny, całkiem jakby nie wiedzieli, co to znaczy cierpieć i czuć się parszywie. Kochać i nienawidzić. Ale owego wieczoru ujrzałem właśnie to na jego twarzy i zrozumiałem, że jak jeszcze parę razy otworzę jadaczkę, będzie mnie można wlewać do trumny przez lejek.

- Ona jest gruba - szepnął, owiewając mi twarz zapachem miętówek. - Bardzo wiele ludzi śmiało się ze mnie za plecami. Ale kiedy stawali przede mną, wcale nie było im wesoło, zapewniam cię, panie trębacz. Może i nie mogła złapać nikogo lepszego niż ten makaroniarz. Tyle tylko, że nie będziecie się śmiać z niej, ze mnie ani z makaroniarza. W ogóle nikt się nie będzie śmiać. Bo będziecie grać głośno jak jasna cholera. Nikt się nie będzie wyśmiewać z mojej siostry.

- Nigdy się nie śmiejemy podczas występów. Za trudno jest dmuchać.

To rozładowało napięcie. Scollay parsknął śmiechem - krótkim, przypominającym szczeknięcie.

- Macie tam być i zacząć grać o piątej. U Synów Irlandii na Grover Street. Zwrócę wam za podróż w obie strony.

To był rozkaz. Wcale nie wiedziałem, czy chcę się na to zdecydować, ale on nie dał mi czasu na dyskusję. Odwrócił się i odszedł, a jeden z goryli otworzył przed nim tylne drzwi packarda coupe. I odjechali. Postąłem trochę, wypaliłem papierosa. Wieczór był piękny i ciepły; stopniowo zaczęłam odnosić wrażenie, że to spotkanie mi się przyśniło. Myślałem właśnie, jak by to było miło, gdyby można było wynieść instrumenty na parking i grać tutaj, gdy Biff trącił mnie w ramię.

- Już pora.

- Dobra.

Weszliśmy do środka. Ruda zdążyła sobie poderwać jakiegoś szpakowatego marynarza, ze dwa razy od niej starszego. Nie mam pojęcia, co facet z marynarki wojennej robił w Illinois, ale skoro ruda nie wiedziała, co dobre, mogła go sobie wziąć na własność, mała strata. Miałem już dobrze w czubie, chciało mi się rzygać, a Scollay wydawał się o wiele bardziej realny tutaj, gdzie opary tego, co sprzedawał on i jemu podobni, były tak gęste, że można by powiesić siekierę.

- Mamy zamówienie na "Camptown Races" - odezwał się Charlie.

- Zapomnij - warknąłem. - Do północy nie gramy piosenek dla czarnuchów.

Widziałem, że Billy-Boy zeszytywniał, siadając do fortepianu, lecz po chwili jego twarz znowu była spokojna. Miałem ochotę sobie tak nakopać do tyłka, żeby się aż zakurzyło, ale przecież, do

jasnej Anielki, nie można oduczyć się przyzwyczajęń przez jedną noc, rok, a może nawet dziesięć lat. W owych czasach nienawidziłem słowa "czarnuch", choć bez końca je powtarzałem.

Podszedłem do fortepianu.

- Przepraszam, Bill... nie jestem dziś sobą.

- Jasne - mruknął, ale spoglądał gdzieś ponad moim ramieniem i wiedziałem, że przeprosiny nie zostały przyjęte. Było to paskudne uczucie, ale powiem wam, poczułem coś jeszcze gorszego. Zrozumiałem, że Billy się na mnie zawiódł.

Podczas następnej przerwy opowiedziałem chłopakom o chałturze i nie kryłem niczego na temat kasy oraz tego, że Scollay jest bandytą (choć nie wspomniałem o drugim bandycie, który go ścigał). Uprowadziłem ich też, że siostra Scollaya jest gruba, a on nie lubi, żeby o tym wspominać. I że każdy, kto sobie pozwoli na dowcipy o lądowych wielorybach, zarobi dodatkową dziurkę w głowie.

Ciągle popatrywałem na Billy'ego-Boya Williamsa, lecz miał twarz nieprzeniknioną jak kamienna maska. Łatwiej byłoby się domyślić na podstawie zmarszczek na skorupce, co kombinuje orzech włoski. Billy-Boy był naszym najlepszym pianistą i wszyscyśmy mu współczuli z powodu tych małych nieprzyjemności, na jakie się natykał podczas podróży. Oczywiście najgorzej było na południu - wydzielone miejsca w pociągach i tramwajach dla Murzynów, filmy o rajach czarnuchów, takie tam rzeczy - choć na północy też nie działa się najlepiej. Ale co niby mogłem zrobić? No? Jak jesteście tacy mądrzy, to mi powiedzcie. W tamtych czasach trzeba było się z tym pogodzić.

Dotarliśmy do Domu Synów Irlandii o czwartej - na godzinę przed przyjęciem. Przyjechaliśmy specjalną furgonetką marki Ford, którą Biff, Manny i ja złożyliśmy własnymi rękami. Skrzynię miała nakrytą plandeką, a w środku znajdowały się dwie prycze, mocno przybite do podłogi. Mieliśmy nawet zasilaną bateriami kuchenkę elektryczną, a na zewnątrz wymalowaliśmy nazwę kapeli.

Dzień był idealny, jak z landszaftu - białe chmurki rzucające cienie na pola. Ale jak tylko wjechaliśmy do miasta, zrobiło się gorąco i jakby lepko, no i cholernie hałaśliwie, od czego się odwyka w takiej dziurze jak Morgan. Zanim dotarliśmy na miejsce, ubranie zaczęło się mi kleić do skóry i chciało mi się do wychodka. Chętnie bym sobie strzelił także małpę samogonu Tommy'ego Englandera.

Dom Synów Irlandii znajdował się w takim wielkim drewnianym budynku blisko kościoła, w którym brała ślub siostra Scollaya. Znacie takie miejsca, jeśli się bawicie w te religijne hocki-klocki: kółko różańcowe we wtorki, bingo w środy i przyjęcie dla dzieci w sobotni wieczór. No i ruszyliśmy do środka, każdy z instrumentem w jednej ręce i fragmentem perkusji Biffa w drugiej. Jakiś chudy babiszon, płaski jak deska, kierował ruchem w środku sali. Dwaj spoceni goście wieszali bibułę. Na końcu sali znajdowało się podwyższenie dla kapeli, a nad nim wisiała szarfa z napisem i dwa różowe weselne dzwony z papieru. Na szarfie widniało: "NIECH NAM ŻYJĄ MAUREEN I RICO".

Maureen i Rico. Niech mnie drzwi ścisną, wreszcie zrozumiałem, dlaczego Scollay był taki wkurzony. Maureen i Rico. Ale ubaw.

Chuda ruszyła na nas. Wyglądała tak, jakby miała wiele do powiedzenia, więc od razu spałem się do ataku.

- Jesteśmy muzykami - powiedziałem.

- Muzycy? - Obejrzała podejrzliwie nasze instrumenty. - Miałam nadzieję, że to dostawcy przekąsek.

Uśmiechnąłem się, jakby dostawcy zawsze prowadzali się z puzonami i bębnami.

- Możecie... - zaczęła, ale nagle pokazał się jakiś elegancik, mniej więcej dziewiętnastoletni. Z kąta ust zwisał mu papieros, choć coś mi mówiło, że mały nie miał z tego wielkiej radochy, pominąwszy fakt, że od dymu łzawiło mu lewe oko.

- Otwierać - rozkazał.

Charlie i Biff spojrzeli na mnie. Wzruszyłem ramionami. Otworzyliśmy futerały, a mały zaczął oglądać nasze trąbki. Kiedy się przekonał, że nie da się z nich strzelać, poszedł do kąta i usiadł na składanym krzeselku.

- Możecie już ustawić swoje rzeczy - ciągnęła chuda, jakby nie zauważyła, że jej przerwano. - Fortepian stoi w drugim pokoju. Kiedy tylko moi ludzie skończą wieszać dekoracje, przesuną go tutaj.

Biff od razu zabrał się do ustawiania perkusji na małej scenie.

- Myślałam, że to dostawcy - powtórzyła chuda z roztargnieniem. - Pan Scollay zamówił tort, przystawki, pieczeń wołową i...

- Na pewno przyjdą - powiedziałem. - Płacą im od dostawy.

- ...dwie pieczenie wieprzowe, no i kapłona, i będzie wściekły, jeśli... - Spozregła, że jeden z pomocników zrobił sobie przerwę i zapalił papierosa tuż pod serpentyną z bibułki. - Henry!!! - wrzasnęła. Facet podskoczył, jakby dostał kulą. Ja uciekłem na estradę.

Za kwadrans piąta wszystko było gotowe. Puzonista Charlie pogrywał sobie z tłumikiem: uaaa, uaaa, a Biff masował nadgarstki. Dostawcy pojawili się o czwartej dwadzieścia i panna Gibson (tak nazywała się ta chuda damulka - dzięki takim imprezom zarabiała na życie) prawie rzuciła się im na szyję.

Ustawiono cztery długie stoły i przykryto je białymi obrusami. Cztery czarne kobiety w białych czepeczkach i fartuszkach zaczęły ustawiać krzesła. Tort postawiono na środku sali, żeby wszyscy go sobie dobrze obejrzeni. Był sześciopiętrowy, z małą parą nowożeńców na czubku.

Wyszedłem na dwór na papierosa i nie zdążyłem go nawet wypalić do połowy, kiedy nagle ich usłyszałem. Jechali, rycząc klaksonami i wrzeszcząc. Stałem spokojnie, aż wreszcie zobaczyłem, jak pierwszy samochód wyłania się zza rogu budynku. Wtedy zgmiotłem peta i wróciłem do środka.

- Już są - powiadomiłem pannę Gibson.

Od razu pobladła jak prześcieradło i się zachwiała. Ta kobieta powinna wybrać sobie inne zajęcie - może dekorowanie wnętrz albo bibliotekarstwo.

- Sok pomidorowy! - krzyknęła. - Przynieście sok pomidorowy!

Wróciłem na estradę i zaczęliśmy czekać w pogotowiu. Już miewaliśmy takie chałtury - jak każda kapela - i kiedy drzwi się otworzyły, z miejsca zasunęliśmy ragtime'ową wersję marsza weselnego, do której osobiście zrobiłem aranżację. Jeśli wam się wydaje, że brzmiało to po fajansiarsku, no to muszę przyznać, że macie rację, ale na weselach ludzie przeważnie kupują taki kit, a tutaj nie było inaczej. Wszyscy bili brawo, gwizdali i darli się niemiłosiernie, a potem zaczęli uderzać w gaz. Po tym, jak sobie przytupywali pod stołami poznałem, że dobrze nam idzie. Podobało im się; pomyślałem, że to będzie fajna chałtura. Wiem, co ludzie gadają o Irlandczykach i w większości to sama prawda, ale niech mnie diabli! Oni to się potrafią bawić, jak już się do tego zaborą!

No i dobrze. Zagraliśmy prawie cały numer, zanim wreszcie pojawiła się młoda para. Scollay, ubrany w jasną marynarkę i prążkowane spodnie, rzucił mi paskudne spojrzenie i przeszedł mnie ciarki. Ale zachowałem kamienną twarz, chłopaki też się opanowały - żaden nie zmylił taktu.

Nasze szczęście. Goście weselni, przeważnie sami goryle Scollaya i ich laleczki, też wiedzieli, o

co chodzi. Musieli wiedzieć, jeśli byli w kościele. Ale ja słyszałem jedynie odległe grzmoty, by tak powiedzieć.

Pewnieście słyszeli o Jacku Spratcie i jego żonie. Ta impreza była ze sto razy gorsza. Siostra Scollaya miała więcej rudych włosów niż on, a były one długie i kędzierzawe. Ale nie miały tego ładnego kasztanowego odcienia, który pewnie sobie wyobrażacie. O, co to, to nie - były pomarańczowe jak marchewka i skręcone jak sprężynki. Skórę miała białą jak mleko, tyle tylko, że trudno to było poznać przez piegi. Scollay mówił, że jest gruba? Chłopie, to mniej więcej tak, jakby powiedzieć, że w Nowym Jorku mieszka parę osób. To był normalny dinozaur - ze sto pięćdziesiąt kilo jak w pysk dał. Sadło poszło jej w piersi, biodra, tyłek i uda, tak jak zwykle grubych dziewczyn, więc to, co powinno być seksowne, zrobiło się przerażające i groteskowe. Niektóre tłuste dziewczyny mają żałośnie ładne buzie, ale siostrunię Scollaya i to ominęło. Jej oczy były zbyt blisko siebie, usta za szerokie, a uszy odstające. No i wszędzie te piegi. Nawet bez sadła byłyby tak brzydka, że ptaki by spadały w locie - całymi stadami.

Ale to wszystko nie wystarczyłoby, żeby ktoś się z niej śmiał, chyba żeby był głupi albo podły. Dopiero gdy do tego obrazka dodało się pana młodego - Rico - można się było obśmiać do łez. Nawet w cylindrze nie dosięgał jej do ramienia. Na moje oko mógł ważyć góra czterdzieści pięć kilo, w ubraniu i butach. Był chudy jak żerdź i bardzo smagły. Kiedy się uśmiechnął nerwowo, odsłonił zęby rzadkie jak sztachety.

A myśmy grali.

Scollay ryknął:

- Szczęść Boże młodej parze!

Jego srogie spojrzenie mówiło: "Jeśli Bóg im nie da szczęścia, to wy na pewno - przynajmniej dzisiaj".

Wszyscy zaczęli krzyżeć i bić brawo. Zakończyliśmy numer z przytupem; oklaski zerwały się znowu. Maureen, siostra Scollaya, uśmiechnęła się. Jezu, ależ miała wielkie te usta. Rico zrobił głupią minę.

Przez jakiś czas goście chodzili, jedli ser i kanapki z wędliną i pili najlepszą szkocką Scollaya. Ja też strzeliłem sobie ze trzy lufy między numerami i musiałem przyznać, że samogon Tommy'ego Englandera w ogóle się nie umywał.

Scollay zaczął wyglądać ciut weselej - bez przesady, ale zawsze. Podszedł raz do estrady i powiedział:

- Całkiem niezłe gracie, chłopaki.

W ustach takiego miłośnika muzyki był to prawdziwy komplement.

Tuż przed głównym posiłkiem podeszła do nas sama Maureen. Z bliska była jeszcze brzydsza, a w ślubnej sukni (wyszło na nią tyle białego atłasu, że starczyłoby na trzy komplety pościeli) wcale nie wyglądała powabnie. Spytała, czy możemy zagrać "Róże Pikardii", tak jak Red Nichols i Jego Pięć Groszy, ponieważ, powiedziała, to jest jej najukochańsza piosenka. Może i była gruba, za to nie zadzieriała nosa jak te oferty, co zamawiały u nas kawalki. Zagraliśmy, choć nie za dobrze. Ale i tak posłała w naszą stronę słodki uśmiech, przez który prawie zrobiła się ładna, i biła nam brawo.

Do stołu wszyscy usiedli kwadrans po szóstej; pomocnicy panny Gibson wtoczyli żarcie. Goście rzucili się na nie jak zwierzęta, co właściwie wcale nie było dziwne. Ja nie mogłem oderwać oczu od Maureen, która zaczęła wtrajać. Raz po raz odwracałem głowę w inną stronę, jednak po chwili musiałem choć zerknąć, jakby moje oczy chciały się upewnić, że naprawdę widzą to, co widzą. Wszyscy rąbali jak maszyny, ale przy tej dziewczynie najgorsi bandyci wyglądali jak starsze panie na herbatce. Maureen nie miała już czasu na słodkie uśmiechy i "Róże Pikardii"; można by przed nią postawić tablicę "Kobieta pracująca". Widelec i nóż nie były jej potrzebne, bardziej by

się przydała łopata i pas transmisyjny. Żalność brała patrzeć. A Rico (któremu nad stołem widać było tylko głowę o brązowych oczach, płochliwych jak u sarny) podawał jej talerze i bez końca uśmiechał się nerwowo.

Na czas krojenia tortu zrobiliśmy sobie dwadzieścia minut przerwy. Sama panna Gibson przygotowała nam poczęstunek w kuchni, rozpalonej jak piekło od tych wszystkich piecyków. Jakoś nie mieliśmy apetytu. Impreza zaczęła się fajnie, ale teraz coś się zaczęło psuć. Świadczyły o tym miny chłopaków... i nawet panny Gibson.

Kiedy wróciliśmy na estradę, wszyscy już uderzali w gaz na potęgę. Chłopy wielkie jak bawoły łąziły chwiejnym krokiem po sali i szczyrzyły się w głupich uśmiechach albo gromadziły się w kątach nad zakładami wyścigowymi. Parę osób chciało tańczyć charlestona, więc zagraliśmy im "Aunt Hagar's Blues" (te wieśniaki to łyknęły), "I'm Gonna Charleston Back to Charleston" i parę innych numerów. Jazzowy elementarz. Laleczki skakały po parkiecie, błyskały pończochami zrolowanymi w obwarzanki i wymachiwały paluszkami, wrzeszcząc "la di da o da". Na ten dźwięk po dziś dzień chce mi się rzygać. Zaczęło się ściemniać. Z jakiegoś okna zsunęła się siatka na owady i do środka wpadły chmury ciem, trzepoczących wokół żarówek. A kapela, tak jak w piosence, grała dalej. Państwo młodzi stali w kącie - chyba żadne nie miało ochoty wymknąć się wcześniej - w zupełnym zapomnieniu. Nawet Scollay o nich nie pamiętał. Był już nieźle naprany. Zbliżała się ósma, kiedy pojawił się ten mały facecik. Od razu go zauważyłem, bo był trzeźwy i przerażony - przerażony jak ślepy kot na podwórzu pełnym psów. Podszedł do Scollaya, który rozmawiał z jakąś lafiryndą tuż przy estradzie, i dotknął jego ramienia. Scollay się odwrócił; słyszałem wyraźnie każde słowo. Wierzcie mi, żałuję tego.

- A tyś co za jeden? - warknął Scollay.

- Nazywam się Demetrius - powiedział facecik. - Demetrius Katzenos. Przychodzę od Greka. Tańce ustały w jednej chwili. Odpinano guziki marynarek, ręce znikwały pod klapami. Manny był zdenerwowany. Mnie też, kurna, nie było do śmiechu. Ale graliśmy dalej, a co.

- A to dopiero - mruknął Scollay, prawie łagodnie.

- Wcale nie chciałem przyjść! - wybuchnął facecik. - To ten Grek, on ma moją żonę. On mówi: on ją zabije, jak ja nie powiem tę wiadomość!

- Jaką wiadomość? - warknął Scollay. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- On mówi... - Facecik zamilkł i skrzywił się boleśnie. Grdyka chodziła mu w górę i w dół, jakby słowa uwięzły mu w gardle. - On mówi: twoja siostra to tłusta świnia. On... on... - Zobaczył, co się maluje na twarzy Scollaya i oczy omal nie wywróciły się mu białkami do góry. Zerknąłem na Maureen; wyglądała, jakby ją ktoś walnął pięścią w twarz. - On mówi: ją śwędzi. On mówi: jak grubą kobietę śwędzą plecy, to kupuje skrobaczkę. A jak ją śwędzi to, co wiesz, to kupuje męża. Maureen wydała z siebie straszny zdławiony krzyk i wybiegła z płaczem. Podłoga pod nią zadrżała. Rico truchtem poleciał za nią, załamując ręce.

Scollay tak poczerwieniał, że policzki zrobiły się mu dosłownie fioletowe. Prawie się spodziewałem - właściwie to byłem pewien - że mózg mu bluźnie uszami. Na jego twarzy zobaczyłem ten sam wyraz co wtedy, w ciemnościach przed knajpą Englandera. Może i był zwyczajnym tanim bandziorem, ale i tak zrobiło mi się go żal. Wy też byście go pożałowali. Kiedy się odezwał, miał bardzo spokojny głos - prawie łagodny.

- Coś jeszcze?

Mały Grek zakwilił. Głos rwał mu się ze strachu.

- Pan mnie nie zabija, panie Scollay! Moja żona... ten Grek, on ma moją żonę! Ja wcale nie chcę tego powiedzieć! On ma moją żonę, moją kobietę...

- Nic ci nie zrobię - przerwał mu Scollay, jeszcze spokojniej. - Tylko mi powiedz resztę.

- On mówi: całe miasto się z pana śmieje. Przestaliśmy grać i w sali zapadła martwa cisza. Potem Scollay zwrócił spojrzenie na sufit. Obie ręce mu się trzęsły i trzymał je przed sobą, zaciśnięte w pięści. Zaciskał je tak mocno, że pod koszulą zarysowały mu się napięte ścięgna.

- Dobra! - wrzasnął. - Dobra!!!

Skoczył do drzwi. Dwaj jego ludzie starali się go powstrzymać, mówili, że to samobójstwo, że na to właśnie liczy Grek, ale Scollay jakby oszalał. Przewrócił ich i wypadł w ciemną letnią noc.

W martwym milczeniu, które zapadło po jego odejściu, słychać było tylko rżący oddech posłańca, a gdzieś z głębi sali dobiegał cichy szloch panny młodej.

Właśnie wtedy ten młodziak, co nas obszukał na samym początku, zaklął i rzucił się ku drzwiom. Tylko on.

Ale zanim zdołał dobiec pod wielki papierowy liść koniczyny w hallu, na chodniku rozległ się pisk opon i ryk silników - bardzo wielu silników. Jak na wyścigach.

- O żeż w mordę! - wrzasnął mały. - To karawan! Szefie, padnij! Padnij! Padnij...

W ciemnościach eksplodowały strzały i przez minutę, może dwie wyglądało to tak, jakby rozpętała się tam Wielka Wojna. Kule wpadały przez otwarte drzwi do budynku, jeden z lampionów pękł z trzaskiem. Za oknem zrobiło się jasno jak podczas fajerwerków. Potem samochody odjechały z rykiem. Jakaś dziewczyna wytrząsała odłamki szkła ze spiętych spinką włosów.

Dopiero teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, reszta goryli pogoniła na dwór. Drzwi kuchenne trzasnęły i wypadła przez nie Maureen. Cała się trzęsła, a twarz miała jeszcze bardziej obrzmiała niż zwykle. Rico dreptał za nią jak przestraszony pekińczyk. Wybiegli na zewnątrz.

Panna Gibson pojawiła się w pustym hallu. Miała szeroko otwarte oczy. Mały facecik, przez którego śpiewający telegram to wszystko się zaczęło, zdążył prysnąć.

- Coś tu strzelało - wymamrotała pani Gibson. - Co to było?

- Zdaje się, że Grek skasował nam szefa - powiedział Biff.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem, ale zanim zdołałem przetłumaczyć, Billy-Boy odezwał się cichym, grzecznym głosem:

- On mówi, że pan Scollay właśnie odwalił kity. Panna Gibson wytrzeszczyła oczy, jeszcze bardziej pobladła i zemdląła. Sam też poczułem się trochę słabo.

Właśnie wtedy rozległ się najbardziej rozpaczliwy krzyk, jaki zdarzyło mi się słyszeć kiedykolwiek przedtem lub potem. To nieludzkie zawodzenie ciągnęło się bez końca, bez ustanku. Nie trzeba było nawet wychodzić na dwór, by wiedzieć, kto tak łka na ulicy, kto wylewa wszystkie łzy nad zmarłym bratem, podczas gdy gliny i pismaki już biegną w jego stronę.

- Spadamy - mruknąłem. - Piorunem. Spakowaliśmy się w niespełna pięć minut. Paru opryszków wróciło do środka, ale byli zbyt pijani i przestraszeni, żeby zwracać na nas uwagę.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami; każdy niósł jakąś część perkusji Biffa. Nieźle musieliśmy wyglądać, kiedy tak zasuwaliliśmy ulicą. Otwierałem pochód z futerałem pod pachą i talerzem w każdej ręce. Chłopcy zaczekali na rogu, aż sprowadzę furgonetkę. Gliny jeszcze się nie pokazały. Gruba dziewczyna ciągle kuliła się nad ciałem brata na środku ulicy i zawodziła jak potępiona dusza, a jej malutki mąż krążył wokół niej niczym księżyc obiegający wielką planetę.

Podjechałem na róg i chłopaki wrzuciły wszystko, jak leci, na tył. Potem prysnęliśmy. Aż do Morgan pruliśmy stową, po wykrotach i w ogóle, a zbiry Scollaya albo zapomniały nas zakapować, albo gliny miały nas gdzieś, ponieważ dano nam święty spokój.

Tych dwóch stów oczywiście nie dostaliśmy.

Przyszła do Tommy'ego Englandera jakieś dziesięć dni później, gruba Irlandka w żałobnej sukni. W czerni było jej tak samo nie do twarzy jak w bieli.

Englander pewnie wiedział, co to za jedna (jej zdjęcie było we wszystkich gazetach w Chicago, zaraz obok fotki Scollaya), bo sam zaprowadził ją do stolika i uciszył paru pijaków, którzy się z niej śmiali.

Cholernie jej współczułem, tak jak czasami Billy'emu-Boyowi. Ciężko jest żyć na marginesie społeczeństwa. Nie trzeba wielkiego mędrca, żeby się tego domyślić, choć muszę przyznać, że tak naprawdę nikt nie wie, jak to jest. A przez te parę chwil, kiedy z nią rozmawiałem, wydała mi się po prostu słodka.

Podczas przerwy podszedłem do jej stolika.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedziałem z zakłopotaniem. - Wiem, że naprawdę panią kochał i...

- Równie dobrze mogłabym sama go zastrzelić - przerwała mi. Spoglądała na swoje dłonie i dopiero teraz spostrzegłem, że były naprawdę ładne, małe i delikatne. - Wszystko, co powiedział ten mały człowiek, to prawda.

- O, co znowu... - mruknąłem. Co niby miałem powiedzieć? Żałowałem, że w ogóle do niej podszedłem, bo zachowywała się bardzo dziwnie. Jakby została zupełnie sama i oszalała.

- Ale nie rozwiodę się z nim - ciągnęła. - Prędzej bym się zabiła i oddała duszę diabłu.

- Tak nie wolno mówić.

- Chciałeś się kiedyś zabić? - spytała, wbijając we mnie wzrok. - Nigdy nie czuleś, że ludzie cię wykorzystali i jeszcze się z ciebie śmieją? A może nikt ci nigdy tego nie zrobił? Możesz tak twierdzić, ale wybaczyć, nie uwierzę. Wiesz, jak to jest, kiedy ciągle jesz i jesz, i nienawidzisz się za to, a potem znowu jesz? Wiesz, jak to jest, kiedy rodzony brat umiera z powodu twojej tuszy? Ludzie odwracali się w naszą stronę, a pijacy znowu zaczęli chichotać.

- Przepraszam - szepnęła.

Chciałem powiedzieć, że mi jej żal. Chciałem powiedzieć... no, cokolwiek, żeby tylko się lepiej poczuła. Chciałem się do niej przebić przez te fałdy tłuszczu. Ale nic mi nie przychodziło do głowy.

Więc powiedziałem tylko:

- Muszę już iść. Gramy jeszcze jedną turę.

- Oczywiście - szepnęła. - Oczywiście... W przeciwnym razie zaczną się śmiać z ciebie. Ale przyszłam dlatego, że... czy moglibyście zagrać "Róże Pikardii"? Na przyjęciu graliście je bardzo ładnie. Zechcecie to zrobić?

- Jasne. Z przyjemnością.

I zagraлиśmy. Ale ona wyszła w połowie, a ponieważ ten kawałek był trochę zbyt smętny jak na knajpę Englandera, więc przerwaliśmy i przerzuciliśmy się na ragtime'ową wersję "The Varsity Drag". To zawsze się podobało. Przez resztę wieczoru piłem zbyt dużo, a do zamknięcia całkiem o niej zapomniałem. No, prawie całkiem.

Kiedy wychodziłem, wreszcie przyszło mi do głowy, co powinienem jej powiedzieć. Życie toczy się dalej - tak, właśnie to. Tak się mówi ludziom, którzy stracili ukochaną osobę. Ale potem przemyślałem sprawę i jednak byłem zadowolony, że tego nie powiedziałem. Bo chyba tego właśnie się bała.

Oczywiście teraz wszyscy słyszeli już o Maureen Romano i jej mężu Rico, który ją przeżył i obecnie mieszka sobie na koszt państwa w więzieniu w stanie Illinois. Wiadomo, jak przejęła rządy nad mizerną organizacją swego brata i jak zmieniła ją w imperium czasów prohibicji, rywalizujące z gangiem Capone'a. Jak skasowała dwóch przywódców drugiego gangu z North Side i zagarnęła ich wpływy. Jak przyprowadzono jej Greka i jak go rzekomo zabiła, wbijając mu w lewe oko strunę fortepianową i przebijając nią mózg, podczas gdy on klęczał przed nią i błagał

o litość. Rico, ten przestraszony pekińczyk, został jej prawą ręką i był osobiście odpowiedzialny co najmniej za tuzin akcji.

Śledziłem osiągnięcia Maureen z zachodniego wybrzeża, gdzie nagraliśmy parę bardzo popularnych płyt. Bez Billy'ego-Boya. Założył własną kapelę tuż po tym, jak porzuciliśmy Englandera - zespół samych czarnych, grający dixieland i ragtime. Odnieśli na południu spory sukces, co bardzo mnie ucieszyło. Dobrze się stało, że odszedł. W wielu wytwórniach nie poproszono by nas nawet na przesłuchanie, gdybyśmy mieli czarnego w składzie.

Ale mówiłem o Maureen. Znalazła się na pierwszych stronach gazet i nie tylko dlatego, że wyglądała jak inteligentna Ma Barker, choć to się także liczyło. Była strasznie wielka i strasznie zła, a wszyscy Amerykanie mieli do niej jakieś dziwne upodobanie. Kiedy w 1933 roku zmarła na atak serca, niektóre gazety podały, że ważyła dwieście pięćdziesiąt kiło. Ale ja w to nie wierzę. Nikt nie może być aż tak gruby, no nie?

Dobra, do rzeczy. O jej pogrzebie wszystkie gazety pisały na pierwszej stronie. Nie można było tego powiedzieć o jej bracie, który przez całą swoją żalosną karierę nie zaszedł dalej niż na czwartą stronę. Trzeba było dziesięciu chłopów, żeby udźwignąć jej trumnę, niektóre brukowce zamieściły nawet zdjęcie. Naprawdę, straszliwy widok. Trumna miała rozmiary lodówki przemysłowej - którą prawdopodobnie była.

Jej mężowi nie starczyło rozumu, by samodzielnie utrzymał interes i za rok posadzili go za napad i usiłowanie zabójstwa.

Nigdy nie udało mi się zapomnieć o Maureen ani o rozpaczliwym spojrzeniu zbitego psa, które Scollay miał tamtej pierwszej nocy, gdy o niej mówił. Ale teraz, kiedy się tak zastanawiam, nie mogę jej za bardzo żałować. Grubi ludzie zawsze mogą przestać jeść. Ludzie tacy jak Billy-Boy Williams mogą tylko przestać oddychać. Nadal nie mam pojęcia, jak mógłbym im obojgu pomóc, ale naprawdę, ciągle mnie coś gryzie, kiedy o nich myślę. Pewnie to dlatego, że jestem już stary i nie śpię tak dobrze jak kiedyś. To chyba dlatego, prawda?

Prawda?

Przełożyła
Maciejka Mazan

LAMENT PARANOIKA

@Już nie mogę wychodzić.
Przy drzwiach stoi człowiek
w przeciwdeszczowym płaszczu
i pali papierosa.

Ale

opisałem go w dzienniku
i teraz koperty leżą rzędem
na łóżku, krwistoczerwone w blasku
barowego neonu naprzeciwko.

Dobrze wie, że jeśli umrę
(albo choćby zaginę bez wieści),
mój dziennik zabierze poczta i wszyscy się dowiedzą:

siedziba CIA jest w Wirginii.

500 kopert kupowanych
w 500 kioskach, każda inna,
i 500 notesów
po 500 stron w każdym.

Jestem gotów.

Widzę go stąd.
Papieros mruga
znad samego kołnierza,
a metrem jedzie człowiek,
siedzi pod reklamą black velvet i powtarza w myślach
moje imię.

Rozmawiają o mnie w zakamarkach.
Kiedy dzwoni telefon, słyszę tylko martwy oddech.
W barze naprzeciwko w męskiej toalecie
Zmienił właściciela pękaty rewolwer.
Na każdym pocisku jest moje imię.
Moje imię figuruje w kartotekach
I w prasowych nekrologach.

Przesłuchiowano moją matkę;
Dzięki Bogu nie żyje.

Mają próbki pisma,
Analizują mój moc
I uderzenia na polu golfowym.

Mówiłem wam, że mój brat jest z nimi?
Jego żona jest Rosjanką,
Wciąż wypełniani za nią jakieś kwestionariusze.
Wszystko opisałem w dzienniku.
Słuchaj...
słuchaj
słuchaj:
musisz mnie wysłuchać.

W deszczu na przystanku,
czarne wrony z czarnymi parasolami
udają, że spoglądają na zegarki, ale
nie pada. Oczy mają ze srebrnych dolarówek.
Część z nich to naukowcy opłacani przez FBI,
większość to cudzoziemcy, od których roi się
na ulicach. Wykiwałem ich,

wysiadłem z autobusu na rogu Dwudziestej Piątej
i Lexington,
tam gdzie taksówkarz obserwował mnie zza rozłożonej
gazety.

Stara kobieta w pokoju nade mną
postawiła na podłodze kubek z elektryczną przyssawką.
Wysłała promienie przez mój żyrandol,
więc piszę po ciemku
przy blasku neonu.
Mówię ci, że WIEM.
Nasłali na mnie psa w brązowe łąty
z anteną radiową w nosie.
Utopiłem go w zlewie i opisałem
w teczce GAMMA.

Już nie zaglądam do skrzynki na listy.
W świątecznych kartkach są ukryte bomby.

(Cofnij się! Cofnij się,
do jasnej cholery! Wiesz, kogo znam?
Czy ty wiesz, kogo ja znam?!)

Podłoga w barze gada,
a kelnerka twierdzi że przyniosła mi sól, chociaż ja wiem,
że to arsenik. Do tego żółtawy smak musztardy
dla zabicia gorzkiej woni migdałów.

Widziałem dziwne światła na niebie.
Wczorajszej nocy człowiek o ciemnej skórze, za to bez
twarzy, pełził
piętnaście kilometrów kanałami ściekowymi aż do mojej
toalety.
Wśluchiwał się chromowanymi uszami w moje rozmowy
telefoniczne.
Mówię ci, ja go słyszę.

Widziałem ślady jego rąk
na porcelanie.

Czy już ci mówiłem
że nie używam telefonu?

Chcą zalać ziemię ściekami.
Chcą wedrzeć się przemocą.

Mają lekarzy,

którzy zalecają dziwaczne pozycje seksualne.
Produkują uzależniające środki przeczyszczające
i piekące czopki.

Wiedzą, jak zgasić słońce
strzałami z wiatrówek.
Czy już ci mówiłem, że okładam się lodem?
W ten sposób oszukuję ich prześwielarki.
Znam zaklęcia i noszę amulety.
Może wydaje ci się, że masz mnie w garści, ale ja
mógłbym
zniszczyć cię w każdej chwili.

W każdej chwili.

W każdej chwili.

Masz ochotę na kawę, kochanie?

Czy już ci mówiłem, że nie mogę wychodzić?
W drzwiach stoi człowiek
w przeciwdeszczowym płaszczu.

Przełożył
Arkadiusz Nakoniecznik

TRATWA

Jeziro Cascade dzieliło od Uniwersytetu Horlicksa w Pittsburghu sześćdziesiąt kilometrów. I choć w tej części świata w październiku zmrok zapada szybko, a oni wyruszyli dopiero o szóstej, gdy dotarli na miejsce, niebo wciąż jeszcze całkiem nie pociemniało. Przyjechali camaro Deke'a. Deke nawet na trzeźwo nie lubił tracić czasu, a po paru piwach sprawiał, że wóz ożywał. Ledwie zdążył zatrzymać samochód przy ogrodzeniu oddzielającym parking od plaży, a już wyprysnął na zewnątrz, jednocześnie ściągając koszulę. Jego wzrok powędrował ku wodzie w poszukiwaniu tratwy. Randy z lekkim wahaniem wysiadł po drugiej stronie. Prawda, to był jego pomysł, ale nigdy nie przypuszczał, że Deke potraktuje go poważnie. Dziewczęta wierciły się na tylnym siedzeniu.

Oczy Deke'a uparcie badały wodę, wędrując z boku na bok. (Oczy snajpera, pomyślał Randy i myśl ta go zaniepokoiła). W końcu skupiły się na jednym punkcie.

- Jest! - krzyknął, waląc dłonią w maskę camaro. - Tak jak mówiłeś, Randy. A niech mnie! To dopiero!

- Deke... - zaczął Randy, poprawiając na nosie okulary, ale nawet nie próbował mówić dalej, bo tamten zdążył już przeskoczyć ogrodzenie i biegł teraz plażą, nie oglądając się na Randy'ego, Rachel czy LaVerne. Ani na moment nie spuszczał wzroku z tratwy zakotwiczonej jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu.

Randy odwrócił głowę, jakby zamierzał przeprosić dziewczyny za to, że je w to wciągnął, one jednak obserwowały Deke'a. Rachel miała do tego prawo, Rachel była jego dziewczyną, ale

LaVerne też na niego patrzyła i przez ułamek sekundy Randy poczuł palące ukłucie zazdrości, które pchnęło go do czynu. Zdjął bluzę, rzucił ją obok okrycia Deke'a i przeskoczył przez płot. - Randy! - zawołała LaVerne, on jednak uniósł tylko rękę w szarym październikowym powietrzu, zachęcając, by poszły w jego ślady. Przez moment niemal zniechęcił się za to - dziewczyna wahała się, może nawet była gotowa wszystko odwołać. Pomysł październikowej kąpieli w pustym jeziorze znacznie wykraczał poza ramy zwyczajnych przechwałek w mieszkaniu, które dzielili z Dekiem. Lubił LaVerne, ale Deke był silniejszy, a ona wyraźnie na niego leciała, co potwornie drażniło Randy'ego.

Deke, nie zwalniając kroku, rozpiął dżinsy i zsunął je z wąskich bioder. Jakimś cudem udało mu się ściągnąć je w biegu; Randy nie zdołałby tego dokonać nawet za tysiąc lat. Deke pędził dalej, ubrany jedynie w skąpe slipki. Mięśnie na jego plecach i pośladkach grały popisowo. Randy, boleśnie świadom własnej chudości, zrzucił levisy i niezgrabnie wyskoczył z nogawek - u Deke'a przypominało to balet, u niego burleskę.

Deke wpadł do wody i ryknął:

- Ale zimna! Matko Boska!

Randy zawahał się, lecz tylko w myślach, tam bowiem wszystko trwało dłużej. Woda ma jakieś siedem, najwyżej dziesięć stopni, podpowiadał mu umysł. Taki wstrząs może zatrzymać ci serce. Studiował medycynę, wiedział, że to prawda... ale w świecie rzeczywistym nie było czasu na wahania. Wskoczył do jeziora i na ułamek sekundy jego serce rzeczywiście zamarło, albo tak mu się przynajmniej zdawało. Oddech ugrzązł mu w gardle i musiał zmusić płuca do nabrania powietrza. Zanurzona w wodzie skóra natychmiast straciła czucie. Wariactwo, pomyślał, ale to twój pomysł, Pancho. Zaczął płynąć za Dekiem.

Dziewczyny spojrzały po sobie. W końcu LaVerne uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Jeśli oni mogą, to my też - oznajmiła, zdejmując koszulkę Lacoste, spod której wyłonił się niemal przezroczysty stanik.

- Podobno dziewczyny mają dodatkową warstwę tłuszczu.

Z tymi słowy przeskoczyła przez płot i popędziła do jeziora, rozpinając spodnie. Po chwili Rachel ruszyła w jej ślady, tak jak Randy pobiegł w ślady Deke'a.

Dziewczyny zjawiły się u nich wczesnym popołudniem - we wtorki żadne z nich nie miało zajęć później niż o pierwszej. Deke dostał właśnie miesięczne stypendium - jeden z absolwentów mających hysia na punkcie futbolu (gracze nazywali ich "aniołami") zadbał o to, by co miesiąc dostawał dwie setki w gotówce - w lodówce ziębiła się skrzynka piwa, a na wysłużonym gramofonie Randy'ego grała nowa płyta Night Ranger. Cała czwórka zaczęła popijać i wkrótce przyjemnie zaszumiało im w głowach. Po jakimś czasie rozmowa zeszała na temat końca długiego babiego lata. W radiu zapowiadano, że we środę spadnie pierwszy śnieg. LaVerne była zdania, iż meteorolodzy przepowiadający śnieżycę w październiku powinni zostać rozstrzelani i wszyscy zgodzili się z jej opinią.

Rachel zauważyła, że kiedy była mała, lato zdawało się trwać wiecznie, teraz jednak, gdy dorosła ("siwa, zgrzybiała, dziewiętnastoletnia staruszka" zażartował Deke, a ona kopnęła go w kostkę), co rok wydaje się krótsze.

- Mam wrażenie, że całe życie spędziłam nad jeziorem Cascade - oznajmiła, wstając i maszerując po zniszczonym kuchennym linoleum w stronę lodówki. Zajrzała do środka, znalazła puszkę niskokalorycznego piwa, ukrytą za stosem niebieskich pojemników na żywność (w środkowym pozostały jeszcze resztki prehistorycznego chili, obecnie pokrytego grubą warstwą pleśni - Randy był dobrym studentem, a Deke świetnym graczem, ale obaj wyróżniali się wybitnym antytalentem w dziedzinie gospodarstwa domowego), i przywłaszczyła ją sobie. - Wciąż pamiętam ten dzień,

gdy pierwszy raz zdołałam dopłynąć na tratwę. Siedziałam tam dwie godziny, bo bałam się wrócić.

Usiadła obok Deke'a, który objął ją delikatnie. Uśmiechnęła się na to wspomnienie i Randy pomyślał nagle, że Rachel wygląda jak ktoś sławny, gwiazda czy gwiazdeczka, nie potrafił określić kto. Potem miał sobie przypomnieć w znacznie mniej miłych okolicznościach.

- W końcu mój brat musiał podpłynąć i odholować mnie do brzegu na dętce. Jezu, jaki był wściekły. A ja spiekłam się tak, że byście nie uwierzyli.

- Tratwa wciąż tam jest - mruknął Randy wyłącznie po to, by coś powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że LaVerne znów patrzy na Deke'a. Ostatnio często na niego patrzyła.

Teraz jednak zerknęła na niego.

- Już prawie Halloween, Randy. Plaża w Cascade jest zamknięta od połowy września.

- Ale tratwa pewnie wciąż tam stoi - upierał się Randy. - Jakies trzy tygodnie temu na zajęciach z geologii poszliśmy na drugi brzeg jeziora i widziałem ją. Wyglądała jak... - wzruszył ramionami - ...skrawek lata, który ktoś zapomniał sprzątnąć i schować w szafie do następnego roku.

Sądził, że go wyśmieją, ale nikt się nie roześmiał - nawet Deke.

- To, że była tam trzy tygodnie temu, nie znaczy, że jest też dzisiaj - nie ustępowała LaVerne.

- Wspomniałem o niej jednemu gościowi. - Randy dopił piwo - Billy'emu DeLoisowi; pamiętasz go, Deke?

Deke przytaknął.

- Grał w drugiej linii, póki nie odniósł kontuzji.

- Chyba tak. W każdym razie on stamtąd pochodzi i twierdzi, że goście, do których należy plaża, nigdy nie ściągają tratwy aż do samych mrozów. To lenie, tak przynajmniej mówił. Śmiał się, że kiedyś w końcu się spóźnią i tratwa utkwii w lodzie.

Umilkł, wspominając widok tratwy zakotwiczonej na jeziorze - kwadrat białego drewna na jaskrawym błękitcie jesiennej wody. Przypomniawszy sobie dobiegający uszu stukot umieszczonych pod nią beczek - głuche puk-puk. Dźwięk był cichy, lecz w nieruchomym powietrzu jego echo niosło się daleko. Słysząc było tylko ów odgłos oraz krakanie wron, wyklócających się o resztki pozostałe na nieuprzątniętych grządkach czyjegoś ogrodu.

- Jutro ma padać śnieg. - Rachel wstała w chwili, gdy dłoń Deke'a niemal mimowolnie powędrowała ku jej piersiom. Podeszła do okna i wyjrzała. - Niech to szlag.

- Powiem wam coś - rzucił Randy. - Jedźmy nad jezioro. Popłyniemy na tratwę, pożegnamy się z latem i wrócimy.

Gdyby nie był zdrowo podchmielony, nigdy by o tym nie wspomniawszy. Z całą pewnością nie oczekiwał też, że ktoś weźmie to sobie do serca. Ale Deke natychmiast podchwycił pomysł.

- Świetnie! Ekstra, Pancho! Naprawdę ekstra! - LaVerne podskoczyła i rozlała piwo. Uśmiechnęła się jednak i uśmiech ten zaniepokoił Randy'ego. - Zróbmy to!

- Deke, odbiło ci. - Rachel także się uśmiechała, lecz w jej uśmiechu kryło się wahanie, lekka obawa.

- Nie, naprawdę zamierzam to zrobić. - Deke chwycił płaszcz i Randy z mieszaniną podniecenia i rezygnacji dostrzegł jego minę - pełną zapału, nieco szaloną. Od trzech lat mieszkali razem - Mięśniak i Mózg, Cisco i Pancho, Batman i Robin - i Randy dobrze wiedział, co to znaczy. Deke nie żartował, zamierzał to zrobić. Decyzja zapadła.

Zapomnij, stary - ja nie idę. Słowa same cisnęły mu się na usta, zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, LaVerne zerwała się z miejsca. Jej oczy lśniły tym samym wesołym szalonym blaskiem (a może to tylko efekt zbyt dużej ilości wypitego piwa?).

- Ja w to wchodzę!

- Zatem ruszajmy. - Deke zerknął na Randy'ego. - Co ty na to, Pancho?

Randy popatrzył na Rachel i dostrzegł w jej oczach błysk rozpaczy. Jeśli o niego chodziło, Deke i LaVerne mogli pojechać razem nad jezioro i całą noc uprawiać pływanie synchroniczne. Nie byłby zachwycony, wiedząc, że rznął się jak stado drwali, lecz wcale by go to nie zdziwiło, ale oczy tej dziewczyny, przerażone, niespokojne oczy...

- Och, Ciiiiisco! - krzyknął Randy.

- Och, Pancho! - zawołał z zachwytem Deke. Przybili piątkę.

Randy pokonał już połowę drogi, gdy dostrzegł czarną plamę. Unosiła się na wodzie za tratwą po lewej stronie, bliżej środka jeziora. Pięć minut później światło byłoby już tak słabe, że wzięłby ją najwyżej za cień - jeśli w ogóle by ją dostrzegł. Plama ropy? - zastanowił się, wciąż pracując naprzód w lodowatej wodzie, bezmyślnie rejestrując pluski dziewcząt za plecami. Ale skąd ropa na jeziorze w październiku? W dodatku plama była dziwnie okrągła i mała; z pewnością nie miała więcej niż półtora metra średnicy.

- Juhuuu! - krzyknął ponownie Deke i Randy uniósł wzrok. Jego przyjaciel wspinał się po drabinie z boku tratwy, otrząsając się z wody jak pies. - Jak ci idzie, Pancho?

- Dobrze! - odkrzyknął, zwiększając tempo. W sumie nie było nawet tak źle, kiedy człowiek już raz wszedł do wody i zaczął się ruszać. Jego ciało rozgrzewało się, silnik pracował pełną parą. Czuł, jak serce przyspiesza biegu, pulsuje ciepłem. Jego rodzice mieli dom na Cape Cod, a tamtejsza woda w środku lipca była zimniejsza niż ta tutaj.

- Wydaje ci się, że teraz jest źle, Pancho? To zaczekaj, aż wyjdiesz! - wrzasnął radośnie Deke. Cały czas podskakiwał, kołysząc tratwą, i rozcierał skórę.

Randy przypomniał sobie o plamie ropy dopiero w chwili, gdy jego dłonie pochwyciły szorstkie, pokryte białą farbą drewno drabinki. Wówczas znów ją ujrzał. Była nieco bliżej. Okrągła, ciemna skaza na wodzie, niczym wielki pieprzyk unoszący się i opadający wraz z drobnymi falami. Gdy dostrzegł ją po raz pierwszy, plamę od tratwy dzieliło jakieś czterdzieści metrów, teraz zaledwie dwadzieścia.

Jak to możliwe? Jak...

W tym momencie wynurzył się z wody i zimne powietrze zaatakowało jego skórę, kłusząc ją jeszcze mocniej niż woda, kiedy do niej wskoczył.

- Cholera! - wrzasnął, zaśmiewając się i dygocząc w swych bokserkach.

- Pancho, z ciebie mucho dupiek - oznajmił wesoło Deke i podciągnął go na deski. - Dość zimno dla ciebie? Wytrzeźwiałeś?

- O tak, wytrzeźwiałem. - Zaczął podskakiwać, tak jak wcześniej Deke, zabijając ręce. Odwrócili się, aby sprawdzić, co z dziewczynami.

Rachel wyprzedziła LaVerne, której styl pływacki przypominał pieska pozbawionego wszelkich instynktów.

- Wszystko w porządku? - ryknął Deke.

- Idźcie do diabła, przekłęci macho! - odkrzyknęła LaVerne i Deke wybuchnął śmiechem.

Randy zerknął na bok i przekonał się, że dziwna okrągła plama jeszcze się zbliżyła - od tratwy dzieliło ją dziesięć metrów i odległość ta wciąż malała. Plama unosiła się na wodzie, okrągła, symetryczna niczym pokrywa stalowej beczki, lecz płynny sposób, w jaki pokonywała fale, wyraźnie dowodził, że nie jest sztywna. Nagle ogarnął go strach, potężny, choć nieokreślony.

- Płyńcie! - krzyknął do dziewcząt i schylił się, aby chwycić dłoń Rachel, która właśnie sięgała ku drabinie. Gwałtownie szarpnął ją w górę. Jej kolano rąbnęło o deski - wyraźnie usłyszał łupnięcie.

- Auu! Hej! Co się...

LaVerne wciąż dzieliły od tratwy trzy metry. Randy znów obejrzał się na bok; okrągła plama dotykała właśnie desek. Ciemna jak ropa, ale z całą pewnością nią nie była - zbyt czarna, zbyt gęsta, zbyt równa.

- Randy, to bolało! Co ty wyprawiasz? Nie wygłupiaj się...

- LaVerne, płyn! - Zwykły strach ustąpił miejsca przejmującej grozie.

LaVerne uniosła głowę. Może nie dostrzegła jego przerażenia, lecz z pewnością dosłyszała nagłą ton w głosie. Wyraźnie nic nie rozumiała, ale zaczęła szybciej uderzać w wodę, zbliżając się do drabinki.

- Randy, co się z tobą dzieje? - spytał Deke.

Randy znów się obejrzał; ta rzecz opływała akurat róg tratwy. Przez moment wyglądała niczym Pacman otwierający paszczę, by połknąć elektroniczne ciasteczka. Potem prześliznęła się po krawędzi i zaczęła sunąć wzdłuż tratwy, spłaszczona po jednej stronie.

- Pomóż mi ją wyciągnąć - warknął Randy, sięgając po dłoń dziewczyny. - Szybko!

Deke z dobrotliwą miną wzruszył ramionami i chwycił drugą dłoń LaVerne. Podciągnęli ją w górę na tratwę zaledwie sekundę przedtem, nim to czarne coś prześliznęło się obok drabinki. Jego boki zafalowały, opływając drążki.

- Randy, zwariowałeś? - LaVerne była zdyszana i lekko przestraszona. Pod stanikiem wyraźnie rysowały się sutki, dwa twarde punkciki, sterczące w zimnym powietrzu.

- To coś. - Randy wskazał ręką. - Deke, co to jest? Deke zauważył plamę, która dotarła właśnie do lewego narożnika. Odpłynęła nieco na bok, przybierając poprzedni kolisty kształt, zatrzymała się.

- Chyba ropa - mruknął.

- Stłukłeś mi kolano - wtrąciła Rachel, patrząc na czarny krąg na wodzie i z powrotem na Randy'ego. - Ty...

- To nie jest ropa - przerwał jej Randy. - Widziałeś kiedyś okrągłą plamę ropy? Wygląda zupełnie jak pionek w warcabach.

- W ogóle nigdy nie widziałem plamy ropy. - Deke mówił do Randy'ego, ale patrzył na LaVerne. Jej figi były niemal tak przezroczyste jak stanik, trójkąt między nogami odcinał się wyraźnie, pośladki przypominały krągłe półksiężyce. - Nawet w nie nie wierzę. Jestem z Missouri.

- Będę miała sińca - oznajmiła Rachel, lecz z jej głosu zniknął gniew. Ona też dostrzegła, jak Deke patrzy na LaVerne.

- Boże, zimno mi. - LaVerne zadrżała wdzięcznie.

- Chciało dorwać dziewczyny - powiedział Randy.

- Daj spokój, Pancho. Podobno wytrzeźwiałeś.

- Chciało dorwać dziewczyny - powtórzył z uporem i pomyślał: Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Absolutnie nikt.

- A ty widziałeś kiedyś plamę ropy, Pancho? - Deke objął nagie ramiona LaVerne z tym samym roztargnieniem, z jakim wcześniej dotknął piersi Rachel. Nie dotykał piersi LaVerne - przynajmniej jeszcze nie - lecz jego palce były bardzo blisko. Randy odkrył, że zupełnie go to nie obchodzi. Całą jego uwagę zaprzętała okrągła czarna plama na wodzie.

- Owszem, widziałem na przylądku, cztery lata temu - odparł. - Wszyscy wyciągaliśmy z niej ptaki i próbowaliśmy je oczyścić...

- Ecologico, Pancho - rzekł z aprobatą Deke. - Mucho ecologico.

- To była wielka lepka masa, pokrywająca wodę. Nierówna i nieregularna, zupełnie nie przypominała tej tutaj. Nie była taka zwarta.

Wygląda jak coś, co powstało przez przypadek, chciał powiedzieć. To coś jednak tak nie wygląda. Wyraźnie ma jakiś cel.

- Chcę już wracać - oznajmiła Rachel. Wciąż patrzyła na Deke'a i LaVerne. Randy dostrzegł w jej oczach tępy ból. Wątpił, czy zdawała sobie sprawę, że aż tak go widać.

- To wracaj - odparła LaVerne. Jej twarz miała wyraz absolutnego triumfu, pomyślał Randy i choć zabrzmiało to pretensjonalnie, to przecież odpowiadało prawdzie. A chociaż triumfów nie był adresowany do Rachel, LaVerne raczej nie starała się go przed nią ukryć.

Podeszła bliżej Deke'a; wystarczył tylko jeden krok. Teraz ich biodra stykały się lekko. Przez ułamek sekundy Randy zapomniał o plamie, koncentrując się na LaVerne niemal z rozkoszną nienawiścią. Choć nigdy nie uderzył dziewczyny, w tej jednej chwili zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością. Nie dlatego, że ją kochał (trochę się w niej durzył, owszem, bardziej niż trochę na nią leciał, o tak, i był zdecydowanie zazdrosny, gdy wtedy w mieszkaniu zaczęła podrywać Deke'a, ale w życiu nie sprowadziłby dziewczyny, którą naprawdę by kochał, bliżej niż na dwadzieścia kilometrów od swego kumpla), lecz dlatego że wiedział, co oznacza mina Rachel - jak bardzo boli.

- Boję się - westchnęła Rachel.

- Plamy ropy? - spytała z niedowierzaniem LaVerne i roześmiała się. Randy ponownie zapragnął ją uderzyć, zamachnąc się otwartą dłonią, zetrzeć jej z twarzy wyraz zadufanej wyższości i pozostawić na policzku ślad, który zmieni się w siniec o kształcie męskiej ręki.

- W takim razie sama popłynij do brzegu - rzekł. LaVerne uśmiechnęła się z politowaniem.

- Jeszcze nie mam ochoty - oznajmiła powoli, jakby tłumaczyła coś dziecku. Spojrzała w niebo i przeniosła wzrok na Deke'a. - Chcę obejrzeć wschód gwiazd.

Rachel była niska i ładna, na swój płochliwy, lekko niepewny sposób. Randy'emu kojarzyła się z dziewczętami z Nowego Jorku - dziewczętami spieszącymi rano do pracy, ubranymi w gustownie skrojone spódnice z rozcięciami z przodu i z boku; dziewczętami o identycznej, nieco neurotycznej urodzie. Oczy Rachel zawsze błyszczały, nie potrafił jednak orzec, czy ożywiła je wrodzona wesołość, czy stały niepokój.

Deke zazwyczaj preferował wyższe dziewczyny o ciemnych włosach i sennych rozmarzonych oczach i Randy ujrzał wyraźnie, że to koniec. Cokolwiek łączyło Deke'a i Rachel - proste pragnienie połączone być może z lekką nudą z jego strony, coś głębszego, złożonego i zapewne bolesnego z jej - skończyło się, tak nagle i wyraźnie, iż niemal usłyszał trask: odgłos suchego drewna łamanego na kolanie.

Randy był nieśmiałym chłopcem, teraz jednak podszedł do Rachel i objął ją. Dziewczyna zerknęła na niego i na jej nieszczęśliwej twarzy dostrzegł wdzięczność za ten gest; ucieszył się, że choć trochę poprawił jej sytuację. Nagle znów ujrzał w niej coś znajomego, coś w jej twarzy, wygładzie.

Najpierw kojarzyła mu się z teleturniejami, potem z reklamami krakersów, wafli czy czegoś w tym stylu. I nagle przypomniał sobie. Wyglądała zupełnie jak Sandy Duncan, aktorka, która grała w nowej wersji "Piotrusia Pana" na Broadwayu.

- Co to jest? - spytała. - Randy, co to jest?

- Nie wiem.

Zerknął na Deke'a i dostrzegł, że tamten patrzy na niego ze znajomym uśmiechem, bardziej czułym i przyjacielskim niż pogardliwym - lecz jednak było w nim nieco pogardy. Może Deke nie zdawał sobie nawet z tego sprawy, ale nie zmieniało to faktu. Uśmiech ów mówił wyraźnie: pocziwy mękoła Randy znów robi w gacie. Wiedział, że powinien mruknąć pocieszająco: "To pewnie nic, nie martw się. Wkrótce zniknie". Coś w tym stylu. Ale nie zrobił tego. Niech Deke się uśmiecha. Czarna plama na wodzie przerażała go. Taka była prawda.

Rachel cofnęła się o krok i klękła wdzięcznie w najbliższym plamy narożniku tratwy. W jego pamięci pojawiło się kolejne skojarzenie: dziewczyna na etykietkach napojów White Rock. Sundy

Duncan na etykietkach White Rock, poprawił w myślach. Włosy Rachel - krótko przycięte, lekko kręcone jasne włosy - oblepiały kształtną czaszkę. Na łopatkach nad białym paskiem stanika dostrzegł gęsią skórę.

- Tylko nie wpadnij, Rache - rzuciła LaVerne złośliwie.

- Daj spokój, LaVerne - uciał Deke, wciąż się uśmiechając.

Randy odwrócił wzrok od pary stojącej pośrodku tratwy. Deke i LaVerne obejmowali się luźno w pasie, ich biodra stykały się lekko. Znów spojrzał na Rachel i poczuł dreszcz lęku, spływający po plecach i rozchodzący się aż po czubki nerwów. Czarna plama do połowy zmniejszyła dystans do narożnika, w którym klęczała zapatrzona w nią Rachel. Przedtem była jakieś dwa, dwa i pół metra od nich, teraz niecały metr. W oczach dziewczyny dostrzegł dziwną pustkę. Przypominały okrągłe puste plamy, jak ta na wodzie.

Teraz to Sandy Duncan siedząca na etykietce White Rock i udająca zahipnotyzowaną cudownym smakiem Miodowych Grahamek Nabisco, pomyślał idiotycznie. Jego serce zaczęło bić szybciej, jak wcześniej w wodzie.

- Odejdź stamtąd, Rachel! - krzyknął.

A potem wydarzenia zaczęły się toczyć z prędkością odpalanych fajerwerków. Mimo to Randy widział i słyszał wszystko z idealną, piekielną ostrością, jakby kolejne obrazy zastygały w swych własnych kapsułach czasowych.

LaVerne zaśmiała się. Na brzegu, w jasnym popołudniowym słońcu mogłoby to zabrzmieć jak zwykły śmiech przeciętnej studentki, lecz tu, w gęstniejącej ciemności, przypominał suchy rechot wiedźmy, warzącej w kotle magiczną miksturę.

- Rachel, lepiej już wra... - zaczął Deke, ona jednak przerwała mu, najpewniej po raz pierwszy w życiu i z całą pewnością po raz ostatni.

- Co za barwy! - wykrzyknęła głosem drżącym od niewysłowionego zachwytu. Jej oczy z bezrozumną fascynacją wpatrywały się w czarną plamę i przez sekundę Randy'emu wydało się, że dostrzega to, o czym mówiła - barwy, tak, barwy; wirujące kolorowe spirale. A potem zniknęły i znów pozostała tylko martwa, pozbawiona połysku czerń.

- Takie piękne barwy!

- Rachel!

Sięgnęła ku niej, przed siebie, naprzód. Jej biała pokryta gęsią skórą ręka wyciągnęła się, zamierzając dotknąć plamy. Dostrzegł nierówną linię obgryzionych paznokci.

- Ra....

Wyczuł, że tratwa się przechyla. To Deke skoczył ku nim. Jednocześnie Randy sięgnął ku Rachel, zamierzając ją odciągnąć; mętnie czuł, że nie chce, by Deke go wyprzedził.

I wtedy dłoń dziewczyny dotknęła wody; sam palec wskazujący, który musnął powierzchnię wzbudzając delikatne kręgi - i czarna plama załała ją. Randy usłyszał, jak Rachel zachłystuje się nagle, z jej oczu zniknęła pustka. Zastąpiło ją cierpienie.

Czarna, lepka substancja pokryła jej rękę jak błoto... i Randy ujrzał, jak pod jej warstwą rozpuszcza się skóra. Rachel otworzyła usta i krzyknęła. W tej samej chwili zaczęła przechylać się naprzód. Machnęła na oślep drugą ręką w stronę Randy'ego, który spróbował ją pochwycić. Ich palce zetknęły się przelotnie, a oczy spotkały, i wciąż diabelnie przypominała Sandy Duncan. A potem runęła naprzód i z pluskiem wylądowała w wodzie.

Czerń załała miejsce, w którym zniknęła.

- Co się stało? - wrzeszczała za nimi LaVerne. - Co się stało? Czy ona wpadła? Co się z nią stało?

Randy zerwał się, jakby chciał skoczyć za Rachel, lecz Deke odepchnął go - spokojnie acz mocno.

- Nie - powiedział przerażony, tonem zupełnie nieprzypominającym zwykłego Deke'a. Cała trójka patrzyła, jak dziewczyna szarpie się, usiłując wypłynąć. Nagle pojawiły się wymachujące ręce - nie, nie ręce, ręka. Drugą pokrywała czarna błona, zwisająca w luźnych fałdach z czegoś czerwonego, pokrytego włóknami ścięgien, nieco przypominającego kawałek surowej pieczeni.

- Ratunku! - krzyknęła Rachel. Jej jasne oczy spojrzały na nich i znów umknęły w bok, po czym wróciły niczym latarnie krążące w mroku. Płonął w nich ból. Wzburzona woda pieniała się wokół niej. - Ratunku, to boli, proszę, ratunku. To BOLI, TO BOLI, BOLI...

Odepchnięty Randy upadł. Teraz wstał z desek i potykając się, znów ruszył naprzód, nie potrafiąc zagłuszyć tego głosu. Próbował skoczyć; Deke pochwycił go, oplatając potężnymi rękami wątłą klatkę piersiową kolegi.

- Nie, ona nie żyje - szepnął szorstko. - Chryste, nie widzisz? Ona nie żyje, Pancho.

Gęsta czerń zalała nagle twarz Rachel, przesłaniając ją niczym kotara i tłumiąc krzyki, które zresztą po chwili umilkły. Teraz czarna maź zdawała się krępować ją krzyżującymi się więzami. Randy widział, jak zagłębia się w ciało, żrąca niczym kwas, a kiedy tętnica szyjna dziewczyny pękła w mroku i trysnęła z niej krew, czarna plama posłała za nią wypustkę. Nie wierzył własnym oczom, nie rozumiał tego, ale nie wątpił, że to dzieje się naprawdę. Wiedział, że nie stracił rozumu, nie śni, nie ma halucynacji.

LaVerne krzyczała. Randy odwrócił się akurat w chwili, gdy melodramatycznie przysłoniła oczy dłonią, niczym heroina z niemych filmów. Miał ochotę roześmiać się i powiedzieć jej to, ale odkrył, że nie jest w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Spojrzał znów na Rachel. Już jej prawie nie było.

Praktycznie przestała się szamotać i jej poruszenia przypominały raczej krótkie rozpaczliwe spazmy. Czerń zalewała ją - jest większa, pomyślał Randy, większa, bez dwóch zdań - z niemałą przytłaczającą mocą. Ujrzał dłoń, która uderzyła w płamę, przywarła do niej, jakby ugrzęzła w syropie, trafiła na lep - a potem została pożarta. Teraz pozostał jedynie ślad postaci - nie w wodzie, lecz w owej czarnej rzeczy, nie obracającej się, lecz obracanej, coraz mniej wyraźnej. Biały błysk - kość, pomyślał z obrzydzeniem i odwrócił się, wymiotując do wody.

LaVerne wciąż krzyczała. Nagle rozległo się tępe klaśnięcie i umilkła, chwiejąc się na nogach. Uderzył ją, pomyślał Randy. Ja zamierzałem to zrobić, prawda?

Cofnął się o krok, ocierając usta. Czuł się słaby i chory. A także przerażony - do tego stopnia, że jego umysł niemal już nie funkcjonował. Wkrótce sam zacznie krzyczeć. Wówczas Deke będzie musiał uderzyć i jego. Sam Deke z pewnością nie wpadnie w panikę. O nie, to świetny materiał na bohatera. Żeby poderwać piękną dziewczynę, być bohaterem, musisz grać w drużynie, zaśpiewał radośnie jego umysł. Słyszał, jak Deke mówi coś do niego, i uniósł wzrok ku niebu w nadziei, że rozjaśni mu się w głowie. Rozpaczliwie pragnął uwolnić się od obrazu ciała Rachel rozplywającego się w nieludzką maź w miarę, jak ta czarna rzecz ją pożerała. Nie chciał, by Deke uderzył go jak LaVerne.

Spojrzał w niebo i dostrzegł pierwsze gwiazdy - ostatnia zorza na zachodzie zgasła. Na firmamencie widać było wyraźny kształt Niedźwiedzicy.

- Och, Ciiisco - wykrztusił w końcu. - Tym razem wpadliśmy w wielkie kłopoty.

- Co to jest? - Dłoń Deke'a opadła na ramię Randy'ego, ściskając je boleśnie. - To ją zeżarło, widziałeś? Zeżarło ją, do kurwy nędzy, zeżarło! Co to jest?

- Nie wiem! Nie słyszałeś?

- Powinieneś wiedzieć. Jesteś pieprzonym mózgowcem. Przerabiasz wszystkie cholerne kursy naukowe. - Deke także prawie krzyczał i to pomogło Randy'emu nieco zapanować nad sobą.

- W żadnym znanym mi podręczniku nie widziałem czegoś takiego - oznajmił. - Ostatnio podobną rzecz zdarzyło mi się oglądać na halloweenowym pokazie specjalnym w Rialto, kiedy miałem dwanaście lat.

Plama odzyskała poprzedni okrągły kształt. Unosiła się na wodzie trzy metry od tratwy.

- Jest większa - jęknęła LaVerne.

Kiedy Randy dostrzegł ją po raz pierwszy, oszacował, że ma jakieś półtora metra średnicy. Teraz miała co najmniej dwa i pół.

- Jest większa, bo pożarła Rachel! - wrzasnęła LaVerne i znów zaczęła zawodzić.

- Przestań albo złamię ci szczękę! - zagroził Deke i umilkła. Nie nagle, lecz stopniowo, niczym płyta, kiedy wyłączy się prąd, a nie zdejmie igły z krążka. Jej oczy były okrągłe niczym spodki. Deke spojrzał na Randy'ego.

- Nic ci nie jest, Pancho?

- Nie wiem. Chyba nie.

- Dobry chłopiec. - Deke próbował się uśmiechnąć i Randy z pewnym niepokojem ujrzał, że mu się udało. Czyżby w głębi ducha Deke zaczynał się bawić tym wszystkim? - Nie masz zielonego pojęcia, co to może być?

Jego przyjaciel potrząsnął głową.

- Może to jednak plama ropy - albo przynajmniej nią była, póki coś się nie stało. Może odmieniły ją promienie kosmiczne, albo Arthur Godfrey pokropił ją sokiem atomowym, kto wie? Kto mógłby wiedzieć?

- Jak myślisz, dalibyśmy radę przepłynąć obok tego? - naciskał Deke, potrząsając Randym.

- Nie! - wrzasnęła LaVerne.

- Przestań albo ci dołożę - Deke znów podniósł głos. - Nie żartuję.

- Widziałeś, jak szybko zaatakowało Rachel - odparł Randy.

- Może wtedy było głodne - podsunął Deke. - A teraz już się nażarto.

Randy pomyślał o Rachel klęczącej w narożniku tratwy, nieruchomej i ślicznej w staniku i figach, i żółć znowu napłynęła mu do gardła.

- Jeśli chcesz, spróbuj - rzekł.

Deke uśmiechnął się bez śladu rozbawienia.

- Och, Pancho.

- Och, Ciiisco.

- Chcę wracać do domu - szepnęła cichutko LaVerne. - Zgoda?

Nie odpowiedzieli.

- Więc musimy poczekać, aż sobie pójdzie - orzekł wreszcie Deke. - Przyplynie, to i odpłynie.

- Może - odparł Randy.

Deke spojrzał na niego. Jego widoczna w półmroku twarz była napięta, skupiona.

- Może? Co znaczy to gówniane "może"?

- Zjawilo się, kiedy tu przybyliśmy. Widziałem, jak nadpływa - zupełnie jakby nas wywęszyło. Jeśli jest nażarto, jak mówisz, odejdzie. Tak sądzę. Jeśli wciąż chce coś przekąsić... - Wzruszył ramionami.

Deke stał chwilę w zamyśleniu, przechylając głowę. Z jego krótkich włosów ciągle skapywały krople wody.

- Zaczekamy - zdecydował. - Niech żre ryby.

Minęło piętnaście minut. Nie rozmawiali. Robiło się coraz zimniej. Temperatura spadła do najwyżej dziesięciu stopni, a cała trójka miała na sobie jedynie bieliznę. Po pierwszych dziesięciu

minutach Randy usłyszał ostre, rytmiczne szczęknięcie własnych zębów. LaVerne próbowała przysunąć się do Deke'a, on jednak ją odepchnął - łagodnie, lecz stanowczo.

- Na razie mnie zostaw - rzucił.

Toteż usiadła, splatając ramiona na piersiach i dygocząc. Popatrzyła na Randy'ego. Jej oczy mówiły, że może wrócić i objąć ją, że wszystko będzie w porządku.

Zamiast tego odwrócił wzrok, śledząc czarny krąg na wodzie. Plama unosiła się w miejscu, nie zbliżając się ani nie odpływając. Spojrzał ku brzegowi i ujrzał plażę, widmowy biały półksiężyc, który zdawał się wisieć w powietrzu. Drzewa za nią ograniczały widoczność ciemną poszarpaną linią. Wydało mu się, że dostrzega camaro Deke'a, ale nie był pewien.

- Po prostu zebraliśmy się i pojechaliśmy - powiedział Deke.

- Owszem - przytaknął Randy.

- Nic nikomu nie mówiąc.

- Nie.

- Więc nikt nie wie, że tu jesteśmy. - Nie.

- Przestańcie! - krzyknęła LaVerne. - Przestańcie, przerażacie mnie!

- Zamknij jadaczkę - rzucił z roztargnieniem Deke i Randy roześmiał się mimo woli; nieważne, jak wiele razy Deke to powtarzał, zawsze go to bawiło. - Jeśli będziemy musieli spędzić tu noc, to spędzimy. Jutro ktoś usłyszy nasze krzyki. Nie jesteśmy w końcu pośrodku australijskiej pustyni, prawda, Randy?

Randy milczał.

- Wiesz, gdzie jesteśmy. Tak samo dobrze jak ja. Zjechaliśmy z drogi 41, przejechaliśmy dwanaście kilometrów boczną trasą...

- Co krok stoją tu domki.

- Letnie domki. Jest październik. Stoją puste, wszystkie, co do jednego. Już na miejscu musiałeś objechać pieprzoną bramkę. Co krok napisy "Teren prywatny".

- I co z tego? Jakiś dozorca... - W głosie Deke'a zabrzmiała lekka irytacja, cień niepokoju. Czyżby się bał? Po raz pierwszy tego wieczoru, tego miesiąca, roku, może po raz pierwszy w całym życiu? To dopiero odlotowa myśl. Deke stracił dziewictwo strachu. Randy nie miał pewności, ale uznał, że to możliwe - i sprawiło mu to perwersyjną przyjemność.

- Nie ma co kraść, nie ma co niszczyć - rzeki. - Jeśli nawet jest tu dozorca, zapewne wpada co dwa miesiące.

- Myśliwi...

- Za miesiąc, owszem. - Randy w końcu także się zamknął, bo zdołał przestraszyć samego siebie.

- Może to coś da nam spokój? - wtrąciła LaVerne. Jej usta wygięły się w żalnym uśmiechu. - Może po prostu... no wiecie... zostawi nas.

- A świnię zaczną... - odparł Deke.

- Rusza się - przerwał mu Randy.

LaVerne zerwała się z miejsca. Deke podszedł do Randy'ego i przez sekundę tratwa przechyliła się. Serce Randy'ego zabiło gwałtownie, dziewczyna znów krzyknęła. Potem Deke cofnął się o krok i deski pod nimi znieruchomiały. Jedynie przedni lewy narożnik od strony brzegu zanurzał się nieco głębiej.

Podpłynęło z gładką, oleistą, przerażającą szybkością, i nagle Randy ujrzał barwy, które widziała Rachel - fantastyczne czerwienie, żółcie i błękity, wirujące spirale kolorów na hebanowej powierzchni, matowej jak plastik, ciemnej i giętkiej niczym skaj. Plama unosiła się i opadała wraz z falami, a każde uniesienie sprawiało, że kolory tańczyły i mieszały się. Randy uświadomił sobie, że zaraz upadnie, runie w sam środek plamy; czuł, jak się nachyla...

Resztką sił uderzył się w nos prawą pięścią, zupełnie jakby tłumiał kaszel, tyle że nieco wyżej i znacznie mocniej. W jego nosie zapłonął ból. Poczł, jak krew spływa ciepłą strużką po twarzy i na szczęście mógł się cofnąć, krzycząc:

- Nie patrz na to, Deke! Nie patrz na to! Od tych kolorów zakreći ci się w głowie!

- To próbuje wepchnąć się pod tratwę - oznajmił ponuro Deke. - Co to za cholerstwo, Pancho?

Randy spojrzł - bardzo ostrożnie. Plama ocierała się o krawędź tratwy, przypłaszczona tak, że przypominała połówkę pizzy. Przez moment zdawało się, że się podnosi, gęstnieje i przed oczami Randy'ego przemknęła koszmarna wizja czerni wznoszącej się dostatecznie wysoko, by wpłynąć na powierzchnię desek.

A potem wcisnęła się pod spód. Wydało mu się, że usłyszał krótki dźwięk, szorstki szelest jakby zwoju płótna przeciąganego przez wąskie okienko - możliwe jednak, iż tylko to sobie wyobraził.

- Czy to jest pod spodem? - spytała LaVerne. W jej głosie było coś nonszalanckiego, jakby z całych sił próbowała zachować spokój, lecz jednocześnie krzyczała w duchu. - Czy weszło pod tratwę? Jest pod nami?

- Tak - odparł Deke. Spojrzł na Randy'ego. - Zamierzam popłynąć. Jeśli jest pod nami, mam sporą szansę.

- Nie! - krzyknęła LaVerne. - Nie zostawiaj nas tu, nie...

- Jestem szybki - ciągnął Deke, patrząc na Randy'ego, całkowicie ignorując dziewczynę. - Ale muszę ruszać, póki jest pod nami.

Myśli Randy'ego zastartowały, osiągając dwa machy - na swój szczególnie, mdlący, oślizgły sposób było to podniecające, niczym ostatnich kilka sekund przed tym, nim człowiek zacznie rzygać tuż za ścianką taniej lunaparkowej kolejki. Słyszał beczki pod tratwą uderzające głucho o siebie i suchy szelest liści na drzewach przy plaży, poruszanych lekkimi powiewami wiatru. Czemu to coś wpłynęło pod nich?

- Tak - powiedział głośno. - Ale nie sądzę, by ci się udało.

- Uda mi się - odparł Deke i ruszył ku krawędzi. Po dwóch krokach się zatrzymał.

Jego oddech przyspieszał, mózg zmuszał serce i płuca do mobilizacji przed przepłynięciem najszybszych pięćdziesięciu metrów w jego życiu. Teraz jednak oddech zamarł mu w piersiach, podobnie jak całe ciało. Po prostu zastygł w pół wdechu. Deke odwrócił głowę i Randy ujrzał, jak ścięgni szyi napinają się gwałtownie.

- Panch... - wykrztusił zdumionym, zduszonym głosem, a potem zaczął krzyczeć.

Wrzeszczał ze zdumiewającą siłą. Ogłuszające barytonowe krzyki wznosiły się i załamywały w wysokich sopranowych piskach, dość głośnych, by odbijać się od brzegu i powracać widmowym echem. Z początku Randy uznał, że to zwykły krzyk, potem jednak uświadomił sobie, że to słowo - nie, dwa słowa, powtarzane raz po raz.

- Moja stopa! - wrzeszczał Deke. - Moja stopa! Moja stopa! Moja stopa!

Randy spuścił wzrok. Stopa Deke'a wyglądała dziwnie, jakby zapadła się w środku. Powód był oczywisty, lecz umysł Randy'ego odmówił przyjęcia go do wiadomości - to było zbyt niewiarygodne, zbyt szaleńczo groteskowe. Na jego oczach stopa Deke'a zniknęła, wciągana pomiędzy dwie deski, z których zbudowano pokład tratwy.

A potem ujrzał ciemny błysk czarnej plamy przed palcami i za piętą. Ciemny błysk, w którym wirowały żywe złowieszcze kolory.

Plama chwyciła jego stopę. ("Moja stopa - wrzeszczał Deke, jakby potwierdzając tę banalną dedukcję. - Moja stopa, och moja stopa, moja STOOOOOPA"). Deke nadepnął na jedną ze szpar pomiędzy deskami ("Wdepnij na szparę, a zarobisz karę", podpowiedziała usłużnie pamięć Randy'ego), a to coś już tam było. To coś...

- Ciągnij! - krzyknął nagle. - Ciągnij, na miłość boską, Deke, ciągnij!

- Co się dzieje? - ryknęła LaVerne i Randy zorientował się tępo, że nie tylko potrząsała jego ramię, lecz także zatopiła w nim szpiczaste paznokcie, ostre niczym szpony. Na nic mu się nie przyda. Rąbnął ją łokciem w brzuch. Wydała z siebie charczące kaszlnięcie i usiadła gwałtownie na tyłku, on zaś przyskoczył do Deke'a i chwycił go za rękę.

Ciało Deke'a było twarde jak carraryjski marmur, każdy mięsień odcinał się ostro niczym zebro wyrzeźbionego z kamienia szkieletu dinozaura. Równie dobrze mógł próbować wyrwać z korzeniami rosłe drzewo. Oczy Deke'a spoglądały w fioletowe wieczorne niebo, zamglone i pełne niewiary, a on wciąż krzyczał, krzyczał, krzyczał.

Randy spojrział w dół. Stopa Deke'a aż po kostkę zniknęła w szparze pomiędzy deskami.

Szczelina miała może pół centymetra, najwyżej centymetr szerokości, lecz jego noga zagłębiła się w nią. Krew spływała po białych deskach ciemnymi strugami. Czarna plama pulsowała w szczelinie niczym wrzący plastik, w górę i w dół, jak bijące serce.

Muszę go wyciągnąć. Muszę go szybko wyciągnąć albo nigdy nam się nie uda... Trzymaj się, Cisco, błagam cię, trzymaj się...

LaVerne wstała i cofnęła się, byle dalej od przygarbionego, wrzeszczącego drzewa, które było Dekiem, rosnącego pośrodku tratwy, stojącej na kotwicy pod październikowymi gwiazdami na jeziorze Cascade. Dziewczyna tępo potrząsała głową, obejmując rękami brzuch w miejscu, w które trafił łokieć Randy'ego.

Deke opierał się o niego ciężko, bezmyślnie wymachując rękami. Randy znów spojrział w dół i ujrzał krew tryskającą z łydki przyjaciela, która obecnie zwężała się ostro jak świeżo zatemperowany ołówek - tyle że jej czubek był biały, nie czarny; to była kość, ledwie widzialna kość.

Czarna masa wydeła się, wsysając, pochłaniając.

Deke zawodził.

Już nigdy nie zagrasz w piłkę tą stopą - JAKĄ stopą, cha-cha-cha, pomyślał Randy. Ze wszystkich sił pociągnął Deke'a, i nadal przypominało to wrywanie drzewa.

Deke zakołysał się, wydając z siebie długi świdrujący wrzask, który sprawił, że Randy odskoczył, także krzycząc, zasłaniając rękami uszy. Krew trysnęła z porów całej łydki Deke'a i jego napuchnięte fioletowe kolano napięło się, jakby próbując zabsorbować niewiarygodny nacisk czarnej plamy, która wciągała nogę centymetr za centymetrem przez wąską szczelinę.

Nie mogę mu pomóc. Rany, jakie to silne! Teraz nie mogę już mu pomóc. Tak mi przykro, Deke, tak mi przykro...

- Obejmij mnie, Randy - krzyknęła LaVerne, przywierając do niego całym ciałem, wbijając mu twarz w pierś. Jej skóra była tak gorąca, że zdawała się parzyć. - Przytul mnie, proszę, przytul. Tym razem to zrobił.

Dopiero później Randy uświadomił sobie straszliwą prawdę. W czasie gdy czarna plama była zajęta Dekiem, obydwójce mogli prawie na pewno popłynąć do brzegu - a gdyby LaVerne odmówiła, mógł zrobić to sam. Kluczyki do camaro tkwiły w kieszeni dżinsów Deke'a, leżących na plaży. Mógł to zrobić... ale uświadomił to sobie, gdy było już za późno.

Deke umarł w chwili, kiedy jego udo zaczęło znikać w głębi wąskiej szczeliny pomiędzy deskami. Przestał wrzeszczeć kilka minut wcześniej i wydawał z siebie jedynie niskie, bulgocące pomruki. Potem i one ucichły. Gdy zemdlał, padając na brzuch, Randy usłyszał, jak to, co zostało z jego prawej kości udowej, pęka, rozszczepiając się niczym zielona gałązka.

W sekundę później Deke uniósł głowę, rozejrział się sennie i otworzył usta. Randy myślał, że znów zacznie krzyczeć, tymczasem on wyrzucił z siebie potężny strumień krwi, tak gęstej, że niemal zakrzepłej. Ciepły płyn obryzgał Randy'ego i LaVerne, która znów zaczęła wrzeszczeć, piskliwie, ochryple.

- Błeeee! - krzyczała, a jej twarz wykrzywił szaleńczy grymas obrzydzenia. - Błeeee! Krew! Błeeee, krew! Krew! - Rozpaczliwie tarła skórę dłońmi, rozmazując jedynie krwawe smugi. Krew wylewała się z oczu Deke'a z taką siłą, że wypychane krwotokiem gałki oczne wybałuszyły się niemal komicznie. To dopiero żywotność, pomyślał Randy. Chryste, spójrzcie tylko, wygląda jak pieprzony człowiek hydrant. Boże! Boże! Boże!

Strumienie krwi tryskały z uszu Deke'a, jego twarz przypominała potworną fioletową rzepe, napuchnięta i bezkształtna pod wpływem niewiarygodnego ciśnienia napływających do czaszki płynów; twarz człowieka miażdżonego w uścisku przez potworną, obcą siłę.

A potem, na szczęście, nadszedł koniec.

Deke znów runął naprzód, jego włosy opadły na zakrwawione deski i Randy z niezdrową fascynacją dostrzegł, że nawet ze skóry głowy popłynęła krew.

Odgłosy spod tratwy. Mlaski. Ssanie.

Wtedy właśnie w jego oszołomionym, balansującym na krawędzi obłędu umyśle pojawiła się myśl, że mógłby popłynąć i miałby spore szansę dotarcia do brzegu. Lecz LaVerne ciążyła mu złowieszczo w ramionach. Gdy spojrział w jej stężałą twarz, a następnie uniósłszy powiekę, ujrzał wyłącznie biel, wiedział, że nie tyle zemdląca, ile osunęła się w stan głębokiej, wywołanej szokiem nieświadomości.

Randy przyjrzał się powierzchni tratwy. Oczywiście mógłby położyć LaVerne, lecz deski miały tylko jakieś trzydzieści centymetrów szerokości. Latem przytwierdzano do nich trampolinę, tę jednak właściciele już zdjęli i gdzieś schowali na zimę. Pozostała jedynie sama tratwa, czternaście desek, każda szeroka na trzydzieści centymetrów i długa na sześć metrów. W żaden sposób nie zdołałby ułożyć LaVerne tak, by jej nieprzytomne ciało nie znalazło się na jednej ze szpar.

Wdepnij na szparę, a zarobisz karę.

Zamknij się.

A potem umysł podpowiedział mu obłąkańczą myśl. Nieważne, zrób to. Połóż ją i płyń.

Ale nie, nie mógł tego zrobić. Z nagłym poczuciem winy odrzucił pokusę. Trzymał ją, czując miękkie stałe nacisk na ręce i plecy. LaVerne była roslą dziewczyną.

Deke zniknął.

Randy trzymał LaVerne w obolałych ramionach i patrzył. W istocie nie chciał tego oglądać i na długie sekundy, może nawet minuty odwracał twarz, jednakże jego wzrok zawsze powracał ku temu miejscu.

Po śmierci Deke'a proces stał się szybszy.

Reszta jego prawej nogi zniknęła. Lewa prostowała się, sięgając coraz dalej i dalej, aż wreszcie Deke zaczął przypominać jednonogą tancerkę klasyczną, rozciągniętą w niewiarygodnym szpagacie. Miednica rozszczepiła się na dwoje, a kiedy brzuch chłopaka napuchł złowieszczo, poddany gwałtownemu naciskowi, Randy na długo odwrócił głowę, starając się nie słuchać wilgotnych mlaśnieć, próbując całkowicie skupić się na bólu rąk. Może zdołałbym ją ocucić, pomyślał, na razie jednak lepiej było czuć pulsujący ból ramion i pleców. Dzięki temu miał o czym myśleć.

Z tyłu dobiegł go chrzęst, jakby silne zęby miażdżyły garść landrynek. Gdy się obejrzał, zebra Deke'a zapadały się w głąb szczeliny. Jego ręce unosiły się szeroko rozłożone. Wyglądał jak potworna parodia Richarda Nixona, wyrzucającego ramiona w geście zwycięstwa, który doprowadzał do euforii demonstracje w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Jego oczy były otwarte. Język wysuwał się wprost ku Randy'emu.

Randy znów odwrócił głowę, patrząc przez jezioro. Szukaj świateł, powiedział do siebie.

Wiedział, że żadnych nie zobaczy, ale i tak powtarzał, że musi ich szukać. Wypatruj świateł, ktoś

musi spędzać tydzień w domku nad jeziorem. Jesienne widoki, nie wolno ich przegapić. Zabierz nikon, twoje slajdy wzbudzą zachwyt u znajomych i rodziny.

Gdy się obejrzał, ręce Deke'a celowały w niebo. Nie był już Nixonem, lecz sędzią sygnalizującym, że zawodnik zarobił dodatkowy punkt.

Jego broda opierała się na deskach.

Oczy miał wciąż otwarte.

Z ust nadal sterczał język.

- Och, Cisco - mruknął Randy i odwrócił wzrok. Jego ręce i ramiona drżały, lecz nadal trzymał mocno LaVerne. Spojrzał na dalszy brzeg, pogrążony w ciemności. Gwiazdy rozbłyskiwały na czarnym niebie - struga zimnego mleka, zawieszona wysoko w powietrzu.

Mijały minuty. Pewnie już zniknął, Możesz spojrzeć. No dobra, w porządku. Ale nie patrz. Na wszelki wypadek nie patrz jeszcze. Zgoda? Zgoda. Oczywiście. Przyklepane jednogłośnie.

Ale i tak spojrzał. Akurat na czas, by ujrzeć znikające palce Deke'a. Palce te poruszały się - prawdopodobnie ruch wody pod tratwą kołysał owym obcym, nieznanym czymś, co chwyciło Deke'a, a ono z kolei poruszało jego palcami. Najprawdopodobniej. Jednakże Randy odniósł wrażenie, jakby Deke machał do niego. Cisco Kid zęgnął się. Adios. Po raz pierwszy poczuł, jak jego umysł kołysze się gwałtownie - niczym tratwa, która zachwiała się, gdy we czwórkę stanęli po tej samej stronie. Po chwili wrócił do normy, lecz Randy nagle pojął, iż obłęd - prawdziwe szaleństwo - jest bardzo blisko.

Pierścień footballowy Deke'a - mistrzostwa 1981 roku - zsunął się powoli z trzeciego palca lewej dłoni. Złota obrączka rozbłysła w świetle gwiazd. Blask zatańczył na małych zagłębieniach pomiędzy wygrawerowanymi cyframi, 19 po jednej stronie czerwonego kamienia, 81 po drugiej. Pierścień całkiem się zsunął. Był nieco zbyt duży, by zmieścić się między deskami, i oczywiście nie dał się wciągnąć.

Leżał tam. Teraz już tylko on pozostał z Deke'a. Deke zniknął. Koniec z ciemnowłosymi dziewczynami o sennych oczach, koniec ze strzelaniem z mokrego ręcznika w goły tyłek Randy'ego, gdy ten wychodził spod prysznicy, koniec z szalonymi biegami z piłką ze środkowego pola, gdy fani zrywali się z miejsc, a majoretki wywijają zwycięskie fikołki po bokach boiska. Koniec z przejazdami camaro po zmroku i z Thin Lizzy, ryczącym ogłuszająco "The Boys Are Back in Town" z głośnika magnetofonu. Cisco Kid odszedł.

I wówczas znów rozległ się ów cichy szorstki szelest - kłęb płótna przeciągany powoli przez wąskie okienko.

Randy stał boso okrakiem na dwóch deskach. Kiedy spojrzał w dół, odkrył, że szpary po obu stronach jego nóg wypełniła nagle lśniąca ciemność. Wytrzeszczył oczy, przypominając sobie strugę krwi wystrzeliwującą z ust Deke'a i gałki oczne wypchnięte jak na sprężynach, gdy krwotoki zamieniały jego mózg w krwawą miazgę.

To mnie czuje. Wie, że tu jestem. Czy może wejść na górę? Czy przedostanie się przez szpary? Potrafi to? Potrafi?

Patrzył w dół, zapominając o wciąż trzymanym w rękach bezwładnym ciężarze, zafascynowany przeraźliwą wagą pytania. Zastanawiał się, co by poczuł, gdyby to coś zalało jego stopy i wczepiło się w nie.

Czarna lśniąca masa dzwignęła się niemal do krawędzi desek (Randy, nie zdając sobie nawet sprawy, uniósł się na palcach), a potem znów opadła. Ponownie rozległ się szmer mokrego płótna i nagle Randy ujrzał ją na wodzie, wielką czarną plamę, ciemny pieprzyk o średnicy pięciu metrów. Plama unosiła się i opadała, wraz z łagodnymi falkami, wznosiła się i opadała, wznosiła i opadała, a gdy Randy dostrzegł na jej powierzchni pulsujące kolory, natychmiast odwrócił wzrok.

Ostrożnie położył LaVerne i gdy tylko jego mięśnie odprężyły się lekko, ręce zaczęły gwałtownie dygotać. Pozwolił im. Ukłął obok niej; rozrzucone włosy dziewczyny tworzyły na białych deskach asymetryczny ciemny wachlarz. Klęczał i obserwował ciemny pieprzyk na wodzie, gotów znów ją dźwignąć, gdyby tamten choć drgnął.

Zaczął lekko klepać ją po twarzy, najpierw jeden policzek, potem drugi, tam i z powrotem, niczym sekundant, próbujący ocucić boksera. LaVerne nie chciała się ocknąć. LaVerne nie chciała przejść linii startu i odebrać dwustu dolarów albo wybrać pytania za czterysta. LaVerne zobaczyła już dosyć. Lecz Randy nie mógł pilnować jej całą noc, podnosząc niczym żeglarski worek za każdym razem, gdy ta rzecz się ruszyła (a nie zapominajmy, że nie mógł przyglądać się płamie zbyt długo). Znał jednak pewną sztuczkę. Nie nauczył się jej w college'u, lecz od przyjaciela starszego brata. Przyjaciel ów był sanitariuszem w Wietnamie i znał mnóstwo użytecznych sztuczek - jak wyłapywać wszy z ludzkiej głowy i urządzać im wyścigi w pudełku zapalek, jak wzmacniać kokainę pigułką przeczyszczającą albo zaszywać głębokie skaleczenia zwykłą igłą i nitką. Pewnego dnia rozmawiali o sposobach cucenia pijanych w trupa ludzi, tak by owi pijani w trupa ludzie nie zadusili się własnymi wymiocinami, jak zrobił to Bon Scott, wokalista AC/DC.

- Chcesz szybko kogoś ocucić? - spytał przyjaciel dysponujący katalogiem użytecznych sztuczek.
- Spróbuj tego. - I opowiedział Randy'emu o sposobie, którego ten obecnie użył.

Nachylił się i z całych sił ugryzł LaVerne w ucho.

Do jego ust siknęła gorąca gorzka krew. Powieki LaVerne uniosły się gwałtownie niczym rolety. Krzyknęła ochryplym szorstkim głosem i uderzyła go. Randy uniósł wzrok. Dostrzegł jedynie kawałek plamy, reszta była już pod tratwą. To coś poruszało się z niesamowitą, przerażającą, bezszelestną prędkością.

Ponownie dźwignął LaVerne i jego mięśnie zaprotestowały gwałtownie, skręcając się w twarde supły. Dziewczyna tłukła go w twarz. Jeden cios trafił w obolały nos i Randy ujrzał przed oczami czerwone gwiazdy.

- Przestań! - wrzasnął szurając stopami po deskach. - Przestań, dziwko, to znów jest pod nami. Przestań, do kurwy nędzy, albo cię upuszczę, przysięgam na Boga!

Natychmiast przestała wymachiwać rękami, oplatając nimi jego szyję w rozpaczliwym uchwycie tonącego. W migotliwym blasku gwiazd jej oczy lśniły bielą.

- Przestań! - Nie posłuchała. - Daj spokój, LaVerne, dusisz mnie!

Ucisk wzmógł się. W jego umyśle zapłonęła panika. Głuchy stukot beczek stał się miększy, stłumiony - zapewne sprawiła to plama.

- Nie mogę oddychać. Lekko zwolniła uścisk.

- Posłuchaj. Zamierzam cię postawić. Nic ci nie będzie, jeśli tylko...

Ale ona usłyszała tylko "cię postawić" i ręce ponownie zacisnęły się niczym śmiertelna obręcz wokół jego szyi. Prawa dłoń Randy'ego podtrzymywała plecy dziewczyny. Zakrzywił szponiasto palce i zadrapał ją z całej siły. LaVerne machnęła nogami, zawodząc piskliwie i przez sekundę niemal stracił równowagę. Poczowała to. Strach bardziej niż ból sprawił, że przestała się szarpać.

- Staniesz na deskach.

- Nie! - Jego policzek owiało powietrze, gorące niczym pustynny wiatr.

- Nie może cię dopaść, jeśli staniesz na deskach.

- Nie, nie puszczaj mnie, to mnie złapie. Wiem, że to robi, wiem...

Znów rozdarł paznokciami jej plecy. Wrzasnęła z wściekłości, bólu i strachu.

- Stań albo cię rzucę, LaVerne.

Opuścił ją powoli, ostrożnie. W ciszy słychać było tylko ich krótkie ostre oddechy - obój i flet. Stopy dziewczyny dotknęły desek. Natychmiast poderwała nogi, jakby drewno ją oparzyło.

- Opuść je - syknął. - Nie jestem Dekiem, nie utrzymam cię całą noc.

- Deke...

- Nie żyje.

Jej stopy dotknęły tratwy. Powoli wypuszczał ją. Stali naprzeciw siebie jak tancerze. Widział, że czeka na pierwsze dotknięcie płamy. Jej usta otwarty się szeroko niczym pyszczek złotej rybki.

- Randy - szepnęła. - Gdzie to jest?

- Pod nami. Spójrz.

Spojrzała. On także. Ujrzeni czerń wypełniającą szczeliny teraz już niemal na całej powierzchni tratwy. Randy wyczuł jej niecierpliwość. Miał wrażenie, że LaVerne też to czuje.

- Randy, proszę...

- Ciii. Stali.

Wbiegając do wody, Randy zapomniał zdjąć zegarek. Sprawdził, że trwało to kwadrans.

Piętnaście po ósmej czarna rzecz wysliznęła się spod tratwy, odpłynęła około piętnastu metrów i zatrzymała się jak przedtem.

- Zamierzam usiąść - oznajmił.

- Nie!

- Jestem zmęczony. Usiądę, a ty będziesz to obserwować. Pamiętaj tylko, żeby co chwilę odwracać wzrok. Potem ja wstanę, a ty usiądziesz. I tak na zmianę. Masz - dał jej zegarek. - Co piętnaście minut.

- To pożarło Deke'a - szepnęła. - Tak.

- Co to jest?

- Nie wiem.

- Zimno mi.

- Mnie też.

- Obejmij mnie.

- Dość długo cię obejmowałem. Ustąpiła.

Kiedy usiadł, poczuł się jak w niebie. Fakt, że nie musiał obserwować tej rzeczy, wprowadził go w euforię. Zamiast tego patrzył na LaVerne, pilnując, by co pewien czas odwracała wzrok od płamy na wodzie.

- Co my zrobimy, Randy? Zastanowił się.

- Będziemy czekać - rzekł.

Po piętnastu minutach wstał i pozwolił jej najpierw usiąść, a potem położyć się na pół godziny.

Potem znów postawił ją na nogi i odstała piętnaście minut. I znowu, i znowu. Za piętnaście dziesiąta na niebo wzeszedł zimny rąbek księżycy, kreśląc na wodzie srebrzysty szlak. O wpół do jedenastej usłyszeli przenikliwy krzyk, który odbił się echem na całym jeziorze. LaVerne wrzasnęła.

- Zamknij się - rzucił. - To tylko nur.

- Zamarzam, Randy. Jestem cała odrętwiała.

- Nic na to nie poradzę.

- Obejmij mnie - poprosiła. - Musisz. Przytulimy się do siebie. Możemy sięść i obserwować to razem.

Zastanawiał się chwilę, lecz ziąb wnikający w ciało sięgał już kości i to sprawiło, że podjął decyzję.

- Zgoda.

Usiedli razem, obejmując się ciasno, i wówczas coś się stało - coś naturalnego bądź perwersyjnego, zależnie od punktu widzenia. Poczuł, że twardnieje. Jego dłoń znalazła okrytą wilgotnym nylonem pierś i ścisnęła. LaVerne westchnęła cicho i jej palce powędrowały do krocza

Randy'ego. Powoli zsunął drugą dłoń, znajdując miejsce, w którym kryło się ciepło. Pchnął ją na plecy.

- Nie - zaprotestowała, lecz ręka w jego kroczu zaczęła poruszać się szybciej.

- Widzę to - rzekł. Serce znów zabiło mu mocniej, szybciej pompując krew, wysyłając fale ciepła ku nagiej, zmarzniętej skórze. - Będę to obserwować.

Wymamrotała coś w odpowiedzi i poczuł, jak gumka zsuwa mu się z bioder na uda. Pchnął naprzód, w górę, w nią. Ciepło. Boże, tam przynajmniej była ciepła. Mruknęła ochryple i jej palce pochwyciły zimne ściśnięte pośladki Randy'ego.

Patrzył. Plama się nie ruszała. Patrzył. Obserwował ją uważnie. Dostarczane przez dotyk wrażenia były niewiarygodne, fantastyczne. Nie miał zbyt wielkiego doświadczenia, ale nie był też prawiczkiem. Kochał się wcześniej z trzema dziewczynami, lecz nigdy nie czuł czegoś takiego.

LaVerne jęknęła i zaczęła poruszać biodrami. Tratwa kołysała się lekko, jak najtwardsze na świecie łóżko wodne. Zanurzone w wodzie becunki mamrotały głucho.

Patrzył. Kolory zaczęły wirować, tym razem powoli, zmysłowo. Nie wyczuwał w nich zagrożenia. Patrzył na nie i na plamę. Szeroko otwierał oczy. Odbijały się w nich kolory. Nie czuł już zimna, było mu gorąco, tak jak pierwszego dnia na plaży na początku czerwca, gdy słońce napina wyblakłą po zimie skórę i rumieni ją, przydając jej

(koloru)

koloru, barwy. Pierwszy dzień na plaży, pierwszy dzień lata. Czas na stare hity Beach Boys i nowe The Ramones. The Ramones śpiewali, że Sheena to punkówka, że możesz pojechać do Rockaway Beach ujrzeć piasek, plaże, kolory

(ruszyło się, zaczęło się ruszać)

i poczuć lato, dotyk lata. Gary US Bonds, szkoła skończona, kibice Jankeśów, dziewczyny w bikini na plaży, plaży, plaży, kochasz, tak kochasz tak

(kochasz)

plaża kochasz tak

(kocham tak kocham)

jędrne piersi pachnące olejkiem, a jeśli dół bikini był dość skąpy, można było dostrzec (włosy jej włosy JEJ WŁOSY SA O BOŻE W WODZIE JEJ WŁOSY SA W WODZIE)

Odkoczył gwałtownie, próbując ją podnieść, lecz ta rzecz poruszała się ślisko, błyskawicznie i wplątała się w jej włosy niczym gęsta, czarna, kleista sieć i gdy ją podniósł, LaVerne już krzyczała. Czuł ciężar rzeczy, która wynurzyła się z wody - poskręcana, koszmarna błona, rozbłyskująca oślepiającymi barwami - ognistym szkarłatem, płomiennym szmaragdem, wyniosłą żółcią.

Niczym fala zalała twarz dziewczyny, unicestwiając ją.

Jej stopy kopały i tłukły w deski. W miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się twarz dziewczyny, skręcała się i pulsowała czarna masa. Krew spływała strumieniami po jej szyi. Krzycząc, ale nie słysząc własnego krzyku, Randy podbiegł do niej, oparł stopę na jej biodrze i pchnął. LaVerne, szamocząc się i szarpiąc, runęła w tył. Jej nogi połyskiwały w promieniach księżyca niczym alabaster. Przez kilka niekończących się chwil woda pieniała się i obryzgiwała tratwę, jakby ktoś schwytał tam na haczyk największego okonia świata, który desperacko usiłował się uwolnić.

Randy krzyczał. Krzyczał. A potem, dla odmiany, znów zaczął krzyczeć.

Jakieś pół godziny później, gdy rozpaczliwe pluski i szamotanie już dawno ucichły, nury odpowiedziały.

Ta noc trwała wieki.

Kwadrans przed piątą niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać i poczuł niemrawą nadzieję. Trwała jednak tylko chwilę, równie złudna jak świt. Stał na deskach z półprzymkniętymi oczami, spuszczać głowę. Jeszcze przed godziną siedział, lecz nagle ocknął się - nie wiedział nawet, że spał - na dźwięk złowieszczonego szmeru mokrego płótna. Zerwał się na nogi zaledwie sekundę przedtem, nim zachłanna czerń wypełniła szczeliny. Oddech z jękiem ulatywał mu z ust.

Przygryzł wargę aż do krwi.

Zasnąłeś, spałeś, ty dupku!

W pół godziny później plama powoli wyśliznęła się spod tratwy. On jednak nie usiadł. Bał się sięść, bał się, że znów zaśnie i tym razem umysł nie ostrzeże go na czas.

Wciąż stał, gdy na wschodzie zapłonęło silniejsze światło, tym razem prawdziwego poranka.

Zaszpiewały ptaki. Wzeszło słońce, o szóstej rano było już dość jasno, by mógł widzieć plażę.

Jasnożółte camaro Deke'a wciąż stało tam, gdzie je zaparkowali, niemal dotykając maską ogrodzenia. Na piasku leżał łańcuch poskręcanych kolorowych koszulek i bluz oraz czterech par dżinsów. Ich widok nappełnił go na nowo grozą, choć Randy sądził, że z pewnością nic już nie jest w stanie go przerazić. Widział swoje dżinsy, z jedną nogawką wywróconą i wywaloną kieszenią. Wyglądały tak bezpiecznie, leżąc tam na piasku, jakby czekały, by się zjawił, przewrócił nogawkę na prawą stronę, ściskając kieszeń tak, by nie wypadły drobne. Niemal czuł, jak z szumem wsuwa je na nogi, jak zapina mosiężne guziki rozporka...

(kochasz tak kocham)

Spojrzał w lewo i była tam - czarna, okrągła jak pionek warcabów, kołysała się lekko. Na jej skórze zatańczyły kolory i szybko odwrócił głowę.

- Wracaj do domu - wychrypiał. - Do domu albo do Kalifornii i zgłoś się na przesłuchanie do filmu Rogera Cormana.

Gdzieś w dali przeleciał samolot i wyobraźnia Randy'ego podsunęła mu senne obrazy. Zgłaszają nasze zaginięcie, całej czwórki. Rozpoczynają się poszukiwania, coraz dalej od Horlicks. Farmer pamięta, jak wyprzedzało go żółte camaro "pędzące jak potępieniec". Poszukiwania skupiają się na okolicach jeziora Cascade. Prywatni piloci dołączają do nich i jeden z nich przelatujący nad jeziorem w swej dwusilnikowej bonanzie widzi nagiego dzieciaka na tratwie, tylko jednego z czwórki, samotnego...

Zorientował się, że zaraz upadnie, toteż ponownie rąbnął się pięścią w nos, aż krzyknął z bólu.

Czarna plama natychmiast śmignęła ku tratwie i wcisnęła się pod spód - może słyszała, czuła albo... Randy czekał.

Tym razem, nim wypłynęła, minęło czterdzieści pięć minut. Jego umysł powoli orbitował w coraz jaśniejszym świetle.

(kochasz tak kocham tak kibice Jankesów Catfish2 kochasz Catfisha tak kocham

(Route 663 pamiętasz corvette George Maharis w corvette Martin Milner w corvette kochasz corvette

(tak kocham corvette

(tak kocham tak kochasz

(gorąco sionce jak płonące szkło to było w jej włosach światło najlepiej pamiętam światło jasne letnie światło

(jasne letnie światło)

popołudnie

Randy płakał.

Plakał, bo zdarzyło się coś nowego - za każdym razem, gdy próbował usiąść, to coś wsuwało się pod tratwę. A zatem nie było całkiem głupie; wyczuło albo zorientowało się, że kiedy siedzi, może go dopaść.

- Odejdź - wyszlochał Randy, patrząc na wielkie czarne znamię na wodzie. Za ledwie pięćdziesiąt metrów od niego, jakże szyderczo blisko, wiewiórka śmigła po masce camaro Deke'a. - Odejdź, proszę, idź dokądkolwiek, tylko zostaw mnie w spokoju. Nie kocham cię.

Plama nie ruszyła się. Na jej powierzchni zawirowały kolory.

(kochasz tak kochasz mnie)

Randy oderwał od niej wzrok i spojrzał na plażę, szukając ratunku, ale nie było tam nikogo. Absolutnie nikogo. Jego dzinsy wciąż leżały na piasku z wywróconą nogawką. Widział białą tkaninę kieszeni. Nie wyglądały już, jakby ktoś miał zaraz podejść i je podnieść. Przypominały pamiątkę po zmarłym.

Gdybym miał pistolet, zabiłbym się, pomyślał.

Stał na tratwie.

Słońce zaszło.

Trzy godziny później wzeszedł księżyc.

Wkrótce potem zaczęły krzyczeć nury.

Niedługo później Randy odwrócił się i spojrzał na czarną rzecz na wodzie. Nie mógł się zabić, ale być może załatwiłaby to tak, by nie poczuł bólu. Może do tego właśnie służyły kolory.

(kochasz tak kochasz)

Szukał jej wzrokiem i oto była, unosiła się na wodzie, kołysała w rytm fal.

- Zaśpiewaj ze mną - wyrzucił Randy. - Kibice Jankesów, wszyscy razem, chórem... Koniec szkoły, cieszymy się... czas na taniec, czas na śpiew...

Kolory zaczęły tworzyć się i wirować. Tym razem Randy nie odwrócił wzroku.

- Kochasz? - szepnął.

Gdzieś z drugiej strony pustego jeziora odpowiedział mu krzyk nura.

Przełożyła

Paulina Arbiter

EDYTOR TEKSTU

Na pierwszy rzut oka urządzenie wyglądało jak edytor tekstu firmy Wang - miało klawiaturę i obudowę Wanga. Dopiero przyjrawszy się temu dokładniej, Richard Hagstrom dostrzegł, że obudowę kiedyś otworzono (i to niezbyt delikatnie; odniósł wrażenie, że wykonano to za pomocą piły do metalu), po czym zainstalowano w środku nieco większy kineskop IBM. Dyskietki przeznaczone dla tej dziwnej hybrydy nie były wcale elastyczne, lecz tak twarde jak single, których Richard słuchał w młodości.

- Co to jest, na litość boską? - zapytała jego żona, Lina, kiedy wraz z panem Nordhoffem taszczyli do jego gabinetu kolejne części urządzenia.

Nordhoff był sąsiadem rodziny brata Richarda - Rogera, Belindy i ich syna Jonathana.

- To coś zbudował Jon - odparł Richard. - Pan Nordhoff mówi, że to przeznaczono dla mnie.

Wygląda jak edytor tekstu.

- O, taak - potwierdził Nordhoff, który miał już za sobą swoje sześćdziesiąte urodziny i zdyszał się mocno. - To właśnie powiedział, biedny dzieciak. Czy możemy to na chwilę postawić na podłodze, panie Hagstrom? Jestem wykończony.

- Oczywiście - odparł Richard.

Zawołał syna, Seta, który na dole ćwiczył dziwne, atonalne dźwięki na gitarze Fendera. Pomieszczenie, które Richard wyobrażał sobie jako pokój rodzinny, kiedy wykładał je boazerią, stało się salą prób jego syna.

- Seth! - krzyknął. - Chodź nam pomóc!

Seth nawet nie zareagował, tylko nadal wydobywał różne akordy ze swojego Fendera. Richard popatrzył na Nordhoffa i wzruszył ramionami, nie mogąc ukryć wstydu. Nordhoff odpowiedział wzruszeniem ramion, jakby chciał powiedzieć: "Te dzieciaki! Czy w obecnych czasach można się po nich spodziewać czegoś lepszego?". Tylko że obaj wiedzieli, iż Jon - biedny, skazany na zatracenie Jon Hagstrom, syn bezwartościowego brata Richarda - był inny, lepszy.

- To bardzo miłe z pana strony, że zechciał mi pan pomóc - odezwał się Richard.

Nordhoff wzruszył ramionami.

- Co innego stary człowiek ma czynić ze swoim czasem? Poza tym przynajmniej tyle mogłem zrobić dla Jonny'ego. Strzygł mi za darmo trawnik, wiedział pan o tym? Chciałem mu płacić, ale dzieciak nie przyjmował pieniędzy. To był niezwykły chłopiec. - Nordhoff ciągle jeszcze mocno dyszał. - Czy mógłbym pana prosić o szklanekę wody, panie Hagstrom?

- Oczywiście. - Richard przyniósł ją sam, kiedy jego żona nie ruszyła się od kuchennego stołu, przy którym czytała jakiś romans i pogryzała ciasteczka. - Seth! - krzyknął jeszcze raz. - Chodź na górę i pomóż nam, dobrze?

Ale Seth nie odpowiedział, tylko nadal wygrywał te swoje stłumione, dość nieprzyjemnie brzmiące akordy na gitarze, którą Richard wciąż jeszcze splotał.

Richard zaproponował Nordhoffowi, by został na kolacji, lecz tamten grzecznie odmówił. Richard skinął głową, znowu zawstydzony, ale być może tym razem udało mu się to nieco lepiej ukryć.

"Co taki miły facet jak ty robi z taką rodziną?" - zapytał go kiedyś jego przyjaciel Bernie Epstein, a Richard w odpowiedzi zdołał tylko potrząsnąć głową, czując to samo zakłopotanie, które odczuwał teraz. Był miłym facetem. A jednak w jakiś sposób tak właśnie na tym wyszedł: miał otyłą, wiecznie ponurą żonę, która uważała się za ograbioną ze wszystkiego, co w życiu dobre, która czuła, że postawiła na przegrywającego konia (ale która nigdy otwarcie by tego nie powiedziała), i skrytego piętnastoletniego syna, tylko minimalnie udzielającego się w szkole, gdzie Richard uczył - syna, wygrywającego na gitarze dziwaczne akordy rano, w południe i wieczorem (głównie jednak wieczorem), który zdawał się myśleć, że to zupełnie wystarczy.

- Napiłbym się jednak piwa przed wyjściem - powiedział Nordhoff.

Richard skinął z wdzięcznością głową i przyniósł dwie butelki buda.

Jego gabinet znajdował się w małym, podobnym do szopy budynku stojącym obok domu - i podobnie jak pokój rodzinny, Richard sam go urządził. Jednakże w przeciwieństwie do pokoju rodzinnego było to miejsce, o którym mógł myśleć jako o swoim - miejsce, gdzie mógł się odizolować od tej nieznanym, z którą się ożenił, i tego obcego chłopaka, któremu dał życie. Lina oczywiście nie aprobowała tego, że jej mąż ma schronienie, gdzie się może przed nimi zamknąć, ale nie zdołała temu zapobiec - było to jedno z niewielu małych zwycięstw, jakie nad nią odniósł. W głębi ducha uważał, że ona w pewnym sensie rzeczywiście postawiła na złego konia; pobrali się przed szesnastu laty, kiedy oboje wierzyli, że będzie pisał cudowne, lukratywne powieści i już wkrótce zaczną jeździć mercedesami. Ale jedyna książka, którą wydał, nie była lukratywna, a krytycy szybko wykazali, że nie jest także cudowna. Lina podzielała opinię krytyków i to był początek rozłamu między nimi.

W taki to sposób praca w liceum, którą oboje uważali jedynie za odskocznik na jego drodze do sławy, chwały i bogactwa, stała się na następne piętnaście lat głównym źródłem ich dochodu - cholernie długo stercząc na tej odskoczni, myślał czasami. Ale nigdy całkowicie nie porzucił swych marzeń. Pisywał krótkie opowiadania, a od czasu do czasu także artykuły do czasopism.

Był członkiem Gildii Autorów i to członkiem o dobrej pozycji. Jego maszyna do pisania przynosiła każdego roku dodatkowe pięć tysięcy dolarów i niezależnie od tego, jak bardzo Lina mogła gderać z tego powodu, zapewniło to mu własny gabinet - zwłaszcza że ona sama nie miała zamiaru podjąć żadnej pracy.

- Ma pan tu ładne miejsce - powiedział Nordhoff, rozglądając się po małym pomieszczeniu, którego ściany zdobiła mieszanina reprodukcji staroświeckich obrazów i grafiki. Dziwny edytor tekstu stał na biurku, a stara elektryczna Olivetti Richarda została na jakiś czas odłożona na jedną z szafek.

- Spełnia swoją funkcję - odparł Richard. Wskazał głową edytor. - Nie myśli pan chyba, że to naprawdę działa, prawda? Jon miał... ile? Czternaście lat?

Nordhoff roześmiał się.

- Nie wie pan nawet połowy - odparł. - Zajrzałem do środka tej obudowy z ekranem. Niektóre z tych kabli mają znaki RADIO SHACK. I może pan w to wierzyć albo nie, ale cała masa innych nosi etykiety ERECTOR. - Wypił łyżeczkę piwa i dodał z pewnego rodzaju zadumą: - Piętnaście. Właśnie skończył piętnaście lat.

- Erector? - Richard zamrugał, patrząc na starego człowieka.

- Tak jest. Sprzedają zestawy do różnych elektrycznych modeli. Jon dostał jeden ode mnie, kiedy miał... hm, może ze sześć lat. Dałem mu go na Boże Narodzenie. Nawet wtedy był zwariowany na punkcie najrozmaitszych gadżetów. Każdy z nich sprawiłby mu radość. Czy to małe pudełeczko silniczków erectora go ucieszyło? Myślę, że tak. Przechowywał je przez prawie dziewięć lat. Niewiele dzieci to robi, panie Hagstrom.

- Tak - powiedział Richard, myśląc o zabawkach Setha: porzuconych, zapomnianych lub bez żadnego powodu połamanych, które znosił do domu przez te same dziewięć lat. Zerknął na edytor tekstu. - A zatem nie działa.

- Nie zakładałbym się o to, dopóki bym nie spróbował - odrzekł Nordhoff. - Ten dzieciak był niemal geniuszem elektronicznym. Wiedział pan o tym?

- Wiem, że dobrze sobie radził z gadżetami, jak to pan ujął. Kiedy był w szóstej klasie, wygrał stanowy konkurs naukowy, współzawodnicząc z dziećmi, które kończyły średnią szkołę. Jego projekt miał coś wspólnego z programami gier elektronicznych, jak mi się wydaje. Ale to... Nordhoff odstawił piwo.

- Kiedyś, w latach pięćdziesiątych, był taki dzieciak - zaczął - który z dwóch puszek po zupie i sprzętu elektronicznego wartości pięciu dolarów zbudował akcelerator. Jon mi o tym powiedział. Powiedział również, że w jakimś zabitym deskami miasteczku w Nowym Meksyku żył dzieciak, który w roku 1954 odkrył tachiony, cząsteczki poruszające się w przeciwnym do normalnego kierunku osi czasu. W Waterbury w Connecticut był pewien malec, jedenastolatek, który z celulozoidu zeszkobanego z grzbietów kart do gry zrobił bombę. Wysadził nią pustą budę dla psa. Dzieciaki czasem są niesamowite. Zwłaszcza te superinteligentne. Być może będzie pan zaskoczony.

- Może. Może będę.

- To był wspaniały chłopiec.

- Pan go trochę kochał, prawda?

- Panie Hagstrom, ja go bardzo kochałem - odparł Nordhoff. - To był chłopak jak złoto.

Jakie to dziwne, pomyślał Richard. Jego brat, który był prawdziwym draniem od czasu, gdy skończył sześć lat, otrzymał od losu cudowną kobietę i wspaniałego, błyskotliwego syna.

Natomiast on, który zawsze starał się być łagodny i dobry (cokolwiek to słowo znaczy w tym zwariowanym świecie), poślubił Linę, która zmieniła się w milczącą, otyłą kobietę, i spłodził z

nią Setha. Patrząc teraz na uczciwą, zmęczoną twarz Nordhoffa, zaczął się zastanawiać, jak do tego doszło i w jakim stopniu była to jego wina, naturalny wynik jego skrywanej słabości.

- Tak - zgodził się Richard. - Taki właśnie był.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby to działało - powiedział Nordhoff. - Wcale bym się nie zdziwił.

Po wyjściu Nordhoffa Richard podłączył edytor tekstu do sieci i włączył go. Kiedy rozległo się ciche buczenie, wbił wzrok w ekran, spodziewając się ujrzeć na nim litery IBM. Nie pojawiły się. Zamiast nich ukazały się te słowa, niesamowite niczym głos z zaświatów czy też zielone duchy wyłaniające się z ciemności:

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN, STRYJKU RICHARDZIE! JON!

- Chryste - wyszeptał Richard i ciężko usiadł.

Wypadek, w którym zginęli jego brat z żoną i synem, wydarzył się przed dwoma tygodniami; wracali z jakiejś wycieczki i Roger był pijany - całkowicie normalna sytuacja w życiu Rogera Hagstroma. Tym razem jednak szczęście go zwyczajnie zawiodło i stracił panowanie nad kierownicą swojego starego, brudnego vana. Samochód rozbił się na dnie trzydziestometrowego urwiska i spłonął.

Dwa tygodnie temu. A trzydzieste siódme urodziny Richarda będą...

Za tydzień. Edytor tekstu miał być urodzinowym prezentem od Jona.

To w jakiś sposób jeszcze wszystko pogorszyło. Richard nie potrafił sprecyzować, dlaczego lub jak, ale tak było. Wyciągnął rękę, aby wyłączyć monitor, lecz w ostatniej chwili ją cofnął.

"Jakiś dzieciak z dwóch puszek po zupie i sprzętu elektrycznego wartości pięciu dolarów zbudował akcelerator".

Wstał, obszedł biurko i przez szczeliny wentylacyjne zajrzał do środka urzędnika. Zobaczył to, o czym mówił Nordhoff. Kable z oznaczeniami RADIO SHACK. Kable z oznaczeniami ERECTOR i małymi, zamkniętymi w kółeczkach znaczkami towarowymi (r). I zobaczył jeszcze coś, coś, czego Nordhoff albo nie zauważył, albo o czym nie chciał wspomnieć. Był tam transformator wyjęty z dziecięcej kolejki elektrycznej, opasany drutami jak narzeczona Frankenstein.

- Chryste - powiedział, śmiejąc się, ale też nagle bliski łez. - Chryste, Jonny, co ty chciałeś zrobić?

Znał odpowiedź na to pytanie. Od lat marzył i mówił o posiadaniu edytora tekstu, a kiedy śmiech Liny stawał się zbyt sarkastyczny, by mógł go dłużej znosić, rozmawiał o tym z Jonem.

Przypomniał sobie, jak ostatniego lata powiedział do chłopca:

- Mógłbym pisać szybciej, przepisywać szybciej i więcej publikować. - Jon popatrzył na niego poważnie swoimi i jasnoniebieskimi, powiększonymi przez szkła okularów oczami. Zdradzały jego inteligencję, ale zawsze spoglądały z taką zabarwioną ostrożnością rozważą. - Byłoby wspaniale... naprawdę wspaniale.

- To dlaczego nie zdobędziesz sobie jednego, stryjkę Richardzie?

- Prawdę mówiąc, nie rozdają ich na lewo i prawo - odparł z uśmiechem Richard. - Cena najprostszego modelu RADIO SHACK wynosi około trzech tysięcy. Wychodząc od tego, można łatwo dojść do osiemnastu tysięcy dolarów.

- No to może ja ci kiedyś coś takiego zbuduję - powiedział Jon.

- Może rzeczywiście to właśnie zrobisz - roześmiał się Richard, klepiąc go po plecach.

I do chwili gdy zadzwonił do niego Nordhoff, nie myślał o tym więcej.

Kable z elektrycznych modeli dla hobbystów.

Transformator z dziecięcej kolejki.

Chryste.

Wrócił przed ekran edytora, zamierzając go wyłączyć, jakby próba napisania czegoś na nim - i to próba nieudana - w jakiś sposób sprofanowała to, co jego gorliwy, delikatny

(skazany na zatracenie)
bratanek zamierzał zrobić.

Zamiast tego nacisnął klawisz EXECUTE. Kiedy to robił, po grzbiecie przebiegł mu lekki dreszcz - gdy się nad tym zastanowić, można dojść do wniosku, że EXECUTE jest niesamowitym słowem. Nie kojarzy się z pisaniem; jest to słowo, które kojarzy się raczej z komorami gazowymi, krzesłami elektrycznymi... i, być może, ze spadającymi w przepaść starymi, brudnymi vanami. EXECUTE.

Gdy stawał przed wystawą sklepu, udając sam przed sobą, że chce kupić edytor tekstu, nigdy nie słyszał tak głośno pracującej jednostki centralnej; prawdę mówiąc, nieomal ryczała. Co umieściłeś w bloku pamięci, Jon? - zapytał w duchu. Sprężyny do łóżka? Transformatory od dzieciennych pociągów, wszystkie w jednym rzędzie? Puszki po zupie? Jeszcze raz pomyślał o oczach Jona, o jego spokojnej, delikatnej twarzy. Czy to, że zazdrościł innemu mężczyźnie syna, było dziwne, może nawet chore?

Ale on powinien być mój. Wiedziałem to... i myślę, że on także o tym wiedział. Była jeszcze Belinda, żona Rogera. Belinda, która zbyt często w pochmurne dni nosiła okulary słoneczne. Wielkie, ponieważ te siniaki wokół jej oczu zwykle paskudnie się rozlewały na inne części twarzy. Patrzył na nią czasem, siedząc nieruchomo, czujnie pod parasolem głośnego śmiechu Rogera i za każdym razem myślał prawie to samo: Ona powinna być moja.

To była przerażająca myśl, ponieważ obaj znali Belindę w liceum, obaj się z nią umawiali. Różnica wieku między nim a Rogerem wynosiła dwa lata, a Belinda była dokładnie między nimi, o rok starsza od Richarda i o rok młodsza od Rogera. Prawdę powiedziawszy, to Richard pierwszy zaczął umawiać się z dziewczyną, która miała zostać matką Jona. Ale potem wkroczył Roger - Roger, który był starszy i większy; Roger, który zawsze dostawał to, czego chciał; Roger, który mógł ci zrobić krzywdę, gdybyś stanął mu na drodze.

Wystraszyłem się. Wystraszyłem się i pozwoliłem jej odejść. Czy to było takie proste? Dobry Boże, wybac mi, ale myślę, że tak właśnie było. Chciałbym, aby było inaczej, lecz być może lepiej nie okłamywać samego siebie w takich sprawach jak tchórzostwo. I wstyd.

A gdyby było inaczej - gdyby Lina i Seth w jakiś sposób należeli do jego nikczemnego brata, a Belinda i Jon w jakiś sposób należeli do niego - czego by to dowodziło? I jak w gruncie rzeczy myślący człowiek powinien zachować się w tak absurdalnie wypaczonych sytuacjach. Wybuchnąć śmiechem? Krzyknąć? Zastrzelić się?

Nie zdziwiłbym się, gdyby to działało. Wcale bym się nie zdziwił.

EXECUTE.

Jego palce zatańczyły szybko na klawiszach. Spojrzał na ekran i zobaczył, że na jego powierzchni rozjarzyły się zielenią słowa:

MÓJ BRAT BYŁ BEZWARTOŚCIOWYM PIJAKIEM.

Jaśniały tam, a Richard nagle pomyślał o zabawce, którą dostał, kiedy był dzieckiem. Nazywała się Magic 8 Ball. Zadawało jej się pytania, na które można było odpowiedzieć "tak" lub "nie", po czym obracało się ją, aby sprawdzić, co ma do powiedzenia na dany temat; wśród jej wymijających, a jednak w jakiś sposób zachwycająco tajemniczych odpowiedzi występowały takie jak: **JEST PRAWIE PEWNE, ŻE NA TAKIEJ PODSTAWIE NICZEGO BYM NIE PLANOWAŁA** oraz **ZAPYTAJ O TO PÓŹNIEJ JESZCZE RAZ.**

Roger był zazdrosny o tę zabawkę i w końcu, zastraszywszy najpierw Richarda i zmusiwszy go siłą, by pożyczył mu ją na jeden dzień, cisnął ją na chodnik z taką siłą, że rozleciała się na kawałki. Siedząc teraz przy biurku i słuchając dziwnie głośnych dźwięków wydawanych przez obudowę jednostki centralnej, którą złożył Jon, Richard przypomniał sobie, jak osunął się wtedy

na chodnik i płakał rzewnymi łzami, nie mogąc uwierzyć w to, że jego starszy brat zrobił coś takiego.

- Beksa, beksa, patrzcie na beksę - szydził zadowolony z siebie Roger. - To przecież była tylko tania, gówniana zabawka, Richie. Popatrz, nie ma tam niczego prócz garści małych literek i mnóstwa wody.

- Powiem! - wrzasnął na cały głos Richard. Czuł, że głowa mu płonie z wściekłości, a zatoki ma całkowicie zapchane łzami. - Naskarzę na ciebie, Roger! Powiem mamie!

- Jeśli powiesz, złamię ci rękę - zagroził Roger, a jego lodowaty uśmiech zdradził Richardowi, że powiedział to najzupełniej serio.

Nie naskarzył na niego.

MÓJ BRAT BYŁ BEZWARTOŚCIOWYM PIJAKIEM. Ekran wyświetlił tekst, który napisał.

To, czy edytor zapisze go w pamięci, należy jeszcze sprawdzić, ale jak na razie hybryda utworzona przez Jona przez połączenie klawiatury Wanga z kineskopem IBM najwyraźniej działała. Przypadkiem wywołała także dość nieprzyjemne wspomnienia; ale na pewno nie była to wina Jona.

Rozejrzał się po swoim gabinecie i jego wzrok przypadkiem zatrzymał się na jednym obrazie, którego sam nie wybrał i który zupełnie nie pasował do wnętrza. Był to portret Liny, gwiazdkowy prezent dla niego, który dała mu dwa lata wcześniej.

- Chcę, żebyś powiesił go w swoim gabinecie - powiedziała i oczywiście tak właśnie zrobił. Był to, jak przypuszczał, jej sposób trzymania go na oku nawet wtedy, gdy sama była gdzie indziej. Nie zapomnij mnie, Richardzie. Jestem tutaj. Może postawiłam na złego konia, ale nadal tu jestem. I lepiej, żebyś o tym pamiętał.

Ten portret z jego nienaturalnymi barwami tworzył dziwną kombinację z miłą dla oka mieszaniną reprodukcji dzieł Whistlera, Homera i N. C. Wyetha. Oczy Liny były półprzymknięte, a mięsisty łuk Kupidyna jej warg ułożył się w coś, co niezupełnie było uśmiechem. Wciąż tu jestem, Richardzie, mówiły jej usta. I nie zapomnij o tym.

Napisał:

NA ZACHODNIEJ ŚCIANIE GABINETU WISI PORTRET MOJEJ ŻONY.

Popatrzył na te słowa i stwierdził, że nie podobają mu się tak samo jak obraz. Nacisnął klawisz DELETE. Słowa znikły. Oprócz stale pulsującego kursora na ekranie nie było nic.

Spojrzał na ścianę i zobaczył, że portret jego żony także zniknął.

Siedział nieruchomo przez bardzo długi czas - tak w każdym razie mu się wydawało - patrząc całkowicie zszokowany na ścianę, na której wisiał przedtem obraz. Tym, co w końcu wyrwało go z tego stanu oszołomienia, w którym nie dowierzał żadnemu ze swoich zmysłów, był swąd dochodzący z jednostki centralnej - zapach, który pamiętał z dzieciństwa tak dokładnie, jak dokładnie pamiętał Magie 8 Ball, zabawkę popsutą przez Rogera tylko dlatego, że nie należała do niego. Był to zapach oleju z transformatora kolejki elektrycznej. Kiedy się go czuło, należało wyłączyć urządzenie, żeby mogło ostygnąć.

I tak robi.

Za chwilę.

Wstał i na nogach jak z drewna podszedł do ściany. Przesunął dłonią po boazerii. Obraz wisiał tutaj, tak, właśnie tutaj. Ale teraz go nie było, nie było także haczyka ani dziurki w miejscu, gdzie wkręcił go w boazerię.

To wszystko znikło.

Świat nagle poszarzał, a on zatoczył się do tyłu, myśląc półprzytomnie, że zaraz zemdleje niczym aktorka w kiepskim melodramacie. Złapał się za krocze i nagle brutalnie zacisnął dłoń. Ból był okropny, ale obraz świata znowu się wyostrzył.

Przesunął wzrok z pustego miejsca na ścianie, gdzie wisiał portret Liny, na edytor tekstu, który sklecił jego nieżyjący bratanek.

"Być może będzie pan zaskoczony, zabrzmiały w jego głowie słowa Nordhoffa. Być może będzie pan zaskoczony. Być może będzie pan zaskoczony". O, tak: jeśli jakiś dzieciak w latach pięćdziesiątych mógł odkryć cząsteczki poruszające się w przeciwnym kierunku osi czasu, również to, co jego genialny bratanek zrobił z kilku wybrakowanych części edytora tekstu oraz garści kabli i różnych elektronicznych elementów mogło być zaskakujące. Tak zaskakujące, że miał wrażenie, iż traci zmysły...

Zapach transformatora był teraz intensywniejszy, a poza tym dostrzegł wstęgi dymu wydostające się przez szczeliny wentylacyjne obudowy edytora. Dochodzące z wnętrza dźwięki także były głośniejsze. Najwyższy czas, żeby go wyłączyć - Jon najwyraźniej nie zdążył dopracować wszystkich szczegółów tej zwariowanej konstrukcji.

Ale czy wiedział, że ona zrobi coś takiego?

Czując się jak owoc własnej wyobraźni, Richard usiadł znowu przed ekranem i wystukał na klawiaturze:

OBRAZ MOJEJ ŻONY WISI NA ŚCIANIE, W TYM SAMYM MIEJSCU, GDZIE WISIAŁ POPRZEDNIO.

Patrzył na to przez chwilę, po czym spojrzął na klawiaturę i nacisnął klawisz EXECUTE.

Popatrzył na ścianę.

Obraz Liny powrócił. Był w tym samym miejscu co zawsze.

- Jezu - wyszeptał. - Jezu Chryste.

Pomasował ręką policzek, spojrzął na ekran (znowu czysty, jeśli pominąć kursor), po czym napisał:

NA MOJEJ PODŁODZE NIE MA NIC.

Następnie nacisnął klawisz INSERT i dodał:

OPRÓCZ DWUNASTU HISZPAŃSKICH DUBLONÓW W MAŁYM BAWELNIANYM WORECZKU.

Nacisnął EXECUTE.

Popatrzył na podłogę, na której leżała teraz mała sakiewka z białej bawełny.

- Drogi Jezu - usłyszał, jak mówi nieswoim głosem. - Drogi, dobry Jezu...

Wzywałby tak Zbawiciela przez wiele minut lub godzin, gdyby edytor nie zaczął popiskiwać do niego. Na górze ekranu mrugało słowo OVERLOAD. Richard wyłączył edytor i opuścił gabinet tak szybko, jakby ścigały go wszystkie diabły z piekła.

Jednak zanim wyszedł, podniósł sakiewkę i wsunął ją do kieszeni spodni.

Kiedy zadzwonił tego wieczoru do Nordhoffa, zimny listopadowy wiatr wygrywał niemelodyjne tony w gałęziach rosnących przy domu drzew. Na dole zespół Setha mordował jedną z kompozycji Boba Segera. Lina grała w bingo w salce przy kościele pod wezwaniem Naszej Pani Nieustającej Żałości.

- Czy maszyna działa? - zapytał Nordhoff.

- Działa, działa - odrzekł Richard. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej monetę. Była ciężka i nierówno wykonana. Jej grubość zmieniała się od trzech milimetrów z jednej strony do prawie sześciu milimetrów z drugiej. Na jej awersie była wytłoczona głowa konkwistadora i data 1587. - Nigdy by pan nie uwierzył, jak działa. - Zachichotał. Zakrył usta dłonią, ale nie zdołał całkowicie stłumić tego chichotu.

- Uwierzyłbym - powiedział spokojnie Nordhoff. - On był bardzo bystrym chłopcem i bardzo pana kochał, panie Hagstrom. Ale niech pan zachowa ostrożność. Bystry czy nie, chłopiec jest tylko chłopcem, a miłość może być źle ukierunkowana. Czy pan rozumie, co chcę powiedzieć? Richard wcale go nie rozumiał. Było mu gorąco i czuł się tak, jakby miał podwyższoną temperaturę. W gazecie z tego dnia podano, że aktualna cena rynkowa złota wynosi pięćset czternaście dolarów za uncję. Według jego pocztowej wagi monety miały średnio po cztery i pół uncji każda. Po uwzględnieniu aktualnej ceny rynkowej złota dawało to w sumie dwadzieścia siedem tysięcy siedemset pięćdziesiąt sześć dolarów. I domyślał się, że może to być zaledwie jedna czwarta tego, co mógłby uzyskać za te dublony, sprzedając je jako monety.

- Pani Nordhoff, czy mógłby pan przyjść tutaj? Teraz? Dziś wieczorem?

- Nie - odparł Nordhoff. - Raczej nie, panie Hagstrom. Myślę, że to powinno pozostać między panem a Jonem.

- Ale...

- Proszę tylko pamiętać, co powiedziałem. Niech pan będzie ostrożny, na litość boską. - Rozległo się ciche szcęknięcie i Nordhoff się rozłączył.

Pół godziny później był znowu w swoim gabinecie i patrzył na edytor tekstu. Dotknął włącznika, ale go nie wcisnął. Gdy Nordhoff powiedział to po raz drugi, Richard go usłyszał. "Niech pan będzie ostrożny, na litość boską". Tak. Będzie musiał być ostrożny. Maszyna, która potrafiła zrobić coś takiego...

Jak maszyna mogła zrobić coś takiego?

Nie miał pojęcia dlaczego, ale w jakiś sposób, nie miał żadnych problemów z zaakceptowaniem faktów. Prawdę powiedziawszy, nie było to nic niezwykłego. Był nauczycielem angielskiego i od czasu do czasu pisarzem, a nie technikiem, i nigdy nie mógł zrozumieć, jak funkcjonują różne urządzenia: fonografy, silniki benzynowe, telefony, telewizory, a nawet spłuczka w jego toalecie. Przez całe życie koncentrował się raczej na nauce obsługi tych urządzeń, a nie poznawaniu zasad ich działania. Czy sytuacja, w której się teraz znalazł, różniła się czymkolwiek - oprócz skali - od jego zwykłych doświadczeń?

Włączył maszynę. Tak jak poprzednio powitała go napisem:

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN, STRYJKU RICHARDZIE! JON!
Nacisnął klawisz EKECUTE i wiadomość od bratanka znikła.

Ta maszyna nie będzie zbyt długo działać, pomyślał nagle. Był pewny, że Jon jeszcze nad nią pracował, kiedy zginął. Pracował, przekonany, że ma dużo czasu; w końcu do urodzin stryjka Richarda pozostały jeszcze trzy tygodnie.

Ale czas Jona się skończył i dlatego ten absolutnie zadziwiający edytor tekstu, który najwyraźniej potrafił wprowadzać do świata rzeczywistego nowe rzeczy i usuwać z niego stare, pachniał jak smażący się transformator dziecięcej kolejki i zaczął dymić już po kilku minutach. Jon nie zdążył go dopracować. On...

Przekonany, że ma dużo czasu?

To było niemożliwe i Richard o tym wiedział. Spokojna, czujna twarz Jona, jego trzeźwe oczy za grubymi szklami okularów... nie było w nich pewności siebie, wiary w nadmiar czasu. Jakie to określenie przyszło mu do głowy wcześniej tego dnia? Skazana na zatracenie. To nie było tylko dobre określenie, ono pasowało do Jona wręcz idealnie. Ta otaczająca chłopca atmosfera nieuchronnej zguby była tak wyczuwalna, wręcz namacalna, zdarzały się takie chwile, że Richard chciał go przytulić do siebie i powiedzieć, że czasem zakończenia są szczęśliwe i że dobrzy nie zawsze umierają młodo.

A potem pomyślał o Rogerze rzucającym na chodnik jego Magie 8 Ball, rzucającym z całej siły; usłyszał trzask pękającego plastiku i zobaczył wyciekający z zabawki płyn - ostatecznie to była tylko woda. I ten obraz zlał się w jedno z obrazem brudnego vana Rogera z napisem DOSTAWY HURTOWE HAGSTROMA na boku, przelatującego nad krawędzią jakiegoś skalistego urwiska, roztrzaskującego się na dnie. Zobaczył - chociaż wcale tego nie chciał - twarz żony swego brata, znikającą w fontannie krwi i odłamków kości. Zobaczył Jona palącego się w samochodzie, krzyczącego, czerniejącego.

Nigdy nie przejawiał żadnej ufności i wiary w przyszłość. Zawsze miało się wrażenie, że żyje w poczuciu uciekającego czasu. I ostatecznie okazało się, że miał rację.

- Co to znaczy? - wymamrotał Richard, wpatrując się w czysty ekran.

ZAPYTAJ O TO PÓŹNIEJ JESZCZE RAZ.

Hałas dochodzący z jednostki centralnej znowu stawał się coraz głośniejszy, i to szybciej niż po południu. Richard już czuł, że transformator, który Jon zainstalował za ekranem maszyny, niebezpiecznie się rozgrzewa.

Magiczna maszyna marzeń.

Boski edytor tekstu.

Czy to właśnie jest coś takiego? Czy to właśnie Jon miał zamiar podarować swojemu stryjowi na urodziny? Nowoczesny odpowiednik czarodziejskiej lampy lub studni życzeń?

Usłyszał, jak tylne drzwi domu otwierają się z trzaskiem, a potem dobiegły go głosy Seta i innych członków jego zespołu. Głosy zbyt donośne i zbyt ochryple. Albo pili, albo palili trawkę.

- Gdzie jest twój stary, Seth? - zapytał jeden z nich.

- Pewnie jak zwykle leseruje w swoim gabinecie - odparł Seth. - Myślę, że on tam...

Podmuch wiatru zagłuszył resztę jego słów, ale nie zagłuszył ich sprośnego śmiechu.

Richard słuchał ich, przechyliwszy lekko głowę na jedną stronę, po czym nagle napisał.

MOIM SYNEM JEST SETH ROBERT HAGSTROM.

Jego palec zawisł nad klawiszem DELETE.

Co ty robisz - krzyknął jakiś głos w jego umyśle. - Jak możesz się nad tym nawet zastanawiać?

Czy zamierzasz zamordować własnego syna?

- On musi coś tam robić - powiedział jeden z pozostałych.

- To pieprzony tuman - odparł Seth. - Zapytaj kiedyś o niego moją matkę. Powie ci. On...

Nie zamorduję go. Ja go... skasuję. Nacisnął klawisz.

- Nigdy nie robił nic oprócz...

Słowa MOIM SYNEM JEST SETH ROBERT HAGSTROM znikły z ekranu.

Dobiegający z dworu głos Seta urwał się w pół słowa. Słyszeć było jedynie szum zimnego listopadowego wiatru, nieubłaganie zapowiadającego nadejście zimy.

Richard wyłączył edytor tekstu i wyszedł na zewnątrz. Podjazd był pusty. Gitarzysta prowadzący zespół, Norm Jakiśtam, jeździł starym, monstrualnym kombi, w którym chłopcy przewozili sprzęt na swoje niezbyt częste występy. Nie było go na podjeździe. Być może był teraz gdzie indziej, mknąc po jakiejś autostradzie lub stojąc na parkingu jakiejś zatłuszczonej speluny z hamburgerami, i być może Norm także gdzieś był; podobnie jak Davey, basista, który miał przerażająco puste spojrzenie i który nosił w uchu agrafkę; podobnie jak perkusista, któremu brakowało przednich zębów. Oni byli tam gdzieś na świecie, gdzieś, ale nie tutaj, ponieważ nie było tu Seta; Seta nigdy tu nie było.

Seth został skasowany.

- Nie mam syna - wymamrotał Richard.

Ile to razy natykał się w złych powieściach na to melodramatyczne zdanie. Sto? Dwieście? Nigdy nie brzmiało mu prawdziwie. Ale teraz wyrażało prawdę. Teraz to była prawda. Och, tak.

Wiatr się wzmógł, a Richard nagle poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Zgiął się wpół, z trudem łapiąc powietrze.

Kiedy skurcz minął, wszedł do domu.

Pierwsze, co zauważył, to, że z korytarza znikły stare, znoszone tenisówki Setha - miał ich cztery pary i nie chciał żadnej wyrzucić. Podszedł do słupka balustrady schodów i przesunął po jego części kciukiem prawej ręki. W wieku dziesięciu lat (był już na tyle duży, by wiedzieć, że postępuje niewłaściwie, ale Lina nadal nie pozwalała Richardowi sprawić mu lania) Seth wyrzeźbił na tym słupku swoje inicjały. Richard mozolił się potem przez całe lato, próbując je usunąć. Wielokrotnie szlifował drewno, wypełniał wgłębienia i lakierował, ale ślady inicjałów pozostały.

Teraz ich nie było.

Piętro. Pokój Setha. Był czysty, schludny i nie zamieszkały, pozbawiony osobowości. Równie dobrze mógłby mieć na drzwiach tabliczkę POKÓJ GOŚCINNY.

Parter. I to tam Richard zasiedziało się najdłużej. Płatanina kabli zniknęła; zniknęły wzmacniacze i mikrofony; nie było także porzucanych w nieładzie części magnetofonu, który Seth zawsze zamierzał naprawić, ale jakoś nigdy nie mógł się do tego zabrać (nie miał dłoni Jona ani jego zdolności do koncentracji). Na pokoju niczym pieczęć odcisnęła się osobowość Liny - ciężkie, ozdobne meble i cukierkowate gobeliny (jeden z nich przedstawiał Ostatnią Wieczerzę, a inny jelenia na tle zachodu słońca na alaskijskim niebie) - ale nie było w nim ani śladu Setha.

Richard wciąż jeszcze stał u stóp schodów i rozglądał się dookoła, kiedy usłyszał zatrzymujący się na podjeździe samochód.

Lina, pomyślał, i poczuł przyływ prawie paraliżującego poczucia winy. To Lina, wraca z bingo, i co ona powie, kiedy zobaczy, że Seth zniknął? Co... Co...

Morderca! - usłyszał w duchu jej krzyk. - Zamordowałaś mojego chłopca!

Ale on nie zamordował Setha.

- Ja go skasowałem - wymamrotał i wszedł po schodach na górę.

Lina był tłustsza.

Kiedy poszła grać w bingo, ważyła mniej więcej dziewięćdziesiąt kilo. Kiedy wróciła, miała przynajmniej sto pięćdziesiąt, może więcej; żeby wejść przez tylne drzwi, musiała się częściowo obrócić bokiem. Słoniowate biodra i uda, opięte poliestrowymi spodniami w kolorze przejrzałych oliwek, falowały przy każdym ruchu. Jej skóra, lekko tylko bladawa jeszcze przed trzema godzinami, teraz miała niezdrowy, ziemisty odcień. Nawet nie będąc lekarzem, Richard mógł wyczytać z tej skóry poważne uszkodzenie wątroby lub początkowe stadium choroby serca. Spod półprzymkniętych powiek przyjrzała się Richardowi z tą samą, niezmienną od lat pogardą.

W jednej ze swoich sflaczałych rąk trzymała zamrożone zwłoki ogromnego indyka. Owinięty ciasno w celofan wyglądał jak ofiara jakiegoś makabrycznego samobójstwa...

- Na co się tak gapisz, Richardzie? - zapytała.

Na ciebie, Lino. Gapię się na ciebie. W taką kobietę zmieniał się w świecie, w którym nie mamy dzieci. Tak wyglądasz w świecie, w którym nie masz nikogo do kochania - miłością zatrutą jak twoja. Ty, Lino. Na ciebie się gapię. Na ciebie.

- Ten ptak, Lino - zdołał w końcu powiedzieć. - To największy cholerny indyk, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- No więc nie stój i nie patrz tak na niego, idioto! Pomóż mi!

Wziął od niej indyka i poczuł bijący od niego posepny chłód. Kiedy go położył na stole, wydał odgłos jak kłoc drewna.

- Nie tam! - krzyknęła niecierpliwie i wskazała mu spizarnię. - Nie zmieści się do tej pieprzonej lodówki! Włóż go do zamrażarki!

- Przepraszam - mruknął. Nigdy przedtem nie mieli zamrażarki. Nigdy w świecie, w którym żyli z Sethem.

Zaniósł indyka do spizarni, gdzie zobaczył długą zamrażarkę firmy Amana, która w białym świetle jarzeniówek wyglądała jak zimna, biała trumna. Umieścił go w środku obok kriogenicznie zakonserwowanych trupów innych ptaków i zwierząt, po czym wrócił do kuchni. Lina tymczasem wyjęła z kredensu słoik babeczek z masłem orzechowym i zjadała metodycznie jedną po drugiej.

- To było bingo z okazji Święta Dziękczynienia - powiedziała. - Zorganizowałyśmy to w tym tygodniu zamiast przyszłego, ponieważ w przyszłym tygodniu ojciec Philips musi iść do szpitala na operację usunięcia woreczka żółciowego. Wygrałam. - Uśmiechnęła się. Z jej zębów spływała brązowa mieszanina czekolady i masła orzechowego.

- Lino - zaczął - czy nigdy nie żałowałaś, że nie mamy dzieci?

Spojrzała na niego, jakby zupełnie zwariował.

- A dlaczego, na litość boską, miałabym chcieć jakiegoś pełzającego po dywanach bachora? - zapytała. Włożyła z powrotem do kredensu słoik z babeczkami, którego zawartość została zredukowana do połowy, i dodała: - Idę do łóżka. Przyjdiesz czy wracasz tam, aby pośłuczyć jeszcze nad tą swoją maszyną do pisania?

- Myślę, że posiedzę jeszcze trochę. - Jego głos brzmiał zaskakująco spokojnie. - To nie potrwa długo.

- Czy ten gadżet działa?

- Co... - Nagle zrozumiał i znowu ogarnęły go wyrzuty sumienia. Wiedziała o edytorze tekstu; oczywiście, że wiedziała. Skasowanie Seta nie miało wpływu na Rogera ani na los jego rodziny.

- Ach, nie. Nie działa.

Skinęła głową z satysfakcją.

- Ten twój bratanek. Głowę miał zawsze w chmurach. Zupełnie jak ty, Richardzie. Gdybyś nie był takim niezgułą, mogłabym się nawet zastanawiać, czy jakieś piętnaście lat temu nie wpychałeś no... tego, tam gdzie nie trzeba.

Wybuchnęła chrapliwym, zaskakująco donośnym śmiechem - śmiechem starzejącej się, cynicznej rajfurki - i mało brakowało, a rzuciłby się na nią. Potem jednak poczuł, że na usta wypęła mu uśmiech - uśmiech tak nieznaczny i zimny jak pierwsza warstewka lodu na powierzchni stawu.

- Nie będę długo - powiedział. - Chcę tylko zrobić parę notek.

- Dlaczego nie napiszesz jakiegoś opowiadania, które dostanie Nobla lub czegoś takiego? - zapytała obojętnym tonem. Deski podłogi w korytarzu zaczęły trzeszczeć i postękiwać, kiedy kołysząc swoim ogromnym cielskiem, ruszyła w stronę schodów. - Wciąż jeszcze jesteśmy winni optykowi za moje okulary do czytania i zalegamy z ratą za magnetowid. Może tak zarobisz wreszcie trochę pieniędzy, do cholery.

- Cóż - odparł Richard. - Postaram się, Lino. Dziś wieczorem przyszło mi do głowy kilka dobrych pomysłów. Naprawdę.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Wydawało się, że chce rzucić jakąś sarkastyczną uwagę - coś o tym, że żaden z jego dobrych pomysłów nie przyniósł im jeszcze powodzenia, a ona tak czy owak jest skazana na niego - ale jednak nie zrobiła tego. Być może powstrzymało ją coś, co zobaczyła w jego uśmiechu. Weszła na górę. Richard stał przy schodach, słuchając odgłosu jej grzmiących kroków. Czuł pot na czole. Ogarnęły go jednocześnie mdłości i trudna do opanowania radość. Odwrócił się i poszedł do swojego gabinetu.

Kiedy tym razem włączył edytor, dźwięk, jaki wydała jednostka centralna, nie był buczeniem ani nawet rykiem, ale jakimś nierównym wyciem. Z obudowy ekranu prawie natychmiast zaczął

dochodzić swąd rozgrzanego transformatora i gdy tylko nacisnął klawisz EXECUTE, wymazując napis WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN, STRYJKU RICHARDZIE! JON! - urządzenie zaczęło dymić.

Zostało niewiele czasu, pomyślał. Nie, to nie tak. Czas się już prawie kończył.

Miał dwie możliwości do wyboru: sprowadzić Setha za pomocą klawisza INSERT - był pewny, że można to zrobić; byłoby to tak proste jak stworzenie hiszpańskich dublonów - lub dokończyć dzieła.

Dym był coraz gęstszy i wydobywał się coraz szybciej. Za kilka sekund, w najlepszym razie, na ekranie zacznie mrugać komunikat OVERLOAD.

Napisał:

MOJĄ ŻONĄ JEST ADELINA MABEL WARREN HAGSTROM.

Nacisnął:

DELETE.

Napisał:

JESTEM MĘŻCZYZNA, KTÓRY ŻYJE SAM.

W tym momencie w prawym górnym rogu ekranu zaczęło miarowo mrugać słowo: OVERLOAD OVERLOAD OVERLOAD.

Proszę. Proszę, pozwól mi skończyć. Proszę, proszę, proszę...

Dym, który wydobywał się przez szczeliny obudowy ekranu, był teraz gęsty i szary. Richard popatrzył na wyjąca coraz głośniejszą jednostkę centralną i zobaczył, że ona także zaczyna dymić... a przebiwszy wzrokiem tumany dymu, dostrzegł również pośpenny, czerwony odblask ognia.

Magie 8 Ball, czy będę zdrowy, bogaty i mądry? Czy też będę żył samotnie i być może zabiję się z rozpaczy? Czy wystarczy mi czasu?

TERAZ NIC NIE WIDZĘ. SPRÓBUJ PÓŹNIEJ.

Tyle że nie ma żadnego później.

Wcisnął klawisz INSERT i ekran pociemniał z wyjątkiem komunikatu OVERLOAD, który mrugał teraz jeszcze bardziej natarczywie niż poprzednio.

Napisał:

WRAZ Z ŻONĄ BELINDĄ I SYNEM JONATHANEM.

Proszę. Proszę.

Wcisnął klawisz EXECUTE.

Napis zniknął z ekranu. Przez czas, który ciągnął się jak wieki, pozostał czysty z wyjątkiem komunikatu OVERLOAD, mrugającego teraz tak szybko, że, wyłączony lekki cień, wydawał się wręcz stały, jak w wypadku komputera wykonującego zamkniętą pętlę poleceń. Coś wewnątrz jednostki centralnej strzeliło i zaskwierczało. Richard jęknął.

A potem na ekranie pojawiły się zielone litery, jarzące się tajemniczo na czarnym tle.

JESTEM MĘŻCZYZNA, KTÓRY ŻYJE SAM WRAZ Z ŻONĄ BELINDĄ I SYNEM JONATHANEM.

Nacisnął dwa razy klawisz EXECUTE.

Teraz - pomyślał. - Teraz napiszę: WSZYSTKIE USTERKI TEGO EDYTORA TEKSTU ZOSTAŁY CAŁKOWICIE USUNIĘTE, ZANIM PAN NORDHOFF PRZYWIÓZŁ GO DO MOJEGO DOMU. Albo napiszę: MAM POMYSŁY NA PRZYNAJMNIEJ DWADZIEŚCIA POWIEŚCI, KTÓRE ZOSTANĄ BESTSELLERAMI. Albo napiszę: MOJA RODZINA I JA BĘDZIEMY ZAWSZE SZCZĘŚLIWI. Albo...

Ale niczego nie napisał. Jego palce wisiały głupio nad klawiaturą, a on czuł - dosłownie czuł - jak wszystkie obwody jego mózgu zapychają się niczym ulice Manhattanu podczas najgorszego korka w historii przemysłu samochodowego.

Ekran nagle wypełnił się słowem

OVERLOADOVERLOADOVERLOADOVERLOADOVERLOADOVERLOADOVERLOADOVERLOADOVERLOAD.

W jednostce centralnej znowu coś strzeliło, a potem eksplodowało. Z obudowy buchnęły płomienie, które zaraz zgasty. Richard odchylił się do tyłu w swoim fotelu, osłaniając twarz na wypadek implozji kineskopu. Nie implodował, tylko ekran gwałtownie ściemniał.

Richard siedział tak przez jakiś czas, wpatrując się w ciemny ekran.

NIE POTRAFIĘ ODPOWIEDZIEĆ. ZAPYTAJ O TO PÓŹNIEJ JESZCZE RAZ.

- Tata?

Obrócił się gwałtownie w fotelu. Jego serce biło tak mocno, że miał wrażenie, iż za chwilę wyskoczy mu z piersi.

Na progu stał Jon, Jon Hagstrom. Jego twarz była taka sama, a jednocześnie w jakiś sposób inna; różnica była subtelna, ale zauważalna. Być może, pomyślał Richard, wynika ona z faktu, iż teraz jego ojcem jest drugi z braci. A może po prostu chodziło o to, że ten wyraz czujności zniknął z jego oczu, lekko powiększonych przez grube szkła okularów (w drucianych oprawkach, zauważył, a nie tych brzydkich, masowo produkowanych oprawkach rogowych, które Roger zawsze kupował synowi, ponieważ były o piętnaście dolarów tańsze).

A może wyjaśnienie było jeszcze prostsze: w oczach chłopca nie widać już było tego przekonania, że jego przeznaczeniem jest nieuchronna zguba.

- Jon? - powiedział ochrypłym głosem, zastanawiając się jednocześnie, czy naprawdę chciał dostać od losu więcej niż to, co właśnie otrzymał. Chciał? Mogło się to wydawać śmieszne, ale przypuszczalnie chciał. Ludzie pewnie zawsze chcą. - Jon, to ty, prawda?

- A któż by inny? - Jon wskazał głową edytor. - Czy nic ci się nie stało, kiedy to małeństwo przeniosło się do rajy komputerów?

Richard uśmiechnął się.

- Nie. Wszystko w porządku. Jon pokiwał głową.

- Przykro mi, że to nie chciało działać. Nie wiem, co mnie opętało, że użyłem do budowy tych wszystkich wybrakowanych części. - Pokręcił głową. - Klnę się na Boga, że nie wiem. To tak, jakbym musiał to zrobić. Dziecinada.

- Cóż - powiedział Richard, podchodząc do syna i obejmując go ramieniem - następnym razem pójdziesz ci lepiej.

- Być może. A może spróbuję zrobić coś innego.

- To także dobry pomysł.

- Mama powiedziała, że przygotowała dla ciebie kakao. Jeśli chcesz się napić, masz zaraz przyjść.

- Chcę - odparł Richard i wyszli razem z gabinetu, zmierzając do domu, do którego nikt nigdy nie przyniósł żadnego zamrożonego indyka wygranego w bingo. - Filiżanka kakao dobrze mi robi.

- Wyciągnę z tej maszyny wszystko, co jest cokolwiek warte, a resztę wyrzucę na śmieci.

Richard skinął głową.

- Wykasuj ją z naszego życia - powiedział i śmiejąc się, weszli do domu, gdzie przywitał ich zapach gorącego kakao.

Przełożył

Jan Pyka

CZŁOWIEK, KTÓRY NIE PODAWAŁ RĘKI

Stevens podał drinki i tuż po wybiciu godziny ósmej w tę mroźną zimową noc większość z nas przeszła do biblioteki. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał; słyszało się jedynie trzaskanie ognia na kominku, głuchy klekot bil i wycie wichru za oknem. Tutaj, pod numerem 249B na Trzydziestej Piątej Wschodniej, było ciepło i przytulnie.

Pamiętam, że owej nocy po prawej ręce miałem Davida Adleya, natomiast Emlyn McCarron, który niegdyś uraczył nas przerażającą opowieścią o kobiecie rodzącej w dość szczególnych okolicznościach, znajdował się na lewo ode mnie. Za nim siedział Johanssen z egzemplarzem "Wall Street" na kolanach.

Stevens pojawił się z niewielką białą paczuszką i wręczył ją George'owi Gregsonowi, nie zawahawszy się nawet przez sekundę. Pomimo nieznacznego brooklyńskiego akcentu (a może właśnie ze względu na niego) Stevens to kamerdyner doskonały, lecz według mnie jego największą zaletą jest to, że zawsze wie, komu ma przekazać paczkę, nawet jeśli nikt się o nią nie upomina.

George przyjął ją bez protestu i przez chwilę siedział w milczeniu, oparty w wysokim fotelu i wpatrzony w ogień na kominku tak wielkim, że można by na nim upiec wołu. Zauważyłem, że zerknął przelotnie na napis, wyrzeźbiony w kamiennym zworniku: "Historia to nie ten, co ją opowiada".

Drżącymi starymi palcami rozdarł opakowanie i wrzucił jego zawartość do ognia. Na jedną chwilę płomień w kominku rozbłysły wszystkimi barwami tęczy; usłyszałem stłumiony śmiech. Odwróciłem się i ujrzałem Stevensa stojącego w znacznym oddaleniu, w cieniu drzwi wychodzących na korytarz. Ręce trzymał założone za plecami, a jego twarz nie zdradzała żadnej emocji.

Sądzę, że wszyscy drgnęliśmy nerwowo, kiedy ciszę zmaćcił skrzypiący, niemal płaczliwy głos. A jeśli nie wszyscy, to ja z całą pewnością.

- Widziałem kiedyś, jak w tym pokoju zamordowano człowieka - powiedział George Gregson - choć żaden sędzia nie skazałby mordercy. Lecz w końcu on sam wydał na siebie wyrok... i sam go wykonał.

Nastąpiła chwila ciszy, gdy George zapalał fajkę. Dym opłynął błękitnym obłoczkiem jego pomarszczoną twarz; George zgasił zapalną powolnym, ostrożnym ruchem człowieka dręczonego bólem stawów i wyrzucił ją do kominka, gdzie upadła pomiędzy spopielone szczątki paczki. Przez chwilę przyglądał się, jak płomień pożera drewno. Jego przenikliwe błękitne oczy kryły się w cieniu krzaczastych siwych brwi, nos był duży i garbaty, wargi cienkie i zaciśnięte, a ramiona zgarbione tak, że niemal zbiegały się z głową.

- Na litość boską, nie znęcaj się nad nami - wybuchnął Peter Andrews. - Zaczynijże wreszcie!

- Bez obawy. Cierpliwości.

I wszyscy musieliśmy poczekać, aż fajka rozpali się jak należy. Kiedy wreszcie w dużej główce z korzenia wrzośca znalazła się warstwa węgielków, George położył swą szeroką, nieco bezwładną dłoń na kolanie i powiedział:

- A zatem do rzeczy. Mam lat osiemdziesiąt pięć, a to, o czym zamierzam opowiedzieć, wydarzyło się, gdy liczyłem sobie dwadzieścia wiosen. Był rok 1919, właśnie powróciłem z Wielkiej Wojny. Moja narzeczona umarła pięć miesięcy wcześniej na influencję. Miała zaledwie dziewiętnaście lat; obawiam się, że po jej śmierci piłem i grałem w karty o wiele częściej, niż powinienem. Czekala na mnie dwa lata i regularnie co tydzień dostawałem od niej list. Być może zrozumiecie, dlaczego tak bardzo folgowałem swoim zachciankom. Porzuciłem wiarę, gdyż w okopach wszystkie dogmaty i teorie chrześcijaństwa wydały mi się dość komiczne, a nie miałem rodziny, która by mnie wsparła. Muszę przyznać, że przyjaciele, którzy widzieli mnie w tym trudnym czasie, rzadko mnie opuszczali. Było ich pięćdziesięciu trzech (któż może się pochwalić

tak licznym gronem?): pięćdziesiąt dwie karty i butelka whisky. Wynająłem ten sam apartament, który zamieszkują obecnie, na Brennan Street. Wtedy jednak był on znacznie tańszy, a na półkach nie stało tam tyle buteleczek z medykamentami, pigułkami i miksturami. Jednak większość czasu spędzałem właśnie tutaj, pod numerem 249B, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie zawsze grano w pokera.

W tym miejscu David Adley przerwał tok jego opowieści, a choć się uśmiechał, nie sądzę, by żartował:

- A czy wtedy Stevens tu był? George spojrzął na kamerdynera.

- Czy to byłeś ty, Stevens, czy też twój ojciec? Stevens pozwolił sobie na najbledszy cień uśmiechu.

- Jako że od roku 1919 upłynęło sześćdziesiąt pięć lat, mniemam, iż był to mój dziadek.

- A zatem funkcja ta jest waszą rodzinną tradycją - zauważył Adley.

- W rzeczy samej - przyznał Stevens uprzejmie.

- Teraz, gdy się nad tym zastanawiam - odezwał się znowu George - widzę wyraźne podobieństwo pomiędzy tobą a twoim... powiedziałaś: dziadkiem?

- Tak jest, proszę pana, tak właśnie powiedziałem.

- Gdybyście stanęli obok siebie, nie sposób byłoby was odróżnić... lecz to nie ma tu nic do rzeczy, nieprawda?

- Tak, proszę pana.

- Znajdowałem się w pokoju do gier... tam, za tymi niewielkimi drzwiami... w dniu, w którym po raz pierwszy i ostatni spotkałem Henry Browera. Znaleźliśmy już czterech graczy, chętnych do partyjki pokera. Potrzebny był nam jeszcze jeden, by wieczór mógł się rozpocząć. Kiedy Jason Davidson przyszedł z wieścią, iż George Oxley, nasz piąty, złamał nogę i leży unieruchomiony na tym przeklętym wyciągu, wydawało się, że będziemy musieli obejść się smakiem. Zacząłem już godzić się z perspektywą spędzenia całego wieczora, za jedyny ratunek mając cierpliwość i oszałamiające ilości whisky, kiedy jakiś jegomość z drugiego końca pokoju odezwał się spokojnym i przyjemnym głosem:

- Jeśli mówicie panowie o pokerze, z radością zaproponuję swoją pomoc, o ile oczywiście nie macie nic przeciwko temu.

Człowiek ten krył się dotąd za egzemplarzem nowojorskiego "Worlda", więc dopiero teraz miałem sposobność na niego spojrzeć. Był to młodzieniec o obliczu starca, jeśli pojmujecie, co mam na myśli. Niektóre z bruzd, które ujrzałem na jego twarzy, pojawiły się i na mojej... po śmierci Rosalie. Niektóre, lecz nie wszystkie. Sądząc po włosach, dłoniach i ruchach, jegomość ów nie mógł sobie liczyć więcej niż dwadzieścia osiem lat, lecz na jego twarzy doświadczenie odbiło się niczym piętno, a jego oczy, bardzo ciemne, spoglądały już nawet nie smutnie, lecz wręcz upiornie. Poza tym młodzieniec był dość przystojny; miał mały wąsik i włosy w kolorze ciemnego blondu. Nosił bardzo przyzwoity brązowy garnitur i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

- Nazywam się Henry Brower - powiedział. Davidson natychmiast podbiegł, by mu uścisnąć rękę. Prawdę mówiąc, wyglądało to tak, jakby zamierzał mu ją wyszarpnąć. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego: Brower pospiesznie upuścił gazetę i uniósł wysoko obie dłonie. Na jego twarzy odmalowała się czysta zgroza.

Davidson zatrzymał się, zupełnie zbity z tropu, bardziej zdumiony niż rozgniewany. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata - Boże, jacyśmy byli wtedy młodzi! - i przypominał nieco szczeniaka.

- Proszę o wybaczenie - odezwał się Brower ze śmiertelną powagą - lecz nigdy nie podaję ręki. Davidson szeroko otworzył oczy.

- Nigdy? Bardzo szczególne. I dlaczegoż to, na litość boską?

Jak mówiłem, czasami przypominał szczeniaka. Brower zareagował w sposób najlepszy z możliwych, ze szczerym (i nieco zakłopotanym) uśmiechem.

- Niedawno wróciłem z Bombaju - rzekł. - To dziwne, zgiełkliwe i brudne miasto, pełne chorób i plugastwa. Nad jego murami krążą tysiące sępów. Przebywałem tam przez dwa lata z misją handlową i obawiam się, że nabrałem odrazy do naszych zachodnich powitań. Wiem, że to głupie i nieuprzejme, a jednak nie potrafię się przemóc. Więc jeśli okaże mi pan tę łaskę i nie będzie chował urazy...

- Pod jednym warunkiem - zastrzegł Davidson z uśmiechem.

- Jakim?

- Proszę usiąść przy naszym stole i raczyć się whisky George'a, dopóki nie sprowadzę Bakera, Frencha i Jacka Wildena.

Brower uśmiechnął się, skinął głową i odłożył gazetę. Davidson podziękował mu dość nieobyčajnym gestem kciuka złożonego z palcem wskazującym, po czym popędził, by sprowadzić pozostałych. My zasiedliśmy do stołu nakrytego zielonym sukniem, lecz gdy zaproponowałem Browerowi drinka, odmówił grzecznie i zamówił własną butelkę. Doszedłem do wniosku, iż ma to coś wspólnego z jego dziwnymi uprzedzeniami i powstrzymałem się od komentarzy. Znałem ludzi, którzy posunęli się nawet dalej z lęku przed zarazkami i chorobami... sądzę, że i wy się z nimi spotkaliście. Zebrani pokiwali głowami.

- Dobrze jest siedzieć tutaj - zwrócił się do mnie Brower w zamyśleniu. - Od powrotu z placówki wystrzegałem się wszelkiego towarzystwa. Ale człowiek nie powinien być samotny. Według mnie nawet najbardziej samowystarczalne osoby muszą odczuwać odcięcie od społeczeństwa jako najgorszy rodzaj tortur!

Powiedział to z dziwaczną emfazą, lecz mimo to przytaknąłem. W okopach doświadczyłem już takiego uczucia osamotnienia, szczególnie w nocy. Po śmierci Rosalie nawiedziło mnie znowu, znacznie dotkliwsze. Poczulem, iż mimo swego niewątpliwego ekscentryzmu Brower budzi we mnie ciepłe uczucia.

- Bombaj jest z pewnością fascynujący - zauważyłem.

- Fascynujący... i straszny! Zdarzają się tam rzeczy, o których nie śniło się naszym filozofom.

Tubylcy zabawnie reagują na automobile; dzieci płoszą się na ich widok, lecz później nie odstępują ich na krok. Aeroplany są dla nich przerażające i niepojęte. Oczywiście my, Amerykanie, traktujemy te wynalazki ze spokojem - nawet z zadowoleniem! - lecz zapewniam pana, że zareagowałem równie gwałtownie, gdy po raz pierwszy ujrzałem, jak uliczny żebrak połyka paczkę stalowych igieł i wyciąga je, jedną po drugiej, z otwartych ran na czubkach palców. A jednak tubylcy uważali to za coś naturalnego. Być może - dodał ponuro - te dwie kultury nigdy się nie wymieszają, a ich osobliwości będą nadal zadziwiać. Dla Amerykanina jak ja czy pan połknięcie paczki igieł zakończyłoby się śmiercią w okropnych, powolnych męczarniach. A co do automobili... - Urwał, a jego twarz spochmurniała.

Nie zdążyłem się odezwać, gdyż Stevens Starszy pojawił się z zamówioną butelką szkockiej, a po chwili nadeszli inni. Davidson uprzedził powitania, mówiąc:

- Poinformowałem wszystkich o twoich zwyczajach, Henry, więc nie musisz się o nic martwić. To jest Darrel Baker, ten groźny jegomość z brodą to Andrew French, a to Jack Wilden. George'a Gregsona już poznałeś.

Brower uśmiechnął się i skinął głową tytułem powitania. Wyjęto żetony, trzy nowe talie kart i gra się rozpoczęła.

Siedzieliśmy przy stole przez dobre sześć godzin, a ja wygrałem dwieście dolarów. Darrel Baker, który nie radził sobie szczególnie dobrze, stracił jakieś osiem setek (lecz nawet tego nie poczuł;

jego ojciec był właścicielem trzech największych fabryk obuwniczych w Nowej Anglii), więc rozdzieliliśmy między siebie jego przegraną. Davidson stał się bogatszy, Brower zaś biedniejszy o parę dolarów, choć ten ostatni nie wyszedł na tym tak źle, jakby mógł, gdyż niemal przez cały wieczór karta szła mu zadziwiająco źle. Był równie wprawny w tradycyjnym wariacie z pięcioma kartami, jak i w nowszej siedmiokartowej odmianie gry. Wydawało mi się, że parę razy wygrał dzięki blefom, przed którymi ja bym się zawahał.

Zauważyłem też coś jeszcze: choć pił niemal bez umiaru - zanim French zdołał uporać się z ostatnim rozdaniem, Brower zdążył osuszyć swoją butelkę - jego wymowa pozostała krystalicznie czysta, ręka pewna, a to dziwne uprzedzenie do dotykania cudzych dłoni równie nieprzejednane. Kiedy wygrywał pulę, nigdy nie dotykał pieniędzy, jeśli ktoś nie zgrał się do nitki i nadal miał żetony. Raz, gdy Davidson postawił kieliszek zbyt blisko jego łokcia, cofnął się gwałtownie, niemal rozlewając własnego drinka. Baker spojrział na niego z zaskoczeniem, lecz Davidson zbyt jakąś uwagą.

Jakiś czas wcześniej Jack Wilden wspomniał, iż rano czeka go podróż do Albany i jeszcze jedna partyjka bardzo by mu się przydała. A zatem kolejnym rozdającym został French, który wybrał studa z siedmioma kartami.

To ostatnie rozdanie nadal stoi mi przed oczami, choć musiałbym się mocno zastanowić, gdyby mnie ktoś spytał, co jadłem wczoraj na obiad lub z kim do niego zasiadłem. Tajemnice podeszłego wieku, jak mi się zdaje... a jednak sądzę, że gdybyście tam byli, żaden z was także nie mógłby tego zapomnieć.

Miałem dwa kiery na stole i jednego w ręku. Nie jestem pewien co do Wildena i Frencha, lecz młody Davidson miał asa kier, a Brower dziesiątkę pik. Davidson otworzył za dwa dolary - nasz limit wynosił pięć - i karty poszły w ruch. Dostałem kiery, Brower waleta pik, Davidsonowi przypadła trójka, która na nic mu się nie przydała, a mimo to dorzucił do puli trzy dolary.

- Ostatnia szansa! - zawołał wesóło. - Dawajcie, chłopcy! Pewna pani chciałaby ze mną wyjść dziś wieczorem!

Gdyby jakaś wróżka przepowiedziała mi, że te słowa będą mnie prześladować aż do dziś dnia, pewnie bym jej nie uwierzył.

French rozdał po raz trzeci karty odkryte. Moja sytuacja nie uległa poprawie, lecz Baker, który nieustannie przegrywał, zebrał jakąś parę - chyba króli, jak mi się zdaje. Brower dostał dwójkę karo, która niczego nie zmieniła. Baker postawił najwyższą stawkę na swoją parę, Davidson natychmiast przebił o kolejną piątkę. Nikt się nie wycofał; ciągnęliśmy karty po raz ostatni. Ja dostałem króla kier, który uzupełnił mój sekwens, Baker zmienił parę w trójkę, a Davidson wyciągnął drugiego asa, na którego widok załśniły mu oczy. Brower dostał damę trefl i w żaden sposób nie mogłem pojąć, dlaczego nie spasował. Karta szła mu równie paskudnie, jak przez cały wieczór.

Atmosfera nieco się rozgrzała. Baker postawił pięć dolarów, Davidson przebił o drugą piątkę, Brower sprawdził. Jack Wilden powiedział:

- Zdaje się, że niczego nie zwojuję moją parą - i rzucił karty. Ja podniosłem stawkę o kolejne pięć dolarów. Baker sprawdził i poszedł w moje ślady.

Nie będę was nużyć zbyt szczegółowym sprawozdaniem, powiem jedynie, że każdy z nas trzykrotnie podnosił stawkę. Brower tylko sprawdzał przy każdej przebitce i sam podnosił stawkę, zawsze czekając, aż wszystkie ręce wycofają się znad stołu, zanim dorzucił pieniądze do puli. A znajdowała się w niej pokaźna kwota, nieco ponad dwieście dolarów, gdy French podsunął nam ostatnie karty odwrócone koszulką do góry.

Nastąpiła chwila ciszy, choć ja nie czułem poruszenia. Miałem strita, a z tego, co widziałem, mogłem na nim dobrze wyjść. Baker dorzucił kolejną piątkę, Davidson przebił i wszyscy

czekaliśmy na to, co zrobi Brower. Miał lekkie rumieńce od alkoholu, zdjął krawat i rozpiął drugi guzik u koszuli, lecz wydawał się zupełnie spokojny.

- Dokładam i jeszcze pięć dolarów - powiedział. Otworzyłem szeroko oczy, gdyż spodziewałem się, że spasuje. Wiedziałem, że muszę walczyć o wygraną, więc podniosłem stawkę o kolejną piątkę. Nie mieliśmy ograniczeń co do liczby przebitek przy ostatniej turze, pula puchła zatem w zawrotnym tempie. Wycofałem się pierwszy, poprzestawszy na sprawdzaniu, gdyż zyskiwałem coraz większą pewność, iż ktoś musi mieć fula. Baker zrezygnował po mnie; spoglądał nieufnie to na parę asów Davidsona, to na Browera, który udawał, że ma wspaniałe karty. Baker nie był najlepszym graczem, lecz na tyle wprawnym, by wyczuć podejrzaną sytuację.

Davidson i Brower podnosili stawkę jeszcze z dziesięć razy, może nawet więcej. Baker i ja towarzyszyliśmy im, niechętnie myśląc o rozstaniu z zainwestowanymi sporymi sumkami. Kiedy wreszcie skończyły się nam żetony, banknoty przykryły je niczym zaspy śniegu.

- Ha - odezwał się wreszcie Davidson. - Teraz chyba sprawdzę. Jeśli blefujesz, Henry, robisz to znakomicie. Ale to ja wygrałem, a jutro Jack ma przed sobą długą drogę. - Po tych słowach położył na stercie banknotów pięciodolarówkę i powiedział: - Sprawdzani.

Nie wiem jak inni, ale ja doznałem wyraźnej ulgi, która miała bardzo niewielki związek z pokazną kwotą, jaką utopiłem w puli. Gra zaczynała się robić ostra, a choć Baker i ja mogliśmy sobie pozwolić na przegraną, w przypadku Jase Davidsona sprawa przedstawiała się odmiennie. Nie powodziło mu się najlepiej; żył z funduszu powierniczego - niezbyt wielkiego - zostawionego mu przez ciotkę. A Brower... jak zniósłby przegraną? Pamiętajcie, panowie, że do tego czasu w puli było już ponad tysiąc dolarów.

Tu George zrobił pauzę. Jego fajka zgasła.

- I co się stało? - Adley pochylił się ku niemu. - Nie dręcz nas, George. Ledwie możemy usiedzieć na miejscu. Wstrząśnij nami lub nas uspokój.

- Cierpliwości - odparł George ze spokojem. Wyjął zapałkę, potarł ją o podeszwę buta i pyknął z fajki. Czekaliśmy w napięciu, nie odzywając się ani słowem. Wicher wył za oknem i szarpał okapem.

Wreszcie, gdy fajka była już gotowa i wszystko znalazło się na swoim miejscu, George podjął opowiadanie.

- Jak wiecie, zgodnie z zasadami pokera osoba, która sprawdza, najpierw pokazuje swoje karty. Ale Bakerowi spieszyło się, by rozładować napięcie: odwrócił jedną z kart na stole i ukazał karete króli.

- No, to leżę - powiedziałem. - Ja mam strita.

- Mam cię - zwrócił się Davidson do Bakera i pokazał dwie z kart na stole. Dwa asy, razem kareta. - Cholernie dobra gra. - I zaczął zgarniać ku sobie ogromną stertę banknotów.

- Zaraz! - zawołał Brower. Nie chwycił Davidsona za rękę, jak zrobiłaby to większość z nas, lecz ton jego głosu w zupełności wystarczył. Davidson spojrział na niego i aż otworzył usta. Brower odwrócił wszystkie trzy ze swoich kart dodatkowych i zaprezentował nam pokera, od ósemki do damy. - Zdaje się, że to bije twoje asy? - spytał grzecznie.

Davidson spurpurowiał, potem pobladł.

- Tak - powiedział przeciągle, jakby dopiero teraz pojął, co się stało. - Tak, rzeczywiście.

Oddałbym wiele, żeby się dowiedzieć, co popchnęło Davidsona do tego, co następnie uczynił.

Wiedział o niezwyklej awersji Browera, który zaprezentował ją tego wieczora na dziesiątki najróżniejszych sposobów. Być może zapomniał o niej, porwany pragnieniem okazania

Browerowi (i nam), iż potrafi przeboleć przegraną i przyjąć ją w szlachetny sposób. Mówiłem już, że przypominał nieco szczeniaka, a taki gest z pewnością leżał w naturze Davidsona. Ale szczeniaki potrafią także ugryźć, gdy się je sprowokuje. Nie mają morderczych skłonności - żaden

szczeniak nie rzuci się nikomu do gardła, lecz wiele już razy chirurg zszywał palce tych, którzy zbyt długo drażnili się z pieskiem, odbierając mu kapeć czy gumową kość. To także leżało w naturze Davidsona... o ile sobie przypominam.

Jak powiedziałem, dałbym wiele, żeby się dowiedzieć... lecz w tej chwili liczy się tylko to, co z tego wynikło.

Kiedy Davidson cofnął dłonie znad stołu, Brower sięgnął ku banknotom. W tej samej chwili Davidson rozpromienił się w przyjaznym uśmiechu, porwał dłoń Browera i uściśnął ją mocno.

- Wspaniała rozgrywka, Henry, wyśmienita! Nie sądzę, żebym kiedykolwiek...

Brower wydał z siebie cienki, kobiecy krzyk, upiorny w ciszy opustoszałego pokoju gier i cofnął się gwałtownie. Żetony i banknoty rozsypały się na wszystkie strony, stół się zachwiał i niemal przewrócił. Wszyscy siedzieliśmy jak sparaliżowani tym nagłym obrotem sprawy, niezdolni do ruchu. Brower wstał chwiejnie, wyciągając przed siebie dłoń niczym męska wersja Lady Makbet. Pobladał jak trup, a wyraz zgrozy, który wykrzywił jego twarz, był doprawdy nie do opisania samymi słowami. Poczulem skurecz przerażenia, jakiego nie zaznałem nigdy przedtem ani potem, gorszy nawet od tego, który przeszył mnie na widok telegramu z wiadomością o śmierci Rosalie. Potem Brower zaczął jęczeć. Był to głuchy, okropny dźwięk, dochodzący jakby z grobu.

Pamiętam, że pomyślałem "Mój Boże, ten człowiek zupełnie oszalał" ... i nagle powiedział coś niebywale dziwnego:

- Silnik... zostawiłem włączony silnik w samochodzie... Boże, strasznie przepraszam!

I puścił się pędem ku schodom do głównego holu. Ja pierwszy odzyskałem przytomność umysłu. Zerwałem się z krzesła i wypadłem z sali, zostawiając Bakera, Wildena i Davidsona przy stole z ogromną stertą pieniędzy, które wygrał Brower. Wyglądali jak inkaskie posągi na straży plemiennego skarbcza.

Drzwi nadal się kołysały, a gdy wypadłem na ulicę, natychmiast ujrzałem Browera, stojącego na krawężniku i daremnie wypatrującego taksówki. Na mój widok wzdrygnął się tak żałośnie, że mimo woli poczułem litość zmieszana z ciekawością.

- Zaczekaj! - zawołałem. - Przepraszam za Davidsona, jestem pewien, że nie zrobił tego umyślnie. Mimo to, skoro musiałeś wyjść, to musiałeś, lecz zostawiłeś sporą sumkę i trzeba, żebyś ją otrzymał.

- Nie powinienem przychodzić - jęknął - ale byłem tak spragniony czyjegokolwiek towarzystwa, że... że... - Zupełnie bezmyślnie wyciągnąłem rękę, żeby go dotknąć - najbardziej naturalny gest wobec pogrążonego w rozpacz człowieka, na co Brower cofnął się gwałtownie i krzyknął:

- Nie dotykaj mnie! Czy jeden nie wystarczy? O Boże, dlaczego nie mogę umrzeć?

Nagle w oczach rozjarzyło mu się światelko, gdy spojrział na bezpańskiego psa o zapadniętych bokach i zmierzwionej, wyleniałej sierści, który włókł się opustoszałą o poranku ulicą. Kundel miał wywieszony język i utykał, podkuliwszy jedną łapę. Zdaje się, że szukał kubłów ze śmieciami, w których mógłby znaleźć pożywienie.

- To mógłbym być ja - powiedział Brower w zamyśleniu, jakby do siebie. - Opuszczony przez wszystkich, zmuszony do samotności, wyłażący ze swej kryjówki tylko wtedy, gdy wszelkie żywe istoty są bezpieczne za zamkniętymi drzwiami. Parias!

- Cóż znowu - odezwałem się dość surowo, gdyż jego słowa wydały mi się zanadto melodramatyczne. - Przeżyłeś jakiś okropny wstrząs i najwyraźniej spotkało cię coś, co źle wpłynęło na twoje nerwy, lecz podczas wojny widziałem tysiące rzeczy, które...

- Nie wierzysz mi, prawda? - przerwał. - Sądzisz, że to atak histerii?

- Słuchaj, stary, doprawdy nie mam pojęcia, co to za atak albo kogo ty atakujesz, ale wiem, że jeśli dłużej postoiśmy na tym wilgotnym powietrzu, obaj nabawimy się grypy. Więc zechciej wrócić ze mną do środka, tylko do hallu, jeśli wolisz, a ja poproszę Stevensa, żeby...

Jego oczy nabrały tak dzikiego spojrzenia, że poczułem się w najwyższym stopniu nieswojo. Nie zostało w nim ani krzty zdrowych zmysłów, a jego widok przywiódł mi na myśl szaleńców, których zwykle przywożono z linii frontu: mamroczących bezładnie i rzucających przekleństwa - cienie ludzi o strasznych, pustych oczach jak czeluście piekielne.

- Może zechcesz zobaczyć, jak wyrzutki porozumiewają się ze sobą? - spytał nagle, jakby nie słyszał moich słów. - Patrz więc, czego się nauczyłem w owych cudzoziemskich portach!

Niespodziewanie podniósł głos i rzucił rozkazująco:

- Psie!

Kundel uniósł łeb, spojrzał na niego nieufnie kaprawymi oczami (jedno lśniło wściekłą złośliwością, drugie było zasnutę bielmem) i z ociąganiem podszedł do niego, kulejąc.

Widać było, że nie chciał zbliżyć się do Browera. Skomlał, warczał i podkulił zmierzwiony ogon pod siebie, lecz coś jakby go pchało. Przyczołgał się do stóp Browera i legł na ziemi, popiskując i drżąc. Jego sparszywiałe boki unosiły się i zapadały jak miechy, a zdrowe oko obrzydliwie wyszło z orbit.

Brower parsknął straszonym, rozpaczliwym chichotem, który nadal nawiedza mnie we śnie i kucnął przy psie.

- Widzisz? - rzucił do mnie. - Poznał swego... i wie, co mu przynoszę!

Wyciągnął rękę do kundla, który zawył ponuro i obnażył kły.

- Nie! - krzyknąłem ostro. - Ugryzie cię!

Brower jakby mnie nie słyszał. W świetle latarni jego twarz wydawała się sina, ohydna, a oczy wyglądały jak czarne dziury wypalone w pergaminie.

- Nonsens - powiedział przeciągle, wabiąco. - Nonsens. Ja tylko chcę mu uściśnąć łapę... tak jak to zrobił ze mną twój przyjaciel!

I nagle złapał psią łapę i potrząsnął nią. Kundel zawył okropnym głosem, lecz nie próbował go ugryźć.

Raptem Brower wstał. Szaleństwo Zniknęło mu z oczu i gdyby nie wyjątkowa bladość, znowu wyglądałby jak człowiek, który tak grzecznie zaproponował nam swój udział przy grze.

- Odchodzę - szepnął. - Proszę wyjaśnić przyjacielom, że żałuję swego idiotycznego zachowania i przeprosić ich. Być może kiedyś trafi mi się okazja, by... odkupić swoje grzechy.

- To my powinniśmy przeprosić - odparłem. - A pieniądze? Jest tego ponad tysiąc dolarów.

- Ach, tak! Pieniądze! - Przy tych słowach na jego wargach pojawił się najbardziej gorzki uśmiech, jaki zdarzyło mi się widzieć.

- Nie musisz wchodzić - dodałem. - Jeśli obiecasz, że zaczekasz tu na mnie, przyniosę ci je. Obiecujesz?

- Tak. Obiecuję, skoro chcesz. - I spojrzał w zadumie na psa, skomlącego u jego stóp. - Być może chciałby pójść do mego domostwa i zjeść pierwszy przyzwoity posiłek w swym nędznym życiu. - Tu gorzki uśmiech znowu powrócił.

Zostawiłem go, zanim zdążył zmienić zdanie, i wbiegłem do budynku. Ktoś - prawdopodobnie Jack Wilden; on zawsze miał do tego głowę - wymienił już zetony na gotówkę i poukładał pieniądze na środku zielonego stolika. Nikt się nie odezwał, kiedy je zbierałem. Baker i Wilden palili w milczeniu, Jason Davidson siedział ze zwieszoną głową i wzrokiem wbitym w buty; na jego twarzy malowały się wstyd i desperacja. Dotknąłem przelotnie jego ramienia, a on spojrzał na mnie z wdzięcznością.

Kiedy znowu znalazłem się na ulicy, nie było na niej żywego ducha. Brower zniknął. Stałem z dłońmi pełnymi banknotów i rozglądałem się, lecz nie zauważyłem żadnego ruchu. Zawołałem raz, przyciszonym głosem, na wypadek gdyby Brower stał gdzieś w cieniu. Nie otrzymałem odpowiedzi. Potem przypadkiem spojrzałem w dół. Bezpański pies nadal tu był, ale jego ziemską

tułaczka po śmietnikach dobiegła końca. Był martwy jak kawał drewna. Pchły i kleszcze porzuciły jego ciało i oddalały się całymi kolumnami. Odskokczyłem, przejęty odrazą, lecz także dziwną, hipnotyczną zgrozą. Miałem przeczucie, że Henry Brower nie zniknął jeszcze z mojego życia i tak właśnie było, choć nigdy więcej go nie spotkałem.

Ogień na kominku przygasł i zimno zaczęło wypełzać z kątów, lecz nikt się nie poruszył ani nie przemówił, gdy George znowu zapalał fajkę. Westchnął, wyprostował nogi z trzaskiem wiekowych stawów i podjął opowiadanie.

- Nie muszę chyba mówić, że wszyscy uczestnicy gry byli zgodni w tej kwestii: musimy odnaleźć Browera i oddać mu pieniądze. Pewnie teraz uznano by nas za niespełna rozumu, lecz w tamtych czasach honor był w większej cenie. Davidson porzucił nas w okropnym stanie. Staralem się go pocieszyć, lecz tylko pokręcił głową i odszedł. Nie zatrzymywałem go. Po przespanej nocy wszystko wygląda inaczej, a mogliśmy razem ruszyć na poszukiwanie Browera. Wilden miał wyjechać z miasta, Baker zaś musiał się oddać "obowiązkom towarzyskim". Wydawało mi się, że w ten sposób Davidson zdoła odzyskać szacunek do siebie.

Jednak gdy następnego ranka pojawiłem się w jego mieszkaniu, okazało się, iż jeszcze spał. Z uwagi na jego młody wiek pozwoliłem mu dalej odpoczywać, a sam ruszyłem na poszukiwanie podstawowych faktów.

Przede wszystkim zadzwoniłem tutaj i porozmawiałem ze Stevenssem... - George odwrócił się do Stevensa i uniósł brew.

- Moim dziadkiem, proszę pana - wyjaśnił kamerdyner.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę.

- A zatem rozmawiałem z dziadkiem Stevensa. Stał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie teraz znajduje się Stevens. Powiedział, że Raymond Greer, z którym widywałem się od czasu do czasu, niekiedy rozmawiał z Browerem. Greer pracował w miejskiej komisji handlowej, więc niezwłocznie poszedłem do jego gabinetu w Flatiron Building. Odnalazłem go, a on natychmiast mnie przyjął.

Gdy streściłem mu wypadki poprzedniego wieczoru, na jego twarzy pojawił się wyraz litości, goryczy i niepokoju.

- Biedny stary Henry! - wykrzyknął. - Wiedziałem, że musi do tego dojść, lecz nie spodziewałem się, że tak szybko!

- Do czego? - spytałem.

- Załamania. Zaczęło się podczas jego rocznego pobytu w Bombaju i sądzę, że tylko Henry zna całą prawdę, lecz opowiem panu to, co jest mi wiadome.

Opowieść, którą owego dnia usłyszałem w gabinecie Greera, tylko spotęgowała współczucie i zrozumienie, jakie żywiłem do Henry Browera. Okazało się, iż nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności został on wplątany w prawdziwą tragedię. I, jak w klasycznych tragediach scenicznych, wynikała ona z fatalnej przywary - w przypadku Browera z roztargnienia.

Jako członek komisji handlowej w Bombaju miał przywilej posiadania samochodu, będącego tam prawdziwym rarytasem. Greer twierdził, iż Brower cieszył się jak dziecko jazdą po wąskich uliczkach i zaułkach miasta, straszaniem rozgdakanych stad kur i ludzi, którzy na jego widok padali na kolana, wznosząc modły do swych pogańskich bóstw. Jeździł samochodem wszędzie, budząc prawdziwą sensację i przyciągając gromady obdartych dzieci, nieodstępujących go na krok, lecz pierzchających w popłochu, gdy proponował im przejażdżkę, co czynił nieustannie. Samochód był fordem model A, jednym w pierwszych, które zapalały nie tylko na korbę, lecz także za naciśnięciem guzika. Zechciejcie to zapamiętać.

Pewnego dnia Brower wyjechał autem na drugi koniec miasta, by odwiedzić jednego z oficjeli z sprawie ewentualnego transportu jutowego sznurka. Jak zwykle budził powszechne zaciekawienie, gdy tak sunął przez ulice z hałasem i rykiem niczym nacierające wojska - i, oczywiście, ciągnęły za nim tłumy dzieci.

Brower zamierzał zjeść obiad w manufakturze. Była to duża uroczystość i goście znajdowali się dopiero przy drugim daniu, usadowieni na otwartym tarasie ponad ulicą, kiedy dobiegły ich znajome hałasy i rżenie automobilu, zmieszane z przeraźliwymi wrzaskami.

Jeden z bardziej żądnych wrażeń chłopców - syn skromnego świętego mędrca - wśliznął się do szoferki pojazdu przekonany, iż smok kryjący się pod żelazną maską nie obudzi się, dopóki za kierownicą nie zasiądzie biały człowiek. A Brower, pochłonięty zbliżającymi się negocjacjami, zostawił włączony silnik.

Możemy sobie wyobrazić, jak chłopiec stopniowo nabrał odwagi, jak dotykał lusterka, ruszał kierownicą i naśladował dźwięk klaksonu. Za każdym razem, gdy igrał ze smokiem pod maską, jego towarzysze musieli spoglądać na niego z coraz to większym podziwem.

Kiedy nacisnął guzik, musiał jednocześnie nadepnąć na sprzęgło, być może szukając oparcia dla stóp. Silnik był gorący, natychmiast zaskoczył. Chłopiec, zdjęty przerażeniem, czym prędzej poderwał nogę, uwalniając sprzęgło. Gdyby samochód był starszy lub mniej zadbane, silnik pewnie by zgasł. Ale Brower dbał o niego jak o własne dziecko, więc automobil ruszył przed siebie urywającymi skokami. Brower znalazł się na miejscu w samą porę, by to zobaczyć.

Ten fatalny w skutkach błąd musiał być czymś więcej niż zwykłym przypadkiem. Być może podczas panicznych prób ucieczki chłopiec uderzył łokciem w zawór przepustnicy. Może zrobił to w nadziei, iż w ten właśnie sposób biały człowiek usypia smoka. Cokolwiek się stało... stało się. Automobil nabrał morderczej prędkości i runął przez zatłoczoną, pełną ludzi ulicę, przewracając stragany i sterty, miażdżąc wiklinowe klatki wędrownego handlarza zwierząt, rozbijając w drzazgi wózek z kwiatami. Popędził w dół wzgórze aż do zakrętu, przeskoczył przez krawężnik, wpadł na kamienną ścianę i wybuchł kłębam płomieni.

George przełożył fajkę z jednego kąta ust w drugi.

- Tyle dowiedziałem się z opowieści Greera, ponieważ jedynie do tego miejsca opowieść Browera brzmiała jako tako sensownie. Reszta stanowiła zniekształcone rozważania na temat tego, co by się stało, gdyby dwie tak odrębne kultury kiedykolwiek się zmieszały. Zdaje się, że ojciec zmarłego chłopca odnalazł Browera, zanim odwołano go z placówki, i rzucił w niego martwym kurczakiem. Była to klątwa. W tym miejscu Greer uśmiechnął się w sposób dający mi do zrozumienia, iż obaj jesteśmy ludźmi światowymi, po czym zapalił papierosa i kontynuował:

- Kiedy wydarza się coś takiego, zawsze ktoś wyskakuje z jakąś klątwą. Ci nieszczęśni poganie muszą trzymać fason za każdą cenę. To dla nich normalne.

- Co to była za klątwa? - spytałem.

- Sądziłem, że się pan domyślił. Ten gość powiedział, że człowiek, który rzuca czary na dziecko, powinien stać się pariasem, wyrzutkiem. Potem oznajmił Browerowi, że wszelkie żywe stworzenie, które dotknie jego ręki - umrze. Teraz i na wieki wieków amen. - Greer zachichotał.

- Czy Brower w to uwierzył? - odezwał się któryś ze słuchaczy.

- Greer sądził, że tak. Musi pan wiedzieć, że ten człowiek doznał okropnego wstrząsu - powiedział. - A z tego, co mi pan mówi wnioskuję, że ta obsesja jeszcze się pogłębiła.

- Czy poda mi pan jego adres? - spytałem.

Greer zaczął grzebać w aktach i po pewnym czasie wyłowił jakiś karteluszek.

- Nie gwarantuję, że go pan tam znajdzie - zastrzegł się. - Ludzie miewali zrozumiałe opory przed wynajęciem mu mieszkania i spodziewam się, że nie wiecie mu się zbyt dobrze.

Przy tych słowach poczułem ukłucie wstydu, lecz nie zdradziłem tego. Greer wydał mi się nieco zbyt napuszony i zadowolony z siebie, bym miał mu przekazać te okruchy informacji o Henry Browerze, którymi dysponowałem. Jednak kiedy wstałem, coś mnie podkusiło i palnąłem:

- Widziałem wczoraj, jak Brower uściśnął łapę ulicznemu kundlowi. Po kwadransie pies wyzionął ducha.

- Czy tak? Bardzo ciekawe. - Greer uniósł brew, jakby moja uwaga nie miała nic wspólnego z naszą rozmową.

Właśnie miałem się pożegnać, gdy sekretarka zajrzała do gabinetu.

- Proszę wybaczyć, czy to pan jest panem Gregsonem? Potwierdziłem.

- Właśnie zadzwonił niejaki Baker. Prosił, by niezwłocznie przybył pan pod numer dwudziesty trzeci na Dziewiętnastej Ulicy.

Po jej słowach przeszedł mnie zimny dreszcz, ponieważ byłem owego dnia pod tym numerem - mieszkał pod nim Jason Davidson. Kiedy wychodziłem z gabinetu, Greer sadowił się już w fotelu z fajką i "Wall Street Journal". Nie widziałem go nigdy więcej i nie uważam tego za wielką stratę. Czułem przepelniające mnie bardzo szczególne uczucie - jakby lęk, który nie może się skryzystalizować w strach przed konkretną sprawą, ponieważ jest ona zbyt okropna, zbyt niewiarygodna, by brać ją pod uwagę.

Tutaj przerwałem jego opowiadanie.

- Dobry Boże, George! Czyżbyś chciał powiedzieć, że Davidson umarł?

- W rzeczy samej - potwierdził George. - Przybyłem niemal równocześnie z koronerem. Za przyczynę śmierci uznano zakrzepicę tętnicy wieńcowej. Do dwudziestych trzecich urodzin Davidsona zostało szesnaście dni.

Potem starałem się sobie wmówić, że był to tylko paskudny zbieg okoliczności, o którym najlepiej będzie zapomnieć. Zacząłem cierpieć na bezsenność, mimo ofiarnej pomocy mej dobrej przyjaciółki, pani Whisky. Mówiłem sobie, że teraz trzeba podzielić pulę pomiędzy nas trzech i zapomnieć o istnieniu Henry Browera. Ale nie mogłem. Wypisałem czek na tę sumę i poszedłem pod adres, który przekazał mi Greer, czyli do Harlemu.

Nie zastałem tam Browera. Zostawił adres mieszkania w East Side, odrobinę porządniejszej okolicy. Jednak z tego lokum wyprowadził się mniej więcej na miesiąc przed naszą grą, a jego nowe miejsce zamieszkania znajdowało się w East Village, dzielnicy ruder.

Dozorca kamienicy, chudy mężczyzna z powarkującym na mnie wielkim czarnym mastyfem powiedział, iż Brower wyprowadził się trzeciego kwietnia - nazajutrz po naszej grze. Spytałem, czy nie zostawił jakiegoś adresu, a on odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie ponure skrzeczenie, które najwyraźniej uważał za śmiech.

- Jak kto stąd odchodzi, to już go można szukać tylko w piekle, szefuniu. Ale czasami robią jeszcze przystanek w Bowery.

Bowery było wówczas miejscem, za które teraz uchodzi jedynie w oczach przyjezdnych: siedziba bezdomnych, ostatnim przystankiem tych anonimowych istot, które troszczą się tylko o kolejną butelkę taniego wina lub dawkę owego białego proszku, sprowadzającego długie sny. Poszedłem więc i tam. W dzielnicy tej można było wówczas znaleźć dziesiątki noclegowni, parę misji charytatywnych, które przyjmowały pijaków na noc i setki zaułków, gdzie można było znaleźć stary, zawszawiony materac. Widziałem wiele istot, z których została sama skorupa, wyżarta gorzałką i narkotykami. W tym miejscu zapomniano o nazwiskach. Kiedy ktoś schodzi do ostatniego poziomu piwnicy, a jego wątroba jest zwyrodniała od denaturatu, nos stał się otwartą, zaropiałą raną od ciągłego wdychania kokainy i potażu, palce odmrożone, a zęby wyglądają jak czarne pieńki - taki człowiek nie potrzebuje nazwiska. Mimo to opisałem Henry Browera

każdemu, kogo spotkałem. Bez rezultatu. Barmani kręcili głowami i wzruszali ramionami. Inni tylko wbijali wzrok w ziemię i przyspieszali kroku.

Nie znalazłem go tego dnia ani następnego. Minęły dwa tygodnie, aż wreszcie trafiłem na człowieka, który stwierdził, że gościa odpowiadającego memu opisowi widziano przed trzema dniami w hotelu Davarneya.

Poszedłem tam; hotel znajdował się zaledwie o dwie przecznice od miejsca, które przeszukiwałem. Mężczyzna w recepcji był obleśnym starcem o obłącającej ze skóry łysinie i kaprawych oczkach. Na upstrzonym przez muchy oknie od ulicy wisiało ogłoszenie o pokojach do wynajęcia - dziesięć centów za noc. Wyrecytowałem opis Browera, a staruch przez cały czas kiwał głową. Gdy skończyłem, powiedział:

- Znam go, paniczu, znam go dobrze. Ale pamięć mnie zawodzi... Znacznie lepiej mi się myśli, gdy przede mną leży dolar.

Wyjąłem dolara, który błyskawicznie gdzieś zniknął.

- Był tu, paniczu, lecz już go nie ma.

- Wiecie, dokąd odszedł?

- Nie całkiem sobie przypominam, ale mógłbym, gdybym miał przed sobą dolara.

Wyciągnąłem drugi banknot, który zniknął równie sprawnie jak pierwszy. Stary musiał to uznać za niebywale śmieszne, bo nagle zaniósł się gruzliczym rzęzeniem.

- Już się zabawiliście - powiedziałem - i dostaliście zapłatę. Czy wiecie, dokąd odszedł ów człowiek?

Stary znowu roześmiał się upiornie.

- Tak! Jego nowa rezydencja znajduje się na cmentarzu, wynajęta na całą wieczność, a mieszka w niej sam diabeł! I jak ci się to podoba, paniczu? Umarł pewnie wczoraj rano, gdyż kiedym do niego przyszedł w południe, był jeszcze ciepłutki jak bułeczka. I powiadam ci, siedział sztywno jakby kij połknął, ot co. Przyszedłem na górę, żeby odebrać od niego dziesiątka lub pokazać mu drzwi. A tu się okazało, że trzeba mu już tylko małej działki na cmentarzu. - Te słowa wywołały kolejny wybuch nieprzyjemnego starczego śmiechu.

- Czy zauważyliście coś niezwykłego? - spytałem, nie mając odwagi konkretnie nazwać tego, o co mi chodziło. - Czegoś, co wydało się wam dziwne?

- Chyba coś sobie przypominani... Zaraz...

Wyjąłem dolara, żeby wspomóc jego pamięć, ale tym razem nie usłyszałem śmiechu, choć banknot zniknął równie szybko jak poprzednie.

- Tak, było tam coś dziwnego - powiedział staruch. - Znajdowałem już dość truposzy, by to poznać. Słodki Jezu, czegom to nie widział! Znajdowałem ich zwisających z haka, martwych w łóżku, na schodkach przeciwpożarowych w styczniu, z butelką między kolanami i sinych jak Atlantyck. Znalazłem nawet jednego, co się utopił w miednicy, choć to akurat zdarzyło się z górą trzydzieści lat temu. Ale ten, taki wyprostowany elegancik w brązowym garniturku, jakby panicz z dobrej rodziny, w dodatku ładnie uczesany... Trzymał lewą dłoń nadgarstek prawej ręki. O, właśnie tak. Widziałem wiele, ale jeszcze nie widział, żeby kto umarł, ściskając własną rękę. Wyszedłem i wróciłem piechotą aż do doków, a słowa starego człowieka bez końca brzęczały mi w uszach jak zacięta płyta gramofonowa. "Umarł, ściskając własną rękę".

Doszedłem do krańca przystani, gdzie brudna szara woda biła o oślizły brzeg. Potem podarłem czek na tysiąc kawałków i wyrzuciłem go do wody.

George Gregson zamilkł i odchrząknął. Ogień na kominku wygasł i zimno powoli wpełzało do opustoszałego pokoju gier. Stoły i krzesła wydawały się nierealne i widmowe, jakby ze snu, gdzie przeszłość i terażniejszość zlewają się ze sobą. Płomienie załśniły gorącą czerwienią w literach wyrytych nad kominkiem: "Historia to nie ten, co ją opowiada".

- Widziałem go tylko raz, a i to wystarczyło. Nigdy go nie zapomniałem. Ale dzięki niemu zdołałem się później otrząsnąć z żaloby, gdyż zrozumiałem, że każdy, kto może chodzić pomiędzy ludźmi, nie jest całkiem samotny. Zechciej mi podać płaszcz, Stevens, a jakoś doczłapię do domu. Już dawno powinienem spać.

A kiedy Stevens pojawił się z okryciem, George uśmiechnął się i wskazał małe znamię tuż pod lewym kąciem ust kamerdynera.

- Doprawdy, jakież uderzające podobieństwo. Twój dziadek miał znamię dokładnie w tym samym miejscu.

Stevens uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. George wyszedł, a wkrótce po nim i my cicho wymknęliśmy się do domów.

Przełożyła
Maciejka Mazan

ŚWIAT PLAŻY

Statek Federalny ASN/29 runął z nieba i rozbił się. Po jakimś czasie ze strzaskanej czaszki pojazdu wynurzyły się cząstki mózgu - dwóch ludzi. Odeszli kawałek i przystanęli, trzymając hełmy pod pachami; powoli powiedli wokół wzrokiem, sprawdzając, gdzie trafili.

Ujrzeni plażę, która nie potrzebowała oceanu - sama była oceanem, nieruchomym morzem piasku, czarno-białą wakacyjną fotką, na zawsze zastygłym obrazem grzbietów i dolin - i kolejnych grzbietów i dolin.

Wydmy.

Łagodnie i strome, gładkie i poszarpane; ostre jak nóż i płaskie; nieregularne, przypominające kilka wydm, spiętrzonych na sobie - wydmowe domino.

Wydmy. I ani śladu morza.

Doliny pomiędzy nimi umykały w dal czarnymi szczurzymi zygzakami. Jeśli człowiek przyglądał się zbyt długo owym krętym liniom, zaczynał wierzyć, że układają się one w słowa - czarne litery, wiszące tuż nad białymi wydmami.

- Ja pierdolę - mruknął Shapiro.

- Mam się schylić? - odparł Rand.

Shapiro nabrał śliny, ale powstrzymał się przed splunięciem. Sprawiał to widok piasku. Może na razie nie powinni marnować wody. Na wpół zagrzebany w ziemi ASN/29 nie wyglądał już jak konający ptak; przypominał raczej tykwę, która pękła, odsłaniając ukrytą wewnątrz zgniliznę. Doszło do pożaru. Prawoburtowe zbiorniki paliwa eksplodowały.

- Kiepska historia z Grimesem - zauważył Shapiro.

- Właśnie. - Wzrok Randa wciąż wędrował po morzu piasku, w przód i w tył, aż po granicę horyzontu i z powrotem.

Rzeczywiście, historia z Grimesem wyglądała kiepsko. Grimes nie żył. Był teraz jedynie większymi i mniejszymi ochłapami w ładowni na rufie. Shapiro zajrzał tam. Zupełnie jakby Bóg postanowił go pożreć, odkrył, że mu nie smakuje i wyrzygał resztki, przemknęło mu przez głowę. Ta myśl sprawiła, że jego ściśnięty żołądek nie utrzymał zawartości - myśl i widok zębów Grimesa, rozsypanych po całej ładowni.

Teraz czekał, by Rand powiedział coś mądrego, tamten jednak milczał. Nadal wpatrywał się w wydmy, wodząc wzrokiem wzdłuż krętych mechanicznych spiral głębokich dolin pomiędzy grzbietami.

- Hej! - rzucił w końcu Shapiro. - Co teraz? Grimes nie żyje, ty dowodzisz. Co mamy robić?

- Robić? - Oczywiście Randa poruszały się tam i z powrotem, w przód i w tył, chłonąc obraz milczących wydmy. Poruszony powiewem suchego wiatru gumowany kołnierz jego skafandra zaszeleścił cicho. - Nie wiem; chyba że masz piłkę.

- O czym ty mówisz?

- Czyż nie to powinno się robić na plaży? Grać w siatkówkę?

Podczas swej służby w kosmosie Shapiro wielokrotnie się bał, a kiedy na statku wybuchł pożar, niemal wpadł w panikę; teraz jednak, patrząc na Randa, poczuł pierwszy posmak strachu zbyt ogromnego, by dało się go objąć rozumem.

- Taka wielka - dodał z rozmarzeniem Rand i przez sekundę Shapirovi wydało się, że towarzysz mówi o jego panice. - Diabelnie wielka plaża. Coś takiego może się ciągnąć bez końca. Wyobraź sobie: idziesz przeszło sto kilometrów z deską pod pachą i wciąż jesteś praktycznie w miejscu, z którego wyszedłeś, za sobą masz tylko sześć-siedem śladów. Jeśli zaś podoisz pięć minut, także i one znikną.

- Czy zanim spadliśmy, zrobiłeś topograficzny skan terenu? - Rand musi być w szoku, uznał Shapiro. To szok, nie obłąd. W razie potrzeby da mu pastylkę. A gdyby tamten nadal bredził, zostaje jeszcze zastrzyk. - Czy zauważyłeś...

- Co? - Rand na moment uniósł wzrok.

"Zielone pola". To właśnie miał zamiar powiedzieć. Ale nie, zanadto przypominało to cytaty z Księgi Psalmów. Wiatr zadzwęczał mu w ustach niczym srebrny dzwonek.

- Co? - powtórzył Rand.

- Skan komputerowy. Skan! - wrzasnął Shapiro. - Nigdy nie słyszałeś o skanach, bezmózgu? Jak wygląda ta planeta? Gdzie za tą pieprzoną plażą zaczyna się ocean? Gdzie są jeziora? Najbliższa oaza? W którą stronę? Gdzie kończy się plaża?

- Kończy? A, gromuję. Ona się nie kończy. Nie ma tu żadnych oaz, zieleni, czap polarnych, żadnego oceanu. Ta plaża nie zna morza, bracie. Tylko wydmy i wydmy, bez końca.

- To skąd weźmiemy wodę?

- Znikąd.

- Ale statek... nie da się go naprawić!

- Co ty powiesz, Holmesie?

Shapiro milczał. Miał wybór - siedzieć cicho bądź wpaść w histerię, lecz przecucie, graniczące z pewnością, podpowiadało mu, iż jeśli zacznie histeryzować, Rand nie zareaguje i pozostawi go samemu sobie, by doszedł do siebie - albo nie.

Jak nazwać plażę, która nie ma końca? To proste - pustynią! Największą kurewską pustynią wszechświata, jasne?

Nagle usłyszał w głowie echo słów Randa: "Co ty powiesz, Holmesie".

Shapiro stał dłuższą chwilę obok Randa, czekając, by tamten się ocknął, zrobił cokolwiek, po jakimś czasie jednak zabrakło mu cierpliwości. Potykając się i ślizgając, zaczął zsuwać się po zboczu wydmy. Czuł, jak piasek wsysa jego buty. Chcę cię tu wciągnąć, Bill - wyobraźnia podpowiadała mu słowa pustyni, suchy, gorzki głos kobiety, starej, lecz wciąż złowrogo silnej. Chcę cię tu wciągnąć i bardzo... mocno... uściskać.

W pamięci Shapiro odżył obraz z dzieciństwa, wspomnienie zabaw na plaży, gdy kolejno zagrzebywali się po szyję w piasku. Wtedy świetnie się bawił - teraz ta myśl go przerażała. Toteż wyłączył ów głos - Chryste, nie czas na wspominki! - i ruszył naprzód krótkim, miarowym krokiem, uderzając mocno w piasek, próbując bezwiednie naruszyć perfekcyjną gładź jego powierzchni.

- Dokąd idziesz? - Po raz pierwszy w głosie Randa zadzwęczała nuta świadomości i troski.

- Latarnia - odparł Shapiro. - Chcę ją włączyć. Byliśmy na oznakowanym szlaku. Z pewnością odbiorą sygnał i ustalą jego źródło. To tylko kwestia czasu. Wiem, mamy cholernie małe szanse, ale może ktoś się tu zjawi, zanim...

- Latarnia poszła w diabły - przerwał mu Rand. - To się stało, kiedy spadliśmy.

- Może da się ją naprawić! - zawołał przez ramię Shapiro. Kiedy schyliwszy się, przeszedł przez właz, natychmiast poczuł się lepiej, mimo zapachów - swądu spalonych obwodów i gorzkiej woni freonu. Wmawiał sobie, że sprawiła to myśl o latarni, ona bowiem dawała im jakąś, choćby nawet najmniejszą nadzieję. W istocie jednak to nie wspomnienie latarni podniosło go na duchu; jeśli Rand twierdził, że jest zepsuta, z całą pewnością tak było. Ale przynajmniej nie widział już wydmy

- jego oczy nie dostrzegały ogromnej, bezkresnej plaży.

To właśnie sprawiło, że poczuł się lepiej.

Kiedy znów wspiął się na szczyt pierwszej wydmy, zdyszany i wykończony, czując w skroniach bolesne tętnienie rozgrzanej krwi, ujrzał, że Rand wciąż tam jest i nadal spogląda w dal. Minęła godzina. Słońce stało dokładnie nad ich głowami. Twarz Randa była mokra od potu, w jego brwiach skrzyły się drobne kropelki. Strużki potu spływały po policzkach niczym łzy, kolejne ściekały po szyi i znikwały za kołnierzem skafandra, niczym krople bezbarwnego oleju, skapujące do mechanicznego wnętrza androida.

Nazwałem go bezmózgiem, pomyślał Shapiro, czując nagły dreszcz. Chryste, i tak właśnie wygląda - nie jak android, lecz jak bezmógi ćpun, który dopiero co dał sobie w żyłę bardzo grubą igłą.

Na dodatek Rand się mylił.

- Rand?

Brak odpowiedzi.

- Latarnia nie była rozbita. - W oczach Randa zalśnił przelotny błysk; potem znów przygasły, zapatrzone w góry piasku. Z początku Shapiro sądził, że wydmy zastygły w wiecznym bezruchu, przypuszczał jednak, że musiały się poruszać. Stale wiał tu wiatr. Toteż na pewno się ruszały. Przez dziesiątki, setki lat, odbywały prawdziwe... no cóż, wędrówki. Czyż nie tak nazywano je na plażach? Wędrującymi wydmi? Pamiętał to jak przez mgłę z dzieciństwa. A może szkoły. Czy też skądinąd. Jakże, do diabła, to ma znaczenie?

W tym momencie ujrzał maleńką strużkę piasku, zsuwającą się z boku jednej wydmy. Zupełnie jakby usłyszała

(usłyszała moje myśli).

Świeży pot wystąpił mu na karku. No dobra, zaczynał mieć stracha. Któż by nie miał? Znaleźli się w paskudnej, naprawdę paskudnej sytuacji. A Rand jakby o tym nie wiedział... albo nie przejmował się tym.

- Miała w środku trochę piasku, a przerywacz pękł, ale to nie problem. Grimes trzymał w swej skrzynce z drobiazgami chyba ze sześćdziesiąt.

Czy on mnie w ogóle słyszy?

- Nie wiem, jakim cudem dostał się do niej piasek - była dokładnie tam, gdzie powinna, w magazynku za koją, za trzema zamkniętymi włazami, ale...

- Och, piasek zawsze się przedrze. Dostaje się do wszystkiego. Pamiętasz, jak w dzieciństwie chodziłeś na plażę, Bill? Wracałeś do domu i matka objężdżała cię, bo wszędzie nanosiłeś piasek? Piasek na kanapie, na stole kuchennym, w nogach twojego łóżka. Piasek z plaży jest bardzo... - machnęła ręką, a potem na jego twarz znów powrócił ów rozmarzony, niepokojący uśmiech - wszędobylski.

- ...ale wcale jej nie zaszkodził - ciągnął dalej Shapiro. - Awaryjny system zasilający wciąż działa. Podłączyłem do niego latarnię. Na chwilę nałożyłem słuchawki i poprosiłem o pasmo walencyjne na pięćdziesięciu parsekach. Zasuwa jak piła łańcuchowa. To więcej, niż śmiałem liczyć.

- Nikt nie przybędzie. Nawet Beach Boysi. Beach Boysi nie żyją już od ośmiu tysięcy lat. Witaj w Surfingowie, Bill. W Surfingowie bez surfingu.

Shapiro spojrział w dal, na wydmy. Zastanawiał się, od jak dawna jest tu ten piasek. Od tryliona lat? Kwantylna? Czy w ogóle istniało tu kiedyś życie? Może nawet inteligentne? Rzeki? Zieleń? Oceany zamieniające pustynie w prawdziwą plażę?

Stał obok Randa i myślał. Wiatr poruszał mu włosy na głowie. I nagle poczuł pewność, że wszystko to rzeczywiście kiedyś tu było, i wyobraził sobie, jak musiał wyglądać koniec.

Powolny odwrót miast, w miarę jak drogi wodne i otaczające tereny pokrywały najpierw drobinki, potem cienkie warstewki, a wreszcie dławiące zwąły nadciągającego piasku.

Widział lśniąco brązowe błotne wachlarze, z początku błyszczące niczym focze skóry, lecz mętniejące i jaśniejące z każdą chwilą oddalania się od ujść rzek... coraz dalej i dalej, aż w końcu spotkały się ze sobą. Widział, jak gładkie, lśniąco focze błoto zamienia się w porośnięte sitowiem bagniska, potem szare złoża gliny, wreszcie ulotny biały piasek.

Widział góry malejące niczym zaostrome ołówki, śniegi topniejące w miarę, jak wznoszące się piaski atakowały je ciepłymi prądami powietrza; widział ostatnie skalne słupy, celujące w niebo niczym palce pogrzebanego żywcem człowieka; widział, jak bezrozumne wydmy pochłaniają je i natychmiast o nich zapominają.

Jak je nazwał Rand?

Wszędobyłskimi.

Jeśli istotnie miałeś wizję, Billy, to doprawdy okropną.

Ale nie, nie była okropna, tylko cicha, jak drzemka w niedzielne popołudnie. Czy istnieje coś spokojniejszego niż plaża?

Potrząsnął głową, odganiając natrętne myśli. Pomagało, kiedy patrzył na statek.

- Nie przybędzie żadna kawaleria - oznajmił Rand. - Piasek zasypie nas i po jakimś czasie staniemy się piaskiem, a piasek nami. Surfingowo bez surfingu - złapiesz tamtą falę, Bill?

I Shapiro poczuł strach, bo potrafiłby ją złapać. Widok tych wydm tak działał na człowieka.

- Pieprzony bezmózgi dupek - powiedział. I wrócił na statek.

Aby ukryć się przed plażą.

Słońce w końcu zniżyło się ku zachodowi. O tej porze na plażach - prawdziwych plażach - odkładało się piłkę do siatkówki, wkładało bluzę i wyciągało kielbaski oraz piwo. Jeszcze nie czas na macanki, ale prawie. Czas wyczekiwania na macanki.

Kielbaski i piwo nie należały do standardowego wyposażenia ASN/29.

Shapiro spędził popołudnie, ostrożnie przelewając do butelek całą wodę na statku. Użył ręcznego odkurzacza, aby wessać ciecz, która wypłynęła z pękniętych żył systemu krążenia i utworzyła kałużę na podłodze. Zebrał odrobinę pozostawioną na dnie strzaskanego zbiornika systemu hydraulicznego. Nie przeoczył nawet niewielkiego cylindra we wnętrzościach systemu oczyszczania powietrza, obsługującego ładownię.

Wreszcie ruszył do kabiny Grimesa.

Grimes hodował złote rybki w okrągłym akwarium, specjalnie przystosowanym do stanu nieważkości. Zbudowano je z odpornego na wstrząsy polimerowego plastiku, toteż bez problemu przetrwało katastrofę. Rybki natomiast - podobnie jak ich właściciel - nie były odporne na wstrząsy. Pływały bezwładnie: martwa pomarańczowa plama u góry kulistego zbiornika, który

spoczął pod koją Grimesa wraz z trzema parami bardzo brudnej bielizny i pół tuzinem holokości pornograficznych.

Shapiro przez moment trzymał w dłoni kuliste akwarium, wpatrując się w nie uważnie.

- Biedny Yorrick. Znałem go dobrze, Horacy - rzekł nagle i zaśmiał się, ostro, przenikliwie.

Następnie znalazł siatkę, którą Grimes przechowywał w zamkniętym pojemniku, i zanurzył ją w wodzie. Wyłowiwszy rybki, zawahał się; nie miał pojęcia, co z nimi począć. Po chwili namysłu zaniósł je do łóżka Grimesa i podniósł poduszkę.

Pod spodem był piasek.

Nie zważając na to, złożył tam rybki. Następnie przelał wodę do kanistra, którego używał jako przenośnego zbiornika. Trzeba będzie ją oczyścić, lecz nawet jeśli filtry nie działają, uznał, że za parę dni nie będzie miał nic przeciw temu, by napić się wody z akwarium, pomimo że pływa w niej parę łusek i nieco rybiego gówna.

Przesączył wodę, podzielił ją i zaniósł porcję Randa z powrotem na wydmy. Rand stał tam, gdzie go zostawił, jakby w ogóle się poruszył.

- Rand, przyniosłem ci twoją działkę wody. - Odpiął zamek kieszeni z przodu kombinezonu Randa i wsunął do środka płaską plastikową flaszkę. Właśnie miał zamknąć kieszeń paznokciem kciuka, gdy Rand odepchnął jego dłoń i wyjął butelkę. Na jej przedniej ściance wypisano: STATEK KLASY ASN. BUTELKA NA NAPOJE CL NR 23196755 ZAMKNIĘTA STERYLNICIE. Teraz oczywiście nie była już sterylna; Shapiro musiał jakoś ją napełnić.

- Odfiltrowałem...

Rand rozwarł palce. Butelka z cichym plaśnięciem upadła na piasek.

- Nie chcę jej.

- Nie chcesz... Rand, co się z tobą dzieje? Chryste, przestań wreszcie.

Rand nie odpowiedział.

Shapiro schylił się i podniósł BUTELKĘ NA NAPOJE CL NR 23196755, strącając ziarna piasku, które przywarły do niej niczym wielkie tłuste zarazki.

- Co się z tobą dzieje? - powtórzył. - To szok? Jak sądzisz? Bo mogę ci podać pigułkę... albo zastrzyk. Ale to mnie bierze, mówię ci. Stoisz tu tak i gapisz się na sześćdziesiąt kilometrów pustki. To piasek, tylko piasek.

- To plaża - rzekł Rand rozmarzonym tonem. - Chcesz zbudować zamek z piasku?

- W porządku, idę po strzykawkę i ampułkę głupiego Jasia. Jeśli chcesz zachowywać się jak świr, to tak cię potraktuję.

- Jeżeli spróbujesz mi coś wstrzyknąć, to lepiej weź mnie z zaskoczenia - ostrzegł łagodnie Rand.

- W przeciwnym razie złamię ci rękę.

Istotnie mógł to zrobić. Shapiro, astrogator, ważył siedemdziesiąt kilo i miał metr sześćdziesiąt wzrostu. Walka nie należała do jego specjalności. Zaklął pod nosem i ruszył z powrotem na statek, z butelką Randa w dłoni.

- Myślę, że ona żyje - oznajmił Rand. - Właściwie jestem tego pewien.

Shapiro obejrzał się na niego, a potem zerknął na wydmy. W promieniach zachodzącego słońca ich gładkie szczyty przypominały delikatny złoty filigran, który stopniowo ciemniał, przekształcając się w najczarniejszy heban u nasady. Na następnej wydmie heban jaśniał i zamieniał się w złoto. Złoto w czerń. Czerń w złoto. Złoto w czerń i czerń w złoto, i złoto w...

Shapiro zamrugał gwałtownie i potarł dłonią oczy.

- Kilka razy czułem, jak ta wydma porusza się pod moimi stopami - ciągnął Rand. - Robi to bardzo wdzięcznie, coś jak przypływ. Czuję w powietrzu jej woń, przypomina sól.

- Oszalałeś - powiedział Shapiro. Miał wrażenie, że jego przerażony mózg stał się kruchy jak szkło.

Rand nie odpowiedział. Jego oczy wędrowały wśród wydym, które w blasku zachodzącego słońca przechodziły ze złota w czerń, ze złota w czerń.

Shapiro wrócił na statek.

Rand został na wydymie całą noc i cały następny dzień.

Shapiro wyjrzał na zewnątrz i zobaczył go. Jego towarzysz zdjął skafander, który leżał obok, niemal zupełnie zasypany piaskiem. Pozostał tylko jeden rękaw, samotny, proszący. Piasek nad i pod nim skojarzył się Shapiro z ustami wsysającymi z bezzębną łapczywością łakomy kąsek. Nagle poczuł szaloną ochotę, aby pobiec na wydymę i uratować skafander Randa.

Nie zrobił tego.

Siedział w kabinie, czekając na pomoc. Woń freonu zastąpił jeszcze mniej przyjemny odór rozkładających się zwłok Grimesa.

Statek ratunkowy nie zjawił się ani tego dnia, ani w nocy, ani dnia trzeciego.

W kabinie jakimś cudem pojawił się piasek, choć właz nadal sprawiał wrażenie hermetycznie zamkniętego. Shapiro zbierał swym odkurzaczem małe kałuże piasku, tak jak pierwszego dnia kałuże rozlanej wody.

Cały czas dręczyło go pragnienie. Jego butelka była już niemal pusta.

Zdawało mu się, że czuje w powietrzu zapach soli, we śnie słyszał krzyki mew.

Słyszał też piasek.

Nieustający wiatr przesunął pierwszą wydymę bliżej statku. Kabina dzięki odkurzaczkowi pozostawała czysta, lecz statek zaczynał już zagarniać resztę. Przez wysadzone zamki do środka dostawały się miniaturowe wydmy, powoli obejmując w posiadanie ASN/29. Macki piasku wciskały się w głąb przewodów wentylacyjnych. W jednym z pękniętych zbiorników zebrała się już cienka warstwa pyłu.

Twarz Shapiro stała się napięta i szorstka od niegolonego zarostu.

Tuż przed zachodem słońca trzeciego dnia wdrapał się na wydymę, aby sprawdzić, co z Randem. Zastanawiał się nad wzięciem strzykawki, ale odrzucił tę myśl. Zrozumiał, że to coś gorszego niż szok. Rand oszalał. Najlepiej będzie, jeśli umrze szybko. A wyglądało na to, że właśnie to go czeka.

Shapiro zmizerniał; Rand był wychudzony. Jego ciało przypominało kostropaty patyk. Nogi, jeszcze niedawno potężne, pokryte twardymi mięśniami, obecnie uginały się słabo. Zwiotczała skóra wisiała na nich niczym luźne skarpetki, które wciąż opadają. Miał na sobie tylko szorty z czerwonego nylonu, kojarzące się nieodparcie z absurdalnie obcisłym strojem kąpielowym. Dół jego twarzy pokrywała trzydniowa broda, podkreślająca jeszcze zapadnięte policzki i ostry podbródek. Miała kolor piasku na plaży. Włosy, wcześniej nieokreślonej brązowej barwy, wyraźnie zjaśniały i opadały na czoło. Jedynie jego oczy spoglądające przez grzywkę, lśniące błękitnym blaskiem, wciąż w pełni żyły. Cały czas badały plażę

(wydmy, do diabła. WYDMY)

bez chwili wytchnienia.

I nagle Shapiro dostrzegł coś złego, naprawdę bardzo złego. Twarz Randa zamieniała się w piaskową wydymę. Jego broda i włosy napierały na skórę.

- Ty - powiedział Shapiro - wkrótce umrzesz. Jeśli nie wrócisz na statek i nie napijesz się, umrzesz.

Rand nie odpowiedział.

- Tego właśnie chcesz?

Cisza. Zakłócona jedynie bezmyślnym szumem wiatru. Shapiro zauważył, że bruzdy na szyi Randa wypełnia piasek.

- Jediną rzeczą, jakiej pragnę - rzekł Rand słabym, odległym głosem, przypominającym szum wiatru - są moje taśmy z Beach Boysami. Trzymam je w kabinie.

- Pierdol się. - odparł wściekle Shapiro. - Wiesz, jaką mam nadzieję? Że zanim umrzesz, przybędzie statek. Chcę widzieć, jak wrzeszczysz i szarpiesz się, gdy ściągną cię siłą z twojej cholernej, ukochanej plaży. Chcę to zobaczyć.

- Plaża dostanie i ciebie - oznajmił Rand. Jego głos brzmiał pusto i głucho niczym wiatr w strzaskanej tykwie. Tykwie, która została na polu po październikowych żniwach. - Posłuchaj chwilę, Bill. Posłuchaj fal.

Przekrzywił głowę. W rozchylonych ustach ukazał się język, skurczony niczym zaschnięta gąbka. I nagle Shapiro usłyszał.

Usłyszał wydmy. Śpiewały piosenki o niedzielnych popołudniach na plaży - plażowych drzemkach pozbawionych snów. Długie drzemki. Bezrozumny spokój. Krzyki mew.

Przesuwające się bezmyślne cząstki piasku, wędrujące wydmy. Usłyszał... i poczuł, że coś go przyciąga. Ciągnie ku wydmom.

- Słyszysz - powiedział Rand.

Shapiro tak głęboko wepchnął dwa palce w nos, że poleciała krew. Wówczas zdołał zamknąć oczy i jego myśli powoli nabrały ostrości. Serce waliło mu jak młotem.

Byłem prawie taki jak Rand. Jezu!... niemal mnie dostała!

Otworzył oczy. Rand stał się muszlą na długiej pustej plaży, tęskniącą za tajemnicami nieumarłego morza, spoglądającą na wydmy, wydmy, wydmy.

Nie chcę więcej, jęknął w duchu.

Ale posłuchaj tej fali, odszepnęły wydmy.

Wbrew głosowi rozsądku Shapiro posłuchał.

A potem rozsądek przestał istnieć.

Słyszałbym lepiej, gdybym usiadł, pomyślał Shapiro.

Toteż siadł u stóp Randa, krzyżując nogi niczym Indianin, i słuchał.

Słyszał Beach Boysów, którzy śpiewali o zabawie, o dziewczynach na plaży. Słyszał...

...słyszał głuche westchnienia wiatru, nie w uszach, lecz w dolinie pomiędzy prawą i lewą półkulą - odbijały się echem gdzieś w czerni, którą rozjaśnia jedynie wiszący most spoidła, łączący świadome myśli z nieskończonością. Nie czuł głodu, pragnienia, upału ani strachu. Słyszał jedynie głos pustki.

I wtedy zjawił się statek.

Runął ku nim z nieba. Dopalacze zostawiły za sobą długi pomarańczowy ślad, od prawej do lewej. Grom wstrząsnął falistym krajobrazem, kilkanaście wydm rozsypało się jak trafieni kulą paralitycy. Grzmot rozdarł głowę Billy'ego Shapiro. Przez moment czuł się rozerwany, pęknięty w pół...

Potem zerwał się na równe nogi.

- Statek! - krzyknął. - Ja pierdolę! Statek! Statek! STATEK!

To był frachtowiec, brudny i poobijany, po pięciuset, może pięciu tysiącach lat klanowej wysługi.

Przemknął w powietrzu, niezgrabnie podskoczył w górę, odbił się. Kapitan rąbnął ze wszystkich silników, topiąc piasek na czarne szkło. Shapiro kibicował mu gorąco.

Rand obejrzał się niczym człowiek przebudzony z głębokiego snu.

- Każ mu odlecieć, Billy.

- Nie rozumiesz! - Shapiro miotał się wokół, wymachując pięściami. - Wszystko będzie dobrze...

Pobiegł w stronę brudnego statku długimi susami, niczym kangur uciekający przed pożarem buszu. Piasek starał się go przytrzymać. Shapiro odtrącał go. Pieprz się piasku, mam łaskę w Hansonville. Piasek nigdy nie miewa panienek. Ani mu nie staje.

Kadłub frachtowca rozszczepił się. Ze środka wysunął się język trapu. Stał na nim mężczyzna, przed którym maszerowały trzy roboty do zbierania próbek, i gość na gaśienicach, który musiał być kapitanem. W każdym razie miał na głowie beret z godłem klanu.

Jeden z robotów pomachał ku niemu próbnikiem. Shapiro odepchnął go, upadł na kolana przed kapitanem i objął gaśienice, które zastąpiły martwe nogi mężczyzny.

- Wydmy... Rand... nie ma wody... żyje... zahipnotyzowały go... bezmózgi świat... ja... dzięki Bogu...

Stalowa macka śmignęła naprzód, objęła Shapiro i odciągnęła go na brzuchu. Suchy piasek zachrząścił pod nim z odgłosem przypominającym śmiech.

- Wszystko w porządku - powiedział kapitan. - Bey-at shel! Me! Me! Gat!

Android puścił Shapiro i cofnął się, klekocząc coś do siebie.

- Taki kawał drogi dla pieprzonego federalnego! - krzyknął z goryczą kapitan.

Shapiro zapłakał. Bolało, nie tylko w głowie, ale i w wątrobie.

- Dud! Gee-yat! Gat! Wody!

Drugi mężczyzna cisnął mu zakończoną smoczkiem butelkę, używaną w stanie nieważkości; Shapiro uniósł ją i zaczął łapczywie ssać, wciągając do ust zimną jak kryształ wodę, która spływała po jego brodzie i tworzyła ciemne plamy na tunice wyblakłej do barwy kości. Zakrzusił się, wymiotował i znów zaczął pić.

Dud i kapitan obserwowali go uważnie. Androidy klekotały.

W końcu Shapiro otarł usta i usiadł. Czuł się jednocześnie dobrze i okropnie słabo.

- Ty jesteś Shapiro? - spytał kapitan.

Tamten przytaknął.

- Przynależność klanowa?

- Brak.

- Numer ASN? - 29.

- Załoga?

- Trzy osoby. Jeden nie żyje. Drugi, Rand, jest tam. - Wskazał, nie patrząc.

Twarz kapitana nie zmieniła się. Duda owszem.

- Plaża go dorwała - oznajmił Shapiro i dostrzegł pytające, znaczące spojrzenia. - Może to szok.

Sprawia wrażenie zahipnotyzowanego. Wciąż gada o... Beach Boysach... nieważne, i tak nie będziecie wiedzieli. Nie chce jeść ani pić. Żle z nim.

- Dud, weź jednego z andków i sprowadź go tutaj. - Kapitan potrząsnął głową. - Statek federalny, Chryste. Nie będzie żadnej premii.

Dud przytaknął. W kilka chwil później wdrapywał się już po zboczach wydmy wraz z jednym andków. Android przypominał dwudziestoletniego surfera, który mógłby dorabiać na boku na prochy, obsługując znudzone wdowy, lecz jego krok zdradzał go, nawet bardziej niż wyrastające z ramion wielosegmentowe macki. Wszystkie androidy maszerowały tak samo: powolnym, zamyślonym, niemal bolesnym krokiem starego angielskiego lokaja, cierpiącego na hemoroidy.

W tym momencie panel kapitana zabrzączał.

- Słucham.

- Mówi Gomez, kapitanie. Mamy problem. Skany i telemetria powierzchni potwierdzają, że podłoże jest bardzo niestabilne. Nie ma żadnych skał, do których moglibyśmy się podpiąć.

Siedzimy na własnym szkliwie. W tej chwili to zapewne najtwardsza rzecz na całej planecie.

Problem w tym, że już zaczyna osiadać.

- Zalecenia?

- Powinniśmy się stąd wynosić.

- Kiedy?

- Pięć minut temu.

- Prawdziwy kłown z ciebie, Gomez. Kapitan nacisnął przycisk i komunikator umilkł. Wzrok Shapiro uciekał w bok.

- Posłuchaj, daj sobie spokój z Randem. Jest skończony.

- Zabieram was obu - oznajmił kapitan. - Nie dostanę premii, ale Federacja powinna coś za was zapłacić... choć z tego, co widzę, raczej nie jesteście zbyt wiele warte. On to wariat, a ty tchórz.

- Nie... nie rozumiesz. Nie... Przebiegłe żółte oczka kapitana rozbłysły.

- Macie kontrabandę? - spytał.

- Kapitanie, proszę posłuchać...

- Bo jeśli macie, nie ma sensu jej tu zostawiać... Powiedz, co i gdzie. Podzielimy się, siedemdziesiąt do trzydziestu. Opłata standardowa. Nigdzie nie dostaniesz lepszych warunków. Słuchaj...

Płyta szkliva pod ich nogami nagle przechyliła się bardzo wyraźnie. Gdzieś wewnątrz frachtowca zawyła stłumiona syrena, dźwięcząca z monotonną regularnością. Komunikator na konsoli kapitana ponownie zabuczał.

- Proszę! - krzyknął Shapiro. - Widzisz, z czym macie do czynienia? Chcesz rozmawiać o przemyśle? Musimy stąd zjeżdżać!

- Zamknij się, śliczniutki, albo każę któremuś z chłopaków cię uśpić. - Głos kapitana brzmiał pogodnie, lecz zmienił się wyraz jego oczu. Nacisnął kciukiem komunikator.

- Kapitanie, mamy dziesięciostopniowy przechył. Cały czas się powiększa. Winda zjeżdża pod kątem. Wciąż mamy czas, ale niewiele. Statek wkrótce się wywróci.

- Podpory wytrzymają.

- Nie, kapitanie. Z całym szacunkiem, ale nie.

- Rozpocznij sekwencję startową, Gomez.

, - Dziękuję, kapitanie. - W głosie Gomeza zabrzmiała nieskrywana ulga.

Dud i android schodzili po zboczach wydmy. Randa z nimi nie było. Andek z każdym krokiem zostawał z tyłu, i nagle zdarzyło się coś dziwnego. Android upadł na twarz. Kapitan zmarszczył brwi. Upadek nie przypominał zwykłego robociego potknięcia, w gruncie rzeczy podobnego do ludzkiego. Wyglądał raczej, jakby ktoś popchnął sklepowego manekina. Tak to właśnie było. Łup! I leżącą postać otoczyła rdzawa chmurka piasku.

Dud zawrócił i ukląkł obok maszyny. Nogi androida wciąż się poruszały, jakby półtora miliona chłodzonych freonem mikroobwodów, tworzących jego umysł, śniło, że nadal maszeruje. Lecz ruchy te były powolne i urywane. W końcu ustały. Jego skóra zaczęła dymić, macki dygotały. Paskudne widowisko; zupełnie jakby patrzyli na śmierć człowieka. Głęboko w ciele androida coś głośno chrupnęło.

- Jest pełen piasku - szepnął Shapiro. - Nawrócił się na religię plaży.

Kapitan zerknął nań niecierpliwie.

- Nie bądź śmieszny, człowieku. Ta maszyna mogłaby spacerować po pustyni podczas burzy piaskowej i nawet jedno ziarenko nie dostałoby się do środka.

- Nie na tej planecie.

Płyta szkliva znów osiadła. Frachtowiec wyraźnie się przechylał. Podpory stęknęły cicho, przyjmując na siebie nowy ciężar.

- Zostaw go! - huknął kapitan. - Zostaw! Gee-yat! Come-me-for-Cry!

I Dud przyszedł, zostawiając andka, maszerującego twarzą w piasku.

- Co za dno - mruknął kapitan.

Wraz z Dudem poczęli przerzucać się krótkimi zdaniem w pidżinie. Choć terkotali jak najęci, Shapiro trochę rozumiał. Dud powtarzał, że Rand odmówił powrotu. Andek próbował go złapać,

ale nie miał siły. Już wtedy poruszał się niezdarnie, a z jego wnętrza dobiegały podejrzone zgrzyty. Zaczął też recytować na zmianę galaktyczne współrzędne kopalni odkrywkowych i katalog nagrań folkowych kapitana. Dud sam zajął się Randem. Chwilę walczyli. Kapitan zauważył z przekąsem, że skoro Dud dał się pokonać facetowi, który od trzech dni stoi na słońcu, to może powinni sobie poszukać nowego pierwszego oficera.

Twarz Duda pociemniała ze wstydu, lecz jego oczy nadal spoglądały z troską. Powoli odwrócił głowę, ukazując cztery głębokie szramy na policzku, które zaczynały już obrzmiewać.

- Him-gat big indics - oznajmił. - Strong-for-Cry. Him-gat for umby.

- Umby-him for-Cry? - Kapitan patrzył surowo na swego rozmówcę.

Dud przytaknął.

- Umby. Beyat-shel. Umby-for-Cry.

Shapiro zmarszczył brwi, szukając w zmęczonym umyśle tego słowa. Wreszcie znalazł. Umby.

To znaczy szalony. Chryste, jest silny. Silny, bo oszalał. Silny gość, dużo wali. Bo oszalał.

Dużo wali... a może z dużej fali? Nie był pewien. Tak czy inaczej, wszystko sprowadzało się do jednego.

Umby.

Ziemia pod ich stopami znów zadrżała. Wiatr obsypał piaskiem buty Shapiro.

Gdzieś z dołu dobiegło ich głuche łup-trzask, łup-trzask otwierających się przewodów powietrznych. Shapiro pomyślał, że to najpiękniejszy dźwięk, jaki słyszał w życiu.

Kapitan siedział bez ruchu, zatopiony w myślach - niesamowity centaur, złożony w połowie nie z konia, lecz z gąsienic, płyt i paneli. W końcu uniósł wzrok i włączył komunikator.

- Gomez, przyslij tu Znakomitego Montoyę z pistoletem ogłuszającym.

- Zrozumiałem.

Kapitan popatrzył ponuro na Shapira.

- Do tego wszystkiego straciłem jeszcze androida, warte go twoją dziesięcioletnią pensję. Jestem wkurzony. Zamierzam zabrać twojego kumpla.

- Kapitanie. - Shapiro wbrew sobie obliznął wargi. Wiedział, że nie powinien tego robić; nie chciał wyglądać na histeryka, wariata czy tchórza, a kapitan najwyraźniej uważał, że ma do czynienia ze wszystkimi trzema. Oblizywanie warg tylko wzmoże to wrażenie... ale po prostu nie mógł się powstrzymać. - Kapitanie, podkreślam z całą mocą, że musimy odlecieć z tej planety jak najszybciej...

- Oszczędź sobie, bezmózgu - rzucił łagodnie tamten.

Z wierzchołka najbliższej wydmy doleciał ich słaby krzyk.

- Nie dotykaj mnie! Nawet się nie zbliżaj! Zostawcie mnie w spokoju! Wszyscy!

- Big indics gat umby - powiedział z powagą Dud.

- Ma-him, yeah-mon - odparł kapitan, i odwracając się do Shapiro, dodał: - Naprawdę z nim kiepsko.

Shapiro zadrżał.

- Nie ma pan pojęcia jak kiepsko. Nie...

Płyta szkliva znów drgnęła. Podpory zajęczały głośniej. Komunikator zatrzeszczał. Głos Gomeza brzmiał słabo, lekko niepewnie.

- Kapitanie, musimy natychmiast się stąd zabierać!

- Dobra. - Na trapie pojawił się brązowoskóry mężczyzna. Odziana w rękawiczkę dłoń dźwżyła pistolet o długiej lufie. Kapitan wskazał Randa. - Ma-him, for-Cry. Can?

Znakomity Montoya, ani trochę nie przejmując się kołysaniem ziemi, będącej w istocie piaskiem stopionym na szklistą płytę (Shapiro dostrzegł na niej świeże, głębokie pęknięcia), nie poruszony

zgrzytem podpór ani niesamowitym obrazem androida, kopiącego nogami własny grób, przez moment przyglądał się uważnie wychudzonemu Randowi.

- Can - powiedział w końcu.

- Gat! Gat-for-Cry! - Kapitan splunął na bok. - Jeśli trzeba, odstrzel mu fiuta, byle tylko jeszcze dychał, kiedy wystartujemy.

Znakomity Montoya uniósł pistolet. Gest ów sprawiał wrażenie w dwóch trzecich odruchowego, w jednej trzeciej niedbałego, lecz Shapiro nawet w stanie bliskim paniki zauważył, jak tamten pochyla głowę, ustawiając lufę. Jak u wielu innych członków klanów, broń stanowiła niemal część niego - zupełnie jakby wskazywał cel palcem.

Nacisnął spust i strzałka usypiająca wyleciała z lufy z głuchym pufnięciem.

Z wydmy wyłoniła się ręka i złapała ją.

To była wielka, chwiejna, brązowa ręka z piasku. Po prostu sięgnęła w górę, rzucając wyzwanie wiatrowi, i pochwyciła migotliwą strzałkę. Następnie piasek opadł na ziemię z donośnym tąpnięciem. Ani śladu ręki. Niemożliwe, by w ogóle się pojawiła. Ale oni ją widzieli.

- Giddy-hump - powiedział kapitan, jakby komentował pogodę.

Znakomity Montoya padł na kolana.

- Aidy-May-for-Cry, bit-gat come! Saw-hoh got belly-gat-for-Cry.L.

Otepiały Shapiro pojął nagle, że tamten odmawia różaniec w pidżinie.

Na wydmie Rand podskakiwał w miejscu, wygrażając pięściami niebu i wrzeszcząc triumfalnie.

Ręka. To była RĘKA. On ma rację - to żyje, żyje; żyje...

- Indie! - warknął ostro kapitan. - Cannit! Gat! Montoya umilkł. Spojrzał na tańczącą postać na wydmie i odwrócił wzrok. Na jego twarzy odbił się zabobonny lęk, niemal średniowieczny w swej wymowie.

- W porządku - oznajmił kapitan. - Mam dosyć. Rezygnuję. Odlatujemy.

Nacisnął gwałtownie dwa guziki na panelu. Silnik, który powinien obrócić go zgrabnie twarzą do trapu, nie mruczał już, lecz zgrzytał i zawodził. Kapitan zaklął. Szkliwo pod nimi znów się zakołysało.

- Kapitanie! - To Gomez. W panice.

Kapitan rąbnął w kolejny przycisk i gaśienice ruszyły do tyłu, w górę trapu.

- Prowadź mnie - polecił Shapirovi. - Nie mam pieprzonego wstecznego lusterka. To była ręka, prawda?

- Tak.

- Chcę się stąd zmyć. Od czternastu lat nie mam fiuta, ale w tej chwili czuję się, jakbym szczał w gacie.

Grrr-uch! Najbliższa wydma zwała się na trap. Tyle że to już nie była wydma, ale ręka.

- O żeż kurwa! - rzucił kapitan.

Rand podskakiwał i wrzeszczał na swej wydmie. Tymczasem gaśienice, unoszące ciało kapitana, zaczęły zgrzytać. Miniczołg, którego wieżyczkę tworzyły głowa i ramiona mężczyzny, zadygotał.

- Co się...

Gaśienice stanęły. Spomiędzy nich wytrysnął piasek.

- Podnieście mnie! - huknął kapitan pod adresem dwóch pozostałych androidów. - Teraz!

NATYCHMIAST!

Androidy dźwignęły kapitana; ich macki owinęły się ciasno wokół gaśienic - to idiotyczne, ale przypominał w tym momencie nauczyciela akademickiego, którego grupka niesfornych studentów zamierza rzucić na koc. Kciukiem nacisnął komunikator.

- Gomez! Końcowa sekwencja startowa! Ale już! Już! Wydma pod trapem zadrżała i zmieniła się w rękę. Wielką brązową rękę, która zaczęła wsuwać się po pochylni.

Shapiro uskokczył przed nią z wrzaskiem.

Roboty uniosły przeklinającego kapitana.

Wciągnięto trap. Ręka odpadła i znów stała się piaskiem. Zamknął się właz, silniki zawyły. Nie mieli czasu, by ułożyć się na leżankach, nie mieli czasu na nic. Skulony Shapiro przywarł do grodzi i poczuł, jak miążdży go przeciążenie. Nim osunął się w nieświadomość, odniósł wrażenie, że piasek chwyta frachtowiec muskularnymi brązowymi rękami, próbuje go przytrzymać... I wtedy wystartowali.

Rand patrzył, jak odlatują. Siedział. Gdy ślad odrzutowych silników frachtowca już dawno zniknął z nieba, Rand z powrotem zwrócił wzrok ku pogodnej nieskończoności wydm.

- Mamy furgonetkę, nazywamy ją stara - wychrypiał, zwracając się do pustego, ruchomego piasku. - Nie jest może piękna, ale ciągle jara.

Powoli, z rozmysłem, zaczął wpychać sobie do ust garście piachu. Przełykał je... przełykał... przełykał. Wkrótce jego brzuch stał się twardy i napuchnięty jak beka. Piasek powoli zasypywał mu nogi.

Przełożyła

Paulina Arbiter

WIZERUNEK KOSIARZA

- Przenieśliśmy je w zeszłym roku i na tym poprzestaliśmy - powiedział pan Carlin, gdy wspinali się po schodach. - Oczywiście musiałem przesunąć je o własnych siłach, nie było rady. Przed wyjęciem ze skrzyni w salonie ubezpieczyliśmy je u Lloyd'a od wypadku. Tylko ta firma zgodziła się na sumę, o jaką nam chodziło.

Johnson Spangler nie odezwał się. Miał przed sobą idiotę, a już dawno się nauczył, że jedynym sposobem na rozmowę z idiotą jest ignorowanie go.

- Ubezpieczyliśmy je na ćwierć miliona dolarów - podjął pan Carlin, gdy dotarli na podest pierwszego piętra. Jego usta zadrgały w na poły gorzkim, na poły rozbawionym uśmiešku. - I nieźle nas to trzepnęło po kieszeni.

Był to mały człowieczek, niezbyt tęgi, w okularach bez oprawki i z opaloną łysiną, lśniąca jak wypolerowana kula do kręgli. Zbroja strzegąca mahoniowych cieni korytarza na piętrze spoglądała na nich martwo.

Korytarz był długi; Spangler oszacował ściany i malowidła chłodnym okiem profesjonalisty.

Samuel Claggert kupował w ilościach hurtowych, lecz nigdy nie nabywał rzeczy naprawdę cennych. Jak wielu nowobogackich przemysłowców końca dziewiętnastego wieku był miłośnikiem tandety i choć usiłował udawać kolekcjonera sztuki, lubował się w malarskich potwornościach, banalnych powieściadłach, zbiorach poezji w drogich skórzanych oprawkach, a także upiornych rzeźbach, które uważał za arcydzieła.

Ściany korytarza były ozdobione - może raczej powinno się powiedzieć: obwieszane - imitacjami marokańskich materii, kandelabrami pełnymi groteskowych zawijasów oraz niezliczonymi Madonnami, trzymającymi niezliczone niemowlęta z aureolami, w otoczeniu niezliczonych aniołów. Z sufitu zwisał monstrialny i obscenicznie ozdobny zyrandol, uwieńczony lubieżnie uśmiechniętą nimfą.

Oczywiście stary pirat zdołał zgromadzić także parę interesujących łupów; wymagało tego prawo przypadku. I jeśli zasoby Prywatnego Muzeum imienia Samuela Claggerta (wycieczki z przewodnikiem co godzina, wstęp: dorośli 1 dolar, dzieci 50 centów) w dziewięćdziesięciu ośmiu

procentach stanowiły autentyczne złomowisko, nie można było zapomnieć o tych pozostałych dwóch procentach, rzeczach takich jak długa rusznica nad paleniskiem w kuchni, dziwna mała camera obscura w salonie i oczywiście...

- Przenieśliśmy lustro Delvera z parteru po dość przykrym... incydencie - odezwał się niespodziewanie pan Carlin, najwyraźniej zmotywowany do działania upiornym spojrzeniem nieznajomej osoby z portretu u stóp kolejnych schodów. - Zdarzało się, że przychodzili także inni... ostre słowa, absurdalne stwierdzenia... lecz tym razem była to prawdziwa próba zniszczenia lustra. Ta kobieta, panna Sandra Bates, weszła tu z kamieniem w kieszeni. Na szczęście nie trafiła i jedynie rozbiła róg skrzyni. Lustro nie odniosło szwanku. Ta Batesówna miała brata...

- Nie prosiłem o wycieczkę z przewodnikiem - przerwał cicho Spangler. - Jestem doskonale poinformowany o historii luster Delvera.

- Fascynująca, prawda? - Carlin rzucił mu dziwne, ukośne spojrzenie. - Ta angielska diuszesa w 1709... i kupiec z Pensylwanii w 1746... nie wspominając już...

- Doskonale znam te historie - powtórzył spokojnie Spangler. - Interesuje mnie tylko stan lustra. I, oczywiście, pozostaje kwestia autentyczności...

- Autentyczności! - Pan Carlin zachichotał; był to dźwięk suchy jak klekotanie kości w szafie pod schodami. - Sprawdzali je rzeczoznawcy!

- Tak jak stradivariusza Lemliera.

- Rzeczywiście - powiedział pan Carlin z westchnieniem. - Lecz żaden stradivarius nie wywierał tak... niepokojącego wpływu, jak lustro Delvera.

- Owszem - zgodził się Spangler z cichą pogardą. Wiedział już, że Carlin nie da się powstrzymać; jego umysł funkcjonował dokładnie tak, jak wymagał tego jego wiek. - Owszem.

W milczeniu weszli na trzeci i czwarty ciąg schodów. W mrocznych galeriach bliżej dachu panowała nieznośna duchota. Wraz z nią pojawił się odór, który Spangler znał bardzo dobrze, gdyż spędził w nim całe dorosłe życie - smród od dawna zdechłych much, wilgotnej zgnilizny i robactwa pod tynkiem. Odór starości, charakterystyczny dla muzeów i mauzoleów. Spangler sądził, że takie same wyziewy wydobywałyby się z grobu nastoletniej dziewicy, martwej od czterdziestu lat.

Tutaj starocie piętrzyły się w bezładnych stertach na podobieństwo prawdziwego sklepu ze starociami. Pan Carlin poprowadził Spanglera przez labirynt rzeźb, portretów w łuszczących się ramach, przeładowanych ozdobami złożonych klatek na ptaki, fragmentów rozdartego na sztuki szkieletu starego roweru. Znaleźli się pod ścianą, o którą opierała się drabinka prowadząca do klapy w suficie. Ze skobla zwisała zakurzona kłódka.

Po lewej stronie stał gipsowy Adonis, przeszywający ich bezlitosnym spojrzeniem ślepych, zasnutych bielmem oczu. Wyciągał ku nim ramię, na którym dyndała żółta kartka z napisem: WSTĘP SUROWO WZBRONIONY.

Pan Carlin wyciągnął z kieszeni kółko z kluczami, wybrał jeden z nich i wszedł na drabinkę. Zatrzymał się na trzecim szczeblu; jego łysina lśniła słabo w mdłym świetle.

- Nie lubię tego lustra - powiedział. - Nigdy go nie lubiłem. Boję się w nie spoglądać. Boję się, że kiedyś mógłbym w nim zobaczyć... to, co tamci.

- Widzieli tylko własne odbicia.

Pan Carlin otworzył usta, pokręcił głową i zaczął zmagać się z kłódką, wyciągając szyję, by trafić kluczem w zamek.

- Trzeba to wymienić - mruknął. - Jest... Psiakrew! - Kłódka odskoczyła gwałtownie i spadła. Pan Carlin wyciągnął ku niej rękę, prawie spadając z drabiny. Spangler podniósł ją zgrabnie z ziemi. Carlin trzymał się kurczowo szczebla, drżąc jak liść na wietrze. Jego twarz w brudnym cieniu wydawała się zupełnie biała.

- Ono pana niepokoi, prawda? - zagadnął Spangler z lekkim zaciekawieniem.

Carlin nie odpowiedział. Stał jak sparaliżowany.

- Proszę zejść - zarządził Spangler - bo jeszcze pan spadnie.

Carlin powoli zszedł, kurczowo ściskając każdy szczebel. Zachowywał się jak człowiek zwisający nad bezdenną przepaścią. Dopiero gdy jego stopy dotknęły podłogi, zaczął coś bełkotać, całkiem jakby w podłodze płynął prąd, który wrócił mu życie.

- Ćwierć miliona - powiedział. - Ćwierć miliona dolarów ubezpieczenia, żeby przenieść to... lustro na górę. To przeklęte... Musieli zamontować specjalny blok i wyciąg, żeby je wywindować. A ja miałem nadzieję... prawie się modliłem, żeby czyjeś palce okazały się niezręczne... żeby lina była przetarta... żeby to ohydztwo spadło i rozbiło się na milion kawałków!

- Fakty - przerwał Spangler. - Fakty, człowieku. Nie tanie opowieści, nie sensacje z brukowca, nie tandetne horrory. Fakty. Po pierwsze: John Delver był angielskim rzemieślnikiem normandzkiego pochodzenia, produkującym lustra w okresie, który nazywamy elżbietańskim. Żył i umarł cicho i bez sensacji. Gosposia nie zmywała mu z podłogi pentagramów, nie znaleziono śmierdzących siarką dokumentów z krwawym podpisem. Po drugie: jego lustra stały się okazami poszukiwanymi przez kolekcjonerów, głównie z uwagi na znakomite rzemiosło, a także na fakt, iż były robione z rodzaju kryształu o właściwościach lekko powiększających i zmniejszających odbicie - cecha dość charakterystyczna. Po trzecie: o ile wiadomo, pozostało tylko pięć zwierciadeł Delvera, dwa z nich w Ameryce. Są bezcenne. Po czwarte: to lustro oraz drugie, które zostało zniszczone podczas bombardowania Londynu, zyskały sobie dość fantastyczną reputację, wynikającą w dużej mierze z przeinaczeń, przesady i zbiegów okoliczności...

- Fakt numer pięć - odezwał się pan Carlin. - Zarozumiałe z ciebie bydlę, nieprawda?

Spangler spojrzął z umiarkowaną pogardą w ślepe oczy Adonisa.

- Byłem przewodnikiem grupy, w której znajdował się brat Sandry Bates, właśnie wtedy, gdy spojrzął w to twoje wspaniałe zwierciadło Delvera. Miał może szesnaście lat i przyjechał tu ze szkolną wycieczką. Streściłem już całą historię i miałem przejść do części, która by ci się spodobała - wysławiającej nieskazitelne rzemiosło, doskonałość samego lustra - kiedy chłopak podniósł rękę. "A co to za czarna plama w górnym lewym rogu?" - spytał. - "To chyba skaza". Kolega spytał, o co mu chodzi, więc mały Bates zaczął wyjaśniać, po czym zamilkł. Zajrzał w lustro z bardzo bliska, przechylając się przez ten czerwony aksamitny sznur wokół skrzyni... a potem obejrzał się za siebie, jakby zobaczył czyjeś odbicie! "Wydawało mi się, że kogoś widziałem - powiedział. - Ale nie dostrzegłem twarzy. Już go nie ma". I tyle.

- Nie, dalej - mruknął Spangler. - Język cię świerzbi, przecież chcesz mi powiedzieć, że to Kosiarz! Bo sądzę, że tak właśnie brzmi popularne wyjaśnienie? Wybrani ludzie widzą w lustrze wizerunek Kosiarza? Wyrzuć to z siebie, chłopie. Brukowce będą zachwycone! Opowiedz mi o tych przerażających konsekwencjach i zażądaj, żebym to wyjaśnił. Ten mały pewnie zaraz potem wpadł pod samochód? A może wyskoczył z okna? No?

Pan Carlin parsknął cichym smutnym chichotem.

- Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie. Przecież dwa razy powiadomiłeś mnie, że... jak to było... jesteś doskonale poinformowany o historii zwierciadła Delvera. Nie było żadnych straszliwych konsekwencji. Nigdy. To dlatego lustro nie gości na pierwszych stronach gazet, jak brylant Koh-i-Noor lub przekleństwo grobu faraona. W porównaniu z nimi jego właściwości wydają się banalne. Uważasz mnie za głupca, prawda?

- Tak - przyznał Spangler. - Możemy już tam wejść?

- Oczywiście. - Pan Carlin wszedł po drabinie i uniósł klapę. Rozległ się stuk przeciwwagi i pan Carlin zniknął w ciemnościach. Spangler poszedł za nim. Ślepy Adonis patrzył za nimi pustym wzrokiem.

W pokoju na poddaszu panował nieznośny upał. Jedno osnute pajęczynami wieloboczne okno filtrowało ostre światło dnia, zmieniając je w brudnomleczną poświatę. Lustro zostało odwrócone ku niemu; odbijało mętny blask i rzucało na przeciwległą ścianę perłową, jasną plamę. Drewniana rama przytrzymała je mocno. Pan Carlin nie patrzył na nie. Omijał je wzrokiem z całą premedytacją.

- Nawet nie przykryte - zauważył Spangler, najwyraźniej po raz pierwszy wyprowadzony z równowagi.

- Myślę o nim jako o oku - odparł pan Carlin. Jego głos nadal brzmiał martwo, odarty z wszelkich uczuć. - Jeśli będzie otwarte, nieustannie otwarte, może oślepnie.

Spangler nie słuchał go. Zdjął marynarkę, starannie schował połę z guzikami do wewnątrz i z niewymowną czułością otarł kurz z wypukłej powierzchni. Cofnął się i ocenił swoje dzieło.

Miał przed sobą autentyk. Co do tego nie mogło być cienia wątpliwości. Zwierciadło stanowiło znakomity przykład geniuszu Delvera. Zagraczony pokój, odbicie na wpół odwróconej postaci Carlina... wszystko to było wyraźne, ostre, niemal trójwymiarowe. Nieznaczne powiększenie obrazu dawało wrażenie lekkiego zniekształcenia i jakby obecności czwartego wymiaru. Było... Nagle znowu targnął nim atak gniewu.

- Carlin!

Nie usłyszał odpowiedzi.

- Carlin, ty przeklęty głupcze, mówiłeś, że ta dziewczyna nie zniszczyła lustra!

Cisza.

Spangler przeszył jego odbicie lodowatym spojrzeniem.

- W górnym lewym rogu jest kawałek taśmy klejącej! Rozbiła taflę? Mów, człowieku, na Boga!

- Patrzysz na Kosiarza - powiedział Carlin. Jego głos brzmiał martwo, wyzuty z uczuć. - Nie ma tam żadnej taśmy. Połóż tam rękę... o Boże.

Spangler ostrożnie owinął dłoń rękawem marynarki i przycisnął ją delikatnie do lustra.

- Widzisz? Nic nadprzyrodzonego. Zniknęła. Moja ręka ją przykryła.

- Przykryła? Czy czujesz dotyk taśmy? Może ją odkleisz?

Spangler cofnął rękę i spojrzał na taflę. Wszystko wydawało się odrobinę bardziej zniekształcone; krawędzie pokoju wykrzywiały się dziwnie, jakby miały się za chwilę ześliznąć w głąb jakiejś niewidzialnej czeluści. Ale lustro było bez skazy. Ani śladu ciemnej plamy. Poczuł, że wzbiera w nim niezdrowy martwy chłód i pogardliwie wyśmiał się za to.

- Wyglądało jak on, prawda? - spytał pan Carlin. Bardzo pobladł i nie odrywał spojrzenia od podłogi. Na karku drgał mu nerwowo jeden mięsień. - Przyznaj się, Spangler. Wyglądało jak postać w płaszczu z kapturem, stojąca za twoimi plecami?

- Wyglądało jak taśma klejąca maskująca pęknięcie - odparł Spangler dobitnie. - Ni mniej, ni więcej.

- Ten mały Bates był bardzo krzepki - przerwał mu Carlin. Każde jego słowo wpadało w rozgrzane, nieruchome powietrze jak kamień w ciemną wodę. - Przypominał piłkarza. Miał sportowy sweter i ciemnozielone spodnie. Byliśmy w połowie drogi do sal na piętrze, gdy...

- Od tego upału jest mi niedobrze - mruknął Spangler odrobinę niepewnie. Wyjął chusteczkę i otarł kark. Go chwila rzucał krótkie, urywane spojrzenia na wypukłą taflę lustra.

- Gdy nagle powiedział, że musi się napić wody... wody, na miłość boską!

Carlin odwrócił się i wbił dzikie spojrzenie w Spanglera.

- Skąd mogłem wiedzieć? Skąd mogłem wiedzieć?

- Czy jest tu łazienka? Chyba będę...

- Ten sweter... Ten sweter mignął mi jeszcze na schodach... a potem...

- ...wymiotować.

Carlin pokręcił głową, jakby odganiał od siebie natrętne myśli i znowu wbił wzrok w podłogę.

- Oczywiście. Trzecie drzwi po lewej, pierwsze piętro. - Podniósł błagalne spojrzenie. - Skąd mogłem wiedzieć?

Ale Spangler już schodził po drabinie. Zakołysała się pod jego ciężarem i przez chwilę Carlin myślał - miał nadzieję - że jego gość spadnie. Lecz tak się nie stało. Carlin podszedł do klapy i wyjrzał, zakrywając usta dłonią.

- Spangler...?

Korytarz był już jednak pusty.

Carlin słuchał oddalających się kroków, potem ich echa, potem ciszy. Kiedy zapadła, wzdrygnął się gwałtownie. Usiłował podejść do drabiny, ale stopy jakby mu przymarzły do podłogi. To ostatnie, krótkie mignięcie swetra chłopaka... Boże!

Było tak, jakby wielkie niewidzialne ręce ciągnęły go za głowę, zmuszały do patrzenia. W odruchu sprzeciwu odwrócił się ku migoczącej głębi zwierciadła Delvera.

Było puste.

Odbijało jedynie pokój, przekształcając zakurzone graty w olśniewającą nieskończoność. Carlin przypomniał sobie urywek wiersza Tennysona i wymamrotał go pod nosem: "Dość mam już cieni, rzekła Pani Shalott...".

A jednak nie potrafił odwrócić wzroku. Cisza trzymała go w mocnym uścisku. Nadjedzona przez mole głowa bizona mierzyła go znad krawędzi lustra ślepiami z obsydianu.

Chłopiec chciał się napić wody, a kran znajdował się w hallu na parterze. Zszedł po schodach i... I nigdy nie wrócił.

Nigdy.

Tak jak diuszesa, która zatrzymała się przed zwierciadłem po ukończeniu toalety i zdecydowała, że wróci jeszcze do salonu po perły. Tak jak kupiec z Pensylwanii, który wybierał się na przejażdżkę i zostawił pusty powóz i dwa konie.

A lustro Delvera znajdowało się w Nowym Jorku od 1897 do 1920 roku, wtedy właśnie, gdy sędzia Crater...

Carlin wpatrywał się jak zahipnotyzowany w głąb lustra. Na dole ślepy Adonis trzymał straż.

I czekali na Spanglera dokładnie tak samo, jak rodzina Batesów musiała czekać na syna, jak diuk musiał czekać, aż żona wróci z salonu. Patrzył w lustro i czekał.

Czekał.

I czekał.

Przełożyła

Maciejka Mazan

NONA

Czy kochasz?

Słyszę jej głos. Czasem jeszcze go słyszę. We śnie. Kochasz?

Tak, odpowiadam. Tak. A prawdziwa miłość nigdy nie umiera.

Potem budzę się z krzykiem.

Nawet teraz nie umiem tego wyjaśnić. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego to zrobiłem. W sądzie też nie potrafiłem. A pytało mnie o to mnóstwo osób. Jest taki jeden psychiatra. Ale ja milczę. Moje usta są zamknięte pieczęcią. Tylko nie tutaj. W celi nie jestem cichy. Budzę się z krzykiem. We śnie widzę, jak się do mnie zbliża. Ma na sobie białą suknię, prawie przezroczystą, a jej twarz wyraża pożądanie i tryumf. Idzie do mnie przez ciemny pokój o kamiennej posadzce. Pachną suche paździenikowe róże. Ona wyciąga ku mnie ręce; podchodzi z rozłożonymi ramionami, by ją objąć.

Czuję przerażenie, wstręt i niewyobrażalną żądzę. Przeważenie i wstręt - bo wiem, co to za miejsce. Żądzę - bo ją kocham. Zawsze będę ją kochać. Czasami żałuję, że w tym stanie nie obowiązuje już kara śmierci. Parę kroków w mrocznym korytarzu, twarde krzesło z żelazną obręczą na głowę i przeguby... potem jeden wstrząs i byłbym z nią.

W tym śnie zbliżamy się do siebie, a mój strach narasta, lecz nie mogę się cofnąć. Dotykam gładkiej płaszczyzny jej pleców, skóry wyczuwalnej tuż pod jedwabiem. Ona uśmiecha się do mnie tymi bezdennymi czarnymi oczami. Przechyla głowę, a jej usta rozwierają się, gotowe do pocałunku.

I wtedy zaczyna się zmieniać, kurczy się. Jej włosy stają się szorstkie i matowe, ich czerni rozplywa się i płowieje na brzydki bury kolor, który rozlewa się na kremową biel policzków. Oczy maleją, robią się malutkie jak paciorki. Białka znikają i widzę już tylko dwoje ślepi jak błyszczące kamyczki. Wargi zmieniają się w pyszczek, z którego wystają krzywe żółte zęby. Chcę krzyczeć. Chcę się obudzić.

I nie mogę. Znowu dałem się złapać. Zawsze tak jest.

Jestem w uścisku wielkiego, cuchnącego cmentarnego szczura. Widzę migotanie płomyków. Paździenikowe róże. Gdzieś bije dzwon za dusze zmarłych.

- Czy kochasz? - szepcze szczur. - Czy kochasz?

Gdy się nade mną nachyla, czuję w jego oddechu zapach róż, zeschniętych kwiatów z grobowca.

- Tak - odpowiadam. - Tak. Prawdziwa miłość nigdy nie umiera.

I wreszcie krzyczę, a sen się kończy.

Inni myślą, że zwariowałem przez to, co zrobiliśmy, ale rozum w pewnym sensie nadal mi służy i nigdy nie przestałem szukać rozwiązania. Chcę wiedzieć, jak to się stało i co to było.

Dostałem pozwolenie na papier i flamaster. Zamierzam wszystko opisać. Może znajdę odpowiedzi na ich pytania, a przy okazji odpowiem na parę własnych. Kiedy skończę, czeka mnie coś jeszcze. Coś, o czym oni nie wiedzą. Coś, co ukradłem. Leży tutaj, pod materacem. Nóż z więziennej stołówki.

Zacznę od Augusty.

Piszę to w nocy, sierpniowe niebo całe migocze gwiazdami. Widzę je przez kratę w oknie, które wychodzi na spaceriak. Jeśli zasłonię go dwoma palcami, dostrzegam tylko skrawek nieba. Jest gorąco, nie mam na sobie nic oprócz szortów. Słyszę ciche letnie rechotanie żab i cykanie świerszczy. Wystarczy jednak, że zamknę oczy, a już widzę tę zimową noc, przenikliwy mróz, mrok, ostre, nieprzyjemne światła obcego miasta. Był to czternasty dzień lutego.

Widzicie, wszystko pamiętam.

I spójrzcie na moje ręce - choć spocone, pokryły się gęsią skórą.

Augusta...

Przybyłem do Augusty na wpół zamrożony. Piękny dzień sobie wybrałem na pożegnanie ze szkołą i podróż na zachód. Okazało się, że prędzej zamrozę na śmierć, niż przekroczę granicę stanu.

Policjant wykopał mnie z autostrady międzystanowej i zagroził, że poprzetrąca mi nogi, jeśli mnie znowu przyłapie. Miałem ochotę coś odszczeknąć, żeby go sprowokować. Czteropasmówka wyglądała jak pas startowy, wiatr wyl i unosił wirujący po asfalcie śnieżny pył. Ci anonimowi Oni w ciepłych samochodach uważają, że każdy człowiek na poboczu autostrady musi być gwałcicielem lub mordercą, a jeśli ten człowiek ma w dodatku długie włosy, można mu spokojnie dorzucić pedofilię i homoseksualizm.

Przez jakiś czas próbowałem złapać okazję na bocznej drodze, ale nie miałem szczęścia. Mniej więcej za kwadrans ósma dotarło do mnie, że jeśli szybko nie znajdę jakiegoś ciepłego miejsca, zamarznię na śmierć.

Przeszedłem prawie kilometr, zanim znalazłem stację benzynową z restauracją, tuż za granicami miasta. "Wyżerka u Joego", głosił neon. Na tłuczniowym parkingu stały trzy wielkie TIR-y i jeden nowy sedan. Na drzwiach wisiał zwiędły bożonarodzeniowy wieniec, którego nikomu nie chciało się zdjąć, a obok termometr ze słupkiem rtęci wskazującym minus piętnaście stopni. Nie miałem czapki, a moje włosy i rękawiczki z niewyprawionej skóry zaczynały się kruszyć na mrozie. Palce miałem jak z drewna, tak mi zdrętwiały.

Otworzyłem drzwi i wszedłem.

Pierwsze, co poczułem, to ciepło, dobre i słodkie. Potem dotarła do mnie jakaś wiejska piosenka, charakterystyczny głos Merle Haggard: "Nie hodujemy długich kudłów jak ci hippisi z San Francisco".

Trzecia rzecz, która mnie uderzyła, to Spojrzenie. Poznacie je w chwili, gdy zapuścicie włosy. Wtedy właśnie inni dowiadują się, że nie jesteście z ich paczki. Spojrzenie można się nauczyć rozpoznawać, ale nie można się do niego przyzwyczaić.

Tym Spojrzeniem mierzyli mnie czterej kierowcy przy stole, dwaj inni przy barze, dwie starsze panie w tanich futerkach i z błękitną płukanką na włosach, barman oraz gamoniowaty chłopak z rękami w mydlinach. Na dalekim końcu baru siedziała także dziewczyna, ale ona wpatrywała się tylko we własny kubek.

Jej widok był czwartą rzeczą, która mnie uderzyła.

Jestem już na tyle dorosły, by wiedzieć, że miłość od pierwszego wejrzenia nie istnieje.

Wymyślili ją tekściarze, bo dobrze się rymuje w piosenkach: wejrzenia - marzenia i tak dalej. W sam raz na szkolne potańcówki, dla par trzymających się za ręce.

Ale kiedy tak na nią patrzyłem, naprawdę coś we mnie drgnęło. Będziecie się śmiać, lecz zrozumielibyście, gdybyście ją widzieli. Była po prostu nieznośnie piękna. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że wszyscy w tej budzie są tego samego zdania. Tak jak nie miałem wątpliwości, że ją także bombardowali Spojrzeniem, dopóki nie wszedłem. Miała kruczoczarne włosy, tak ciemne, że w świetle jarzeniówek wydawały się błękitne. Spływały jej na plecy i ramiona, rozrzucone na wytartym brązowym paletku. Jej skóra miała odcień śmietankowej bieli, którą zdobił delikatny rumieniec powstały z zimna. Ciemne, smoliste rzęsy. Poważne oczy, leciuteńko skośne. Pełne, miękkie wargi, arystokratyczny nos. Nie zwróciłem uwagi na jej ciało. Nie miało znaczenia. Wy też byście na nie nie patrzyli. Liczyła się tylko jej twarz, włosy, spojrzenie. Była idealna. W naszym języku nie istnieje inne godne jej słowo.

Nona.

Usiadłem o dwa stolki od niej, a barman podszedł i spojrzał na mnie ponuro.

- No?

- Poproszę czarną kawę.

Odwrócił się. Za moimi plecami ktoś powiedział:

- Więc Chrystus jednak wrócił, tak jak przepowiadała moja mama.

Gamoń-pomywacz roześmiał się szybkim "hy-hy". Kierowcy przy barze także.

Barman przyniósł mi kawę, postawił z rozmachem na stole i oblał moją rozmarzającą dłoń. Cofnąłem ją gwałtownie.

- Przepraszam - mruknął obojętnie.

- On się sam wyleczy - zawołał kierowca zza stołu.

Staruszki z błękitnymi loczkami pospiesznie zapłacyły i wyszły. Jeden z królów szosy poczłapał do grającej szafy i wrzucił do niej dziesiątaka. Johnny Cash zaczął śpiewać piosenkę "Chłopak zwany Sue". Zająłem się dmuchaniem na kawę.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw. Odwróciłem się i proszę - przeniosła się na wolny stołek. Widok tej twarzy z bliska mógł oślepić. Rozlałem jeszcze trochę kawy.

- Przepraszam. - Miała cichy głos, niemal bezbarwny.

- To moja wina. Ręce mi jeszcze nie odtajały.

- Chciałam...

Urwała, najwyraźniej onieśmielona. Nagle zdałem sobie sprawę, że się boi. Znowu ogarnęło mnie to samo uczucie co poprzednio - chęć zaopiekowania się nią, wzięcia ją pod skrzydła, żeby już nigdy nie czuła strachu.

- Chciałam cię prosić o podwiezienie - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Nie ośmieliłam się podejść do tamtych. - Zrobiła prawie niedostrzegalny gest w stronę kierowców przy stole.

Jak mam wam wytłumaczyć, że oddałbym wszystko, dosłownie wszystko, żeby tylko móc jej powiedzieć: "Jasne, dopij kawę, mój samochód stoi dwa kroki stąd"? Może wyda wam się szaleństwem takie uczucie do dziewczyny, z którą zamieniłem ledwie dwadzieścia słów, ale tak właśnie było. Kiedy się na nią spoglądało, to tak, jakby się miało przed sobą Monę Lisę albo Wenus z Milo, niespodziewanie powołaną do życia. I było jeszcze coś. Jakby w mrocznym mętliku mojego umysłu nagle ktoś zapalił olśniewające światło. Może poszłoby nam łatwiej, gdyby ona była zwykłą panią, a ja facetem, co umie poderwać każdy towar. Może, ale było inaczej. Na razie docierało do mnie jedynie tyle, że nie mogę jej dać tego, o co mnie prosi, i przez to omal mi nie pękło serce.

- Jadę stopem - wyjaśniłem. - Gliniarz wykopał mnie z autostrady, przyszedłem tylko po to, żeby się ogrzać. Przykro mi.

- Jesteś studentem?

- Byłem. Odszedłem, zanim mnie wylali.

- Wracasz do domu?

- Nie mam domu. Jestem sierotą. Dostałem stypendium, teraz je straciłem. Nie mam pojęcia, dokąd iść.

Historia mojego życia w czterech zdaniach. To przygnębiło mnie jeszcze bardziej.

Roześmiała się - a mnie aż się zrobiło gorąco i zimno na przemian.

- Zdaje się, że oboje jesteśmy jak dwa bezdomne kocury. Wydawało mi się, że powiedziała "kocury". Tak mi się wydawało. Wtedy. Ale tutaj mam dużo czasu na rozmyślanie i coraz bardziej się przekonuję, że mogła powiedzieć "szczury". Dwa bezdomne szczury. Tak. A to nie to samo, prawda?

Właśnie miałem powiedzieć coś cholernie błyskotliwego - jakieś "czyżby?" - kiedy ktoś położył mi rękę na ramieniu.

Odwróciłem się. To był jeden z tych kierowców przy stole. Miał ryży zarost, a z ust wystawała mu zapalka. Cuchnął olejem.

- Jużeś chyba wypił tę kawę - powiedział. Usta za zapalką rozchyliły się w uśmiechu. Miał mnóstwo bardzo białych zębów.

- Co?

- Psujesz tu powietrze, chłopie. Bo chyba jesteś chłop, co? Trudno powiedzieć.

- Z ciebie też żaden przystojniak - odpysknąłem. - Czym tak od ciebie jedzie, wieśniaku? Trzasnął mnie w policzek otwartą dłonią. Przed oczami zatańczyły mi czarne kropki.

- Nie bijcie się tu - odezwał się barman. - Chcesz go połamać, to jazda na zewnątrz.

- Wychodź, ty komunisto - powiedział kierowca.

W tym miejscu dziewczyna powinna wystąpić z czymś w rodzaju "Zostaw go", albo "Ty bandyto!". Ale ona wcale się nie odezwała. Przyglądała się nam z napiętą fascynacją. To było przerażające. Wtedy po raz pierwszy dostrzegłem, jak wielkie są jej oczy.

- Mam cię znowu walnąć?

- Nie. Idziemy, gnoju.

Nie mam pojęcia, co mnie napadło. Nie lubię się bić. Nie umiem się bić. I zdecydowanie nie umiem się przezywać. Ale wtedy byłem wściekły. Zrozumiałem, że chcę go zabić.

Może to poczuł, bo przez twarz przebiegł mu cień wahania, podświadomy lęk, że trafił mu się nietypowy hippis. Potem wszystko zniknęło. Nie zamierzał stchórzyć przed jakimś długowłosym zniewieściałym paniczkiem, który pewnie podciera sobie tyłek flagą narodową. Na pewno nie w obecności kumpli. Nie taki kawał zdrowego chłopca jak on.

Znowu ogarnął mnie gniew. Pedał? Pedał? Zaczęło mnie ponosić i nawet mi się to spodobało.

Żołądek zmienił mi się w bryłę żelaza, język wypełniał całe usta.

Podeszliśmy do drzwi. Kumple mojego kumpla omal się nie pozabijali, tak im się spieszyło, żeby popatrzeć na ubaw.

Nona? Myślałem o niej, ale leniwie, obojętnie. Wiedziałem, że tam będzie. Nona się mną zajmie.

Miałem co do tego absolutną pewność, tak jak byłem pewien, że na dworze jest zimno. Dziwne, myśleć tak o dziewczynie, którą się poznało pięć minut temu. Tak, dziwne, ale to uświadomiłem sobie znacznie później. Na razie ovladnęła mnie - nie, raczej opętała - mordercza wściekłość. Chciałem zabijać.

Mróz dziabnął nas jak nożem. Zamarznięty żwir chrupał głośno pod jego ciężkimi buciorami i moimi kamaszami. Księżyc, okrągły i wzdęty, spoglądał na nas wybałuszonym okiem. Miał lisią czapę zwiastującą nadejście złej pogody. Niebo było czarne jak noc w piekle. Pod naszymi stopami skarłałe cienie rozplływały się w płaskim świetle samotnej latarni pomiędzy zaparkowanymi ciężarówkami. Oddechy zmieniały się w krótkie białe fontanny. Kierowca odwrócił się do mnie, zacisnął pięści w rękawiczkach.

- Dobra, ty skurwielu.

Miałem wrażenie, że puchnę - całe moje ciało jakby się rozdymało. Mętnie zdałem sobie sprawę, że dałem się ovladnąć czemuś, czego istnienia dotąd nie przeczuwałem. To było straszne, ale jednocześnie miłe, pożądane, rozkoszne. W tej ostatniej chwili, kiedy jeszcze byłem zdolny do myślenia, wydało mi się, że moje ciało stało się kamienną piramidą albo cyklonem, który zmiecie wszystko, co mu stanie na drodze. Kierowca zrobił się mały, śmieszny, nieważny.

Roześmiałem się. Śmiałem się, a dźwięk, który wydobywał się z moich ust, był mroczny i ponury jak niebo nad naszymi głowami.

Kierowca runął na mnie, machając pięściami. Zablokowałem prawą, przyjąłem cios lewej w twarz, nawet tego nie czując, i kopnąłem go w brzuch. Powietrze uszło z niego białym obłokiem. Usiłował się cofnąć, złapał się za brzuch i zaczął kaszleć.

Zaszedłem go od tyłu, nadal zanosząc się śmiechem, który brzmiał jak szczekanie. Grzmotnąłem go trzy razy, zanim zdołał się odwrócić - w kark, ramię, jedno czerwone ucho. Zawył, a jedna z jego młocących powietrze rąk trafiła mnie w nos. Furia, która we mnie buzowała, buchnęła większym płomieniem. Kopnąłem go, unosząc stopę wysoko, jakbym wybijał piłkę. Wrzasnął; w mroku usłyszałem trzask żeber. Zgiął się w pół. Skoczyłem na niego.

W sądzie jeden kierowca zeznał, że byłem jak dzikie zwierzę. I miał rację. Nie pamiętam wiele, ale jedno sobie przypominam - warczałem i wylem niczym dziki pies.

Usiadłem na nim okrakiem, złapałem pełne garści tłustych włosów i zacząłem szorować jego twarzą po żwirze. W płaskim świetle latarni krew wydawała się czarna jak krew karalucha.

- Jezu, przestań! - wrzasnął ktoś.

Jakieś ręce chwyciły mnie za ramiona i dźwignęły do góry. Ujrzałem wirujące twarze i rzuciłem się na nie.

Kierowca usiłował odpełznąć. Jego twarz wyglądała jak krwawa maska o oszołomionych oczach. Zaczęłem go kopać, uciekając przed rękami innych, i za każdym razem, kiedy moja noga trafiała w cel, stękałem z satysfakcją. On nie mógł już walczyć. Starał się tylko uciec. Po każdym kopniaku zaciskał powieki, przez co robił się podobny do żółwia, i nieruchomiał. Potem znowu pełzł. Wyglądał głupio. Postanowiłem go zabić. Kopać tak długo, aż umrze. Potem zabiję resztę - z wyjątkiem Nony.

Kopnąłem go znowu. Upadł na plecy i wytrzeszczył na mnie głupie oczy.

- Poddaję się - wychrypiał. - Poddaję się! Proszę... proszę...

Ukląknę przy nim; żwir gniótł mnie w kolana przez nogawki cienkich dżinsów.

- Dobrze, przystojniaku - szepnąłem. - Skoro prosisz... I chwyciłem go za gardło.

Rzuciło się na mnie trzech. Oderwali mnie od niego. Wstałem, szczerząc zęby, ruszyłem na nich.

Cofnęli się - trzy wielkie chłopy - przerażeni jak króliki.

Wtedy pstryknął wyłącznik.

Tak, to było całkiem jak pstryknięcie wyłącznika i znowu byłem sobą. Stałem na parkingu przed "Wyżerką u Joego", dyszałem, czułem się chory i przerażony.

Odwróciłem się, spojrzałem w stronę budynku. Zobaczyłem ją; jej przepiękne rysy były rozświetlone zwycięską radością. Uniosła pięść w pozdrowieniu, tak jak to wtedy robili czarni na olimpiadzie.

Odwróciłem się do faceta na ziemi. Ciągle usiłował odpełznąć, a kiedy do niego podszedłem, jego oczy błysnęły dzikim strachem.

- Nie dotykaj go! - krzyknął jego kumpel. Obejrzałem się zmieszany.

- Przepraszam... ja nie chciałem... tak go... Może pomogę...

- Lepiej stąd spływasz, tak będzie najlepiej - odezwał się barman. Stał przed Noną, u stóp schodów.

Ścisnął zatłuszczone łopate. - Dzwonię po gliny.

- Przecież to on zaczął! To on...

- Nie pyskuj, ty parszywa cioto - przerwał mi, robiąc krok do tyłu. - Widzę, że omal go nie zabiłeś. Dzwonię po gliny!

Odwrócił się i wbiegł do knajpy.

Zostawiłem w środku moje rękawice z niewyprawionej skóry, ale jakoś nie miałem ochoty po nie wracać. Schowałem ręce do kieszeni i ruszyłem w stronę autostrady. Szansę na to, że zdołam złapać stopa, zanim policjanci złapią mnie, były jak jeden do dziesięciu. Czułem, że uszy mi zamrazają i chciało mi się rzygać. Co za parszywa noc.

- Zaczekaj! Hej, zaczekaj!

Odwróciłem się. Biegła za mną, rozwiane włosy trzepotały jej za plecami.

- Byłeś wspaniały! Wspaniały!

- Pobiliśmy go - powiedziałem tępo. - Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło.

- Szkoda, że go nie zabiłeś!

Wytrzeszczyłem na nią oczy. Stała skapana w mroźnym świetle.

- Nie słyszałeś, co o mnie mówili, zanim przyszedłeś. Śmiali się, wiesz, tacy wielcy, silni i obleśni - cha, cha, patrzcie na tę małą, co ona tu robi całkiem sama? Dokąd jedziesz, złotko? Podwieź cię? Będę dla ciebie miła, jak i ty będziesz miła. Niech to!

Obejrzała się, jakby chciała ich pozabijać jednym spojrzeniem, nagłym piorunem z ciemnych oczu. Potem odwróciła się do mnie i znowu było tak, jakby ktoś włączył mi w mózgu reflektor.

- Mam na imię Nona. Pójdę z tobą.

- Dokąd? Do więzienia? - Szarpnąłem się obiema rękami za włosy. - Po tym wszystkim pierwszy facet, który nas podwiezie, będzie policjantem. Barman mówił, że zadzwoni na policję.

- Ja będę łapać, ty stań za mną. Dla mnie się zatrzymają. Zawsze się zatrzymują, jeśli dziewczyna jest ładna.

Nie mogłem odmówić i wcale nie chciałem. Miłość od pierwszego wejrzenia? Może i nie. Ale na pewno coś się działo, Chwytnie?

- Masz - powiedziała. - Zapomniałeś. Podała moje rękawiczki.

Nie wróciła do knajpy, a to znaczyło, że wzięła je od razu. Z góry wiedziała, że ze mną pójdzie.

Przeszedł mnie dreszcz. Włożyłem rękawiczki i ruszyliśmy w stronę zjazdu na rogatkach miasta.

Miała rację. Złapaliśmy pierwszy samochód, który skręcił w zjazd.

Czekaliśmy, nie odzywając się do siebie ani słowem, choć wydawało się, że rozmawiamy. Nie będę tu łął o postrzeganiu pozazmysłowym czy czymś w tym stylu. Wiecie, o czym mówię.

Pewnie sami to czuliście, jeśli byliście z kimś naprawdę blisko albo jeśli wzięliście te prochy, których nazwa składa się z samych pierwszych liter. Słowa są zbędne. Porozumienie zachodzi na jakimś paśmie wysokiej emocjonalnej częstotliwości. Wystarczy jeden gest. Byliśmy obcy.

Znałem tylko jej imię, a teraz kiedy sobie to przypominam, dochodzę do wniosku, że ja się jej w ogóle nie przedstawiłem. Ale coś się działo. To nie była miłość. Powtarzam to w kółko, chociaż nie mam ochoty, bo czuję, że tak trzeba. Nie chcę brudzić tego słowa tym czymś, co nas łączyło.

Nie po tym, co zrobiliśmy, nie po Castle Rock, nie po tych snach.

W zimnej ciszy rozległo się wysokie, przenikliwe zawodzenie, wznoszące się i opadające.

- Pewnie karetka - powiedziałem.

- Tak.

Znowu milczenie. Światło księżycy gasło za gęstniejącym kożuchem chmur. Przyszło mi do głowy, że lisia czapa to niezawodny znak. Śnieg na pewno spadnie jeszcze tej nocy.

Zza wzgórza wyłoniły się światła.

Stanąłem za nią, nie czekając, aż mnie ponagli. Odgarnęła włosy do tyłu i uniosła piękną twarz.

Kiedy samochód błysnął kierunkowskazami, ogarnęło mnie uczucie nierealności - to niemożliwe, żeby ta piękna dziewczyna wybrała właśnie mnie, niemożliwe, żebym pobił silnego mężczyznę, tak by musiało przyjechać po niego pogotowie, niemożliwe, żebym do rana miał się znaleźć w więzieniu. To nierealne. Czuję, że omotuje mnie pajęczka nić. Ale kto był pajakiem?

Nona uniosła kciuk. Samochód, sedan chevrolet, minął nas i wyglądało na to, że się nie zatrzyma. Ale nagle jego tylne światła mignęły, a Nona chwyciła mnie za rękę.

- Chodź, mamy go!

Uśmiechnęła się do mnie, uradowana jak dziecko, więc również odpowiedziałem uśmiechem.

Facet ochoczo otwierał drzwi po stronie pasażera. Wewnętrzne światło zapaliło się. Zobaczyłem go - potężnego mężczyznę w drogim płaszczu z wielbłądziej wełny, siwiejącego na skroniach pod kapeluszem, mężczyznę o wyrazistych rysach, rozplywających się w tłuszczu po wielu dobrych posiłkach. Biznesmen albo handlowiec. Sam. Drgnął na mój widok, ale było już za późno, żeby dodać gazu i spadać. Tak pewnie było mu łatwiej. Później mógł czarować, że od początku widział nas oboje i musiał podwieźć młodych ludzi, bo taka z niego dobra dusza.

- Zimna noc - odezwał się, kiedy Nona usiadła obok niego, a ja obok niej.

- O, tak - powiedziała słodko. - Dziękujemy!

- Tak - mruknąłem. - Dzięki.

- Nie ma za co. - I ruszyliśmy, zostawiając za sobą syreny, kierowców i knajpę.

Policjant wykopał mnie z autostrady o wpół do ósmej. Teraz było wpół do dziewiątej.

Niesamowite, ile można zrobić w tak krótkim czasie i ile może cię spotkać.

Zbliżaliśmy się do żółtych migających świateł, oznaczających granice miasta.

- Dokąd jedziecie? - spytał facet.

Zadał kłopotliwe pytanie. Miałem nadzieję, że dotrę do Kittery i zaczepię się u znajomej, która była tam nauczycielką. Uznałem, że to odpowiedź równie dobra jak każda inna i już otwierałem usta, kiedy Nona powiedziała:

- Do Castle Rock. To małe miasto na południowy zachód od Lewiston - Auburn.

Castle Rock. Dziwnie się poczułem. Dawno, dawno temu miałem tam niezłe układy, zanim Ace Merrill zmieszał mnie z błotem.

Facet zatrzymał samochód, zapłacił za wjazd na autostradę i znowu ruszyliśmy.

- Ja jadę tylko do Gardiner - skłamał gładko. - To następny zjazd. Ale dla was to zawsze coś.

- Oczywiście - przyznała Nona, ciągle ze słodyczą. - Bardzo pan miły, że się pan zatrzymał w taką zimną noc.

A kiedy to mówiła, po łączącej nas emocjonalnej częstotliwości płynął do mnie jej gniew, nagi i jadowity. Przerzątał mnie, tak jak przerzątałoby tykanie dochodzące z nieznanej przesyłki.

- Nazywam się Blanchette - powiedział facet. - Norman Blanchette. - Wyciągnął do nas rękę.

- Cheryl Craig. - Nona uścisnęła ją delikatnie. Zrozumiałem i także podałem mu fałszywe nazwisko.

- Miło mi - mruknąłem.

Miał miękką, wiotką rękę. Jak termofor w kształcie dłoni. Zemdziło mnie. Chciało mi się rzygać na myśl, że musiałem błagać o podwiezienie tego zarozumiałego palanta, który chciał podrzucić samotną dziewczynę, bo mogłaby się zgodzić na godzinkę w motelu w zamian za pieniądze na bilet autobusowy. Chciało mi się rzygać na myśl, że gdybym był sam, ten wieprzek o gorącej, zwiędłej dłoni minąłby mnie bez jednego spojrzenia. I chciało mi się rzygać, bo wiedziałem, że wysadzi nas przy zjeździe do Gardiner, a potem wróci objazdem na autostradę, przejedzie obok nas i nawet się nie obejrzy, i będzie sobie gratulował tak sprytnego wybrnięcia z irytującej sytuacji. Chciało mi się rzygać na sam jego widok. Te obwisłe wory policzków, peruczka, zapach wody kolońskiej.

Jak śmiał? Jak śmiał?

Mdłości narastały, kwiaty gniewu znowu rozchyliły paki. Reflektory jego drogiego wozu cięły noc z niedbałą łatwością, a moja wściekłość wrzała coraz bardziej, podjudzana przez wszystko, co go otaczało - muzykę, której na pewno lubił słuchać, rozwalony w fotelu z gazetą w tych łapach jak termofory, kolor, na który farbuje włosy jego żona, bielizna, którą na pewno nosi, dzieci, ciągle wysyłane do kina, do szkoły albo na obóz - byle tylko nie kręciły się po domu - snobujący się przyjaciele i pijackie przyjęcia, które dla nich wydaje.

Ale jego woda kolońska... to było najgorsze. Powietrze w samochodzie zrobiło się gęste od tego słodkawego, mdlącego zapachu. Przypominał perfumowany środek dezynfekujący, którym zlewa się rzeźnię pod koniec zmiany.

Samochód wdzierał się w noc, Norman Blanchette trzymał opuchnięte dłonie na kierownicy.

Wypieszczone paznokcie lśniły dyskretnie w blasku bijącym od deski rozdzielczej. Chciałem uchylić okno i uciec od tego lepkiego smrodu. Nie, więcej - chciałem opuścić okno do oporu i wystawić głowę na zimne powietrze, zachłysnąć się mroźną świeżością, ale byłem jak

zamarznięty, z przyklejoną do gęby głupią miną, która kryła milczącą, niewypowiedzianą nienawiść.

Nona wcisnęła mi w rękę pilnik do paznokci.

Kiedy miałem trzy lata, zapadłem na ciężką grypę i trafiłem do szpitala. W tym samym czasie mój ojciec zasnął z papierosem w łóżku i spowodował pożar, w którym zginął wraz z mamą i moim starszym bratem Drakiem. Widziałem ich zdjęcia. Wyglądają niczym aktorzy ze starego horroru, tacy, których nie rozpoznaje się na pierwszy rzut oka jak gwiazdorów. Powiedzmy, Elisha Cook Jr., Mara Corday i jakiś dziecięcy aktor, może Brandon de Wilde.

Nie miałem żadnych krewnych, więc na pięć lat trafiłem do sierocińca w Portland. Potem przenieśli mnie do rodziny zastępczej. To znaczy, że państwo płaciło jakimś ludziom trzydzieści dolarów miesięcznie, żeby mnie wychowali. Zwykle tacy ludzie biorą sobie dwie lub trzy sieroty - nie dlatego, że mają wielkie serca, tylko dla zysku. Dają ci jeść. Dostają trzydzieści dolców i dają ci jeść. Jeśli dzieciak chodzi najedzony, może różnymi pracami zarobić na swoje utrzymanie. W ten sposób trzydzieści zmienia się w czterdzieści, pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt pięć dolców. Kapitalizm w odniesieniu do sierotek. Najwspanialszy kraj na świecie, co?

Moi "rodzice" nazywali się Hollis i mieszkali w Harlow, po drugiej stronie rzeki, za którą leżało Castle Rock. Mieli trzypiętrowy dom z czternastoma pokojami. W kuchni stał piec, jedyne ogrzewanie. W styczniu szło się do łóżka z trzema kołdrami, a i tak nie było wiadomo, czy rano będzie się jeszcze miało stopy. Trzeba było spuścić je na podłogę i dla wszelkiej pewności się im przyjrzeć. Pani Hollis była gruba, pan Hollis - chudy i milczący. Przez cały rok nosił czarnoczerwony kapelusik myśliwski. Dom stanowił skład obłąkańczej zbieraniny unikatowych mebli, rzeczy z wyprzedaży, spleśniałych materaców, psów, kotów oraz części samochodowych, leżących na gazetach. Miałem trzech "braci", także sieroty. Prawie się nie znaliśmy. Byliśmy jak podróżni w autobusie.

W szkole szło mi dobrze, a w drugiej klasie liceum wstąpiłem do drużyny baseballowej. Hollis przynudzał, żebym zrezygnował, ale ja wytrzymałem aż do afery z Ace'em Merrillem. Potem nie chciałem się już nigdzie pokazywać, nie z tą obrzmiałą, poranioną twarzą, nie po tym, co rozповідаła Betsy Malenfant. Odszedłem z drużyny, a Hollis znalazł mi robotę w sklepie spożywczym.

W lutym zgłosiłem się na egzaminy. Zapłaciłem za nie dwanaście dolarów, które chowałem w materacu. Załapałem się z niewielkim stypendium na uniwersytet i dostałem dobrą pracę w bibliotece. Wyraz twarzy Hollisów, kiedy pokazałem im dokumenty, jest najpiękniejszym wspomnieniem mojego życia.

Curt, jeden z moich "braci", uciekł. Ja bym tak nie mógł. Byłem zbyt bierny na taki krok. Po dwóch godzinach na drodze wróciłbym grzecznie do domu. Szkoła była dla mnie jedynym wyjściem i właśnie na nie się zdecydowałem.

Ostatnie słowa pani Hollis do mnie brzmiały: "Przyślij nam co, jak będziesz mógł". Nigdy więcej nie widziałem moich przybranych rodziców. Na pierwszym roku szło mi dobrze, a w lecie dostałem pracę w bibliotece na pełny etat. Na pierwszym roku wysłałem im kartkę na Boże Narodzenie, ale tylko ten jeden raz.

W pierwszym semestrze drugiego roku zakochałem się. To było największe wydarzenie mojego życia. Ładna? Ludzie, ścinała z nóg. Do dziś nie rozumiem, co we mnie widziała. Nie wiem nawet, czy mnie kochała. Zdaje się, że tak, przynajmniej na początku. Potem wszedłem jej w nawyk, z którego trudno zrezygnować, coś jakby palenie albo jazda samochodem z łokciem wystawionym przez okno. Przez pewien czas jeszcze mnie trzymała, może nawet nie chciała wyzwolić się z nałogu. Może robiła to z ciekawości, a może po prostu w grę wchodziła próżność.

Dobry piesek, siad, leżeć, przynieś gazetę. Masz całuska na dobranoc. Nieważne. Przez jakiś czas była to miłość, następnie coś podobnego do miłości, a potem się skończyło.

Spałem z nią dwa razy, kiedy miłość już minęła. To przez jakiś czas podtrzymywało nawyk. Potem wróciła po Święcie Dziękczynienia i powiedziała, że zakochała się w jednym gościu z Delta Tau Delta, który pochodził z jej miasta. Usiłowałem ją odzyskać i prawie mi się udało, ale ona miała już coś, czego dotąd nie było - perspektywy.

To, co budowałem przez wszystkie lata po pożarze, który unicestwił aktorów z drugorzędnych filmów, niegdyś moją rodzinę, zawałiło się od jednego drobiazgu. Związkowej odznaki tego faceta na jej bluzce.

Potem były trzy lub cztery dziewczyny, które chciały się ze mną przespać. Mógłbym wszystko zrzucić na dzieciństwo, powiedzieć, że nie znałem dobrego modelu zachowań seksualnych, lecz nie o to tu chodzi. Nigdy nie miałem problemów w związku z tamtą dziewczyną. Ale tamta dziewczyna odeszła.

Zacząłem się bać kobiet, tak trochę. Tych, przy których okazałem się impotentem, nie było więcej od tych, z którymi mi poszło, jednak i tak czułem się przy nich nieswojo. Ciągłe zadawałem sobie pytanie, gdzie chowają nóż, który mi wsadzą w plecy i kiedy to nastąpi. Nie jest to takie znowu dziwne. Pokażcie mi żonatego albo faceta ze stałą kochanką, a ja wam pokażę kogoś, kto nieustannie się zastanawia (choćby tylko wcześniej rano albo w piątek po południu, kiedy ona wyszła po zakupy): "Co ona robi, kiedy nie ma mnie w domu? Co o mnie naprawdę myśli?". I chyba najczęściej: "Ile mi zabrała? Ile ze mnie zostało?". Jak raz o tym pomyślałem, to już nie potrafiłem przestać.

Zacząłem pić. Moje stopnie polecały na pysk. W ciągu semestru dostałem pismo, w którym mnie zawiadamiano, że jeśli nie poprawię się w ciągu sześciu tygodni, stracę stypendium. Upiłem się razem z kumplami i nie wytrzymałem przez całe święta. Ostatniego dnia poszliśmy do burdelu i sprawiłem się świetnie. Było ciemno, nie widziało się twarzy.

Moje stopnie ciągle wyglądały tak samo. Raz zadzwoniłem do tamtej dziewczyny i rozplakałem się. Ona też płakała i wydaje mi się, że w pewnym sensie sprawiłem jej przyjemność. Nie czułem do niej nienawiści, teraz też nie czuję. Ale mnie przeraziła. Przeraziła mnie jak cholera.

Dziewiątego lutego dostałem pismo od dziekana uniwersytetu, który powiadamiał mnie, że oblałem dwa lub trzy najważniejsze przedmioty. Trzynastego przyszedł dość ostrożny list od tamtej dziewczyny. Chciała, żebyśmy pozostali w przyjaźni. W lipcu lub sierpniu miał się odbyć jej ślub z gościem z Delta Tau Delta. Mogłem dostać zaproszenie, jeśli tylko zechciał. To mnie prawie rozśmieszyło. Co miałbym jej dać w prezencie? Moje serce, obwiązane czerwoną wstążeczką? Moją głowę? Fiuta?

Czternastego, w walentynki, doszedłem do wniosku, że pora zmienić otoczenie. Potem zjawiła się Nona, ale to już wiecie.

Jeśli z tego pisania ma w ogóle coś wyjść, musicie zrozumieć, kim ona dla mnie była. Była piękniejsza od tamtej dziewczyny, lecz nie o to chodzi. W bogatym kraju uroda jest tania.

Chodziło o jej wnętrze. Była seksowna, jednakże to emanowało z niej jak z rośliny - ślepy seks, jakby potrzeba przywarcia, niezaprzeczalny seks, który nie ma znaczenia, ponieważ jest równie odruchowy jak fotosynteza. Nie jak u zwierzęcia, tylko u rośliny. Czujecie? Wiedziałem, że będziemy się kochać, tak jak mężczyzna z kobietą, ale nasze połączenie będzie równie mimowolne i odruchowe, jak przywarcie bluszczu do kraty altany w sierpniowym słońcu. Seks był ważny tylko dlatego, że nie miał znaczenia.

Wydaje mi się - nie, jestem pewien - że prawdziwym motywem przewodnim była agresja. Ona jedna była prawdziwa, całkowicie realna. Wielka, szybka i twarda jak ford rocznik '52 Ace'a Merrilla. Agresja "Wyżerki u Joego", agresja Normana Blanchette'a. I nawet ona miała w sobie

coś ślepego, wegetacyjnego. Może więc jednak Nona była płożącą się winoroślą, ponieważ jest taki gatunek, który nazywa się pułapką Wenus. Ta mięsożerna roślina potrafi ruszać się jak zwierzę, kiedy w jej szczękach znajdzie się mucha lub kawałek surowego mięsa. Tak, to było prawdopodobne. Rozmnażająca się przez zarodniki roślina może tylko śnić o seksie, lecz jestem pewien, że naprawdę czuje smak muchy, rozkoszuje się jej słabnącym oporem, gdy zaciska wokół niej szczęki.

Ostatnim elementem była moja bierność. Sam nie potrafiłem wypełnić dziury we własnym życiu. Nie tej, którą zostawiła po sobie tamta dziewczyna, nie chcę jej o to oskarżać. Ta dziura zawsze we mnie była, czarny wir, który nigdy nie znieruchomiał. Wypełniła go Nona. To ona kazała mi działać.

Podarowała mi szlachetność.

Teraz może już coś rozumiecie. Dlaczego o niej śnię. Dlaczego fascynacja pozostała pomimo skruchy i wstrętu. Dlaczego jej nienawidzę. Dlaczego się jej boję. I dlaczego nawet teraz ją kocham.

Od granic Augusty do zjazdu na Gardiner było piętnaście kilometrów. Zrobiliśmy je w parę minut. Martwo ścisnąłem pilnik do paznokci i wpatrywałem się w zielony oświetlony znak - zjazd numer 14 w prawo - migoczący w mroku nocy. Księżyc zniknął, prosił śnieg.

- Żałuję, że nie jadę dalej - odezwał się Blanchette.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Nona ciepło. Jej wrząca furia wwiercała mi się w głowę jak świder. - Proszę nas tu wysadzić.

Podjechał powoli, z przepisową szybkością piętnastu kilometrów na godzinę. Wiedziałem, co mam zrobić. Wydawało mi się, że nogi mam jak odlane z ołowiu.

Zatoczkę przy zjeździe oświetlała jedna latarnia. Po lewej widziałem światła Gardiner na tle gęstniejących chmur. Po prawej tylko czerni. Pusto, nikt nie jechał.

Wysiadłem. Nona po raz ostatni uśmiechnęła się do Normana Blanchette'a. Nie czułem niepokoju. To ona kierowała grą.

Blanchette wyszczerzył się w wyjątkowo irytującym wieprzkowatym uśmiechu, cały szczęśliwy, że się nas pozbędzie.

- No, to do wi...

- Och, moja torebka! Niech pan nie odjeżdża, zostawiłam torebkę!

- Ja ją przyniosę - rzuciłem. Zajrzałem do samochodu. Blanchette zobaczył to, co trzymałem w ręku i wieprzkowaty uśmiech zamarł mu na ustach.

Na wzgórzu pojawiły się światła samochodu, ale było za późno. Nic nie mogło mnie powstrzymać. Lewą ręką chwyciłem torebkę Nony, prawą wbiłem ostrze pilnika w gardło Blanchette'a. Kwiknął tylko raz.

Wyprostowałem się. Nona machała ku nadjeżdżającemu pojazdowi. W tych ciemnościach i śniegu nie dostrzegalem, co to takiego, widziałem jedynie dwa kręgi światła. Kucnąłem za samochodem i wyrząłem przez tylną szybę.

Przez wyjący wiatr prawie nie słyszałem ich głosów.

- ...kłopoty?

- ...ojciec... wietrze... miał atak serca! Czy...

Zacząłem się do nich zbliżać, zgięty w pół za samochodem. Teraz ich widziałem. Smukła sylwetka Nony i ktoś wyższy. Stali przy furgonetce. Odwrócili się i podeszli do okna, za którym Norman Blanchette z pilnikiem Nony w krtani opierał się o kierownicę. Kierowca furgonetki okazał się młodym chłopakiem w kurtce, która wyglądała jak parka lotnika. Pochylił się nad oknem.

Stanąłem za nim.

- Jezu! - zawołał. - On jest zakrwawiony! Co... Zrzuciłem mu ramię na szyję i chwyciłem swój prawy nadgarstek lewą ręką. Mocno pociągnąłem go w górę. Uderzył głową o górną krawędź drzwi i zwiśł mi w ramionach.

Wystarczyło. Nie zdążył się przyjrzeć Nonie, nie widział mnie. Mogłem przestać. Ale na pewno by się wygadał, narobił kłopotów, mógłby nas skrzywdzić. Dlaczego to mnie ciągle ktoś krzywdzi, miałem tego po dziurki w nosie. Uduśliłem go.

Kiedy skończyłem, podniosłem głowę i ujrzałem Nonę, oświetloną krzyżującymi się światłami reflektorów. Jej twarz wykrzywił groteskowy spazm nienawiści, miłości, tryumfu i radości. Wyciągnęła do mnie ramiona; przytuliłem ją. Pocałowaliśmy się. Usta miała zimne, ale język ciepły. Zanurzyłem dłonie w tajemne głębiny jej włosów, a wokół nas wył wicher.

- Teraz posprzątaj - powiedziała. - Zanim przyjadą inni.

Posprzątałem. Niezbyt starannie, ale tylko tyle było nam potrzeba. Trochę czasu. Potem wszystko straci znaczenie. Będziemy bezpieczni.

Ciało chłopaka było lekkie. Wziąłem je na ręce, przeszedłem przez szosę i przerzuciłem przez barierki do rowu. Stoczyło się po zboczu, podskakując jak szmaciana lalka, jak strach na wróble, który musiałem stawiać każdego lipca na polu kukurydzy pana Hollisa. Wróciłem po Blanchette'a.

Był cięższy i krwawił jak wieprzek. Usiłowałem go podnieść, przeszedłem trzy kroki, a on wymknął mi się z rąk i grzmotnął o ziemię. Odwróciłem go. Śnieg przykleił się mu do twarzy, zmienił ją w narciarską maskę.

Pochyliłem się, chwyciłem go pod pachy i zaciągnąłem do rowu. Jego wlokące się po ziemi stopy złobiły koleiny w śniegu. Przerzuciłem go przez barierkę i patrzyłem, jak zjeżdża po zboczu na plecach, z rękami nad głową. Miał otwarte oczy, płatki śniegu zaczęły już na nich osiadać. Jeśli śnieg nie przestanie padać, do przyjazdu pługów śnieżnych obaj będą wyglądać jak dwa niepozorne pagórki.

Wróciłem na jezdnię, Nona już siedziała w furgonetce, nie musiałem jej mówić, którym samochodem pojedziemy dalej. W mroku widziałem bladą plamę jej twarzy i czarne dziury oczu, nic więcej. Wsiadłem do wozu Blanchette'a, prosto w kałużę krwi, która zebrała się na winylowym siedzeniu. Zjechałem na pobocze, wyłączyłem reflektory i zostawiłem światła awaryjne. Inni kierowcy będą musieli pomyśleć, że ktoś miał problemy z samochodem i poszedł do miasta w poszukiwaniu mechanika. Byłem z siebie bardzo zadowolony. Udało mi się, zupełnie jakbym mordował ludzi od urodzenia. Pobiegłem truchtem do stojącej na jałowym biegu furgonetki, siadłem za kierownicą i ruszyłem.

Nona siedziała obok mnie. Nie dotykała mnie, ale była blisko. Czasami, kiedy się ruszała, czułem na karku dotyk jej włosów. Tak, jakby muskała mnie malutka elektroda. Raz musiałem dotknąć jej kolana, tylko po to, żeby się upewnić, że ona tu naprawdę jest. Roześmiała się cicho. Wszystko było prawdziwe. Wicher wył wokół nas, miotając śniegiem.

Uciekliśmy na południe.

Tuż za mostem w Harlow, kiedy jedzie się szosą 126 ku Castle Heights, mija się wielką odnowioną farmę, znaną pod śmiechu wartą nazwą "Liga młodych z Castle Rock". Mają tam dwanaście torów kręgli z automatycznym rozstawianiem, które psuje się co najmniej raz na tydzień. Mają też parę starych automatów do gier, szafę grającą z hitami roku 1957, trzy stoły do bilardu oraz barek z colą i chipsami, gdzie można również wypożyczyć obuwie do kręgli, wyglądające tak, jakby je zdarto z nóg umarłakom. Nazwa "Liga młodych" jest śmiechu warta z tego względu, że młodzież w Castle Rock bywa raczej w knajpie w Jay Hill albo na wyścigach samochodów na Oxford Plains. Tutaj przeważnie przychodzą twardziele z Gretna, Harlow i samego Castle Rock. Średnio jedna bójka na wieczór.

Zacząłem tu bywać w drugiej klasie liceum. Bill Kennedy, mój znajomy, pracował tu trzy razy w tygodniu i jeśli nikt nie czekał na stół, pozwalał mi pograć w bilard za darmo. To niewiele, ale zawsze lepiej niż powrót do domu Hollisów.

Tam właśnie spotkałem Ace'a Merrilla. Wszyscy się zgadzali, że to największy twardziel w okolicy. Jeździł starym gruchotem, fordem rocznik '52. Chodziły słuchy, że w razie konieczności wyciągał nim dwieście na godzinę. Wchodził dumny jak paw - wypomadowane włosy miał zaczesane do tyłu w modną falę - wygrywał parę razy w bilard (czy był dobry? Sami się domyślcie); kiedy zjawiała się Betsy, kupował jej colę i wychodzili. Prawie słychać było westchnienie ulgi ludzi w knajpie. Nikt nigdy nie wychodził z Ace'em Merrillem na parking. To znaczy nikt z wyjątkiem mnie.

Jego dziewczyną była Betsy Malenfant, chyba najładniejsza laska w Castle Rock. Nie wydaje mi się, żeby była jakoś szczególnie mądra, ale to nie mało znaczenia, kiedy się na nią patrzyło. Miała najpiękniejszą cerę, jaką zdarzyło mi się widzieć, i nie zawdzięczała jej kosmetykom. Włosy czarne jak węgiel, ciemne oczy, wydatne usta, ciało, które nie pozwoliło przechodzić obojętnie - a ona jeszcze to podkreślała. Kto odważyłby się pchać do niej z łapami, skoro Ace był w pobliżu? Nikt przy zdrowych zmysłach, zapewniam was.

Zakochałem się w niej. Nie tak jak w tamtej dziewczynie i nie jak w Nonie - choć Betsy wyglądała jak jej młodsza wersja - ale równie rozpaczliwie i na serio. Jeśli zapadliście kiedyś na beznadziejną szczeniacką miłość, to wiecie, o co chodzi. Miała siedemnaście lat, a ja piętnaście. Zacząłem przychodzić tam coraz częściej, nawet w te wieczory, kiedy Billy nie pracował, tylko po to, żeby na nią rzucić okiem. Czułem się jak facet obserwujący ptaki, choć dla mnie była to dość żalosna rozrywka. Wracalem do domu, wciskałem Hollisom jakiś kit i szedłem do swojego pokoju. Pisałem do niej długie, namiętne listy, opisywałem wszystko, co chciałem z nią zrobić, a potem je darłem. Chodziłem po szkole i marzyłem, jak proszę ją o rękę i razem uciekamy do Meksyku.

Pewnie wiedziała, co się święci i chyba jej to trochę pochlebiało, ponieważ kiedy nie było Ace'a, zawsze odnosiła się do mnie miło. Podchodziła do mnie i zamieniała ze mną parę słów, pozwalała, żebym kupował jej colę, siadała na wysokim stołku i tak jakoś pocierała nogą moją nogę. Dostawałem od tego fioła.

Pewnego wieczora na początku listopada zaszedłem do knajpy i czekając na nią grałem w bilard z Billym. W knajpie było pusto, ponieważ jeszcze nie wybiła ósma wieczorem. Pojedyncze podmuchy wiatru świstały na zewnątrz, strasząc nadejściem zimy.

- Lepiej sobie odpuść - powiedział Bill i posłał dziesiątkę prosto w róg.

- Co mam odpuścić?

- Wiesz.

- Nie wiem. - Podeszedłem do szafy grającej i wrzuciłem w nią dziesięć centów.

- Betsy Malenfant. - Ostrożnie ustawił jedną bilę i posłał ją wzdłuż bandy. - Charlie Hogan

powiedział Ace'owi, że z nią kręcisz. Charlie myślał, że to strasznie śmieszne, bo przecież ona jest starsza i w ogóle, ale Ace się nie śmiał.

- Ona nic dla mnie nie znaczy - wymamrotałem, ledwie poruszając ustami.

- Dobrze by było - powiedział Bill, potem weszli jacyś goście, więc podeszedł do lady i dał im kije bilardowe.

Ace przyszedł o dziewiątej, całkiem sam. Dotąd nigdy nie zwracał na mnie uwagi, a ja zupełnie zapomniałem, co powiedział Billy. Kiedy jesteś niewidzialny, zaczynasz myśleć, że nie można ci zrobić krzywdy. Grałem na automatach i zapomniałem o całym świecie. Nawet nie zauważyłem, że zrobiło się bardzo cicho, bo wszyscy przestali grać. Zaraz potem poczułem, że lecę nad

automatem. Grzmotnąłem o podłogę. Wstałem, przerażony i bliski mdłości. On stał nade mną. Fryzura bez zarzutu, suwak wojskowej kurtki rozsunęty do połowy.

- Przestań się wtrącać - powiedział łagodnie - bo przerobię ci buzię.

Wyszedł. Wszyscy patrzyli na mnie i najchętniej wpełznąłbym w szparę w podłodze, ale nagle dostrzegłem na ich twarzach pewnego rodzaju niechętny podziw. Więc otrzepałem się i wrzuciłem następną dziesiątkę do automatu. Paru chłopaków podeszło i poklepało mnie po plecach. Potem wyszli bez słowa.

O jedenastej, po zaniknięciu knajpy, Billy podwiózł mnie do domu.

- Lepiej uważaj, bo będzie źle. - Nic się nie martw.

Nie odpowiedział.

Jakieś dwa, trzy dni później Betsy pojawiła się w knajpie sama, o siódmej. W środku był tylko jeden chłopak, taki mały dziwny okularnik, niejaki Vern Tessio, którego parę lat temu wyrzucili ze szkoły. Niemal go nie dostrzegałem. Był jeszcze bardziej niewidzialny ode mnie.

Podeszła, tak blisko, że poczułem czysty mydlany zapach jej skóry. Zakreśliło mi się w głowie.

- Słyszałam, co zrobił Ace - powiedziała. - Mam nigdy więcej z tobą nie rozmawiać i nie będę, ale chcę, żebyś poczuł się lepiej.

Pocałowała mnie. Wyszła, zanim zdołałem odkleić język od podniebienia. Wróciłem do gry całkiem oszołomiony. Nawet nie zauważyłem, jak Tessio wybiegł, żeby rozgłosić nowinę. Nie widziałem nic prócz jej ciemnych, ciemnych oczu.

Tego samego wieczora znalazłem się na parkingu z Ace'em Merrillem, który omal nie wybił ze mnie duszy. Było zimno, strasznie zimno. Pod koniec zacząłem płakać i było mi obojętne, kto to zobaczy, a do tego czasu stali tam już wszyscy. Samotna jarzeniówka spoglądała na nas bezlitośnie. Nie trafiłem go ani razu.

- Dobra - powiedział, kucając obok mnie. Nawet się nie zdyszał. Wyciągnął z kieszeni sprężynowiec i przycisnął chromowany guzik. Czternastocentymetrowe księżycowe ostrze wyskoczyło na zewnątrz. - Następnym razem będziesz miał do czynienia z tym. Wyrwę ci na jajach moje nazwisko. - Potem wstał, kopnął mnie po raz ostatni i odszedł. Leżałem jeszcze przez jakieś dziesięć minut, drżąc na ubitej ziemi. Nikt nie podeszedł, żeby pomóc mi wstać albo poklepać po plecach, nawet Bill. Nie pojawiła się Betsy, żebym poczuł się lepiej.

Wreszcie się pozbierałem i pojechałem okazją do domu. Powiedziałem pani Hollis, że wracałem z pijanym kierowcą, który zjechał do rowu. Nigdy więcej nie pojawiłem się w kręgielni.

Słyszałem, że niedługo potem Ace rzucił Betsy, która zaczęła się raptownie staczać - całkiem jak ciężarówka z zepsutymi hamulcami. Gdzieś po drodze złapała trypra. Billy widział ją w Lewiston, gdzie naciągała facetów na drinki. Straciła prawie wszystkie zęby i ktoś jej złamał nos, tak powiedział. I dodał jeszcze, że nigdy bym jej nie poznał. Wtedy już mało mnie to obchodziło.

Furgonetka nie miała zimowych opon. Zanim dotarliśmy do zjazdu na Lewiston, samochód zaczął się ślizgać w świeżym śniegu. Czterdzieści cztery kilometry przejechaliśmy w czterdzieści pięć minut.

Facet w budce przy zjeździe przyjął mój kwit za opłatę i sześćdziesiąt centów.

- Ślisko?

Żadne z nas nie odpowiedziało. Zbliżaliśmy się do celu. Nawet gdyby nie łączyło mnie z nią dziwne milczące porozumienie, potrafiłbym to poznać po sposobie, w jaki siedziała na brudnym fotelu, z rękami złożonymi na torebce i tymi oczami, z dziką intensywnością wpatrującymi się w drogę. Przeszedł mnie dreszcz.

Pojechaliśmy szosą 136. Na drodze nie było wielu samochodów; wiatr wzmógł się, a śnieg padał jeszcze gęściej niż dotychczas. Po drugiej stronie Harlow Village minęliśmy wielkiego buicka

rivierę, który zjechał na pobocze i błyskał światłami awaryjnymi. Nawiedziła mnie upiorna wizja samochodu Normana Blanchette'a. Do tego czasu pewnie śnieg zasypał go całkowicie. Został z niego tylko dziwny kształt w ciemnościach.

Kierowca buicka usiłował mnie zatrzymać, ale przejechałem obok pełnym gazem i obryzgałem go śniegową breją. Śnieg zakleił mi wycieraczki; sięgnąłem przez okno i szarpnąłem mocno jedną z nich. Zmarznięta bryłka odleciała i poprawiła się trochę widoczność.

Harlow wyglądało jak wymarłe miasto - wszystko czarne i pozamykane. Zasygnalizowałem, że skręcam w prawo, w stronę mostu prowadzącego do Castle Rock. Tylne koła chciały spode mnie uciec, ale jakoś nie dopuściłem do poślizgu. Przed nami, po drugiej stronie rzeki, widziałem czarny kształt, który był budynkiem "Ligi młodych Castle Rock". Wyglądał na opuszczony i samotny. Nagle zrobiło mi się żal, żal z powodu tego bólu i śmierci. Wtedy Nona odezwała się po raz pierwszy od zjazdu na Gardiner.

- Policjant za nami. - Czy...

- Nie. Nie włączył koguta.

Mimo to się zdenerwowałem i może dlatego stało się, jak się stało. Droga numer 136 zakręca ostro po jednej stronie rzeki, a potem biegnie prosto przez most do Castle Rock. Skręciłem, ale po stronie Castle Rock nawierzchnia była oblodzona.

- Cholera...

Tył furgonetki zatoczył łuk i zanim zdołałem wyrównać, trzasnął w masywny stalowy słup.

Ruszyliśmy poślizgiem, dziko zarzucani na boki, a zaraz potem za nami rozbłysły światła samochodu policyjnego. Głina natychmiast wdepnął hamulec - w padającym śniegu widziałem czerwone punkciki - ale lód i jego wykończył. Walnął prosto w nas. Znowu poleciliśmy na słup; mocno nami szarpnęło. Rzuciło mnie na kolana Nony i nawet w tym pełnym chaosu ułamku sekundy znalazłem czas, żeby z rozkoszą poczuć jedwabistą twardość jej uda. Potem wszystko się uspokoiło. Teraz kogut na dachu samochodu już migał. Rzucił błękitne cienie, biegnące po dachu furgonetki i zaśnieżonej balustradzie mostu. Światło w szoferce zapaliło się, policjant wysiadł.

Nie doszłoby do tego, gdyby za nami nie jechał. Ta myśl nieustannie rozbrzmiewała mi w głowie, jakby zacięła mi się płyta. Szczrzyłem zęby w martwym, nieruchomym uśmiechu, jednocześnie macając po podłodze furgonetki w poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym go uderzyć.

Znalazłem otwartą skrzynkę na narzędzia. Wyjąłem klucz nasadowy i położyłem go na siedzeniu pomiędzy Noną a mną. Policjant pochylił się nad nami. Światło latarki zmieniało jego twarz w diabelską maskę.

- Za szybko jedziemy jak na tę pogodę, nie?

- Za mały odstęp, nie? - powiedziałem. - Jak na tę pogodę?

Chyba się zarumienił. Trudno to było stwierdzić przez te migające światła.

- Odszczekujesz się, synu?

- Tak, jeśli chce pan nareperować sobie wóz na mój koszt.

- Pokaż mi prawo jazdy i rejestrację. Wyjąłem portfel i dałem mu prawo jazdy.

- A rejestracja?

- To furgonetka mojego brata. On ma rejestrację, w portfelu.

- Ach, tak? - Wbił we mnie ciężkie spojrzenie w nadziei, że się załamie. Zorientował się, że to chwilę potrwa, więc popatrzył na Nonę. Mógłbym mu wydrzeć oczy za to, co w nich błysnęło.

- Jak się nazywasz?

- Cheryl Craig.

- Co robisz w furgonetce jego brata w samym środku burzy śnieżnej?

- Jedziemy z wizytą do mojego wuja.

- W Castle Rock?

- Tak.

- Nie znam w Castle Rock żadnych Craigoów.

- On nazywa się Emonds. Na Bowen Hill.

- Ach, tak?

Obszedł samochód, żeby spojrzeć na tablicę rejestracyjną. Otworzyłem drzwi i wychyliłem się. Spisywał mnie. Wrócił, a ja ciągle siedziałem wychylony, dobrze widoczny w blasku reflektorów jego samochodu.

- Zaraz zo... co to jest, to coś na tobie?

Nie musiałem na siebie spoglądać, żeby odgadnąć, co mam na sobie. Wtedy myślałem, że wychyliłem się przez roztargnienie, ale przez to pisanie zmieniłem zdanie. Nie wydaje mi się, żebym był roztargniony. Chciałem, żeby to zobaczył. Ująłem klucz.

- Co?

Zrobił jeszcze dwa kroki.

- Jesteś ranny... chyba się skaleczyłeś. Lepiej... Zamachnąłem się. Podczas zderzenia czapka spadła mu z głowy. Uderzyłem go tuż nad czołem. Nigdy nie zapomnę tego dźwięku - jakby kostka masła spadła na twardą podłogę.

- Pospiesz się - odezwała się Nona. Położyła mi uspokajająco dłoń na karku. Była bardzo chłodna, jak powietrze w piwnicy. Moja przybrana matka miała taką piwnicę.

Śmieszne, powinienem to pamiętać. Wysyłała mnie tam w zimie po warzywa. Sama robiła przetwory, w dużych szklanych wekach z takimi gumkami, które się wkłada pod wieczko. Pewnego dnia poszedłem po słoik fasoli na kolację. Przetwory stały w pudłach, starannie opisanych dłonią pani Hollis. Pamiętam, że zawsze robiła błąd w słowie ogórki, co napełniało mnie skrywanym poczuciem wyższości.

Tego dnia ominąłem pudła z napisem "ogurki" i poszedłem do kąta, w którym stała fasola. Było tu zimno i ciemno. Ściany z ubitej ziemi podczas deszczu wydzielają wilgoć, ściekającą po nich cienkimi i krętymi strużkami. Woń, która się tu unosiła, była mroczną mieszaniną wyziewów żywych organizmów, ziemi i warzyw, w uderzający sposób podobną do zapachu kobiecych części intymnych. W jednym kącie ziemianki stała stara, zniszczona prasa drukarska, która była tam jeszcze przed moim przybyciem. Nieraz bawiłem się nią i udawałem, że potrafię ją naprawić. Kochałem tę piwnicę. W owym czasie - miałem jakieś dziewięć, dziesięć lat - była moim ulubionym miejscem. Pani Hollis nigdy nie postawiła w niej stopy, a dla pana Hollisa noszenie weków byłoby poniżej godności. Więc to ja tam chodziłem, wdychałem ten szczególny, intymny zapach i rozkoszowałem się poczuciem bezpieczeństwa jak w kobiecym łonie. Wnętrze ziemianki oświetlała jedna brudna żarówka, którą pan Hollis powiesił pewnie przed pierwszą wojną światową. Czasami składałem ręce i na ścianach powstawały wydłużone cienie zajaczków. Wziąłem fasolę i miałem wracać, kiedy pod jednym z tych z starych pudeł rozległy się jakieś szelesty. Podeszedłem i uniosłem pudło.

Leżał pod nim szczur, wielki i bury. Podniósł głowę i spojrzał mi w oczy. Jego boki poruszały się gwałtownie; błysnęły zęby. Takiego wielkiego szczura nie widziałem jeszcze nigdy w życiu. Podeszedłem bliżej. To była samica, właśnie rodziła. Dwa młode, łyse i ślepe, już przywarły do jej sutek. Trzecie było w drodze.

Samica przeszła mnie bezradnym wzrokiem, gotowa do walki. Chciałem ją zabić, zabić je wszystkie, rozgnieść, ale nie mogłem. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak okropnego. Kiedy tak patrzyłem, przez podłogę przebiegł szybko mały brązowy pajęczek. Szczurzyca złapała go i zjadła.

Uciekłem. W połowie schodów przewróciłem się i zbiłem słoik. Pani Hollis spuściła mi lanie i już nigdy więcej nie poszedłem do piwnicy, chyba że mi kazali.

Stałem i wpatrywałem się w policjanta, pogrążony we wspomnieniach.

- Szybko - ponagliła mnie Nona.

Był znacznie lżejszy niż Norman Blanchette, a może w moich żyłach krążyło więcej adrenaliny.

Wziąłem go na ręce i zaniósłem na skraj mostu. Ledwie widziałem wodospad w dole rzeki, a wiadukt kolejowy wyglądał jak cień albo szafot. Wiatr wył i zawodził, śnieg smagał mnie po twarzy. Przez jakiś czas stałem, tuląc policjanta do piersi jak uśpione dziecko. Potem przypomniałem sobie, co się stało, i zrzuciłem go z mostu w ciemność.

Wróciliśmy do furgonetki i zajęliśmy miejsca, ale silnik nie chciał zapalić. Dusilem go tak długo, aż poczułem słodkawy zapach benzyny, która zalała gaźnik, i dałem za wygraną.

- Chodź - rzuciłem.

Poszliśmy do policyjnego samochodu. Przednie siedzenie było zasłane bloczkami mandatów, notesami i formularzami. Krótkofalówka pod deską rozdzielczą trzasnęła i zachrypiała:

- Czwórka, zgłoś się, czwórka. Słyszysz mnie?

Wyłączyłem ją, objijając sobie kostki u palców, kiedy szukałem właściwego przycisku. Znalazłem dubeltówkę, pewnie prywatną własność policjanta. Odpiąłem ją i wręczyłem Nonie. Położyła ją sobie na kolanach. Obejrzałem samochód. Miał wgniecioną karoserię, ale poza tym nie ucierpiał. Miał też zimowe opony, które mogły się nam przydać, kiedy tylko wydostaniemy się za pasmo lodu, przyczynę tego wszystkiego.

Wreszcie znaleźliśmy się w Castle Rock. Wszystkie domy - z wyjątkiem trafiających się od czasu do czasu mieszkalnych przyczep bliżej drogi - zniknęły. Pługi jeszcze nie wyjechały na szosę, na której nie było żadnych śladów z wyjątkiem naszych. Monolity świerków, przykrytych śniegiem, otoczyły nas pierścieniem. Poczułem się malutki i nieważny, jak okruszek w gardle nocy. Było już po dziesiątej.

Na pierwszym roku studiów nie użyłem specjalnie życia. Pilnie się uczyłem i ciężko pracowałem w bibliotece, gdzie układałem książki, kleiłem okładki i uczyłem się katalogowania. Na wiosnę zaczynał się baseball.

Pod koniec roku akademickiego, przed końcowymi egzaminami, w sali gimnastycznej odbywały się tańce. Byłem przygotowany do dwóch pierwszych testów, nie miałem co robić, więc poszedłem.

W sali było ciemno, ciasno, parno i dziko, jak zwykle przed zbliżającym się zagrożeniem w postaci końcowych egzaminów. Seks wisiał w powietrzu. Nie trzeba było węszyć, wystarczyło wyciągnąć rękę, a sam by w nią wpadł, jak mokra i ciężka szmata. Czuło się, że będziemy się kochać, jeśli można to tak nazwać. W pralni, na parkingu, w mieszkaniach i wspólnych sypialniach. Zdesperowani chłopcy-mężczyźni i ładne studentki, które tego roku miały wrócić do domu i założyć rodziny. We łzach i ze śmiechem, na trzeźwo i po pijaku, sztywno i bez hamulców. A przeważnie szybko.

Zobaczyłem paru samotnych, ale niewielu. W takie miejsce nie przychodzi się samemu.

Podszedłem do grającego zespołu. W miarę jak się zbliżałem do źródła dźwięku, muzyka stawała niemal wyczuwalna. Półtorametrowe wzmacniacze były ustawione w półokrąg za zespołem.

Bębunki omal nie wyskoczyły mi z uszu.

Oparłem się o ścianę i zacząłem obserwować. Tancerze wykonywali określone figury (jakby nie w parach, ale w trójkach, trzecia osoba niewidzialna, lecz obecna pomiędzy nimi, obejmowana z przodu i z tyłu), ich stopy brodziły w trocinach, którymi posypano podłogę. Nie znałem tu nikogo

i czułem się osamotniony, ale w taki przyjemny sposób. Dotarłem do tego etapu wieczoru, gdy zwykle wyobrażam sobie, że wszyscy ukradkiem zerkają tylko na mnie, romantycznego samotnika.

Jakieś pół godziny później wyszedłem po colę z automatu. Kiedy wróciłem, ktoś zainaugurował tańce w kręgu. Wciągnęli mnie do niego. Po obu stronach miałem dwie nieznanym dziewczyny. Krążyliśmy, w kółko, w kółko, pewnie ze dwieście osób. Krąg zajmował połowę parkietu. Potem rozpadł się, mniej więcej trzydziestu tancerzy utworzyło mniejszy krąg w środku, który zaczął wirować w przeciwną stronę. Zakręciło mi się w głowie. Zobaczyłem dziewczynę podobną do Betsy Malenfant, ale zdawałem sobie sprawę, że to złudzenie. Potem znowu się rozejrzałem i nie dostrzegłem nikogo, kto by ją przypominał.

Taniec wreszcie się skończył, a ja poczułem się słabo i niedobrze. Wróciłem na swoje miejsce i usiadłem. Muzyka była zbyt głośna, powietrze za gęste. Nie mogłem się otrząsnąć. W skroniach pulsowała mi krew, tak jak wtedy, gdy się niesamowicie upijesz.

Do tej pory sądziłem, że to, co zdarzyło się później, było spowodowane moim zmęczeniem i mdłościami, ale jak już powiedziałem, podczas tego pisania zacząłem widzieć jaśniej. Teraz już tak nie sądzę.

Podniosłem głowę i spojrzałem na nich, na tych pięknych, wirujących ludzi w półmroku. Wydawało mi się, że wszyscy mężczyźni się boją, a ich twarz zmieniają się w groteskowe, znieruchomiałe maski. Nic dziwnego. Kobiety - te ładne studentki w sweterkach, krótkich spódniczkach, dzwonach - zmieniały się w szczury. Z początku wcale się nie przestraszyłem. Nawet się roześmiałem. Wiedziałem, że to jakaś halucynacja i przez pewien czas przyglądałem się temu niemal na chłodno.

Potem jakaś dziewczyna stanęła na palcach, żeby pocałować swojego faceta i tego już nie wytrzymałem. Szczeciński, wykręcona mordka z czarnymi ślepkami jak ziarenka śrutu, zęby wyzieraające z pyszczka...

Uciekłem.

Na chwilę zatrzymałem się w korytarzu, zdezorientowany. Niedaleko była łazienka, ale minąłem ją i wszedłem na górę.

Szatnia znajdowała się na trzecim piętrze. Ostatnie stopnie przeskakiwałem biegiem. Otworzyłem drzwi i wpadłem do kabiny prysznicowej. Zwymiotowałem pośród zmieszanych woni maści, potu i skóry. Muzyka rozbrzmiewała w wielkim oddaleniu, tutaj trwała nieskalana cisza. Ukoił mnie.

Musieliśmy się zatrzymać przy Southwest Bend. Z niezrozumiałych powodów wspomnienie tańców podnieciło mnie. Zacząłem się trząść.

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się ciemnymi oczami.

- Teraz?

Nie mogłem jej odpowiedzieć. Za bardzo dygotałem. Powoli skinęła głową w moim imieniu.

Wjechałem w odnogę szosy numer 7, która w lecie pewnie służyła do transportu ściętych drzew. Nie zagłębiałem się w nią za bardzo, bo bałem się ugrzeznąć. Wyłączyłem światła. Płatki śniegu zaczęły bezgłośnie osiadać na szybie.

- Czy kochasz? - spytała niemal serdecznie.

Z moich ust uchodził jakiś dźwięk, jakby ktoś go ze mnie wyrывał. Pewnie dobrze wyrażał myśli złapanego w sidła królika.

- Tutaj - powiedziała. - Tak, tutaj. To była ekstaza.

Omaliśmy nie utknęliśmy na tej bocznej drodze. Po szosie przejechał pług śnieżny, migający w czerni nocy pomarańczowymi światłami. Zepchnął w naszym kierunku wielki zwał śniegu.

W bagażniku policyjnego samochodu znalazłem szufłę. Przez pół godziny przekopywałem się przez śnieżną hałdę. Kiedy skończyłem, była już północ. Tymczasem ona włączyła policyjne radio, z którego dowiedzieliśmy się wszystkiego, o co nam chodziło. Znalaziono ciała Blanchette'a i chłopaka z furgonetki. Policjant nazywał się Essegian, śmieszne nazwisko. Był kiedyś taki zawodnik w Dodgersach. Może zabiłem mu krewnego. Nie zrobiło mi różnicy, że poznałem jego nazwisko. Za bardzo się do nas zbliżył i wszedł nam w drogę.

Wróciliśmy na główną szosę.

Czułem jej podniecenie, napięcie, rozpalone, wrzące. Zatrzymałem się na chwilę, oczyściłem ręką przednią szybę i ruszyliśmy.

Przejechaliśmy przez zachodnie Castle Rock. Jakoś sam się domyśliłem, gdzie mam skręcić.

Ośnieżony znak potwierdzał, że to Stackpole Road.

Plug tutaj nie dotarł, ale ktoś już tędy jechał. Ślady opon w nieustannie padającym śniegu wyglądały na całkiem świeże.

Kilometr, potem mniej. Jej napięte skupienie i pragnienie napływały do mnie. Znowu zacząłem się denerwować. Wyjechaliśmy zza zakrętu i nadzialiśmy się na furgonetkę z elektrowni, jaskrawoczerwoną, pulsującą światłami w kolorze krwi. Blokowała nam drogę.

Trudno sobie wyobrazić jej wściekłość - właściwie naszą, ponieważ po tym, co zaszło, staliśmy się jednością. Trudno sobie wyobrazić to narastające uczucie gwałtownej paranoi, przekonanie, że wszystko sprzysięgło się przeciw nam.

Było ich dwóch. Jeden wyglądał jak pochylony cień w ciemnościach. Drugi trzymał latarkę.

Podszedł do nas; kołysząca się plama światła wyglądała jak trupie oko. To nie była sama nienawiść. Także strach - strach, że w ostatniej chwili odbiorą nam wszystko.

Mężczyzna coś krzychał. Opuściłem okno.

- Nie możecie przejechać! Spadła linia wysokiego napięcia! Wracajcie na Bowen Road! Nie może...

Wysiadłem z samochodu, uniosłem dubeltówkę i wygarnąłem z obu luf. Rzuciło go na pomarańczową furgonetkę, a ja zatoczyłem się i oparłem o samochód. Osunął się powolutku na ziemię, patrząc na mnie z niedowierzaniem. Upadł w śnieg.

- Mamy jeszcze naboje? - spytałem.

- Tak. - Podała mi je. Usunąłem łuski, a na ich miejsce włożyłem nowe.

Kolega mężczyzny wyprostował się i patrzył na nas ze zdumieniem. Krzyknął coś, czego przez ten wiatr nie dosłyszałem. Brzmiało jak pytanie, choć dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. I tak zamierzałem go zabić. Ruszyłem na niego, a on stał i tylko się we mnie wpatrywał. Nie poruszył się, nawet kiedy uniosłem dubeltówkę. Pewnie w ogóle nie rozumiał, co się dzieje. Może wydawało mu się, że to sen.

Wystrzeliłem z jednej lufy, za nisko. Z ziemi trysnęła fontanna śniegu i obryzgała go. Wtedy dopiero wrzasnął ze strachu i rzucił się do ucieczki, przeskoczywszy jednym susem kabel na ziemi. Wystrzeliłem z drugiej i znowu spudłowałem. Zniknął w ciemnościach, więc mogłem o nim zapomnieć. Już nie stał nam na drodze. Wróciłem do samochodu.

- Będziemy musieli iść pieszo - powiedziałem. Przeszliśmy obok nieruchomego ciała, nad trzeszczącym kablem, śladami uciekającego mężczyzny. Niektóre zaspasy sięgały jej do kolan, ale ciągle wyprzedzała mnie o parę kroków. Oboje ciężko dyszeliliśmy.

Dotarliśmy na szczyt wzgórza i zaczęliśmy schodzić. Z boku pojawiła się pochyła, opuszczona szopa z oknami bez szyb. Nona zatrzymała się i ścisnęła mnie za ramię.

- Tam - szepnęła, wskazując w przeciwną stronę. Jej chwyt był mocny i bolesny nawet przez rękaw kurtki. - Tam. Tam.

Pokazywała cmentarz.

Wspieliśmy się po skłonie, potykając się i ślizgając, przeleźliśmy przez zaśnieżony kamienny mur. Naturalnie już tu kiedyś byłem. Moja prawdziwa matka pochodziła z Castle Rock i choć nie zamieszkała z ojcem w miasteczku, to tutaj znajdował się rodzinny grobowiec. Był to prezent dla matki od jej rodziców, którzy mieszkali i umarli w Castle Rock. W czasie tej historii z Betsy często tu przychodziłem, żeby przeczytać poematy Johna Keatsa i Percy Shelleya. Może wyda wam się to głupie i pretensjonalne, ale ja tak nie uważam. Nawet teraz. Czułem, że jestem blisko nich, czułem ulgę. Po tym, jak Ace Merrill mnie pobił, nigdy tam nie wróciłem. Aż do teraz.

Pośliznąłem się i upadłem w suchy puch. Zabolało mnie w kostce. Wstałem i podszedłem dalej, opierając się na dubeltówce jak na kuli. Cisza była nieskończona, niewiarygodna. Śnieg układał się w miękkie, proste wydmy, zasypywał wszystko z wyjątkiem zardzewiałych masztów, na których wieszano flagi tylko w Dniu Weteranów i Dniu Poległych. Przez to natężenie cisza zrobiła się upiorna i po raz pierwszy poczułem, że się boję.

Zaprowadziła mnie do kamiennego budynku na tyłach cmentarza. Krypta. Ośnieżony grobowiec. Miała klucz. Wiedziałem, że będzie go miała i rzeczywiście.

Odgarnęła śnieg z drzwi i znalazła zamek. Zgrzyt obracającego się klucza jakby zadrasnął ciemność. Napała na drzwi; otworzyły się do środka.

Odór, który z nich buchnął, był chłodny jak jesień, jak powietrze w ziemiance Hollisów. Prawie nic nie widziałem w tym mroku. Na kamiennej posadzce leżały zwiędłe liście. Nona weszła, zatrzymała się i spojrzała na mnie przez ramię.

- Nie - powiedziałem.

- Czy kochasz? - spytała i roześmiała mi się w nos. Stałem w ciemnościach i czułem, że wszystko się zbiega -

przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Chciałem uciec, z krzykiem, tak szybko, żeby cofnąć wszystko, co zrobiłem.

Nona stała i przyglądała mi się, najpiękniejsza dziewczyna na świecie, jedyne, co kiedykolwiek do mnie należało. Zrobiła gest, dotykając swego ciała. Nie opiszę go. Sami wiecie, co to było, jeśli go widzieliście.

Wszedłem. Zamknęła drzwi.

Było ciemno, ale wszystko widziałem. Pomieszczenie oświetlał mały zielony ogienek. Pełzał po ścianach, wyskakiwał języczkami spomiędzy liści na podłodze. Na środku krypty stał katafalk, ale pusty. Wokół niego leżały rozrzucone płatki róż, jak starożytna ofiara. Nona skinęła na mnie i wskazała niewielkie drzwi w głębi. Małe, niepozorne drzwi. Przeraziły mnie. Wtedy już chyba wiedziałem. Najpierw wykorzystała mnie i wyśmiała. Teraz mnie zniszczy.

Ale nie mogłem się powstrzymać. Zbliżyłem się do tych drzwi, ponieważ musiałem. Mentalny telegraf nadal działał, a ja odbierałem ponurą radość - straszną, wariacką - oraz tryumf. Ręce same wyciągały mi się ku kłamce. Były powleczone zielonym ogniem.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem ją.

Tamtą dziewczynę, moją dziewczynę. Jej oczy gapily się obojętnie w tę październikową kryptę, w moje oczy. Pachniała skradzionymi pocałunkami. Była naga, rozdarta od gardła po krocze, całe ciało zmienione w wielkie łono. Coś w nim żyło. Szczury. Nie widziałem ich, lecz słyszałem dochodzące spod niej szelesty. Zrozumiałem, że za chwilę otworzy suche usta i spyta, czy kocham. Cofnąłem się, odrętwiały, z mózgiem osnutym czarną chmurą.

Odwróciłem się do Nony. Śmiała się i wyciągała do mnie ramiona. I nagle, w gwałtownym błysku, już wiedziałem, wiedziałem. Ostatni sprawdzian. Ostatni końcowy egzamin. Zdałem i byłem wolny!

Spojrzałem na drzwi i oczywiście nie było za nimi niczego, tylko pusta alkowa z podłogą zasłaną liśćmi.

Wróciłem do Nony. Wróciłem do mojego życia.

Jej ramiona oplotły mi szyję, przyciągnąłem ją do siebie. Właśnie wtedy zaczęła się zmieniać, rozplwając i topiąc jak wosk. Wielkie ciemne oczy stały się małe jak paciorki. Włosy zmieniły się w brązową szczęć. Nos się skurczył, nozdrza rozděły. Jej ciało napuchło, wparło się we mnie.

Byłem w objęciach szczura.

- Czy kochasz? - pisał. - Czy kochasz, czy kochasz?

Wilgotny pyszczek zbliżył się do moich ust.

Nie krzyknąłem. Nie mogłem. Pewnie już nigdy nie będę mógł krzyżeć.

Jak tu gorąco.

Właściwie lubię upał. Lubię się pocić, jeśli mogę się umyć. Zawsze wydawało mi się, że pot to coś dobrego, bardzo męskiego, ale w takim upale lęgną się gryzące owady albo pająki. Wiecie, że pajęczyce kasaą i zjadają swoich partnerów? Tak robią, tuż po kopulacji.

Poza tym słyszę te chroboty w ścianie. Nie podobają mi się.

Ręka mi zdrętwiała, a miękka końcówka flamastra całkiem się rozeszła. Ale to już i tak koniec. I wszystko wygląda inaczej. Już nigdy nie będzie takie jak wtedy.

Prawie mi wmówili, że to ja sam jestem odpowiedzialny za te wszystkie straszne rzeczy. Macie pojęcie? Kierowcy z tamtej knajpy, facet z elektrowni, który uciekł. Powiedzieli, że byłem sam.

Bo byłem, kiedy mnie znaleźli na cmentarzu, prawie zamrożonego na śmierć pomiędzy kamieniami, pod którymi leży mój ojciec, matka, brat Drake. Ale to znaczy tylko tyle, że Nona uciekła, każdy głupi by to zrozumiał. Cieszę się, że to zrobiła. Naprawdę. I musicie wiedzieć, że stale ze mną jest, w każdej chwili.

Teraz się zabiję. Tak będzie o wiele lepiej. Zmęczyło mnie poczucie winy, cierpienie i koszmary, a poza tym nie podobają mi się te chroboty w ścianach. Nie wiadomo, kto tam siedzi. Albo co.

Nie oszalałem. Jestem tego pewien i mam nadzieję, że wy także. Jeśli ktoś mówi, że nie oszalał, to na pewno jest wariatem, ale ja się nie bawię w te gierki. Była ze mną, była prawdziwa. Kocham ją.

Prawdziwa miłość nie umiera. Tak podpisywałem listy do Betsy, te, które podarłem.

Ale tylko Nonę kochałem naprawdę.

Jak tu gorąco. Nie podobają mi się te chroboty.

Czy kochasz?

Tak, kocham.

A prawdziwa miłość nigdy nie umiera.

Przełożył

Arkadiusz Nakoniecznik

DLA OWENA

@W drodze do szkoły pytasz,
czy w innych szkołach też stawiają stopnie.

Przy ulicy Owocowej odwracasz wzrok.

Idziemy pod żółtymi drzewami

Ty z wojskowym pudełkiem na lunch pod pachą.
Twoje krótkie nogi w wojskowych spodniach
zamieniają cień w nożyce,
Które niczego nie tną na chodniku.

Nagle mówisz mi, że uczniowie to owoce.

Każdy wyciąga rękę po jagody, bo są małe.
Banany, według ciebie, to zwiadowcy.
W twoich oczach widzę sale gimnastyczne pełne
pomarańczy,
szeregi jabłek.

Wszystkie, mówisz, mają ręce i nogi,

a arbuzy bywają opieszale.
Kołyszą się jak kaczki i są tłuste.
"Jak ja", mówisz.

Mógłbym ci wiele opowiedzieć, ale lepiej nie.

Dzieci arbuźów nie potrafią zawiązać sobie sznurowadeł;
robią to za nie śliwki.
Albo o tym, jak skradłem ci twarz...
Skradłem ją, skradłem i nosiłem jak własną.
Szybko się zużywa.

Najważniejsze jest ćwiczenie.
Mógłbym ci powiedzieć, że umieranie jest sztuką
i że szybko się uczę.
Wydaje mi się, że w tej szkole już
znalazłeś sobie ołówek
i zacząłeś pisać swoje imię.

Od czasu od czasu moglibyśmy chyba
urwać się ze szkoły i pojechać na Owocową,
zaparkowałbym w ulewie październikowych liści
i patrzylibyśmy, jak banan przeprowadza ostatniego
rozkołysanego arbuza
przez wysokie drzwi.

Przełożył
Arkadiusz Nakoniecznik

SZKOŁA PRZETRWANIA

Wcześniej czy później każdy student medycyny staje wobec pytania: jak wielki szok traumatyczny jest w stanie znieść pacjent? Różne autorytety udzielają różnych odpowiedzi, lecz na najbardziej podstawowym poziomie odpowiedź sprowadza się do innego pytania: jak bardzo pacjentowi zależy na tym, żeby przeżyć?

26 stycznia

Dwa dni, odkąd morze wyrzuciło mnie na brzeg. Dziś dokładnie wymierzyłem wyspę. Ładna mi wyspa! Sto dziewięćdziesiąt kroków w najszerszym miejscu i dwieście sześćdziesiąt siedem w najdłuższym.

Wszystko wskazuje na to, że nie ma na niej nic do jedzenia.

Nazywam się Richard Pine, a to jest mój dziennik. Jeśli (kiedy) ktoś mnie tu odnajdzie, łatwo zdołam go zniszczyć. Zapalek mi nie brakuje. Zapalek i heroiny. Mam tego całe mnóstwo, tyle że tutaj niewiele jest warte, cha, cha. Będę więc pisał, żeby jakoś zabić czas.

Jeżeli mam mówić prawdę (a czemu niby nie? Czasu na pewno mi nie zabraknie!), to zacznę od tego, że urodziłem się we włoskiej dzielnicy Nowego Jorku i początkowo nazywałem się Richard Pinzetti. Mój ojciec był nierobem, ja chciałem zostać chirurgiem. Ojciec śmiał się ze mnie, wyzywał od głupców, po czym kazał sobie nalewać kolejną szklaneczkę wina. W wieku czterdziestu sześciu lat umarł na raka. Ku mojemu zadowoleniu.

W szkole średniej grałem w futbol. Byłem najlepszym cholernym futbolistą, jaki kiedykolwiek uczęszczał do naszej budy. Quarterbackiem. Przez dwa lata wybierano mnie do reprezentacji miasta. Nienawidziłem futbolu, ale jeśli jesteś ubogim italiańcem i chcesz się kształcić, sport to twoja jedyna szansa. Grałem więc i wywalczyłem sportowe stypendium.

W college'u wziąłem rozbrat z piłką natychmiast, jak tylko zacząłem uzyskiwać wystarczająco wysokie oceny, żeby dostać stypendium naukowe. Ojciec umarł sześć tygodni przed uroczystością wręczenia dyplomów. I bardzo dobrze. Chyba nie myślicie, że chciałbym wyjść na podium, odebrać dyplom, odwrócić się i ujrzeć tę kupę tłuszczu? Wstąpiłem też do klubu - oczywiście nie do żadnego z tych najlepszych, nie z takim nazwiskiem, ale jednak.

Dlaczego o tym wszystkim piszę? Przecież to niemal śmieszne... Chwileczkę, cofam: to jest śmieszne. Znakomity doktor Pine siedzi na kamieniu w spodniach od pizamy i podkoszulku, na wysepce tak małej, że prawie można napluć do morza po drugiej stronie, i spisuje historię swego życia. Ależ jestem głodny! Nieważne, napiszę tę cholerną historię. Kiedy piszę, przynajmniej nie myślę o pustym żołądku. No, prawie.

Jeszcze przed rozpoczęciem studiów zmieniłem nazwisko na Pine. Matka rozpacziała, że łamię jej serce. Jakie serce? Dzień po tym, jak stary poszedł do piachu, zabawiła się z tym żydowskim sklepikarzem z za rogu. Jak na kogoś, kto był tak bardzo przywiązany do nazwiska, cholernie jej się spieszyło, żeby je zmienić na Steinbrunner.

Zawsze chciałem być chirurgiem. Jeszcze w szkole średniej. Przed każdym meczem starannie bandażowałem sobie ręce, a po meczu nacierałem je kremem i masowałem. Jeśli marzy ci się zostać chirurgiem, musisz dbać o dłonie. Niektóre chłopaki naśmiewały się ze mnie i wyzywały od tchórzów; nie biłem się z nimi. Wystarczająco ryzykowałem na boisku. Ale miałem swoje sposoby. Najgłośniej pyskował Howie Plotsky, wielki głupi koł z krostowatą gębą. Dorabiałem sobie wtedy, roznosząc po domach gazety, a przy okazji zabawiałem się w bukmachera. Znałem mnóstwo ludzi, rozmawiałem z nimi, słyszałem to i owo, a czego nie słyszałem, to się domyślałem. Wiecie, jak to jest: każdy głupek potrafi umrzeć, sztuką jest nauczyć się przeżyć. Zapłaciłem najsilniejszemu chłopakowi w szkole, niejakiemu Ricky'emu Brazzi, dziesięć dolców za to, żeby Howie Plotsky połamał na mnie zęby. Całkiem dosłownie. Obiecałem mu dodatkowo dolara za każdy ząb Howiego, który mi przyniesie; przyniósł trzy, zawinięte w papierowy ręcznik.

Wykonując zlecenie, uszkodził sobie knykcie w dwóch palcach, sami więc widzicie, jakich mogłem narobić sobie kłopotów.

Podczas studiów, kiedy moi koledzy, te nieszczęsne palanty, zaharowywali się na śmierć, pracując nocami w knajpach, szorując podłogi albo sprzedając krawaty, ja rozwijałem swój biznes. Zakłady futbolowe, koszykówka, od czasu do czasu trochę polityki... No i utrzymywałem dobre stosunki z chłopcami z sąsiedztwa. Studia minęły jak z bicza trząśł.

Kombinować "w zawodzie" zacząłem dopiero na stażu. Pracowałem w jednym z największych nowojorskich szpitali. Początkowo były to tylko recepty in blanco. Sprzedawałem bloczek jednemu z chłopców z sąsiedztwa, a on fałszował podpisy kilkudziesięciu lekarzy, w czym pomagały mu dostarczone również przeze mnie próbki pisma. Takie podpisane, puste recepty "chodziły" na ulicy po dziesięć, dwadzieścia dolarów za sztukę. Ćpuny dosłownie były się o nie. Nieco później odkryłem, jaki gigantyczny bałagan panuje w szpitalnej aptece. Nikt niczego tam nie kontrolował. Ludzie wynosili towar całymi garściami, ale nie ja. Zawsze byłem ostrożny. W kłopoty wpadłem dopiero teraz, kiedy stałem się nieostrożny, no i kiedy opuściło mnie szczęście. Ale i tak spadnę na cztery łapy. Jak zwykle.

Już nie mogę pisać. Boli mnie nadgarstek i zdrętwiały mi palce. Poza tym naprawdę nie wiem, po co to robię. Przecież niedługo ktoś mnie tutaj znajdzie.

27 stycznia

W nocy odpływ zabrał łódkę, która następnie zatoneła na głębokości jakichś trzech metrów przy północnym brzegu wysepki. Bez znaczenia. Po uderzeniu w rafę dno i tak było dziurawe jak sito, a poza tym od razu zabrałem z niej wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Piętnaście litrów wody. Przybory do szycia. Zestaw pierwszej pomocy. Zeszyt, w którym piszę - zdaje się, że miał służyć odnotowywaniu kolejnych przeglądów. Dobrze sobie! Czy ktoś słyszał o SZALUPIE RATUNKOWEJ, w której nie byłoby żadnych zapasów żywności?! Ostatni przegląd odbył się 8 sierpnia 1970. Aha, jeszcze dwa noże, tępy i całkiem ostry, a do tego łyżka połączona z widelcem. Skorzystam z nich wieczorem, kiedy będę jadł kolację. Dzisiaj są kamienie z rusztu. Cha, cha. Przynajmniej udało mi się naostrzyć ołówek.

Jak tylko zdejmą mnie z tej obsranej przez ptaki skały, podam do sądu te cholerne Paradise Lines; choćby po to warto żyć. A ja przeżyję. Wyjdę z tego. Możecie być pewni. Wyjdę z tego z życiem.

(później)

Wyliczając swój dobytek, zapomniałem o drobnostce: o dwóch kilogramach czystej heroiny wartości rynkowej 350 tysięcy dolarów. Tutaj jest warta zero. Zabawne, co? Cha, cha!

28 stycznia

Wreszcie coś zjadłem, naturalnie jeśli można nazwać to jedzeniem. Na jednej ze skał wznoszących się pośrodku wyspy usiadła mewa. Skały tworzą tam coś w rodzaju miniaturowej góry, oczywiście również dokładnie obsranej. Znalazłem kamień, który dobrze leżał mi w dłoni, i podkradłem się najbliżej, jak to było możliwe. Mewa stała nieruchomo jak posąg i przyglądała mi się lśniąco czarnymi oczami. Dziwne, że nie spłoszyło jej burczenie w moim brzuchu.

Cisnąłem kamień z całej siły; o dziwo trafiłem. Wrzasnęła przeraźliwie i usiłowała zerwać się do lotu, ale złamałem jej skrzydło, zaczęła więc niezdarnie uciekać na piechotę, a ja pogałem za nią, przeskakując z kamienia na kamień. Dziwka dała mi niezłe popalić; po drugiej stronie "szczytu" stopa uwięzła mi w skalnej szczelinie i niewiele brakowało, a złamałbym sobie nogę w kostce.

Dopałem ją dopiero na wschodnim brzegu wyspy. Usiłowała wleźć do wody i odpłynąć.

Chwyciłem ją za ogon, a ona wygięła szyję i dziobnęła mnie boleśnie. Zaraz potem złapałem ją

jedną ręką za nogi, a drugą skręciłem kark. Odgłos, jaki temu towarzyszył, sprawił mi sporo satysfakcji - wiecie, coś w rodzaju: "Obiad na stole!". Cha, cha!

Zaniosłem ją z powrotem do "obozu", ale zanim przystąpiłem do skubania i patroszenia, zdezynfekowałem jodyną ranę na ręce. Ptaki są nosicielami mnóstwa mikroorganizmów, a ostatnią rzeczą, jakiej jeszcze potrzebowałem, było zakażenie.

Z oprawieniem mewy nie miałem żadnych problemów - niestety, nie mogłem jej ugotować.

Wyspa jest całkowicie pozbawiona roślinności, łódź zaś zatoneła. Pożarłem ją więc na surowo.

Mój żołądek usiłował natychmiast się jej pozbyć; wcale mu się nie dziwiłem, lecz nie mogłem na to pozwolić. Skupiłem się na liczeniu wstecz i po jakimś czasie mdłości ustąpiły. To prawie niezawodny sposób.

Pomyślcie tylko: przez to obrzydliwe ptaszysko mało nie złamałem sobie nogi, a kiedy je wreszcie złapałem, zraniło mnie! Jeśli jutro uda mi się jakieś upolować, poddam je wyrafinowanym torturom. To wykpiło się stanowczo zbyt małym kosztem. Pisząc te słowa, widzę głowę mewy, która leży na piasku. Wydaje mi się, że w czarnych, szklistych oczach migoczą szydercze iskierki.

Czy mewy mają mózgi jakiejś sensownej wielkości? A jeśli tak, to czy te mózgi są jadalne?

29 stycznia

Dzisiaj bez żarcia. Co prawda jedna mewa wylądowała w pobliżu "szczytu", ale odleciała, zanim zdołałem się zbliżyć na odległość celnego rzutu. Zapuszczam brodę. Swędzi jak diabli. Jeśli ta mewa przyleci jeszcze raz i uda mi się ją schwytać, wydlubię jej oczy.

Byłem cholernie dobrym chirurgiem, ale wystawili mnie na odstrzał, na dodatek robiąc wokół tego mnóstwo zamieszania. Śmiechu warte; każdy kręci coś na boku, ale kiedy ktoś wpadnie, wszyscy udają świętych. Zgodnie z przysięgą Hipokratesa i Hipokryta.

Podczas stażu i później, kiedy pracowałem jako internista, udało mi się odłożyć tyle, żeby otworzyć prywatny gabinet przy Park Avenue. Musiałem jakoś sobie radzić, bo w przeciwieństwie do większości moich "kolegów" nie miałem bogatego tatusia ani ustosunkowanego sponsora. Kiedy zawieszałem przy drzwiach tabliczkę, mój stary od dziewięciu lat leżał w grobie. Matka umarła rok przed tym, jak cofnięto mi zezwolenie na prowadzenie prywatnej praktyki.

To działało jak sprzężenie zwrotne. Współpracowałem z kilkoma aptekarzami z East Side, z dwoma hurtowniami leków i co najmniej z dwudziestoma lekarzami. Oni kierowali pacjentów do mnie, ja do nich. Wykonywałem operacje i przepisywałem leki niezbędne podczas rekonwalescencji. Co prawda nie wszystkie operacje były nieodzowne, żadnej jednak nie przeprowadziłem wbrew woli pacjenta i żaden pacjent nie odmówił przyjmowania leków, które mu zleciłem. Ludzie już tacy są; nawet pięć albo dziesięć lat po operacji chętnie wciąż przyjmowałiby środki przeciwbólowe. Czasem im to ułatwiałem, ale niech wam się nie wydaje, że byłem jedyny. Poza tym mogli sobie na to pozwolić. A niekiedy pacjent miał kłopoty z zaśnięciem po jakiejś drobnej operacji. Albo narzekał, że nigdzie nie może dostać ulubionych pastylek odchudzających. Albo środków uspokajających. Wszystko da się załatwić. Gdyby nie przyszli z tym do mnie, trafiliby do kogoś innego.

A potem faceci z Urzędu Skarbowego dobrali się Lowenthalowi do skóry, nastraszyli go pięcioma latami odsiadki, a on od razu wypluł parę nazwisk, w tym i moje. Obserwowali mnie przez jakiś czas, a kiedy wreszcie zastukali do drzwi, byłem wart znacznie więcej niż nędzne pięć latek.

Nigdy na przykład nie zrezygnowałem z handlowania czystymi receptami. Najzabawniejsze, że na dobrą sprawę do niczego nie było mi to już potrzebne, ale taka jest siła przyzwyczajenia.

Cóż, na szczęście znalazłem paru ludzi, pociągnąłem za właściwe sznurki, paru innych rzuciłem lwom na pożarcie. Ale tylko tych, których nie lubiłem. Samych cholernych sukinsynów. Jezu, ależ jestem głodny!

30 stycznia

Całkowity brak mew. Przypomniały mi się wywieszki, które czasem widywałem na wózkach z warzywami w mojej dzielnicy: POMIDORÓW BRAK. Wszedłem po pas w wodę z ostrym nożem w ręce i przez cztery godziny stałem nieruchomo jak posąg. Słońce prażyło tak mocno, że dwa razy mało nie zemdlałem, ale policzyłem wstecz i jakoś to minęło. Ani jednej ryby. Ani jednej.

31 stycznia

Zabiłem drugą mewę w taki sam sposób jak pierwszą. Byłem zbyt głodny, żeby ją torturować, jak sobie obiecywałem. Wypatroszyłem ją i od razu zjadłem, a potem wycisnąłem zawartość z wnętrzości i też je zjadłem. To przedziwne wrażenie czuć, jak odzyskujesz siły żywotne. Szczerze mówiąc, zacząłem się już trochę bać. Leżałem w cieniu skały i wydawało mi się, że słyszę głosy: matki, ojca, byłej żony i wielkiego Chinola, z którym handlowałem heroiną w Sajgonie. Ten był najgorszy. Trochę seplenił, przypuszczalnie z powodu częściowo rozszczepionego podniebienia.

- No, dalej! - odzywał się znikąd. - No, dalej, osiągnij siebie! Psesstaniess mysslecss o głódssie. Będssie ssi dobsse...

Ja jednak nie skorzystałem nawet z pastylek nasennych.

Czy mówiłem wam, że Lowenthal się zabił? Baran. Powiesił się tam, gdzie kiedyś miał gabinet. Moim zdaniem wyświadczył światu wielką przysługę.

Chciałem odzyskać prawo wykonywania zawodu. Paru spośród ludzi, z którymi rozmawiałem, twierdziło, że to się da zrobić, ale będzie kosztowało kupę forsy. Więcej, niż kiedykolwiek mi się śniło. Miałem w bankowej skrytce czterdzieści tysięcy dolarów w gotówce; postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę w nadziei, że karta się odwróci i zarobię dwa albo trzy razy więcej.

Zwróciłem się do Ronniego Hanelli. W college'u występowaliśmy w jednej drużynie, a kiedy jego młodszy brat skończył medycynę, pomogłem mu załatwić staż w renomowanej klinice. Ronnie natomiast skończył prawo - czy to nie zabawne? Na naszej ulicy nazywaliśmy go Ronnie szeryf, bo sędziował we wszystkich meczach i pojedynkach bokserskich. Jeśli komuś nie podobały się jego decyzje, miał do wyboru dwie możliwości: trzymać głowę na kłódkę albo dostać po mordzie. Portorykańczycy przezywali go Ronniepizza. Jedno słowo: Ronniepizza. Nabijali się z niego. I pomyśleć, że taki gość z wyróżnieniem skończył college, poszedł na prawo, bez trudu zdał egzaminy końcowe, po czym otworzył interes w sąsiedztwie, nad barem rybnym. Wystarczy, że zamknę oczy, a widzę go w tym jego białym continentalu. Największy pieprzony lichwiarz w mieście.

Wiedziałem, że Ronnie coś mi znajdzie.

- To niebezpieczne - powiedział - ale ty zawsze potrafiłeś się o siebie zatroszczyć. Jeżeli się dobrze spiszesz, przedstawię cię paru ludziom. Jeden z nich jest kongresmanem.

Podał mi wtedy dwa nazwiska: Henry Li-Tsu był ogromnym Chinolem, Sołom Ngo był Wietnamczykiem. A do tego chemikiem. Za odpowiednią opłatą miał sprawdzać jakość towaru dostarczanego przez Chińczyka, który od czasu do czasu lubił żartować. Jego "żarty" przybierały postać małych foliowych torebek wypełnionych talkiem zmieszonym z wybielaczem i skrobią kukurydzianą. Ronnie uważał, że prędzej czy później Li-Tsu przypłaci swoje żarty życiem.

1 lutego

Nad wyspą przeleciał samolot. Usiłowałem wspiąć się na "szczyt" skały, żeby stamtąd wymachiwać rękami, ale stopa uwięzła mi w szczelinie - chyba tej samej co tego dnia, kiedy zabiłem pierwszą mewę. Złamałem sobie nogę w kostce. Trzask był prawie tak głośny jak wystrzał. Okropnie zabolalo. Wrzasnąłem, zachwiałem się, przez chwilę jak wariat młóciłem powietrze rękami, straciłem równowagę i runąłem ze skały. Grzmotnąłem głową w kamień i wszystko zgasło. Oprzytomniałem dopiero o zmierzchu. Straciłem trochę krwi, kostka urosła do rozmiarów opony, a na dodatek poparzyło mnie słońce. Jeszcze godzina i na pewno nie obeszloby się bez bąbli.

Jakoś się tu dowlokłem, przez całą noc trząsałem się i płakałem z wściekłości. Zdezynfekowałem ranę na głowie i opatrzyłem najlepiej, jak mogłem. To właściwie tylko zadrapanie, ale za to noga... Paskudna sprawa. Kość złamana w dwóch albo trzech miejscach.

Jak teraz będę polował na ptaki?

Ten samolot na pewno szukał rozbitków z "Callas". Sztorm zagnał moją szalupę wiele kilometrów od miejsca, w którym zatonął statek. Wątpię, żeby ktoś jeszcze tu się zjawił.

Boże, jak boli!

2 lutego

Ułożyłem napis na niewielkiej piaszczystej plaży na południowym brzegu wyspy, tam gdzie wyrzuciło szalupę. Pracowałem cały dzień, często odpoczywając w cieniu, a i tak zemdlałem dwa razy. Wydaje mi się, że schudłem co najmniej dziesięć kilogramów, w większości z powodu odwodnienia. Teraz jednak, z miejsca, w którym siedzę, mogę podziwiać swoje dzieło: ułożone z czarnych kamieni na białym piasku litery ponadmetrowej wysokości, tworzące napis POMOCY. Następny samolot już mnie nie ominie.

O ile będzie jakiś następny samolot.

Ból wciąż pulsuje w stopie, opuchlizna złowroźnie zmieniła kolor. Przebarwienie skóry wyraźnie się rozszerza. Jeśli mocno obwiążę stopę koszulą, ból na chwilę staje się prawie do zniesienia, wkrótce jednak ponownie przybiera na sile, tak że wolałbym zemdleć, niż zasnąć. Zaczynam podejrzewać, że może nie obejść się bez amputacji.

3 lutego

Opuchlizna wciąż się powiększa, przebarwienie staje się coraz intensywniejsze. Zaczekam do jutra. Jeżeli operacja okaże się niezbędna, powinienem jakoś dać sobie radę. Mam zapalki, żeby zdezynfekować ostrzejszy nóż, mam igłę i nici. Mam też koszulę, z której zrobię bandażę. Dysponuję nawet dwoma kilogramami "środka przeciwbólowego", chociaż takiego nigdy nikomu nie przepisałem. Gdybym przepisał, braliby z przyjemnością. Jestem tego pewien. Te wiekowe paniusie z ufarbowanymi na niebiesko włosami zażywałyby nawet odświeżacze powietrza, gdyby ktoś im powiedział, że to da im kopa. Możecie mi wierzyć.

4 lutego

Postanowiłem amputować stopę. Nie jem od czterech dni. Jeśli zaczekam jeszcze trochę, mogę zemdleć podczas operacji i wykrwawić się na śmierć, a ja, mimo wszystko, wciąż chcę żyć. Pamiętam, co na zajęciach z anatomii mówił Mockridge - Stary Mockie, tak go nazywaliśmy. "Wcześniej czy później każdy student medycyny staje wobec pytania: jak wielki szok traumatyczny jest w stanie znieść pacjent?". Odwracał się do wielkiej tablicy, stukał wskaźnikiem w wątrobę, nerki, serce, śledzionę, jelita, i dodawał: "Na najbardziej podstawowym poziomie

odpowiedź sprowadza się do innego pytania: jak bardzo pacjentowi zależy na tym, żeby przeżyć?"

Myślę, że mnie się uda.

Naprawdę.

Piszę chyba tylko po to, żeby odwlec to, co nieuchronne, ale właśnie sobie przypomniałem, że nie wyjaśniłem do końca, skąd się tutaj wziąłem. Chyba powinienem dokończyć opowieść na wypadek, gdyby operacja się nie powiodła. Potrzebuję na to najwyżej kilku minut, a że dzień ledwie się zaczął, na pewno zdążę przeprowadzić zabieg. Mój pulsar wskazuje dopiero dziewięć po dziewiątej.

Poleciałem do Sajgonu w charakterze turysty. Czy to dziwnie brzmi? Nie powinno. Pomimo prowadzonej przez Nixona wojny co roku latają tam tysiące ludzi. To ci sami ludzie, którzy oglądają wraki samochodów i pasjonują się walkami kogutów.

Mój chiński przyjaciel wręczył mi towar, który zawiozłem Ngo, a ten stwierdził, że dostawa jest najwyższej jakości. Dowiedziałem się od niego, iż Li-Tsu nie dalej jak cztery miesiące temu pozwolił sobie na kolejny "żart", w wyniku czego wkrótce potem jego żona wyleciała w powietrze po przekręceniu kluczyka w stacyjce samochodu. Od tamtej pory zupełnie stracił poczucie humoru.

Siedziałem w Sajgonie przez trzy tygodnie. Powrotną podróż do San Francisco miałem odbyć na pokładzie luksusowego liniowca "Callas". W kajucie pierwszej klasy. Wejście na pokład z towarem nie przedstawiało najmniejszych problemów, ponieważ Ngo przekupił celników, którzy pobieżnie przejrzyli zawartość walizek, mnie zaś (i przewieszanej przez moje ramię lotniczej torbie, w której miałem towar) nie poświęcili najmniejszej uwagi.

- W Stanach nie pójdzie ci tak łatwo - ostrzegł mnie Ngo. - Ale to już twój problem.

Nie miałem najmniejszego zamiaru osobiście przemycić towaru przez granicę. Ronnie Hanelli wynajął nurka, który za trzy tysiące dolarów podjął się dość ryzykownego zadania. Po jego wykonaniu miał się ze mną spotkać (dwa dni temu, jeśli się nie mylę) w domu noclegowym zwanym nie wiadomo czemu Hotelem St. Regis. Plan polegał na tym, żeby zapakować towar do solidnego wodoszczelnego pojemnika, przymocować z wierzchu zapalnik czasowy z mikroładunkiem wybuchowym, który miał rozerwać paczuszkę z silnym środkiem barwiącym, i wyrzucić całość za burtę zaraz po tym, jak statek zacumuje przy nabrzeżu. Rzecz jasna, nie ja miałem to zrobić.

Wciąż szukałem jakiegoś kucharza albo stewarda, który chętnie zarobiłby parę dolców, a jednocześnie był wystarczająco mądry (albo głupi), żeby potem trzymać gębę na kłódkę. Ale "Callas" poszła na dno.

Nie mam pojęcia, dlaczego ani w jaki sposób. Co prawda pogoda była sztormowa, lecz statek radził sobie całkiem nieźle. Około ósmej wieczorem 23 stycznia gdzieś pod pokładem rozległa się stłumiona eksplozja. Byłem wtedy w barze. "Callas" niemal natychmiast nabrała przechyłu na lewą burtę (wciąż nie wiem, czy to ster-, czy bakburta) i zaczęła się zanurzać.

Ludzie krzyczeli i miotali się w popłochu, butelki roztrzaskiwały się na podłodze, z niższego pokładu, zataczając się, wybiegł jakiś człowiek z rozległymi poparzeniami i resztkami spalonej koszuli na grzbiecie. Z głośników rozległo się wezwanie, żeby każdy udał się do tej samej szalupy co podczas próbnego alarmu na początku rejsu, ale to jedynie podsyciło panikę, ponieważ niewielu pasażerów pofatygowało się wtedy na pokład. Ja nie tylko zadałem sobie ten trud, ale nawet zjawilem się pierwszy; chciałem stać w pierwszym rzędzie, żeby wszystkiemu dobrze się przyjrzeć. Zawsze poświęcam dużo uwagi sprawom, od których może zależeć moje życie.

Zszedłem do kajuty, poupychałem po kieszeniach woreczki z heroiną, a następnie udałem się w kierunku szalupy ratunkowej numer 8. Kiedy wspinałem się po schodkach na główny pokład, rozległy się dwie kolejne eksplozje i statek przechylił się jeszcze bardziej.

Na pokładzie panował całkowity chaos. Obok mnie przemknęła wrzeszcząca rozpaczliwie kobieta z dzieckiem na ręku, rozpędziła się na przechylnym pokładzie, z ogromną siłą uderzyła w reling, wypadła za burtę, wykonała w powietrzu dwa i pół salta, po czym znikła mi z oczu. Jakiś starszy jegomość siedział przy ścianie nadbudówki i wyrywał sobie włosy z głowy, inny mężczyzna, w stroju kucharza, z potwornie poparzoną twarzą zataczał się od ściany do ściany, krzycząc rozpaczliwie:

- Pomocy! Nic nie widzę! Pomóżcie mi! Moje oczy!

Panika, niczym jakaś rozprzestrzeniająca się błyskawicznie choroba, przeniosła się z pasażerów na załogę. Nie zapominajcie jednak, że od pierwszej eksplozji pod pokładem do zatonięcia statku upłynęło zaledwie około dwudziestu minut. Przy niektórych szalupach kłębił się tłum przerażonych pasażerów, przy innych - w tym także przy mojej, która znajdowała się na osuwającej się ku powierzchni morza burcie - było całkiem pusto. Oprócz mnie zjawił się tam tylko jeden marynarz o prostackiej, tępej twarzy.

- Szybko, spuszczaamy tę dziwkę na wodę! - wykrzyknął, tocząc dokoła dzikim spojrzeniem. - Ta cholerna balia zaraz pójdzie na dno!

Spuszczanie szalupy ratunkowej na wodę jest stosunkowo proste, ale w zamieszaniu coś mi się pomyliło i poplątał liny. Łódź zawisała półtora metra poniżej poziomu pokładu, z rufą znacznie wyżej od dziobu. Właśnie zamierzałem mu pomóc, kiedy nagle wrzasnęła przeraźliwie, ponieważ lina nagle ożyła, przeniknęła mi błyskawicznie między zaciśniętymi palcami, zdzierając z nich skórę, a następnie pociągnęła go za sobą. Szalupa z łoskotem runęła do wody.

Czym prędzej zsunąłem się do niej po drabince sznurowej, odepchnąłem się od kadłuba i chwyciłem wiosła. Wcześniej wiosłowałem wyłącznie dla przyjemności, podczas weekendowych wizyt w letnich domkach przyjaciół, teraz jednak walczyłem o życie. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli nie zdołam odplłynąć na bezpieczną odległość od umierającego statku, wir po zatonięciu "Callas" wciągnie mnie pod wodę.

Poszła na dno zaledwie pięć minut później, a ja nie byłem aż tak daleko, jakbym sobie tego życzył. Musiałem pracować wiosłami jak szaleniec, żeby pozostać w miejscu. Nie trwało to długo. Kiedy tonęła, do relingu na dziobie byli jeszcze uczeplieni ludzie. Wyglądali jak stado małąp.

Sztorm przybrał na sile. Straciłem jedno wiosło. Noc przypominała koszmarny sen; na zmianę wylewałem wodę z szalupy i wściekle pracowałem jedynym wiosłem, żeby ustawić ją dziobem do kolejnej ogromnej fali.

Jakoś tuż przed świtem 24 stycznia fale stały się bardziej regularne i zaczęły pchać mnie przed sobą z coraz większą prędkością. Było to przerażające, ale zarazem niezwykle ekscytujące. W pewnej chwili rozległ się łoskot i część dna rozpadła się w drzazgi, zanim jednak łódź zdążyła zatonać, następna fala wyrzuciła mnie na tę zakazaną kupę skał. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jestem. Nigdy nie byłem dobry z nawigacji. Cha, cha.

Wiem za to, co muszę zrobić. Być może to ostatni wpis do tego dziennika, ale mimo wszystko wydaje mi się, że jakoś sobie poradzę. Tak jak zawsze. A ostatnio protetyka poczyniła kolosalne postępy. Wkrótce zapomnę, że nie mam jednej stopy.

Pora sprawdzić, czy naprawdę jestem tak dobry, jak mi się wydaje. Powodzenia.

5 lutego

Już po wszystkim.

Najbardziej obawiałem się bólu. Nie jestem przewrażliwiony, ale w stanie skrajnego osłabienia połączone działanie bólu i głodu mogło pozbawić mnie przytomności przed końcem operacji. Na szczęście rozwiązałem ten problem za pomocą heroiny.

Otworzyłem jedną torebkę, starannie usypałem dwa równiutkie rządki na płaskim kamieniu i wciągnąłem najpierw w prawą dziurkę a potem w lewą. Poczułem się tak, jakbym zaciągnął się jakimś cudownie otepiającym lodem, który błyskawicznie zaczął zamrażać mi mózg od spodu. Zrobiłem to natychmiast po dokonaniu wczorajszego wpisu, o 9.45. Kiedy ponownie spojrzałem na zegarek, cień skały przesunął się, leżałem częściowo w słońcu i była 12.41. Zdrzemnąłem się. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie aż tak pięknie, i nie mogłem pojąć, dlaczego do tej pory byłem taki zasadniczy. Ból, strach, cierpienie... wszystko znikło, pozostawiając po sobie kojącą euforię.

W tym stanie ducha przystąpiłem do operacji.

Bolało potwornie, szczególnie w początkowej fazie, lecz wydawało mi się, że ból jest obok mnie, zupełnie jakby cierpiała inna osoba. Owszem, przeszkadzał, ale równocześnie był całkiem interesujący. Potraficie to zrozumieć? Owszem, pod warunkiem że kiedykolwiek zażywaliście jakiś silny lek na bazie morfiny. Taki środek robi coś więcej, niż tylko uśmierza ból: daje całkowity, niewzruszony spokój. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie tak łatwo się uzależniają, choć sam już nigdy nie nazwałbym ich "ćpunami". Tak mogą mówić tylko ci, którzy sami nigdy nie spróbowali.

Mniej więcej w połowie operacji ból się nieco spersonalizował i zaczęły mnie ogarniać kolejne fale omdlenia. Korciło mnie, żeby ponownie sięgnąć po torebkę z białym proszkiem, ale zwalczyłem pokusę. Jeżelibym znowu zasnął, wykrwawiłbym się na śmierć równie pewnie i nieodwracalnie jak wtedy, gdybym zemdłał. Zastępczo zaaplikowałem sobie liczenie wstecz od stu.

Jako chirurg doskonale zdawałem sobie sprawę, że największe ryzyko wiąże się z nadmierną utratą krwi. Podczas zabiegu każda kropla jest na wagę złota. W szpitalu można podać pacjentowi krew, ja jednak nie miałem takiej możliwości. To, co straciłem (a kiedy kończyłem zabieg, piasek był niemal czarny od krwi), przepadło; mój organizm musiał samodzielnie zregenerować ubytki. Rozpocząłem operację punktualnie o 12.45, zakończyłem o 13.50, po czym natychmiast zażyłem jeszcze większą niż poprzednio dawkę heroiny. Na trzy godziny odszedłem w szary, bezbolesny świat. Kiedy się ocknąłem, złocista ścieżka biegnąca po błękitnej powierzchni Pacyfiku łączyła mnie ze słońcem zawieszonym nisko nad zachodnim horyzontem. W życiu nie widziałem czegoś tak pięknego. Ta chwila wynagrodziła mi wszystkie cierpienia. Godzinę później zażyłem jeszcze trochę białego proszku, żeby móc w pełni rozkoszować się zachodem słońca.

Wkrótce po zapadnięciu ciemności...

Wkrótce potem...

Chwileczkę. Chyba już mówiłem, że od czterech dni nic nie miałem w ustach? I że moje ciało musiało samodzielnie i bez żadnej pomocy odzyskać siły po operacji? I co najważniejsze, że przeżycie zależy przede wszystkim od silnej woli? Nie będę usprawiedliwiał się, twierdząc, że na moim miejscu postąpilibyście tak samo. Przede wszystkim zapewne mało kto z was jest chirurgiem. Nawet gdybyście wiedzieli co nieco o amputacjach, przypuszczalnie i tak wykrwawilibyście się na śmierć, a nawet gdybyście przeżyli, taki pomysł nigdy nie zaświtałby w waszych wypełnionych przesądami głowach. Zresztą nieważne. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Tuż przed opuszczeniem wyspy zniszczę ten zeszyt.

Byłem bardzo ostrożny.

Przed zjedzeniem starannie ją umyłem.

7 lutego

Ból był bardzo silny, chwilami trudny do zniesienia, ale chyba jeszcze gorsze okazało się swędzenie, świadczące o rozpoczęciu procesu gojenia. Przez całe popołudnie myślałem o tych wszystkich pacjentach, którzy skamleli, że nie wytrzymają, że za chwilę oszaleją, a ja uśmiechałem się protekcyjnie i powtarzałem, że najdalej jutro poczują się znacznie lepiej, wyzywając ich jednocześnie w myślach od mazgajów, maminsynków i niewdzięczników. Teraz rozumiem, co przeżywali. Parę razy niewiele brakowało, żebym zerwał opatrunek ze strzępów koszuli, wbił palce w świeżą ranę, zerwał szwy i pozwolił, żeby krew obfitym strumieniem trysnęła na piasek. Byłem gotów zrobić wszystko, byle tylko uwolnić się od tego przeklętego swędzenia.

Liczyłem wtedy wstecz od stu i wciągałem heroinę.

Nie mam pojęcia, ile w sumie zażyłem, ale zdaję sobie sprawę, że od operacji jestem cały czas na haju. Przynajmniej nie czuję głodu, tylko niewyraźne, przytłumione ssanie w żołądku, które łatwo zignorować; ale nie wolno mi ulec pokusie. Heroina nie ma żadnej wartości odżywczej.

Przekonałem się o tym, pełzając po piasku. Opadam z sił.

Boże, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale... Możliwe, że będzie konieczna jeszcze jedna operacja.

(później)

Przeleciał kolejny samolot. Za wysoko. Widziałem tylko jasną smugę na niebie, ale i tak wymachiwałem rękami i wołałem. Kiedy znikł, rozplakałem się.

Tak ciemno, że prawie nic nie widać. Jedzenie. Myślę tylko o jedzeniu. Lasagna, którą piekła matka. Pieczywo czosnkowe. Eskalopki. Homary. Żeberka. Melba brzoskwiniowa. Ogromna porcja tortu śmietankowego i góra lodów waniliowych domowej roboty, takich jak u "Chrupiącej Mamuśki" na First Avenue. Gorące precelki z anansem. Chipsy cebulowe z frytkami, które można maczać w keczupie i wpychać, zajadać, wysysać, połykać, aż tłuszcz ścieka po brodzie.

100... 99... 98... 97... 96... 95... 94...

Boże Boże Boże.

8 lutego

Rano na szczycie skały usiadła mewa, wielka i tłusta. Leżałem w cieniu - nazywam to miejsce "obozem" - z kikutem opartym na kamieniu. Na widok ptaka dostałem ślinotoku, zupełnie jak pies Pawłowa. Śliniłem się niczym małe dziecko.

Znalazłem gdzieś blisko kamień, który doskonale wypełnił mi dłoń, i zacząłem się czołgać.

Czwarta kwarta. Po trzech przegrywamy. Długie podanie na środek pola. Pinzetti rusza naprzód (nie Pinzetti, oczywiście Pine!). Nie miałem prawie żadnej nadziei. Byłem pewien, że odleci, ale musiałem spróbować. Gdybym dorwał to bezczelne, spasiono ptaszysko, odsunąłbym od siebie widmo drugiej operacji. Pełzłem powoli, zawadzając kikutem o kamienie (za każdym razem w głowie eksplodowały mi fajerwerki bólu) i czekałem, aż zerwie się do lotu.

Nie zrobiła tego. Maszerowała sobie tam i z powrotem, zupełnie jak jakiś skrzydlaty generał dokonujący przeglądu wojsk. Od czasu do czasu zerkąła na mnie małymi, paskudnymi czarnymi oczkami, a ja wtedy zamierałem w bezruchu i liczyłem wstecz od stu aż do chwili, kiedy znowu zaczynała się przechadzać. Za każdym razem, kiedy rozpościerała skrzydła, żołądek podchodził mi do gardła. Ślina wciąż ciekła mi z ust. Nic nie mogłem na to poradzić.

Nie mam pojęcia, jak długo się skradałem. Godzinę? Dwie? Im bardziej się zbliżałem, tym mocniej waliło mi serce i tym apetyczniej wyglądała mewa. Miało się wrażenie, że ze mnie drwi; byłem przekonany, że zerwie się do lotu, jak tylko dotrę na odległość celnego rzutu kamieniem.

Drżały mi nogi i ręce, w ustach zaschło, kikut potwornie bolał. Podejrzewam, że głód narkotykowy też robił swoje, choć nigdy nie przypuszczałem, że pojawi się tak szybko. Przecież zażywałem to świństwo dopiero od tygodnia.

Nieważne. Bez tego nie dałbym rady. Na szczęście mam ogromny zapas. Jeśli później, po powrocie do Stanów, będę musiał się poddać leczeniu odwykowemu, zrobię to z uśmiechem na ustach, w najlepszej klinice w Kalifornii, na razie mam zupełnie inne problemy.

Byłem coraz bliżej, ale wciąż bałem się rzucić. Ogarnęło mnie obłąkańcze przekonanie, że na pewno chybię, co najmniej o pół metra. Musiałem jeszcze się przysunąć, pełzłem więc w górę po skałach z odchyłoną do tyłu głową, a pot płynął strumieniami po moim wyniszczonym, przypominającym stracha na wróble ciele. Mówiłem już, że zaczęły mi się psuć zęby? Gdybym był przesądny, podejrzewałbym, że to dlatego, że zjadłem...

Ha! Na szczęście wiemy lepiej, prawda?

Znowu się zatrzymałem. Dotarłem już bliżej niż do dwóch poprzednich mew, ale nadal nie mogłem się zdecydować na rzut. Ścisnąłem kamień tak mocno, aż rozbolały mnie palce, wciąż jednak nie podejmowałem próby. Zbyt dobrze zdawałem sobie sprawę, co to będzie oznaczać, jeżeli chybię.

Nie obchodzi mnie, co się stanie, jeśli zużyję cały towar! Wydam ich wszystkich w sądzie! Wystąpię jako świadek koronny oskarżenia, a potem resztę życia spędzę gdzieś w ukryciu! Resztę cholernie długiego życia!

Chyba podpełzłbym jeszcze bliżej, gdyby nie to, że wreszcie poderwała się do lotu. Podpełzłbym i skrzył jej kark! Ona jednak rozpostarła skrzydła, ja zaś wrzasnąłem przeraźliwie, dźwignąłem się na kolana i z całej siły cisnąłem kamień. I trafiłem!

Ptaka zaskrzeczało, po czym runął na ziemię po drugiej stronie skały. Bełkocąc coś radośnie i zupełnie nie przejmując się tym, że może uszkodzić niezabliźnioną jeszcze ranę i wykrwawić się na śmierć, wczółgałem się na szczyt, przewaliłem się przez ostrą skalną krawędź i mocno uderzyłem się w głowę. Wtedy w ogóle nie zwróciłem na to uwagi, choć teraz mam potężnego guza. Myślałem tylko o tym, że trafiłem! Trafiłem ptaka w locie! Co za fantastyczne szczęście! Zbroczony krwią uciekał na piechotę w kierunku plaży, wlokąc za sobą złamane skrzydło.

Pełzłem najszybciej, jak mogłem, ale on był szybszy. Wyścig kalek! Cha, cha! Mimo wszystko dopadłbym go, gdyby nie moje ręce. Muszę je oszczędzać. Mogę ich jeszcze potrzebować. Chociaż przez cały czas o tym pamiętałem, to kiedy dotarłem na wąską plażę, dłonie miałem podrapane do krwi, a chwilę potem uderzyłem zegarkiem w kamień, rozbijając szkiełko.

Mewa z przeraźliwym wrzaskiem Wpadła do morza, sięgnąłem po nią, w garści zostało mi parę piór, chwilę potem zaś runąłem twarzą do wody. Krztusząc się, parszcząc i plując pełzłem dalej, zacząłem nawet płynąć. Opatrunek zsunął się z kikuta, zanurzyłem się raz, drugi, zawróciłem i z najwyższym trudem dotarłem z powrotem na plażę. Wyczerpany, niemal sparaliżowany bólem, szlochałem i przeklinałem mewę, która, dając słabe oznaki życia, kołysała się na falach najpierw kilka, a potem kilkanaście metrów od brzegu. W pewnej chwili chyba zacząłem ją błagać, żeby wróciła. A potem, już martwą, ocean zabrał za rękę.

To nie w porządku.

Droga powrotna do obozu zajęła mi niemal godzinę. Zażyłem potężną dawkę heroiny, lecz nadal jestem wściekły na tę mewę; skoro i tak miała uciec, to dlaczego tak długo mnie zwodziła?

Dlaczego po prostu nie odleciała?

9 lutego

Amputowałem lewą stopę, kikut obwiązałem majtkami. Dziwne. Podczas operacji potwornie się śliniłem. Zupełnie jak wtedy, kiedy zobaczyłem mewę. Nic nie mogłem na to poradzić, ale

przynajmniej zdołałem powstrzymać się do zapadnięcia zmroku. Dwadzieścia albo trzydzieści razy liczyłem wstecz od stu. Cha, cha!

A potem...

To tylko zimny befsztyk, powtarzałem w duchu. To zimny befsztyk. To zimny befsztyk.

11(?) lutego

Od dwóch dni pada. I wieje. Zdołałem usunąć trochę kamieni ze zbocza "góry", dzięki czemu powstała płytka grot, do której wpełzłem. Złapałem małego pajęczka i zjadłem. Bardzo smaczny. Soczysty. Przyszło mi do głowy, że skały mogą zsunąć się po zboczu i pogrzebać mnie żywcem; nie mnie to nie obchodzi.

Przespałem cały sztorm. Być może trwał nie dwa, ale trzy dni, albo tylko jeden, lecz mam wrażenie, że ściemniało się dwa razy. Uwielbiam spać. Nic mnie wtedy nie boli, nic nie swędzi. Jestem pewien, że jakoś z tego wyjdę. Nie może być, żeby człowiek przeszedł przez coś takiego na próżno.

U Świętej Rodziny był pewien ksiądz, nieduży człowieczek, który uwielbiał rozprawać o piekle i grzechach śmiertelnych. Taki był jego konik. Uważał, że nie ma możliwości odkupienia grzechu śmiertelnego. Teraz mi się przyśnił. Ojciec Hailley stał przede mną w czarnej sutannie, z tym swoim czerwonym od whisky nosem, groził mi palcem i mówił: "Wstydz się, Richardzie Pinzetti... popełniłeś grzech śmiertelny... jesteś już potępiony, chłopcze... potępiony...". Roześmiałem mu się w twarz. Jeśli to nie jest piekło, to nie wyobrażam sobie, jak mogłoby wyglądać. A jedynym autentycznym grzechem śmiertelnym jest zwątpienie.

W przerwach między majaczeniami odchodzę od zmysłów z powodu swędzenia kikutów. Jednocześnie ani na chwilę nie przestają mnie boleć - wszechobecna wilgoć jeszcze bardziej pogarsza sprawę.

Mimo to nie poddam się. Daję słowo. Moje cierpienie nie może pójść na marne.

12 lutego

Słońce znowu świeci. Piękny dzień. Mam nadzieję, że chłopcom z sąsiedztwa przymarzają tyłki. To był dla mnie dobry dzień, chyba najlepszy do tej pory. Gorączka trochę opadła; co prawda, kiedy wpełzłem z kryjówki, byłem potwornie osłabiony i dygotałem jak galareta, ale po dwóch czy trzech godzinach wylegiwania się w promieniach słońca na ciepłym piasku znowu poczułem się niemal jak człowiek.

Potem popęzłem na południowy skraj wyspy, gdzie fale wyrzuciły na brzeg sporo kawałków drewna, w tym parę desek z mojej szalupy. Zdrapałem z nich wszystkie glony i porosty, i zjadłem. Smakowało okropnie, jak plastikowa zasłonka od prysznic, ale od razu nabrałem sił.

Odciągnąłem drewno żeby wyschło, tak daleko, jak mogłem. Mam przecież całe pudełko wodoodpornych zapalek. Jeśli niedługo ktoś zjawi się w pobliżu, rozpalę ogień, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jeśli nie - wreszcie coś ugotuję. A teraz trochę się zdrzemnę.

13 lutego

Zabiłem małego kraba, upiekłem i zjadłem. Jestem prawie gotów znowu uwierzyć w istnienie Boga.

14 lutego

Dopiero dziś zauważyłem, że podczas sztormu fale zabrały większość kamieni tworzących napis POMOCY. Ale przecież od sztormu minęło... ile?... chyba trzy dni. Czy to możliwe, żebym był aż

tak naćpany? Muszę wziąć się w garść i zmniejszyć dawki. A co by było, gdyby w tym czasie w pobliżu pojawił się jakiś statek?

Ułożyłem napis na nowo. Zajęło mi to prawie cały dzień, a teraz jestem potwornie zmęczony. Szukałem kraba tam, gdzie złapałem poprzedniego, ale bez rezultatu. Pokaleczyłem sobie ręce, więc pomimo zmęczenia musiałem jeszcze zdezynfekować rany jodyną. Muszę dbać o ręce. Za wszelką cenę.

15 lutego

Dziś na szczycie skały usiadła mewa. Odleciała, zanim zdołałem się zbliżyć. Życzyłem jej, żeby trafiła do piekła i do końca wieczności wydziobywała małe, nabiegłe krwią oczka ojca Hailleya. Cha, cha!
Cha!

17(?) lutego

Amputowałem prawą nogę w kolanie. Straciłem mnóstwo krwi. Pomimo heroiny ból okropny. Zwyczajny człowiek na pewno by tego nie przeżył. Jak bardzo pacjentowi zależy na tym, żeby przeżyć? Jak bardzo?

Trzęsą mi się ręce. Jeśli mnie zawiodą, będzie po mnie. Nie mają prawa mnie zawieść. Nie mają prawa. Zawsze się o nie troszczyłem. Jeśli mnie zawiodą, pożałują tego.

Przynajmniej nie jestem głodny.

Deska z mojej szalupy pękła w połowie. Na końcu jednej części pozostał długi, gruby i ostry zadziór. Posłużył mi za ruszt. Ślina ciekła mi strumieniami, ale zczekałem do wieczora. A potem myślałem o... och, o przyjęciach pod gołym niebem. Will Hammersmith miał przy swoim domu na Long Island tak wielki grill, że można by tam upiec świnię w całości. Siadywaliśmy o zmierzchu na werandzie ze szklaneczkami w rękach, rozmawialiśmy o technikach operacyjnych albo o golfie, albo o czymkolwiek, wdychając niesiony wiatrem, aromatyczny zapach pieczonej wieprzowiny. Na Judasza! Słodki, wspaniały zapach pieczonej wieprzowiny...

(?) lutego

Druga noga, też w kolanie. Potem przez cały dzień chciało mi się spać. "Panie doktorze, czy ta operacja była konieczna?". Cha, cha. Ręce trzęsą mi się jak starcowi. Nienawidzę ich. Pod paznokciami zaschnięta krew. Strupy. Pamiętacie tego manekina z przezroczystym brzuchem? Tak właśnie się czuję. Tyle że nie chcę patrzeć. Ani trochę. Jak to mawiał Nicolo? "Czemu nie, mogę pójść z tą cizią, ale nie chcę na nią patrzeć. Ani trochę". Stary dobry Nicolo. Czasem żałuję, że wyprowadziłem się z sąsiedztwa. Nogi same się rwą, żeby tam wrócić. Cha, cha.

Na szczęście zdaję sobie sprawę, że po rehabilitacji, z protezami najnowszej generacji, mogę jeszcze być jak nowy. Wrócę tu i będę wszystkim mówić: "To tutaj wszystko się wydarzyło".

Cha, cha, cha!

23 (?) lutego

Znalazłem martwą rybę. Była w stanie zaawansowanego rozkładu, potwornie cuchnęła, ale ją zjadłem. Długo walczyłem, żeby się nie porzygać. Wyjdę z tego. Naćpany, podziwiam zachody słońca.

Luty

Boję się, ale muszę. Tylko czy uda mi się podwiązać tętnicę udową? Tak wysoko jest gruba jak pieprzona rura wodociągowa.

Jakoś musi się udać. Tym długopisem narysowałem linię cięcia w górnej części uda. Tam jeszcze zostało trochę mięsa.

Gdybym tylko przestał się ślinić...

Lu

W najbliższej... restauracji... McDonald'sa... czeka... na ciebie... pyszny zestaw... podwójny befsztyk... chrupiąca satata... cebula... rzodkiewka... a to wszystko... w świeżej... chrupiącej... bułce sezamowej... O la la... la la... la la la...

Lu ty

Dziś zobaczyłem swoje odbicie w wodzie. Czaszka obciążnięta skórą. Czy już postradałem zmysły? Z pewnością. Jestem potworem, dziwolągiem. Nic poniżej pasa. Głowa przytwierdzona do tułowia, wędrująca po plaży za pomocą łokci. Zupełnie jak krab. Naćpany krab. Może dałoby się coś na tym zarobić: "Hej, koleś, jestem biedny naćpany krab, może odpalisz mi parę centów?".
Cha, cha, cha.

Jeśli rzeczywiście stajesz się tym, co jesz, to ja WCALE SIĘ NIE ZMIENIŁEM!!! Dobry Boże wstrząs pourazowy wstrząs pourazowy CZEGOŚ TAKIEGO W OGÓLE NIE MA.

4011

Śnił mi się mój ojciec. Po pijanemu zapominał, jak się mówi po angielsku. Nieistotne, bo i tak nie miał nic sensownego do powiedzenia. Pieprzony dupek. Nawet nie masz pojęcia tatusiu jaka to była przyjemność przerosnąć cię o kilkadziesiąt głów ty cholerny tłusty pieprzony dupku ty beznadziejny fagasie ty wielkie okrągłe zero. Wiedziałem, że mi się uda. Przerosłem cię, może nie? Dzięki moim rękom.

Ale moje ręce już nie mają czego robić. Wczoraj obciąłem sobie małżowiny.

ręka rękę myje niech nie wie prawica co czyni lewica temu dała na miseczkę temu dała na łyżeczkę

Cha cha cha

Co za różnica. Ta ręka czy tamta. Dobre mięso dobre jedzenie dobry Boże siadamy do stołu.

palce lizać naprawdę palce lizać

Przełożył

Arkadiusz Nakoniecznik

CIEŻARÓWKA WUJA OTTO

Możliwość spisania tego wszystkiego sprawia mi ogromną ulgę.

Od czasu kiedy znalazłem mojego wuja Otto martwego, bardzo źle śpiam i wiele razy poważnie zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zwariowałem... albo czy czasem nie jestem o krok od szaleństwa. W pewnym sensie łatwiej byłoby mi znieść to wszystko, gdybym nie miał jej tutaj, w swoim pokoiku, gdzie mogę się jej przyglądać, brać ją do ręki i ważyć w dłoni, kiedy tylko zechcę. Tyle że wcale nie chcę. Nie chcę jej dotykać. Czasem jednak nie mogę się powstrzymać. Gdybym nie zabrał jej z małej, jednoizbowej chatynki wuja, kiedy z niej uciekałem, mógłbym spróbować wytłumaczyć sobie, że to wszystko było jedynie przywidzeniem - złudzeniem

przepracowanego umysłu poddanego jednoczesnemu działaniu zbyt dużej ilości bodźców. Ale mam ją tutaj. Kiedy biorę ją do ręki, wyraźnie czuję jej ciężar.

Bo widzicie, to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Większość z was, czytając to krótkie wspomnienie, z pewnością mi nie uwierzy, chyba że coś podobnego wam również się przydarzyło. Wydaje mi się, że cel, który sobie obrałem jako autor tych zapisków, oraz cel, do którego doprowadzi was ich lektura, znajdują się na przeciwnych biegunach. Widzę już, że szukając uśmierzenia dla swych niepokojów, narażę się na gorycz ośmieszenia, ponieważ tam gdzie ja chcę znaleźć ulgę, wy dojrzycie blagę. Ale opowiem całą historię, tak czy inaczej. Wierzcie sobie lub nie, jak tam chcecie.

Każda opowieść grozy bądź sięga w przeszłość, by szukać tam mrocznej genezy opisywanych wydarzeń, bądź też odkrywa jakąś posępną tajemnicę. W mojej historii będzie i geneza, i tajemnica. Najpierw sięgnijmy więc w przeszłość... opowiem wam, jak doszło do tego, że mój wuj Otto - człowiek, jak na stosunki panujące w okręgu Castle, bajecznie bogaty - spędził ostatnie dwadzieścia lat swojego życia w jednoizbowej chatynce bez prądu, wody i kanalizacji, przy bocznej drodze wiodącej do małego miasteczka.

Wuj Otto urodził się w tysiąc dziewięćset piątym roku jako najstarsze spośród pięciorga dzieci w rodzinie Schenków. Mój ojciec, urodzony w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym, był najmłodszy z rodzeństwa. Ja z kolei byłem najmłodszym dzieckiem mojego ojca, a urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym, tak więc odkąd pamiętam, wuj Otto zawsze wydawał mi się bardzo stary.

Wzorem wielu przedsiębiorczych Niemców, moi dziadkowie przybyli do Ameryki ze swoimi oszczędnościami. Dziadek osiedli się w Derry ze względu na rozwijający się tam przemysł drzewny, na którym trochę się znał. W interesach wiodło mu się niezgorzej, tak więc wkrótce zapewnił swojemu potomstwu dość komfortowe warunki życia.

Dziadek zmarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku. Wuj Otto, wówczas dwudziestoletni, był jedynym z rodzeństwa, który otrzymał po swym ojcu całą spuściznę. Przeniósł się do Castle Rock i zaczął spekulować na rynku nieruchomości. Przez następne pięć lat udało mu się zbić znaczną fortunę na handlu lasami i gruntami. Kupił sobie ogromny dom na wzgórzu Castle, utrzymywał służbę i w pełni korzystał ze statusu młodego, względnie przystojnego ("względnie", ponieważ nosił okulary) kawalera, który dla każdej panny stanowił znakomitą partię. Nikt nie uważał go jeszcze za dziwaka. To przyszło znacznie później.

Podczas krachu w dwudziestym dziewiątym poniósł straty - nie tak wielkie jak inni, ale zawsze. Utrzymywał swoje wielkie domostwo na wzgórzu Castle do tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego, kiedy to postanowił je spieniężyć, ponieważ nadarzyła się niebywała okazja zakupu olbrzymich połaci lasu wystawionych na sprzedaż po śmiesznie niskiej cenie, on zaś nabrał ogromnej ochoty na te tereny. Lasy należały do spółki New England Paper.

Firma New England Paper istnieje do dziś i gdyby ktoś z was chciał kupić jej akcje, to zachęcałbym gorąco do takiej inwestycji. Ale w trzydziestym trzecim firma oferowała ogromne połacie gruntów za cenę, po jakiej sprzedawano pogorzeliska, podejmując kolejne desperackie próby obrony przed bankructwem.

Ile ziemi chciał kupić mój wuj? Oryginalny egzemplarz owianej legendą umowy gdzieś zaginął, a dane zawarte w późniejszych sprawozdaniach znacznie się od siebie różnią... ale tak czy inaczej było tego ponad cztery tysiące akrów. Większość terenów znajdowała się w okręgu Castle Rock, ale ciągnęły się one aż po Waterford i Harlow. W chwili gdy zawierano umowę, firma New England Paper oferowała je po dwa dolary pięćdziesiąt centów za akr... o ile nabywca weźmie wszystko.

W tym wypadku cena całości wynosiła ponad dziesięć tysięcy dolarów. Wuj Otto nie dysponował taką kwotą, dlatego znalazł sobie współnika - człowiek nazywał się George McCutcheon i także pochodził z Północy. Mieszkańcom Nowej Anglii nazwiska Schenck i McCutcheon na pewno są bardzo dobrze znane. Co prawda firma o takiej nazwie została wykupiona już dawno temu, ale wciąż w czterdziestu miastach Nowej Anglii można znaleźć sklepy z narzędziami opatrzone szyldem "Schenck i McCutcheon", a pomiędzy Central Falls a Derry pełno jest składów drzewnych Schencka i McCutcheona.

McCutcheon był potężnym, muskularnym mężczyzną z wielką, czarną brodą. Podobnie jak wuj Otto nosił okulary. Tak samo jak wuj Otto odziedziczył pewną sumę pieniędzy. Musiała to być suma dość pokaźna, ponieważ po połączeniu sił z wujem udało im się sfinalizować całą transakcję bez większych kłopotów. Obaj mieli żyłkę awanturniczą i dobrze się nawzajem rozumieli. Ich spółka przetrwała przez dwadzieścia dwa lata - do roku, w którym się urodziłem - i przez cały ten czas obaj zaznali wyłącznie sukcesów i dobrobytu.

Ale wszystko zaczęło się od nabycia tych czterech tysięcy akrów, które objeżdżali razem furgonetką McCutcheona, gdy pokonywali leśne szlaki i trakty drwali, przez większość czasu na pierwszym biegu, wytrząsając tyłki na wybojach i grzęznąc w rozlewiskach, a także regularnie zmieniając się za kierownicą; dwaj młodzi mężczyźni, którzy stali się ziemskimi potentatami Nowej Anglii w mrocznych głębiach wielkiego kryzysu.

Nie mam pojęcia, gdzie pan McCutcheon natrafił na tę ciężarówkę. Był to wóz nieistniejącej już marki Cresswell, jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie. Miał ogromną kabinę pomalowaną na zewnątrz jaskrawoczerwonym lakierem, szerokie stopnie nadwozia oraz elektryczny rozrusznik, lecz w razie jego awarii można było uruchomić pojazd korbą, aczkolwiek należało przy tym zachować daleko idącą ostrożność, gdyż w przeciwnym razie korba mogła odbić w drugą stronę i złamać kręcącemu rękę. Skrzynia ładunkowa ciężarówki miała długość niemal siedmiu metrów i drewniane burty, ale najbardziej utkwił mi w pamięci kształt maski. Podobnie jak kabina, maska była pomalowana na krwistoczerwony kolor. Aby dostać się do silnika, należało unieść do góry dwie stalowe pokrywy, po jednej z każdego boku. Chłodnica znajdowała się na wysokości klatki piersiowej dorosłego człowieka. Pojazd przypominał olbrzymie, ohydne monstrum.

Ciężarówka pana McCutcheona nieustannie psuła się i była naprawiana, psuła się i była naprawiana. Kiedy ostatecznie odmówiła posłuszeństwa, uczyniła to w nader spektakularny sposób. Zupełnie jak jednokonny rydwan z poematu Holmesa.

Pan McCutcheon i wuj Otto jechali Black Henry Road pewnego dnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku i, jak przyznaje sam wuj, obaj byli zalani w trupa. Wuj Otto wrzucił jedynekę, żeby mogli wjechać na Wzgórze Trójcy. Wjazd poszedł mu całkiem nieźle, ale ponieważ był pijany, zapomniał o wrzuceniu wyższego biegu, kiedy już zjeżdżali z przeciwległego stoku wzniesienia. Stary, sfatygowany silnik cresswellki przegrzał się. Ani pan McCutcheon, ani wuj nie zauważyli, jak wskazówka na kontrolce temperatury mija czerwoną kreskę graniczną, oznaczoną literą H po prawej stronie cyferblatu. U stóp wzgórza nastąpiła eksplozja, która wysadziła do góry składane blachy po bokach maski, upodabniając je do olbrzymich, czerwonych skrzydeł smoka. Zakrętka wlewu chłodnicy z impetem wystrzeliła w bezchmurne niebo. Z wnętrza zbiornika buchnął gejzer pary. Zaraz potem strumień gorącego oleju zalał przednią szybę. Wuj Otto z całej siły nacisnął stopą hamulec, lecz ciężarówka już od dobrego roku miała nieprzyjemny zwyczaj strzykania płynem hamulcowym, w związku z czym pedał jedynie zagłębił się mocno w gumową wycieraczkę. Wuj całkowicie stracił panowanie nad kierownicą i wkrótce zjechali z drogi, najpierw do rowu, potem na ciągnące się za rowem pole. Gdyby tam cresswellka utknęła, wszystko mogło skończyć się dobrze. Tymczasem silnik wciąż

pracował i najpierw wystrzelił jeden tłok, a następnie jeszcze dwa, niczym race w Dzień Niepodległości. Jeden z tłoków, jak opowiadał wuj, z potwornym zgrzytem przebił się przez drzwi po jego stronie, które zaraz potem same się otworzyły. Przez powstały otwór spokojnie można było przycisnąć zaciśniętą pięść. W końcu zatrzymali się pośrodku pola porośniętego sierpniową nawłocią. Mieliby stamtąd wspaniałą widok na panoramę Gór Białych, gdyby przednia szyba nie była cała zalana olejem Diamond Gem.

To była ostatnia jazda cresswellki pana McCutcheona. Nigdy już nie ruszyła się z tamtego pola. Nie usłyszeli protestów ze strony właściciela gruntu, gdyż był on wspólną własnością niefortunnych kierowców. Otrzeźwiawszy gwałtownie pod wpływem dramatycznych doświadczeń, obaj mężczyźni wyszli na zewnątrz, aby oszacować straty. Żaden z nich nie był mechanikiem, ale i bez takich kwalifikacji każdy by zauważył, że rany pojazdu były śmiertelne. Wuj Otto przeżył wstrząs - przynajmniej tak mówił mojemu ojcu - i zaoferował się zapłacić za zniszczoną ciężarówkę. George McCutcheon powiedział mu, żeby się nie wygłupiał. W ogóle pan McCutcheon wpadł w stan przypominający ekstazę. Omiótł wzrokiem pole, przepyszna panoramę gór i w jednej chwili zdecydował, że w tym właśnie miejscu zbuduje sobie na starość dom. Oznajmił to wujowi tonem, który zazwyczaj rezerwuje się dla uroczystych chwil religijnego nawrócenia. Wrócili na drogę i złapali przejeżdżającą furgonetkę z piekarni Cushmana, która podwiozła ich do Castle Rock. Pan McCutcheon powiedział mojemu ojcu, że w całym tym wydarzeniu dostrzegł palec Boży - od dawna już bowiem szukał jakiegoś dogodnego miejsca i nagle okazało się, że miał je zawsze pod bokiem, na tym polu, które mijali trzy lub cztery razy w tygodniu, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem. To palec Boży, powtarzał, nie wiedząc, że dwa lata później zginie na tym samym polu przygnieciony przednią częścią własnej ciężarówki, która stała się własnością wuja Otto w chwili, gdy jego współnik zszedł z tego świata.

Pan McCutcheon zapłacił Billy'emu Doddowi z pomocy drogowej, by pojechał swoim wozem do cresswellki i obrócił ją przodem do drogi, gdyż - jak mówił - chciał spoglądać na nią za każdym razem, kiedy będzie tamtędy przejeżdżał, i rozkoszować się myślą, że następnym razem, kiedy Billy Dodd przyjedzie po starą landarę i usunie ją na dobre, to po to, by w chwilę później na pole mogła wejść brygada budowlana, aby kopać fundamenty pod jego dom. Był bowiem człowiekiem cokolwiek sentymentalnym, aczkolwiek nie na tyle, żeby pozwolić, aby jakiegokolwiek sentymenty przeszkodziły mu w zarobieniu choćby dolara. Kiedy pewien drwal nazwiskiem Baker zgłosił się do niego rok później z propozycją odkupienia kół cresswellki wraz z oponami i całą resztą, ponieważ rozmiarem pasowały do jego wozu, pan McCutcheon bez chwili wahania wyciągnął od mężczyzny 20 dolarów. A nie zapominajmy, że był to człowiek, którego majątek szacowano wówczas na milion dolarów. Poleciał również Bakerowi, aby wsparł ciężarówkę na odpowiednich bloczkach. Powiedział, iż przejeżdżając przez tamte okolice, nie życzy sobie oglądać własnej ciężarówki postawionej bezpośrednio na ziemi, skrytej wśród wyrastających na wysokość biodra źdźbeł trawy, tymotki i nawłoci, niczym jakiś porzucony wrak. Baker zastosował się do jego polecenia. W rok później ciężarówka zsunęła się z bloczków i śmiertelnie przygniotła swojego właściciela. Starzy ludzie z lubością opowiadali sobie tę historię, na koniec nieodmiennie wyrażając nadzieję, że stary Georgie McCutcheon zdążył poużywać sobie za te dwadzieścia dółców, które wydebił za koła od starej ciężarówki.

Całe dzieciństwo i młodość spędziłem w Castle Rock. W chwili moich narodzin ojciec mój przepracował już dla firmy "Schenck i McCutcheon" prawie dziesięć lat, a ciężarówka, która wraz z całym majątkiem pana McCutcheona przeszła na własność dziadka, miała zająć poczesne

miejsce w moim życiu. Moja matka robiła zakupy w sklepie Warrena w Bridgton, dokąd można było się dostać tylko drogą wiodącą obok Wzgórza Trójcy. Tak więc za każdym razem, kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy, widzieliśmy ciężarówkę tkwiącą pośrodku pola na tle panoramy Gór Białych. Nie stała już na bloczkach - wuj Otto twierdził, że jeden nieszczęśliwy wypadek to i tak o jeden za dużo. Jednakże na samą myśl o wydarzeniach, jakie rozegrały się w tym miejscu, zaraz zaczynałem trząść swoimi krótkimi spodenkami.

Stała tam niezmiennie - latem, jesienią, gdy dęby i wiązy okalające pole z trzech stron zmieniały się w płonące pochódnie, stała zimą, kiedy zasy pyły nieraz zakrywały jej przednie reflektory przypominające oczy ogromnego owada, nadając jej wygląd mastodonta zaciekle broniącego się przed wciągnięciem przez białe ruchome piaski, stała wiosną, kiedy pole zamieniało się w ogromne trzęsawisko marcowego błota i można było się dziwić, dlaczego jeszcze nie zapadła się w rozmiękną ziemię. Gdyby nie leżące pod spodem pokłady solidnej skały, prawdopodobnie dawno by już to się stało. Przez wszystkie mijające pory roku i lata, ciężarówka stała na swoim miejscu.

Raz nawet byłem w środku. Pewnego dnia, gdy jechaliśmy na targ we Fryeburgu, mój ojciec zatrzymał się na skraju drogi, wziął mnie za rękę i wyprowadził na pole. To musiało być gdzieś w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym albo sześćdziesiątym pierwszym, tak mi się przynajmniej wydaje. Widok ciężarówki napawał mnie strachem. Nieraz słyszałem opowieści o tym, jak zsunęła się z klocków i zmiażdżyła współnika mego wuja. Miałem okazję nasłuchać się tej historii u fryzjera, siedząc cichutko jak mysz pod miotłą, ukryty za szeroko rozpostartym tygodnikiem "Life", którego i tak nie byłem w stanie czytać, chwytając uchem słowa mężczyzn wspomnianych, jak pan McCutcheon został przygnieciony, i z przekąsem wyrażających nadzieję, że stary Georgie zdążył chociaż poużywać sobie za tamte dwadzieścia dolców, które dostał za koła. Jeden z nich - mógł to być nawet sam Billy Dodd, ojciec szalonego Franka - mawiał, że pan McCutcheon wyglądał jak "dynia, którą rozjechał traktor". Te słowa prześladowały mnie w myślach przez długie miesiące... ale mój ojciec, rzecz jasna, nie miał o tym zielonego pojęcia.

Mojemu ojcu wydawało się, że pewnie chciałbym posiedzieć sobie w kabinie tego starego gruchota. Widział, jak uporczywie wlepiał oczy w ciężarówkę za każdym razem, kiedy ją mijamy, i przypuszczalnie wziął lęk, jaki we mnie wzbudzała, za przejaw fascynacji. Pamiętam nawłoc, jej kwiatki, których jasnożółta barwa przygasła ściętą październikowym chłodem. Pamiętam smak poszarzałego powietrza, gorzkawy, a przy tym cierpki, oraz srebrny poblask zwiędłej trawy. Pamiętam suchy szelest żdźbeł pod naszymi stopami. Lecz najbardziej utkwił mi w pamięci widok ciężarówki wyrastającej przed nami, coraz większej i większej, witającej nas groźnie wyszczerzoną chłodnicą, krwistą czerwienią lakieru, zamglonym spojrzeniem przedniej szyby. Pamiętam, jak z wolna zalewała mnie fala strachu, zimniejsza i ciemniejsza niż przenikliwe powietrze, kiedy ojciec ujął mnie pod pachy i uniósł na wysokość kabiny, mówiąc: "Pojeżdż nią aż do Portland, Quentin... włącz!". Pamiętam, jak wiatr muskał mi policzki, gdy wznosiłem się coraz wyżej i wyżej aż do chwili, kiedy jego rześki powiew został zastąpiony duszną wonią starego oleju Diamond Gem, popękanej skóry na siedzeniach, mysich odchodów i... przysięgam... krwi. Pamiętam, jak z trudem powstrzymywałem łzy, podczas gdy ojciec stał na dole, uśmiechając się do mnie szeroko, najwyraźniej przekonany, że zapewnia mi niesamowite emocje (tak było w istocie, ale były to zupełnie inne emocje, niż on sobie wyobrażał). Nagle nabrałem niezbitą pewności, że za chwilę ojciec odejdzie na parę kroków lub przynajmniej odwróci się plecami, a wtedy ciężarówka mnie pożre... pożre mnie żywcem. A to, co później wypluje, będzie wyglądało na jakieś przeżute resztki, na coś, co ustąpiło pod naporem ogromnej siły i... rozpękło się. Niczym dynia rozjechana przez traktor.

Wybuchnąłem płaczem i mój ojciec, który był wspaniałym facetem, wyciągnął mnie z ciężarówki, uspokoił i zaniósł z powrotem do naszego samochodu.

Niósł mnie na rękach, przyciskając do piersi, a ja spoglądałem ponad jego ramieniem na oddalającą się ciężarówkę stojącą pośrodku pola, z wystającą ogromną chłodnicą i ciemnym okrągłym otworem na końcówkę korby, który wyglądał jak jakiś upiornie przesunięty oczodół, i chciałem mu powiedzieć, że poczułem zapach krwi i że właśnie dlatego się rozpląkałem. Nie wiedziałem jednak, jak mam to zrobić. Myślę, że i tak by mi nie uwierzył.

Jako pięciolatek, który wciąż wierzył w Świętego Mikołaja, Zajączka Wielkanocnego i Czarnego Luda, byłem pewny, że te potworne, przerażające przecucia, które osaczyły mnie w chwili, gdy zostałem umieszczony przez ojca w szoferce, pochodziły od samej ciężarówki. Jednak dopiero po dwudziestu dwóch latach nabrałem przekonania, że to nie cresswellka zamordowała George'a McCutcheona. Że zrobił to wuj Otto.

Czerwona ciężarówka zajęła bardzo ważne miejsce w moim życiu, ale także mocno utrwaliła się w świadomości wszystkich mieszkańców okolicy. Pytającym o drogę z Bridgton do Castle Rock mówiono, że jeśli zobaczą wielką, starą, czerwoną ciężarówkę tkwiącą na łące po lewej stronie drogi jakieś pięć kilometrów po zjeździe z jedenastki, to znaczy, że jadą we właściwym kierunku. Nieraz widywało się turystów parkujących na nieutwardzonym poboczu (w którym często zdarzało im się utknąć, wystawiając się na pośmiewisko miejscowych), jak robili zdjęcia panoramy Gór Białych z ciężarówką wuja na pierwszym planie, dla ukazania malowniczej perspektywy. Przez długi czas mój ojciec nazywał cresswellkę Cudowną Ciężarówką ze Wzgórza Trójcy, ale po jakimś czasie zaniechał tych żartów. Obsesja wuja Otto na punkcie tego pojazdu stała się na tyle poważna, że wszelkie dowcipy na jej temat przestały śmieszyć.

To tyle, jeśli chodzi o genezę. Teraz przejdźmy do tajemnicy.

Co do tego, że wuj zabił pana McCutcheona, mam absolutną pewność. "Zmiażdżyło go jak dynię", powiadali miejscowi notable gromadzący się na pogwarki u fryzjera. Jeden z nich zawsze dodawał przy takich okazjach: "Założę się, że leżał plackiem przed tom cieżarówkom, jak jaki sierściuch arabus modloncy sie do Arlaha. To do niego podobne. Oba byli trochu nawiedzeni. Nie wierzyta mi, to patrzta, co się porobiło ze starym Otto Shenckiem. Mieszka tera po drugiej stronie drogi, w tym domku, co to myślał, że miasto weźnie na szkołę, a we łbie ma pokrecono jak szcur z wychodka".

Opinie takie kwitowano ogólnym kiwaniem głowami i wymianą spojrzeń przepojonych życiową mądrością, ponieważ wtedy już wszyscy mieli wuja za starego dziwaka - jasna sprawa! - ale przy tym żadnemu z czcigodnych starców prowadzących uczone rozmowy w zakładzie fryzjerskim obraz pana McCutcheona padającego na twarz przed ciężarówką "jak jaki sierściuch arabus modloncy się do Arlaha" ani przez chwilę nie wydał się podejrzanym ani ekscentrycznym.

Plotka ma zawsze wielką moc w małym miasteczku: człowiekowi zostaje przypięta łatka złodzieja, rozpustnika, kłusownika czy oszusta na podstawie najbłahszych dowodów i najbardziej pokretnych dedukcji. W moim przekonaniu ludzie często zaczynają obgadywać innych wyłącznie z nudów. Jedyną rzeczą, która sprawia, że przesadą jest nazywać tę całą gadaninę obrzydliwą - choć podobnych określeń na opisanie atmosfery małych miasteczek używa większość pisarzy, od Nathaniela Hawthorne'a po Grace Matalious - jest fakt, iż większość tych plotek rodem z magła, budki z piwem i zakładu fryzjerskiego poraża swą naiwnością, tak jakby tworzący je ludzie do tego stopnia zakładali wszechobecność podłości i niegodziwości, że byli gotowi je sobie uroić tam, gdzie trudno się ich było dopatrzeć, gdy tymczasem realne i w pełni świadome zło nie

mieściło im się w głowach i nie byli w stanie dostrzec go, nawet jeśli przelatywało tuż przed ich oczami niczym magiczny latający dywan z baśni tych sierściuchów arabusów.

Skąd wiem, że to wuj? - zapytacie. Czy po prostu stąd, że w owym dniu był razem z panem McCutcheonem? Nie. Wszystko przez ciężarówkę. Przez cresswellkę. Kiedy już całkowicie poddał się obsesji, zamieszkał naprzeciwko pojazdu, w tym malutkim domku... mimo że przez ostatnie kilka lat życia zaryty w ziemi po drugiej stronie drogi samochód napawał go śmiertelnym przerażeniem.

Myślę, że wuj Otto wyciągnął pana McCutcheona na pole, gdzie wsparta na bloczkach stała cresswellka, pod pretekstem omówienia jego planów budowy domu. Pan McCutcheon zawsze chętnie rozmawiał na temat swojej wymarzonej inwestycji i zbliżającej się emerytury. Pewna bardzo duża firma - nie będę tu wymieniał jej nazwy, ale wiem, że nie byłaby wam obca - złożyła wspólnikom poważną ofertę dotyczącą odkupienia ich spółki i pan McCutcheon był gotów ją przyjąć. Wuj Otto sprzeciwiał się takim pomysłom. Od wiosny toczyła się pomiędzy partnerami cicha wojna dotycząca wspomnianej oferty. Sądzę, że właśnie ten spór stanowił powód, dla którego wuj Otto zdecydował pozbyć się swojego wspólnika.

Jestem przekonany, że wuj zaaranżował całą sytuację, czyniąc odpowiednie przygotowania. Po pierwsze poluzował bloczki podtrzymujące ciężarówkę. Po drugie położył coś na ziemi lub nawet wkopał tuż przed samochodem w taki sposób, aby pan McCutcheon to zauważył.

Co to mogło być? Bo ja wiem. Coś błyszczącego. Diament? Może tylko kawałek szkła? Nie ma to najmniejszego znaczenia. Rzecz ta połyskuje w słońcu i odbija jego promienie. Być może przyciąga to uwagę pana McCutcheona. Jeśli nie, wuj sam pokazuje mu tajemniczy przedmiot. "A to co?", pyta się wskazując palcem. "Nie wiem", odpowiada pan McCutcheon i biegnie, aby się przyjrzeć błyskotce.

Pan McCutcheon przykłęka tuż przed cresswellką, jak jeden z tych sierściuchów arabusów modlących się do Arlaha, starając się wydobyć błyszczący przedmiot z ziemi, podczas gdy mój wuj wolnym krokiem, niby mimochodem, przechodzi na drugi koniec unieruchomionego pojazdu. Jedno mocne pchnięcie i ciężarówka zsuwa się z bloczków, przygniatając pana McCutcheona. Miażdżąc go jak dynię.

Podejrzewam, że zahartowany w bojach duch nie pozwolił pan McCutcheonowi łatwo rozstać się z życiem. W wyobraźni widzę go, jak leży przygnieciony pod maską cresswellki, strumienie krwi buchają mu z nosa, ust i uszu, twarz ma bladą jak papier, w oczach mu pociemniało, wzywa wuja na pomoc, prosi go o ratunek. Wzywa... prosi... potem błaga... a w końcu przeklina wuja, obiecuje mu, że kiedyś go dostanie, zabije, wykończy... podczas gdy wuj stoi obok, przypatrując się całej scenie z rękami w kieszeniach, czekając spokojnie, aż wszystko się skończy.

W niedługi czas po śmierci pana McCutcheona mój wuj zaczął zachowywać się w sposób, który u starszyny z zakładu fryzjerskiego zyskał mu najpierw opinię dziwaka... potem odmieńca... a wreszcie "cholernego świra". Na miano "szurniętego jak szczur z wychodka", nadane mu w barwnym żargonie okolic fryzjera, zasłużył sobie znacznie później, lecz mało kto żywił jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że wszelkie osobliwe zmiany w postępowaniu wuja zaczęły się od chwili śmierci George'a McCutcheona.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku wuj Otto kazał wybudować naprzeciwko ciężarówce, po drugiej stronie Szosy mały, jednoizbowy domek. Krążyło mnóstwo pogłosek o tym, co stary Otto Schenck zamyśla stworzyć przy Black Henry Road nieopodal Wzgórza Trójcy, ale wuj i tak zaskoczył wszystkich, kiedy po ukończeniu małego budynekczku kazał Chuckiemu Bargerowi pociągnąć go jasnoczerwoną farbą, po czym podarował go miastu jako nową szkołę, prosząc jedynie, by nazwano ją imieniem jego tragicznie zmarłego wspólnika.

Radni z Castle Rock nie wiedzieli, jak mają zareagować. Podobnie zresztą jak pozostali mieszkańcy. Niemal wszyscy uczęszczali kiedyś do takiej jednoizbowej szkoły (albo wydawało im się, że uczęszczali, co na jedno wychodzi), jednakże do sześćdziesiątego piątego wszystkie tego rodzaju placówki zostały zlikwidowane w całym okręgu. Ostatnia taka szkoła, która ocalała w Castle Ridge, została ostatecznie zamknięta rok wcześniej. Obecnie mieściła się tam pizzeria przy drodze numer 117. Miasto miało już nową, murowaną i oszkloną podstawówkę po drugiej stronie miejskiego parku oraz bardzo ładne gimnazjum na Carbine Street. Dzięki swej ekscentrycznej ofercie wuj Otto jednym skokiem przebył całą drogę od "dziwaka" do "cholernego świra".

Radni przesłali na jego ręce pismo (żaden z nich nie miał odwagi, by rozmówić się z nim osobiście), w którym uprzejmie dziękowali mu za szczodry dar i wyrażali nadzieję, że w przyszłości także będzie miał miasto w swej łaskawej pamięci, lecz jednocześnie odmówili przyjęcia w darze malutkiej szkółki, uzasadniając to faktem, że istniejąca infrastruktura w wystarczającym zakresie zaspokaja potrzeby oświatowe miejscowych dzieci. Wuj Otto wpadł w szewską pasję. O, bez obawy, zachowa miasto w swojej pamięci, ale nie tak jak sobie to radni wyobrażają. Przecież nie urwał się z choinki. Umiał jeszcze odróżnić ziarno od plew. Jeśli chcą się teraz próbować, kto komu lepiej dosmrodzi, to wkrótce sami się przekonają, że on potrafi tak dosmrodzić jak skunks, co zjadł kociół grochówki.

- Więc co teraz? - spytał go mój ojciec, przerywając tę bezładną tyradę. Siedzieli przy stole w kuchni naszego domu. Moja matka wyniosła się z szyciem na górę. Mówiła, że nie lubi wuja Otto. Twierdziła, że rozsiewa taki zapach, jakby kąpał się raz na miesiąc, niezależnie od potrzeb... "a niby taki z niego bogacz" dodawała zawsze, prychając gniewnie. Jego zapach rzeczywiście mógł ją razić, ale sądzę, że jednocześnie bardzo się go bała. Od sześćdziesiątego piątego wuj Otto zaczął nie tylko zachowywać się jak cholerny świr, ale i wyglądać tak, jakby nim był. Chodził zwykle w zielonych portkach roboczych na szelkach, podkoszulku z zimowej, barchanowej bielizny oraz olbrzymich żółtych kaloszach. Kiedy mówił, nieustannie przewracał oczami, kierując spojrzenie w zupełnie'niespodziewanych kierunkach.

- Hę?

- Co teraz zrobisz z tym budynkiem?

- Sam zamieszkać w tym cholerstwie - uciał wuj i jak powiedział, tak zrobił.

Jeśli chodzi o ostatnie lata jego życia, to niewiele jest do opowiadania. Wuj cierpiał na ten przygnębiający rodzaj szaleństwa, o którym często można przeczytać w prasie brukowej. "Bogacz zmarł z niedożywienia w zwykłej czynszówce", "Bank potwierdza: Kobieta grzebiąca w śmietnikach była milionerką", "Zapomniany rekin bankowości umiera w opuszczeniu". Przeprowadził się do małego, czerwonego domku - w późniejszych latach farba zbladła do jasnego różu - już w następnym tygodniu. Żadne argumenty mojego ojca nie były w stanie odwieść go od tego zamiaru. Rok później sprzedał całą firmę, dla której utrzymanie, według moich podejrzeń, popełnił morderstwo. Jego dziwactwa mnożyły się w zastraszającym tempie, lecz zmysł do interesów nie opuścił go ani na chwilę, dlatego też transakcja przyniosła mu znaczący zysk... chociaż "oszałamiający" byłoby chyba tutaj słowem odpowiedniejszym. Tak więc mój wuj Otto, którego majątek sięgał wtedy około siedmiu milionów dolarów, zamieszkał w malutkiej chatynce przy Black Henry Road. Jego miejską rezydencję zamknięto i zabito deskami. W tym czasie awansował już z "cholernego świra" na "szurniętego jak szczur z wychodka". Następnym krokiem było już określenie może mniej wyszukane, za to brzmiące bardziej złowrogo: "ponoć niebezpieczny dla otoczenia". Po czymś takim należało się jedynie spodziewać żądań oddania wuja pod specjalistyczną opiekę lekarską.

Na swój sposób wuj Otto stał się równie charakterystycznym elementem miejscowego krajobrazu jak ciężarówka po drugiej stronie drogi, aczkolwiek wątpię, by jakikolwiek turysta chciał go kiedykolwiek uwiecznić na swojej fotografii. Zapuścił długą brodę, bardziej żółtą niż siwą, jakby pokrytą nikotynowymi plamami z papierosów, które nieustannie ćmił. Straszliwie utył. Policzki i podbródek obwisły mu w pomarszczonych fałdach zarosłych brudem.

Ludzie często widywali go, jak stał w drzwiach swej dziwacznej posiadłości. Po prostu stał bez ruchu, spoglądając na drogę i rozciągające się za nią pole.

Spoglądając na ciężarówkę - swoją ciężarówkę.

Kiedy wuj Otto przestał przyjeżdżać do miasta, mój ojciec zadbał o to, by nie umarł z głodu. Co tydzień przywoził mu ze sklepu żywność, za którą płacił z własnej kieszeni, ponieważ wuj Otto nigdy nie oddawał mu żadnych pieniędzy. Przypuszczam, że nigdy nawet o tym nie pomyślał. Ojciec zmarł dwa lata przed wujem, którego cała fortuna dostała się w końcu Wydziałowi Leśnictwa Uniwersytetu Maine. Sądzę, że się ucieszyli. Przynajmniej powinni, biorąc pod uwagę wysokość kwoty, jaką otrzymali.

Kiedy w siedemdziesiątym drugim zrobiłem prawo jazdy, często sam woziłem mu zakupy. Z początku wuj Otto traktował mnie nieufnie i podejrzliwie, ale po jakimś czasie lody zostały przełamane. Trzy lata później, w siedemdziesiątym piątym, po raz pierwszy wyznał mi, że ciężarówka z wolna przesuwa się w stronę domu.

W tym czasie studiowałem na Uniwersytecie Maine, ale letnie wakacje spędzałem w domu i wtedy, zgodnie ze starym zwyczajem, woziłem wujowi jego cotygodniowe zakupy. Siedział przy stole, paląc papierosa i wpatrując się we mnie, gdy wypakowywałem puszkowane żarcie, plółt jednocześnie o tym i owym. Pomyślałem, że pewnie zapomniał, kim jestem, czasem miewał wyraźne luki w pamięci... albo udawał, że ma. Pewnego razu sprawił nawet, że poczułem, jak oblewa mnie zimny pot, kiedy słysząc moje kroki zbliżające się ku domkowi, zawołał przez okno: "Czy to ty, George?"

Tamtego lipcowego dnia w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku brutalnie przerwał potok całkiem banalnych wieści z okolicy, jakie mu przyniosłem, aby zachryplym, gorączkowym głosem zadać mi pytanie:

- Co myślisz o tamtej ciężarówce, Quentin?

Pytanie zadane tak niespodziewanie wydusiło ze mnie absolutnie szczerą odpowiedź:

- Kiedy miałem pięć lat, posikałem się ze strachu w kabinie tego gruchota - powiedziałem. -

Myślę, że gdybym wszedł tam teraz, zrobiłbym to samo.

Wuj Otto śmiał się długo i głośno. Obróciłem się i spojrzałem na niego oniemiały. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej słyszałem, jak się śmieje. Ten wybuch zakończył się wyczerpującym atakiem kaszlu, od którego poczerwieniały mu policzki. Potem obrzucił mnie płomiennym spojrzeniem.

- Jest coraz bliżej, Quent - powiedział.

- Co mówisz, wuju? - spytałem. Sądziłem, że znów niespodziewanie zmienił temat, jak to miał w zwyczaju. Może chodziło mu o zbliżającą się gwiazdkę albo milenium, albo ponowne nadejście Chrystusa.

- Ta parszywa ciężarówka - powiedział, spoglądając na mnie porozumiewawczo zmrużonymi oczami, co mi się bardzo nie podobało. - Z każdym rokiem coraz bliżej.

- Czyżby? - zagadnąłem ostrożnie, myśląc, że oto mamy jeszcze jedno, nowe, szczególnie nieprzyjemne urojenie. Wyrzuciłem na dwór i rzuciłem okiem na cresswellkę stojącą po drugiej stronie drogi, obrosniętą trawami i na rozciągające się za nią w tle pasma Gór Białych... i przez jedną krótką, szaloną chwilę rzeczywiście wydało mi się, że ciężarówka stoi znacznie bliżej niż

przedtem. Szybko zamrugałem oczami i przywidzenie Zniknęło. Pojazd stał dokładnie tam, gdzie zawsze.

- Słowo daję - powiedział. - Z każdym rokiem przysuwa się coraz bliżej.

- O kurczę, chyba potrzebujesz okularów. Ja nie mogę dostrzec żadnej różnicy, wujku.

- Pewnie że nie możesz! - odburknął. - Tak jak nie możesz dostrzec ruchu wskazówki godzinowej na swoim zegarku, prawda? Cholerstwo porusza się zbyt wolno, by to zauważyć... chyba że nie spuszcza się z niej oczu przez cały czas. Tak jak ja nie spuszczałem oczu z tej ciężarówki.

Mrugnął do mnie, a ja zadrżałem.

- Dlaczego miałyby się przesuwac? - zapytałem.

- Chce mnie dorwać, dlatego tu pełźnie - odparł. - Cały czas zajmuje moje myśli ten gruchot.

Któregoś dnia wdrze się tutaj i wtedy nastąpi koniec. Rozjedzie mnie tak samo jak Maca i skończy ze mną raz na zawsze.

Te słowa wywołały u mnie w panikę - a najbardziej przerażający był racjonalny ton, jakim je wypowiadał. W takiej sytuacji reakcją charakterystyczną u każdego młodego człowieka jest próba obrócenia wszystkiego w żart.

- Jeśli ci to tak przeszkadza, będziesz musiał sprowadzić się z powrotem do miasta, wujku - powiedziałem, siląc się na beztroski ton, po którym nikt nie mógłby się domyślić, że czuję, jak na plecach cierpie mi skóra.

Wuj spojrział na mnie... a potem na ciężarówkę po drugiej stronie szosy.

- Nie mogę, Quentinie - powiedział. - Czasami człowiek musi pozostać na swoim miejscu i czekać, aż go dopadnie.

- Co takiego? - spytałem, chociaż przypuszczałem, że pewnie chodzi mu o ciężarówkę.

- Przeznaczenie - odpowiedział i ponownie mrugnął... ale wyglądał na przerażonego.

W siedemdziesiątym dziewiątym mój ojciec zapadł na jakąś chorobę nerek, z której właśnie zaczął wychodzić, kiedy ta ostatecznie go dobiła. Podczas licznych odwiedzin w szpitalu jesienią tamtego roku rozmawiałem z nim o wuju. Ojciec miał pewne przypuszczenia dotyczące prawdziwego przebiegu wydarzeń, jakie zaszły w pięćdziesiątym piątym. Były to dosyć łagodne przypuszczenia, które stały się podstawą moich podejrzeń, znacznie poważniejszych. Ale ojciec nie miał pojęcia, jak daleko posunęła się obsesja wuja Otto na tle ciężarówki. Ja wiedziałem. Wuj spędzał niemal całe dnie w drzwiach swojego domku, wpatrując się w samochód. Wpatrując się weń jak człowiek obserwujący swój zegarek, aby dostrzec ruch wskazówki pokazującej godziny.

Gdzieś koło osiemdziesiątego pierwszego wuj Otto postradał resztki zdrowego rozsądku. Jakiś mniej majątny człowiek na jego miejscu już dawno trafiłby do zakładu, ale miliony na koncie bankowym są w stanie usprawiedliwić różne szaleństwa w takiej malutkiej miejscinie jak nasza - szczególnie gdy spora liczba mieszkańców liczy, że taki zbzikowany staruch może coś zapisać miastu w testamencie. Pomimo to, właśnie w osiemdziesiątym pierwszym niektórzy zaczęli na serio mówić o zamknięciu wuja w odpowiednim ośrodku dla jego własnego dobra. Mało zabawne określenie "ponoć niebezpieczny dla otoczenia" zaczęło wypierać "szurniętego jak szczur z wychodka". Od jakiegoś czasu wuj chodził załatwiać potrzebę na pobocze drogi, zamiast udawać się do lasku, gdzie miał swoją wygodkę. Czasami załatwiając się, wygrażał pięścią cresswellce i niejednen przejeżdżający drogą kierowca odnosił wrażenie, że właśnie on jest adresatem żywołowych pomstowań staruszka.

Czerwona ciężarówka na tle malowniczej panoramy Gór Białych nadal stanowiła atrakcję turystyczną, ale w żadnym wypadku nie dało się tego powiedzieć o wuju sikającym na poboczu z opuszczonymi spodniami i szelkami zwisającymi do kolan.

Ja w owym czasie znacznie częściej nosiłem garnitur niż dżinsy, ale wciąż jeździłem do niego z prowiantem. Próbowałem także przekonać go, aby zaprzestał załatwiania się przy drodze, przynajmniej latem, kiedy wystawiał się na widok przejeżdżających tamtędy kierowców z Michigan, Missouri lub Florydy.

Nigdy jednak nie udało mi się dotrzeć do niego z moimi perswazjami. Jak mógłby zawracać sobie głowę tak mało istotnymi sprawami w chwili, gdy musiał pilnować ciężarówki. Jego fantazje na temat cresswellki zdały już przerodzić się w manię. Twierdził, że wóz jest już po jego stronie drogi... a nawet na jego podwórku.

- Zeszłej nocy obudziłem się o trzeciej nad ranem i ujrzałem ją, jak stoi tuż pod moim oknem, Quentinie - mówił. - Widziałem jak blask księżyca odbija się od przedniej szyby, nie dalej jak dwa metry od miejsca, gdzie leżałem, i serce niemal mi stanęło. Słyszysz, serce niemal mi stanęło, Quentinie.

Zaprowadziłem go na dwór i pokazałem mu cresswellkę stojącą tam, gdzie zawsze, po drugiej stronie drogi, na polu, które pan McCutcheon wybrał pod swój dom. Ale to nie nie pomogło.

- To jest tylko to, co widzisz, chłopcze - powiedział z niewymowną pogardą. Dłoń trzymająca papierosa drżała, oczy z wywróconymi dziwacznie źrenicami patrzyły w niewiadomym kierunku.

- To jest tylko to, co widzisz.

- Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal - powiedziałem, siląc się na dowcip. - Prawda jest taka, wuju: jest tylko to, co widzisz, innych rzeczy po prostu nie ma.

Lecz on trwał przy swoim, jakby w ogóle mnie nie słuchał.

- Ta stara landara omal mnie nie dorwała - wyszeptał. Poczułem, jak przebiega mnie dreszcz.

Wcale nie wyglądał na wariata. Oczywiście, sprawiał wrażenie wynędzniałego i przerażonego...

ale nie szaleńca. Przez moment przypomniało mi się, jak ojciec wsadzał mnie do szoferki tamtego wozu. Przypomniałem sobie zapach oleju, skóry i... krwi. - Omal mnie nie dorwała - powtórzył wuj.

Udało się jej w trzy tygodnie później.

To właśnie ja go znalazłem. W środę wieczorem jak zwykle pojechałem do niego z dwoma siatkami wyładowanymi prowiantem, które ułożyłem na tylnym siedzeniu samochodu. Wieczór był gorący i parny. Co jakiś czas w oddali rozlegał się stłumiony grzmot. Pamiętam, że byłem bardzo podenerwowany, jadąc w górę Black Henry Road swoim pontakiem. Miałem przeczucie, że stanie się coś niedobrego, ale przez cały czas próbowałem przekonać samego siebie, że to wszystko sprawka niskiego ciśnienia.

Wziąłem ostatni zakręt i dokładnie w chwili, gdy mały domek wuja znalazł się w moim polu widzenia, miałem niesamowite złudzenie: przez chwilę wydawało mi się, że ta cholerna ciężarówka rzeczywiście podjechała pod same drzwi chatynki, połyskując czerwonym lakierem i strasząc przegniłymi burtami przyczepy. Chciałem natychmiast zahamować, ale zanim moja stopa spoczęła na pedale, zamrugałem i halucynacja rozplynęła się w powietrzu. Ale wiedziałem już, że wuj Otto nie żyje. Obyło się bez trąb, błyskawic, zwyczajna niezaprzeczalna wiedza. Byłem o śmierci wuja tak przekonany, jak jestem przekonany, że znam rozstawienie mebli we własnym domu.

Z piskiem opon zatrzymałem się przed domem, wysiadłem w pośpiechu i pognałem do środka, nie kłopotząc się o zakupy.

Drzwi były otwarte - nigdy nie zamykał ich na klucz. Kiedyś spytałem go, dlaczego się nie zamyka, na co on, uderzając w ton, jakim się przemawia do niedorozwiniętego wiejskiego ciołka, by wytłumaczyć mu rzeczy oczywiste, wyjaśnił mi, że zamknięcie drzwi na klucz i tak nie powstrzyma cresswellki.

Leżał na swoim łóżku, które stało po lewej stronie jedynej izby - po prawej miał swoją kuchnię. Ubrany był w zielone portki i ciepły barchanowy podkoszulek. Szeroko otwarte oczy wyglądały jak przeszkłone. Myślę, że nie żył najwyżej od dwóch godzin. Nie latała nad nim żadna mucha, nie czułem też żadnego smrodu, choć za dnia panował niemiłosierny upał.

- Wuju? - rzuciłem ciche pytanie, nie oczekując żadnej odpowiedzi. Nikt dla przyjemności nie kładzie się na łóżko z szeroko otwartymi i wytrzeszczonymi oczyma. Jeśli cokolwiek wtedy czułem, to ulgę. Nareszcie koniec.

- Wujku? - Podeszedłem bliżej. - Wujku...? Zatrzymałem się, gdyż dopiero teraz zauważyłem jak bardzo zniekształconą ma dolną część twarzy - całą opuchniętą i powykrecaną. Po raz pierwszy dostrzegłem, że jego oczy wcale nie wpatrywały się w pustkę niewidzącym wzrokiem, ale miały gniewne błyski z dna oczodołów. Jednakże ich spojrzenie nie było utkwione w drzwiach ani w suficie. Źrenice zwracały się w stronę malutkiego okienka nad łóżkiem.

"Zeszłej nocy obudziłem się o trzeciej nad ranem i ujrzałem ją, jak stoi tuż pod moim oknem, Quentine. Omal mnie nie dorwała".

"Zmiażdżyło go jak dynię", mówił jeden z mędrców gromadzących się u fryzjera, podczas gdy ja siedziałem na krześle, udając, że czytam "Life", wdychając aromat wody po goleniu i brylantyny. "Omala mnie nie dorwała, Quentine".

W izbie czuć było jakiś wyrazisty zapach. Nie był to zapach zakładu fryzjerskiego ani zwykły smród niedomytego starczego ciała.

Była to oleista, tłusta woń, jaka zwykle unosi się w garażu.

- Wujku Otto? - wyszeptalem. Zbliżając się do łóżka, na którym leżał, czułem się tak, jak gdybym się kurczył i malał, lecz ubywało mi nie tylko centymetrów, ale również i lat... znów byłem dwudziestolatkiem, piętnastolatkiem, ośmiolatkiem, sześciolatkiem... a w końcu pięciolatkiem. Ujrzałem własną małą, drżącą rączkę, jak wyciąga się ku nabrzmiałej twarzy wuja. A gdy moja dłoń nakryła mu usta, podniosłem wzrok i ujrzałem okno w całości wypełnione połyskującą złowrogo przednią szybą cresswellki - i chociaż wszystko trwało ledwie chwilę, gotów jestem przysiąc na Biblię, że nie było to żadne przywidzenie. Ciężarówka stała tam, w oknie, nie dalej niż dwa metry ode mnie.

Wcześniej ułożyłem kciuk na jednym policzku wuja, a cztery pozostałe palce na drugim, zapewne po to, by zbadać dziwną opuchliznę. Gdy ujrzałem ciężarówkę w oknie, odruchowo próbowałem zacisnąć dłoń w pięść, zapominając o tym, że trzymam ją na dolnej części twarzy nieboszczyka.

W tej samej chwili samochód ulotnił się jak dym lub jak duch, którym pewnie był. Jednocześnie usłyszałem jakiś ohydny, wilgotny odgłos, jaki wydaje strumień tryskającego skądś płynu. Gorąca ciecz wypełniła moją dłoń. Spojrzałem w dół, czując pod palcami nie tylko zwiotczałe nagle ciało i wilgoć, ale także coś twardego i kanciastego. Przyjrzałem się temu uważnie i wtedy właśnie z mojego gardła wydobył się wrzask. Z ust i nosa wuja ciekł strumieniami olej. Olej sączył się także z kącików jego oczu niczym łzy. Olej Diamond Gem, tani produkt utylizacji, sprzedawany w dwudziestolitrowych plastikowych kanistrach - świństwo, którym pan McCutcheon zawsze raczył silnik cresswellki.

Ale olej to nie wszystko. Z ust trupa wystawał jeszcze jakiś twardy przedmiot.

Jeszcze przez moment darłem się wniebogłosy, ale nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu ani zabrać uwalanej olejem dłoni z twarzy nieboszczyka, nie byłem w stanie oderwać wzroku od olbrzymiego, tłustego przedmiotu wystającego mu spomiędzy warg, przedmiotu, który wcześniej tak zniekształcał jego rysy.

W końcu jednak przewyciężyłem ten nagły paraliż i pędem wybiegłem z domku, wciąż krzycząc ile sił w płucach. Podbiegłem do swojego pontiaka, wskoczyłem do środka i ruszyłem z wyciem

silnika. Prowiant, który przywiozłem wujowi, spadł z tylnego siedzenia na podłogę. Jajka potłukły się i rozlały po siedzeniach i podłodze.

Fakt, że nie rozbiłem się przez pierwsze trzy kilometry, zakrawa na cud. Spojrzałem na licznik i zauważyłem, że strzałka szybkościomierza przekroczyła sto dwadzieścia. Zatrzymałem się i zacząłem oddychać głęboko, aż do chwili kiedy jako tako nad sobą zapanowałem. Zdałem sobie sprawę, że nie mogę po prostu zostawić wuja tak, jak go znalazłem. To sprowokowałoby wiele niepotrzebnych pytań. Musiałem wrócić.

Poza tym - muszę to przyznać - opanowała mnie jakaś diabelska ciekawość. Teraz żałuję, że się jej nie oparłem. Prawdę mówiąc, żałuję również, że nie zostawiłem wuja tak, jak leżał, niechby już zadawali te swoje pytania. Ja jednak, na swoje nieszczęście, wróciłem. Przez jakieś pięć minut stałem na zewnątrz - mniej więcej w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, w jakiej tak często na długie chwile zastygał mój wuj - patrząc na ciężarówkę. Stojąc tam, doszedłem do wniosku, że ciężarówka po drugiej stronie szosy rzeczywiście zmieniła pozycję, choć bardzo nieznacznie. Wtedy wszedłem do środka.

Nad twarzą wuja zaczynały już krążyć i pobzykiwać pierwsze muchy. Zauważyłem oleiste odciski palców na jego policzkach: odcisk kciuka na lewym i trzech innych palców na prawym. Omiotłem nerwowym spojrzeniem okno, za którym wcześniej czała się cresswellka, i wreszcie podszedłem do łóżka. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę i wytarłem ślady palców. Potem nachyliłem się i rozwarłem szczękę wuja.

Na zewnątrz wypadła świeca zapłonowa Champion - jeden z tych starych modeli świec, przystosowany do pracy przy maksymalnych obciążeniach. Była wielka jak pięść kulturysty. Zabrałem ją ze sobą. Teraz pluję sobie w brodę, że to zrobiłem, ale rzecz jasna byłem w szoku. Łatwiej byłoby mi znieść to wszystko, gdybym nie miał jej tutaj, w swoim pokoiku, gdzie mogę się jej przyglądać, brać ją do ręki i ważyć w dłoni, kiedy tylko zechcę. Gdybym nie miał tej świecy zapłonowej, rocznik tysiąc dziewięćset dwadzieścia, która wypadła z ust martwego wuja. Gdyby jej tam nie było, gdybym jej nie zabrał z małej, jednoizbowej chatynki, kiedy uciekałem z niej po raz drugi, być może mógłbym zacząć przekonywać samego siebie, że wszystko - nie tylko widok ciężarówki przyciśniętej do ściany domku niczym ogromny, czerwony buldog, jaki ukazał mi się po wyjeździe zza ostatniego zakrętu, ale naprawdę wszystko - było jedną wielką halucynacją. Tymczasem świeca leży przede mną. Promienie światła załamują się na jej powierzchni. Jest prawdziwa. Ma swoją masę. "Ta ciężarówka z każdym rokiem przysuwa się coraz bliżej", mówił, i teraz wygląda na to, że miał rację... ale nawet wuj Otto nie miał pojęcia, jak blisko cresswellka może się dostać.

Miasto orzekło, że wuj Otto popełnił samobójstwo, połykając olej, i przez dziewięć dni była to wielka nowina w całym Castle Rock. Carl Durkin, kierownik miejskiego zakładu pogrzebowego, człowiek nie mogący poszczycić się dyskrecją, zdradził, że podczas sekcji doktorzy znaleźli w wujowych wnętrznościach ponad trzy litry oleju, i to nie tylko w żołądku. Przesączył się do wszystkich układów. Mieszkańcy miasteczka zachodzili tymczasem w głowę, co wuj zrobił z plastikowym pojemnikiem po oleju, ponieważ nie znaleziono takowego ani w domku, ani w najbliższej okolicy.

Jak już mówiłem, większość z was, czytających te wspomnienia, pewnie nie da mi wiary... przynajmniej jeśli nikomu z was nie zdarzyło się nic podobnego. Ale ciężarówka wciąż stoi na polu... i - wiercie mi lub nie - to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Przełożył
Rafał Wilkoński

PORANNE DOSTAWY (MLECZARZ 1)

Brzask z wolna spływał w dół Culver Street.

Dla każdego, kto już się obudził, lecz jeszcze nie wyszedł z domu, na zewnątrz wciąż panowała czarna noc, chociaż świt niemal od pół godziny przemykał się chyłkiem po okolicy. Z dziupli w olbrzymim klonie rosnącym na rogu Culver Street i Balfour Avenue wysunęła łebek czerwona wiewiórka i obrzuciła nieco nieprzytomnym spojrzeniem uśpione domostwa. Gdzieś w połowie długości ulicy, w małej fontannie zdobiącej trawnik przed domem Mackenziech, wylądowała czarna jaskółka, która trzepocząc skrzydełkami zaczęła rozpryskiwać wokół siebie miriady perlistych kropelek. Mrówka pełznąca mozolnie wzdłuż rynsztoka natknęła się na małą czekoladową okruchkę w zmiętym papierku od cukierka.

Nocna bryza, która jeszcze przed chwilą szeleściła liśćmi i wydymała zasłony w uchylonych oknach, już gdzieś się ulotniła. Narożny klon po raz ostatni zaszumiał drobnym listowiem i zamarł, oczekując na podniosłą uverturę, jaka miała nastąpić po tym cichym prologu.

Pasemko bladego światła leciutko rozjaśniło niebo po wschodniej stronie. Mroczny lelek kozodój zszedł ze swojej nocnej służby, a sikory nieśmiało budziły się do życia, wciąż pełne wahania, jakby obawiały się samodzielnie powitać dzień.

Wiewiórka zniknęła w szczelinie na rozwidleniu konarów klonu.

Jaskółka podfrunęła na skraj baseniku fontanny i znieruchomiała.

Mrówka także zatrzymała się bez ruchu nad znalezionym skarbem, niczym bibliofil pochylający się nad opasłym folialem.

Culver Street drżała cicho na oświetlonym skraju planety, na przesuwającej się linii światła, którą astronomowie nazywają terminatorem.

Z ciszy stopniowo i nieznacznie wylańczał się jakiś dźwięk, narastając tak niepostrzeżenie, że wydawało się, iż rozbrzmiewał tu od zawsze, zagłuszany innymi odgłosami nocy, która minęła. Powoli nabierał głębi i wyrazistości, aż wreszcie przerodził się w subtelnie przytłumiony warkot silnika furgonetki rozwożącej mleko.

Samochód skręcił z Balfour Avenue w Culver Street. Była to ładna beżowa furgonetka z czerwonymi napisami na bokach. Wiewiórka wychyliła się z dziupli o postrzępionych brzegach, niczym język z ust, obrzuciła spojrzeniem wóz i nagle spostrzegła bardzo ładnie wyglądający skrawek czegoś, co znakomicie nadawało się do wymoszczenia dziupli, toteż ruszyła głową w dół po pniu, w pogoni za upatrzoną zdobyczą. Jaskółka uleciała w niebo. Mrówka wzięła ze sobą tyle czekolady, ile mogła udźwignąć, i podążyła w stronę mrowiska.

Sikory zaniósł się głośnym śpiewem.

Przy następnej przecznicy dało się słyszeć ujadanie psa.

Litery na bokach furgonetki układały się w napis: MLECZARNIA CRAMERA. Poniżej znajdował się rysunek przedstawiający butelkę z mlekiem, a pod rysunkiem widniała kolejna informacja: PORANNE DOSTAWY TO NASZA SPECJALNOŚĆ!

Mleczarz miał na sobie niebieskoszary uniform i trójgraniasty kapelusz. Nad kieszenią na piersi miał wyszyte złotą nitką imię: SPIKE. Pogwizdywał sobie, a w tle rozbrzmiewał rażny rytm wystukiwany przez ustawione na pace butelki obłożone lodem.

Zatrzymał wóz przy krawężniku nieopodal domu Mackenziech, podniósł skrzynkę ustawioną przy jego fotelu i wyskoczył na chodnik. Przez chwilę stał bez ruchu, wciągając nosem powietrze o świeżym i nieskończenie tajemniczym zapachu, a następnie dziarskim krokiem ruszył w stronę drzwi.

Malutka, biała karteczka przytwierdzona była do skrzynki na listy za pomocą magnesu w kształcie pomidora. Spike odczytał wszystko, co było napisane na kartce, powoli i bardzo uważnie, jak ktoś, kto wczytuje się w wiadomość znalezioną w starej butelce pokrytej splekaną skorupą solnego nalotu.

1 l mleka

1 śmiet. (tańsza)

1 sok pom.

Dzięki

Mleczarz imieniem Spike z namysłem spojrzął na skrzynkę, którą trzymał w ręce, postawił ją na ziemi, po czym wyjął z niej mleko i śmietanę. Następnie jeszcze raz przyjrzał się uważnie arkusikowi, uniósł nawet magnes w kształcie pomidora, aby upewnić się, że jego uwagi nie uszła żadna kropka, przecinek lub myślnik, które mogłyby zmieniać wymowę wypisanego na papierze zamówienia, pokiwał głową, przyczepił magnes z powrotem, podniósł skrzynkę i ruszył do samochodu.

W części ładunkowej furgonetki panowała wilgoć, mrok i chłód. Zamknięte w tym ciasnym pomieszczeniu powietrze przesycone było niepokojącym, stęchłym zapachem, który mieszał się z wonią nabiału. Sok pomarańczowy znajdował się za doniczkowym krzewem wilczej jagody. Wyciągnął kartonik z lodu, ponownie pokiwał głową i po raz drugi ruszył wyłożoną płytkami ścieżką prowadzącą ku domowi. Ustawił kartonik z sokiem obok mleka i śmietany, a następnie wrócił do swojego wozu.

Nieopodal usłyszał gwizdek zwiastujący piątą rano, dochodzący z potężnej przemysłowej pralni, gdzie pracował jego stary kumpel Rocky. Pomyślał sobie, że pewnie właśnie w tej chwili Rocky uruchamia wielkie bębny w wypełnionym parą pomieszczeniu, gdzie panowało nieopisane wprost gorąco, i uśmiechnął się do siebie. Może później zobaczy się z Rockym. Może dziś wieczorkiem... kiedy już rozwiezie cały towar.

Uruchomił furgonetkę i podjechał kawałek dalej. Malutkie radio tranzystorowe zwisało na pasku z imitacji skóry oplatającym zakrwawiony hak, na jakim zwykle wieszają się płyty mięsa w rzeźni. Hak ten wystawał z sufitu kabiny kierowcy. Włączył radio, z którego zaczęły płynąć dźwięki przyciszonej muzyki, kontrapunktując jednostajny rytm silnika, podczas gdy zbliżał się do domu McCarthych.

Pani McCarthy zostawiła swoją karteczkę tam, gdzie zawsze - wsuniętą do połowy w wąski otwór w drzwiach, w który wrzucano korespondencję. Zawierała zwięzłe i rzeczowe polecenie:

Czekoladowe

Spike wyjął długopis, którym nagryzmolił na kartce: "Zamówienie zrealizowano" i wepchnął ją do szczeliny. Następnie cofnął się do samochodu. Mleko czekoladowe stało upakowane w dwóch chłodziarkach ustawionych wygodnie tuż przy tylnych drzwiach, ponieważ czerwiec był miesiącem, kiedy rozchodziło się w ogromnych ilościach. Mleczarz spojrzął na chłodziarki, po czym sięgnął za nie i z ciemnego zakątka wydobyl jeden z pustych kartonów po mleku czekoladowym, które tam gromadził. Kartonik był oczywiście koloru brązowego, z radosnym dzieciakiem figlującym ponad dużymi nadrukami, które informowały, że jest to NAPÓJ Z MLECZARNI CRAMERA, POŻYWNY I PRZEPYSZNY, który można PODAWAĆ NA ZIMNO LUB NA GORAĆCO, gdyż UWIELBIAJĄ GO WSZYSTKIE DZIECI!

Położył pusty kartonik na skrzynce wypełnionej butelkami ze zwykłym mlekiem, a następnie zaczął rozgarniać pokruszony lód, aż jego oczom ukazał się słoik po majonezie. Schwycił go i zajrzał do środka. Tarantula ruszała się, lecz bardzo niemrawo. Najwyraźniej chłód ją nieco zamroczył. Spike odkręcił pokrywkę słoika i obrócił go do góry dnem nad otwartym kartonem. Wszelkie niezdarne wysiłki tarantuli, aby wspiąć się do góry po gładkim szkle ścianki słoika

spelzły na niczym. Stworzenie z głośnym plaśnięciem wpadło do pustego kartonu po mleku czekoladowym. Mleczarz troskliwie zamknął na nowo kartonik, włożył go do swojego nosidelka i pędem ruszył w stronę domu McCarthych. Numery z pajakami należały do jego ulubionych i zawsze wychodziły mu najlepiej, nawet jeśli było to wyłącznie jego przekonanie. Dzień, w którym mógł dostarczyć pajaka, był dla Spike'a dniem szczęśliwym.

Kiedy wolno przemieszczał się w górę Culver Street, świt kontynuował swoją symfonię. Perłowe pasemko na wschodzie ustąpiło miejsca ciemnoróżowemu rumieńcowi, najpierw ledwie widocznemu, później zaś przechodzącemu od ciemnej purpury do ostrego szkarłatu, który niemal natychmiast zaczął blaknąć aż do letniego błękitu. Pierwsze promienie słońca, ślicznego jak z malowanek, jakie daje się dzieciom w szkółce niedzielnej, czekały na swoją kolej.

Przy domu Webberów Spike zostawił butelkę po śmietanie uniwersalnej wypełnioną zżelowanym kwasem. U drzwi Jammersów ustawił pięć litrowych butelek mleka. Mają dorastających chłopaków. Nigdy nie miał okazji ich zobaczyć, ale za domem widział domek na drzewie, a czasami także porzucane po podwórku rowery i kije bejsbolowe. Collinsom zostawił dwie butelki mleka i karton jogurtu. U panny Ordway karton ajerkoniaku przyprawionego wilczą jagodą.

Gdzieś za jego plecami rozległ się charakterystyczny trzask. Pan Webber, który w drodze do pracy musiał przejechać całe miasto, uniósł żaluzjowe drzwi prowadzące do garażu urządzonego w przyklejonej do domu przybudówce, po czym wszedł do środka, wymachując teczką. Mleczarz odczekał chwilę, aż usłyszy szum silnika małego saaba, przypominający brzęczenie osy, a usłyszawszy oczekiwany odgłos, uśmiechnął się. "W różnorodności drzemie cały smak życia - zwykła mawiać matka Spike'a, świeć Panie nad jej duszą - ale my jesteśmy Irlandczykami, a Irlandczycy wolą swoje kartofle bez zbędnych dodatków. Pamiętaj, Spike, w niczym się zbyt nie wychylaj, a zaznasz w życiu wiele szczęścia". I była to święta prawda, co sam odkrył, jadąc po drogach życia swoją schludną, beżową furgonetką.

Zostały mu już tylko trzy domy.

U Kincaidów znalazł kartkę, na której napisano "Dzisiaj nic, dzięki", więc zostawił przed drzwiami zamkniętą butelkę po mleku, która wyglądała na zupełnie pustą, ale była wypełniona śmiertelnie trującym cyjanowodorem. U Walkersów zostawił dwa litry mleka i buteleczkę wysokotłuszczowej śmietanki do ubijania.

Zanim dojechał do ostatniego przed skrzyżowaniem domu, w którym mieszkali Mertonowie, promienie słońca prześwitywały już przez korony drzew, wypełniając mozaiką plam światła i cienia wyblakłe kontury "klas" wyrysowanych na chodniku obok podwórka Mertonów.

Spike pochylił się i podniósł coś, co wyglądało na cholernie dobry kamyk do gry w klasy - całkiem płaski z jednej strony - rzucił nim przed siebie. Kamyczek wylądował na linii. Mężczyzna pokręcił głową, uśmiechnął się i ruszył w stronę domu, pogwizdując.

Lekki wiaterek przyniósł ze sobą zapach mydła dochodzący z pralni przemysłowej i w jego myślach znów zagościł Rocky. Nabierał coraz większej pewności, że wkrótce się z nim zobaczy. Jeszcze tego wieczoru.

Tutaj karteczka czekała na niego przytwierdzona do uchwytu na gazety:

Rezygnujemy z usług.

Spike otworzył drzwi i wszedł do środka.

W domu panował chłód jak w krypcie. W pomieszczeniach nie było żadnych mebli. Ogołoczone pokoje świeciły nagimi ścianami. Z kuchni zniknęła nawet kuchenka, jaśniejszy kwadrat linoleum wskazywał miejsce, które zajmowała.

W salonie ze ścian zostały usunięte nawet najmniejsze skrawki tapety. Z lampy na suficie zdjęto klosz. Przepalona żarówka była cała czarna. Ogromna plama zaschłej krwi pokrywała część

jednej ze ścian. Wyglądała jak kleks z testu Rorschacha. Pośrodku plamy widniała dziura przypominająca krater, wyżłobiona głęboko w tynku. W kraterze tym znajdował się gęsty kłęb włosów oraz kilka odprysków kości.

Mleczarz pokiwał głową, wyszedł z powrotem na dwór i przez chwilę stał na ganku. Zapowiadał się piękny dzień. Niebo było już błękitne jak oczy słodkiego niemowlaka, całe usiane niewinnymi obłoczkami zwiastującymi ładną pogodę... takie chmurki bejsboliści nazywają zwykle "aniołkami".

Zerwał kartkę z uchwytu na gazety i zmiął ją w kulkę, którą umieścił w lewej przedniej kieszeni swoich białych roboczych spodni.

Wrócił do furgonetki, po drodze wkopując do rynsztoka kamyk leżący na linii "klas". Po chwili samochód zagrzecotał butelkami skręcając za rogiem i zniknął.

Na dworze robiło się coraz jaśniej.

Z domu z hałasem wybiegł chłopak, posłał uśmiech w stronę nieba i zabrał mleko do środka.

Przełożył

Rafał Wilkoński

WIELKIE BĘBNY: OPowieść PRALNICZA (MLECZARZ 2)

Rocky i Leo, obaj zalani w pestkę, zjechali wolno w dół Culver Street, potem wzdłuż Balfour Avenue w stronę Crescent. Siedzieli sobie wygodnie w przytulnym wnętrzu chryslera rocznik 1957, który należał do Rocky'ego. Pomiędzy nimi, ustawiony z obłądnym pijackim pietyzmem na monsturalnej obudowie wału pędnego chryslera, spoczywał pojemnik piwa marki Iron City. To było ich drugie opakowanie tego wieczoru, który rozpoczął się już o czwartej po południu, zaraz po fajrancie w pralni.

- W dupę jeża! - ryknął ze złością Rocky, przystając pod czerwonym światłem sygnalizatora wiszącego nad skrzyżowaniem Balfour Avenue z autostradą numer 99. Nie spojrzał ani w prawo, ani w lewo, by sprawdzić, czy jadą jakiegokolwiek samochody, za to rzucił ukradkowe spojrzenie do tyłu. Pomiędzy nogami trzymał do połowy opróżnioną puszkę piwa ozdobioną kolorowym wizerunkiem Terry'ego Bradshawa. Wziął potężny łyk, a następnie skręcił w dziewięćdziesiątkędziewiątkę. Przegub Cardana wydał z siebie głośnie stękanie, gdy przy akompaniamencie głośniego pokasływania dobiegającego spod maski ruszyli na dwójce. Od jakichś dwóch miesięcy w chryslerze przestała wchodzić jedynka.

- Dawaj tego jeża, a złoję mu dupę - oznajmił Leo, zawsze gotów do pomocy.

- Która godzina?

Leo podniósł do góry nadgarstek, do którego miał przytroczony zegarek, niemal dotykając szkiełkiem żarzącego się koniuszka trzymanego w ustach papierosa i długo posapywał z wysiłku, zanim wyodrębnił wzrokiem ustawienie wskazówek.

- Prawie ósma.

- O, w dupę jeża! - Minęli drogowskaz z napisem PITTSBURGH 44.

- Nikt w całym Detroit nie zrobi przeglądu tego gruchota, złotko - zauważył Leo. - Przynajmniej nikt przy zdrowych zmysłach.

Rocky wrzucił trójkę. Przegub Cardana zawył posepnie do siebie, chrysler zaś przeszedł coś w rodzaju samochodowego odpowiednika lekkiego ataku padaczki. Po jakimś czasie konwulsje

ustały i wskazówka szybkościomierza z mozołem uniosła się do poziomu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, gdzie stanęła, broniąc tej pozycji z wyraźnym trudem.

Kiedy dojechali do skrzyżowania autostrady numer 99 z drogą Nad Devońskim Strumieniem (Devoński Strumień stanowił granicę pomiędzy gminami Crescent oraz Devon na długości około dwunastu kilometrów), Rocky skręcił w tę ostatnią, kierowany jakimś wewnętrznym kaprysem... chociaż może już wtedy wspomnienie Sztywnej Skarpety zaczęło kiełkować głęboko w obszarze, który mógł uchodzić za podświadomość Rocky'ego.

Razem z Leo jeździli sobie to tu, to tam, bez konkretnego celu, od chwili gdy wyszli z pracy. Był ostatni dzień czerwca i ważność naklejki z ostatniego przeglądu chryslera miała wygasnąć dokładnie minutę po północy. Zostały im cztery godziny, a nawet mniej. Nieuchronność zbliżającego się nieszczęścia była dla Rocky'ego zbyt bolesna, by mógł spokojnie myśleć, natomiast Leo niczym się nie przejmował. W końcu to nie był jego samochód. Ponadto wypił już wystarczającą ilość piwa Iron City, żeby osiągnąć stan zaawansowanego mózgowego paraliżu. Droga Nad Devońskim Strumieniem wiała się wśród jedyne go mocno zalesionego obszaru gminy Crescent. Po obu stronach drogi rozciągał się bujny i pulsujący życiem gąszcz stłoczonych wiązów i dębów, w którym kłębiło się od ruchomych cieni, w miarę jak mrok gęstniał nad południowo-zachodnią częścią Pensylwanii. Tereny te nazywano Lasami Devońskimi. Tę potoczną nazwę zaczęto pisać dużymi literami od czasu bestialskiego mordu, jaki popełniono tutaj na młodej dziewczynie i jej chłopaku w 1968 roku. Parkę znaleziono w mercurym z 1959 roku należącym do chłopaka. Samochód miał siedzenia obite prawdziwą skórą i dużą, chromowaną ozdobę na masce. Pasażerów znaleziono na tylnych siedzeniach, a także na przednich, w bagażniku oraz w schowku na rękawiczki. Morderca nigdy nie został schwytany.

- Lepiej, żeby nam ten gruchot nie wysiadł w tym miejscu - powiedział Rocky. - To kompletne zadupie.

- Pierdu-pierdu. - To nader interesujące powiedzonko ostatnio weszło do pierwszej czterdziestki zwrotów najczęściej goszczących na ustach Leo. - Przed nami już widać jakieś miasteczko. Rocky westchnął i pociągnął łyk z puszki. Blask, który roztaczał się przed nimi, wcale nie zwiastował miasteczka, ale znajdowali się już tak blisko oświetlonego miejsca, że nie warto było wszczynać sporu. Po chwili ich oczom ukazało się nowe centrum handlowe. Łukowe lampy sodowe zalewały cały teren niesamowicie mocnym światłem. Rocky zagapił się na nie i mimochodem przejechał na lewą stronę drogi, co zauważywszy, natychmiast gwałtownie skręcił z powrotem i omal nie wjechał przy tym do rowu ciągnącego się wzdłuż prawego pobocza, by po chwili wreszcie wyprowadzić wóz na właściwy pas.

- Ohoho! - zawołał.

Leo beknął i z głośnym gulgotem łyknął piwa.

Pracowali razem w pralni New Adams od września, kiedy to Leo został zatrudniony jako pomocnik Rocky'ego. Leo był dwudziestolatkiem o twarzy gryzonia. Jego wygląd sugerował, że ma przed sobą wiele lat w kiciu. Twierdził, że odkłada dwadzieścia dolarów z każdej tygodniówki, żeby kupić sobie używany motocykl Kawasaki. Planował wybrać się nim na zachód, kiedy nadejdą chłody. Leo miał za sobą pokaźny dorobek dwunastu miejsc zatrudnienia, które zaliczył od czasu, gdy na dobre rozstał się ze światem nauki w najniższym przewidzianym prawem wieku szesnastu lat. W pralni bardzo mu się podobało. Rocky przekazywał mu wiedzę na temat różnorodnych cykli pralniczych i Leo sądził, że wreszcie nabywa Prawdziwych Umiejętności, które przydadzą mu się, kiedy dojedzie do Flagstaff.

Rocky, stary wyjadacz, pracował w New Adams już od czternastu lat. Aby się o tym przekonać, wystarczyło rzucić okiem na spoczywające na kierownicy dłonie, tak upiornie białe, jakby należały do ducha. Miał za sobą czteromiesięczną odsiadkę w 1970 roku za posiadanie nielegalnej

broni. Wcześniej jego żona, wówczas w zaawansowanej ciąży z ich trzecim dzieckiem, oznajmiła mu, co następuje: 1) że nie jest to wcale dziecko Rocky'ego, tylko mleczarza, oraz 2) że chce wystąpić o rozwód, wysuwając przeciwko niemu oskarżenie o psychiczne znęcanie się nad rodziną.

W związku z zaistniałą sytuacją pojawiły się dwa powody, dla których Rocky miał przy sobie ukrytą broń: 1) przyprawiono mu rogi, 2) rogi przyprawił mu pier...niczony mleczarzyna - kaprawoogie, długowłose ladaco czyli Spike Milligan. Kierowca z Mleczarni Cramera. Mleczarz, na miłość boską! Mleczarz, nic tylko w łeb sobie strzelić! Po prostu strzelić sobie w pieprzony łeb i stoczyć się do rynsztoka, by tam skonać! Nawet dla Rocky'ego, który nigdy w swych czytelniczych doświadczeniach nie wyszedł poza krótkie komiksowe historyjki, w jakie owijano gumę do żucia - a tę niestrudzenie meł w ustach podczas pracy - sytuacja miała w sobie coś z posępną tragedii antycznej.

Wobec powyższego, poinformował swoją prawowitą małżonkę, że: 1) nie ma mowy o żadnym rozwodzie, oraz 2) ma zamiar sprawić, by jak największa ilość światła dziennego mogła swobodnie przenikać przez ciało Spike'a Milligana. Dziesięć lat wcześniej zakupił pistolet kalibru .32, z którego od czasu do czasu lubił postrzelać do pustych butelek, puszek lub małych piesków. Następnego ranka opuścił swój dom na Oak Street i udał się w kierunku mleczarni, licząc na to, że dopadnie Spike'a w chwili, gdy będzie tam wracał po rozwiezieniu porannych dostaw. Po drodze zatrzymał się w knajpie "Cztery Rogi", aby wypić kilka piw... sześć, osiem, może dwadzieścia. Trudno spamiętać. Kiedy tak sobie popijał, żona zawiadomiła gliny. Czekali na niego na rogu Oak Street i Balfour Avenue. Podczas przeszukania jeden z policjantów wyłuskał jego trzydziestkędwójkę zza paska od spodni.

- Myślę, że czeka cię mały wypoczynek, przyjacielu - powiedział glina, który znalazł gnata i słowa te okazały się prorocze. Następne cztery miesiące Rocky spędził, piorąc prześcieradła i poszwy na poduchy dla stanu Pensylwania. W tym czasie jego żona uzyskała błyskawiczny zaoczny rozwód i kiedy Rocky wyszedł z mamra, mieszkała już ze Spikiem Milliganem w bloku na Dakin Street, przed którym na trawniku pysznił się klomb w kształcie różowego flaminga. Oprócz dwóch starszych dzieciaków (Rocky wciąż zakładał, że jest ich prawdziwym ojcem), mieli już oseska o ślepkach równie kaprawych jak oczy jego niewydarzonego ojczulka. Ponadto przysługiwały im alimenty w wysokości piętnastu dolarów tygodniowo.

- Rocky, chyba mam już dość tej jazdy - odezwał się Leo. - Czy nie moglibyśmy zatrzymać się i popić jak ludzie?

- Muszę zdobyć nalepkę dla mojej maszyny - odparł Rocky. - To ważna sprawa. Mężczyzna bez czterech kółek do niczego się nie nadaje.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie zrobi przeglądu tego grata. Już ci to chyba mówiłem. Przecież nawet kierunkowskazy nie działają.

- Mrugają, gdy przyciskam hamulec, a każdy kierowca, który nie trzyma nogi na hamulcu, kiedy skręca, naraża się na dachowanie.

- Masz stłuczoną boczną szybę.

- Spuszczę ją na maksa.

- A jeśli kontroler poprosi, żebyś ją podniósł przy przeglądzie?

- Nad wyjściem z takich tarapatów będę się zastanawiał, kiedy w nie wpadnę - powiedział chłodno Rocky. Cisnął pustą puszkę po piwie przez okno i sięgnął po nową. Nowa puszka była ozdobiona rysunkiem przedstawiającym Franco Harrisa. Wyglądało na to, że producent iron city wziął na warsztat poczet największych graczy w historii Steelersów. Otworzył puszkę z charakterystycznym psykiem. Krople piwa rozprysnęły się dookoła.

- Szkoda, że nie mam żadnej babki - westchnął Leo, wpatrując się w mrok. Na jego twarzy widniał dziwaczny uśmiezek.

- Gdybyś miał kobietę, nigdy nie wyjechałbyś na zachód. Każda kobieta powstrzymuje mężczyznę przed wyruszeniem dalej na zachód. Tak właśnie działają. To ich misja. Czy nie mówiłeś, że chcesz się wypuścić na zachód?

- Nie tylko chcę. Ja to zrobię.

- Nigdy ci się nie uda - odparł przekornie Rocky. - Niedługo przygruchasz sobie jakąś babę. A potem baba zmieni się w okropnego małża... Alimenty. Wiesz, co mam na myśli. Kobietom zawsze chodzi o alimenty. Z samochodami to zupełnie inna sprawa. Radzę ci poprzestać na samochodach.

- Samochodu nie da się przelecieć.

- Zdziwiłbyś się - odparł Rocky, chichocząc.

Drzewa z wolna zaczęły ustępować miejsca nowym osiedlom. Jakież światła zamigotały po lewej i Rocky nagle z całej siły nacisnął hamulec. Światła stopu i oba kierunkowskazy zapaliły się jednocześnie, cóż... elektryka samochodu była jedną wielką prowizorką. Leo runął do przodu, zalewając siedzenie piwem.

- Co? Co się stało?

- Zobacz - powiedział Rocky - chyba znam tego gościa.

Po lewej stronie drogi dostrzegli walący się warsztat, wyrastał z pobocza niczym olbrzymi guz, a przed nim dystrybutory benzyny. Tablica informacyjna umieszczona przed obiektem głosiła:

STACJA PALIW I WARSZTAT OBSŁUGI "U BOBA"
właśc. BOB DRISCOLL
SPECJALNOŚĆ FIRMY - WYWAŻANIE KÓŁ
STAWAJ W OBRONIE PRAWA DO NOSZENIA
BRONI, KTÓRE OTRZYMALIŚMY
OD SAMEGO BOGA!

Na samym dole widniał dopisek:

STANOWY PUNKT PRZEGLĄDÓW OKRESOWYCH nr 72

- Nikt przy zdrowych zmysłach... - zaczął Leo swoją starą śpiewkę.

- To Bobby Driscoll! - ryknął Rocky. - Chodziłem z nim do szkoły! Mamy przegląd w kieszeni! Możesz postawić na to swoje portki!

Wjechał zygzakiem w zatoczkę, oświetlając reflektorami otwarte na oścież drzwi warsztatu. Nacisnął pedał sprzęgła i z rykiem podjechał bliżej. Jakiś przygarbiony mężczyzna w zielonym kombinezonie wybiegł z budynku, rękami dając im rozpaczliwe znaki, żeby się zatrzymali.

- To Bob! - zawył Rocky radośnie. - Czołem, Sztynny! Z łomotem wjechali w boczną ścianę garażu. Chrysler znów przeżył atak epilepsji, tym razem bardzo poważny. Malutki, żółty płomyczek pojawił się u wylotu nieco obwisłej rury wydechowej, później zaś z jej wnętrza wydobył się kłęb niebieskawego dymu. Na szczęście silnik zgasł. Leo znów runął wprzód, wylewając jeszcze więcej piwa. Rocky szybko przekręcił kluczyk w stacyjce i wycofał wóz, żeby przeprowadzić następną próbę.

Bob Driscoll podbiegł do nich, a z jego ust trysnęły rwące strugi najsoczystszych wyzwisk. Energicznie wymachiwał rękami.

- ...rwa wyprawiasz, cholerny skur...

- Bobby! - wrzasnął Rocky ogarnięty euforią bliską orgazmowi. - Hej, Sztynna Skarpeto! Sie masz, brachu!

Bob zajrzał przez szybę do środka wozu. Miał powykrzywianą, zmęczoną twarz, w znacznej części ocienioną ogromnym daszkiem czapki.

- Kto tu mnie nazwał Sztywną Skarpetą?

- To ja! - darł się Rocky uszczęśliwiony. - To ja, stary pierdoło! Twój dawny kumpel!

- Kim ty do diabła...

- Johnny Rockwell! Czyżbyś nie tylko zdziadział, ale i oślepl?

Niedowierzenie:

- Rocky?

- No jasne, skurczybyku!

- Jezu Chryste! - Widać było, jak powoli, z ociąganiem, na twarz Bobby'ego wypełza przyjazny uśmiech. - Nie widziałem cię od... hm... chyba od naszego meczu z Catamounts. Tak czy siak...

- Ha! To dopiero był walka, co nie? - Rocky klepnął się z całej siły po udzie, wysyłając w powietrze fontannę piwa z puszki. Leo beknał donośnie.

- Jasne. Jedyny raz, kiedy naprawdę pokazaliśmy klasę. Chociaż nawet wtedy nie udało nam się zdobyć mistrzostwa. Posłuchaj, nieźle mi rozwaliłeś ścianę warsztatu, Rocky. Ty chyba...

- Tak, tak, stary dobry Skarpeta, taki sam jak zawsze. Nie zmieniłeś się nawet o włos. - Rocky z pewnym opóźnieniem wyteżył wzrok, by dotrzeć spojrzeniem jak najdalej pod daszek bejsbolówki, mając nadzieję, że nie mijają się z prawdą. Wyglądało jednak na to, że stary Sztywna Skarpeta wyłysiał, jeśli nie całkowicie, to na pewno częściowo. - Jezu! Czy to nie zrządzenie losu, że tak wjechałem właśnie w twój warsztacik! Czy ożeniłeś się w końcu z tą Marcy Drew?

- A, pewnie. W siedemdziesiątym. A ty gdzie się wtedy podziewałeś?

- Najpewniej w kiciu. Posłuchaj no, stary, czy nie mógłbyś zrobić przeglądu tej gabloty?

Ponownie ostrożna rezerwa:

- Masz na myśli swój wóz?

Rocky zacharczał szczerze ubawiony.

- Nie, moją świńską nogę! Jasne że chodzi o mój wózek! Zrobiłbyś to dla mnie?

Bob już otwierał usta, by zdecydowanie odmówić.

- Ten gościu to mój dobry kumpel. Leo Edwards, Leo, poznaj jedyne go koszykarza Crescent High, który przez cztery lata nigdy nie zmieniał skarpet.

- Badzomiszyjemnie - odezwał się kulturalnie Leo, tak jak uczyła go matka w tych nielicznych chwilach, kiedy była trzeźwa.

Rocky znów zaniósł się charkotliwym śmiechem.

- Chcesz pyfko, Sztywny?

Bob otworzył usta, by odmówić.

- Trzymaj kurdupelka! - zawołał radośnie Rocky. Energicznym ruchem otworzył puszkę. Piwo, poddane gwałtownym wstrząsom podczas niespodziewanego czołowego zderzenia samochodu z warsztatem Boba Driscolla, wystrzeliło gęstą pianą, która spłynęła po puszcze i zaciśniętych na niej palcach Rocky'ego. Rocky wcisnął puszkę w dłoń Boba. Ten szybko pociągnął kilka łyków, aby samemu nie pomoczyć ręki.

- Rocky, zamykamy o...

- Chwileczkę, chwileczkę, tylko wycofam. Trochę tu zaszalałem.

Rocky pociągnął za dźwignię zmiany biegów i wrzucił wsteczny, wcisnął sprzęgło, i dał silnikowi potężnego kopa, a następnie wprowadził podrygującego dychawicznie chryslera do warsztatu. Po chwili sam wyszedł na zewnątrz i jął zapamiętale potrząsać dłonią Boba niczym polityk witający się z innym dygnitarzem. Bob sprawiał wrażenie oszołomionego. Leo pozostał w samochodzie, otwierając świeże piwo. Puszczał wiatry na potęgę. Zawsze to robił, kiedy wypił za dużo piwa.

- Hej! - zawołał Rocky, ślaniając się na nogach podczas mozolnej próby obejścia sterty zardzewiałych kołpaków. - Pamiętasz Dianę Rucklehouse?

- Jasne, jakżeby nie - odparł Bob. Znow z widocznym trudem próbował się uśmiechnąć - To ta z wielkimi... - Zakreślił dłońmi dwa duże łuki na wysokości klatki piersiowej. Z gardła Rocky'ego wydobył się entuzjastyczny skowyt.

- Ta sama! Jasne, stary! Wciąż tu mieszka?

- Chyba się przeprowadziła do...

- Można się było domyślić - wtrącił Rocky. - Tych, co nie mogą usiedzieć w miejscu, zawsze nosi po świecie. Mógłbyś mi walnąć znaczek na to moje чудо?

- Posłuchaj, żona mówiła, że będzie czekać z kolacją, a my zamykamy o...

- Jezu, cholernie byś mi pomógł, gdybyś mi go przylepił. Byłbym ci strasznie dźwięczny. Mógłbym coś przeprać twojej żonce na boku. Robię w pralni. W New Adams.

- A ja się tam przyuczam - oznajmił Leo przy akompaniamencie kolejnego hucznego pierdnięcia.

- Wypiorę wszyściutko na cacy, co tylko zechcesz. Co ty na to, Bobby?

- No dobra. Ale chyba dasz mi rzucić na niego okiem?

- Jasne - odparł Rocky, klepiąc Boba po plecach i puszczając oko do Leo. - Sztynna Skarpeta, cały on. Nie zmienił się nic a nic. Co za chłop!

- No - przytaknął Bob, wzdychając ciężko. Pociągnął ze swojej puszki. Jego poplamione smarami palce niemal całkowicie zasłaniały twarz Groźnego Joe Greena. - Nieźle sobie wgniotłeś zderzak, Rocky.

- To mu przydaje klasy. Każde cholerne autko musi mieć trochę klasy. Ale mówię ci, to naprawdę kurewsko dobre cztery kółka, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- No pewnie, pewnie...

- Hej! Chcesz poznać mojego kumpla z pracy? Leo, to jedyny koszykarz z drużyny...

- Już nas sobie przedstawiałeś - przypomniał Bob z nieśmiałym, zakłopotanym uśmiechem.

- Cześć i czołem - zawołał wesoło Leo. Rękami macał za sobą w poszukiwaniu kolejnej puszki iron city. Dwie srebrne linie niczym szyny kolejowe połyskujące w ostrym, południowym słońcu zaczynały wchodzić w jego pole widzenia.

- ...Crescent High, który nigdy nie zmieniał...

- Pokażesz mi, jak działają twoje światła, Rocky? - spytał Bob.

- Jasne. Światła jak się patrzy. Halogeniczne, fotogeniczne czy jakieś tam pierdogeniczne. Klasa światełka. Będziesz łaskaw włączyć te małe kurewskie lampioniki, Leo?

Leo uruchomił wycieraczki.

- W porządku - orzekł cierpliwie Bob. Pociągnął duży łyk piwa. - A teraz światła, dobra? Leo włączył reflektory.

- A długie?

Lewą stopą Leo usiłował namacać przycisk regulatora świateł. Był święcie przekonany, że musi znaleźć go tam w dole i w końcu rzeczywiście natknął się na niego. Snopy ostrego światła oświetliły stojących przed samochodem mężczyzn tak, jak się oświetla podejrzanym podczas konfrontacji z ofiarą, która ma wyłowić złooczyńcę z grupy ustawionych w szeregu drabów.

- Pieprzone halogeniczne reflektory, nie mówiłem ci?! - wrzasnął Rocky, a następnie zarechotał po swojemu. - Cholerka, Bobby! Zobaczyć ciebie to lepiej, niż zobaczyć kopertę z czekiem w skrzynce na listy.

- No dobra, a kierunkowskazy? - rzucił beznamiętnie Bob.

Leo uśmiechnął się niewyraźnie do Boba i nic nie zrobił.

- Tym lepiej sam się zajmę - powiedział Rocky. Dziarsko usadowił się za kierownicą, wałąc przy tym głową w sufit. - Ten dzieciak chyba już nie kuma, o co chodzi.

Mocno nadepnął hamulec, jednocześnie przekręcając włącznik kierunkowskazów.

- W porządku - potwierdził Bob - ale czy one działają bez hamulca?

- Czy w jakiegokolwiek instrukcji przeglądu pojazdów piszą, że migacze muszą działać bez hamulca? - spytał Rocky chytrze.

Bob westchnął. Żona czekała na niego z kolacją. Jego żona miała wielkie, obwisłe piersi oraz jasne blond włosy z czarnymi odrostami. Zajadała się pączkami z dziurką, które sprzedawano na tuziny w miejscowym hipermarkecie sieci Giant Eagle. Kiedy przychodziła do warsztatu w czwartkowe wieczory po forszę na bingo, miała włosy nawinięte na olbrzymie zielone wałki schowane pod seledynową, szyfonową chustką, dzięki czemu jej głowa przypominała jakieś futurystyczne radio lampowe. Pewnego razu, gdzieś o trzeciej nad ranem, obudził się i spojrzął na jej obwisłą twarz jak ze zmiętego szarego papieru w bezdusznej, cmentarnej poświacie lampy ulicznej świecącej za oknem ich sypialni. Pomyślał sobie, jak niewiele trudu by to kosztowało... po prostu szczyryk w piersi, po prostu kolano w brzuch na tyle mocno, by szybko wypuściła powietrze i nie mogła krzyczeć, po prostu dłonie zaciśnięte wokół szyi. A potem tylko wrzucić ją do wanny, tam pociąć na porcje i wysłać do jakiegoś miejsca na adres Roberta Driscolla, zwykłą pocztą. Do jakiegokolwiek dawnego miejsca. Do Limy w stanie Indiana. Do North Pole w New Hampshire. Do Intercourse w Pensylwanii. Do Kunkle w stanie Iowa. Do jakiegokolwiek starego miejsca. To było do zrobienia. Bóg wie, że nieraz się udawało w przeszłości.

- Nie - odpowiedział Rocky'emu. - Chyba w żadnych przepisach nie ma wymogu, że muszą działać same. Masz rację. Bez dwóch zdań. - Obrócił puszkę do góry dnem i resztkę piwa z bulgotem spłynęła w dół jego gardła. W warsztacie panował straszny zaduch, a on nie jadł jeszcze kolacji. Czuł, jak piwo niemal natychmiast idzie mu do głowy.

- Hej, Sztywna Skarpeta ma pusty bak! - ogłosił Rocky. - Rzuć browarkiem, Leo.

- Nie, Rocky, ja naprawdę...

Leo, który widział już coraz gorzej, w końcu namacał puszkę.

- Chcesz wysuniętego napastnika? - spytał i podał puszkę Rocky'emu. Rocky przekazał ją Bobowi, którego nieśmiałe protesty osłabły, gdy tylko gładka krzywizna chłodnej ścianki pojemnika z napojem wypełniła jego dłoń. Z rysunku na puszcze Lynn Swann ukazywał mu swe roześmiane oblicze. Otworzył. Leo przypieczętował to uroczystym pierdnięciem.

Przez chwilę wszyscy trzej pociągali zdrowo z puszek ozdobionych futbolistami.

- Klakson działa? - zapytał w końcu Bob, przerywając ciszę przepaszającym głosem.

- No pewnie. - Rocky z impetem nacisnął łokciem środek kierownicy. Rozległo się wątlutkie buczenie. - Ale akumulator trzeba by trochę podładować.

Dalej pili w ciszy.

- O kurde, ten cholerny szczur był wielki jak cocker-spaniel! - ryknął nagle Leo.

- Chłopak ma już trochę w czubie - wyjaśnił Rocky. Bob zamyślił się przez moment nad tym, co usłyszał.

- Mhm - mruknął w odpowiedzi.

Nie wiedzieć czemu, pomruk ten strasznie rozśmieszył Rocky'ego, który zaniósł się głośnym rechotem z ustami pełnymi piwa. Trochę złocistego napitku pocięło mu nosa, a to z kolei rozbawiło Boba, który też się roześmiał. Rocky ucieszył się, słysząc śmiech dawnego kolegi, ponieważ kiedy przyjechali do jego warsztatu, tamten wyglądał na steranego jak rozpruty wór. Znow przez jakiś czas pili w ciszy.

- Taaak. Diana Rucklehouse - odezwał się Bob w zamyśleniu.

Rocky zarżał jak koń.

Bob zachichotał i podniósł dłonie na wysokość klatki. Rocky, rycząc na cały głos, powtórzył ten gest, lecz dłonie wysunął znacznie bardziej w przód.

Bob wybuchnął na całego chrapliwym śmiechem.

- Pamiętasz tamtą fotkę Ursuli Andress, którą Łajza Johnson przyczepił starej Freemantle na tablicy ogłoszeń.

Rocky zawył.

- I dorysował te dwa wielkie bufory...

- ...a ona omal się nie przekreśliła...

- Dobrze wam się śmiać - mruknął Leo ponuro i puścił donośnego bąka.

Bob zamrugał i spojrzał na niego.

- He?

- Śmiać - powtórzył Leo. - Mówię, że wam to dobrze się śmiać. Żaden z was nie ma dziury w plecach.

- Nie słuchaj go - zawołał Rocky (cokolwiek zmieszany). - Dzieciak jest już dokumentnie zaprawiony.

- Masz dziurę w plecach? - Bob zapytał Leo.

- W pralni - zaczął Leo z uśmiechem - mamy te wielkie pralki, co nie? Mówimy na nie bębny. Bo tak naprawdę, to pralki mają bębny. Dlatego nazywamy je bębnami. Ładuję je, wyładuję i ładuję od nowa. Wkładam łachy urąbane, wyciągam czyściutki. To właśnie moja robota, a ja ją wykonuję z klasą. - Obrzucił Boba porozumiewawczym spojrzeniem człowieka o władniętego obłąkańczą manią. - Ale od tego wszystkiego zrobiła mi się dziura na plecach.

- Taaak? - Bob wpatrywał się w chłopaka z niekłamaną fascynacją. Rocky niepewnie przestępował z nogi na nogę.

- No bo tam jest dziura w dachu - ciągnął Leo. - Tuż nad trzecim bębniem. One są wielkie i okrągłe, dlatego nazywamy je bębnami. Kiedy pada, z sufitu cieknie woda. Kap, kap, kap. Każda kropla spada mi - plum! - na plecy. I od tego zrobiła im się dziura. O taka - zakreślił niewielki łuk dłonią. - Pokazać ci?

- On wcale nie ma ochoty na oglądanie takich okropności! - wrzasnął Rocky. - Teraz gadamy o starych dobrych czasach, a poza tym ty i tak nie masz żadnej pieprzonej dziury na swoich zasranych plecach!

- Chcę ją zobaczyć - oznajmił Bob.

- Są okrągłe, dlatego nazywamy je pralkami - bełkotał Leo.

Rocky uśmiechnął się i klepnął swojego towarzysza w ramię.

- Ani słowa o tym więcej, chyba że chcesz wracać do domu piechotą, mój malutki koleżko. A teraz podaj mi mojego imiennika, jeśli jeszcze został?

Leo spojrzał w dół na skrzynkę piwa i po chwili wyciągnął z niej puszkę z portretem Rocky'ego Bliera.

- Trafiony! - wrzasnął Rocky, znowu w dobrym nastroju.

W godzinę później zdołali opróżnić cały pojemnik i Rocky posłał zataczającego się Leo w górę drogi do małego samoobsługowego sklepiku "U Pauline", żeby przyniósł więcej. Leo miał już oczy czerwone jak u królika. Koszula wyłaziła mu ze spodni. Z nabożnym skupieniem krótkowidza starał się ze wszystkich sił wydobyć paczkę cameli z podwiniętego rękawa koszuli. Bob poszedł tymczasem do ustępu, gdzie sikał, śpiewając na cały głos hymn szkoły.

- Nie mam ochoty leżeć tam na piechotę - wymamrotał Leo.

- Rozumiem cię, ale jesteś zbyt nawalony, żeby siadać za kółkiem.

Leo dreptał w półkolu, pijackim krokiem, wciąż próbując wyciągnąć papierosy z zawiniętego rękawa.

- Ciemno jak cholera. I zimno.

- Chcesz, żebyśmy dostali nalepkę na wóz, czy nie? - wysyczał mu Rocky prosto w ucho. Na krańcach jego pola widzenia zaczęły się pojawiać dziwaczne rzeczy. Najbardziej uporczywa była wizja olbrzymiego robala zaplątanego w pajęczę nici, w przeciwnym rogu pomieszczenia. Leo wlepił w Rocky'ego ślepią w kolorze szkarłatu.

- A co to? Moja bryka? - odezwał się z nieszczerym lekceważeniem.

- Przrzekam ci, nigdy więcej się nią nie przejedziesz, jeśli teraz nie pójdziesz i nie przyniesiesz tu tego piwa - oświadczył Rocky. Spojrzał z przerażeniem na martwego robala w kącie. - Spróbuj tylko, a przekonasz się, czy żartuję.

- No dobra już, dobra - zaskowyczał Leo pojednawczo. - Tylko się tak nie grzej!

Dwukrotnie zboczył z trasy, idąc do sklepu, i raz w drodze powrotnej. Kiedy w końcu znów znalazł się w ciepłym i jasnym wnętrzu warsztatu, zastał obu dawnych kompanów śpiewających hymn szkoły. Bob jakimś niepojętym cudem zdołał wprowadzić chryslera na podnośnik. Teraz przechadzał się pod nim, przyglądając się jego układowi wydechowemu, doszczętnie przeżartemu korozją.

- Gwint ci przerdzewiał w tej rurze pod spodem - powiedział.

- O jasny gwint! A mnie się wydawało, że z moją rurą wszystko na medal - odparł na to Rocky. Ta riposta obu wydała im się tak śmieszna, że omal się nie udławili, radośnie rechocząc.

- Trochę piwka z naprzeciwka! - obwieścił Leo, kładąc swój ładunek na ziemi, po czym usiadł na porzuconej obręczy koła i niemal natychmiast zapadł w drzemkę. Sam wytrąbił w powrotnej drodze trzy puszki, żeby mniej dźwigać.

Rocky podał Bobowi piwo i wziął jedno dla siebie.

- Ścigamy się? Jak za starych, dobrych czasów?

- Dobra - zgodził się Bob. Uśmiechnął się nieznacznie. W wyobraźni widział siebie w kokpicie nisko zawieszono, aerodynamicznego bolidu Formuły 1, z jedną ręką nonszalancko opartą na kierownicy w oczekiwaniu na opuszczenie flagi, drugą dotykającą amuletu, który zawsze przynosił mu szczęście - ozdoby z maski mercurego rocznik '59. Zapomniał już o przerdzewiałych rurach i gwintach Rocky'ego oraz o swojej rozlazłej żonie z jej tranzystorowymi wałkami do włosów.

Z sykiem otworzyli piwa i zaczęli pochłaniać je potężnymi łykami. W garażu panowała nieopisana duchota. Obaj odrzucili puszki na porysowaną betonową posadzkę i jednocześnie unieśli w górę wyprostowane środkowe palce prawych dłoni. Gromkie beknienia odbiły się od ścian niczym palba karabinów.

- Jak za dawnych, dobrych czasów - powiedział Bob, nagle spochmurniały. - Nic nie dorówna tamtym czasom, Rocky.

- Wiem, wiem - zgodził się Rocky. Z zapamiętaniem szukał w głowie jakiejś głębokiej, światłej myśli, by w końcu wydusić ją z siebie z niemalym trudem: - Starzejemy się z dnia na dzień, Sztyny.

Bob westchnął i ponownie beknął. Leo pierdnął cichutko w swoim kątku i zaczął nucić "Get Off My Cloud"

- Jeszcze raz? - spytał Rocky, podając Bobowi kolejną puszkę.

- A czemu by nie - przystał Bob. - Czemu by nie, chłoptasiu.

Opakowanie, które przytargał Leo, opróżnili do północy, a nowy znaczek świadczący o pozytywnym wyniku przeglądu został przyklejony po lewej stronie przedniej szyby chryslera pod zupełnie obłądnym kątem. Rocky sam wpisał wszelkie niezbędne dane przed przyklejeniem znaczka, z mozołem i w skupieniu pracując nad skopiowaniem numerów z całkowicie zatartej tablicy rejestracyjnej, którą po długich poszukiwaniach znalazł w schowku na rękawiczki. Musiał

się mocno skoncentrować, ponieważ wszystko widział potrójnie. Bob usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami niczym jakiś joga, ustawivszy przed sobą na wpół opróżnioną puszkę iron city. Wzrok miał wbity w pustkę.

- Ocaliłeś mi życie, Bob - powiedział Rocky. Stopą dźgnął Leo w żebra, aby go obudzić. Leo warknął i zasapał. Przez chwilę trzepotał powiekami, zamknął oczy, po czym otworzył je na całą szerokość, kiedy Rocky dźgnął go powtórnie.

- Jesteśmy już w domu, Rocky? Czy...

- No, to trzymaj się, Bobby! - zawołał Rocky wesóło. Chwycił Leo pod ramię i szarpnął do góry. Leo podniósł się, wrzeszcząc. Rocky zawlókł swego podopiecznego na drugą stronę chryslera i wtłoczył go w fotel pasażera. - Pewnie jeszcze nieraz odwiedzimy naszym wózkiem twój warsztat.

- To były lata... - powiedział Bob z zadumą. Oczy mu zwilgotniały. - Od tamtego czasu wszystko idzie tylko ku gorszemu, co nie?

- Racja, stary - rzucił w odpowiedzi Rocky. - Wszystko zszarzało i zgówniało. Ale nie pękaj, chłopie i nie rób niczego, czego ja bym nie zro...

- Moja żona nie sypia ze mną od półtora roku - wyznał Bob, lecz jego słowa zostały zagłuszone przez kaszel silnika, gdy Rocky podejmował kolejną nieudaną próbę uruchomienia chryslera. Bob podniósł się i patrzył, jak jego dawny kolega wyjeżdża tyłem z warsztatu, zabierając przy tym ze sobą kawałek jednego skrzydła drzewi.

Leo wychylał się przez okno, posyłając mu kretyński uśmiezek nawiedzzonego świra.

- Przyjdź no kiedyś do pralni, chudzino. Pokażę ci, jaką mam dziurę w plecach. Pokażę ci moje bębny! Pokażę ci...

Nagle ramię Rocky'ego wysunęło się gwałtownie zza pleców chłopaka niczym hak dźwigu i wciągnęło go w mrok szoferki.

- Czołem, stary! - ryknął Rocky.

Chrysler wykonał pijacki slalom pomiędzy trzema dystrybutorami paliwa i z ostrym szarpnięciem ruszył w noc. Bob patrzył za nim, dopóki tylne światła nie zaczęły przypominać małych robaczek świętojańskich, a następnie ostrożnym krokiem wrócił do warsztatu. Na zawalonym narzędziami stole leżała chromowana ozdoba z jakiegoś starego samochodu. Zaczął się nią bawić, by po chwili zapłakać rzewnymi łzami za utraconymi dniami młodości. Nieco później, około trzeciej nad ranem, udusił swoją żonę, a następnie puścił z dymem cały dom, aby upozorować nieszczęśliwy wypadek.

- O, słodki Jezu - odezwał się Rocky do Leo, kiedy warsztat Boba zmalował do małego świetlnego punkciku, daleko za ich plecami. - I co ty na to? Stary, pocziwy Sztywniak.

Rocky osiągnął już ten stan alkoholowego upojenia, kiedy wydaje się, że każda cząstka osobowości rozplynęła się już w niebycie, prócz jednego, malutkiego węgielka trzeźwości żarzącego się gdzieś w głębi umysłu.

Leo nie odpowiedział. W bladej poświacie roztaczanej przez przyrządy na desce rozdzielczej przypominał Susła z szalonego podwieczorku Alicji.

- Został osaczony i przyparty do muru - ciągnął Rocky. Przez chwilę jechał po lewej stronie drogi, ale zaraz potem wrócił na swój pas. - Masz szczęście - chyba nie będzie pamiętał, coś mu naopowiadał. Następnym razem może ci to nie ujsć na sucho. Ile razy mam ci powtarzać? Zachowaj dla siebie te głupie pomysły o jakiejś tam zasranej dziurze w plecach.

- Ale ty wiesz, że ja naprawdę mam tam dziurę.

- Dobra, no i co z tego?

- To z tego, że to moja dziura. I będę gadał o mojej dziurze, kiedy tylko przyjdzie mi...

Nagle obejrzał się do tyłu.

- Za nami jakaś furgonetka. Właśnie ruszyła z pobocza. Jedzie bez świateł.

Rocky spojrzął w lusterko. Tak, za sobą mieli furgonetkę, a jej kształt wydał mu się znajomy. To była typowa furgonetka, jaką zazwyczaj rozwożono mleko. Nie musiał wcale odczytywać napisu MLECZARNIA CRAMERA, aby domyślić się, do kogo należała.

- To Spike - wydusił z siebie przerażony. - To Spike Milligan! O Boże, myślałem, że on pracuje tylko rano!

- Kto taki?

Rocky nie odpowiedział. Dolna część jego twarzy rozciągnęła się w kurczowym pijackim uśmiechu. Jednakże jego oczy się nie śmiały. Były teraz wielkie i czerwone jak światła na skrzyżowaniu.

Nagle wcisnął gaz do dechy, na co chrysler zareagował gardłowym beknięciem, wypluwając z rury kilka oleistych kłębow niebieskawego dymu, po czym z wyraźnymi oporami przyspieszył do setki.

- Hej! Za dużo wypiełeś, żeby tak pędzić! Czyś ty... - Leo urwał, jakby zapomniał, co ma dalej powiedzieć. Drzewa i domy odpływały w tył ze świstem, jak mroczne, rozmyte kształty na cmentarzu po północny. W szalonym tempie przemknęli obok znaku stopu i z impetem najechali na małe wybrzuszenie nawierzchni przed przejściem dla pieszych. Na moment znaleźli się w powietrzu. Kiedy spadli z powrotem na jezdnię, nisko zawieszony tłumik zarysował asfalt, wzniecając snop iskier. Na tylnych siedzeniach zadzwoniły opróżnione puszki. Twarze słynnych futbolistów turlały się tam i z powrotem, z ciemności w światło i ze światła w mrok.

- Robiłem sobie jaja! - zaryczał dziko Leo. - Nie ma żadnej furgonetki!

- To on. On morduje ludzi! - wrzeszczał Rocky. - Widziałem jego robala w warsztacie! Cholera jasna!

Z rykiem wspięli się na Południowe Wzgórze, jadąc po niewłaściwej stronie szosy. Jakiś duży samochód kombi jadący z naprzeciwka z upiornym piskiem opon zjechał na żwirowe pobocze i ześliznął się do rowu po desperackiej próbie uniknięcia czołowego zderzenia. Leo spojrzął w tył. Droga była pusta.

- Rocky...

- No, spróbuj mnie złapać, Spike! - darł się Rocky. - Tylko spróbuj!

Chrysler pędził już sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, co sam Rocky, gdyby był nieco trzeźwiejszy, uznałby za absolutnie niemożliwe. Dojechali do zjazdu na drogę prowadzącą do Johnson Flat. Spod tyśnych opon chryslera walił dym. Samochód gnał przez noc jak oszalone widmo, smugami światła z reflektorów obmacując ciągnącą się przed nimi opustoszałą drogę. Wtem z mroku wyłonił się mercury, model z 1959 roku, z rykiem pędząc ku nim środkiem drogi, z białą linią dokładnie pomiędzy kołami. Rocky wydobył z gardła rozpaczliwy okrzyk i zasłonił twarz dłońmi. Leo zdążył jedynie zauważyć, że mercury nie ma na masce charakterystycznej ozdoby, kiedy w uszy wdarł się potworny huk zderzenia.

Jakiś kilometr za nimi zamigotały światła na skrzyżowaniu i furgonetka z napisem MLECZARNIA CRAMERA ruszyła w stronę kolumny ognia oraz dwóch poczerwiałych kadłubów znieruchomiałych pośrodku drogi. Samochód poruszał się z umiarkowaną prędkością, Z tranzystorowego radjyka, zwisającego z olbrzymiego rzeźniczego haka, sączył się jakiś rhythm and bluesowy standard.

- I to by było tyle - skwitował całą scenę Spike. - Teraz pojedziemy do domu Boba Driscolla. Jemu się wydaje, że ma benzynę w swoim warsztacie, ale ja nie byłbym tego taki pewien. To był długi dzień, nieprawdaż?

Ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że tył furgonetki jest pusty. Nawet robał gdzieś zniknął.

Przełożył
Rafał Wilkoński

BABCIA

Matka zatrzymała się przy drzwiach, zawahała się, wróciła i zmierzwiła George'owi włosy.

- Nie martw się - powiedziała. - Wszystko będzie w porządku. Z babcią też.

- Jasne, wiem. Powiedz Buddy'emu, żeby się czepiał.

- Słucham? Uśmiechnął się.

- Żeby się trzymał.

- Aha. Bardzo zabawne. - Obdarzyła go roztargnionym uśmiechem. - George, czy jesteś pewien...

- Nic mi nie będzie.

Czy jesteś pewien... czego? Czy jesteś pewien, że nie boisz się zostać sam z babcią? Czy właśnie o to chciała zapytać?

Jeśli tak, to odpowiedź brzmiała: nie. Bądź co bądź, nie miał już sześciu lat, jak wówczas kiedy przyjechali tu, do Maine, żeby zaopiekować się babcią, a on wrzeszczał z przerażenia za każdym razem, gdy babcia wyciągała do niego potężne ręce ze swego białego plastikowego fotela, pachnące gotowanymi na twardo jajkami, które jadła na śniadanie, i zasypką dla niemowląt, którą matka George'a wcierała w pomarszczoną, pofałdowaną skórę; wyciągała ku niemu słoniowo białe ramiona, czekała, aż podejdzie i da się przytulić do ogromnego, słoniowo białego cielska. Buddy zrobił to, znikł na jakiś czas w objęciach babci, i wyszedł z tego z życiem... ale Buddy był o dwa lata starszy.

A teraz złamał nogę i leży w szpitalu w Lewiston.

- Gdyby coś się działo - ale przecież nie będzie, prawda? - masz numer telefonu do lekarza.

Zgadza się?

- Jasne - odparł, przełknąwszy suchy kłęb, który utkwiał mu w gardle.

Czy uśmiech byt w porządku? Na pewno. Na pewno. Przecież nie boi się babci. Nie ma już sześciu lat. Mama jedzie do szpitala odwiedzić Buddy'ego, a on zostanie w domu i będzie się czepiał. Czyli trzymał. Pobędzie trochę z babcią. Nie ma problemu.

Matka ponownie zatrzymała się przy drzwiach, westchnęła, i znowu do niego wróciła, z tym samym roztargnionym, niepewnym uśmiechem na twarzy.

- Jeżeli się obudzi i każe sobie zaparzyć herbaty...

- Wiem - przerwał jej George, widząc, jak bardzo jest przerażona i zaniepokojona, mimo że się uśmiechała. Martwiła się o Buddy'ego i jego idiotyczną ligę juniorów; zadzwonił trener z wiadomością, że Buddy miał wypadek podczas meczu, a George dowiedział się o tym w ten sposób (właśnie wrócił ze szkoły, siedział przy stole w kuchni, zjadał ciastka i popijał je kakao), że matka raptownie nabrała powietrza i zapytała: "Wypadek? Jaki wypadek? Czy to coś poważnego?" - Wiem, mamo. Wszystko mam w małym palcu. Nic się nie przejmuj. No, idź już.

- Mądry chłopiec. Tylko niczego się nie bój. Już się nie boisz babci, prawda?

- Pewnie, że nie.

Uśmiechnął się jak człowiek, który doskonale się czepia, czyli trzyma, który wszystko ma w małym palcu i który już nie ma sześciu lat. Z wysiłkiem przełknął ślinę. Tak, uśmiech udał się bez zarzutu, ale w głębi, pod tym uśmiechem, było zupełnie suche gardło wypełnione watą szklaną.

- Powiedz Buddy'emu, że mi przykro z powodu tej nogi.

- Powiem - odparła i po raz kolejny skierowała się do drzwi. Przez okno sączył się blask popołudniowego słońca. - Dzięki Bogu, że wykupiliśmy ubezpieczenie sportowe. Nie mam pojęcia, co byśmy zrobili, gdyby go nie było.

- Powiedz mu też, że mam nadzieję, że dał tamtemu nieźle w kość.

Znowu ten sam uśmiech, uśmiech nieco ponadpięćdziesięcioletniej samotnej kobiety późno obdarzonej dwoma synami, trzynasto- i jedenastoletnim. Tym razem otworzyła drzwi i do hallu natychmiast wcisnął się z szeptem chłodny październik.

- Pamiętaj, doktor Arlinder...

- Jasne. Lepiej już idź, bo zanim dojedziesz, już wyzdrowieje.

- Wątpię, żeby się obudziła do mojego powrotu. Kocham cię, George. Jesteś bardzo dobrym synem.

Zamknęła za sobą drzwi.

George patrzył przez okno, jak grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków, zmierza szybkim krokiem do starego dodge'a rocznik 69, który zużywał za dużo paliwa i oleju. Teraz, kiedy wyszła z domu i nie wiedziała, że syn ją obserwuje, niepewny uśmiech znikł z jej twarzy, pozostała tam natomiast niepewność i niepokój o Buddy'ego. George bardzo jej współczuł, ani trochę natomiast nie współczuł bratu, który często powalał go na ziemię, siadał na nim okrakiem i stukał go łyżeczką w czoło tak długo, aż George'owi wydawało się, że zaraz oszaleje. (Buddy nazywał to "Łyżeczkową Torturą Wstrętnego Chinola" i zaśmiewał się do rozpuku, niekiedy zaś przestawał się znęcać dopiero wtedy, kiedy George wybuchał płaczem). Bratu, który nieraz tak mocno robił mu "pokrzywę", że na przedramieniu George'a pojawiały się drobniutkie krople krwi, niczym rosa na żdźbłach trawy o świcie. Bratu, który pewnej nocy w spowitej ciemnością sypialni wysłuchał ze zrozumieniem szeptanego wyznania George'a dotyczącego silnego uczucia sympatii, jakie ten żywił do niejakiej Heather MacArdle, by nazajutrz rano wpaść na szkolny dziedziniec i wykrzykiwać wniebogłosy: GEORGE I HEATHER SIĘ CAŁUJĄ I DZIDZIUSIÓW OCZEKUJĄ! NAJPIERW SIĘ PIEŚCIMY, POTEM DZIECI BAWIMY! Kogoś takiego jak Buddy nawet złamana noga nie usunie na długo z pola widzenia, ale George nie miał nic przeciwko żadnemu, nawet najkrótszemu okresowi spokoju. Zobaczmy, czy z nogą w gipsie też będziesz mi urządził Łyżeczkową Torturę. No pewnie! Już to widzę!

Dodge wycofał się z podjazdu i przyhamował na chwilę, kiedy matka George'a rozglądała się w lewo i prawo, aby sprawdzić, czy coś nie nadjeżdża. Tutaj nic nigdy nie jeździło. Matkę czekała teraz trzykilometrowa przejażdżka po nierównej gruntowej drodze, a od miejsca, gdzie zaczynał się asfalt, do Lewiston było trzydzieści kilometrów.

Cofnęła się jeszcze trochę, wrzuciła pierwszy bieg. Przez chwilę pył wisiał nieruchomo w rześkim październikowym powietrzu, a następnie zaczął powoli opadać.

George został sam w domu.

Z babcią.

Przełknął ślinę.

Hej, nie ma sprawy! Uszy do góry!

- No pewnie - wymamrotał i przeszedł przez niewielką, skapaną w blasku słońca kuchnię. Był jasnowłosym, ładnym chłopcem o piegowatej twarzy i wesołych, ciemnoszarych oczach.

Wypadek Buddy'ego zdarzył się podczas meczu futbolowej Ligi Kucyków. Tygrysy, uczestniczący w Lidze Mikrusów zespół George'a, już pierwszego dnia zostały wyeliminowane z rozgrywek. (Co za dzieciuchy! - naigrawał się Buddy, kiedy George ze łzami w oczach schodził z boiska. Ale maminsynki!). A teraz Buddy leży ze złamaną nogą. Gdyby nie to, że mama tak bardzo się martwiła, George byłby niemal szczęśliwy.

Na ścianie wisiał telefon, obok zaś tablica z uwiązany na sznurku pisakiem. W prawym górnym narożniku tablicy uśmiechała się jowialnie wiejska babcia o mocno zaróżowionych policzkach i siwych włosach zebranych w kok. Wyciągniętą ręką wskazywała tablicę, a z jej ust wydobywał się komiksowy dymek z tekstem: "Pamiętaj, synku!". Na tablicy matka George'a napisała niewyraźnym charakterem pisma: dr Arlinder - 681-4330. Napis nie pojawił się dzisiaj w związku z tym, że wybierała się w odwiedziny do Buddy'ego; był tam prawie od trzech tygodni, ponieważ babcia znowu dostawała się pod "zły urok".

George podniósł słuchawkę.

- ...więc na to mówię jej: "Mabel, jeśli on będzie wciąż traktował cię jak...".

Odwiesił ją na widełki. Henrietta Dodd. Henrietta bez przerwy rozmawiała przez telefon, popołudniami zaś w tle zawsze było słycać mydlane opery z telewizora. Któregoś wieczoru, wypiwszy z babcią po kieliszku wina (odkąd znowu zaczęły się "złe uroki", doktor Arlinder zabronił babci pić wino do obiadu, więc mama także nie piła - George bardzo tego żałował, ponieważ po winie stawała się znacznie weselsza i opowiadała różne historie ze swojego dzieciństwa), mama powiedziała, że za każdym razem, kiedy Henrietta Dodd otwiera usta, ulewa z siebie żółć. Buddy'ego i George'a ogromnie to rozbawiło; pokładali się ze śmiechu, a mama zasłoniła sobie usta ręką i powiedziała: "Tylko nikomu, NIKOMU tego nie powtarzajcie!", a potem również zaczęła się śmiać, i tak śmiali się we trójkę przy kuchennym stole, aż wreszcie hałas obudził babcię, która spała coraz więcej, i babcia zaczęła wołać "Ruth! Ruth! Ruuuth!", tym swoim wysokim, swarliwym głosem, a mama natychmiast spoważniała i poszła do jej pokoju. Dzisiaj, gdyby ktoś pytał George'a o zdanie, Henrietta Dodd mogła gadać do upadłego. Chciał się tylko upewnić, czy telefon działa. Po wielkiej burzy, która przeszła przed dwoma tygodniami, od czasu do czasu zdarzały się przerwy w łączności.

Patrząc na sympatyczną starszą panią na tablicy, zastanawiał się, jak by to było mieć taką babcię. Jego babcia była ogromna, gruba i ślepa, a nadciśnienie sprawiło, że nie jest w pełni władz umysłowych. Niekiedy, podczas swoich "złych uroków", zachowywała się (tak mówiła o tym mama) "jak z Tartaru": wzywała nieobecnych ludzi, rozmawiała z powietrzem, mamrotała dziwne, bezsensowne słowa. Pewnego razu, kiedy właśnie mówiła coś niezrozumiałego, mama zbladła jak ściana, weszła do pokoju babci i kazała jej się zamknąć, zamknąć, zamknąć! George dobrze to zapamiętał, nie tylko dlatego, że pierwszy i ostatni raz słyszał, żeby mama podniosła głos na babcię, ale i dlatego, że tej samej nocy zdemastowano cmentarz przy Mapie Sugar Road: ktoś poprzewracał nagrobki, wyważył zabytkową ubiegłowieczną bramę, a nawet rozkopał jeden czy dwa groby. Zbezczeszczenie - takiego słowa użył nazajutrz pan Burdon, dyrektor szkoły, przemawiając na specjalnym apelu do wszystkich uczniów. Mówił o Zwyrodniałym Występku i o tym, że pewne rzeczy po prostu Nie Są Zabawne. W drodze powrotnej do domu George zapytał Buddy'ego co znaczy słowo "bezczeszczyć", a Buddy odpowiedział, że to znaczy rozkopywać groby i sikać na trumny, ale George mu nie uwierzył... Aż zrobiło się późno. I ciemno.

Znajdując się pod "złym urokiem", babcia robiła się hałaśliwa, poza tym jednak zazwyczaj po prostu leżała w łóżku, do którego trafiła przed trzema laty - gruby ślimak w pampersie, ceratowych majtkach i flanelowej koszuli, o twarzy pokrytej gęstą siatką bruzd i zmarszczek i pustych, ślepych oczach z bladobłękitnymi tęczęwkami naklejonymi na żółtawe gałki.

Babcia nie zawsze była ślepa, ale stopniowo traciła wzrok, w związku z czym, kiedy wstawiała z plastikowego, pachnącego zasypką fotela i szła do łóżka albo do łazienki, ktoś musiał jej towarzyszyć. Wtedy, pięć lat temu, babcia ważyła sporo ponad sto kilogramów.

Wyciągnęła ramiona i Buddy, wówczas ośmioletni, poszedł do niej. George rozplakał się i został z tyłu.

Ale teraz się nie boję, powtarzał sobie, krzątając się po kuchni w sportowych pantoflach. Ani trochę. To po prostu bardzo stara pani, która niekiedy dostaje się pod "zły urok".

Napełnił czajnik wodą i postawił go na niewłączonym palniku. Wyjął z szafki filiżankę i włożył torebkę z ulubioną herbatką babci. To na wypadek gdyby się obudziła i zażądała pić. Miał nadzieję, że tak się nie stanie, bo wtedy musiałby posadzić ją w łóżku, usiąść obok i podsuwać filiżankę, żeby mogła pić małymi łykami. Bezzębne usta będą się zawijały na krawędzi filiżanki, herbata będzie spływać w konającą otchłań przy akompaniamencie nieznośnego siorbania. Babcia niekiedy przechylała się w łóżku i trzeba było pomóc jej się wyprostować; miała miękkie, galaretowane ciało, jakby wypełnione ciepłą wodą, a jej niewidzące oczy wpatrywały się z bliska...

George zwilżył językiem usta i podszedł do kuchennego stołu. Stały tam szklanka wypełniona do połowy kakao i talerz, na którym zostało jeszcze jedno ciastko, ale odechciało mu się jeść. Bez entuzjazmu popatrzył na podręczniki mające okładki w barwach Castle Rock Cougars.

Powinien do niej zajrzeć.

Ale nie chciał.

Przełknął ślinę, lecz mimo to nadal wydawało mu się, że w gardle utknęło mu mnóstwo waty szklanej.

Nie boję się babci, myślał. Gdyby teraz wyciągnęła do mnie ramiona, podszedłbym i dałbym się przytulić, bo to po prostu stara pani. Jest niedołączna i czasem jest pod "złym urokiem", to wszystko. Przytuliłaby mnie, a ja wcale, ale to wcale bym nie płakał. Jak Buddy.

Z twarzą wykrzywioną jak po zażyciu gorzkiego lekarstwa i zbieleńcami, zaciśniętymi mocno ustami, przeszedł przez krótki korytarzyk dzielący go od pokoju babci i zajrzał do środka. Spała, żółtawe włosy tworzyły wokół jej głowy jakby koronę, bezzębne usta były szeroko otwarte, pierś poruszała się pod przykryciem tak słabo, że z trudem dało się to dostrzec, tak powoli, że potrzebował trochę czasu, aby się upewnić, że babcia żyje.

Boże, a jeśli umrze, zanim mama wróci ze szpitala?!

Nie umrze. Nie umrze.

A jeżeli?...

Nie umrze, więc przestań się mazgać.

Żółtawa, jakby nadtopiona ręka przesunęła się powoli po kołdrze, długie paznokcie zachrobotyły na pościeli. George cofnął się raptownie. Serce waliło mu jak młotem.

Widzisz, głupku? Wszystko w porządku. Czepiaj się, czyli trzymaj, i już.

Wrócił do kuchni, żeby sprawdzić, czy od wyjazdu matki minęła dopiero godzina, czy może już półtorej. Jeśli półtorej, to właściwie lada chwila będzie mógł zacząć wyglądać jej powrotu.

Spojrzawszy na ścienny zegar, ze zdumieniem stwierdził, że nie upłynęło jeszcze dwadzieścia minut; mama nawet nie dotarła do miasta, a cóż dopiero mówić o powrocie! Stał nieruchomo, wsłuchany w ciszę. Stopniowo wyróżniał w niej coraz więcej ledwo słyszalnych dźwięków: pomrukiwanie lodówki... tykanie zegara elektrycznego na ścianie... posapywanie wiatru uganiającego się wokół domu... a także, na samej granicy słyszalności, coś jakby szelest albo delikatne drapanie - odgłos, z jakim pomarszczona, tłusta ręka babci przesuwiała się po kołdrze. BłagamcięBożeniepozwołżebysięobudziłanimmamawróci dodomuAmen, wyrzucił z siebie w myślach jednym tchem.

Usiadł przy stole, zjadł ciastko, dopił kakao. Chętnie włączyłby telewizor, ale bał się, że obudzi babcię i usłyszy jej wysoki, kłótniwy głos: "Ruuuuth! Ruth! Przynieś mi herbatkę! Ruuuuuth!". Przesunął suchym językiem po spierzchniętych ustach. Nie bądź mazgajem, skarcił się po raz kolejny. Przecież to tylko stara kobieta przykuta do łóżka, na pewno nie zdoła wstać, żeby zrobić mu coś złego, a poza tym ma dopiero osiemdziesiąt trzy lata, na pewno nie umrze akurat dzisiaj.

Podszedł do telefonu i ponownie zdjął słuchawkę z widełek.

- ...jeszcze tego samego dnia! Chociaż dobrze wiedziała, że jest żonaty! Rety, jak ja nie znoszę tych cwanych młodych spryciul, którym się wydaje, że pozjadą wszystkie rozumy.

Powiedziałam więc w Grange, że...

George domyślił się, że Henrietta rozmawia z Corą Simard. Henrietta wisiała na telefonie niemal codziennie od pierwszej do szóstej po południu, w tle sączyła się lista dialogowa najpierw "Ryan's Hope", potem "One Life to Live", potem "All My Children", potem "As the World Turns", potem "Search for Tomorrow" i Bóg wie jakich jeszcze tasiemcowych seriali, Cora Simard zaś była jedną z jej najwierniejszych rozmówczyń. Ich wielogodzinne konwersacje obracały się zazwyczaj wokół następujących tematów: 1) kto wydaje przyjęcie sponsorowane przez Tupperware albo Amwaya i co będzie do jedzenia; 2) cwanych młodych spryciul; 3) co każda z nich mówiła różnym ludziom w: 3a) Grange, 3b) podczas comiesięcznego spotkania parafialnego, 3c) na zebraniu miejscowego koła Stowarzyszenia Dobroczynności.

- ...jeśli choć jeszcze raz ją tam zobaczę, zachowam się jak na dobrą obywatelkę przystało i zawiadomię...

Odwiesił słuchawkę. Jak wszystkie dzieciaki, wspólnie z Buddym naigrawali się z Cory za każdym razem, kiedy przechodzili obok jej domu, ponieważ była gruba, niezgrabna i kochała plotki. "Cora, Cora z Bora-Bora, zjadła psią kupę prosto z wora!", tak właśnie wykrzykiwali. Mama zabiłaby ich obu, gdyby o tym wiedziała, ale teraz George nawet się cieszył, że Cora i Henrietta Dodd rozmawiają przez telefon. Jeżeli o niego chodzi, mogły gadać nawet do wieczora, tym bardziej że tak naprawdę to nie miał nic przeciwko Córce. Kiedyś przewrócił się przed jej domem i zadrapał kolano do krwi (uciekał wtedy przed Buddym), a Cora opatrzyła skaleczenie i dała im po ciastku, przez cały czas gadając jak najęta. George'owi zrobiło się bardzo głupio z powodu rymowanki, którą wyrzaskiwał przed jej oknami, i całej reszty.

Podszedł do kredensu, zdjął książkę z wypisami, ważył ją przez chwilę w ręce, po czym odstawił z powrotem. Chociaż szkoła trwała dopiero od miesiąca, przeczytał ją już całą. Czytał lepiej od Buddy'ego, ten natomiast był dużo lepszy w sporcie. Teraz przez jakiś czas nie będzie, pomyślał z satysfakcją. Nie ze złamaną nogą.

Zdecydował się na podręcznik do historii, usiadł przy kuchennym stole i zaczął czytać o tym, jak Cornwallis poddał się pod Yorktown, ale nie mógł się skoncentrować. Wstał, przeszedł przez korytarzyk, zajrzał do pokoju; żółtawa ręka leżała nieruchomo. Babcia spała. Szary, sflaczały owal twarzy na poduszce wyglądał jak konające słońce otoczone splątana, siwożółtą koroną włosów. George wcale nie uważał, żeby w czymkolwiek przypominała starych ludzi gotowych lada chwila umrzeć. Nie promieniowała spokojem zachodzącego słońca. Sprawiała wrażenie kogoś szalonego i...

(i niebezpiecznego)

...tak, rzeczywiście, niebezpiecznego - wiekowa niedźwiedzica, która być może zachowała jeszcze dość sił na jedno potężne machnięcie łapą.

George dobrze pamiętał, jak to było, kiedy po śmierci dziadka przyjechali do Castle Rock, żeby zaopiekować się babcią. Wcześniej mama pracowała w pralni miejskiej w Stratford, w stanie Connecticut. Dziadek był młodszy od babci o trzy albo cztery lata, zajmował się stolarką i pracował do samej śmierci. Umarł na zawał serca.

Już wtedy babci zdarzało się pozostawać przez jakiś czas pod wpływem "złych uroków". Rodzina zawsze miała z nią kłopoty. Była energiczną kobietą, która przez piętnaście lat uczyła w szkole - w wolnych chwilach między rodzeniem dzieci i toczeniem nieustannych sporów z kościołem kongregacjonistów, do którego należała wraz z mężem i dziewięciorgiem potomstwa. Mama zawsze mówiła, że babcia i dziadek wystąpili z kościoła kongregacjonistów w Scarborough w tym

samym czasie, kiedy babcia przestała uczyć w szkole, ale kiedyś, mniej więcej przed rokiem, kiedy przyjechała w odwiedziny ciotka Flo z Salt Lake City, George i Buddy, podsłuchując przy kratce wentylacyjnej w ich pokoju, usłyszeli zupełnie inną historię. Babcia i dziadek zostali wykluczeni ze wspólnoty wiernych, babcię zaś wyrzucono ze szkoły w związku z czymś, co zrobiła, a co miało jakiś związek z książkami. George nie zrozumiał, o co dokładnie chodziło, więc kiedy leżeli już w łóżkach, zapytał starszego brata.

- Są różne książki, senor el Gapolo - odparł szeptem Buddy.

- Wiem, ale o jakie chodziło?

- Skąd mam wiedzieć? Śpij już!

Cisza. George zastanawiał się intensywnie.

- Buddy...

- Czego? - odpowiedziało mu wściekle syknięcie.

- W takim razie dlaczego mama mówiła nam, że babcia sama wystąpiła z kościoła i zrezygnowała z pracy?

- Bo to trup w rodzinnej szafie, i tyle. A teraz śpij wreszcie! George jednak długo nie mógł zasnąć. Wpatrywał się w oświetlone przyćmionym blaskiem księżycy drzwi szafy i zastanawiał się, co by zrobił, gdyby nagle się otworzyły, odsłaniając ukrytego we wnętrzu trupa z wyszczerzonymi zębami i szeroko otwartymi, połyskującymi w mroku oczami. Czy zacząłby wrzeszczeć? A tak w ogóle, to co Buddy miał na myśli, mówiąc o trupie w rodzinnej szafie? Co trupy mają wspólnego z książkami? Wreszcie zasnął, nawet nie zdając sobie z tego sprawy; śniło mu się, że znowu ma sześć lat, że babcia wyciąga ku niemu ramiona, że wpatruje się w niego ślepych oczami i mówi piskliwym, kłótliwym głosem: Ruth, gdzie jest ten maluch? Dlaczego płacze? Przecież chcę go tylko schować do szafy, razem z trupem.

George bardzo długo roztrząsał tę zagadkę, aż wreszcie, mniej więcej miesiąc po wyjeździe ciotki Flo, powiedział matce, że podsłuchiwał jej rozmowę z ciotką. Wiedział już, co oznacza powiedzenie "trup w szafie", ponieważ zapytał o to nauczycielkę, panią Redenbacher. Wyjaśniła, iż chodzi o skandal w rodzinie, a skandal to coś, o czym ludzie uwielbiają plotkować. Tak jak Cora Simard? - zapytał George, a pani Redenbacher zrobiła dziwną minę, prawie się uśmiechnęła, ale tylko prawie, i odparła: Nieładnie tak mówić, George, ale... ale w gruncie rzeczy masz rację. Mama właśnie układała pasjansa. Kiedy usłyszała, co ma jej do powiedzenia, jej ręce znieruchomiały, a twarz zastygła jak maska.

- Czy uważasz, że to w porządku, Georgie? Często podsłuchujecie przy kratce wentylacyjnej? George, wówczas dziewięćolatek, zwiesił głowę.

- Bardzo lubimy ciocię Flo, więc chcieliśmy posłuchać jej trochę dłużej.

Mówił prawdę.

- Czy to był pomysł Buddy'ego?

Owszem, lecz George nie mógł tego przyznać, ponieważ nie zamierzał sprawdzać, jak to jest, kiedy ma się skrecony kark, a właśnie coś takiego mogłoby go spotkać, gdyby Buddy dowiedział się o jego gadulstwie.

- Nie, mój.

Mama bardzo długo milczała, a potem znowu zaczęła powoli rozkładać karty.

- Może rzeczywiście nadeszła już pora, żebyście wiedzieli - powiedziała. - Chyba gorzej jest kłamać, niż podsłuchiwać, a przecież wszyscy okłamujemy nasze dzieci. Siebie chyba zresztą też, prawie bez przerwy. - A potem w jej głosie niespodziewanie zabrzmiała gorycz, zupełnie jakby spomiędzy jej zębów trysnął żrący kwas; George był niemal pewien, że gdyby w porę się nie cofnął, słowa matki oparzyłyby mu twarz. - Ja jestem wyjątkiem. Muszę z nią mieszkać i nie stać mnie już na luksus kłamstw.

Wkrótce po tym, jak babcia i dziadek się pobrali, urodziło im się martwe dziecko, a rok później kolejne, też nieżywe. Lekarz powiedział babci, że nigdy nie zdoła urodzić żywego dziecka i że zawsze będzie rodzić albo martwe, albo takie, które umrą jeszcze na sali porodowej. Będzie to trwało dopóty, dopóki wreszcie ktoś z nich umrze tak wcześnie, że jej organizm nie zdoła go w porę wyrzucić, a dziecko zacznie się rozkładać i zabija ją.

Tak powiedział lekarz.

Wkrótce potem pojawiły się książki.

- Książki o tym, jak mieć dzieci?

Mama jednak nie wiedziała (albo nie chciała powiedzieć), co to były za książki, ani gdzie babcia je znalazła, ani skąd wiedziała, że właśnie tych powinna szukać. Po jakimś czasie babcia ponownie zaszła w ciążę; tym razem dziecko urodziło się żywe i nie umarło na sali porodowej. Tym razem było zupełnie zdrowe - na świecie pojawił się wujek Larson. Potem przyszły kolejne. Któregoś razu, opowiadała mama, dziadek spróbował pozbyć się z domu tych książek, żeby sprawdzić, czy bez nich też im się uda (albo może po prostu doszedł do wniosku, że wystarczy już tych dzieci), ale babcia się nie zgodziła.

- Przypuszczam, że wtedy te książki stały się dla niej równie ważne jak dzieci - odpowiedziała matka na pytanie George'a "dlaczego?".

- Nie rozumiem...

- Ja chyba też nie - przyznała. - Byłam wtedy bardzo mała. Wiem na pewno tylko tyle, że te książki całkowicie nią zawładnęły. Oświadczyła, że nie życzy sobie więcej dyskusji na ten temat, i dyskusje się skończyły. W naszej rodzinie to właśnie ona nosiła spodnie.

George zatrzasnął podręcznik i spojrzał na zegar: dochodziła piąta. Trochę burczało mu w brzuchu. Nagle uświadomił sobie z pewnego rodzaju przerażeniem, że jeśli mama nie wróci około szóstej, babcia z pewnością się obudzi i zażąda kolacji. Mama zapomniała poinstruować go, co powinien wtedy robić - przypuszczałnie dlatego, że tak bardzo przejęła się złamaną nogą Buddy'ego. Najwyżej przygotuje babci któreś z jej specjalnych mrożonych dań - specjalnych, ponieważ nie wolno jej było używać soli. Oprócz tego łykała co najmniej tysiąc rozmaitych tabletek.

Dla siebie odgrzeje resztki makaronu z serem. Jeśli poleje je obficie keczupem, mogą być całkiem niezłe.

Wyjął garnek z lodówki, przełożył jego zawartość na patelnię i postawił go na kuchence obok czajnika z wodą, który stał tam w pogotowiu, na wypadek gdyby babcia się obudziła i zażyczyła sobie "filizanki na rozweselenie", jak czasem mawiała. George zaczął nalewać sobie mleka do szklanki, przerwał i ponownie podniósł słuchawkę.

- ...dosłownie nie wierzyłam własnym oczom, bo... - Henrietta Dodd urwała raptownie i zapytała piskliwym głosem: - Ciekawa jestem, kto nas teraz podsłuchuje!

George pospiesznie odwiesił słuchawkę. Policzki paliły go żywym ogniem. Głupolu, przecież ona nie wie, że to ty! - skarcił się w myślach. Ta linia łączy siedem domów!

W niczym jednak nie zmieniało to faktu, że nie należy podsłuchiwać, nawet jeśli czyni to ktoś, kto pragnie usłyszeć czyjś głos, ponieważ jest w domu zupełnie sam, nie licząc babci - potwornie otylej istoty w sąsiednim pokoju; nawet jeśli ten ktoś musiał usłyszeć czyjś głos, ponieważ mama pojechała do Lewiston, wkrótce zacznie się ściemniać, a babcia leży w sąsiednim pokoju i wygląda jak

(tak, tak właśnie wygląda!)

jak wiekowa niedźwiedzica, która być może zachowała jeszcze dość sił na jedno potężne machnięcie łapą.

Nalał sobie mleka do pełna.

Mama urodziła się w roku 1930, po niej, w 1932, ciotka Flo, a w 1934 przyszedł na świat wujek Franklin, który zmarł w 1948 z powodu pęknięcia wyrostka robaczkowego. Mama wciąż nosiła jego zdjęcie i czasem nawet popłakiwała, kiedy o nim mówiła. Lubiła go najbardziej z całego rodzeństwa. Często powtarzała, że to była głupia i niepotrzebna śmierć. Bóg nie zachował się w porządku, zabierając Franka do siebie.

George spojrział w okno nad zlewozmywakiem. Słońce wisiało nisko nad wzgórzem, złociste promienie padały niemal poziomo, cień szopy na narzędzia ciągnął się przez trawnik długim czarnym pasem. Gdyby Buddy nie złamał tej swojej głupiej nogi, mama byłaby teraz w domu, przygotowywałyby chili albo coś w tym rodzaju (plus niesoloną kolację dla babci), rozmawialiby, śmiali się, a potem może zagraliby w remika.

Choć jeszcze wcale nie było ciemno, włączył światło, po czym ustawił pokrętko pod palnikiem na słabe grzanie. Myślami przez cały czas był przy babci, która siedziała w swoim plastikowym krześle jak gigantyczny tłusty robal ubrany w sukienkę, z głową otoczoną koroną potarganych włosów, i wyciągała ku niemu ręce, on zaś tulił się do mamy, dygocąc z przerażenia.

- Daj mi go, Ruth. Chcę go przytulić.

- Trochę się boi. Za jakiś czas sam do ciebie przyjdzie. Sądząc po brzmieniu jej głosu, mama też się bała. Bała się? Mama?

George zastanowił się głęboko. Czy to prawda? Buddy powiedział kiedyś, że pamięć potrafi płać rozmaite figle. Czy naprawdę mama była wtedy wystraszona?

Tak. Była.

Apodyktyczny głos babci:

- Nie rozpieszczaj chłopaka, Ruth! Daj mi go, chcę go przytulić!

- Nie, mamó. On płacze.

Babcia opuściła wtedy potężne ręce, oblepione ciałem niczym pecynami ciasta, uśmiechnęła się zarazem chytrze i bezmyślnie, i powiedziała:

- Czy on naprawdę jest taki podobny do Franka, jak mówiłaś? Podobno lubił go najbardziej ze wszystkich.

George powoli mieszał w rondlu. Po raz pierwszy przypomniał sobie to zdarzenie z tyloma szczegółami. Być może stało się tak za sprawą panującej w domu ciszy, a może tego, że oprócz niego i babci nie było w nim nikogo.

Tak więc babcia rodziła dzieci i uczyła w szkole, lekarze, jak należało się spodziewać, byli zdumieni, dziadek zaś zajmował się stolarką i zarabiał coraz więcej, nawet w najgorszych latach Wielkiego Kryzysu, aż wreszcie ludzie zaczęli gadać.

- A co mówili? - zapytał George.

- Nic ważnego - odparła mama i gwałtownym ruchem zgarnęła karty. - Tylko tyle, że twoi dziadkowie mają zbyt wiele szczęścia jak na zwykłych ludzi.

Wkrótce potem natrafiono na książki. Mama nie chciała powiedzieć nic więcej oprócz tego, że część z nich znalazła rada szkolna, część zaś pomocnik dziadka. Wybuchł wielki skandal, babcia i dziadek przenieśli się do Buxton i na tym się skończyło.

Dzieci dorosły i założyły własne rodziny, stając się przy okazji ciotkami i wujkami. Mama wyszła za męża i przeprowadziła się z tatą (którego George w ogóle nie pamiętał) do Nowego Jorku.

Kiedy urodził się Buddy, przenieśli się do Stratford; później, w 1969, urodził się George, a w

1971 tata zginął pod kołami samochodu prowadzonego przez Pijanego Kierowcę Który Poszedł Za To Do Więzienia.

Zaraz po tym, jak dziadek umarł na zawał serca, nastąpiła wzmożona wymiana korespondencji między ciotkami i wujkami. Ani oni, ani sama zainteresowana nie chcieli słyszeć o umieszczeniu jej w domu opieki, a do życzeń babci lepiej było się stosować. Stara kobieta chciała zamieszkać z jednym ze swoich dzieci i tam spędzić ostatnie lata życia. Wszyscy jednak mieli współmałżonków, z których żaden nie wyrażał chęci dzielenia domu ze starą i często nieprzyjemną osobą. Wszyscy, z wyjątkiem Ruth.

Listy krążyły tak długo, aż wreszcie mama George'a dała za wygraną. Zrezygnowała z pracy i przeniosła się do Maine, by zaopiekować się staruszką. Pozostali przeprowadzili między sobą zbiórkę pieniędzy i postawili mały domek na obrzeżu Castle View, gdzie ceny ziemi były niższe. Uzgodniono również, że co miesiąc będą przysyłać jej pieniądze na życie.

Krótko mówiąc, moi bracia i siostry zrobili ze mnie zarządcę, powiedziała kiedyś. George nie za bardzo wiedział co to miało oznaczać, ale mama miała taką minę, jakby powiedziała dowcip, tyle że z trudem przeszedł jej przez gardło. Wiedział (od Buddy'ego), iż tym, co ostatecznie zaważyło na decyzji mamy, było podsycane w niej przez wszystkich przekonanie, że babcia z pewnością nie pożyje długo. Zbyt wiele jej dolegało: wysokie ciśnienie, kłopoty z układem moczowym, otyłość, kołatanie serca... Jeszcze jakieś osiem miesięcy, twierdzili ciotka Flo, ciotka Stephanie i wujek George (po którym George otrzymał imię). Najwyżej rok. Teraz jednak mijał już piąty rok i George'owi wydawało się, że to dość długo.

Nawet bardzo długo. Niczym niedźwiedzica pogrążona we śnie zimowym, czekająca na...
Właśnie, na co?

(ty wiesz najlepiej, jak z nią sobie radzić, Ruth, ty wiesz, jak zmusić ją do milczenia)
Znieruchomiał w drodze do lodówki, gdzie zamierzał przeczytać przepis przyrządzania na jednym z opakowań niesolonych obiadków babci. Znieruchomiał jak posąg. Skąd to się wzięło? Skąd wziął się głos, który zabrzmiał w jego głowie?

Brzuch i pierś George'a pokryły się gęsią skórką. Wsunął rękę pod koszulę i dotknął sutka; był twardy jak kamyczek. Pospiesznie cofnął dłoń.

Wujek George. Jego imiennik, który pracował w Nowym Jorku dla Sperry-Randa. To był jego głos. Wujek powiedział te słowa dwa... nie, trzy lata temu, kiedy razem z rodziną przyjechał do nich na Boże Narodzenie.

Teraz jest jeszcze bardziej niebezpieczna.
Cicho bądź, George. Chłopcy gdzieś tu są.

Stał bez ruchu z ręką na zimnym chromowanym uchwycie przy drzwiach lodówki, wpatrywał się w gasnący dzień za oknem i stopniowo przypominał sobie coraz więcej szczegółów. Tego dnia Buddy'ego nie było już w domu, ponieważ Buddy koniecznie chciał zdobyć dla siebie lepsze sanki. Wybierali się na wzgórze Joe Cambera, jednak jedne sanki miały zwichrowaną płożę, więc Buddy wybiegł pierwszy, a George został w przedsionku i grzebał w skrzyni w poszukiwaniu dwóch takich samych grubych skarpet. Czy to była jego wina, że akurat wtedy mama rozmawiała z wujkiem w kuchni? Chyba nie, podobnie jak nie było jego winą, że Bóg nie uczynił go głuchym albo przynajmniej nie przeniósł rozmowy w inne miejsce. Mama sama często powtarzała (szczególnie po jednym lub dwóch kieliszkach wina), że Bóg czasem gra nie fair.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli - powiedział wujek George.

Jego żona pojechała ze wszystkimi trzema córkami do Gates Falls na ostatnie świąteczne zakupy, wujek zaś miał już porządnie w czubie, zupełnie jak Pijany Kierowca Który Poszedł Do Więzienia. Mówił coraz bardziej niewyraźnie.

- Pamiętasz, co stało się z Franklinem, kiedy się jej sprzeciwił?

- George, natychmiast przestań albo wyleję resztę piwa do zlewu!

- Wątpię, żeby zrobiła to celowo. Pewnie tylko jej się tak powiedziało. Zapalenie otrzewnej...

- Zamknij się wreszcie!

Może nie tylko Bóg gra czasem nie fair? - pomyślał wtedy George.

Oderwał się od wspomnień, otworzył lodówkę, sięgnął do zamrażalnika i wyjął jeden z gotowych obiadów babci. Cielęcina z zielonym groszkiem. Włożył do rozgrzanego piekarnika i piec przez czterdzieści minut w temperaturze stu pięćdziesięciu stopni. Proste jak drut. Był przygotowany na każdą ewentualność: jeżeli babcia zażąda herbatki, dostanie ją w ciągu paru minut, jeśli zacznie domagać się obiadu, będzie musiała poczekać niewiele dłużej. Gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego, na tablicy jest numer doktora Arlindera. Wszystko jest pod kontrolą, więc dlaczego się niepokoisz?

Dlatego że do tej pory nigdy nie zostawał w domu sam z babcią.

Daj mi go, Ruth. Chcę go przytulić.

Nie. On płacze.

Teraz jest bardziej niebezpieczna... Wiesz, co mam na myśli.

Wszyscy okłamujemy nasze dzieci.

Żaden nie zostawał sam z babcią. Ani on, ani Buddy. Aż do dzisiaj.

Zaschło mu w ustach, podszedł więc do zlewozmywaka, odkręcił kurek i napił się wody. Czuł się... dziwnie. Te wszystkie myśli, te wspomnienia. Dlaczego właśnie teraz zaczęły wypływać na powierzchnię?

Miał wrażenie, że ktoś wysypał przed nim elementy układanki, a on nie potrafił jej ułożyć. Może i dobrze, że nie potrafił? Może obrazek, który by zobaczył, wcale by mu się nie spodobał? Może...

Z pokoju, w którym babcia spędzała wszystkie dni i noce, dobiegł bulgoczący charkot.

George wciągnął ze świstem powietrze. Odwróciłby się w kierunku korytarzyka łączącego kuchnię z pokojem, gdyby nie to, że ktoś przykleił mu podeszwy do linoleum. Serce ciążyło mu jak żelazna sztaba, oczy usiłowały wyskoczyć z głowy. Idźcie tam! - polecił mózg nogom, te zaś stanęły na baczność i odpowiedziały: Za nic w świecie!

Babcia nigdy nie wydawała takich odgłosów.

Nigdy.

Dźwięk powtórzył się: niski, gardłowy, coraz niższy, a potem umilkł. George wreszcie zdołał się poruszyć. Przeszedł krótkim korytarzykiem łączącym kuchnię z pokojem babci i z mocno bijącym sercem zajrzał do środka. Teraz wata tak szczelnie zatkała mu gardło, że choćby nie wiadomo jak się starał, nie zdołałby przełknąć śliny.

Babcia śpi, więc wszystko jest w porządku, taka była jego pierwsza myśl. To tylko dziwaczny odgłos, nic więcej. Być może zdarzało jej się to częściej, na przykład, kiedy on i Buddy byli w szkole. Zwyczajne chrapanie. Babci nic nie jest. Śpi.

Tak pomyślał w pierwszej chwili. Zaraz potem spostrzegł, że żółtawa ręka, która do tej pory spoczywała na kołdrze, teraz zwisa bezwładnie, prawie dotykając podłogi długimi paznokciami. Zauważył też otwarte usta, pomarszczone i zapadnięte niczym otwór wykrojony w nadpsutym owocu.

Powoli, nieśmiało zbliżył się do niej.

Bardzo długo stał tuż obok, ale nie śmiał jej dotknąć. Poruszająca się do tej pory w rytmie oddechu kołdra nawet nie drgnęła. Chyba.

Chyba.

To było kluczowe słowo.

To tylko dlatego, że dajesz się ponieść fantazji, Georgie. Jesteś po prostu senior El Gapolo, jak mawia Buddy. To wszystko gra. Mózg płata ci sztuczki, babcia oddycha normalnie, tyle że...

- Babciu... - Z jego gardła wydobył się ochryply szept. Odchrząknął i aż podskoczył, przestraszony niespodziewanym dźwiękiem. - Babciu... - powtórzył głośniejszym głosem. - Chcesz już herbatkę? Babciu?

Cisza.

Zamknięte oczy.

Otwarte usta.

Zwisająca ręka.

Na zewnątrz zachodzące słońce przeświecało czerwonożłociście przez gałęzie drzew.

I właśnie wtedy ujrzał ją w pełni istnienia, zobaczył ją dziecinnymi oczami, w cudownie nieuprzedzonej formującej się dopiero refleksji, nie tu, nie teraz, nie w łóżku, lecz siedzącą w białym plastikowym fotelu, z wyciągniętymi ramionami i twarzą równocześnie bezmyślną i triumfującą. Przypomniał sobie również jeden z jej "złych uroków", kiedy zaczęła wykrzykiwać coś jakby w obcym języku ("Gyaagin! Gyaagin! Hastur degryon Yos-soth-oth!"); mama kazała im wtedy wyjść z domu, wrzasnęła "Idźcie już!" na Buddy'ego, który zatrzymał się, żeby poszukać rękawiczek, a Buddy obejrzał się przez ramię, przerażony, ponieważ mama NIGDY na nich nie krzyczała; obaj wyszli na dwór i w milczeniu stali na podjeździe, z rękami wepchniętymi w kieszenie, usiłując dociec, co się dzieje.

Później mama jakby nigdy nie zawołała ich na kolację.

(ty wiesz najlepiej jak z nią sobie radzić Ruth ty wiesz jak zmusić ją do milczenia)

George po raz pierwszy przypomniał sobie o tym konkretnym "złym uroku". Dopiero teraz, patrząc na babcię pogrążoną w przedziwnym śnie, uświadomił sobie z przerażeniem, że nazajutrz po tamtych wydarzeniach okazało się, iż pani Harham, która mieszkała trochę dalej przy tej samej ulicy i niekiedy odwiedzała babcię, umarła w nocy.

"Złe uroki" babci.

Złe uroki.

Zdaje się, że specjalistkami od rzucania złych uroków były wiedźmy. Tylko ktoś, kto to potrafi, może zostać wiedźmą. Zatrute jabłka. Książęta zakłęci w żaby. Domki z piernika. Abrakadabra. Hokus-pokus.

Uroki.

Rozsypane elementy łamigłówek jakby za sprawą czarów ułożyły się w całość.

Czary, pomyślał George i jęknął.

Co przedstawiał obrazek? Oczywiście babcię. Babcię i jej książki. Babcię wygnaną z miasteczka, babcię, która nie mogła mieć dzieci, a potem nagle miała ich całe mnóstwo, babcię, którą wyrzucono nie tylko z miasteczka, ale i z kościoła. Żółtawą, grubą, pomarszczoną, przypominającą ślimaka babcię z bezzębnymi ustami wykrzywionymi w zapadniętym uśmiechu, z oczami przygastymi i ślepyimi, a zarazem w jakiś tajemniczy sposób chytrymi i przebiegłymi, w czarnym spiczastym kapeluszu na głowie, przystrojonym srebrzystymi gwiazdami i lśniącymi półksiężycami; u jej stóp kłębiły się czarne koty ze ślepiami żółtymi jak urną, otaczała ją woń wieprzowiny i ślepoty, wieprzowiny i spalenizny, a także wiekowe gwiazdy i świece czarne jak grobowa ziemia; słyszał słowa odczytywane z pradawnych ksiąg, a każde słowo było jak kamień, a każde zdanie było jak świeżo rozkopana mogiła, a każdy akapit był jak koszmarny karawan

załadowany trupami wywożonymi z zadżumionego miasta; jego oczy dziecka otworzyły się szeroko ze zdumionym zrozumieniem i ujrzały czarną otchłań.

Babcia była wiedźmą, tak samo jak Zła Czarownica z "Czarnoksiężnika z Krainy Oz", a teraz umarła. Ten bulgoczący odgłos, myślał George z coraz większym przerażeniem. To niby-chrapanie było w rzeczywistości... było... przedśmiertnym charkotem.

- Babciu... - wyszeptał, a jednocześnie przez głowę przemknęło mu zwariowane zdanie: "Bim-bom, zła wiedźma nie żyje!".

Nie zareagowała. Przysunął rękę do jej ust, lecz nie poczuł oddechu. Całkowita flauta, żagle w zwisie, brak kilwatu. Strach zaczął powoli ustępować i George spróbował uruchomić szare komórki. Przypomniawszy sobie, jak wujek Fred pokazywał mu, w jaki sposób sprawdza się kierunek wiatru za pomocą poślinionego palca; polizał dłoń i ponownie zbliżył ją do ust babci.

Nic.

Ruszył do telefonu, by zadzwonić do doktora Arlindera, lecz zatrzymał się w progu. A jeśli nic jej nie jest? Niepotrzebnie narobi zamieszania i będzie z tego mnóstwo wstydu.

Sprawdź puls.

Popatrzył z powątpiewaniem na zwisającą bezwładnie rękę. Rękaw nocnej koszuli powędrował nieco w górę, odsłaniając nadgarstek, ale co z tego? Kiedyś, po wizycie u lekarza, kiedy zbadano mu puls, George usiłował go wyczuć - bezskutecznie. Zdaniem jego niewprawnych palców był martwy jak kłoda.

Poza tym nie miał zbyt wielkiej ochoty na to, żeby dotykać babci. Nawet jeśli nie żyła.

Szczególnie jeśli nie żyła.

Stał w korytarzyku, spoglądając to na nieruchomą postać w łóżku, to na wiszący na ścianie telefon. Nie ma wyboru. Musi zadzwonić. Musi...

Lusterko!

Oczywiście! Jeśli chuchnąć na lusterko, zostaje na nim mgiełka. Widział kiedyś na filmie, jak lekarz sprawdza w ten sposób, czy pacjent oddycha. George pobiegł do sąsiadującej z pokojem łazienki, chwycił dwustronne lusterko (jedna strona była zwyczajna, druga zaś powiększała odbicie), wrócił z nim do łóżka i przysunął tak blisko do otwartych ust babci, że prawie ich dotykało. Policzył do sześćdziesięciu, przez cały czas nie spuszczał babci z oka. Nawet nie drgnęła. Był pewien, że nie żyje, zanim spojrzał na czystą powierzchnię lusterka.

Babcia umarła.

Uświadomił sobie z ulgą i czymś w rodzaju zdziwienia, że teraz jest nawet w stanie jej współczuć. Może była wiedźmą, a może nie. Może tylko wydawało jej się, że nią jest. Tak czy inaczej, już jej nie ma. Nagle pojął, zupełnie jak dorosły człowiek, że w niemym, obojętnym towarzystwie śmiertelnych szczątków problemy związane z konkretną rzeczywistością stają się może nie mniej istotne, ale na pewno mniej palące. Sprawilo mu to niemalą ulgę, również jak dorosłemu. Tego rodzaju doświadczenia odciskały w jego umyśle ślady niemal takie same jak ślady stóp na piasku; dopiero znacznie później młody człowiek uświadamia sobie, że przez cały czas był tworzony, kształtowany przez rozmaite przypadkowe zdarzenia; w chwili kiedy się z nimi styka, czuje tylko smród strzelniczego prochu świadczący o tym, że trafił go kolejny ładunek koncepcji niemieszczących się w dziecięcym umyśle.

Odniosł lusterko do łazienki, a wracając przez pokój, jeszcze raz spojrzał na ciało. Zachodzące słońce pomalowało martwą twarz barbarzyńskimi, pomarańczowoczerwonymi barwami, dlatego George pospiesznie odwrócił wzrok.

Idąc do telefonu, układał sobie w głowie plan postępowania. Nie wolno mu popełnić żadnego błędu. Już teraz dostrzegał potencjalne korzyści, jakie może wyciągnąć z tej sytuacji; kiedy

Buddy znowu zacznie z niego szydzić, powie po prostu: "Byłem sam w domu, kiedy umarła babcia, i zrobiłem wszystko jak należy".

Przed wszystkim trzeba zadzwonić do doktora Arlindera. Zadzwonić i powiedzieć: "Moja babcia właśnie umarła. Co powinienem zrobić? Przykryć ją czy jak?".

Nie.

"Wydaje mi się, że babcia umarła".

Tak będzie znacznie lepiej. Wszyscy przecież są przekonani, że dzieci na niczym się nie znają i nic nie wiedzą. Albo może coś w tym rodzaju:

"Jestem prawie pewien, że babcia nie żyje..."

Jasne! Właśnie o to chodzi.

Potem opowie o przedśmiertnym charkocie, lusterku i o całej reszcie. Lekarz zaraz przyjedzie, a kiedy skończy badać babcie, powie: "Babciu, ogłaszam, że nie żyjesz", a potem do George'a: "Dzielnie czepiałeś się, to znaczy trzymałeś, w tej trudnej sytuacji. Gratuluję". A on bąknie coś skromnie.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w numer telefonu doktora Arlindera, po czym odetchnął głęboko kilka razy i chwycił słuchawkę. Serce waliło mu mocno, ale przynajmniej nie miał wrażenia, że jest odlane z żelaza. Babcia umarła. Stało się najgorsze, a jednak nie było to wcale takie okropne jak oczekiwanie na to, że babcia się obudzi i zażąda herbatki.

W słuchawce panowała głucha cisza.

Na ustach zawisły mu słowa, które sobie przygotował: "Przepraszam, panno Dodd, tu mówi George Bruckner. Muszę natychmiast wezwać lekarza do mojej babci". Ale nie usłyszał żadnych głosów ani żadnego sygnału. Tylko głucha cisza. Identyczna jak w pokoju babci.

A babcia teraz...

...teraz...

(och, tak!)

...nie żyje.

Znowu gęsia skórka, niemal bolesna, oczy wpatrzone w dzbanuszek na palniku, w kubek na blacie z włożoną torebką. Babcia już nie wypije tej herbatki.

Ani żadnej innej herbatki.

Babcia nie żyje.

Ciałem George'a wstrząsnął dreszcz.

Postukał palcem w widełki, lecz w słuchawce wciąż panowała martwa cisza. Martwa jak...
(martwa jak...)

Odwiesił ją z rozmachem, dzwonek zabrzączał, więc pospiesznie chwycił słuchawkę w nadziei, że może telefon ożył, ale nic takiego się nie stało, zatem odwiesił ją ponownie, tyle że znacznie delikatniej.

Serce znowu łomotało mu w piersi.

Jestem sam w domu z trupem.

Chyba przez minutę stał nieruchomo przy stole, po czym włączył światło. Wkrótce zajdzie słońce i zapadnie noc.

Czekać. Muszę tylko zaczekać na powrót mamy. Tak jest nawet lepiej. Teraz, kiedy telefon nie działa, lepiej się stało, że umarła, niż żeby dostała jakiegoś ataku albo czegoś w tym rodzaju, albo żeby wypadła z łóżka...

No, tak, tylko tego mu brakowało. Po co o tym pomyślał?

Leży w ciemności i rozmyśla o martwych, ale wciąż żywych, patrzy na jeszcze ciemniejsze cienie na ścianach i myśli o śmierci, o trupach, o tym, jak cuchną i jak nagle ruszają w twoją stronę,

myśli o tym i o tamtym, myśli o robakach pożerających ciało, torujących sobie drogę przez tkanki, o oczach w ciemności. Tak, o tym najbardziej. O oczach, które poruszają się w mroku i o podłodze skrzypiącej pod stopami czegoś, co skrada się ku niemu po pasach z nocy i sączącego się z zewnątrz, nieco rozcieńczonego mroku. Właśnie tak.

W ciemności wszystkie myśli zataczają kręgi. Niezależnie od tego, na czym usiłujesz się skoncentrować - na kwiatkach, Panu Jezusie, baseballu albo swoich szansach na zwycięstwo w olimpijskim finale biegu na czterysta metrów - prędzej czy później i tak znowu widzisz niewyraźną, spowitą całunem mroku postać ze szponami i szeroko otwartymi, wpatrzonymi w ciebie oczami.

- Kurczę pieczone! - prychnął i uderzył się na odlew w twarz. Mocno. Pora przestać się mazgać. Przecież nie ma sześciu lat. Babcia nie żyje, po prostu nie żyje, i już. Nic nie może sobie myśleć, bo jest martwa jak głąz, klamka u drzwi albo gałka radia, albo...

Przerwał mu silny, nieznoszący sprzeciwu głos, który niespodziewanie rozległ się w jego głowie. Przypuszczalnie odezwał się instynkt samozachowawczy: "Zamknij się wreszcie, Georgie, i weź się do roboty!".

Tak, oczywiście, ale...

Wrócił przed drzwi sypialni, żeby się upewnić.

Babcia leżała tak, jak ją zostawił: z przewieszoną bezwładnie ręką, prawie dotykającą podłogi i szeroko otwartymi ustami. Była teraz jak mebel. Można by ułożyć babci rękę z powrotem na łóżku albo szarpać ją za włosy, albo wlać w usta szklanek wody, albo założyć słuchawki i puścić na cały regulator Chucka Berry'ego, a jej i tak byłoby wszystko jedno. Jak niekiedy mawiał Buddy: babcia wypadła z gry.

Nagle George aż podskoczył, a z jego ust wyrwał się stłumiony okrzyk; coś załomotało donośnie. Chwilę potem odprężył się - to tylko wiatr szarpał dodatkowymi zewnętrznymi drzwiami, które Buddy tydzień wcześniej zawiesił na zawiasach.

George otworzył wewnętrzne drzwi, wychylił się - włosy rozwiały mu się we wszystkie strony - chwycił miotane przez wiatr skrzydło i zatrasnął je. Ciekawe, skąd się wzięło takie wietrzysko? - przemknęło mu przez głowę. Kiedy mama wyjeżdżała do szpitala, było zupełnie cicho... ale wtedy był jeszcze dzień, a teraz zmierzch gęstniał coraz szybciej.

Jeszcze raz obrzucił babcię spojrzeniem, wrócił do kuchni i po raz kolejny podniósł słuchawkę. Cisza. Usiadł, zaraz potem wstał, a następnie zaczął chodzić od ściany do ściany, usiłując zebrać myśli.

Godzinę później całkowicie się ściemniło.

Telefon nadal nie działał. Przypuszczalnie wiatr - który tymczasem przeistoczył się w wichurę - zerwał linię telefoniczną, najprawdopodobniej przy Bobrowych Błotach, gdzie drzewa rosły gęsto na podmokłym gruncie. Aparat podzwaniał od czasu do czasu, cicho i upiornie, lecz w słuchawce wciąż panowała głucha cisza. Na zewnątrz wiatr zawodził potępieńczo; George'owi przyszło do głowy, że będzie miał co opowiadać kolegom na najbliższym skautowskim biwaku: zupełnie sam w domu z martwą babcią, nieczynny telefon, wiatr gnający po niebie chmury zupełnie czarne u góry i brudnożółte od spodu - taki sam kolor miały szponiaste ręce babci.

Tak, to będzie ekstra, jak mawiał Buddy.

George nie miałby nic przeciwko temu, żeby już być na biwaku i opowiadać o swoich przeżyciach, wspominając je z bezpiecznego oddalenia, tymczasem jednak siedział przy kuchennym stole nad otwartym podręcznikiem do historii i podskakiwał nerwowo przy każdym podejrzanym odgłosie. Teraz, kiedy wiatr przybrał na sile, dom trzeszczał i skrzypiał wszystkimi nienaoliwionymi, zapomnianymi stawami.

Niedługo wróci. Niedługo wróci i wszystko będzie w porządku. Wszystko (nie przykryłeś jej)

będzie w po

(nie przykryłeś jej twarzy)

Poderwał się gwałtownie, jakby ktoś niespodziewanie odezwał się za jego plecami, i wybałuszył oczy na bezużyteczny telefon. Umarłemu zasłania się twarz. Pokazują to na wszystkich filmach.

Do diabła z tym! Na pewno tam nie pójde!

Oczywiście. Dlaczego miałby tam wracać? Niech to zrobi mama, kiedy wreszcie wróci, albo doktor Arlinder, kiedy przyjedzie. Albo przedsiębiorca pogrzebowy.

Ktoś. Ktokolwiek. Tylko nie on.

Nie ma najmniejszego powodu, żeby musiał to zrobić.

To dla niego bez znaczenia, a tym bardziej dla babci.

Głos Buddy'ego w głowie:

"Skoro się nie bałeś, to dlaczego nie odważyłeś się przykryć jej twarzy?"

Bo to było dla mnie bez znaczenia.

"Trzęsiportek!"

A tym bardziej dla babci.

"Galareta!"

Siedząc przy kuchennym stole nad otwartym podręcznikiem, z którego nie przeczytał ani słowa, George zrozumiał, że dopóki czymś nie zasłoni twarzy babci, nie będzie mógł twierdzić, że zrobił wszystko jak należy, a wtedy Buddy może się pokusić o podważenie twierdzenia o jego, George'a, odwadze.

Wyobrazził sobie, jak snuje na biwaku mrozącą krew w żyłach opowieść o śmierci babci i jak wtedy, kiedy dociera do happy endu, czyli do chwili gdy na podjeździe zatańczyły plamy światła rzucane przez reflektory samochodu mamy (powrót dorosłej osoby przywraca i utwierdza Właściwy Porządek Rzeczy), z cienia wyłania się jakaś postać, w ognisku pęka z donośnym trzaskiem sosnowy sęk, i Buddy mówi szyderczym tonem: "Skoro byłeś taki odważny, galareto, to czemu nie przykryłeś jej TWARZY?"

Wstał, powtarzając sobie w duchu, że babcia wypadła z gry, że się przekreśliła, że wyciągnęła nogi. Mógłby położyć jej rękę z powrotem na łóżku, mógłby wepchnąć jej do nosa torebkę z herbatą, mógłby nałożyć jej na uszy słuchawki i puścić na cały regulator Chucka Berry'ego, i tak dalej, i tak dalej, a jej byłoby wszystko jedno, bo właśnie tak jest, kiedy się umrze, po prostu wszystko ci jedno; bo kiedy nie żyjesz, to nic nie jest w stanie cię poruszyć, a cała reszta to tylko sny, uporzyciwie powracające, koszmarne, przerażające sny o tym, jak w środku najczarniejszej nocy nagle otwierają się drzwi szafy i właśnie wtedy na niebie zaczyna świecić księżyc, i przez szparę wlewa się akurat tyle jego srebrzystoblękitnego blasku, by wydobyć z nicości sine ciało trupa, który...

- Przestań! - wyszeptał. - Przestań, to...

(obrzydliwe)

Przywołał się do porządku. Pójdzie tam, naciągnie jej kołdrę na twarz i wytrąci Buddy'emu z ręki wszystkie argumenty. Zrobi wszystko jak należy. Przykryje jej twarz, a potem - aż się uśmiechnął, zachwycony głębokim symbolicznym znaczeniem tego gestu - schowa do szafki zbędne już herbatę i filiżankę.

Ruszył przed siebie, okupując każdy krok ogromnym wysiłkiem. Pokój babci był pogrążony w ciemności, ciało majaczyło w mroku niczym ogromny czarny worek; przez kilka sekund, które ciągnęły się w nieskończoność, rozpaczliwie szukał włącznika; wreszcie znalazł go i pokój zalało żółte światło z kryształowego żyrandola.

Babcia leżała tak, jak ją zostawił: ze zwieszoną bezwładnie ręką i otwartymi ustami. George przyglądał się jej, czując, jak na czoło wypełzają mu kropelki potu, i zastanawiał się, czy do jego obowiązków należy również położenie tej ręki na łóżku, razem z resztą babci. Doszedł do wniosku, że jednak nie. Tego byłoby za wiele. Nie dotknie jej. Wszystko, tylko nie to.

Powoli, jakby zamiast powietrza otaczała go jakaś gęsta ciecz, podszedł do łóżka, zatrzymał się i spojrzał w dół, na babcię. Babcia była żółta - częściowo za sprawą światła przesączonego przez stary kryształ, ale nie tylko.

Oddychając chrapliwie przez usta chwycił krawędź kołdry, naciągnął ją babci na twarz, po czym pospiesznie się cofnął. Kołdra natychmiast zsunęła się odrobinę, tak że było widać żółte czoło aż po brwi. Zmusił się, żeby ponownie chwycić krawędź kołdry - rozstawił ręce najszerszej, jak mógł, żeby tylko na pewno jej nie dotknąć, nawet przez pościel - i ponowił próbę. Tym razem kołdra została na miejscu. Strach częściowo ustąpił. Pochował ją. Tak, właśnie dlatego zmarłym zasłania się twarze: to jest jak pogrzeb. Ostateczne stwierdzenie nieodwracalnego faktu.

Opuścił wzrok na zwieszoną, niepochowaną rękę i nagle zdał sobie sprawę, że może już jej dotknąć, że może ją chwycić, wepchnąć pod kołdrę i pochować wraz z resztą babci.

Schylił się, ujął chłodną rękę i podniósł.

Żółte palce zacisnęły się na jego nadgarstku.

George krzyknął przeraźliwie. Szarpnął się, wciąż krzycząc. Krzykiem usiłował pokonać pustkę panującą w domu, zawroźnienie wiatru za oknami, poskrzypywanie stawów i przegubów budynku. Cofnął się tak gwałtownie, że ciało babci przesunęło się pod przykryciem, ręka zaś opadła, palce jeszcze przez chwilę próbowały coś uchwycić, by wreszcie rozluźnić się i znieruchomieć.

Wszystko w porządku. Nic się nie stało. To tylko pośmiertny skurcz mięśni.

Skinął głową, potwierdzając słuszność swojej diagnozy, ale zaraz przypomniał sobie, jak ręka chwyciła go za nadgarstek, a potem szukała po omacku, i wrzasnął jeszcze bardziej przeraźliwie niż poprzednio. Oczy niemal wyszły mu z orbit, włosy zjeżyły się na głowie, upodabniając ją do nastroszonej szyszki, serce tłukło się w piersi niczym oszalała prasa. Świat zatańczył mu dziko przed oczami, wrócił do właściwej pozycji, by po chwili przekrzywić się i znieruchomieć pod przedziwnym kątem. Jak tylko zaczynał odzyskiwać zdolność racjonalnego myślenia, panika wracała, a wraz z nią gęsia skórka. Odwrócił się i pognął na oślep, z jednym tylko celem przed oczami: żeby jak najprędzej stąd wyjść, znaleźć się w innym pokoju albo nawet parę kilometrów stąd. Nie patrzył, dokąd biegnie, więc z całej siły rąbnął w ścianę jakieś pół metra od otwartych na oścież drzwi.

Odbił się, runął na podłogę, głowę przeszył mu ostry ból, który nawet zdołał przedrzeć się przez wszechogarniającą panikę. Dotknął nosa; na ręce została mu krew, czerwone krople kapały na koszulę. Zerwał się na równe nogi i potoczył dokoła dzikim spojrzeniem.

Ręka zwisała tak jak przedtem, ciało babci wcale się nie przesunęło.

A więc wszystko sobie wyobraził. Owszem, wszedł do pokoju, cała reszta jednak stanowiła wytwór jego fantazji.

Nieprawda.

Ból pozwolił mu oprzytomnieć. Trup nie chwyci cię za nadgarstek, ponieważ jest trupem. Kiedy nie żyjesz, mogą z ciebie zrobić wieszak na kapelusze albo wsadzić cię w oponę z tylnego koła ciągnika i turlać z górki, i tak dalej, i tak dalej. Kiedy nie żyjesz, możesz być tylko obiektem czyjegoś działania (na przykład małych chłopców, którzy usiłują wepchnąć pod kołdrę zwisającą bezwładnie rękę); czasy, gdy sam aktywnie działałeś, należą bezpowrotnie do przeszłości.

Chyba że jesteś wiedźmą. Chyba że umarłeś akurat wtedy, kiedy w domu jest tylko pewien mały chłopiec, bo tak jest najlepiej, bo wtedy możesz... możesz...

Co?

Nic. Głupota. Wyobraził sobie wszystko od początku do końca, ponieważ był przerażony. Koniec, kropka. Otarł nos przedramieniem i skrzywił się z bólu. Na skórze została rozmazana krwawa smuga.

Już się do niej nie zbliży, i tyle. Niezależnie od tego, co było prawdą, a co złudzeniem, nie zamierza zadzierać z babcią. Oślepiająca eksplozja paniki przygasła, ale on nadal się bał, był bliski płaczu, roztrzęsiony widokiem własnej krwi. Marzył wyłącznie o tym, żeby matka jak najprędzej wróciła do domu i zajęła się wszystkim.

Wycofał się do korytarzyka, stamtąd do kuchni, napełnił płuca powietrzem i opróżnił je w długim, drżącym wydechu. Przydałby się jakiś zimny okład na nos; nagle zebrało mu się na wymioty. Pochylił się nad zlewozmywakiem, odkręcił kran z zimną wodą, wyjął jakąś szmatkę z szafki, zmoczył ją, przyłożył do nosa i wciągnął wodę razem z krwią. Co jakiś czas moczył szmatkę, tak że kiedy wreszcie zakręcił kran, wyjął ją i przyłożył do nosa, rękę i połowę twarzy miał zupełnie zdrętwiałe z zimna.

Właśnie miał się odwrócić od zlewozmywaka, kiedy z sąsiedniego pokoju dobiegł głos babci:
- Chodź do mnie, chłopcze. Chodź do mnie. Babcia chce cię przytulić.

Otworzył usta do krzyku, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Żaden. Dźwięki dobiegały za to z sąsiedniego pokoju. Słyszał je wielokrotnie, kiedy mama myła babcię w łóżku, unosiła bezwładne ciało, przesuwała, znowu unosiła. Tym razem jednak odgłosy te wydawały się bardziej celowe i uporządkowane, jakby babcia... jakby babcia usiłowała wstać z łóżka.

- Chodź tu, chłopcze! Chodź tu natychmiast! Pospiesz się! Spostrzegł z przerażeniem, że jego stopy zastosowały się do polecenia. Usiłował je powstrzymać, one jednak uparcie przesuwały się po linoleum: lewa, prawa, znowu lewa, słoma, siano, słoma, siano... Mózg był tylko bezsilnym, przerażonym więźniem zamkniętym w ciasnej celi na szczycie ruchomej wieży.

Ona naprawdę jest wiedźmą, jest wiedźmą i znowu dostała się pod "zły urok", tak, to rzeczywiście urok, nie ma co, i do tego bardzo zły, bardzo, o Boże słodki Jezu pomocy pomocy pomocy.

Przeszedł przez całą kuchnię i korytarzyk, wszedł do pokoju babci, tak, to prawda, nie tylko usiłowała wstać z łóżka, ale już wstała, siedziała w białym plastikowym fotelu, po raz pierwszy od czterech lat, od czasu kiedy zrobiła się za ciężka, żeby chodzić i kiedy przestała cokolwiek rozumieć.

Teraz jednak wszystko rozumiała.

Twarz nadal miała obwisła i nalana, ale starcze otępienie znikło z niej bez śladu - jeśli kiedykolwiek naprawdę tam było, jeśli nie stanowiło jedynie maski służącej usypianiu czujności małych chłopców i zmęczonych życiem samotnych kobiet. Teraz twarz babci promieniowała złowróżbną inteligencją, jaśniała niczym stara, cuchnąca woskowa świeca. Matowe, martwe oczy tkwiły głęboko w oczodołach. Pierś się nie poruszała. Nocna koszula podwinęła się nieco, odsłaniając słoniowe nogi. Kołdra zsunęła się z łoża śmierci.

Babcia wyciągnęła ku niemu potężne ramiona.

- Chcę cię przytulić, Georgie! - zabrzączał martwy głos. - Nie bądź taki strachajło. Pozwól przytulić się babci!

George aż się skurczył, walcząc z przemożną, pchającą go ku niej siłą. Na dworze wiatr jęczał i huczał. Wydłużona i wykrzywiona grymasem przerażenia twarz chłopca przypominała twarz z drzeworytowej ilustracji zatrzaśniętej w starej książce.

Powoli, powłócząc nogami, ruszył ku babci. Nie mógł nic na to poradzić. Krok za krokiem zbliżał się ku wyciągniętym ramionom. Pokaże Buddy'emu, że wcale się jej nie boi. Podejdzie do niej i pozwoli się przytulić, bo nie jest żadnym trzęsipotkiem ani galaretą. Zrobi to teraz, natychmiast.

Już prawie znalazł się w jej objęciach, kiedy okno po lewej stronie eksplodowało z hukiem i do pokoju wtargnęła ułamana przez wichurę gałąź z resztkami jesiennych liści. Zaraz za nią runęła wezbrana rzeka wiatru, poprzekrzywiła wiszące na ścianach obrazki, załopotała nocną koszulą babci, rozwiała jej siwożółte włosy.

George odzyskał głos. Zatoczył się na oślep do tyłu, byle dalej od niej; babcia zasyczała z wściekłością, jej wargi uniosły się, odsłaniając nagie starcze dziąsła, pomarszczone grube ręce chwyciły pustkę.

George potknął się o własne stopy i runął jak długi na podłogę. Babcia dźwignęła z krzesła zwały trzęsącego się jak galareta ciała i chwiejnym krokiem ruszyła w jego kierunku. George zorientował się, że nie może się podnieść; niemal całkowicie stracił władzę w nogach. Łkając cicho, usiłował odpełznąć wstecz, lecz babcia wciąż się zbliżała, powoli, ale nieprzerwanie, martwa, a jednak żywa, i nagle zrozumiał, co będzie oznaczać jej uścisk; ostatni fragment układanki trafił na swoje miejsce. W chwili gdy babcia zaciskała palce na jego koszuli, George nagle odzyskał władzę w nogach; błyskawicznie poderwał się z podłogi, koszula trzasnęła w szwie, przez ułamek sekundy czuł na ciele dotyk lodowatych palców, a potem uciekł do kuchni. Pogna na oślep przed siebie w noc. Na pewno nie spotka go tam nic gorszego od uścisku więdźmy. Jeśli nie ucieknie, mama po powrocie, owszem, zastanie martwą babcię i jak najbardziej żywego George'a, tyle że po jakimś czasie stwierdzi ze zdumieniem, iż jej młodszy syn nabrał dziwnego upodobania do ziołowych herbatek...

Obejrzał się przez ramię; groteskowy, zniekształcony cień babci rósł powoli na ścianie korytarzyka.

Zaraz potem rozległ się natarczywy dzwonek telefonu.

George bez zastanowienia porwał słuchawkę z widełek i zaczął wołać o pomoc, ratunku, niech ktoś tu przyjedzie, błagam, niech ktoś przyjedzie mi na ratunek! Wołał bezgłośnie, ponieważ z jego ściśniętego gardła nie chciał się wydobyć żaden dźwięk.

Babcia dotarła chwiejnym krokiem do drzwi kuchni. Wiatr rozwiał jej siwożółte włosy, jeden ze spinających je grzebieni wysunął się i zwisał, dotykając pomarszczonego karku.

Uśmiechała się.

- To ty, Ruth? - Głos ciotki Flo był prawie niesłyszalny. - Ruth, jesteś tam?

Ciotka dzwoniła z odległej o ponad trzy tysiące kilometrów Minnesoty.

- Pomocy! - wrzasnął George co sił w płucach, lecz z ust wydobył mu się tylko słabiutki szept, jakby dmuchnął w zgruchotaną harmonijkę.

Babcia, kolebiąc się na boki, szła po kuchennym linoleum z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Ręce zamykały się, otwierały i znowu zamykały. Babcia koniecznie chciała go przytulić. Czekala na to od pięciu lat.

- Słyszysz mnie, Ruth? Mamy tutaj okropną burzę, a ja... nagle zaczęłam się bać. Ruth, jesteś tam? Ruth!

- B... b... babcia... - wykrztusił przez ściśnięte gardło.

Była już prawie przy nim.

- George??? - Głos ciotki zamienił się niemal w krzyk. - To ty, George?!

Usiłował się cofnąć, lecz uświadomił sobie z przerażeniem, że jak ostatni dureń stanął w oddalonym od drzwi kącie między szafkami i zlewozmywakiem. Koszmar sięgnął zenitu. Jak tylko musnął go jej cień, paraliż strun głosowych ustąpił i George zawył do słuchawki:

- Babcia! Babcia!!! BABCIA!!!

Zimne ręce dotknęły jego gardła. Zamglone, wiekowe oczy przeszywały go paraliżującym spojrzeniem.

Głos ciotki Flo docierał do niego jak przez mgłę, jakby dzieliły ich nie tylko tysiące kilometrów, ale i setki lat:

- George, każ jej się położyć! Każ się jej położyć i uspokoić! Powiedz, że zaklinasz ją w swoim imieniu i w imieniu jej ojca. Imię jej przybranego ojca brzmi Hastur. Rozumiesz? Hastur! Jego się posłucha. Powiedz: W imię twojego ojca Hastura rozkazuję ci... George? Słyszysz mnie, George?!

Starca, pomarszczona ręka wyszarpnęła mu słuchawkę ze zdrtwiałej dłoni, wyrwała sznur z aparatu. George osunął się na podłogę; babcia pochyliła się nad nim, zasłaniając światło.

- Połóż się!!! - wrzasnął rozpaczliwie. - Połóż się i uspokój! W imię Hastura! Hastur! Połóż się! Lodowate palce dotknęły jego szyi...

- Musisz mnie posłuchać! Ciotka Flo powiedziała, że musisz! Zaklinam cię w moim imieniu! W imieniu twojego ojca! Połóż się! Uspo...

...i zaczęły się zaciskać.

Godzinę później, kiedy wreszcie na podjeździe zatańczyły snopy światła reflektorów zbliżającego się samochodu, George siedział przy kuchennym stole nad podręcznikiem do historii. Wstał, podszedł do tylnych drzwi i otworzył je. Po jego lewej stronie wisiał telefon owinięty beużytecznym przewodem słuchawkowym.

Mama weszła do domu z liściem przyklejonym do kołnierza płaszcza.

- Co za wiatr! Wszystko w po... George?... George, co się stało?

Krew odpłynęła jej z twarzy, pozostawiając po sobie nienaturalną, przeraźliwą biel.

- Babcia... Babcia umarła. Umarła, mamusiu. I wybuchnął płaczem.

Przygarnęła go, objęła mocno, po czym zatoczyła się na ścianę, jakby nagle opuściła ją resztką sił.

- Czy... Czy to wszystko? - zapytała. - George, czy oprócz tego coś się wydarzyło?

- Wiatr wrzucił przez okno gałąź do jej pokoju.

Odepchnęła go, przez chwilę wpatrywała się w jego zaleknioną twarz, po czym, mało się nie przewracając po drodze, pobiegła do pokoju babci. Wróciła mniej więcej po czterech minutach ze strzępem koszuli George'a.

- Ścisnęła to w ręce... - wyszeptwała.

- Nie chcę o tym mówić - powiedział George. - Jeśli masz ochotę, zadzwoń do ciotki Flo. Jestem zmęczony. Chcę się położyć.

Wyglądało na to, że spróbuje go zatrzymać, ale tego nie zrobiła. Poszedł na piętro do pokoju, który dzielił z Buddym, i otworzył kratkę wentylacyjną, żeby sprawdzić, co robi matka. Nie mogła zadzwonić do ciotki Flo, ponieważ telefon był uszkodzony. Jutro też z nią nie porozmawia, gdyż krótko przed jej powrotem George wypowiedział kilkanaście słów, częściowo w zwulgaryzowanej łacinie, częściowo w jakimś predruiddkim narzeczu, i ponad trzy tysiące kilometrów stąd ciotka Flo doznała rozległego wylewu krwi do mózgu. Umarła niemal natychmiast. To niesamowite, jak szybko przypomniał sobie te słowa. Jak szybko wszystko sobie przypomniał.

Rozebrał się do naga, położył na łóżku, podłożył pod głowę splecione dłonie i wbił wzrok w ciemność. Na jego twarzy powoli rozkwitał ponury, przerażający uśmiech.

Od tej pory wszystko będzie inaczej.

Zupełnie inaczej.

Na przykład z Buddym. Wprost nie mógł się doczekać, kiedy Buddy wróci ze szpitala i zechce zaaplikować mu Łyzeczkową Torturę Wstrętnego Chinola albo pokrzywkę, albo coś w tym rodzaju. Za dnia, przy świadkach, George niewiele będzie mógł zrobić, ale kiedy nadejdzie noc i znajdą się sam na sam w ich pokoju, za zamkniętymi drzwiami...

Roześmiał się bezgłośnie.
Jak mawiał jego brat, będzie ekstra.

Przełożył
Arkadiusz Nakoniecznik

BALLADA O CELNYM STRZALE

Przyjęcie właściwie już się skończyło, i to sukcesem. Każdy mógł wypić, ile chciał, krwiste steki doskonale upiekły się na ruszcie, a przyrządzona przez Meg sałatka ze specjalne dobranymi dodatkami wzbudziła ogólny zachwyty. Zaczęli o piątej, a teraz było już wpół do dziesiątej i zmierzch zapadał szybko; o tej porze wielkie przyjęcia dopiero się rozkręcają, ale to nie było wielkie przyjęcie, bo bawiło się zaledwie pięć osób: agent z żoną, młody pisarz i jego żona oraz redaktor pewnego magazynu, mający niewiele ponad sześćdziesiątkę, ale wyglądający starzej. Redaktor pił wyłącznie colę. Jeszcze nim przyjechał, agent wyjaśnił pisarzowi, że redaktor pił niegdyś za wiele, ale że nie ma już tego problemu, a także żony; i właśnie dlatego bawili się w piątkę, nie w szóstkę.

Przyjęcie nie rozkręciło się więc tak naprawdę, a kiedy zaczęło się ściemniać, wszystkich siedzących w ogrodzie przy domu młodego pisarza, ogrodzie ciągnącym się aż do brzegu jeziora, ogarnął nastrój wspomnień. Pierwsza powieść młodego pisarza nie tylko zyskała uznanie krytyki, ale i sprzedawała się doskonale, miał więc wielkie szczęście i - to mu trzeba przyznać - zdawał sobie z tego sprawę.

Wszyscy świetnie się bawili, więc z tego rozbawienia od omawiania sukcesu młodego pisarza przeszli do rozmowy na temat innych twórców, którzy młodo odnieśli sukces, a potem popełnili samobójstwo. Wspomniano Rossa Lockridge'a i Toma Hagen. Żona agenta wymieniła Sylwię Plath i Anne Sexton, a pisarz zauważył, że trudno uznać Sylwię Plath za autorkę, która odniosła sukces. W każdym razie nie popełniła samobójstwa dlatego, że się jej powiodło, już raczej powiodło się jej dlatego, że popełniła samobójstwo. Agent uśmiechnął się na te słowa.

- Czy nie moglibyśmy zmienić tematu? - poprosiła z lekkim niepokojem żona młodego pisarza. Nie zwracając uwagi na jej prośbę, agent zauważył:

- Jest też szaleństwo. Byli tacy, którzy oszaleli z powodu sukcesu. - Powiedział to spokojnym, dźwięcznym głosem aktora występującego na scenie.

Żona pisarza znów próbowała zaprotestować. Aż za dobrze wiedziała, jak bardzo jej mąż lubi takie rozmowy. Dawały mu okazję do żartów, a żartował, gdyż sam zbyt wiele na ten temat myślał. Próbowana więc zaprotestować, kiedy odezwał się redaktor, to zaś, co powiedział, było tak niezwykle, że słowa zamarały jej na ustach.

- Szaleństwo jest jak elastyczny pocisk.

Żona agenta wyglądała na zaskoczoną. Zainteresowany pisarz pochylił się w stronę redaktora.

- To brzmi znajomo - zauważył:

- Jasne - odparł redaktor. - Samo określenie, obraz, wymyśliła bodajże Mariannę Moore. O ile pamiętam, użyła go, by opisać jakiś samochód czy coś. Zawsze myślałem, że doskonale opisuje ono stan szaleństwa. Szaleństwo to przecież rodzaj umyślowego samobójstwa. Czy lekarze nie twierdzą dziś, że prawdziwa śmierć to śmierć mózgu? Szaleństwo jest jak elastyczny pocisk, który ugodził w mózg.

Żona pisarza skoczyła na równe nogi.

- Czy ktoś ma ochotę się napić? - spytała. Nikt nie miał ochoty.

- Więc jeśli mamy nadal rozmawiać na ten temat, napiję się sama - powiedziała i poszła przygotować sobie drinka.

Redaktor tymczasem mówił dalej:

- Pewnego razu dostałem opowiadanie, jeszcze wówczas, kiedy pracowałem w "Logan's". Teraz już go oczywiście nie ma, poszedł w ślady "Collier's" i "Saturday Evening Post", ale my byliśmy lepsi - dodał, a w jego głosie słychać było ton dumy. - W każdym razie drukowaliśmy wówczas trzydzieści sześć opowiadań rocznie, czasami więcej, czasami mniej i każdego roku cztery czy pięć z nich znajdowało miejsce w jakiejś antologii najlepszych opowiadań roku. I ludzie nawet je czytali... no, nieważne. To opowiadanie nazywało się "Ballada o celnym strzale", a napisał je Reg Thorpe. Był wówczas równie młody, jak ten tu młody człowiek i prawie tak samo ceniony.

- To on napisał "Postacie z podziemia", prawda? - spytała żona agenta.

- Owszem. Niezwykle powodzenie jak na pierwszą powieść. Wspaniałe recenzje, sprzedaż jak marzenie, wszystko, dosłownie wszystko! Nawet film był dobry, nie taki dobry jak książka, ale dobry.

- Uwielbiałam tę powieść - rzekła żona pisarza, włączając się w rozmowę wbrew swemu najgłębszemu przekonaniu. Na twarzy miała wyraz radosnego zaskoczenia jak ktoś, kto przypomniał sobie coś, czego nie pamiętał od zbyt dawna. - Czy on coś jeszcze napisał? "Postacie z podziemia" czytałam w szkole, a to było... no... zbyt dawno, by o tym myśleć.

- Nic się nie zmieniłaś, kochanie - powiedziała serdecznie żona agenta, choć w tej chwili myślała właśnie, że żona pisarza nosi za mały biustonosz i zbyt obcisłe szorty.

- Nie - odparł redaktor. - Nie napisał nic więcej oprócz tego opowiadania, o którym wspominałem. Popęłił samobójstwo. Oszalał i popełnił samobójstwo.

- Och! - jęknęła cicho żona pisarza. Temat wrócił.

- Czy ktoś opublikował to opowiadanie? - spytał pisarz.

- Nie, ale nie dlatego, że pisarz oszalał i popełnił samobójstwo. Nikt go nie opublikował, ponieważ pewien redaktor oszalał i niemal popełnił samobójstwo.

Agent zerwał się z krzeselka i wzmocnił sobie drinka, chociaż jego drink z pewnością nie wymagał wzmocnienia. Wiedział, że w 1969 roku redaktor przeżył załamanie nerwowe, a niedługo potem skończyła się epoka "Logan's".

- To ja byłem tym redaktorem - poinformował resztę towarzystwa redaktor. - W pewnym sensie wariowaliśmy razem, Reg Thorpe i ja, chociaż ja mieszkałem w Nowym Jorku, a on w Omaha i nigdy się nawet nie spotkaliśmy. Przeniósł się tam w jakieś pół roku po wydaniu "Postaci...".

Żeby, jak wówczas mówił, "pobierać myśli". Akurat tak się złożyło, że znam tę część historii, bo czasami spotykam się z jego żoną, kiedy przyjeżdża do Nowego Jorku. Maluje teraz i to całkiem nieźle. Miała szczęście dziewczyna. Omal nie zabrał jej ze sobą.

Agent wrócił ze szklaneczką w ręku.

- Zaczynam coś sobie przypominać - powiedział. - Tam była nie tylko żona, prawda? Postrzelił kilka osób, w tym dziecko.

- Tak. To właśnie dzieciak go załatwił.

- Dzieciak? - zdumiała się żona agenta. - Jak to, dzieciak?

Twarz redaktora pozostała nieruchoma. Najwyraźniej chciał mówić, a nie odpowiadać na pytania.

- I tę część historii znam także. Sam ją przeżyłem. Też miałem szczęście. Cholerne szczęście.

Różne dziwne rzeczy dzieją się z ludźmi, którzy próbują popełnić samobójstwo przykładając sobie lufę do czoła i pociągając za spust. Myślicie może, że to metoda pewniejsza niż pigułki czy podcięcie żył, ale się mylicie. Kiedy strzelacie sobie w łeb, nie wiecie, co się może zdarzyć.

Pocisk może się na przykład odbić od czaszki i zabić kogoś innego. Może ześlizgnąć się po kości i lecieć dalej. Może utkwąć w mózgu i oślepić na całe życie. Jeden gość palnie sobie w łeb z

trzydziestkiósemki i ocknie się w szpitalu, inny użyje dwudziestkidwójki i ocknie się w piekle... jeżeli coś takiego w ogóle istnieje. Osobiście sędzę, że piekło istnieje na Ziemi, najprawdopodobniej w New Jersey.

Żona pisarza roześmiała się piskliwie.

- Jedyną zupełnie pewną metodą samobójstwa jest skok z wysokiego budynku, a używają jej wyłącznie ci naprawdę zdecydowani. Nieciekawie się później wygląda, prawda?

Ale chodzi mi o coś innego: jeśli trafi cię elastyczny pocisk, nie wiesz, co się może zdarzyć. Ja zjechałem z mostu i ocknąłem się na brudnym nabrzeżu, a kierowca ciężarówki machał moimi rękami i wyginał je tak, jakby miał dwadzieścia cztery godziny na zostanie kulturystą i pomylił mnie z symulatorem kajaka. Rega ta kula trafiła wprost w mózg. Reg... ale opowiadam wam tu coś takiego, a nie mam zielonego pojęcia, czy w ogóle chcecie mnie słuchać.

W gęstniejącym szybko mroku przyjrzał się uważnie ich twarzom. Agent i jego żona patrzyli na siebie pytająco, a żona pisarza już, już miała stwierdzić, że dość chyba na dziś nieprzyjemnych rozmów, kiedy odezwał się jej mąż:

- Chciałbym usłyszeć więcej, jeśli oczywiście może pan o tym mówić. To znaczy, z powodów osobistych.

- Nie opowiadałem tej historii aż do dziś, lecz nie z powodów osobistych. Być może nie spotkałem właściwych słuchaczy?

- Niech pan spróbuje, dobrze?

- Paul. - Żona położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie sądzisz...?

- Nie teraz, Meg. Redaktor już mówił dalej:

- Opowiadanie przyszło zwyczajnie, pocztą, w czasach, kiedy "Logan's" nie przyjmował już przypadkowych tekstów. Jeśli przychodziły, sekretarka przekładała je po prostu do załączonych kopert zwrotnych z karteczką: "Z powodu rosnących kosztów utrzymania pisma i rosnących trudności z czytaniem wciąż rosnącej ilości nadsyłanych tekstów, nasza redakcja nie przyjmuje materiałów niezamówionych. Życzymy powodzenia w dalszych próbach publikacji pani/pana pracy". Co za cudowny bełkot. Niełatwo przecież wstawić słowo "rosnąć" aż trzy razy w jedno zdanie, ale im jakoś się to udało.

- A jeśli nie było koperty zwrotnej, tekst wędrował prościutko do kosza - zauważył domyślnie pisarz.

- Pewnie! Nie ma litości dla cudzej słabości.

Na twarzy pisarza zagościł dziwny wyraz niepewności. Tak mógłby wyglądać ktoś, kto znalazł się nagle w klatce pełnej tygrysów, które lepszych od niego bez wysiłku rozszarpały na strzępy. Na razie nie widział jeszcze tygrysa, ale miał wrażenie, że wiele ich czai się w ciemności i że nadal mają bardzo ostre kły.

- - W każdym razie - redaktor wyjął papierosa - opowiadanie przyszło pocztą, sekretarka wyjęła je z koperty, przyczepiła do niego spinaczem znany wam już liścik i już miała włożyć je do koperty zwrotnej, kiedy zobaczyła nazwisko autora. Cóż, czytała "Postacie z podziemia". Tak się składało, że wówczas wszyscy albo już je czytali, albo właśnie zamierzali przeczytać, albo zapisywali się do kolejek w bibliotekach, albo penetrowali supermarkety w poszukiwaniu wydania kieszonkowego.

Żona pisarza, która dostrzegła i zrozumiała błysk strachu w oczach męża, wzięła go za rękę, a on ciepło się do niej uśmiechnął. Błysnął płomyk złotego ronsona i w jego świetle wszyscy widzieli, jak bardzo zniszczona jest twarz redaktora, jak luźno wiszą mu pod oczami worki pomarszczonej niczym u krokodyla skóry. Widzieli poorane zmarszczkami policzki i brodę sterczącą w tej starej twarzy jak bukszpryt żaglowca. Ten żaglowiec, pomyślał pisarz, nazywa się starość. Nikt nie

marzy o tym, by nim popłynąć, niemniej jednak wszystkie kajuty są zajęte. I hamaki pod pokładem także.

Płomyk zgasł i w powietrze uniósł się kłęb dymu.

- Ta sekretarka, która przeczytała opowiadanie i zamiast odesłać, pchnęła je dalej, jest dziś lektorką u Putnama. O nazwisko mniejsza, ważne jest, że tam, w sekretariacie "Logan's", na wielkim wykresie życia jej krzywa przecięła się z krzywą Rega Thorpe'a; jedna szła w górę, druga w dół. Dziewczyna dała tekst swemu szefowi, a jej szef dał ją mnie. Przeczytałem opowiadanie i zakochałem się w nim na śmierć. Trzeba je będzie skrócić, pomyślałem, ale już widziałem, gdzie da się je przystrzyć o jakieś pięćset słów. Co za problem.

- A o czym było? - zainteresował się pisarz.

- Nie powinienes nawet pytać. - Redaktor się uśmiechnął. - Cudowanie pasowało do naszej dzisiejszej rozmowy.

- O tym, jak kogoś ogarnia szaleństwo?

- Jasne. Czego cię uczą na pierwszych ćwiczeniach na kursie pisarstwa na studiach? Pisz o tym, na czym się znasz. Reg Thorpe znał się na tym, jak kogoś ogarnia szaleństwo, bo szaleństwo właśnie go ogarniało. A gdybyś kiedykolwiek pracował jako redaktor w piśmie publikującym opowiadania to wiedziałbyś z całą pewnością, że jest jeden temat, którego umięcemu czytać Amerykaninowi nie musisz wciskać bez mydła: "Jak elegancko zwariować w Ameryce".

Podpunkt a: "Nikt nikogo nie rozumie". Dość to popularne w literaturze XX wieku. Wielcy jak ptaki przysiadali wśród gałęzi tego drzewa, mali jak robaki podgryzali jego korzenie. Ale to opowiadanie było akurat wesołe. Więcej, przerażająco śmieszne. Czytałem je jak nic przedtem i nic potem, przypominało mi najbardziej niektóre opowiadania Scotta Fitzgeralda... i "Gatsby'ego". Facet z opowiadania Thorpe'a wariował, ale w strasznie zabawny sposób. Człowiek chichotał przez cały czas, a w niektórych miejscach - najlepsze było to, gdzie bohater wywala galaretkę pomarańczową na łeb starej, grubej baby - po prostu śmiał się głośno. Ale, wiecie, był to taki raczej nerwowy śmiech. Bawisz się świetnie, lecz nagle po prostu musisz zerknąć przez ramię, sprawdzić, czy ktoś cię słyszy. No i odwrotnie, napięcie to on umiał stopniować. Im więcej się śmiałeś, tym bardziej się bałeś, a im bardziej się bałeś, tym więcej się śmiałeś... i tak aż do momentu, w którym bohater wraca z przyjęcia wydanego na jego cześć i zabija żonę oraz córeczkę.

- Ó co w nim właściwie chodziło? - spytał agent.

- Nie w tym sęk - zaprotestował redaktor. - Była to po prostu opowieść o młodym człowieku, przegrywającym powoli z własnym powodzeniem. Zostawmy tę sprawę. Opowiadanie fabuły jest nudne. Zawsze. Tak czy inaczej, napisałem list do autora. Brzmiący tak: "Drogi panie Thorpe, właśnie przeczytałem «Balladę o celnym strzale». Uważam, że jest wspaniała. Chciałbym opublikować ją na początku przyszłego roku, jeśli termin ten panu odpowiada. Czy honorarium wysokości ośmiuset dolarów uznaje pan za wystarczające? Płacimy po akceptacji. Prędzej czy później". Akapit.

Redaktor zanieczyścił pachnące wieczorne powietrze kłębem papierosowego dymu.

"Opowiadanie jest nieco za długie i chciałbym, żeby pan je skrócił mniej więcej o pięćset słów. Jeśli pan się uprze, zgodzę się na dwieście słów. Zawsze możemy przecież wywalić komiks".

Akapit. "Proszę o telefon". Podpis.

- I tak to pan pamięta, słowo w słowo? - zdziwiła się żona pisarza?

- Trzymałem jego listy w osobnej teczce. Oryginały listów do mnie i kopie moich odpowiedzi. Pod koniec teczka ta była już całkiem gruba. Znalazły się w niej również trzy lub cztery listy od Jane Thorpe, żony Rega. Czytywałem to wszystko dość często, ale oczywiście nic z tego.

Próbować zrozumieć elastyczny pocisk to jak próbować zrozumieć, jakim cudem wstęga Mobiusa

ma zawsze tylko jedną stronę. Tak już jest na tym najlepszym ze światów. Więc cóż, znam je słowo w słowo. Niektórzy tak uczyli się Deklaracji Niepodległości.

- Założę się, że zadzwonił następnego dnia - uśmiechnął się agent. - No jak, wygrałem?

- Nie, nie zadzwonił. Krótco po wydaniu "Postaci z podziemia" Thorpe w ogóle przestał używać telefonu. Jego żona mi o tym powiedziała. Kiedy przenieśli się z Nowego Jorku do Omaha, w nowym domu w ogóle go nie założyli. Bo wiecie, on uznał, że telefony wcale nie działają dzięki elektryczności, lecz dzięki radowi. I że jest to jeden z dwóch czy trzech najpilniej strzeżonych sekretów współczesnego świata. Twierdził, w rozmowach z żoną, że to właśnie rad powoduje wzrost zachorowań na raka, a nie papierosy, spaliny i inne zanieczyszczenia. Że każdy telefon ma w słuchawce kryształek radu i że po każdej rozmowie człowiekowi pozostaje w głowie kupa promieniowania.

- Och, on naprawdę zwariował - wtrącił pisarz i wszyscy się roześmieli.

- Nie zadzwonił, tylko przysłał mi list. - Redaktor pstryknął niedopałkiem w stronę jeziora. -

Napisał: "Drogi panie Wilson (a właściwie Henry, jeśli można). Twój list to wspaniała niespodzianka, za którą jestem ci głęboko wdzięczny. Moją żonę, jeśli to w ogóle możliwe, zachwyił jeszcze bardziej niż mnie. Honorarium całkiem mi odpowiada... choć pragnę podkreślić, że sama możliwość publikacji w «Logan's» jest dla mnie wystarczającym wynagrodzeniem (ale, oczywiście, przyjmę czek!). Przejrzałem zaproponowane przez ciebie skróty i w pełni je akceptuję. Dzięki nim opowiadanie jest lepsze i będzie miejsce na komiks. Z najlepszymi życzeniami, Reg Thorpe".

Pod podpisem był mały, zabawny rysunek... a raczej zwykły gryzmoł. Oko w piramidzie, jak na dolarowym banknocie, ale zamiast napisu Novus Ordo Seclorum na wstędze pod spodem przeczytałem "Fornit i fornus".

- Albo to łacina, albo Groucho Mara - wtrąciła żona agenta.

- Był to po prostu dowód rosnącej... ekscentryczności Rega Thorpe. Jego żona powiedziała mi, że Reg uwierzył w "ludziki", elfy czy coś takiego. Fornity. Miały przynosić szczęście. Wierzył nawet, że jeden z nich zamieszkał w jego maszynie do pisania.

- O mój Boże! - westchnęła żona pisarza.

- Według Thorpe'a każdy fornit ma coś w rodzaju pistolecika i strzela z niego... no... pyłkiem przynoszącym szczęście, tak to chyba trzeba nazwać. Ten pyłek...

- Nazywa się fornus - dokończył pisarz szczerząc zęby.

- No tak. Jego żona też uważała to za całkiem zabawne. Do czasu. Na początku - bo Thorpe wymyślił fornity dwa lata wcześniej, podczas pracy nad "Postaciami z podziemia" - myślała, że mąż ją po prostu nabiera. I może tak to się właśnie zaczęło? A później rosło: od kaprysu, przez przesadę, do koszarnej wiary. Był to taki... powiedzmy... elastyczny pomysł. Ale w końcu stwardniał. Na stal. O, tak!

Nikt się nie odezwał. I nikt się już nie śmiał.

- Fornity dziwnie się czasami zachowywały - mówił dalej redaktor. - Ni stąd, ni zowąd maszyna Rega zaczęła jakoś często trafiać do naprawy. Zdarzyło się to kilka razy już w Nowym Jorku i powtarzało coraz częściej w Omaha. Za pierwszym razem dostał inną maszynę, zastępczą, ale po jej zwrocie przyszedł do nich właściciel warsztatu i powiedział, że ją też naprawi na ich rachunek.

- Co się stało? - zdziwiła się żona agenta.

- Ja chyba wiem - odparta żona pisarza.

- Obie były pełne jedzenia - wyjaśnił im redaktor. - Małych kawałków ciasta i tak dalej. A na czcionkach ktoś rozsmarował masło kakaowe. Reg żywił fornita z maszyny. Na wszelki wypadek sypał też jedzenie w maszynę zastępczą; kto wie, może takie fornity przeprowadzają się na czas napraw?

- Rany! - powiedział pisarz.

- Oczywiście, rozumiecie, ja o tym jeszcze wówczas nie wiedziałem. Moja sekretarka przepisała list, przyniosła mi go do gabinetu, do podpisu i po coś tam poszła. Podpisałem go, a jej jeszcze nie było. Więc, bez najmniejszego racjonalnego powodu, nabazgrałem coś pod podpisem. Piramida. Oko. "Fornit i fornus". Oblęd. Sekretarka to zauważyła i spytała, czy ma wysłać list tak, jak jest. Tylko wzruszyłem ramionami.

Po dwóch dniach zadzwoniła do mnie Jane Thorpe. Powiedziała, że mój list bardzo podniecił Rega, że Reg myśli, iż znalazł pokrewną duszę... kogoś, kto wie o fornitach. Widzicie, co się zaczęło? Przecież z tego, co wiedziałem, te fornity mogły być czymkolwiek, od klucza francuskiego dla mańkutów począwszy, na samochodzie bez kół skończywszy. Ditto fornus. Więc wyjaśniłem Jane, że skopiowałem po prostu bazgroły Rega. Oczywiście chciała wiedzieć dlaczego. Pomiąłem tę kwestię, bo i co miałem jej powiedzieć? Ze list do jej męża podpisywałem zalany?

Przerwał. Otoczył go mur pełnej zażenowania ciszy. Goście wpatrywali się w niebo, w jezioro, w wierzchołki drzew, choć przez ostatnie parę chwil nic się tam przecież nie zmieniło.

- Popijałem przez całe dorosłe życie i zupełnie nie potrafię określić, kiedy straciłem nad tym kontrolę. W sprawach zawodowych podpierałem się butelką prawie do samego końca. Zaczynałem od lunchu i wracałem do redakcji el blotto. Mimo to pracowało mi się doskonale. Wykończyło mnie picie po pracy, najpierw w metrze, a potem i w domu.

Mieliśmy z żoną inne problemy, niezwiązane z picciem, ale picie pogarsza wszystkie problemy. Od dłuższego czasu chciała ode mnie odejść, a na tydzień przed tym, nim dostałem opowiadanie Thorpe'a, wreszcie się zdecydowała.

Próbowałem uporać się jakoś z tym wszystkim i wtedy pojawiło się to opowiadanie. Piłem za wiele. Wszystko się skomplikowało... cóż, gdybyśmy chcieli nazwać to jakoś modnie, był to z pewnością kryzys wieku średniego. Wiedziałem jednak tylko, że przygnębia mnie życie, zawodowe, prywatne. Walczyłem - albo przynajmniej próbowałem walczyć - z narastającą pewnością, że redagowanie opowiadań do magazynu przeznaczonych na masowy rynek, opowiadań, które w końcu czytać będą zdenerwowani pacjenci w poczekalni u dentysty, gospodynie domowe w porze lunchu i od czasu do czasu nudzący się studenci, nie jest szczególnie szlachetnym zajęciem. Walczyłem - albo przynajmniej próbowałem walczyć - z coraz głębszym przekonaniem, że w ciągu najbliższych sześciu, może dziesięciu, a może czternastu miesięcy zabawa o nazwie "Logan's" skończy się definitywnie.

I oto nad tym melancholijnym krajobrazem wieku średniego weszło nagle słońce bardzo dobrego opowiadania, napisanego przez bardzo dobrego pisarza. Błyskotliwego, przenikliwego; taki rzut bystrego oka na mechanizm szaleństwa. Wiem, że te słowa brzmią dziwnie, w końcu bohater zabija przecież żonę i dziecko, ale zapytajcie każdego wydawcę, co może mu sprawić największą przyjemność, a odpowie wam z całą pewnością, że doskonała powieść albo opowiadanie lądujące mu na biurku znikąd, jak jakiś cholerny gwiazdkowy prezent w lecie. Cóż, znacie chyba opowiadanie Shirley Jackson "Loteria"? Kończy się niewiarygodnie przygnębiająco, to znaczy wyprowadzają sympatyczną kobietę i kamieniu ją a jej syn i córka biorą w tym - na litość boską! - udział, ale cóż to za wspaniała robota! Założę się, że redaktor "New Yorkera", który pierwszy je przeczytał, wracał tego wieczora z pracy do domu, wesoło pogwizdując.

Próbuję wam tylko wyjaśnić, że opowiadanie Thorpe'a było najlepszą rzeczą, jaka mi się wówczas wydarzyła. Jedyną dobrą rzeczą. A z tego, co mi tłumaczyła Jane, wynikało, że jedyną dobrą rzeczą, jaka ostatnio przydarzyła się Regowi, było przyjęcia jego opowiadania do druku. Stosunek autor - wydawca jest zawsze stosunkiem pasożytniczym, ale w przypadku moim i Thorpe'a to pasożytnictwo podniesione było do n-tej potęgi.

- Wróćmy do Jane Thorpe - poprosiła żona pisarza.

- Tak... a co, próbuję odstawić ją na boczny tor? Była raczej wściekła z powodu całej tej historii z fornitami. Na początku. Wyjaśniłem jej w końcu, że nabazgrałem ten rysunek ot tak sobie, nie mając pojęcia, o co tu właściwie chodzi, i przeprosiłem, jeśli zrobiłem coś złego. Przestała się złościć i na odmianę wylała przede mną swe żale. Niepokoila się coraz bardziej, biedactwo, i po prostu nie miała z kim pogadać. Jej rodzice nie żyli, wszyscy przyjaciele pozostali w Nowym Jorku. Reg nie wpuszczał do domu nikogo. Wszyscy, którzy mieli do nich jakiś interes, byli albo z CIA, albo z FBI, albo mieli coś wspólnego z podatkami. Zaraz po tym, jak przyjechali do Omaha, zadzwoniła do drzwi mała harcerka, sprzedająca ciasteczka na jakiś tam bogobojny cel. Reg na nią nawrzeszczał, kazał się jej wynosić, krzyczał, że wie, kim ona jest i tak dalej. Jane próbowała przemówić mu do rozsądku. Powiedziała przy tym, że dziewczynka miała przecież najwyżej z dziesięć lat. Reg stwierdził autorytatywnie, że ci od podatków nie mają serca ani sumienia. A poza tym - powiedział - ta mała mogła przecież być androidem, a androidy nie podlegają prawom zakazującym zatrudniania nieletnich i że on prywatnie sądzi, iż Urząd Skarbowy stać na wysłanie mu do domu harcerki - androida napakowanego radem, żeby sprawdzić, czy nie ukrywa jakichś sekretów, a on nie chce dostać raka od promieniowania...

- Dobry Boże - westchnęła żona agenta.

- No więc Jane nasłuchiwała głosu przyjaciela i akurat ja się jej trafiłem. Przełknąłem opowieść o harcerce, dowiedziałem się, jak troszczyć się o fornity i jak je żywić, co to jest fornit i jak Reg odmawia rozmów przez telefon. Rozmawiała ze mną z automatu, pięć przecznic od domu. Oznajmiła, że obawia się, iż Reg wcale nie boi się CIA, FBI czy Urzędu Skarbowego. Że myśli, iż to ONI, wielka, tajemnicza organizacja istot nienawidzących Rega, zazdrosnych o Rega, gotowych na wszystko, by zniszczyć Rega, odkryła prawdę o jego fornicie i chce go zabić! A gdyby zginął fornit, nie byłoby powieści, nie byłoby opowiadań. Rozumiecie? Oto istota szaleństwa! To ONI prześladują. W końcu nawet Urząd Skarbowy nie mógł posłużyć za chłopca do bicia: nawiasem mówiąc, rzeczywiście przycisnął go trochę w związku z dochodami z "Postaci z podziemia". Skończyło się na NICH. Klasyczne urojenie paranoika. To ONI chcą zabić fornita!

- Mój Boże! I co pan na to? - zainteresował się agent.

- Chciałem jej dodać odwagi. Siedziałem sobie wygodnie za biurkiem, świeżo po przerwie na lunch zakropiony pięcioma martini i przemawiałem dostojnie do wystraszonej kobiety stojącej w budce telefonicznej gdzieś w Omaha. Próbowałem jej tłumaczyć, że wszystko jest w porządku, że nie ma się czego bać, że nie ma nic strasznego w tym, iż jej mąż wierzy w telefony pełne kryształków radu i w tajne sprzysiężenie wysyłające androidy przebrane za harcerki z zadaniem przeszukania ich domu. Że nie ma nic złego w zachowaniu człowieka, którego talent oderwał się od sił umysłowych w stopniu umożliwiającym wiarę w elfy mieszkające w maszynie do pisania!

- Nie sądzę, by był pan zbyt przekonujący.

- Prosiła mnie... nie, błagała, żebym pracował z Regiem nad tym jego opowiadaniem i żebym mu je wydrukował. Robiła wszystko, żeby mnie zachęcić, robiła wszystko oprócz przyjazdu do Nowego Jorku i otwartego stwierdzenia, że "Ballada o celnym strzale" jest ostatnią więzią jej męża z tym, co z uśmiechem na ustach nazywamy rzeczywistością. Zapytałem ją, co mam zrobić, jeśli Reg znowu wspomni o fornitach.

- Niech go pan uspokoi - powiedziała. Te słowa pamiętam bardzo dokładnie. Powiedziała: "Niech pan go uspokoi" i odwiesiła słuchawkę.

Następnego dnia przyszedł list od Rega. Pięć stron maszynopisu, pojedynczy odstęp. Pierwsza część dotyczyła opowiadania. Praca nad poprawkami rażno posuwała się do przodu. Sądził, że skróci swe dzieło może nawet o siedemset słów, z oryginalnej długości dziesięciu tysięcy

pięciuset do dziewięciu tysięcy ośmiuset. Druga w całości poświęcona była fornitom i fornusowi. Z mnóstwem opisów jego doświadczeń i obserwacji. I mnóstwem pytań... z dziesiątkami pytań. - Obserwacji? - Głowa pisarza pojawiła się w kręgu światła. - To znaczy, że on je widywał? - Nie. Nie to, żeby widywał, ale... chociaż... rozumiesz, astronomowie wiedzieli o Plutonie na długo przedtem, nim mieli teleskopy wystarczająco wielkie, by go obejrzyć. Dowiedzieli się o nim wszystkiego dzięki obserwacji orbity Neptuna. W ten właśnie sposób Reg obserwował fornity. "Lubią jeść w nocy - napisał - zauważyłeś to?". Dawał im jedzenie o różnych porach dnia, ale znikало przeważnie po ósmej wieczorem.

- Halucynacje? - zainteresował się pisarz.

- Nie. Jego żona po prostu sama próbowała doczyścić maszynę, kiedy Reg wychodził na spacer.

- I miała czelność przyczepić się do pana! - burknął agent, przesuwając swe wielkie cielsko na ogrodowym fotelu. - Przecież sama ożywiła jego fantazje!

- Pan nie rozumie, dlaczego dzwoniła i dlaczego była taka zdenerwowana - odpowiedział spokojnie redaktor i spojrzał na żonę pisarza. - Jestem pewien, że ty to pojmujesz, Meg.

- Może... - odrzekła i z zakłopotaniem spojrzała na męża. - Ona nie złościła się dlatego, że pan ożywił jego fantazje. Bała się, że pan może je zniszczyć.

- Brawo! - Redaktor zapalił kolejnego papierosa. - I z tego samego powodu czyściła maszynę. Gdyby jedzenie gromadziło się w niej przez dłuższy czas, Reg mógłby ze swych nielogicznych przesłanek wyciągnąć logiczny wniosek: fornit opuścił go lub zmarł. A więc nici z fornusa. A więc nici z pisania. A więc...

Ostatnie "więc" uleciało w powietrze wraz z papierosowym dymem. Nikt nie przerwał ciszy.

- A więc sądził, że fornity są stworzeniami nocnymi. I że nie lubią hałasu - zauważył, że nie umie pisać rankiem po szczególnie udanym przyjęciu. Że nienawidzą telewizji, elektryczności i radu. Reg sprzedał swój telewizor za dwadzieścia dolarów, pozbył się także zegarka z, hm... radowym wyświetlaczem cyfr. Pytania? Och, było ich mnóstwo. Skąd dowiedziałem się o fornitach? Czy to możliwe, że mam jednego? Jeśli tak, to co sądzę o tym, o tamtym i o owym? Nie muszę chyba wdawać się w szczegóły? Jeśli ktokolwiek z was miał kiedykolwiek psa jakiejś szczególnej rasy i pamięta, jak dopytywał się, czym go żywić i jak o niego dbać, z pewnością zna większość pytań, jakie zadał mi wówczas Reg. Jeden gryzmoł pod podpisem wystarczył, żeby otworzyć puszkę Pandory.

- Co pan mu odpisał? - zainteresował się agent. Redaktor odpowiedział, spokojnie i cicho:

- Tu dopiero zaczęły się prawdziwe kłopoty. Dla nas obu. Jane powiedziała mi: "Niech pan go uspokoi", no więc... właśnie to zrobiłem. Niestety, udało mu się aż nazbyt dobrze. Odpisałem na jego list w domu, byłem mocno pijany, a mieszkanie wydawało mi się aż za puste. Śmierdziało zastarzałym dymem papierosowym. Z odejściem Sandry wszystko zaczęło powoli podupadać: zmięta narzuta na tapczanie, brudne naczynia w zlewie... tego rodzaju rzeczy. Mężczyzna w średnim wieku, zupełnie nieprzygotowany do samodzielności.

Siedziałem w tym mieszkaniu nad wkręconą w maszynę do pisania kartką papieru i myślałem: potrzebuję fornita. Potrzebuję z tuzin fornitów, żeby posypały fornusem całe to cholerne mieszkanie, od drzwi aż po okna. Byłem wystarczająco pijany, by zazdrościć Regowi Thorpe'owi jego złudzeń. No i odpisałem mu, że rzeczywiście mam fornita. Napisałem, że charaktery mają bardzo podobne. Aktywne w nocy. Nienawidzą hałasu, ale mój najwyraźniej lubi Bacha i Brahmsa, często dobrze mi się pracuje wieczorem, kiedy słucham ich muzyki. Że mój zdecydowanie preferuje kielbasę bolońską... może warto spróbować poczęstować nią i twojego, co, Reg? Zostawiam po prostu kawałki koło mojego redaktorskiego ołówka, a rano prawie zawsze nie ma po niej ani śladu. Chyba że - jak sam wspomniałeś, Reg - poprzednia noc była rozrywkowa. Podziękowałem mu za informacje o radzie i napisałem, że sam używam

normalnego, nakręcanego zegarka. Napisałem też, że mój fornit towarzyszy mi już od czasu szkolnych wypracowań. Wyobraźnia tak mnie poniosła, że wyszło z tego chyba sześć stron. Na końcu dodałem notkę o opowiadaniu, raczej pobieżną. Podpisałem...

- A pod podpisem? - odezwała się żona agenta.

- Oczywiście. "Fornit i fornus"... - Przerwał i zamilkł na chwilę. - Nie zobaczycie tego w ciemności, ale się rumienię - mówił dalej. - Byłem tak pijany, tak cholernie zadowolony z siebie... Może i w świetle poranka przemyślałbym sobie tę sprawę raz jeszcze, lecz rano było już za późno.

- Wysłałeś list w nocy - mruknął pisarz.

- Wysłałem. Przez półtora tygodnia wstrzymywałem oddech i czekałem. Pewnego dnia do redakcji przyszedł adresowany dla mnie maszynopis, bez listu. Skróty były takie, jakie uzgodniliśmy i opowiadanie wyszło świetnie w każdym szczególe, ale maszynopis... cóż, wpakowałem o do teczki, zabrałem do domu i sam przepisałem. Cały pokryty był żółtymi plamami. Myślałem, że to...

- Uryną? - spytała żona agenta.

- Owszem, tak właśnie sobie pomyślałem. Myliłem się. A kiedy przyjechałem do domu, w skrzynce czekał już na mnie list od Rega. Tym razem dziesięciostronicowy. Z tymi samymi żółtymi plamami. Oczywiście. Nie dostał kielbasy bolońskiej, więc kupił inną. Napisał, że jego fornit po prostu ją uwielbia. Zwłaszcza z musztardą.

Tego dnia byłem zupełnie trzeźwy. Ale ten list... i ślady musztardy rozsmarowanej po kartkach... pobiegłem prosto do najbliższego baru. Nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Wypiłem.

- Co jeszcze było w liście? - dopytywała się żona agenta. Opowieść najwyraźniej zafascynowała ją do tego stopnia, że nieostrożnie pochylila się w stronę redaktora, demonstrując wszem wobec całkiem okazały brzuszec. Żonie pisarza przypomniała w tym momencie Snoopy'ego, siedzącego na budzie i udającego sępa.

- Tym razem najwyżej dwa wiersze poświęcił opowiadaniu. Reszta dotyczyła fornita... i mnie. Kielbasa okazała się naprawdę wspaniałym pomysłem. Rackne musiał ją naprawdę polubić i...

- Rackne? - spytał pisarz.

- Tak miał na imię jego fornit. Rackne. Dzięki kielbasie Rackne na serio wziął się do roboty przy skrótach. Reszta to był już prawdziwy bełkot szaleńca. Czegoś takiego w życiu nie widzieliście.

- Reg i Rackne, małżeństwo związane w niebie - powiedziała żona pisarza i zachichotała nerwowo.

- Nie, to wcale nie tak. Była to tylko przyjaźń oparta na wspólnocie interesów. No i Rackne był chłopcem.

- Co jeszcze napisał?

- Tego akurat dokładnie nie pamiętam. Macie szczęście. Nawet szaleństwo po jakimś czasie zaczyna nudzić. Listonosz był agentem CIA, gazeciarką - FBI; Reg dostrzegł pistolet z tłumikiem w jego torbie, wśród gazet. Sąsiedzi byli jakimiś szpiegami, w furgonetce mieli sprzęt do podsłuchu. Bał się chodzić nawet do sąsiedniego sklepu, bo jego właściciel był androidem i przez łysinę przeświecała mu siatka przewodów. Promieniowanie radu w domu wyraźnie się zwiększyło, ściany świeciły w nocy zielonkawym blaskiem.

List kończył się mniej więcej tak: "Mam nadzieję, że mi odpiszesz i powiadomisz mnie o tym, jak to wygląda u ciebie. Co z fornitem i wrogami, Henry? Sądzę, że nasza znajomość zawiązała się przez coś więcej niż przypadek. Bóg, Opatrzność, Los (nazwij to, jak chcesz) w ostatniej chwili rzucił mi koło ratunkowe. Mężczyzna nie może w nieskończoność, samotnie opierać się tysiącom nieprzyjaciół. A odkrycie, że przecież nie jestem sam... czy powiem za wiele, jeśli stwierdzę, że fakt, iż mamy wspólne doświadczenia, stanął między mną a całkowitym zniszczeniem? Chyba

nie. Muszę wiedzieć, czy wrogowie polują na twojego fornita jak na Rackne'a? Jeśli tak, to jak sobie z nimi radzisz? Jeśli nie, to czy potrafisz domyślić się dlaczego? Powtarzam: muszę to wiedzieć!".

List podpisany był tym samym bazgrołem, co zawsze, a pod nim znajdowało się jeszcze postscriptum. To jedno zdanie uderzyło mnie z siłą śmiertelnego ciosu: "Czasami myślę też o mojej żonie".

Przeczytałem ten list trzy razy i w tym czasie zdołałem rozprawić się z całą butelką black velvet. Dopiero wówczas przyszło mi do głowy, że jakoś przecież muszę mu odpisać. Jak? Jasne, to tonący wołał do mnie: "Ratunku!". Opowiadanie trzymało go w kupie przez pewien czas, ale teraz było już prawie skończone. To, czy Reg nie rozsypie się na kawałki, zależało już tylko ode mnie. Rozumiałem go, w końcu to ja przecież zacząłem tę całą historię. Chodziłem tam i z powrotem po ciemnych pokojach i nagle zacząłem wyciągać wtyczki z kontaktów. Pamiętajcie, byłem kompletnie zalany, a alkohol rozpuszcza bariery sceptycyzmu. To dlatego wydawcy i prawnicy wyskakują na trzy drinki przed podpisaniem kontraktu i obiadem.

Agent wybuchnął śmiechem, ale to nie poprawiło nastroju. Wszyscy byli napięci i zażenowani. - Proszę, pamiętajcie też o tym, że Reg był pisarzem jak diabli! I do tego całkiem przekonany, że rzeczy wyglądają dokładnie tak, jak mi je opisał. FBI. CIA. Podatki. ONI. WROGOWIE. Niektórzy pisarze posiadają niezwykły dar - im bardziej czują temat, tym chłodniej piszą. Tak było z Hemingwayem, tak było ze Steinbeckiem i tak było z Regiem Thorpe. Wchodzi się w ich świat. Świat zupełnie logiczny. Zaczyna się myśleć jak oni - trzeba tylko przyjąć pewne podstawowe przesłanki: fornita, trzydziestkęósemkę z tłumikiem w torbie listonosza. Dzieciaki z przeciwka mogą przecież rzeczywiście być agentami KGB, mogą mieć kapsułki z trucizną w sztucznych zębach i misję: zginąć albo porwać lub zabić Rackne'a.

Oczywiście nie uznawałem tych przesłanek... tylko tak trudno było mi myśleć. Więc wrywałem kolejne wtyczki z kontaktów, najpierw tę od kolorowego telewizora, bo wszyscy przecież wiedzą, że one czymś tam naprawdę promieniują. W "Logan's" publikowaliśmy nawet artykuły pewnego naukowca tłumaczące, że promieniowanie kolorowego telewizora ma wpływ na fale ludzkiego mózgu i zmienia je, nieznacznie wprawdzie, lecz ustawicznie. Ten naukowiec udowadniał, że właśnie kolorowe telewizory powodują, że dzieci w szkołach mają niższe oceny na testach z umiejętności czytania i pisania, i z matematyki. W końcu to dzieci oglądają najwięcej telewizji. Więc wyłączyłem telewizor i wydało mi się, że mogę już myśleć jaśniej. Poczuję się na tyle dobrze, że byłem w stanie wyłączyć radio, toster, pralkę i suszarkę. Nagle przypomniałem sobie o kuchence mikrofalowej i też ją wyłączyłem. Ulżyło mi. Ta kuchenka była stara, wielka jak szafa i prawdopodobnie nie całkiem bezpieczna. Dzisiejsze modele są chyba lepiej zabezpieczone. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, ile rzeczy w zwykłym gospodarstwie niezbyt zamożnego człowieka podłącza się do kontaktu. Nagle dostrzegłem potworną, elektryczną ośmiornicę o mackach z kabli pełzających w ścianach i łączących się z najbliższą, oczywiście rządową, elektrownią.

Cierpiałem na coś w rodzaju rozdwojenia myśli. - Redaktor napił się coca-coli i mówił dalej: - W zasadzie wiedziałem, że to wszystko przesąd. Jest przecież wielu ludzi, którzy nie otworzą parasolki pod dachem i nie przejdą pod drabiną. Koszykarze żegnają się przed rzutami osobistymi i zmieniają skarpetki, jeśli nie trafią. Racjonalna świadomość i irracjonalna podświadomość grają sobie fałszywy, choć stereofoniczny chórek. Jeżelibym musiał zdefiniować wam irracjonalną podświadomość, to powiedziałbym, że jest ona małym pokoikiem, znajdującym się we wnętrzu każdego z nas. Jedynym meblem w tym pokoiku jest stolik. Na stoliku leży rewolwer, naładowany elastycznymi pociskami.

Schodzisz z chodnika, żeby ominąć drabinę, wychodzisz na deszcz ze zwiniętym parasolem i z twojego racjonalnego "ja" odpada łupina; wchodzisz do pokoiku i bierzesz do ręki rewolwer. Myślisz o dwóch rzeczach naraz: "przechodzenie pod drabiną z pewnością nikomu nie zaszkodzi" i "ominięcie drabiny też nikomu nie zaszkodzi". Ominięłeś drabinę, otworzyłeś parasol... i znów jesteś sobą.

- To całkiem interesujące - powiedział pisarz. - Czy mógłbyś coś jeszcze wyjaśnić? To znaczy, kiedy ta "irracjonalna podświadomość" przestaje bawić się rewolwerem i przykłada go do skroni?

- Kiedy nasz delikwent zaczyna pisać listy do gazet, domagając się likwidacji wszystkich drabin w mieście, bo przechodzenie pod nimi jest niebezpieczne.

Towarzystwo wybuchło śmiechem.

- No cóż, powiedzieliśmy sobie już tyle, że równie dobrze możemy powiedzieć wszystko.

Irracjonalna podświadomość strzela w mózg elastycznymi pociskami wtedy, kiedy zaczynasz biegać po mieście i przewracać drabiny, być może raniąc tych, którzy na nich pracują. Do szpitala nie trafiają faceci, którzy po prostu omijają drabiny, ani ci, którzy piszą do gazet, że w Nowym Jorku źle się dzieje, bo jest on pełen głupków, pozbawionych wrażliwości i łażących pod drabinami. Wariatkowa są pełne tych, którzy próbowali je przewracać.

- Ponieważ to akurat widać - zauważył pisarz.

- Wiesz, Paul, coś w tym jest. Nigdy nie chciałem zapalać trzech papierosów jedną zapalką. Nie wiedziałem czemu, ale nie chciałem. Dopiero później przeczytałem gdzieś, że zaczęło się to w okopach I wojny światowej. Że niemieccy strzelcy wyborowi tylko czekali na głupich Angoli, uprzejmie przypalających sobie nawzajem papierosy. Pierwszy, i mieli odległość. Drugi - poprawka na wiatr. Trzeci i odstrzelili facetowi łeb. Ba, ale czy wiesz o tym, czy nie, to przecież wszystko jedno. Ciągle, nawet dziś, nie zapalam ludziom trzech papierosów z rzędu. Wiem, że mogę ich zapalić choćby i dwadzieścia, tylko z drugiej strony mój wewnętrzny głos mówi mi z akcentem Borisa Karloffa: "Aaaa, tylko spróbuj, przyjacielu...".

- Ale przecież szaleństwo to nie zawsze zabobon - wtrąciła nieśmiało żona pisarza.

- Czyżby? A Joanna d'Arc? Ona przecież słyszała głosy. Z nieba. Niektórzy ludzie są pewni, że opanowały ich demony. Jeszcze inni widzą diabły... albo upiory... albo... no cóż... fornity. Wariacja, mania, irracjonalność, szaleństwo... te wszystkie słowa sugerują przesady. Szaleniec widzi rzeczywistość skrzywioną. Rozczepiona osobowość integruje się w małym pokoiku. W pokoiku stoi stolik. Na stoliku leży rewolwer.

Moje racjonalne ja ciągle jednak trzymało pion. Okrwawione, posiniaczone, wściekle i trochę przestraszone, trzymało się jednak twardo. Tłumaczyło mi nawet: "No, no, wszystko w porządku. Jutro, jak już wytrzeźwiejesz, wetkniesz wtyczki do kontaktów. I dzięki Bogu! Baw się, jeśli musisz, ale ani kroku dalej. Ani kroku dalej!".

Ten wspaniały głos rozsądku miał prawo się bać. Jest w nas coś jakby fascynacja szaleństwem. Każdy, kto choćby raz wychylił się z balkonu wysokiego domu, na pewno poczuł delikatną, lecz przecież morderczą ochotę, by skoczyć. A każdy, kto choćby raz przyłożył sobie lufę do skroni...

- Nie, proszę! - Żona pisarza niemal krzyczała.

- Dobrze, oczywiście - zgodził się redaktor. - Chciałem tylko wytłumaczyć wam, że nawet najnormalniejszy człowiek zaledwie wisi na śliskim sznurze normalności. Obwody normalności wbudowano w ludzkie zwierzę wyjątkowo niedbale.

Kiedy już wszystko wyłączyłem, poszedłem do pracowni, napisałem list do Rega, wsadziłem go do koperty, nakleiłem znaczek i wysłałem. Zupełnie nie pamiętam, jak to zrobiłem. Byłem zbyt pijany, by pamiętać. Wydedukowałem sobie to wszystko rano, bo kiedy już doszedłem do siebie, zobaczyłem przy maszynie do pisania kopię listu, znaczki i paczkę kopert. List był prawie taki, jakiego można się spodziewać po zalanym pijaku. Napisałem w nim mniej więcej tak:

"Nieprzyjaciół przyciągają zarówno fornity, jak i elektryczność. Pozbądź się elektryczności, a pozbedziesz się nieprzyjaciół". Na dole dopisałem: "To elektryczność nie pozwala ci myśleć jasno o tych sprawach, Reg. Interferuje z falami mózgowymi. Czy twoja żona ma mikser elektryczny?".

- No, to skończyło się na listach do gazet - powiedział pisarz.

- Tak. Napisałem ten list w piątek w nocy. Wstałem w sobotę o jedenastej rano, skacowany i zaledwie świadomy tego, co wyprawiałem poprzedniego dnia. Włączając wszystko z powrotem, wstydziłem się jak cholera. Wstydziłem się jeszcze bardziej - i bałem się - kiedy przeczytałem to, co napisałem Regowi. Szukałem oryginału listu, miałem nadzieję, że go znajdę. Nie znalazłem. Przeżyłem cały ten dzień, próbując wziąć się w garść jak mężczyzna i obiecując sobie, że nie tknę więcej whisky. Dotrzymałem słowa. Jak cholera.

W środę przyszedł list od Rega. Jedna strona, zapisana ręcznie. Cała upstrzona znaczkami "Fornit i fornus". A tekstu tyle: "Miałeś rację. Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję. Reg. Fornit w porządku. Reg. Dzięki. Reg".

- Boże! - westchnęła żona pisarza.

- Założę się, że żona Rega dostała szału - dodała żona agenta.

- Nie - odparł spokojnie redaktor. - Nie dostała. Podziałało.

- Podziałało? - zdziwił się agent.

- Podziałało. Dostał mój list w poniedziałek rano. Po południu kazał odciąć sobie moc. Jane Thorpe dostała oczywiście szału. Miała kuchenkę elektryczną, mikser, maszynę do szycia, zmywarkę do naczyń z suszarką... no, rozumiecie. Tego wieczora z pewnością ucieszyłaby się, gdyby ktoś podał jej moją głowę na tacy.

To zachowanie Rega sprawiło, że zaczęła uważać mnie nie za szaleńca, lecz za cudotwórcę. Reg posadził ją w fotelu i mówił zupełnie do rzeczy. Twierdził, że wie, iż ostatnio dziwnie się zachowywał. Że wie, iż się o niego bała. Że bez elektryczności czuje się znacznie lepiej. Że jej teraz pomoże, żeby nie męczyła się i nie czuła niewygód. A później dodał, że chyba powinni wpaść do sąsiadów na pogawędkę.

- Chyba nie do tych agentów KGB z furgonetką wyładowaną radem? - zdziwił się pisarz.

- Właśnie do nich. Jane nie wierzyła własnym uszom! Zgodziła się w końcu, ale później powiedziała mi, że była przygotowana na najgorsze. Oskarżenia, groźby, histeria... zaczęła nawet rozważać możliwość odejścia od Rega, jeśli nie zdecydowałby się na przyjęcie pomocy. Wtedy, a była to środa rano, powiedziała mi przez telefon, że odcięcie elektryczności to była ostatnia kropla. Była gotowa wrócić do Nowego Jorku. Rozumiecie, po prostu się wystraszyła. Sytuacja pogarszała się stopniowo, niemal niedostrzegalnie, ale ona ciągle go kochała. Tyle że dotarła już do kresu cierpliwości. Postanowiła, że jeśli Reg choć raz powie tym studentom coś dziwnego, to wyprowadza się natychmiast. Dużo później odkryłem, że bardzo ostrożnie rozpytywała się, jak załatwić przymusowe leczenie w Nebrasce.

- Biedna kobieta - powiedziała cicho żona pisarza.

- Ten wieczór okazał się wielkim sukcesem - mówił dalej redaktor. - Reg wypadł wspaniale, a - według Jane - miał wiele wdzięku, jeśli tylko się postarał. Nie widziała go takiego od trzech lat. Posępność i coś w rodzaju skrytości zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Tak samo nerwowy tik i to zerknięcie przez ramię, gdy ktoś otwierał drzwi. Popijał piwo i rozmawiał o wszystkim, o czym mówiło się w tamtych ponurych czasach: o wojnie, o możliwości stworzenia ochotniczej armii, o rozruchach w miastach, o prawie.

Wyszło na jaw, że napisał "Postacie z podziemia" i ci młodzi ludzie byli... "oszołomieni sławą", jak to ujęła Jane. Troje czy czworo z nich już je przeczytało i mógłbym założyć się o wszystko, że pozostali natychmiast pobiegli do biblioteki.

Pisarz roześmiał się i skinął głową. Coś już o tym wiedział.

- Więc - mówił dalej redaktor - zostawmy na razie Rega Thorpe i jego żonę, bez elektryczności, lecz szczęśliwych jak nigdy w ciągu ostatnich kilku lat...

- Dobrze, że nie miał elektrycznej maszyny do pisania - wtrącił agent.

- ...i powróćmy do Pana Redaktora. Minęły dwa tygodnie. Lato się kończyło. Pan Redaktor, oczywiście, popijał sobie od czasu do czasu, lecz tak w ogóle funkcjonował bez zgrzytów. Dni mijały, jak mijać miały. Na Przylądku Kennedy'ego przygotowywano się do wysłania człowieka na Księżyc. Nowe wydanie "Logan's", z Johnem Lindsayem na okładce, leżało na półkach i sprzedawało się równie kiepsko jak poprzednie. Złożyłem zamówienie na zakup praw do jednorazowej publikacji prasowej dzieła oryginalnego. Opowiadanie: "Ballada o celnym strzale". Autor: Reg Thorpe. Pierwodruk. Wydanie: styczeń 1970. Cena: 800 dolarów; tyle zwykle płaciliśmy za główne opowiadanie.

Aż tu nagle wzywa mnie mój szef, Jim Dohegan. Czy mógłbym wpaść do niego na minutkę? Pobiegłem truchcikiem i zgłosiłem się przed dziesiątą, wyglądając i czując się wspaniale. Dopiero później dotarło do mnie, że sekretarka Jima, Janey Morrison, wyglądała jak pierwsza fala sztormowa.

Usiadłem i zapytałem Jima, co mogę dla niego zrobić lub vice versa. Nie twierdzę, że nie myślałem o Regu Thorpie. Mając w garści jego arcydzieło spodziewałem się nawet czegoś w rodzaju gratulacji, więc chyba możecie sobie wyobrazić, jak zgłupiałem, kiedy podał mi dwa zamówienia: na opowiadanie Rega Thorpe'a i Johna Updike'a, które planowałem na luty. Na obu przystemplowano "Zwrot".

Popatrzyłem na zamówienia. Popatrzyłem na Jima. Nic nie pojmowałem. Nie potrafiłem nawet zmusić się, by pomyśleć, co to ma, do cholery, znaczyć! Coś mi się w głowie zablokowało. Rozejrzałem się po gabinecie i zobaczyłem w kącie mały elektryczny ekspres, który Jane przynosiła codziennie rano i włączała do kontaktu, żeby jej szef miał zawsze świeżą kawę. Tak było w redakcji od trzech lat, ale tego ranka byłem w stanie myśleć wyłącznie o jednym: Gdybym tylko go wyłączył, zaraz pojąłbym, co jest grane. Wiem, że gdybym go wyłączył, mógłbym myśleć.

Spytałem: "A to co, Jim?"

On na to: "Cholernie mi przykro, że to właśnie ja muszę przekazać ci tę wiadomość, Henry. Od stycznia 1970 roku «Logan's» nie będzie już publikował literatury.

Redaktor sięgnął po papierosa, ale jego paczka była pusta.

- Czy ktoś może mnie poczęstować papierosem? - spytał. Żona pisarza podała mu salema.

- Dzięki, Meg.

Zapalił go, wyrzucił zapałkę, zaciągnął się głęboko. W ciemności rozbłysnął wesoły, czerwony ognek.

- No cóż, nie mam wątpliwości, że Jim wziął mnie za szaleńca. Spytałem go: "Można?" i wyłączyłem ekspres z kontaktu. Pamiętam, że opadła mu szczęka. "Co u diabła, Henry?" - spytał. "Nie umiem myśleć, kiedy działa coś takiego - wyjaśniłem. Interferencje". I chyba rzeczywiście w to wierzyłem, bo naraz zacząłem myśleć zupełnie jasno. "Czy to znaczy, że mnie wywalasz?" - spytałem, a on powiedział: "Nie wiem, to zależy od Sama i kolegium. Po prostu nie wiem, Henry".

Ale ja miałem mu wiele do powiedzenia. Myślę, że Jim spodziewał się, że będę go błagał o pracę. Znacie to powiedzenie: "Wystawiony tyłkiem do wiatru"? Jestem pewien, że nie zrozumie go nikt, kto nie stał się nagle szefem nieistniejącego działu.

Ale ja nie błagałem go o pracę i o to, by "Logan's" dalej publikował opowiadania. Błagałem go o Rega Thorpe'a. Najpierw powiedziałem, że mogę przesunąć jego opowiadanie na grudzień.

"Numer grudniowy jest zamknięty - powiedział Jim. - Przecież o tym wiesz. A tu mamy dziesięć tysięcy słów".

"Dziewięć tysięcy osiemset" - poprawiłem go.

"I ilustrację na całą kolumnę. Daj spokój".

"Wywalmy rysunek - poprosiłem. - Słuchaj, Jimmy, to świetnie opowiadanie, być może najlepsze, jakie się nam trafiło od pięciu lat".

"Czytałem je i wiem, że jest dobre - powiedział Jim. - Ale tego nie możemy zrobić. Nie w grudniu. Przecież to Boże Narodzenie! Do cholery, Henry, chcesz dać czytelnikom pod choinkę opowiadanie o facecie, który zabija żonę i dziecko? Chyba..." - Tu przerwał i widziałem, jak zerknął na ekspres. Wiecie, równie dobrze mógł skończyć głośno.

Pisarz powoli skinął głową, nie spuszczać wzroku z cieni na twarzy redaktora.

- Zaczęła mnie boleć głowa. Na początku było to zwykle ćmienie, tyle że znów nie mogłem myśleć. Przypomniałem sobie, że Janey Morrison ma na biurku elektryczną temperówkę. I te jarzeniówki w gabinecie Jima. Piecyki. W bufecie przy końcu korytarza stały automaty do kawy i tak dalej. Jakby tak głębiej się nad tym zastanowić, cały budynek trzymał się przecież wyłącznie dzięki elektryczności. Dziwne, że ktokolwiek może tu cokolwiek zrobić. To wtedy właśnie pojawiła się ta myśl, myśl o tym, że nic dziwnego, "Logan's" musi paść, bo przecież nikt tu nie może trzeźwo myśleć, a nie może trzeźwo myśleć, bo go wpakowano do wielkiego budynku oplecionego kablami kompletnie zakłócającymi przebieg fal mózgowych. Pamiętam, jak myślałem, że gdyby pojawił się tu lekarz z elektroencefalografem, to wykresy byłyby... no tak... po prostu wstrętne. Pełne tych spiczastych linii alfa oznaczających złośliwego guza mózgu. Już samo myślenie o tym spowodowało, że głowa zaczęła mnie boleć. Ale próbowałem dalej. Zapytałem, czy nie mógłby pogadać z Samem Vaderem, naszym naczelnym, by puścił Rega Thorpe do numeru styczniowego, jako pożegnania z literaturą, jeśli inaczej się nie da. Jako ostatnie opowiadanie w "Logan's".

Jim bawił się ołówkiem i kiwał głową. Powiedział: "Wspomnę mu o tym, ale wiesz, że to nie zadziała. Mamy tu opowiadanie pisarza z jednym hitem na koncie i mamy opowiadanie Johna Updike'a, równie dobre a może nawet lepsze".

"To Updike'a nie jest lepsze!" - zaprotestowałem.

"No, dobrze. Jezu, Henry, nie musisz przecież wrzeszczeć!".

"Nie wrzeszczę!" - wrzasnąłem.

Patrzył mi w oczy przez dłuższą chwilę, a mnie coraz bardziej bolała głowa. Słyszałem jarzeniówki brzęczące jak złapane w butelkę muchy - obrzydliwy dźwięk. Wydawało mi się też, że słyszę, jak Jane włącza temperówkę. Oni to robią specjalnie, pomyślałem. Chcą mnie ogłupić. Wiedzą, że ja nie wiem, co powiedzieć, kiedy ta... kiedy to wszystko...

Jim mówił jeszcze coś o poruszeniu tych spraw na kolegium, obiecywał, że zasugeruje, by nie przerywać druku opowiadań nagle, tylko wykorzystać te, które już zaplanowałem, chociaż...

Wstałem, przeszedłem przez pokój i wyłączyłem światło.

"A to po co?" - spytał Jim.

"Już ty dobrze wiesz po co - odpowiedziałem mu. - Powinieneś wynieść się stąd, Jimmy, inaczej nic z ciebie nie zostanie".

Wstał i podszedł do mnie.

"A ty powinieneś chyba wziąć wolny dzień i odpocząć, Henry. Idź do domu, wypocznij. Wiem, że ostatnio żyłeś w napięciu. Chcę, żebyś wiedział, że zrobię w tej sprawie, co tylko będę mógł. Czuję to samo co ty... no, może prawie to samo. A ty powinieneś pójść do domu, położyć się, pooglądać telewizję".

"Telewizję" - powiedziałem i roześmiałem się. To był najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek słyszałem. "Jimmy, powiedz coś ode mnie Samowi Vaderowi, dobra?"

"Co takiego, Henry?"

"Powiedz mu, że potrzebuje fornita. Całej drużyny. Ha, fornita? Dwunastu fornitów!"

"Fornity - powtórzył Jim. - W porządku, Henry. Powiem mu. Z całą pewnością mu powiem". Ból głowy był już po prostu nie do zniesienia. Prawie nic nie widziałem. Gdzieś tam, w głębi mózgu, rodziła się myśl: Co ja powiem Regowi? Jak on to przyjmie?"

"Sam złożę zamówienie, tylko jeszcze nie wiem do kogo - powiedziałem głośno. - Może Reg będzie miał jakiś pomysł? Dwanaście fornitów. Niech zasypią fornusem całą tę pieprzoną redakcję! Każdy ką!"

Chodziłem naokoło gabinetu, a Jim gapił się na mnie z otwartymi ustami.

"Wyłącz wszystko, Jimmy. Powiedz mu to. Wyłączyć wszystko! Nikt nie może myśleć przy tych wszystkich elektrycznych interferencjach, prawda?"

"Prawda, Henry. Na sto procent. Po prostu idź do domu i odpocznij. Prześpij się albo coś".

"I fornity też. Nie lubią tych interferencji. Rad, elektryczność, wszystko jedno. Daj im kielbasy. Masła orzechowego. Czy możemy zgłosić na to zapotrzebowanie?"

Straszny ból głowy, jak czarna kula, tkwił mi pod czaszką, za oczami. Widziałem wszystko podwójnie i nagle poczułem, że jeśli się nie napiję... że po prostu muszę się napić. Jeżeli na świecie nie ma fornusa, a jakaś racjonalna część mnie samego tłumaczyła mi, że z pewnością nie ma, to szklaneczka była jedyną na świecie rzeczą zdolną postawić mnie na nogi.

"Oczywiście, złożymy zamówienie" - powtarzał Jimmy.

"Ty w to nie wierzysz, prawda?" - spytałem.

"Oczywiście, że wierzę. Wszystko jest w najlepszym porządku, Henry, tylko teraz musisz pojechać do domu. Po prostu musisz trochę odpocząć".

"Nie wierzysz mi teraz, ale uwierzysz, kiedy ta szmata zbankrutuje. Na Boga, jak możesz podjąć jakąkolwiek trafną decyzję, skoro siedzisz zaledwie dziesięć metrów od tych cholernych maszyn. Z colą, słodyczami i kanapkami!"

Tu nagle naszła mnie straszna myśl.

"I kuchenka mikrofalowa! - wrzasnąłem. - Przecież oni podgrzewają kanapki w kuchence mikrofalowej!"

Mówił coś jeszcze, ale nie zwracałem na niego uwagi. Uciekłem. Kuchenka mikrofalowa wszystko mi wyjaśniła. Musiałem uciec. To właśnie przez kuchenkę miałem tak straszny ból głowy. Pamiętam, że widziałem Janey, Kate Younger z reklamy i Mert Strong od łączności z czytelnikami, jak stały i gapiły się na mnie. Musiały usłyszeć wrzaski.

Miałem pokój piętro niżej. Zbiegłem po schodach, pogasiłem wszystkie światła i zabrałem teczkę. Na dół zjechałem windą; teczkę postawiłem między nogami i z całej siły zatykałem palcami uszy. Pamiętam też, że trzy czy cztery osoby zjeżdżające tą samą windą patrzyły na mnie raczej dziwnie.

Redaktor roześmiał się sucho.

- Były przerażone. I nie ma się czemu dziwić. Każdy zamknięty w klatce z wariatem ma prawo się bać.

- Och, z pewnością nie było aż tak źle - odezwała się żona agenta.

- Było dokładnie tak źle. Szaleństwo gdzieś przecież musi się zacząć. A ja, jeśli w ogóle opowiadam o czymś - choć zdarzenia z własnego życia trudno nazwać czymś - to mówię właśnie o początkach szaleństwa. Ono musi się gdzieś zacząć i do czegoś doprowadzić. Jak droga. Albo wystrzelona z rewolweru kula. Że tak powiem...

Gdzieś się musiałem podziąć, więc poszedłem do "Four Fathers", baru na Czterdziestej Dziewiątej. Pamiętam, że specjalnie wybrałem właśnie ten bar, bo nie było tam szafy grającej, kolorowego telewizora i jasnych świateł. Pamiętam, jak zamawiałem pierwszego drinka, a później już nic. Obudziłem się w domu, we własnym łóżku. Na podłodze leżały zaschnięte rzygowiny, a w powłoczce wypalona była wielka dziura. Zalany w trupa, unikałem najwyraźniej dość nieprzyjemnej śmierci: spalenia lub uduszenia w dymie. Ale i tak bym tego pewnie nie poczuł.

- O, jak rany! - powiedział agent prawie z szacunkiem.

- Przerwa w życiorysie. Po raz pierwszy miałem wówczas autentyczną, pełną przerwę w życiorysie. Nie zdarzają się zbyt często, bo po prostu nie ma na nie czasu. Oznaczają początek końca, a - taki czy inny - ten koniec następuje szybko. Ale... każdy alkoholik powie wam, że przerwa w życiorysie w niczym nie przypomina omdlenia. Dla wszystkich byłoby lepiej, żeby przypominała, ale nic z tego. Kiedy alkoholik ma przerwę w życiorysie - działa. Jest nawet cholernie pracowity! Jak jakiś oszalały fornit. Dzwoni do swojej byłej żony, żeby jej nawymyślać, wjeżdża pod prąd na autostradę i ładuje się na samochód pełen dzieciaków. Może rzucić pracę, obrabować sklep, zastawić obrączkę. Jest pracowity jak cholera.

Ja najwyraźniej postanowiłem wrócić do domu i napisać list. Ale nie do Rega. Do siebie. I to nie ja go pisałem - tak przynajmniej wynikało z listu.

- A kto? - spytała żona pisarza.

- Bellis.

- A to co?

- Jego fornit - wyjaśnił pisarz, który najwyraźniej błędził myślami gdzieś daleko i miał nieprzytomne, nieobecne spojrzenie.

- Właśnie - powiedział redaktor, który wcale nie wyglądał na zaskoczonego. Wyrecytował im ten list w słodkim, świeżym powietrzu nocy, podkreślając co ważniejsze fragmenty ruchem palca. "Pozdrowienia od Bellisa. Przykro mi, że masz problemy, przyjacielu, lecz chciałbym ci od razu wytłumaczyć, że nie jesteś jedynym gościem z problemami. Mnie też nie jest łatwo. Mogę zasypać twoją przeklętą maszynę do pisania fornusem jak stąd do wieczności, ale przyciskanie KLAWISZY to chyba twoje zajęcie. PO TO Bóg stworzył takich wielkich ludzi. Więc trochę ci współczuję, ale nie licz na to, że tego współczucia będzie więcej.

Rozumiem, że martwisz się o Rega Thorpe'a. Ja nie martwię się o Rega Thorpe'a, ja się martwię o mojego brata Rackne'a. Thorpe martwi się, co z nim będzie, gdy Rackne odejdzie, ale tylko dlatego, że jest samolubem. Przekleństwo służenia pisarzom polega na tym, że wszyscy są samolubami. Ja się martwię o to, co będzie z Rackne'em, jak Thorpe odejdzie. El bonzo seco. Ta myśl najwyraźniej nie raczyła się pojawić w jego jakże wrażliwym umyśle. Nasze szczęście polega na tym, że na krótką metę wszystkie problemy mają proste rozwiązanie, więc wyteżam swoje wątłe rączki i krótkie ciało, żeby ci je podać, mój ty drogi Pijaku. TY możesz szukać rozwiązania W OGÓLE, ale zapewniam cię, że coś takiego nie istnieje. Wszystko jest śmiertelne. Bierz, co jest ci dane. Czasami znajdujesz węzeł na sznurze, lecz każdy sznur ma swój koniec. Więc co? Błogosław węzeł i nie trać oddechu na przeklinanie upadku. Wdzięczne serca wiedzą, że i tak wszyscy w końcu spadniemy.

Sam musisz mu zapłacić za opowiadanie. Tylko nie wysyłaj normalnego czeku! Thorpe ma poważne, może nawet groźne kłopoty z głową, ale to wcale nie oznacza gupoty".

Redaktor przerwał i przeliterował: "g-u-p-o-t-y".

"Wyciągnij osiemset i coś tam jeszcze dolarów ze swojego konta - mówił dalej - i każ bankowi założyć sobie nowe konto na Arvin Publishing Inc. Zrób wszystko, by zrozumieli, że chcesz mieć bardzo profesjonalnie wyglądające czeki, bez ślicznych piesków i malowniczych kanionów. Poproś o pomoc przyjaciela, kogoś, komu możesz zaufać, i zarejestruj go jako współnika, to

będzie ci te czeki współasygnował. Kiedy je już dostaniesz, wypisz jeden na osiemset dolarów i daj współnikowi do podpisu. Później wyślij go Regowi Thorpe. Na jakiś czas będziesz miał spokój.

Koniec. Bez odbioru".

List podpisany był: Bellis. Nie znaczkami. Na maszynie.

- Pni! - mruknął pisarz.

- Kiedy wstałem, w oczy rzuciła mi się przede wszystkim maszyna. Wyglądała, jakby ją ktoś ucharakteryzował na ducha maszyny z taniego horroru. Wczoraj był to jeszcze stary, czarny i bardzo biurowy underwood, ale kiedy wstałem - z łbem wielkim jak Dakota Północna - zobaczyłem, że jest jakiś szarawy. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie, by pomyśleć, że chyba już wyzionął ducha. Przejechałem po nim palcem, polizałem palec i poszedłem prosto do kuchni. Na barku stała torba z cukrem pudrem, a w niej łyżeczka. Cukier rozsypany był wszędzie między kuchnią a moją pracownią.

- Żywiłeś fornita - stwierdził pisarz. - Bellis to prawdziwy pies na słodycze, albo przynajmniej tak ci się wydawało.

- Aha. Ale nawet chory i do tego skacowany wiedziałem doskonale, kto tu jest fornitem.

Wyliczył im na palcach:

- Po pierwsze: Bellis to panięskie nazwisko mojej matki. Po drugie: słowa "el bonzo seco" - mówiliśmy tak z bratem o kimś, kogo uważaliśmy za stukniętego. Po trzecie i najbardziej irytujące: pisownia "gupi". Nigdy nie udało mi się dobrze napisać tego słowa. Znałem jednego nieprzyzwoicie wykształconego pisarza, który zawsze pisał "wogóle" i wszyscy musieli to po nim poprawiać. A inny facet, z doktoratem z Princeton, zawsze pisał "na prawdę".

Żona pisarza roześmiała się nagle, równie rozbawiona jak zażenowana.

- Ja też tak piszę - przyznała.

- Chciałem tylko powiedzieć, że błędy ortograficzne to takie literackie odciski palców człowieka. Zapytajcie o to kogoś, kto poprawiał kilka tekstów jednego autora.

Cóż, Bellis był mną, a ja to Bellis. W każdym razie udzielił mi dobrej, wręcz doskonałej rady. I jeszcze coś: podświadomość pozostawia czasami dziwne ślady. Jest taką cholerną istotą, która cholernie dużo wie. Nigdy w życiu nie widziałem "współasygnatury" i - przynajmniej świadomie - nie miałem pojęcia, co to właściwie jest. Ale coś takiego rzeczywiście istnieje. Bankowcy używają nawet tego właśnie słowa. Dziwne.

Znalazłem telefon i zadzwoniłem do przyjaciela. Kiedy przykładałem do ucha słuchawkę, poczułem znajomy ból, ból nie do wytrzymania. Pomyślałem o Regu Thorpie, pomyślałem o radioaktywnym radzie i natychmiast rzuciłem słuchawkę na widełki. Wziąłem za to prysznic, ogoliłem się, chyba z dziesięć razy wracałem do lustra, żeby się upewnić, czy wyglądam jak człowiek i w końcu poszedłem zobaczyć się z przyjacielem osobiście. Zadawał pytania i przyglądał mi się bardzo uważnie, po nocnych hulankach pozostały więc chyba jakieś ślady, których nie starło mydło i spora dawka aspiryny z witaminami. Ten przyjaciel nie siedział w biznesie i, wiecie, to chyba dobrze. Złe wiadomości jakoś szybko się rozchodzą. W środowisku. Że tak powiem. Gdyby siedział w biznesie, to by wiedział, że Arvin Publishing wydaje "Logan's" i pewnie zacząłby się zastanawiać, jaki to głupi pomysł wpadł mi do głowy. Ale nie wiedział, więc zdołałem mu wytłumaczyć, że mam zamiar zostać samodzielnym wydawcą, bo "Logan's" zlikwidował dział literatury.

- Zapytał, dlaczego nazwałeś firmę Arvin Publishing? - zainteresował się pisarz.

- Tak.

- I co mu powiedziałeś?

- Powiedziałem mu - redaktor uśmiechnął się nieznacznie - że Arvin to panięskie nazwisko mojej matki.

Na chwilę zapadła cisza, po czym redaktor znów zaczął opowiadać i niemal do końca nikt mu nie przerywał.

- No więc czekałem na czeki, a potrzebowałem dokładnie jednego. Tymczasem byłem raczej zajęty, wiecie: wyprostować rękę, napełnić szklanę, opróżnić szklanę, wyprostować rękę. Po pewnym czasie ta praca męczy tak, że zasypia się przy stole. Zdarzały się pewnie i inne rzeczy, ale głównie obchodziła mnie właśnie ta, zgiąć i wyprostować.

O ile dobrze pamiętam. Praktycznie cały czas byłem zalany i na jedno wydarzenie, które pamiętam, przypada z pięćdziesiąt albo i sześćdziesiąt wydarzeń, o których nie mam zielonego pojęcia.

Rzuciłem pracę i wszyscy wokół odetchnęli z ulgą. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Zwolniłem ich z obowiązku rozstrzygnięcia egzystencjalnego problemu: jak wyrzucić z pracy szaleńca kierującego rozwiązaniem działem. Ja też odetchnąłem. Nie miałem siły, by jeszcze raz wejść do tego budynku. Z jego windami, lampami, telefonami i całą tą czyhającą na człowieka elektrycznością.

W ciągu tych trzech tygodni napisałem kilka listów do Rega Thorpe'a i kilka do Jane. Pamiętam, jak pisałem do niej; z pisanem do niego było jak z listem Bellisa. Tworzyłem w zamroczeniu. Po pijaku trzymałem się jednak zwykłego sposobu pracy równie ściśle jak zwykłych błędów. Zawsze zostawiałem kopie... kiedy dochodziłem do siebie rano, podłoga była nimi usłana. Czytałem je jak dzieła kogoś całkiem mi obcego.

Nie żeby te listy były szalone. Raczej przeciwnie. Ten, który kończył się wzmianką o mikserze, wydawał mi się najgorszy. Inne sprawiały wrażenie... no, prawie rozsądnych.

Zamilkł i powoli potrząsnął głową.

- Biedna Jane. Nie dlatego, żeby u niej sprawy wyglądały naprawdę źle. Była pewna, że wydawca Rega bardzo zręcznie i jakże humanitarnie próbuje wyciągnąć go z pogłębiającej się depresji. Jeśli stawiała sobie pytanie, czy to wszystko powinno wyglądać właśnie tak w przypadku faceta, który doświadcza różnego rodzaju paranoicznych fantazji, a raz omal nie skrzywdził małej dziewczynki, to chyba podświadomie wołała na nie nie odpowiadać, bo ona też próbowała wyciągnąć go z depresji. A ja przecież postępowałem identycznie. Trudno zgłaszać pod jej adresem jakieś pretensje, Reg nie był dla niej w końcu wyłącznie dostarczycielem pieniędzy, szkapą, w którą trzeba orać, głaskać wieczorami i znów orać, aż w końcu sama zgodzi się pójść do końskiej jatki. Ona po prostu kochała tego faceta! Jane Thorpe była, na swój sposób, wielką, wspaniałą kobietą. Po tym, jak przeżyła już wszystko: spokój, chorobę, a wreszcie szaleństwo, moim zdaniem zgodziłaby się z Bellisem, że należy błogosławić węzeł, a nie przeklinać upadek. Pewnie, im wyżej złapiesz węzeł, tym mocniej sznur szarpnie cię przy powieszeniu, ale szybki koniec też może być błogosławieństwem. W końcu kto pragnie się długo dusić?

Obydwoje odpisywali mi regularnie. Były to bardzo, bardzo pogodne listy, choć w ich pogodzie wyczuwało się coś... coś ostatecznego, zupełnie jakby... och, do diabła z tanią filozofią! Jeśli będę wiedział, co chcę powiedzieć, powiem. Tę sprawę możemy na razie zostawić.

Reg co wieczór spotykał się ze studentami z przeciwka i kiedy liście zaczęły opadać z drzew, był już dla nich czymś w rodzaju boga, który zstąpił na ziemię. Grali w kierki i we frisbie, a kiedy się zmęczyli, pod jego delikatnym przewodnictwem rozmawiali o literaturze. Reg wziął też psa ze schroniska. Chodził z nim na długie spacery rano i wieczorem, spotykał ludzi, rozmawiał z nimi tak, jak robią to wszyscy właściciele jakichś tam kundli. Ci, którzy sądzili, że u Thorpe'ów coś jest nie całkiem tak, zaczęli powoli zmieniać zdanie. Kiedy Jane stwierdziła, że sama nie poradzi sobie w domu i powinna mieć jednak jakąś pomoc, Reg zgodził się z nią bez słowa skargi.

Zgodził się z uśmiechem, a ona wręcz osłupiała. Oczywiście nie mieli problemów finansowych, po "Postaciach z podziemia" pieniądze płynęły niemal nieprzerwanym strumieniem, lecz - przynajmniej według Jane - pozostawał przecież problem ICH. ONI byli przecież, zdaniem Rega, wszędzie, a kto mógłby być najlepszym narzędziem w ich ręku, jeśli nie sprzątaczką pętająca się po całym domu, zaglądnąca do szaf, pod łóżko, a może nawet do zamkniętych na siedem zamków szuflad biurka?

Ale nie. Reg zgodził się z żoną całkowicie. Powiedział, że czuje się jak świnia i że powinien pomyśleć o tym wcześniej, choć - i Jane specjalnie to podkreślała - sam, z własnej woli, wykonywał najbrudniejsze prace, takie jak na przykład ręczne zmywanie. Poprosił tylko o jedno: by sprzątaczką nie wchodziła do pracowni.

Ale najlepsze i najwspanialsze z jej punktu widzenia było to, że Reg znów wziął się do pracy. Tym razem miała to być powieść. Przeczytała pierwsze trzy rozdziały i, jej zdaniem, były po prostu wspaniałe. Pisała mi, że wszystko, co dobre, zaczęło się od przyjęcia do druku "Ballady o celnym strzale"; przedtem panowała susza, teraz przyszedł ulewny deszcz.

Jestem pewien, że tak właśnie myślała, ale w jej podziękowaniach mało było prawdziwego ciepła. Przebijające przez nie słońce świeciło jakby zza chmur... no tak, wróciliśmy do tematu. Świeciło jak wtedy, kiedy na niebie zbierają się takie pierzaste chmurki i wiesz, że już wkrótce będzie lało jak z cebra.

I wszystkie te dobre wiadomości: studenci, pies, sprzątaczką, nowa powieść... przecież była zbyt inteligentna, by uwierzyć, że wszystko może znów być dobrze. Ja nawet po pijaku wiedziałem, że nie może. Reg zdradzał objawy psychozy, a z psychozą jest jak z rakiem płuc: sama się nie wyleczy, choć od czasu do czasu chorzy mogą czuć się lepiej.

Mogę znów poprosić cię o papierosa, kochanie?

Żona pisarza poczęstowała go jeszcze jednym salemem.

- W końcu - mówił dalej redaktor, wyciągając zapalniczkę - miała przecież wokół siebie same symptomy jego idee fixe. Brak telefonu. Brak elektryczności. Kontakty zaklejone taśmą. Reg sypał jedzenie do maszyny równie regularnie jak do psiej miski. Studenci z przeciwka mogli go mieć za wspaniałego faceta, ale studenci z przeciwka nie widzieli, jak co rano, ze strachu przed promieniowaniem, wkłada gumowe rękawiczki, żeby podnieść leżącą na progu gazetę. Nie słyszeli, jak jęczy przez sen, i nie uspokojali go, kiedy budził się z krzykiem, nie pamiętając koszmaru, który go przeraził.

Ty, moja droga - powiedział patrząc wprost w oczy żonie pisarza - zastanawiasz się pewnie, dlaczego przy nim została. Myślisz o tym, choć nic nie mówisz. Prawda?

Żona pisarza skinęła głową.

- No tak, ale ja nie mam zamiaru przedstawiać wam tu długiej rozprawy na temat jej motywów. Bardzo wygodne we wszystkich prawdziwych opowieściach jest to, że można powiedzieć "tak się właśnie stało" i niech słuchacze martwią się o to dlaczego. A w ogóle to przecież na ogół nikt nie wie, dlaczego było właśnie tak, jak było, a już szczególnie głupi są ci najzupełniej pewni, że rozumieją wszystko.

Z subiektywnego punktu widzenia Jane Thorpe żyło się jednak znacznie, ale to znacznie lepiej. Znalazła sprzątaczkę, Murzynkę w średnim wieku i zmusiła się do opowiedzenia jej o dziwactwach swego męża. Ta kobieta, Gertruda Rulin, roześmiała się tylko i powiedziała, że pracowała już dla ludzi, którzy byli o całe niebo dziwniejsi. Pierwszy tydzień po jej zaangażowaniu Jane spędziła tak, jak pierwszy wieczór u studentów: czekając na wybuch szaleństwa. Ale Reg podbił serce sprzątaczką całkowicie, tak jak wcześniej serca tych dzieciaków. Rozmawiał z nią o jej pracy w parafii, o mężu, o najmłodszym synku Jimmym, który - według Gertrudy - choć pierwszoklasista, był w stanie zapędzić w kozę róg samego Kubę Rozpruwacza.

Miała jedenaścioro dzieci, ale między tym i najmłodszym z pozostałych było dziewięć lat różnicy i to nikomu nie ułatwiało życia.

Więc z Regiem wszystko wydawało się układać nieźle...

i jeśli spojrzeć na to z pewnego punktu widzenia, tak było rzeczywiście. Tylko że prawdę mówiąc pozostał równie szalony jak poprzednio i, oczywiście, ze mną było tak samo. Cóż, szaleństwo może sobie być jak elastyczny pocisk, ale każdy liczący się ekspert od balistyki powie wam, że nie ma dwóch identycznych pocisków. W jednym z listów Reg napisał coś tam o powieści tylko po to, żeby zaraz przejść do fornitów. Fornitów w ogólności, a Rackne'a szczególnie. Zastanawiał się przede wszystkim, czy ONI chcą go tylko zabić, czy też złapać żywcem i zbadać. Skłaniał się ku tej drugiej ewentualności. Na końcu stwierdzał: "Mój pogład na świat, tak jak i apetyt, poprawiły się znacznie od czasu, kiedy zaczęliśmy do siebie pisać, Henry. Bardzo ci za to dziękuję. Zawsze twój. Reg". A w postscriptum pytał, czy znalazłem już ilustratora do "Ballady o celnym strzale". To pytanie spowodowało u mnie oczywiście napad poczucia winy, przez który - oczywiście - złapałem butelkę.

Reg pisał mi o fornitach, a ja jemu o kablach i polach. Coraz bardziej interesowała mnie elektryczność, mikrofałe, fale radiowe, interferencja fal, promieniowanie i Bóg jeden wie, co jeszcze. Chodziłem do bibliotek i pożyczałem książki, chodziłem do księgarń i kupowałem książki. Znalazłem w nich sporo przerażających wiadomości na ten temat, a ja przecież, w gruncie rzeczy, właśnie ich szukałem.

Kazałem wyłączyć u siebie telefon i elektryczność. Na jakiś czas pomogło, ale kiedyś, gdy leżałem pijany, tuląc do siebie butelkę whisky i czując ciężar drugiej w kieszeni marynarki, zobaczyłem małe, czerwone, świecące na mnie z sufitu światełko. Boże, przez chwilę myślałem, że dostanę ataku serca. Wyglądało jak owad... wielki, czarny robał patrzący na mnie jednym, błyszczącym, czerwonym okiem.

Miałem lampę gazową. Zapaliłem ją i od razu zorientowałem się, co to naprawdę jest. Tylko że nie odczułem wówczas żadnej ulgi, wręcz przeciwnie - poczułem przelewające się przez mój mózg wielkie, czarne fale bólu, jak fale radiowe. Przez chwilę miałem wrażenie, że to oczy obróciły mi się w oczodołach i patrzę na mózg, na jego spalające się, zwęglone i umierające komórki. Był to wykrywacz dymu - w 1969 roku urządzenie jeszcze nowsze niż kuchenka mikrofalowa.

Wypadłem z mieszkania jak strzała. Pobiegłem po schodach - mieszkałem na piątym piętrze, ale w tym czasie używałem już wyłącznie schodów - i zacząłem walić w drzwi mieszkania dozorca. Krzychałem, że ma to usunąć, musi to usunąć, musi to usunąć dziś... w ciągu godziny! Dozorca patrzył na mnie, jakbym był zupełnie, proszę mi wybaczyć to określenie, bonzo seco. Teraz łatwiej mi go zrozumieć. Wykrywacz dymu miał przecież sprawić, bym czuł się bezpieczniej i lepiej. Teraz już oczywiście są wszędzie, lecz wtedy był to Wielki Skok W Przyszłość i płacił za to Związek Właścicieli Domów.

Dozorca go oczywiście usunął. Nie zabrało mu to wiele czasu, ale nie spuszczał mnie z oka ani na chwilę i teraz do pewnego stopnia pojmuję jego uczucia. Nie goliłem się od Bóg wie kiedy i śmierdziałem whisky, brudne włosy lepiły mi się do głowy, marynarkę też miałem brudną. Oczywiście wiedział, że już nie chodzę do pracy, i widział, jak wynoszą telewizor. Wiedział też, że kazałem odłączyć telefon. Po prostu myślał, że oszalałem.

Może i byłem szaleńcem, ale tak jak i Thorpe niekoniecznie zaraz idiotą. Włączyłem dla niego cały swój wdzięk, ile go zostało... no tak, wiecie, redaktorzy pism literackich muszą go trochę mieć. Uspokoilem go dziesięciodolarówką i w końcu jakoś naprostowałem sprawę, ale z tego, jak przez następne kilka tygodni patrzyli na mnie sąsiedzi (a były to ostatnie tygodnie, jakie miałem tam spędzić), mogłem się domyślić, że wieść poszła w świat. Wiele mówiący był zwłaszcza fakt,

że nie odwiedził mnie nikt ze związku właścicieli, żeby poskomliwać nad moją czarną niewdzięcznością. Pewnie bali się, że zaatakuję ich nożem do mięsa.

Wówczas jednak niewiele mnie to obchodziło. Siedziałem w półmroku, ciągle paliła się lampa gazowa, bijąca przez okno elektryczność Manhattanu też oświetlała trochę moje trzy pokoje. Siedziałem z butelką w jednej i papierosem w drugiej ręce, wpatrzony w miejsce, w którym wykrywacz dymu świecił niegdyś czerwonym okiem tak dyskretnie, że w dzień w ogóle nie było go widać, i myślałem... o tym, że chociaż wyłączyłem całą elektryczność, on został. A jeśli go przeoczyłem, to mogłem przeoczyć także co innego.

A nawet jeśli nie, to przecież cały dom i tak oplatany był przewodami, tyle ich było, ile chorych komórek i gnijących organów w ciele umierającego na raka. Zamykałem oczy i widziałem kable biegnące w ścianach, świecące niesamowitym, zielonkawym światłem. Jeden, niemal nieszkodliwy, cieniutki przewód biegnie do kontaktu... wychodzący z kontaktu kabel jest już nieco grubszy, prowadzi do piwnicy, w której łączy się z jeszcze grubszym, w podziemnym kanale wpada w wiązkę jeszcze grubszych... no tak.

Kiedy Jane Thorpe napisała mi, że Reg zakleił kontakty, jakaś część mego umysłu wiedziała, że ona uznaje to za dowód szaleństwa męża i ta część podpowiedziała mi, żeby odpisać jej jakby była całością. Inna część, teraz już znacznie większa, krzyczała coś zupełnie innego. Krzyczała: "Przecież to wspaniały pomysł!" - no i zaraz następnego dnia zrobiłem oczywiście to samo. Pamiętajcie - byłem człowiekiem, który miał pomóc Regowi. W jakiś przerażający sposób wydawało się to nawet śmieszne.

Tejże nocy zdecydowałem się opuścić Manhattan. W Aironacks był kawałek należącej do rodziny ziemi z domem, mógłbym tam trochę pomieszkać. Pomysł ten bardzo mi się spodobał. W mieście trzymała mnie tylko "Ballada o celnym strzale"; jeśli była ona kołem ratunkowym, dzięki któremu Reg utrzymywał się na powierzchni oceanu szaleństwa, to mnie też w tym pomagała. Chciałem już tylko umieścić ją w dobrym magazynie i gdyby mi się to udało, mógłbym zniknąć z miasta.

Tak właśnie wyglądały niezbyt znane w świecie relacje Wilson - Thorpe tuż przed tym, jak śliwka wpadła w gówna. Byliśmy jak dwóch umierających narkomanów, dowodzących sobie nawzajem wyższości heroiny nad morfiną i vice versa. Że tak powiem. Reg miał fornita w maszynie, ja miałem fornita w ścianie, a obaj mieliśmy fornity w głowie.

Byli też, oczywiście, ONI. Nie wolno zapominać o NICH. Niewiele czasu minęło i już wiedziałem, że wszyscy redaktorzy wszystkich działów literatury we wszystkich nowojorskich magazynach (wprawdzie w 1969 roku było ich zbyt wielu) bez wątpienia należą do NICH. Krążyłem po świecie z maszynopisem i zaczynałem marzyć, żeby zapędzić ich wszystkich pod ścianę, ustawić w rzędki i załatwić jedną serią.

Musiało minąć niemal pięć lat, nim byłem w stanie postawić się na ich miejscu. Denerwowałem nawet dozorcę, a przecież to był facet, który widywał mnie tylko wtedy, kiedy siadało ogrzewanie albo przychodził czas na jego bożonarodzeniowy napiwek. Jeśli chodzi o redaktorów... cóż, cholernie to ironiczne, ale niektórzy z nich byli moim prawdziwymi przyjaciółmi. Taki Jared Baker, zastępca redaktora działu literatury w "Esquire", w czasie wojny służyliśmy w jednej kompanii strzelców. Nowe, poprawione wydanie Henry'ego Wilsona nie mogło się im podobać, więcej - byli nim przerażeni. Gdybym wysyłał im maszynopis z rzeczowym listem wyjaśniającym okoliczności sprawy, prawdopodobnie sprzedałbym to opowiadanie na pniu. Ale nie, to mnie nie satysfakcjonowało. O, nie! "Ballada..." wymagała przecież mojej osobistej opieki! Więc łąziłem z nią od drzwi do drzwi - cuchnący, posiwiwały redaktor z trzęsącymi się dłońmi, zaczerwienionymi oczami i zastarzałym siniakiem w miejscu, w którym uderzył się o drzwi łazienki, kiedy na

czworakach szukał kibelka. Równie dobrze mogłem nosić w klapie znaczek z wielkim napisem: ALKOHOLIK.

Nie chciałem także gadać z tymi ludźmi w ich pokojach redakcyjnych. Prawdę mówiąc, nawet nie mogłem; dawno minęły czasy, kiedy po prostu wsiadałem do windy i spokojniutko jechałem nią na czterdzieste piętro. Umawiałem się z nimi jak handlarz narkotyków z klientami: w parkach, gdzieś na schodach, lub - jak w przypadku Jareda Bakera - w "Burger Heaven" na Czterdziestej Dziewiątej. Jared przynajmniej z pewnością postawiłby mi dobry obiad, ale, rozumiecie, dawno już minęły czasy, kiedy ceniący swoją pracę maitre d'hôtel wpuściłby mnie do restauracji, w której spotykają się ludzie interesu.

Agent drgnął.

- No jasne, otrzymywałem mgliste obietnice przeczytania maszynopisu, po których natychmiast przychodziły pełne troski pytania o to, jak się czuję i jak dużo piję. Pamiętam, co prawda niezbyt dokładnie, że kilku z nich próbowałem przekonać o tym, że to elektryczność uniemożliwia im prawidłowe myślenie i że kiedy Andy Rivers z "American Crossing" zaproponował mi pomoc w znalezieniu lekarza, nawrzeszczałem na niego, kazałem mu się wynosić, bo to on potrzebuje pomocy, a nie ja.

"Widzisz tych wszystkich ludzi tam, na ulicy? - spytałem go. Staliśmy, pamiętam, w Washington Square Park. - Połowa z nich, może nawet trzy czwarte, ma guza mózgu. Nie sprzedam ci opowiadania Thorpe'a, Andy, nawet gdybyś o nie błagał. Do diabła, w tym mieście nawet byś go nie zrozumiał. Twój mózg siedzi na krześle elektrycznym, a ty nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy!". Trzymałem w ręku maszynopis opowiadania i uderzałem go tym maszynopisem po nosie jak nieposłusznego psa sikającego pod murem. Później po prostu odszedłem. Pamiętam, że krzyczał za mną, żebym wrócił, że możemy przecież pójść gdzieś na kawę, pogadać na ten temat, a później znalazłem się pod sklepem z płytami, z głośników wylewała się na ulice fala heavy metalu, z okien fala zimnego, jarzeniowego światła i jego głos znikł w czymś w rodzaju szumu przelewającego mi się w głowie. Pamiętam, że mogłem już myśleć wyłącznie o dwóch sprawach: że muszę szybko, jak najszybciej opuścić miasto, bo sam nabawię się guza mózgu, i że zaraz, natychmiast, muszę się napić.

Tego wieczora znalazłem pod drzwiami mieszkania karteczkę: "Wynoś się stąd, zasrańcu!".

Wyrzuciłem ją, w ogóle o niej nie myśląc. My, wariaci, mamy przecież poważniejsze kłopoty niż anonimowe żale zdenerwowanych sąsiadów.

Myślałem o tym, co powiedziałem Andy'emu Riversowi o opowiadaniu Rega. Im więcej o tym myślałem (i im więcej piłem), tym sensowniejsze mi się to wydawało. "Ballada..." była zabawna i pozornie łatwa w czytaniu, ale pod tą powierzchnią kryła się bardzo skomplikowana treść. Czy w ogóle można mieć nadzieję, że jakiś wydawca jest zdolny zrozumieć ją w całości? Kiedyś miałem taką nadzieję, ale czy mam ją dalej, teraz kiedy już otwarły mi się oczy? Czy ciągle mogę mieć nadzieję, że ktoś potrafi pojąć coś i zrozumieć w mieście owiniętym w kable jak bomba terrorysty? Boże, przecież wolty wyciekają z niego wszystkimi porami!

Czytałem gazetę, póki pozwalało mi na to światło dzienne, starałem się zapomnieć o tych wszystkich strasznych sprawach i tam, na kartach "Timesa", znalazłem historię o tym, jak to z elektrowni atomowych znikają materiały radioaktywne. Autor pisał, że znikło go już wystarczająco wiele, by można było zrobić z niego bombę.

Siedziałem przy stole kuchennym, zachodziło słońce, a ja widziałem ICH, wyplukujących pluton, tak jak w 1849 roku poszukiwacze wyplukiwali z piasku złoto. Tylko że ONI wcale nie chcieli wysadzić miasta w powietrze, nic z tych rzeczy. ONI tylko posypywali je plutonowym pyłem, żeby nikt nie był w stanie myśleć. ONI byli złymi fornitami, a radioaktywny pył był złym furnusem. Najgorszym furnusem w historii.

Więc zdecydowałem, że tak naprawdę wcale nie chcę sprzedać "Ballady...", a już z pewnością nie chcę jej sprzedać w Nowym Jorku, i że mogę wyjechać natychmiast, jak tylko dostanę zamówione czeki. Kiedy już ruszę na północ, zacznę je wysyłać do prowincjonalnych magazynów: "Sewanee Review" wydawało mi się całkiem dobre na start, albo może "Iowa Review"? Wytłumaczę to Regowi później. Reg na pewno mnie zrozumie. "To chyba rozwiązuje wszystkie problemy, pomyślałem i wypilem za dobre rozwiązanie. A później wypilem za swoje zdrowie. A później już alkohol pił się sam... że tak powiem. Urwał mi się film. Jak się okazało, po raz przedostatni. Następnego dnia przyszły czeki firmowe Arvin Publishing. Wypełniłem jeden z nich na maszynie i poszedłem do przyjaciela, który miał je współasygnować. Jeszcze raz przeszedłem przez krzyżowy ogień pytań, ale tym razem trzymałem nerwy na wodzy. Potrzebowałem jego podpisu. I w końcu go dostałem. Pieczętkę zrobiono mi w ciągu pięciu minut. Przystemplowałem nią kopertę, wystukałem na niej adres Rega (wcześniej wyczyściłem maszynę z cukru pudru, ale klawisze nadal się lepily), włożyłem do niej czek wraz z krótkim prywatnym liścikiem, w którym pisałem, że nigdy nie wysyłałem autorowi czeku z większą przyjemnością... co zresztą było prawdą. I ciągle jest. Prawie przez godzinę przyglądałem się mojemu dziełu, nie mogąc wyjść z podziwu, że tak oficjalnie wygląda. Nigdy byście nie uwierzyli, że śmierdzący pijak, który od dziesięciu dni nie zmieniał gaci, zdołał dokonać czegoś takiego. Redaktor przerwał, zdusił papierosa i popatrzył na zegarek. Potem, beznamytnie, zupełnie jak konduktor oznajmiający wjazd pociągu na jakąś ważną stację, powiedział:

- A teraz zaczyna się niewytłumaczalne.

Oto fragment opowieści, który najbardziej zainteresował dwóch psychiatrów i tych wszystkich specjalistów od świrów, z którymi przez następne trzydzieści miesięcy życia utrzymywałem bardzo bliskie kontakty. Tylko to kazali mi odwołać na znak, że mi się poprawiło. Jeden z nich powiedział tak: "To jedyny fragment pańskiej opowieści, w którym występuje załamanie rozumowania indukcyjnego, znaczy jedyny, którym nie rządzi wewnętrzna logika". Więc w końcu go odwołałem. Wiedziałem przecież, choć oni być może jeszcze o tym nie wiedzieli, że rzeczywiście już mi się poprawiło i bardzo chciałem wyrwać się ze szpitala dla wariatów. Wiedziałem też, że jeżeli szybko się z niego nie wydostanę, oszaleję od nowa. No więc odwołałem - Galileusz odwołał tak swoje poglądy, kiedy wsadzono mu stopy w ogień - ale na zawsze zachowałem to w pamięci. Nie twierdzę, że to, co wam teraz opowiem zdarzyło się naprawdę, twierdzę tylko, że wierzę, iż tak właśnie było. To może mała różnica, ale dla mnie jest ona najważniejsza w świecie.

A więc, przyjaciele, oto niewytłumaczalne:

Następne dwa dni spędziłem, przygotowując się do przeprowadzki. Przy okazji: konieczność prowadzenia samochodu nie martwiła mnie w nawet najmniejszym stopniu, jeszcze jako dziecko czytałem, że samochód jest jednym z najbezpieczniejszych na świecie schronień przeciw burzy, bo napompowane opony działają jako prawie stuprocentowe izolatory. Czekałem na chwilę, kiedy usiądę za kierownicą swojego starego chevroleta, zaniknę okna i wyjadę z miasta, które było już dla mnie wyłącznie bagnem świateł. Ale... przygotowania te obejmowały także wyjęcie żarówek z lampek oświetlających wnętrze, zaklejenie samych lampek oraz przykręcenie kontrolki świateł na desce rozdzielczej do oporu w lewo, żeby deska była prawie czarna.

Ostatnią noc zamierzałem spędzić w domu. Mieszkanie było już puste, w kuchni stał wyłącznie stół, w sypialni łóżko, a w pracowni, na podłodze, maszyna do pisania. Nie miałem zamiaru jej zabierać, budziła zbyt wiele złych skojarzeń, a poza tym klawisze zawsze miały się już lepić.

Niech się o nią martwi następny lokator - o nią i o Bellisa też!

Słońce zachodziło, barwiąc całe mieszkanie w niezwykle wręcz sposób. Byłem już nieźle wlany, a kolejna pełna butelka miała chronić mnie przed nocą. Właśnie przechodziłem przez pracownię,

chyba po to, żeby iść do sypialni. Pewnie usiadłbym na łóżku, myślał o kablach i elektryczności... i, oczywiście, popijał.

Pokój, który nazywałem pracownią, był w istocie największy w mieszkaniu. Pracowałem w nim, bo miał wielkie zachodnie okna, z których widać było horyzont. Na czwartym piętrze na Manhattanie brzmi to trochę jak cud z rozmnożeniem chleba i ryb, ale cóż - tak właśnie było. Nie zastanawiałem się nad tym cudem, tylko się po prostu nim cieszyłem. Jasne, miłe światło wypełniało ten pokój nawet w deszczowy dzień.

Ale tego wieczora światło zachodzącego słońca było zdecydowanie niesamowite. Czerwone jak z martenowskiego pieca. Pozbawiony mebli pokój wydawał się zbyt wielki. Kiedy przez niego szedłem, echo odbijało się od ścian.

Maszyna stała na podłodze, mniej więcej pośrodku pokoju, i właśnie próbowałem ją ominąć, kiedy zobaczyłem na wałku jakiś strzęp papieru. To mi dało do myślenia; pamiętam, że kiedy szedłem po poprzednią butelkę, nie widziałem tam żadnego papieru.

Rozejrzałem się. Pewnie pomyślałem, że jest tu jeszcze ktoś oprócz mnie. Nie myślałem jednak ani o włamywaczach, ani o narkomanach... tylko o duchach.

Zobaczyłem czarną plamę na ścianie, po lewej stronie drzwi do sypialni. Zrozumiałem przynajmniej, skąd wziął się papier. Ktoś po prostu oderwał kawałek starej tapety.

Ciągle patrzyłem w tamtą stronę, kiedy za plecami usłyszałem głośne "klik". Podskoczyłem i obróciłem się, czując serce w gardle. Byłem przerażony, chociaż doskonale znałem ten dźwięk i wiedziałem, co oznacza. Ktoś, kto zarabia na życie słowami, nie ma żadnych trudności z rozpoznaniem odgłosu, z jakim czcionka uderza o papier, nawet o zmroku, w ciemnym pokoju, kiedy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby uderzyć w klawisz.

Patrzyli na niego z ciemności, a ich twarze wyglądały jak białe, okrągłe plamy. Siedzieli bliżej siebie niż na początku opowieści. Żona pisarza ścisnęła jego dłoń w swoich.

- Czuję się... no... jakbym wyszedł z siebie. Nierealnie. Być może tak czuje się każdy, kto dotrze do granic niewytłumaczalnego. Powoli podszedłem do maszyny. Serce waliło mi jak oszalałe, ale umysł miałem spokojny... nawet chłodny.

"Klik" - poruszyła się inna czcionka. Tym razem zobaczyłem która: trzeci rząd od góry, po lewej. Chciałem uklęknąć. Zdążyłem nawet ugiąć kolana, kiedy nagle mięśnie nóg odmówiły mi posłuszeństwa. Prawie zemdlałem, ale tylko prawie; usiadłem przed maszyną, a porwana i brudna, choć niegdyś elegancka marynarka otoczyła mnie jak sukienka dygającą głęboko panienkę. Dwie kolejne czcionki trzasnęły raz po raz, przerwa, kolejny trzask. Każde uderzenie budziło echo, zupełnie jak moje kroki.

Coś wsunęło kawałek tapety w maszynę w ten sposób, że czcionki uderzały o powierzchnię pokrytą zaschniętym klejem. Litery były przez to trochę niewyraźne i zatarte, ale bez problemu przeczytałem: "rackn". Kolejny klik i z "rackn" zrobiło się "rackne".

A później... - Redaktor chrząknął i skrzywił wargi w lekkim uśmiechu.

- Nawet teraz, kiedy minęło już tyle lat, ciężko mi o tym mówić... ciężko mi opowiadać, ot tak sobie... W porządku. Fakty, bez żadnych ozdobników. Później zobaczyłem, jak pomiędzy klawiszy wysuwa się ręka. Bardzo cieniutkie ramię. Bardzo drobna dłoń. Pojawiła się między literami "B" i "N", w najniższym rzędzie, zwinięta w pięść i uderzyła w długi, najniższy klawisz. Wałek przeskoczył o jeden znak - bardzo szybko, jakby dostał czkawki - i rączka znikła.

Żona agenta zachichotała przenikliwie.

- Zamknij się, Martha - powiedział cicho agent i Martha się zamknęła.

- Teraz trzaski stały się trochę częstsze - mówił dalej redaktor. - Po chwili zaczęło mi się wydawać, że słyszę, jak to coś, to stworzonko, pociąga za ramiona czcionek i dyszy, sapie jak ciężko pracujący i niemal wykończony robotą człowiek. Liter nie było już prawie widać, klej

zalepił czcionki, ale od biedy potrafiłem je jeszcze odczytać, odbijały się przecież na miękkim papierze. Przeczytałem "racke umie" i za chwilę w tapetę uderzył, blokując się, klawisz z literą "r". Patrzyłem na to bezmyślnie, po czym wyciągnąłem palec i odlepiłem czcionkę. Nie wiem, czy to... czy Bellis... poradziłby sobie sam. Chyba nie. Ale i tak wolałem nie widzieć tego... jego... jak próbuje. Sam widok tej piąstki spowodował, że chwiałem się, stojąc nad przepaścią. Gdybym zobaczył całego elfa, tobym chyba oszalał... no, tak. O ucieczce w ogóle nie było mowy, zapomniałem nawet, że mam nogi. Pewnie i wstać bym nie mógł.

"Klik, klik, klik" - trzaski, słaby, zdyszany oddech, po każdym słowie błada, ubrudzona tuszem i zakurzona piąstka z całej siły wałęsa w klawisz między literami "B" i "N", żeby zrobić odstęp. Nie wiem, jak długo to trwało. Może siedem minut. Może dziesięć. A może wieczność.

W końcu trzaski ustały i zdałem sobie sprawę z tego, że już nie słyszę ciężkiego oddechu. Może zemdłał... może dał sobie spokój... Może umarł? Na atak serca czy coś takiego. Na pewno wiedziałem tylko, że nie dokończył wiadomości. To, co zdążył napisać, brzmiało tak:

"racke umiera chłopiec Jimmy thorpe nie wie powiedz
thorpe racke umiera chłopiec Jimmy zabija rackne
bel".

To było wszystko.

Poczułem, że mam nogi, więc wstałem i wyszedłem z pokoju. Szedłem na palcach, wielkimi krokami, jakbym myślał, że Bellis poszedł spać i jeśli go obudzę, znowu znacznie pisać... myślałem, że jeśli znów usłyszę trzask czcionki uderzającej o papier, zacznę wyć. I będę tak wyć, aż pęknie mi serce lub głowa.

Mój chevy stał na parkingu przed domem, zatankowany, spakowany i gotów do drogi. Usiadłem za kierownicą i przypomniałem sobie o butelce w kieszeni. Ręce trzęsły mi się do tego stopnia, że upuściłem ją, ale upadła na siedzenie i nie stłukła się.

Wiem, przyjaciele, że film mi się urwał. Przerwa w życiorysie to było akurat to, o czym marzyłem i co dostałem. Pamiętam pierwszy łyk wprost z szyjki, pamiętam drugi, pamiętam obrót kluczyka w stacyjce, szum silnika i Franka Sinatrę śpiewającego przez radio "Ta stara, czarna magia", co jakby pasowało do sytuacji. Do tej specyficznej sytuacji. Że tak powiem. Pamiętam, jak śpiewałem z nim i jeszcze trochę popijałem. Stałem na skrzyżowaniu, widziałem, jak migają światła na autostradzie. Myślałem o klekotaniu stojącej w pustym pokoju maszyny i o niesamowitym świetle zachodzącego słońca, które ten pusty pokój wypełniało. Myślałem o szybkim oddechu, jakby jakiś elf-kulturysta ćwiczył sobie na ramionach czcionek. Widziałem oderwany od ściany, pokryty grudkami zaschniętego kleju kawałek tapety. Próbowałem wyobrazić sobie, co się działo, nim wszedłem do pokoju... chciałem zobaczyć to... jego... Bellisa... wychodzącego z maszyny, chwytającego oderwany kawałek tapety wiszący przy drzwiach łazienki - bo była to, rozumiecie, jedyna rzecz w pokoju przypominająca papier - czepiającego się tego strzępka, odrywającego nóżki od podłogi i oddzierającego wreszcie ten kawałek, który następnie niósł na głowie jak wielki palmowy liść. Próbowałem wyobrazić sobie jak on... to... jak w ogóle zdołał wkręcić papier w maszynę. Próbowałem wyobrazić sobie jeszcze wiele rzeczy. Nie umiałem przestać myśleć, więc piłem, Frank Sinatra zamilkł, słuchałem reklam, a później Sarah Vaughan zaczęła śpiewać "Powinnam napisać list" i to także z czymś mi się skojarzyło, więc to właśnie zrobiłem, a przynajmniej wydawało mi się, że zrobiłem, wydawało mi się aż do dziś, kiedy coś spowodowało, że zacząłem jeszcze raz to sobie przemyśliwać, że tak powiem, więc siedziałem i śpiewałem w chórze ze starą dobrą Sarah i zaraz potem musiałem osiągnąć prędkość ucieczki, ponieważ w środku drugiej zwrotki, bez żadnej przerwy w czasie, wyrzygiwałem już z siebie jaja, a ktoś walił mnie po plecach i był to właśnie ten kierowca ciężarówki. Kiedy walił mnie w plecy, czułem, jak coś wzbiera mi w gardle, gotowe cofnąć się w

każdej chwili. Ale nie cofało się, bo mi wyginał ręce, a jak tylko wygiął mi ręce, rzygałem od nowa i wcale nie była to tylko whisky, ale głównie woda. Kiedy już zebrałem się w sobie na tyle, żeby podnieść głowę i zobaczyć, co się wokół mnie dzieje, była szósta po południu w trzy dni po wyjeździe z Nowego Jorku. Leżałem na brzegu Jackson River w zachodniej Pensylwanii, mniej więcej sto kilometrów na północ od Pittsburgha. Z rzeki sterczał kufer chevroleta, a na zderzaku widać było nalepkę...

Mogę się jeszcze czegoś napić, kochanie?

Żona pisarza podała mu szklanę, pochyliła się i nagle pocałowała go w pomarszczony jak u krokodyla policzek. Redaktor uśmiechnął się do niej i oczy rozbłysły mu w mroku. Ale ona była dobrą, wiele rozumiejącą kobietą i ten błysk wcale jej nie oszukał. Męskie oczy nie tak błyszczą z zadowolenia.

- Dziękuję, Meg. - Redaktor wypił, zakaszał i machnięciem ręki odmówił kolejnego papierosa. - Dość na dziś. I tak mam zamiar rzucić palenie. W następnym wcieleniu. Że tak powiem. Reszty właściwie nie trzeba opowiadać. Obarczona jest najgorszym grzechem, jaki można popełnić w opowieści: łatwo przewidzieć koniec. Z samochodu wyłowili coś ze czterdzieści butelek whisky, w większości pustych. Opowiadałem o elfach, elektryczności, fornitach, plutonie i fornusie, sprawiałem wrażenie kompletnie szalonego i rzeczywiście - byłem kompletnie szalony. A co zdarzyło się w Omaha, kiedy ja, według kwitków ze stacji benzynowych, które znaleźli w skrytce, przejechałem przez pięć północno-wschodnich stanów? O tym dowiedziałem się od Jane Thorpe, przede wszystkim z listów pisanych w ciągu długiego i bardzo bolesnego okresu, który skończył się spotkaniem twarzą w twarz w New Heaven, gdzie zresztą mieszka do dziś. Spotkanie to odbyło się zaraz po tym, kiedy odwołałem, co miałem do odwołania, i wypuszczono mnie z wariatkowa. Na koniec wyplakaliśmy się sobie w ramionach i wtedy dopiero uwierzyłem, że znów mogę żyć i, być może, kiedyś znów będę szczęśliwy.

Tego dnia, około trzeciej po południu, ktoś zapukał do drzwi domu Thorpe'ów. Był to posłaniec z telegramem. Telegramem ode mnie. To on zakończył naszą poronioną korespondencję.

REG PEWNA INFORMACJA RACKNE UMIERA TO MAŁY CHŁOPIEC TAK TWIERDZI BELLIS MÓWI IMIĘ JIMMY FORNIT I FORNUS HENRY.

Na wypadek gdyby znów przyszło wam do głowy wspaniałe pytanie Howarda Bakera: "Co wiedział i skąd?" - wyjaśniani od razu, że wiedziałem, iż Jane wzięła sprzątaczkę, nie wiedziałem jednak - chyba że od Bellisa - że sprzątaczką ma synka z piekła rodem imieniem Jimmy. Myślę, że będziecie musieli uwierzyć mi na słowo, chociaż muszę powiedzieć, że ci szarlatani, którzy pracowali nade mną przez dwa i pół roku, nigdy mi jednak nie uwierzyli.

Kiedy przyszedł ten telegram, Jane robiła akurat sprawunki. Znalazła go dopiero po śmierci Rega, w tylnej kieszeni jego spodni. Na blankiecie zanotowano zarówno czas odbioru, jak i doręczenia, oraz notatkę: "doręczyć osobiście, nie przez telefon". Jane powiedziała mi, że chociaż ten telegram został nadany dzień wcześniej, przeszedł przez tyle rąk, że wyglądał jakby miał rok.

W pewien sposób to właśnie ten telegram był celnym strzałem, który trafił Rega wprost w mózg, choć strzelałem aż z Paterson w New Jersey, a w dodatku tak pijany, że nic nie pamiętam.

Przez dwa ostatnie tygodnie życia Reg postępował według schematu, który sam w sobie wydawał się całkiem normalny. Wstawał o szóstej, robił śniadanie dla siebie oraz żony i pisał przez jakąś godzinę. Około ósmej zamykał pracownię i brał psa na długi spacer. Na spacerze spotykał różnych ludzi, był dla nich miły, rozmawiał z każdym, kto miał ochotę porozmawiać z nim. Przed południem pił kawę, zawsze w tej samej kawiarni, a potem wracał do domu. Najczęściej przychodził już po dwunastej, czasami nawet bliżej pierwszej. Pewnie robił to, przynajmniej częściowo, po to, by uciec przed Gertrudą Rulin, tak przynajmniej twierdziła Jane. W każdym razie te spacery zaczęły się w parę dni po tym, gdy pierwszy raz pojawiła się u nich w domu. .

Jadł lekki lunch, kładł się na godzinę, a później przez dwie lub trzy godziny pracował dalej. Wieczorem często odwiedzał studentów, sam albo z Jane, czasami szli do kina, a czasami Reg siedział po prostu w dużym pokoju i czytał. Chodzili spać wcześniej, on najczęściej przed nią. Z tego, co mi pisała, wynikało, że w tych ostatnich dniach mało było seksu, a jeśli już próbowali, zwykle kończyło się niczym. "Ale seks nie jest dla kobiet taki ważny, jak przypuszcza większość ludzi - pisała mi. - Reg znów pracował na pełnych obrotach i to było dla niego najważniejsze. Powiedziałabym, że - biorąc pod uwagę okoliczności - te dwa tygodnie były od pięciu lat najszczęśliwszymi". Cholera, kiedy to czytałem, chciało mi się płakać.

Nie wiedziałem nic o Jimmym, ale Reg wiedział. Wiedział wszystko z wyjątkiem jednego, najważniejszego faktu - otóż Jimmy zaczął przychodzić do nich z matką. Musiał strasznie się zdenerwować, kiedy dostał mój telegram i zrozumiał, co się wokół niego dzieje. ONI, znów ONI, mimo wszystko ONI. I, najwyraźniej, nawet jego żona była jednym z nich. Przecież to ona zostawała w domu, kiedy przychodziła tam Gertruda z Jimmym i przecież ani słowem nie wspomniała o chłopcu. Co mi napisał wcześniej? "Czasami myślę też o mojej żonie?".

Kiedy tego dnia Jane wróciła do domu, znalazła kartkę na stole w kuchni. "Kochanie, poszedłem do księgarni, wrócę na kolację". Dla niej brzmiało to zupełnie niewinnie, nie wiedziała przecież nic o telegramie. Gdyby o nim wiedziała, pewnie strasznie by się przeraziła. Zrozumiałaby, że Reg myśli, iż ona gra w przeciwną drużynę.

Reg tymczasem w ogóle nie zbliżył się do księgarni. Poszedł za to do sklepu i kupił czterdziestkępiątkę oraz dwa tysiące sztuk amunicji. Kupiłby pewnie kałasznikowa, gdyby ktoś chciał mu coś takiego sprzedać. Bronił swojego fornita. Przed Gertrudą. Przed dzieckiem. Przed żoną. Przed NIMI.

Następny dzień zaczął się całkiem normalnie. Jane pamiętała, że zastanawiała się, czemu Reg w taki piękny dzień ubrał się w ciepły sweter, ale to wszystko. Sweter był oczywiście konieczny ze względu na broń. Reg poszedł na spacer z psem i rewolwerem zatknętym za pasek.

Wyjątkowo szybko dotarł do kawiarni, nie przystawał, z nikim nie rozmawiał. Poszedł z psem na parking z tyłu, przywiązał go tam i bocznymi uliczkami wrócił do domu.

Wiedział, co o tej porze robią jego sąsiedzi. Wiedział, że nie będzie ich w domu. Wiedział, gdzie chowają zapasowe klucze. Wszedł do nich i obserwował własny dom.

O ósmej czterdzieści zobaczył wchodzącą Gertrudę Rulin. Gertruda Rulin nie była sama.

Przyszedł z nią chłopiec.

Zachowanie Jimmy'ego w pierwszej klasie upewniło zarówno nauczycieli, jak i szkolnego psychologa o tym, że lepiej będzie dla wszystkich (może z wyjątkiem matki, która miała ochotę trochę odpocząć), jeśli chłopiec poczeka z nauką jeszcze rok. Jimmy wrócił więc do zerówki, a w pierwszej połowie roku miał tam chodzić po południu. Dwa punkty opieki nad dziećmi w sąsiedztwie nie miały wolnych miejsc, a Gertruda nie mogła chodzić do Thorpe'ów po południu, ponieważ codziennie od drugiej do czwartej sprzątała po przeciwnej stronie miasta.

Całą sprawę zakończyło ostatecznie to, że Jane zgodziła się, by Gertruda przyprowadzała ze sobą syna, dopóki jej sprawy jakoś się nie ułożą. Lub póki Reg nie odkryje, co się dzieje, a kiedyś musiał to odkryć.

Jane miała nawet nadzieję, że może jednak Reg się tym nie przejmie, w końcu ostatnio był bardzo miły i całkiem rozsądny. Z drugiej strony mógł protestować i wtedy trzeba byłoby wszystko układać inaczej. Gertruda odparła, że doskonale to rozumie. Jane tylko poprosiła ją, żeby, na miłość boską, chłopiec nie dotykał żadnej z rzeczy Rega. Gertruda zapewniła, że nawet się do nich nie zbliży, a drzwi do pracowni pana są i pozostaną zamknięte.

Thorpe musiał przekradać się przez dwa podwórka jak zwiadowca przez ziemię niczyją. Zobaczył, że Jane i Gertruda piorą w kuchni bieliznę pościelową. Chłopca z nimi nie było. Więc dalej przekradał się pod ścianami. Sypialnia - pusta. Jadalnia - pusta. Pracownia - tak, Reg, chory, tam właśnie spodziewał się znaleźć Jimmy'ego i tam go odnalazł. Twarz chłopca wręcz płonęła z ciekawości i Reg z pewnością uwierzył, iż trafił w końcu na zdeklarowanego agenta ICH. Chłopiec trzymał w ręku coś w rodzaju miotacza promieni śmierci. Celował nim w biurko, a z maszyny - i Reg to słyszał - krzyczał Rackne.

Pewnie myślicie sobie, że opisuję subiektywne uczucia człowieka, który już nie żyje, lub - żeby określić to bardziej bezceremonialnie - po prostu zmyślam. Nie. Jane i Gertruda słyszały z kuchni warkot plastikowego "kosmicznego miotacza", z którego Jim strzelał od czasu, gdy w ogóle zaczął przychodzić do tego domu. Jane żyła z dnia na dzień wyłącznie nadzieją, że baterie wreszcie się wyczerpią. Nikt nie mógł mieć najmniejszej nawet wątpliwości, skąd dochodził terkot. To musiała być pracownia Rega.

Ten mały był chyba rzeczywiście materiałem na niezłego rzezimieszka. W całym domu zabroniono mu wchodzenia do jednego, jedyne pokoju, więc musiał oczywiście tam wleźć, inaczej umarłby z ciekawości. Szybko odkrył, że Jane trzyma klucz do pracowni na półeczce nad kominkiem w pokoju gościnnym. Czy bywał tam przedtem? Myślę, że tak. Jane mówiła, że trzy lub cztery dni wcześniej dała chłopcu pomarańczę, a nazajutrz, podczas sprzątania, znalazła skórki pod kanapą w pracowni. Reg nie jadł pomarańczy. Twierdził, że jest na nie uczulony. Jane rzuciła powłoczkę, którą właśnie prała, z powrotem do zlewu i pobiegła do pracowni. Słyszała głośne "Pah! Pah! Pah!" miotacza i krzyk chłopca: "Mam cię! Nie uciekniesz! Widzę cię!". I twierdziła, że słyszała... słyszała... krzyk. Wysoki, jękliwy krzyk tak pełen bólu, że niemal nie do zniesienia.

"Kiedy to usłyszałam - powiedziała mi - wiedziałam już, że będę musiała odejść od Rega niezależnie od tego, co się stało, że opowieści starych bab są prawdziwe, że szaleństwem można się zarazić. Słyszałam Rackne - powiedziała - ten wstrętny chłopak mordował Rackne, mordował go plastikowym «kosmicznym miotaczem» za dwa dolary.

Drzwi do pracowni były otwarte, a klucz tkwił w zamku. Dopiero później zauważyłam krzesło przysunięte do kominka i ślady butów Jimmy'ego na siedzeniu. Jimmy stał przy stoliku pod maszyną - stary, biurowy model z zakładanym na wałek szklanym ochraniaczem. Przycisnęła lufę do szkła i strzelał: «Pah! Pah! Pah!» - błyskało czerwone światełko i nagle zrozumiałam wszystko, co Reg mówił mi o elektryczności, ta zabawka działała przecież na zwykłe baterie, a ja czułam fale bólu wypływające z niej i przepalające mi mózg.

«Widzę cię! - krzyczał Jimmy z pięknym, a zarazem obrzydliwym wyrazem błogości na twarzy. - Nie uciekniesz przed Kapitanem Future! Tyś już zdechł, ty, obcy!».

I ten krzyk... wrzask... jęk... coraz słabszy... cichszy...

«Jimmy, dość!» - krzyknęłam.

Aż podskoczył. Zaskoczyłam go. Spojrzał na mnie, przygryzł wysunięty z podniecenia język i znów przycisnęła lufę miotacza do szkła, znów zaczął strzelać "Pah! Pah! Pah!" i to straszne, fioletowe światło...

Gertruda biegła przez korytarz, wrzeszcząc, że ma natychmiast przestać, obiecywała mu lanie, jakiego nie dostał w życiu... i wtedy drzwi frontowe nagle się otworzyły i na progu stanął Reg. Krzyczał. Wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, że jest szalony. W ręku trzymał rewolwer. «Nie zastrzelisz go!» - pisnęła Gertruda i próbowała złapać Rega za rękę. Prawie nie zwrócił na nią uwagi, tylko uderzył ją kolbą i odepchnął.

Jimmy chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Po prostu dalej strzelał w maszynę. Widziałam fioletowe światło migające w jej ciemnym wnętrzu; wyglądało jak taki elektryczny

łuk, na który nie wolno patrzeć bez specjalnych okularów, bo można uszkodzić sobie źrenice i oślepnąć na całe życie.

Reg przepchnął się do pokoju odpychając mnie siłą i krzyząc: «RACKNE! RACKNE! ZABIJASZ RACKNE!».

A kiedy Reg biegł przez pokój, najwyraźniej mając zamiar zabić dziecko - mówiła mi Jane - miałam jeszcze czas, żeby się zastanowić, ile razy ten dzieciak wlaźł wcześniej do tego pokoju, ile razy mógł już strzelać do maszyny: «Pah! Pah! Pah!», kiedy ja z Gertrudą słałyśmy łóżka albo wieszaliśmy pranie za domem i nic nie słyszałyśmy... ani strzałów, ani krzyków tej... tego... tego fornita, który mieszkał w maszynie.

Jimmy nie przestał nawet wtedy, kiedy krzyżący coś Reg prawie sięgał go ręką, po prostu strzelał dalej, tak jakby wiedział, że ma ostatnią szansę, i do tej pory nie mogę przestać myśleć o tym, że być może Reg miał rację, być może ONI istnieją naprawdę, może po prostu unoszą się wokół nas, a od czasu do czasu nurkują w głąb czyjejś głowy jak skoczek robiący podwójne salto z wieży, zmuszają kogoś do zrobienia za nich brudnej roboty i uciekają, a ten ktoś otwiera szeroko oczy i mówi: «Co? Ja? Że co zrobiłem?».

Sekundę przedtem, nim Reg zdążył interweniować, wydobywający się z maszyny do pisania skrzek zmienił się krótki, straszliwy wrzask i zobaczyłam krew rozbryzgującą się na szklanej osłonie wałka, jakby coś w środku po prostu eksplodowało. Zupełnie jak, o czym mówi się często, żywe zwierzę zamknięte w kuchence mikrofalowej. Wiem, że brzmi to jak zwierzenia wariatki, ale widziałam krew; prysła na szkło i zaczęła po nim ściekać.

«Trafiłem - powiedział bardzo szczęśliwy Jimmy. - Dosta...».

Reg złapał go i przerzucił przez cały pokój. Plastikowy miotacz upadł na podłogę i przełamał się. Tak, oczywiście, był to tylko plastik i baterie.

Reg spojrział na maszynę i krzyknął. Nie był to krzyk bólu ani gniewu, choć brzmiał w nim gniew, nie - był to krzyk dojmującego żalu. Obrócił się tam, gdzie leżał chłopiec; Jimmy upadł na podłogę i kimkolwiek był przedtem, jeśli w ogóle był kimkolwiek innym niż dość przewrotnym i bardzo nieposłusznym chłopcem, to na podłodze leżał już tylko śmiertelnie przerażony sześciolatek. Reg podniósł rękę z rewolwerem i to już wszystko, co pamiętam".

Redaktor wypił resztkę coli i ostrożnie odstawił puszkę.

- Gertruda Rulin i Jimmy Rulin opowiedzieli resztę. Jane krzyknęła: "Reg! Nie!", a kiedy się obejrzał, skoczyła i złapała go za rękę.

Strzelił i zgruchotał jej łokieć, ale go nie puściła. Szarpali się i Gertruda zdążyła zawołać syna, który pozbierał się już z podłogi.

Reg odepchnął jednak żonę i strzelił jeszcze raz. Kula otarła się o jej skroń, parę milimetrów w prawo i byłoby po wszystkim. Nie ma co do tego wątpliwości i nie ma wątpliwości, że gdyby nie interwencja Jane Thorpe, Reg z pewnością zabiłby Jima, a najprawdopodobniej także jego matkę. W końcu i tak postrzelił chłopca, akurat zdążył, nim mały znikł za drzwiami w objęciach matki. Lecąca z góry na dół kula trafiła go w pośladek i wyszła przez udo, omijając kość. Utkwiła w łydce Gertrudy. Polało się sporo krwi, ale nikt nie został poważnie poszkodowany.

Gertruda zatrasnęła drzwi pracowni i uciekła na dwór, niosąc zanoszącego się płaczem, krzyżącego syna.

Albo Jane już była nieprzytomna, albo rozmyślnie wolała zapomnieć o tym, co nastąpiło później. Reg usiadł przy maszynie i przyłożył lufę do czoła. Pociągnął za spust. Kula nie przeleciała wokół czaszki, żeby utkwic w ścianie, i nie trafiła w mózg tak, by zrobić z niego żywą roślinę. Fantazja może być, że tak powiem, elastyczna, ten ostatni pocisk był jednak tak twardy, jak powinien. Na maszynę upadła głowa martwego pisarza.

Kiedy na miejscu pojawiła się policja, zobaczyła taką oto scenę:

Jane siedziała w kącie, półprzytomna.

Maszyna pokryta była krwią i najprawdopodobniej również pełna krwi - rany głowy nie należą do najczystszych.

Cała krew była grupy "O".

Grupy Rega.

Panie i panowie, to wszystko. Nie mam nic więcej do powiedzenia. - Głos redaktora zamarł w ochryplym szepcie.

Nie było zwykłych po przyjęciu rozmówek. Nie było trochę może niezręcznej, lecz zawsze błyskotliwej wymiany zdań, służącej zagadaniu popełnionej w czasie zabawy niedyskrecji lub co najmniej zamaskowaniu tego, że rozmowa zesłała na zbyt poważne tory. Lecz pisarz, odprowadzając redaktora do samochodu, nie mógł powstrzymać się od zadania mu ostatniego, najważniejszego pytania.

- Opowiadanie - powiedział. - Co się stało z opowiadaniem?

- Myślisz o...

- "Balladzie o celnym strzale". Tak. To przecież od niej się zaczęło. To ona przecież oddała ten celny strzał, jeśli nie w niego, to przynajmniej w ciebie. Co stało się z tym cholernym opowiadaniem, które było aż tak dobre?

Redaktor otworzył drzwi małej niebieskiej chevette. Na zderzaku błysnęła nalepka: "Przyjaciele nie pozwalają przyjaciołom prowadzić po pijaku".

- Nikt go nigdy nie opublikował. Jeśli Reg miał kopię, zniszczył ją pewnie zaraz po tym, gdy dowiedział się, że je opublikuję. Biorąc pod uwagę jego paranoiczne fantazje na ICH temat, wydaje się to całkiem prawdopodobne.

Ja miałem oryginał i trzy kserokopie. Wszystkie cztery egzemplarze wylądowały w Jackson River wraz z samochodem. Spakowane w kartonowe pudło. No, tak. Gdybym je włożył do bagażnika, pewnie by ocalały - tył samochodu w ogóle nie zanurzył się w wodzie, a nawet gdyby się zanurzył, kartki przecież można suszyć. Ale ja chciałem mieć "Balladę..." blisko siebie, więc jechała na siedzeniu. Kiedy wpadłem do rzeki, okna były otwarte. Przypuszczam, że po prostu popłynęła. Do morza. Wolę wierzyć, że było właśnie tak, że nie zgniła w leżącym na dnie wraku, że nie pożarły jej ryby, że nie zdarzyło się jej coś... nieestetycznego. Wierzyć, że popłynęła do morza, jest znacznie przyjemniej, choć to trochę mniej prawdopodobne, ale w kwestiach tego, w co chcę wierzyć, a w co nie - jestem jeszcze ciągle wystarczająco elastyczny. Że tak powiem.

Redaktor wsiadł do swojego małego samochodziku i odjechał. Pisarz stał i patrzył za nim, póki czerwone światelka nie mrugnęły, rozplywając się w mroku. Później odwrócił się i zobaczył żonę stojącą w ciemności na szczycie schodów, uśmiechającą się do niego trochę nieśmiało. Ręce mocno splatała na piersiach, choć noc była raczej ciepła.

- Zostaliśmy tylko my - powiedziała. - Chodź do domu.

- Oczywiście.

A kiedy wchodzili po schodach, zatrzymała się nagle i spytała:

- Paul, w twojej maszynie nie ma fornitów, prawda? Pisarz, który czasem... często... zastanawiał się nad tym, skąd właściwie biorą się słowa, odpowiedział bohatercko: "Nie".

Weszli do domu, trzymając się za ręce, i zamknęli drzwi przed otaczającą ich nocą.

Przełożył

Krzysztof Sokołowski

CIEŚNINA

- W tamtych czasach Cieśnina była szersza - powiedziała Stella Flanders do swoich prawnuków ostatniego lata swego życia, tego lata, gdy zaczęła widywać duchy. Dzieci spojrzały na nią szeroko rozwartymi, zdumionymi oczami i nawet jej syn Alden wrócił z ganku, gdzie strugał kawałki drewna. Była niedziela, a w niedzielę Alden nie wyruszał na połów, bez względu na cenę homarów.

- Jak to, babciu? - spytał Tommy, ale stara kobieta nie odpowiedziała. Siedziała w milczeniu na bujanym fotelu przy wygasłej kuchni, a jej kapcie stukały miarowo o podłogę.

Tommy zwrócił się do matki:

- O co babci chodzi?

Lois tylko pokręciła głową, uśmiechnęła się i wysłała dzieci do lasu, żeby nazbierały jagód.

Stella pomyślała: Ona zapomniała. A może nigdy nie wiedziała?

W tamtych czasach Cieśnina była szersza. I nikt nie wiedział o tym lepiej od Stelli Flanders. Urodziła się w 1884 roku, była najstarszą mieszkanką Wyspy Koziej i nigdy w życiu jej nie opuściła.

Czy kochasz? To pytanie ostatnio zaczęło ją nawiedzać, a nawet nie rozumiała, co ono znaczy.

Nadeszła jesień, zimna jesień z nieuniknionymi deszczami, które pomalowały drzewa na piękne kolory, na Wyspie Koziej i Głowie Szopa po drugiej stronie Cieśniny. W tym roku wiatr wyśpiewywał długie, zimne nuty, a każda z nich odzywała się echem w sercu Stelli.

Dziewiętnastego listopada, kiedy pierwszy śnieg zaczął prószyć z nieba barwy białego chromu, Stella obchodziła urodziny. Odwiedzili ją niemal wszyscy mieszkańcy wioski. Przyszła Hattie Stoddard, której matka umarła na zapalenie opłucnej w 1954 roku, a ojciec zatonął na "Tancerce" w 1941. Przybyli Richard i Mary Dodge - Richard włókł się o lasce, niosąc w sobie reumatyzm, który toczył go jak niewidzialny pasożyt. Oczywiście zjawiała się też Sarah Havelock - jej matka Annabelle była najlepszą przyjaciółką Stelli. Razem chodziły do szkoły na wyspie, od pierwszej do ósmej klasy; Annabelle poślubiła Tommy'ego Frane'a (który w piątej klasie ciągnął ją za włosy i doprowadzał do łez) w tym samym czasie, gdy Stella wyszła za Billa Flandersa, który raz wytrącił jej podręczniki i rzucił je w błoto (ale ona zdołała się nie rozplakać). Annabelle i Tommy już odeszli, a Sarah jako jedyna spośród siedmiorga ich dzieci pozostała na wyspie. Jej mąż, George Havelock, znany powszechnie jako Duży George, zginął straszną śmiercią na ładzie w głębi kraju w 1967 roku - był to rok, gdy nikt nie łowił ryb. Siekiera wymknęła mu się z ręki, było dużo krwi - okropnie dużo - i po trzech dniach pogrzeb na wyspie. Kiedy Sarah przyszła na przyjęcie i zawołała "Wszystkiego najlepszego, babciu!", Stella przytuliła ją mocno i zamknęła oczy

(czy, czy, czy kochasz?)

ale nie zapłakała.

Tort był wspaniały. Upiekła go Hattie ze swoją najlepszą przyjaciółką, Verą Spruce. Całe towarzystwo gromko odśpiewało "Sto lat", aż zagłuszało wycie wiatru... przynajmniej chwilami. Nawet Alden się dołączył, choć zwykle śpiewał tylko hymny w kościele. Opuścił głowę, a uszy mu poczerwieniały jak pomidory. Na torcie płonęło dziewięćdziesiąt pięć świeczek, a przez głosy śpiewających Stella słyszała zawrodożenie wicheru, choć słuch nie dopisywał jej już tak, jak niegdyś. I mogłaby przysiąc, że wiatr powtarza jej imię.

- Nie jestem jedyna - powiedziałyby dzieciom Lois, gdyby tylko mogła. - Za moich czasów wiele osób żyło i umierało na wyspie. Nie było wtedy statków pocztowych; Bull Symes przynosił nam korespondencję, jeśli nadchodziła. I nie było też promu. Jeśli miałaś interesy na Głowie Szopa,

twój stary brał cię na pokład łodzi. O ile wiem, na wyspie aż do 1946 roku nie mieliśmy kanalizacji. Pierwszą toaletę sprawił sobie syn Bulla, Harold, na drugi rok po tym, jak Bull umarł na atak serca podczas połowu. Pamiętam, jak go przynieśli do domu. Pamiętam, że był okryty brezentem, spod którego wystawał jeden z tych jego zielonych butów. Pamiętam...

A oni by spytali: "Co, babciu? Co pamiętasz?".

Jakże mogłaby im odpowiedzieć? Czy było coś więcej?

Pierwszego dnia zimy, jakiś miesiąc po przyjęciu urodzinowym, Stella otworzyła tylne drzwi, żeby przynieść drewna na opał i znalazła na ganku martwego wróbla. Pochyliła się, ostrożnie wzięła go za nóżkę i przyjrzała mu się z bliska.

- Zamarzł - obwieściła, ale coś w niej wypowiedziało inne słowo. Minęło już czterdzieści lat, odkąd znalazła takiego zamarniętego ptaka - w 1938 roku, wtedy gdy lód skuł Cieśninę.

Drgnęła, szczerzej otuliła się płaszczem i wrzuciła wróbla do starego zardzewiałego paleniska. Dzień był zimny. Niebo miało czysty, głęboki odcień szafiru. W nocy po jej urodzinach spadło osiem centymetrów śniegu, który stopniał i od tego czasu ziemia była naga.

- Niebawem nadejdą śniegi - oznajmił zdecydowanie Larry McKeen ze sklepu, jakby wyzywał zimę, by odważyła się pojawić.

Stella poszła do drewnutni, nabrała naręcz drewna i zaniósła je do domu. Jej cień, ostry i wyraźny, podążał za nią.

Kiedy znalazła się w miejscu, gdzie upadł zamarnięty wróbel, Bill do niej przemówił - choć przed dwunastu laty zabrał go rak.

- Stello - powiedział i zobaczyła jego cień tuż koło swego, dłuższy, lecz równie wyraźny, cień jego kaszkietu, dziarsko przekrzywionego na bakier, tak jak go zwykł nosić. Krzyk ugrzązł jej w gardle. Był zbyt wielki, by dosięgnąć ust.

- Stello - powtórzył Bill - kiedy przyjdiesz na ląd? Weźmiemy starego forda Norma Jolleya i pojedziemy do Freeport, tak dla zabawy. Co ty na to?

Odwróciła się gwałtownie, prawie gubiąc drwa, ale nikogo przy niej nie było. Zobaczyła tylko puste podwórze na pochyłym stoku, potem dziką oszronioną turzycę, a dalej, na krańcu wszystkiego, wyraźną, jakby powiększoną Cieśninę... i leżący za nią ląd.

- Babciu, co to jest Cieśnina? - mogłaby spytać Lona... choć nigdy nie spytała. A ona odpowiedziałaby definicją, którą każdy rybak zna jak pacierz: cieśnina to zbiornik wodny pomiędzy dwoma lądami, zbiornik, który jest otwarty po obu stronach. Łowcy homarów opowiadają sobie taki stary dowcip: jak posługiwać się kompasem, gdy opadnie mgła? Pomiędzy Jonesport i Londynem jest diabelnie wielka cieśnina.

- Cieśnina to woda pomiędzy wyspą i lądem - mogłaby dodać, dając dzieciom ciastka z melasą i gorącą herbatę z cukrem. - Tyle wiem na pewno. Jestem tego pewna, jak imienia mego męża... i sposobu, w jaki nosił kaszkiet.

- Babciu - powiedziała Lona. - Dlaczego nigdy nie przyplłynęłaś na ląd?

A ona by odrzekła:

- Kochanie, nigdy nie miałam powodu, żeby się tam wybrać.

W styczniu, dwa miesiące po przyjęciu urodzinowym, Cieśnina zamarzła po raz pierwszy od 1938 roku. W radiu nadawali ostrzeżenia dla wyspiarzy i tych z lądu, żeby nie ufali lodowi, lecz Stevie McClelland i Russel Bowie wyszli z sankami po długiej popijawie i oczywiście lód się pod nimi załamał. Stevie zdołał się wydostać na powierzchnię (choć w wyniku odmrożeń stracił stopę), ale Cieśnina zabrała Russela Bowiego i nigdy go nie oddała.

Dwudziestego piątego stycznia odbyło się nabożeństwo za duszę Russella. Stella poszła na nie, wsparta na ramieniu swego syna Aldena, a on śpiewał wszystkie hymny głośno i fałszywie. Potem Stella, Sarah Havelock, Hattie Stoddard i Vera Spruce usiadły w blasku ognia w piwnicy ratusza. Na stole podano poncz i smakowite kanapki z topionym serem, przycięte w zgrabne trójkąci. Naturalnie mężczyźni wymknęli się na łyk czegoś mocniejszego. Wdowa po Russellu Bowiem siedziała z czerwonymi oczami u boku pastora Ewella McCrackena. Była w siódmym miesiącu ciąży - to miało być jej piąte dziecko - a Stella, na wpół uśpiona w ciepłe bijącym od kuchni, pomyślała: Zdaje się, że wkrótce przepłynie przez Cieśninę. Przeniesie się do Freeport lub Lewiston i zostanie kelnerką, tak mi się zdaje.

Spojrzała na Verę i Hattie, by zorientować się, o czym mowa.

- Nie, nie słyszałam - mówiła Hattie. - Co powiedział Freddy?

Rozmawiano o Freddy'ym Dinsmore, najstarszym mężczyźnie na wyspie (o dwa lata młodszy ode mnie, pomyślała Stella z pewną satysfakcją), który w 1960 roku sprzedał sklep Larry'emu McKeenowi i teraz żył z emerytury.

- Powiedział, że nigdy nie przeżył takiej zimy - oznajmiła Vera, wyjmując robótkę. - I powiedział jeszcze, że ludzie będą chorować.

Sarah Havelock spojrzała na Stellę i spytała ją, czy za jej czasów bywały takie zimy. Od czasu tamtych skąpych opadów nie spadł ani jeden płatek śniegu; ziemia była zlodowaciała, naga i brunatna. Poprzedniego dnia Stella zapuściła się trzydzieści kroków w głąb pola, wyciągając prawą rękę do wysokości uda, a trawa kładła się przed nią w równym rzędzie, chrupiąc jak tłuczone szkło.

- Nie - powiedziała. - Cieśnina zamarzła w trzydziestym ósmym, ale wtedy był śnieg. Hattie, pamiętasz Bulla Symesa?

Hattie parsknęła śmiechem.

- Chyba ciągle mam siniaka po tym, jak mnie uszczypnął w siedzenie na sylwestrze w pięćdziesiątym trzecim! A co?

- Bull i mój stary poszli wtedy piechotą na ląd, w lutym trzydziestego ósmego. Przypięli raki do butów, odwiedzili Tawernę Dorrit, wypili po szklaneczce whisky i wrócili. Prosilili, żebym poszła z nimi. Wyglądali jak dwa brzdące, które idą na sanki.

Wszyscy spojrzeli na Stellę, jak zaczarowani tym obrazem. Nawet Vera patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, a przecież na pewno słyszała już tę opowieść. Jeśli wierzyć plotkom, ona i Bull mieli niegdyś coś wspólnego ze sobą, choć patrząc na nią, trudno było uwierzyć, że mogła być kiedyś tak młoda.

- A ty nie poszłaś? - spytała Sarah, być może widząc oczami duszy połączenie Cieśniny, tak białe, że prawie błękitne w zimowym zimnym słońcu, migoczące śnieżne kryształki, zbliżający się ląd i spacer, tak! Spacer po powierzchni oceanu, tak jak Jezus, który stapał po falach, po raz pierwszy i jedyne w życiu opuszczenie wyspy pieszo...

- Nie - powiedziała Stella. Nagle pożałowała, że sama nie przyniosła robótki. - Nie poszłam.

- Dlaczego? - rzuciła Hattie, niemal z urazą.

- Robiłam pranie - prawie warknęła Stella. Missy Bowie, wdowa po Russelu, nagle zaczęła głośno zawodzić. Stella odwróciła wzrok i oto ujrzała Billa Flandersa w marynarce w czerwono-czarną kratę, z kaszkietem na bakier i papierosem w ustach, a drugim za uchem, na później. Poczowała gwałtowne bicie serca, zabrakło jej tchu.

Jęknęła, lecz równocześnie sęk w palenisku pękł z głośnym trzaskiem i żadna z pań nie usłyszała Stelli.

- Moje biedactwo! - prawie zakwiliła Sarah.

- Dobrze, że się pozbyła tego ladaco - sapnęła Hattie. Zastanowiła się, szukając gorzkich prawd o Russelu Bowiem, i znalazła je. - Co to był za człowiek, po prostu ciemny typ. Lepiej jej będzie bez tego babiarza.

Stella nie słyszała. Tam siedział Bill, tak blisko wielebnego McCrackena, że mógłby go połaskotać w nos, gdyby zechciał. Wyglądał ledwie na czterdziestkę; kurze łapki, które później głęboko odcisnęły się mu w kącikach oczu, teraz były ledwie widoczne. I miał flanelowe spodnie i te swoje podbite gumą buciorzy ze skarpetkami z szarej wełny, elegancko wywiniętymi na cholewy.

- Czekamy na ciebie, Stel - powiedział. - Chodź do nas, zobacz ład. W tym roku nie będziesz musiała przypinać raków.

I siedział sobie w piwnicy ratusza jakby nigdy nic, a potem strzelił drugi sęk i Bill zniknął.

Wielebny McCracken zaczął pocieszać Missy Bowie. Chyba nic nie zauważył.

Tego wieczora Vera zadzwoniła do Annie Philips i w trakcie rozmowy wspomniała, że Stella Flanders wyglądała coś nietęgo.

- Alden diabelnie się namęczy, żeby ją wywieźć z wyspy, gdyby zachorowała - zauważyła Annie. Lubiała Aldena, ponieważ jej syn Toby powiedział, że Alden nie pije nic mocniejszego od piwa. Annie była chodzącą wstrzemięźliwością.

- Nie ruszyły jej z miejsca, chyba żeby zapadła w śpiączkę - odrzekła Vera. - Alden skacze, jak mu Stella zagra. To ona nim rządzi.

- Ach, tak?

Właśnie wtedy w słuchawce rozległ się metaliczny trzask. Vera słyszała Annie Philips jeszcze przez chwilę - nie słowa, lecz sam dźwięk głosu, przebijający się przez chroboty - a potem zapadła cisza. Wiatr zadał mocno i kable telefoniczne spadły, być może do Jeziora Godlina lub Zatoki Borrowa, skąd popłynęły do cieśniny. A może trafiły na drugą stronę, na Głowę... Niektórzy mogliby nawet powiedzieć (nie całkiem żartem), że to Russel Bowie wyciągnął zimną rękę i zerwał kable, ot tak, dla piekielnej rozrywki.

Niespełna dwadzieścia metrów dalej Stella Flanders leżała pod kołdrą z kawałków materiału i słuchała dochodzącego z pokoju obok hałaśliwego chrapania Aldena. Słuchała go, żeby nie słyszeć wiatru... ale i tak to nic nie pomagało, o tak, wicher znad mroźnych przestrzeni cieśniny, prawie kilometrowego pasa wody, teraz skutego lodem kryjącym homary, okonie i pewnie także skręcone, tańczące ciało Russella Bowiego, który co rok w kwietniu przychodził ze starą motyką i przekopywał jej ogród.

Kto teraz przekopie mi ziemię w kwietniu, pomyślała, zziębnięta i skulona pod kołdrą. A wtedy, niczym we śnie, na jej pytanie ktoś odpowiedział pytaniem: "Czy kochasz?". Wiatr zawył, szarpnął okiennicą. Wydawało się jej, że to okiennica do niej przemówiła, więc odwróciła głowę, by nie słyszeć. I nie zapłakała.

- Ale babciu! - uparłaby się Lona (ona nigdy się nie poddawała, o nie, zupełnie jak jej matka i babka). - Powiedz wreszcie, dlaczego nie chciałaś wyjechać.

- Bo tutaj miałam wszystko, czego chciałam, dziecko.

- Ale ta wyspa jest taka mała. My mieszkamy w Portland. Tam są autobusy!

- Widziałam w telewizji, co się wyrabia w miastach. Wolę zostać tu, gdzie jestem.

Hal był młodszy, ale miał większą intuicję. On nie nalegałby tak, jak jego siostra, lecz zadałby pytanie, dotyczące samego sedna rzeczy:

- Nigdy nie chciałaś opuścić wyspy, babciu? Nigdy?

A ona pochyliłaby się ku niemu, ujęła jego drobne rączki i opowiedziała, jak jej rodzice przybyli na wyspę tuż po ślubie i dziadek Bulla Symesa wziął ojca Stelli na swoją łódź jako ucznia. Opowiedziałaby, jak jej matka cztery razy zachodziła w ciążę, ale raz poroniła, a drugie dziecko zmarło w tydzień po urodzeniu. Pewnie wtedy opuściłaby wyspę, gdyby na lądzie lekarze mogli uratować jej dzieci, lecz oczywiście wszystko działo się zbyt szybko, żeby można było coś poradzić.

Powiedziałyby im, że Bill sam odebrał rodzącą się Jane, ich babkę, choć nie wspomniałaby, że potem pobiegł do łazienki, zwymiotował i płakał jak rozhisteryzowana kobieta, która przechodzi szczególnie dokuczliwą miesiączkę. Oczywiście Jane opuściła wyspę i poszła do liceum na lądzie; dziewczynki nie wychodziły już za mąż w wieku czternastu lat, a kiedy Stella zobaczyła ją, jak się oddala w łodzi z Bradleyem Maxwellem, który zwykle przewoził dzieci na ląd i z powrotem, w głębi serca zrozumiała, że jej córka odeszła na dobre, choć przez jakiś czas jeszcze wracała. Mogłaby im powiedzieć, że Alden pojawił się dziesięć lat później, kiedy już porzucili nadzieję, i jakby w zamian za to długie oczekiwanie ciągle z nią był, wieczny kawaler; w pewnym sensie cieszyło ją to, ponieważ jej syn nie był zbyt mądry, a wiele kobiet chciałoby wziąć pod pantofel takiego trochę gapowatego mężczyznę o dobrym sercu (choć tego ostatniego oczywiście także by nie powiedziała dzieciom).

Mogłaby rzec tak:

- Louis i Margaret Godlin poczęli Stellę Godlin, która została Stella Flanders; Bill i Stella Flanders poczęli Jane i Aldena Flanders, a Jane Flanders została Jane Wakefield; Richard i Jane Wakefield poczęli Lois Wakefield, która została Lois Perrault; David i Lois Perrault poczęli Lone i Hala. To wasze nazwiska, dzieci: nazywacie się Godlin - Flanders - Wakefield

- Perrault. Wasza krew spoczywa w kamieniu tej wyspy i pozostanie tutaj, ponieważ ląd jest za daleko. Tak, kocham, a przynajmniej kochałam, a właściwie starałam się kochać, lecz pamięć jest za szeroka i głęboka, nie mogę jej przebyć... Godlin

- Flanders - Wakefield - Perrault...

Był to najmroźniejszy luty od czasów, kiedy państwowy instytut meteorologii zaczął prowadzić rejestry; już w połowie miesiąca lód pokrywający Cieśninę stał się dostatecznie gruby i twardy. Pojazdy śnieżne śmigały po nim, a czasami się przewracały, gdy najechały na lodowy grzebień. Dzieci usiłowały ślizgać się na łyżwach, lecz lód był zbyt wyboisty, żeby zabawa sprawiała przyjemność, więc wszystkie wróciły na Staw Godlina po drugiej stronie wzgórza - choć dopiero wtedy, gdy mały Justin McCracken, syn pastora, potknął się w rozpadlinie i złamał kostkę. Zabrali go do szpitala na lądzie, gdzie ten doktor, który miał corvette, powiedział mu: "Synu, naprawimy ci nogę i będzie jak nowa".

Freddy Dinsmore umarł niespodziewanie trzy dni po tym, jak Justin McCracken złamał kostkę. Złapał grypę pod koniec stycznia, nie poszedł do doktora, powiedział wszystkim: "Zaziębilem się, bo wyszedłem po listy bez szalika", położył się do łóżka i umarł, zanim ktoś zdołał go zabrać na ląd i podłączyć do tych maszyn, co to czekają na takich jak on. Jego syn George, pijaczyna pierwszej wody nawet w zaawansowanym (przynajmniej dla pijaków) wieku sześćdziesięciu ośmiu lat, znalazł Freddy'ego z gazetą "Bangor Daily News" w jednej dłoni i nienaładowanym remingtonem w drugiej. Najwyraźniej na chwilę przed śmiercią postanowił go wyczyścić. Po tym fackie George Dinsmore poszedł w tango i przez trzy tygodnie nie trzeźwiał, co podobno sfinansował ktoś, kto wiedział, że George dostanie pieniądze z ubezpieczenia ojca. Hattie Stoddard zaczęła mówić wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, że stary George Dinsmore jest grzesznikiem i łotrem, po prostu ciemnym typem.

Grypa szalała. Ferie trwały dwa tygodnie zamiast jednego, tak wielu uczniów było chorych.

- Jak jest śnieg, to nie ma zarazków - powiedziała Sarah Havelock.

Pod koniec miesiąca, gdy ludzie zaczęli czekać na zwodniczą ulgę marca, także Alden Flanders złapał grypę. Chodził z nią prawie przez tydzień, a potem położył się z trzydziestoma ośmioma stopniami. Tak jak Freddy nie chciał iść do lekarza. Stella umierała z niepokoju. Alden nie był tak stary, jak Freddy, ale w maju miał skończyć sześćdziesiątkę.

Wreszcie spadł śnieg. Dziesięć centymetrów w walentynki, kolejne dziesięć na dwudziestego i wreszcie trzydzieści dodatkowego dnia lutego, dwudziestego dziewiątego. Śnieg, biały i dziwny, leżał pomiędzy zatoczką a łądem, jakby tam gdzie powinna być szara, burzliwa woda, nagle powstały pastwiska. Parę osób poszło piechotą na łąd i z powrotem. W tym roku nie musieli przypinać raków, gdyż śnieg zamarzył na twardą, migotliwą skorupę. Mogliby nawet wypić szklaneczkę whisky, pomyślała Stella, lecz nie u Dorrit. Tawerna spaliła się do cna w roku 1958. A Bill pokazał się jej cztery razy.

- Powinnaś już do nas przyjść, Stello. Pójdziemy razem, co ty na to? - zagadnął pewnego razu. Nie mogła odpowiedzieć. Wcisnęła pięść do ust.

- Tutaj miałam wszystko, czego mi było trzeba - wyjaśniłaby im. - Kiedyś radio, a teraz także telewizję; tylko tego chcę od świata zza Cieśniny. Mam ogród. A homary? Na naszej kuchni zawsze stał garnek potrawy z homara. Chowaliśmy go do spizarki, kiedy odwiedzał nas pastor, żeby nie wiedział, że jemy "zupę biedaków".

Widziałam już dobrą i złą pogodę, a jeśli czasem się zastanawiałam, jak by to było, gdybym weszła do sklepu Searsa, zamiast zamawiać wszystko z katalogu, albo gdybym kupowała w tych sklepach, które widziałam w telewizji, zamiast chodzić do tutejszego sklepiku lub wysyłać Aldena po specjalne sprawunki, jak na przykład kapłon na Boże Narodzenie czy szynka na Wielkanoc... i nawet jeśli zapragnęłam, choćby raz, stanąć na Congress Street w Portland i przyglądać się ludziom w samochodach i na chodnikach, których już w pierwszej chwili zobaczyłabym więcej niż na całej wyspie... jeśli kiedykolwiek tego pragnęłam, to bardziej pragnęłam żyć tutaj. Nie jestem szalona. Nawet nie zdziwaczałam, przynajmniej jak na kobietę w moim wieku. Matka mówiła czasami: "Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu" i wierzę w to z całej siły. Wierzę, że lepiej zaorać spłachetek ziemi głęboko niż całe pole płytko.

To mój dom. Kocham go.

Pewnego dnia w połowie marca, gdy niebo było bezbarwne i nieokreślone jak niepamięć, Stella Flander po raz ostatni usiadła w kuchni, po raz ostatni zasznurowała cholewki bucików na chudych łydkach i po raz ostatni okręciła szyję szalikiem z jaskrawoczerwonej wełny (prezent od Hattie na gwiazdkę trzy lata temu). Włożyła pod sukienkę długie kalessony i podkoszulek Aldena; gumka podeszła jej aż pod zwiędłe piersi, podkoszulek sięgał prawie do kolan.

Na zewnątrz wiatr znowu zaczął zawodzić, a w radiu powiedzieli, że po południu spadnie śnieg. Stella włożyła płaszcz i rękawiczki. Po chwili zastanowienia naciągnęła na nie jeszcze wielkie rękawice Aldena; jej syn już wyzdrowiał i rano razem z Harleym Bloodem poszedł naprawić okiennicę Missy Bowie, która urodziła dziewczynkę. Stella ją widziała - nieszczęsna kruszyna wyglądała jak skóra zdjęta z ojca.

Stella przystanąła na chwilę przy oknie, spoglądając na cieśninę i Bill oczywiście tam był, tak jak się spodziewała. Stał w połowie drogi pomiędzy wyspą i Głową - na powierzchni Cieśniny jak Jezus chodzący po falach - machał rękami i dawał jej znaki, że jeśli w ogóle zamierza kiedykolwiek postawić stopę na lądzie, to powinna się zbierać.

- Skoro tego chcesz - szepnęła z trwogą. - Bóg widzi, że nie moja to wola.

Ale wiatr przemówił innymi słowami. Chciała to zrobić. Chciała przeżyć tę przygodę. Ta zima była dla niej bolesna - reumatyzm, który ją czasem nawiedzał, zaatakował z całą zaciekłością, rozgorzał w stawach jej palców i kolan czerwonym ogniem i błękitnym lodem. Zaczęła gorzej widzieć na jedno oko (i zaledwie parę dni temu Sarah wspomniała - z pewnym skrepowaniem - że czerwona plamka na twarzy, która pojawiła się, gdy Stella skończyła sześćdziesiątkę, zaczęła się gwałtownie powiększać). A co najgorsze, znowu pojawił się ten rozdzierający ból żołądka; dwa dni temu obudziła się o piątej rano, przekuśtykała po lodowatej podłodze do łazienki i bluznęła do miski klozetowej wielkim strumieniem jaskrawoczerwonej krwi. Dziś rano znowu czuła ten smak, żelazisty i dziwnie przerażający.

Przez ostatnie pięć lat ból pojawiał się i znikał, czasami lżejszy, czasami gorszy, a ona niemal od początku wiedziała, że to musi być rak. To on zabrał jej matkę, ojca i ojca matki. Żadne z nich nie dożyło siedemdziesiątki, więc Stella uważała, że i tak oszukała tych grabarzy z ubezpieczeń, co tylko wypatrują ludzkiej śmierci.

- Mamo, jesz jak drwal - powiedział Alden z uśmiechem wkrótce po tym, jak bóle się zaczęły, a ona po raz pierwszy zauważyła krew w porannym stolcu. - Nie wiesz, że takie starowiny powinny ledwie co dziubać?

- Uważaj, bo cię trzepnę - zagroziła, podnosząc rękę na swego siwowłosego syna, który odchylił się z udawanym przestachem i krzyknął: - Nie, cofam wszystko!

Tak, jadła dużo, nie dlatego że miała ochotę, lecz ponieważ wierzyła (jak wiele osób z jej pokolenia), że dobrze nakarmiony rak odchodzi. I może była to skuteczna metoda, przynajmniej przez jakiś czas, bo krew w stolcu pojawiała się i znikwała, a zdarzały się też długie okresy, kiedy wcale jej nie było. Alden przyzwyczał się, że matka zawsze brała dokładkę (lub dwie, gdy ból stawał się szczególnie dotkliwy), lecz nigdy nie przytyła ani o pół kilo.

Teraz wydawało się, że rak wreszcie pokonał to, co żabojady nazwałyby *piece de resistance*. Ruszyła do drzwi; jej spojrzenie padło na czapkę Aldena, tę z futrzanymi nausznikami, wiszącą na kołku przy drzwiach. Włożyła ją - nasunęła się jej aż na siwe brwi - i obejrzała się po raz ostatni, by sprawdzić, czy niczego nie zapomniała. Ogień pod kuchnią ledwie się tlił. Alden znowu za bardzo otworzył szyber - ciągle go napominała, ale to było coś, czego jej syn miał się już nigdy nie nauczyć.

- Kiedy odejdziesz, co zimę będziesz marnować ćwierć sągu - mruknęła, otwierając drzwiczki paleniska. Spojrzała i wydała cichy, przerażony jęk. Zatrzasnęła drzwiczki, drżącymi palcami poprawiła szyber. Przez chwilę... przez jedną chwilę wydawało się jej, że widzi wśród węgla swoją starą przyjaciółkę Annabelle Frane. Tak, to była jej twarz, jak żywa, nie zabrakło nawet myszki na policzku.

I czyżby Annabelle do niej mrugnęła?

Przyszło jej do głowy, że powinna zostawić Aldenowi wiadomość z wyjaśnieniem, dokąd poszła, ale potem pomyślała, że może sam to zrozumie, na swój powolny sposób.

Z listem układającym się w jej głowie - od pierwszego dnia zimy widywała swojego ojca i mówił, że umieranie nie jest takie straszne, przynajmniej tak mi się wydaje - wkroczyła w ten bezbarwny dzień.

Wiatr szarpnął nią mocno; musiała mocniej nasadzić czapkę na głowę, zanim jakiś podmuch zdołałby ją porwać i potoczyć, jakby dla zabawy. Zimno odnajdywało każdą malutką szparkę w odzieniu i wkręcało się w nią, wilgotne marcowe zimno z odrobiną mokrego śniegu. Stella zaczęła schodzić po zboczku ku zatoczce, ostrożnie stąpając po betonowych płytach, które rozłożył tu George Dinsmore. Niegdyś George pracował jako kierowca pługu śnieżnego w mieście na Głowie Szopa, ale w siedemdziesiątym siódmym upił się żytniówką i przejechał pługiem nie po jednym, nie po dwóch, lecz po trzech słupach wysokiego napięcia. Przez pięć dni na Głowie

panowały ciemności. Stella pamiętała, jak dziwnie było spojrzeć przez Cieśninę i zobaczyć jedynie czerń. Wzrok przyzwyczaił się do widoku tego dziarskiego gniazdko światełek. Teraz George pracował na wyspie, a ponieważ nie było tu żadnego pług, nie zdołał narobić zbyt wiele szkód.

Mijając dom Russela Bowie, ujrzała wyglądającą z okna Missy, bieluteńką jak mleko. Stella pomachała do niej. Missy odpowiedziała tym samym.

Mogłaby im powiedzieć tak:

- Na naszej wyspie zawsze trzymaliśmy z sobą. Kiedy Gerdowi Henreidowi pękło naczynie krwionośne w piersi, przez całe lato urządzaliśmy zbiórki pieniędzy, żeby miał czym zapłacić za operację w Bostonie... i Gerd wydobrzył, chwala Bogu. Kiedy George Dinsmore przewrócił te trzy słupy i Hydro zajęła mu dom, dopilnowaliśmy, żeby dostała swoje pieniądze, a George taką pracę, żeby starczyło mu na papierosy i wódkę... bo niby czemu nie? Po skończeniu pracy nie nadawał się do niczego innego, choć w dzień potrafił harować jak wół. Wtedy narobił sobie kłopotów, ponieważ to była noc, a w nocy zawsze pił. Ojciec dawał mu jedzenie. A teraz Missy Bowie została sama z niemowlęciem. Może tu zostanie i będzie żyć z zasiłku. I choć tego pewnie byłoby za mało, na pewno otrzymałaby pomoc, której potrzebuje. Chyba w końcu wyjedzie, ale jeśli zostanie, nie umrze z głodu... i słuchajcie, jeśli zostanie, być może uda się jej zatrzymać coś z tego małego świata z małą cieśniną po jednej i wielką cieśniną po drugiej stronie, coś, co mogłaby łatwo zgubić, pracując w kuchni w Lewiston, sprzedając pączki w Portland czy napoje w Sashville North w Bangor. A jestem na tyle stara, żeby wam powiedzieć prosto z mostu, czym mogłoby być to coś: sposobem bycia i życia - prawdziwym uczuciem.

Potrafili trzymać ze sobą także w inny sposób, ale tego by im nie powiedziała. Dzieci by tego nie zrozumiały, tak jak Lois i David, choć Jane знаła prawdę. Dziecko Normana i Ettie Wilson urodziło się z chorobą zwaną mongolizmem; jego małe śliczne stopki były wykrzywione do wewnątrz, łysa czaszka obrzmiała i nierówna, paluszki złączone błoną, jakby zbyt długo pływało w swej wewnętrznej cieśninie. Wielebny McCracken ochrzcił je, następnego dnia przybyła Mary Dodge, która już wtedy przyjęła ponad sto porodów, a Norman zabrał żonę na brzeg, żeby zobaczyła nową łódź Franka Childa. I choć Ettie prawie nie mogła chodzić, poszła bez słowa skargi. W drzwiach jeszcze się odwróciła, by spojrzeć na Mary Dodge, siedzącą spokojnie z robótką nad kołyską niedorozwiniętego dziecka. Mary podniosła głowę, a gdy ich spojrzenia się spotkały, Ettie wybuchnęła płaczem.

- Dajże spokój - powiedział Norman z rozdrażnieniem. - No, Ettie, dajże już spokój.

A kiedy wrócili po godzinie, dziecko nie żyło. To się zdarza, śmierć w kołysce - prawdziwa łaska, że nie cierpiało. Wiele lat wcześniej, przed wojną i podczas Wielkiego Kryzysu, trzy dziewczynki zostały napadnięte, gdy wracały ze szkoły... nie stało się im nic wielkiego, przynajmniej nie tam, gdzie można było zobaczyć ranę lub siniak, a wszystkie mówiły o pewnym mężczyźnie. Chciał im pokazać cudowną talię, w której na każdej karcie widniał pies innej rasy. Miał to zrobić pod warunkiem, że dziewczynki pójdą z nim w krzaki, a kiedy już tam byli, powiedział:

- Ale najpierw musicie dotknąć tego.

Jedną z tych dziewczynek była Gen Symes, którą w 1978 roku wybrano Nauczycielem Roku stanu Maine za pracę w liceum w Brunzswiku. I Gen, pięcioletnia, powiedziała ojcu, że ów mężczyzna nie miał paru palców na jednej dłoni. Druga dziewczynka to potwierdziła, trzecia nie pamiętała. Stella przypomniała sobie, że tego lata Alden wyszedł pewnego burzliwego dnia nie mówiąc jej, dokąd się wybiera, choć go pytała. Spoglądała za nim z okna i przekonała się, że na końcu ścieżki spotkał się z Bullem Symesem, przy zatoczce zaś dołączył do nich Freddy Dinsmore, gdzie zobaczyła też własnego męża, którego wysłała jak co dzień do pracy z paczką

jedzenia pod pachą. Przyszli też inni mężczyźni, a kiedy wreszcie ruszyli, naliczyła ich prawie tuzin. Pomiedzy nimi znajdował się także poprzednik wielebnego McCrackena. Tego wieczoru u stóp Cypla Slydera znaleziono niejakiego Danielsa, w tym miejscu, gdzie skały wystają z wody niczym zęby smoka, który zatonął z otwartą paszczą. Ten Daniels był robotnikiem, którego Duży George Havelock wynajął do położenia nowych progów i wymiany silnika w furgonetce model A. Pochodził z New Hampshire i był prawdziwym czarusem; potrafił sobie znaleźć inne zajęcia, gdy się uporał z robotą u Havelocka... a w kościele śpiewał najgłośniej ze wszystkich! Uznano, że musiał wejść na szczyt cypla, pośliznął się i spadł, koziołkując, aż na dno. Miał złamany kark i dziurę w głowie. Ponieważ nikt nie znał jego bliskich, pochowano go na wyspie, a poprzednik wielebnego McCrackena wygłosił mowę pogrzebową, w której mówił, że dobry był robotnik z tego Danielsa, choć brakowało mu dwóch palców u prawej ręki. Potem zakończył modły i żałobnicy poszli do piwnicy ratusza, gdzie pili poncz i jedli kanapki z topionym serem. Stella nigdy nie spytała mężczyzn, gdzie byli, kiedy Daniels spadł z Cypla Slydera.

- Dzieci - powiedziałyby - zawsze pomagaliśmy sobie nawzajem. Musieliśmy, gdyż w tamtych czasach Cieśnina była szeroka, a kiedy zrywał się wichur, fale biły o brzeg i wcześniej zapadał mrok, no cóż, wtedy czuliśmy się bardzo mali... jak pyłki kurzu przed oczami Boga. Więc to naturalne, że trzymaliśmy się razem, wszyscy za jednego.

Trzymaliśmy się razem, dzieci, a jeśli czasami zdarzało się nam zastanawiać, po co to wszystko albo czy miłość w ogóle istnieje, to tylko dlatego, że słyszeliśmy wichur i fale podczas długich zimowych nocy... i zdejmował nas strach.

Nie, nigdy nie czułam potrzeby, by opuścić wyspę. Tutaj było moje życie. W tamtych czasach Cieśnina była szersza.

Stella dotarła do zatoczki. Spojrzała w lewo i prawo, a wiatr trzepotał jej suknią niczym flagą. Gdyby zauważyła tu kogoś, poszłaby dalej i spróbowała szczęścia na skałach, choć były zaszkłone lodem. Ale nie ujrzała nikogo, więc ruszyła wzdłuż przystani, obok szopy na łodzie starego Symesa. Zatrzymała się na brzegu, wysoko uniosła głowę. Przez nauszники Aldena wycie wiatru wydawało się cichsze.

Bill tam był i kiwał do niej ręką. Za nim, za Cieśniną, widziała kościół na Głowie Szopa, z wieżyczką niemal niewidzialną na tle białego nieba.

Usiadła, stęknawszy, na krawędzi przystani i zeszła na zmarzniętą skorupę w dole. Jej buty zapadły się nieco w śniegu, choć niezbyt głęboko. Znowu poprawiła czapkę Aldena - jakże ten wiatr starał się ją zdmuchnąć! - i zaczęła iść ku Billowi. Przyszło jej do głowy, że mogłaby spojrzeć za siebie, ale nie zrobiła tego. Jej serce by chyba tego nie zniosło.

Szła, słuchając chrupania lodu pod podeszwami butów. Bill ciągle tam był, nieco dalej, lecz nadal do niej machał. Odkasznęła, splunęła krwią na biały śnieg na łodzie. Cieśnina otworzyła się szeroko po jednej stronie i Stella po raz pierwszy w życiu odczytała bez pomocy lornetki Aldena napis "Przynęty i łodzie Stantona". Widziała samochody na głównej ulicy Głowy i pomyślała z prawdziwym zdumieniem: "Mogą jechać, gdzie się im tylko spodoba... do Portland... Bostonu... Nowego Jorku. Coś podobnego!". I prawie zapragnęła pójść w ich ślady, niemal ujrzała drogę, która biegnie przed siebie, a wszelkie granice stoją otworem.

Platek śniegu zatańczył jej przed oczami. Potem drugi. I trzeci. Wkrótce zaczęło prószyć na dobre; szła przez przyjemny świat pełen wirującej bieli, a Głowa Szopa prześwitywała zza ażurowej białej firanki. Stella poprawiła czapkę Aldena - z daszku osunęła się warstewka śniegu i zasypała jej oczy. Wiatr podrywał świeży śnieg z ziemi i tworzył z niego przezroczyste kształty, a w jednym z nich ujrzała Carla Abershama, który zatonął wraz z mężem Hattie Stoddard na "Tancerce".

Ale wkrótce blask zaczął przygasać, w miarę jak śnieg padał coraz gęściej. Główna ulica Głowy zacierała się, zacierała... aż zupełnie znikła. Nieco dłużej było widać krzyż na dachu kościoła, lecz potem i on się rozwiął jak sen. Ostatni zatarł się żółto-czarny szyld z napisem "Przynęty i łodzie Stantona", u którego można było kupić także olej silnikowy, lep na muchy, włoskie kanapki i budweisera.

Teraz Stella szła w świecie zupełnie pozbawionym koloru, szarobiałym śnie o śniegu. Jak Jezus chodzący po falach, pomyślała i wreszcie się odwróciła, lecz wyspa także już znikła. Widać było tylko ślady jej butów, coraz mniej wyraźne, aż wreszcie zostały z nich tylko podkówki obcasów... a potem nie było już nic. Zupełnie nic.

Oślepił cię śnieg, pomyślała. Musisz uważać, Stello, bo nigdy nie dojdiesz do lądu. Będziesz zataczać wielkie kręgi, aż się zmęczysz i zamarzniesz tu na śmierć.

Bill powiedział jej, że kiedy się zabłądzi w lesie, trzeba utykać na tę nogę, która jest sprawniejsza. W przeciwnym razie zacznie ona prowadzić i człowiek będzie krążyć bez celu, nawet o tym nie wiedząc, dopóki nie wróci na własne ślady. Stella nie mogła dopuścić, by coś takiego się jej przytrafiło. Śnieg padał poprzedniego dnia, będzie też padać następnego, tak powiedzieli w radiu, a oszołomiona tą bielą nie wiedziałaby nawet, że wróciła na własne ślady, gdyż wiatr i śnieg wymazałyby je na długo przedtem, zanim zdążyłyby je zobaczyć.

Mimo dwóch par rękawiczek ręce zaczęły jej drętwieć. Stóp dawno już nie czuła. W zasadzie przyniosło jej to ulgę, gdyż odretwienie uspiło wiecznie czujny reumatyzm.

A więc zaczęła kuleć, zmuszając lewą nogę do cięższej pracy. Reumatyzm w kolanach nie dał się oszukać i po chwili odezwał się gromko. Białe włosy Stelli trzepotały na wietrze. Wargi uniosły się, odsłaniając zęby (ciągle miała własne, z wyjątkiem czterech), a ona patrzyła prosto przed siebie, czekając, aż z wirującej bieli wyłoni się żółto-czarny znak.

Nie zobaczyła go.

Po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że świetlista biel zaczyna przygasać, zmieniać się w bardziej mdłą szarość. Śnieg ciągle padał, jeszcze gęstszy, coraz większymi płatami. Jej stopy nadal mocno trzymały się podłoża, lecz musiała brnąć przez dziesięciocentymetrową warstwę śniegu. Spojrzała na zegarek; stanął. Zdała sobie sprawę, że tego ranka po raz pierwszy od dwudziestu czy trzydziestu lat zapomniła go nakręcić. A może po prostu się zepsuł? Należał do jej matki i dwa razy wysyłała z nim Aldena na Głowę Szopa, gdzie pan Dostie najpierw zachwycał się mechanizmem, a potem go czyścił. Przynajmniej jej zegarek był na łądzie.

Pierwszy raz upadła na jakiś kwadrans przed tym, gdy zauważyła nadciągającą szarość. Przez chwilę stała na czworaka i myślała, że dobrze by było tu zostać, zwinąć się w kłębek i słuchać wiatru, lecz potem determinacja zwyciężyła, więc zebrała wszystkie siły i wstała, krzywiąc się z bólu. Stała pośród wichru, spojrzała przed siebie, siłą woli zmuszając oczy, by ujrzały... ale nie widziały niczego.

Wkrótce będzie ciemno.

Zatem zmyliła drogę. Gdzieś musiała skrócić. W przeciwnym razie już by widziała ląd. A jednak nie mogła uwierzyć, że straciła orientację do tego stopnia, że zaczęła iść równolegle do brzegu lub nawet z powrotem. Wewnętrzny nawigator w jej głowie szeptał, iż za bardzo zboczyła na lewo.

Mimo to sądziła, że nadal zbliża się do lądu, tylko po skosie.

Nawigator chciał, żeby skróciła na prawo, ale ona tego nie zrobiła. Ruszyła prosto przed siebie, lecz przestała udawać, że kuleje. Złapał ją spazm kaszlu; splunęła na śnieg jaskrawą czerwienią. Dziesięć minut później (szarość bardzo już zgęstniała i Stella poczuła, że znajduje się w dziwnym zmroku burzy śniegowej) znowu upadła, chciała się podnieść, z początku bez skutku, wreszcie stanęła chwiejnie, mając tylko tyle sił, by utrzymać się na porywistym wietrze. Fale osłabienia przepływały jej przez głowę, która na przemian wydawała się ciężka i lekka.

Być może ryk, który słyszała, nie całkiem był rykiem wiatru, lecz to z całą pewnością wiatr zdołał wreszcie zerwać jej z głowy czapkę Aldena. Rzuciła się w pogoń, ale wichur odsunął tanecznym ruchem czapkę, która wesoło potoczyła się przed siebie, daleko, daleko, plama jaskrawego oranżu w narastającej szarości. Upadła na śnieg, znowu się uniosła, zniknęła. Teraz włosy Stelli swobodnie trzepotały wokół jej głowy.

- Nic się nie stało - powiedział Bill. - Weź moją.

Odwróciła się gwałtownie, spojrzała w biel. Instynktownie uniosła dłonie do piersi i poczuła, że ostre pazurki drapią ją w serce.

Ujrzała tylko falujące błony bieli - a potem, prosto z gardła tej wieczornej szarości, spośród wichru niczym szatan wyjącego w śnieżnym tunelu, wyłonił się jej mąż. W pierwszej chwili wyglądał jak plama barw na śniegu: czerwień, czerń, zieleń ciemna i nieco jaśniejsza... potem kolory połączyły się i scaliły we flanelową kurtkę z kołnierzem, flanelowe spodnie i zielone wysokie buty. Bill wyciągał do niej kaszkiet w geście wręcz absurdalnie dwornym, a że jego twarz była tą, jaką знаła, nienapiętnowaną rakiem, który go zabrał (więc to właśnie tego się bała? Tego wynędzniałego cienia, jaki mógł się jej objawić, tej postaci wychudzonej jak po obozie koncentracyjnym, o głęboko zapadniętych oczach i lśniącej skórze mocno napiętej na kościach policzkowych?), doznała wielkiej ulgi.

- Bill? To naprawdę ty?

- No jasne.

- Bill - powtórzyła i z radością zrobiła krok w jego stronę. Nogi ugięły się pod nią i już sądziła, że się przewróci, przejdzie przez niego jak przez powietrze - przecież był duchem - lecz on chwycił ją w ramiona, tak mocne i godne zaufania, jak wtedy gdy przeniósł ją przez próg domu, który w tych ostatnich latach dzieliła tylko z Aldenem. Podtrzymał ją i po chwili poczuła, że wkłada jej mocno czapkę na głowę.

- To naprawdę ty? - spytała raz jeszcze, spoglądając w jego twarz, na kurze łapki wokół oczu, które jeszcze się nie zapadły, na poduszki śniegu na ramionach jego myśliwskiej kurtki, na lśniącem brązem włosy.

- To ja - powiedział. - To my.

Odwrócił się z nią lekko i ujrzała innych, wyłaniających się ze śniegu, który wiatr przywiał z drugiego brzegu. Z ust wydarł się jej krzyk, na poły radosny, na poły przerażony, gdyż ujrzała Madeline Stoddard, matkę Hattie, w błękitnej sukience, która na wietrze kołysała się jak dzwon - a za rękę, proszę proszę, trzymał ją nie kto inny, jak ojciec Hattie, nie spleśniały szkielet, leżący na dnie wraz z "Tancerką", lecz młody i zdrowy mężczyzna. A dalej, za nimi...

- Annabelle! Annabelle Frane, czy to ty?

Tak, to była ona; nawet w tych białych ciemnościach Stella rozpoznała żółtą suknię, w której Annabelle wystąpiła na jej weselu, a gdy rzuciła się ku swej zmarłej przyjaciółce, wydawało się jej, że dobiegł ją zapach róż.

- Annabelle!

- Jesteśmy już prawie na miejscu, kochanie - powiedziała Annabelle, biorąc ją pod ramię. Żółta suknia, którą w owym dniu uznano za Szokującą (choć nie Skandaliczną, na szczęście dla Annabelle i wszystkich innych), miała odkryte ramiona, lecz Annabelle chyba nie czuła zimna. Jej włosy, miękkie i ciemnorude, powiewały na wietrze. - Jeszcze tylko trochę.

I razem ruszyli przed siebie. Ze śnieżnej nocy (gdyż zapadła już noc) wyłoniły się jeszcze inne postaci. Stella rozpoznała wiele z nich, choć nie wszystkie. Tommy Frane stanął obok Annabelle; Duży George Havelock, który zginął paskudną śmiercią w lasach, szedł za Billem; był też człowiek, co przez ponad dwadzieścia lat zapalał latarnię morską na Głowie i zwykle przypluwał na wyspę na konkurs gry w karty, które Freddy Dinsmore organizował co roku z lutym - Stella

miała jego nazwisko na końcu języka, choć nie mogła go sobie przypomnieć. I był sam Freddy! Koło niego zaś, zupełnie sam i chyba zdumiony, siedział Russel Bowie.

- Patrz, Stello - odezwał się Bill; ujrzała czarny kształt wyłaniający się z mroku, jakby zgruchotane dzioby wielu statków. Lecz nie były to statki, ale popękana i zwietrzała skała. Dotarli do Głowy! Przeszli na drugi brzeg!

Usłyszała słowa, choć nikt ich nie wymówił: Weź mnie za rękę, Stello... (czy)

Weź mnie za rękę, Bill... (ale czy ale czy)

Annabelle... Freddy... Russell... John... Ettie... Frank... weźcie mnie za rękę, za rękę, za rękę... (czy kochasz)

- Czy zechcesz mnie wziąć za rękę? - spytał nowy głos.

Rozejrzała się i oto stanął przy niej Bull Symes. Uśmiechał się łagodnie, a jednak zdjął ją strach, gdy zobaczyła, co maluje się w jego oczach. Cofnęła się, mocniej ściskając dłoń Billa.

- Czy już...

- Czas? - dokończył Bull. - Ano pewnie, że już czas. Ale to nie boli. Przynajmniej nigdy nie słyszałem, żeby kogoś zabolalo.

Nagle po jej twarzy potoczyły się łzy - wszystkie te łzy, których nigdy nie uroniła. Włożyła dłoń w rękę Bulla.

- Tak - szepnęła. - Tak, tak, tak.

Stanęli w kręgu, zmarli z Wyspy Koziej, wicher wyl wokół nich i miotał śniegiem, a Stella poczuła, że wybucha w niej jakaś pieśń. Wiatr ją otoczył i porwał ze sobą. Wszyscy zaczęli śpiewać, tak jak dzieci śpiewałyby wysokimi, słodkimi głosami, gdy letni wieczór powoli zmienia się w ciepłą noc. Śpiewali i Stella zbliżyła się do nich i razem z nimi przeszła wreszcie przez cieśninę. Trochę bolało, choć nie bardzo; strata cnoty była znacznie gorsza. Stali w kręgu, w nocnych ciemnościach, śnieg sypał, a oni śpiewali. Śpiewali i...

...tego właśnie Alden nie mógł powiedzieć Davidowi i Lois, lecz w lecie tego roku, kiedy zmarła Stella, gdy dzieci przyjechały jak zwykle na dwa tygodnie, wyjawiał to Łonie i Halowi.

Powiedział, że podczas wielkich zimowych burz wicher śpiewa niemal ludzkim głosem i czasami wydawało mu się, że rozróżnia słowa: "Chwał duszo moja Pana...".

Ale nie powiedział im (wyobraźcie sobie powolnego, niemądrego Aldena, który by mówił coś takiego, nawet dzieciom!), że czasami słyszał ten dźwięk i czuł lodowate zimno, choć siedział przy ogniu; wtedy przestawał strugać drewno, porzucał sidła, które naprawiał, i myślał, że wiatr odzywa się głosami tych, którzy umarli i odeszli... że stoją oni gdzieś na cieśninie i śpiewają jak dzieci. Wydawało mu się, że słyszy głosy, a w nocy czasami śnił, że śpiewa, niesłyszany i niewidzialny, na własnym pogrzebie.

Są takie rzeczy, o których nie wolno mówić i są też rzeczy, niekoniecznie ukrywane, o których nie należy rozmawiać. Następnego dnia po burzy, gdy wiatr się uspokoił, znaleźli Stellę na lądzie, zamarznąętą na śmierć. Siedziała na naturalnym siedzisku z kamienia, mniej więcej sto metrów na południe od granic miasta Głowa Szopa, twarda jak kamień. Doktor, który miał corvette, powiedział, że jest szczerze zdumiony. Stella musiała przejść ponad dwa kilometry, a podczas sekcji zwłok, którą prawo zaleca w przypadku nagłych niezwykłych zgonów, odkryto nadzwyczaj rozległe zmiany rakowe - w gruncie rzeczy ciało było przeżarte przez chorobę do szpiku kości.

Czy Alden mógł powiedzieć Davidowi i Lois, że czapka, którą Stella miała na głowie, nie należała do niego? Lany McKeen ją rozpoznał. John Bensohn także. Alden widział to w ich oczach, a oni chyba widzieli to w jego. Nie chodził po tym świecie na tyle długo, żeby zapomnieć, jak wyglądał kaszkiet jego ojca, nie pamiętać jego kształtu czy pękniętego daszka.

- Są rzeczy, które należy powoli przemyśleć - powiedziałby dzieciom, gdyby to potrafił. - Rzeczy, nad którymi trzeba się dobrze zastanowić, gdy ręce są zajęte pracą, a kawa czeka w porcelanowym kubku. Może to pytania Cieśniny: czy zmarli śpiewają? I czy kochają żyjących? Nocami, gdy łódź Ala Curry'ego zabrała już Lonę i Hala na łód do rodziców, Alden często rozważał to pytanie, a także inne, podobnie jak kwestię czapki ojca.

Czy zmarli śpiewają? Czy kochają?

Podczas tych długich samotnych nocy, gdy Stella Flanders spoczywała wreszcie snem wiecznym, Alden często dochodził do wniosku, że odpowiedź na oba pytania brzmi: tak.

Przełożyła
Maciejka Mazan

UWAGI

Nie wszystkich interesuje, skąd się biorą opowiadania, i nie ma w tym nic złego - przecież po to, by prowadzić samochód, nie musisz znać zasady działania silnika spalinowego, możesz więc czerpać przyjemność z lektury opowiadania, nie mając zielonego pojęcia o okolicznościach, które towarzyszyły jego powstaniu. Silnikami interesują się mechanicy, szczegółami pracy pisarzy - uczeni, fanowie i natręci (ci pierwsi i ci ostatni to często te same osoby, ale mniejsza o to). Oto kilka luźnych uwag na temat niektórych opowiadań - wydawało mi się, że mogą zainteresować zwykłego czytelnika, jeśli jednak jesteście jeszcze bardziej "zwykli", zapewniam was, że możecie już zakończyć lekturę. Niewiele straciecie.

"Mgła". Napisałem ją latem 1976 do oryginalnej antologii pod redakcją mojego agenta, Kirby'ego McCauleya. Dwa albo trzy lata wcześniej McCauley stworzył dość podobną antologię zatytułowaną "Frights"; tamta ukazała się w miękkiej oprawie, ta miała zostać wydana w twardej i zapowiadała się jako bardziej ambitne przedsięwzięcie. Tytuł brzmiał "Dark Forces". Kirby chciał umieścić tam moje opowiadanie i wyciskał je ze mnie z uporem, wytrwałością oraz za pomocą subtelnych dyplomatycznych wybiegów, którymi powinien umieć się posługiwać każdy dobry agent.

Nic nie przychodziło mi do głowy. Im intensywniej myślałem, tym bardziej nie miałem żadnego pomysłu. Zacząłem nawet podejrzewać, że być może moja maszynka do tworzenia opowiadań chwilowo, albo nawet na zawsze, odmówiła posłuszeństwa. Aż pewnej nocy nadeszła burza bardzo podobna do tej, którą opisałem. Nad Long Lake w Bridgton, gdzie wtedy mieszkaliśmy, rzeczywiście utworzyła się trąba powietrzna, ja zaś naprawdę zagoniłem rodzinę na parter (choć moja żona ma na imię Tabitha; Stephanie to imię jej siostry). Również wyprawa do supermarketu, którą przedsięwzięliśmy nazajutrz, bardzo przypominała tę z opowiadania, tyle że na szczęście nie musiałem jej odbyć w towarzystwie nikogo tak paskudnego jak Norton. Naszymi prawdziwymi sąsiadami byli bardzo mili ludzie, doktor Ralph Drews z żoną.

W sklepie moja muza zesrała mi się na głowę - jak zwykle zupełnie nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Szedłem sobie jakby nigdy nic środkową alejką, rozglądając się w poszukiwaniu bułek do hot dogów, i nagle wyobraziłem sobie prehistorycznego gada lecącego z łopotem błoniastych skrzydeł w kierunku działu mięsnego. Później, stojąc z moim synem Joem w kolejce do kasy, zabawiałem się wymyślaniem historii o otoczonym przez prehistoryczne stwory supermarkecie, w którym zostali uwięzieni wszyscy klienci. Pomysł wydał mi się wtedy niesamowicie zabawny; takie byłoby "The Alamo", gdyby reżyserował je Bert I. Gordon. Jeszcze tego samego wieczoru napisałem połowę opowiadania, dokończyłem je w następnym tygodniu.

Trochę się rozrosło, ale spodobało się Kirby'emu i weszło do antologii. Ja polubiłem je dopiero po poprawkach; najwięcej pretensji miałem do Davida Draytona o to, że przespał się z Amandą, a potem nawet nie sprawdził, co stało się z jego żoną. Wydawało mi się, że to tchórzostwo. Później jednak zdołałem uzyskać ulubiony rytm języka i dzięki temu poradziłem sobie ze szczegółami chyba nieco lepiej niż w paru innych długich opowiadaniach (szczególnie dobrym przykładem choroby, na którą cierpię, czyli słowolejstwa, jest "Apt Pupil" ze zbioru "Different Seasons"). Kluczem do "wejścia" w ów rytm było celowe użycie pierwszego zdania, które najzwyczajniej w świecie ukradłem ze wspaniałej powieści "Shoot" Douglasa Fairbairna. Według mnie pierwsze zdanie stanowi esencję każdej opowieści, jest czymś w rodzaju zaklęcia zen. Przyznam również, iż spodobała mi się metafora zawarta w odkryciu przez Davida Draytona jego własnych ograniczeń oraz prostolinijna siermiężność opowieści; powinna zostać sfilmowana na czarno-białej taśmie, oglądać zaś należy ją w kinie dla zmotoryzowanych, obejmując czule dziewczynę (lub chłopaka). Drugi film musicie wybrać samodzielnie.

"Zjawi się tygrys". Moją nauczycielką w pierwszej klasie szkoły podstawowej w Stratford w stanie Connecticut była przerażająca pani van Buren. Gdyby któregoś dnia pożarł ją tygrys, wcale bym nie żałował. Sami wiecie, jakie są dzieci.

"Małpa". Jakies cztery lata temu pojechałem w interesach do Nowego Jorku. W drodze z New American Library do hotelu natknąłem się na ulicznego sprzedawcę nakręcanych małpek. Rozłożył szary koc na chodniku na rogu Piątej i Czterdziestej Czwartej ulicy, małpki kłaniały się, uśmiechały i uderzały talerzami. Wywarły na mnie przerażające wrażenie, ale dopiero po jakimś czasie uświadomiłem sobie dlaczego: skojarzyły mi się z kobietą z nożycami... Wiecie, z tą, która pewnego dnia przetnie nić życia każdego z nas. Mając przed oczami ten obraz, napisałem opowiadanie prawie od ręki w hotelowym pokoju.

"Skrót pani Todd". Pani Todd to moja żona. Ta kobieta ma prawdziwego bzika na punkcie skrótów, a ten z opowiadania jest prawie w całości prawdziwy. Też go odkryła. I Tabby naprawdę niekiedy nagle młodnieje, choć mam nadzieję, że ja nie przypominam Wotha Todda. W każdym razie bardzo się staram.

Ogromnie lubię to opowiadanie. Sprawia mi radość, a głos tego starego gościa działa na mnie uspokajająco. Od czasu do czasu zdarza mi się napisać coś, co przypomina dawne czasy, kiedy wszystko, co pisałem, wydawało mi się świeże i odkrywcze. Tak właśnie czułem się pisząc "Skrót pani Todd".

I jeszcze coś: opowiadanie odrzuciły trzy czasopisma kobiece; dwa ze względu na to zdanie, że gdyby kobieta nie przykucnęła, obsikałaby sobie nogę. Widocznie w redakcjach tych pism uważano, że kobiety nie sikają albo że nie lubią, kiedy przypomina im się o tym, że jednak to robią. W trzecim czasopiśmie, "Cosmopolitan", doszli do wniosku, iż bohaterka jest zbyt stara, żeby zainteresować czytelniczki. Pozostawiam te fakty bez komentarza. Dodam tylko tyle, że "Skrót pani Todd" ostatecznie kupił "Redbook". Dzięki im za to.

"Jaunting". Opowiadanie było przeznaczone dla "Omni", gdzie go jednak nie przyjęto (i słusznie) ze względu na chwiejne podstawy naukowe. W tej wersji wykorzystałem pomysł Bena Bovy, żeby koloniści kopali w poszukiwaniu wody.

"Tratwa". W roku 1968, kiedy napisałem to opowiadanie, nosiło tytuł "The Float". Pod koniec roku 1969 kupił je "Adam", który, jak większość czasopism z rozebranymi panienkami, płacił dopiero po opublikowaniu materiałów. Obiecali mi dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Wiosną 1970, o wpół do pierwszej w nocy, pełznąć do domu białym fordem kombi po imprezie w uniwersyteckiej knajpie, wjechałem w pachołki, którymi ogrodzono pomalowane w ciągu dnia przejście dla pieszych. Farba już dawno wyschła, nikomu jednak nie przyszło do głowy uprzętnąć pachołki. Jeden z nich dostał się pod podwozie i urwał tłumik, na słowo honoru trzymający się przerdzewiałej rury wydechowej. Ogarnęło mnie poczucie ogromnej krzywdy połączone z monstualną wściekłością, do jakiej są zdolni tylko nietrzeźwi studenci; postanowiłem wyruszyć w nocny objazd miasta Orono, pozbierać wszystkie pozostawione na noc pachołki, rankiem zaś ułożyć je przed wejściem do komisariatu wraz z informacją, że ocalałem przed zniszczeniem co najmniej kilkadziesiąt tłumików oraz rur wydechowych i że powinienem dostać medal. Kiedy w lusterku wstecznym zobaczyłem migające światła radiowozu, miałem w bagażniku jakieś sto pięćdziesiąt sztuk.

Nigdy nie zapomnę miny tego policjanta, który najpierw długo przyglądał się pachołkom wypełniającym tył mojego kombi, a potem zapytał:

- Synu, czy to wszystko twoje?

Pachołki zostały skonfiskowane, ja zresztą też. Tę noc spędziłem na koszt Orono, ulubionego miasta krzyżówkowiczów. Jakiś miesiąc później stanąłem przed sądem okręgowym w Bangor oskarżony o drobną kradzież. Sam byłem swoim obrońcą i muszę przyznać, że trafił mi się wyjątkowo skretyniały klient. Zostałem ukarany grzywną w wysokości dwustu pięćdziesięciu dolarów - rzecz jasna, nie miałem tych pieniędzy. Gdybym nie zapłacił w ciągu tygodnia, musiałbym pójść na miesiąc do więzienia. Chyba mógłbym pożyczyć te dwie i pół stowy od matki, ale z pewnością miałbym spore problemy z wyjaśnieniem jej okoliczności zdarzenia (przynajmniej na trzeźwo).

Chociaż teraz pisarzom nie wolno uciekać się do pomocy deus ex machina, ponieważ tacy bogowie z maszynierii są mało wiarygodni, w życiu zjawiają się całkiem często. Mój osobisty deus ex machina pojawił się trzy dni po wyroku w postaci czeku z "Adama" opiewającego na dwieście pięćdziesiąt dolarów. Było to honorarium za "The Float". Poczuję się tak, jakbym już siedział w więzieniu i niespodziewanie został ułaskawiony. Natychmiast zrealizowałem czek, zapłaciłem grzywnę i poprzysiągłem sobie do końca życia nie wziąć do ust kropli alkoholu i omijać z daleka wszystkie pachołki. Pierwszej części postanowienia nie udało mi się dotrzymać, jeśli jednak chodzi o pachołki, to możecie mi wierzyć, że skończyłem z nimi raz na zawsze. Pozostał jednak pewien problem: "Adam" płacił przecież dopiero po opublikowaniu materiałów, skoro więc dostałem pieniądze, to opowiadanie musiało ukazać się drukiem. Nie dostałem jednak ani jednego gratisowego egzemplarza, nie znalazłem też swojego tekstu w żadnym piśmie wydawanym przez Knight Publishing Company, choć sprawdzałem regularnie - wpychałem się między obleśnych starsuszków wertujących ambitne magazyny literackie w rodzaju "Cycków i tyłków" albo "Wrednych lesbijek" i szukałem do upadłego.

Jakiś czas potem zawieruszyła mi się jedyna kopia maszynopisu. Przypomniałem sobie o tym opowiadaniu dopiero w roku 1981, w Pittsburgu, podczas końcowego etapu prac montażowych przy "Creepshow". Okropnie mi się nudziło, postanowiłem więc odtworzyć tamten tekst i w rezultacie powstała "Tratwa". Treść jest taka sama jak w oryginale, tylko szczegóły są znacznie bardziej przerażające.

Gdyby ktoś gdzieś, kiedyś widział "The Float", bardzo proszę o kserokopię albo coś w tym rodzaju. Wystarczy nawet pocztówka z krótką informacją, która uspokoi mnie, że nie oszalałem. Opowiadanie mogło ukazać się w "Adamie", "Adam Quarterly" albo (co najbardziej

prawdopodobne) w "Adam's Bedside Reader". Wiem, wiem: może to nie są tytuły z najwyższej półki, ale w tamtych czasach miałem tylko dwie pary gatek i trzy podkoszulki, więc nie mogłem zanadto wybrzydzać, a poza tym wierzcie mi, te pisemka i tak prezentowały znacznie wyższy poziom od "Wrednych lesbijek". Po prostu chcę wiedzieć, czy to opowiadanie ujrzało światło dzienne przed publikacją w "Martwej strefie".

"Szkola przetrwania". Któregoś dnia zacząłem myśleć o kanibalizmie - po prostu dlatego, że typki takie jak ja dość często myślą o takich rzeczach - i moja muza po raz kolejny pozostawiła na mej głowie magiczną zawartość swoich jelit. Tak, tak wiem: to dość niewyszukana metafora, ale nie znam lepszej, i wiecie co? Gdybym tylko znał sposób, żeby zaaplikować tej bestii solidną dawkę środka przeczyszczającego nie zawahałbym się ani chwili! Tak czy inaczej, zacząłem się zastanawiać, czy człowiek może zjeść samego siebie, a jeśli tak, to jak wiele zdoła spożyć, zanim nastąpi nieunikniony koniec. Pomysł był tak cudownie odrażający, że przez parę dni mogłem tylko o nim myśleć. Bałem się cokolwiek napisać, żeby nie spieprzyć sprawy. Wreszcie, kiedy pewnego dnia, podczas posiłku złożonego z hamburgerów, żona zapytała, z czego się śmieję, postanowiłem przynajmniej spróbować.

Mieszkaliśmy wtedy w Bridgton. Odbylem ponadgodzinną rozmowę z Ralphem Drewsem, emerytowanym lekarzem z sąsiedztwa. Chociaż początkowo traktował mnie z pewną rezerwą (rok wcześniej, szykując się do pracy nad innym opowiadaniem, zapytałem go, czy człowiek mógłby połknąć w całości kota), ostatecznie przyznał jednak, iż dałoby się przetrwać jakiś czas, zjadając po kawałku samego siebie. Bądź co bądź, powiedział, ludzkie ciało, podobnie jak wszystko, co materialne, to tylko zmagazynowana energia. A co z powtarzającym się wstrząsem pooperacyjnym? Odpowiedź, z kilkoma drobnymi zmianami, znajdziecie w pierwszym akapicie opowiadania.

Faulkner na pewno nie napisałby czegoś takiego! No już dobrze, dobrze...

"Ciężarówka wuja Otto". Furgonetka jest autentyczna, podobnie jak dom. Historię, która się wokół nich obraca, ułożyłem sobie w głowie pewnego dnia podczas długiej jazdy samochodem. Spodobała mi się, więc później poświęciłem jeszcze kilka dni, żeby ją spisać.

"Cieśnina". Najmłodszy brat Tabby, Tommy, służył w Straży Przybrzeżnej na długim i urozmaiconym wybrzeżu Maine, w rejonie Jonesport-Beals, tam gdzie zadanie Straży sprowadza się głównie do wymiany akumulatorów w wielkich świecących bojach oraz ratowania niedorozwiniętych przemytników, którzy zgubią się we mgle lub władują się na skały. Jest tam mnóstwo wysp z mnóstwem hermetycznych wyspiarskich społeczności. To właśnie od Tommy'ego usłyszałem o pierwowzorze Stelli Flanders, która żyła i umarła na jednej z wysp. Na Wyspie Świń, Krów, albo jakoś tak... W każdym razie w nazwie było zwierzę. Nie mogłem uwierzyć.

- Naprawdę nigdy nie chciała choćby postawić stopy na stałym lądzie? - zapytałem.

- Nigdy. Powtarzała, że Cieśninę zamierza przekroczyć dopiero po śmierci.

Tommy wyjaśnił mi, co wyspiarze nazywają "Cieśniną", opowiedział mi również anegdotę poławiaczy homarów o tym, że między Jonesport a Londynem jest po prostu cholernie długa Cieśnina. Włączyłem ją do opowiadania. Ukazało się w "Yankee" pod całkiem sensownym tytułem "Do the Dead Sing?", ale po namyśle postanowiłem przywrócić mu oryginalny tytuł.

I to wszystko. Nie wiem jak wy, ale ze mną jest tak, że zawsze kiedy docieram do końca książki, czuję się tak, jakbym właśnie się obudził. Trochę żal snu, ale przecież rzeczywistość też nie

wygląda najgorzej. Dziękuję, że zechcieliście mi towarzyszyć. Było mi miło. Zawsze jest mi miło. Mam nadzieję, że bezpiecznie dotarliście od celu i że zjawicie się znowu, bo przecież opowieści można snuć w nieskończoność.

Stephen King
Bangor, Maine

1 W 1942 roku Japończycy zmusili ok. 70 tysięcy amerykańskich i filipińskich jeńców wojennych do ponadstukilometrowego marszu przez półwysep Bataan na Filipinach. Z wyczerpania, głodu i z powodu bestialskiego traktowania zginęło wtedy prawie 10 tysięcy ludzi.

2 Catfish - Jim "Catfish" Hunter, legendarny rzucający drużyny Jankesów - przyp. tłum.

3 Route 66 - amerykański serial telewizyjny z lat sześćdziesiątych, w którym główne role grali wzmiankowani George Maharis i Martin Milner, oraz ich samochód, corvette - przyp. tłum.